

Céline
Minard

OSTATNI ŚWIAT

Le dernier monde

Z francuskiego przełożyła
JOANNA POLACHOWSKA



...szłoby nikomu do głowy powiedzieć, że *Oh Thou Tupelo* śpiewane trzy razy w tygodniu przez chór college'u w Wellesley kwadrans po czwartej (GMT-6 czasu Houston) działa na nerwy. Nikt nie ośmieliłby się nawet przez chwilę zasłonić uszu; tłumienie wrażliwości muzycznej czterysta kilometrów od Ziemi nie jest postawą pozytywną.

Tworzymy dobry zespół, unosimy się w przestworzach zgrani, zgodni, wszyscy jesteśmy specjalistami, ludźmi dorosłymi, wyszkolonymi, odpowiedzialnymi, sformatowanymi i sownie opłacanymi.

Wczoraj sfilmowałem część eksperymentu Bertin-Mergeola Badanie wpływu mikrogravitacji na percepcję i transdukcję sygnałów mechanicznych w ramach badań nad tkankami łącznymi. Polega ono na tym, że znajdujący się z przodu przedmiot z zamkniętymi oczami trzeba przenieść do tyłu. Obszarem doświadczalnym jest rozpięta za plecami eksperymentatora biała płachta z zaznaczonymi dwunastoma czarnymi punktami połączonymi poziomo i pionowo cienką szarą linią. W tej przestrzeni porusza się obiekt ubrany w czarny kombinezon, którego główne przeguby są oznaczone białymi punktami również połączonymi między sobą cienkimi białymi liniami.

Najpierw obiekt staje profilem do kamery i znajdujący się przed nim przedmiot musi przenieść do tyłu; lokalizuje go wizualnie, bierze, następnie zamyka oczy i wykonuje ruch. Tym razem za królika doświadczalnego, chcę powiedzieć za eksperymentatora, posłużył mi Sokstas. Sokstas bardzo ładnie się zachował i mimo własnego, więcej niż napiętego programu zgodził się poświęcić dwie pełne godziny na tę zabawę. Zmontowałem dwadzieścia minut filmu, na którym widać, jak głęboko skoncentrowany ujmuje przedmiot, powoli obraca się wokół własnej osi i maca ręką w powietrzu, jakby szukał ścianki modułu. Przeważnie, choć był przekonany, że prawidłowo wykonuje ćwiczenie, czerwona kauczukowa piłeczka lądowała pod jego prawą pachą na wysokości ramienia. Za każdym razem kiedy otwierał oczy, żeby sprawdzić efekt i z powrotem ustawić się profilem do kamery, potrzebował dwóch - trzech sekund na odzyskanie orientacji.

To piękny film. Jego odbiorcą będzie prasa specjalistyczna i popularnonaukowa oraz dwieście lub trzysta internetowych witryn znajdujących jeszcze chętnych tego typu sprawy.

Nie umieściłem w nim mojego histerycznego śmiechu, bo wcale się nie śmiałem, i przerwałem filmowanie tuż przed tym, nim zaczął rzygać.

Nawrót choroby kosmicznej¹, na uwolnienie się od której potrzebował po przybyciu

¹ Choroba kosmiczna - zanik czynności motorycznych organizmu spowodowany długotrwałym

na orbitę całego tygodnia, okropnie Sokstasa wpięklili; mogłem go uprzedzić, a zresztą gdyby wiedział... itp.

Staralem się go uspokoić, mówiąc, iż nie myślałem, że tak zareaguje, gdyż doświadczenie to jest generalnie nieszkodliwe, zwłaszcza u ludzi przebywających w sferze mikrogravitacji już od ponad trzech miesięcy.

- Nieszkodliwe, akurat!

I odwrócił się na pięcie, zostawiając mi przyjemne zadanie zapakowania jego rzygów do niebieskiej plastikowej torebki nazywanej „ODA” (odchody do analizy) czy bardziej swojsko *floating bag*.

Dzięki ci, Sokstasie, dzięki ci, Bertin-Mergeol, to była czysta przyjemność!

Oczywiście od razu wmieszał się we wszystko Al Ashby, więc podczas wspólnego posiłku Sokstas i ja musieliśmy jak należy i zgodnie z zasadami pojednać się uściskiem dłoni oraz wzajemnym zapewnieniem o szczerym koleżeństwie. Drobnym rytuałem odbywanym przy okazji nawet najdrobniejszego nieporozumienia, wymyślony i dopracowany przez najlepszych psychologów z przyłodka Canaveral, istny majstersztyk przywracania równowagi interakcji w warunkach ekstremalnych. Sprawdzający się za każdym razem.

Gadanie.

Sokstasa mam głęboko w nosie. Jest tu nas pięcioro i każdy ma głęboko w nosie, czy...

W porządku. Jesteśmy dorosłymi ludźmi, wyszkolonymi, jak również z prędkością dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów na godzinę wyrzuconymi nad powierzchnię Ziemi. Nie tylko chór z Welleeslay działa mi na nerwy.

Muszę dbać o dobre kontakty z innymi.

Bardzo lubię Sokstasa, to właśnie miałem na myśli, pisząc, że mam Sokstasa w nosie. W tym rzecz, bardzo go lubię, mam go w nosie, co oznacza: nie mam z nim problemu, nie jest dla mnie żadnym problemem. Z nikim tutaj nie mam problemu.

Nawet smród gówna na tej stacji mam w nosie. Czy też bardzo go lubię.

Kible są ciągle zapchane, ponieważ kanalizacja znajduje się w nienasłonecznionej części stacji. Z tego powodu rury zamarzają, a z nimi wszystko co w ich środku. Stąd te fale smrodu, ale mam to w nosie. Człowiek się przyzwyczaja.

W ostatnim cargo Progress prezydent przysłał nam swoje zdjęcie z dedykacją. Jego

przebywaniem w stanie nieważkości. Objawia się nudnościami, wymiotami, zanikiem apetytu.

żona i dzieci szczerzą w uśmiechu równe zęby, a wielki opiekuńczy człowiek zapewnia nas o swych najszczęśliwszych uczuciach, jest pełen podziwu, gratuluje nam, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, z wiadomych nam powodów oraz na chwałę całego gatunku ludzkiego. Za to Rosjanie mają u siebie w CUP-ie² plakat przedstawiający stację kosmiczną przytrzymywaną jak marionetka sznurkami, których końce dzierży big boss na Ziemi.

Dowódca wywiązał się z zadania (zawsze się wywiązuje); każde zdjęcie z dedykacją tej wagi, każdy jawny komunikat na tym szczeblu hierarchicznym natychmiast powodują zbiórkę oddziałów w zwartym szyku, połączoną z przepisową łąką w oku oraz prężeniem piersi. Z palcem na lampasie spodni, tyle że my jesteśmy w szortach.

Jedna tylko Meryl czuje się z tego zwolniona.

Z nią właśnie robię najbliższe WNO. Za osiem dni.

Mamy z powrotem nachylić panele słoneczne europejskiej stacji naukowej Palladio, które podczas ostatniej korekty pozycji stacji „z przyczyn (oficjalnie) niewyjaśnionych” zaklinowały się. Już od piętnastu dni Palladio ryzykownie czerpie z zasobów energii głównego modułu bazy; ani Ashby, ani Sokstas nie chcieli przerwać nanotechnologicznych eksperymentów, które na niej prowadzą. Krystalizacja zeolitów w stanie nieważkości chyba jest warta zaciemnienia od godziny osiemnastej, prawda? Uwielbiam preteksty.

Meryl dwadzieścia jeden razy sprawdziła swój skafander z orlanu (po trzykroć siedem razy, takich drobnych przesądów jest mnóstwo), dwadzieścia jeden razy odnogi, złącza, mikrofony, przewody. Przez sześć dni robiliśmy próby naszego Wyjścia na Orbitę. Jesteśmy gotowi. Jesteśmy fizycznie i psychicznie dobrze przygotowani. Jesteśmy ufni, as usual.

I oczywiście tworzymy supersuperzespół.

Co nie zawsze jest nieprawdą.

Sokstas podarował mi opakowanie pysznej galaretki z pigwy made in Kazachstan ze swoich prywatnych (pokaźnych) zasobów smakołyków. Przyjacielski gest; wystarczy rozpuścić ją w wodzie, rozmieszać, a potem wessać przez słomkę. Jednak po pierwszym łyku zapomniałem zamknąć małą saszetkę i za mocno nacisnąłem. Wyskoczyła z niej złocista bańka i z rozpędu zakreśliła piękną, jasną parabolę nad głową komendanta, który zbyt gwałtownie się odchylił. Bańka rozprysnęła się na jego klawiaturze, którą potem musiałem przez godzinę czyścić z cichą nadzieją, że mikroprzewody nieodwracalnie się nie posklejały.

² CUP - *Centr Uprawlenija Poliotom*, czyli Centrum Kontroli Lotów. Lenińsk, Kazachstan

Wiem, że nawet debiutant nie popełniłby podobnego błędu. Moje drobne psoty to dla Ziemi strata czasu.

Musiałem zabrać się do wyładowywania wahadłowca. Od tygodnia zmieniamy się, żeby przerzucić z niego trzy tony wszelkiego dobra oraz sprzętu. Nikomu nie chce się już sprzątać. O mały włos nie nadziałem się na klucz dwunastkę, który zerwał się z gumki, prawdziwy burdel, nie można już nawet spokojnie latać. I nie wolno powiedzieć: co ten pieprzony klucz tu robi, nawet kiedy niemożliwością jest wyhamowanie jego rozpędu.

Wystarczy mieć otwarte oczy, *man*.

I to ma być ten odpoczynek, zalecany nam przed WNO: tona żywności i sprzętu, którą trzeba upchnąć za płytami, a potem, jeśli zostało ci jeszcze z pięć minut, możesz wytrzeć kałuże glikolu turlające się po Palladio. I nie zapomnij odnotować ostatniego kąta krystalizacji swoich protein w rurce kapilarnej; Ziemia już ze dwadzieścia razy domagała się ostatnich wyników. Otrzymaliśmy niedawno dwa metry instrukcji, nie zapominaj Jaume Roiqu Stevens, posiadacza dyplomów uczelni Harvarda i Cambuse, prymusie wydziału astronomii NASA i absolwencie Politechniki Gdańskiej, honorowy stypendysto w dziedzinie geofizyki, teoretyku paliw raketowych i inżynierze pokładowy... nie zapominaj, nawet jeśli tylko jedno ci się marzy, że to Ziemia wydaje rozkazy.

Zapomniał dodać: „były pilocie doświadczalny”. Niech żyje zaciemnienie! Kiedy już wszyscy pozamykają swoje zawory, a stacja działa na pół gwizdka, żeby nadrobić straty energii pobieranej przez Palladio, wtedy nareszcie ma się spokój.

Meryl przed pójściem spać przyszła porozmawiać: - Rozumiesz, wykańcza go wyciek tego tilulilula. Rozumiesz, trzeba go zrozumieć, ta historia z lilulilula stawia pod znakiem zapytania jego odpowiedzialność, nie powinien był robić tego manewru z żurawiem teleskopowym, nikt nie jest nieomylny, ale on bierze to sobie okropnie do serca, strasznie się obwinia, a wtedy ninuninouna liloulilula lilula, rozumiesz, prawda?

Rozumiem, że jestem zmęczony i że dzisiaj znów nie miałem czasu przypasać się, żeby pobiegać, na skutek czego odczuwam niedobór dopaminy, i że podstawowym problemem Ala Ashby'ego jest to, że nie tu jest jego miejsce. Ani konkretnie tu, ani nigdzie wokół Ziemi, ponieważ Al Ashby lata, je i porusza się na orbicie, mając za wyłączny punkt odniesienia Ziemię.

Tak, tyle że otwierając ten koszmarny luk, za mocno pchnąłem, w komorze zostało powietrze, które, uchodząc gwałtownie, wyłamało drzwi na zewnątrz. Wypadłem jak strzała i

pod wpływem siły uderzenia wypuściłem uchwyt klamki tak raptownie, że prawie mi wyrwało rękawicę. 1) Nie. Na szczęście, i 2) jestem wykończony. Ale z Meryl jest prawdziwa profesjonalistka. Nim zdążyłem pomyśleć, żeby się z miejsca nie posikać w skafander, przypięła się do poręczy i poleciała za mną. Piękny manewr. W ciągu pięciu minut, kiedy to poczułem bardzo wyraźny przedsmak samotnej śmierci na orbicie, dwukrotnie próbowała mnie bez powodzenia złapać. Super. Natychmiast dopadły mnie symptomy zaburzeń oddechowych pierwszego stopnia i poczułem, jak w przyspieszonym tempie obrzmiewają mi węzły chłonne. Kiedy w końcu (trzy lata świetlne potem) poczułem na stopie jej uchwyt, fala rozkoszy i nieznośnej wdzięczności wstrząsnęła mną, jakby ktoś potrząsnął jabłonią. Co za rozkosz! Uwielbiam tę kobietę. Mój najcudowniejszy zastrzyk czystej adrenaliny. Umocowany wszystkimi możliwymi pasami do wszystkich dostępnych haków przez dwadzieścia minut dochodziłem do siebie. Czujesz się dobrze, czujesz się dobrze, czujesz się dobrze, oddychaj, czujesz się dobrze. Nie zadrzałeś, jesteś tutaj, jesteś przywiązany, czujesz się dobrze. Dobrze. Wszystko dobrze. Przestań się już przewracać.

Meryl zaproponowała, żebyśmy od razu wracali, ale oboje wiedzieliśmy, że odważnemu ptakowi niestraszne zarośla. Wykonaliśmy „wyjście”. Załatwiliśmy co trzeba przy tarczach i wróciliśmy.

Siedmiogodzinne WNO i oczywiście, znów te moje drobne psoty, *timing* został przekroczony. Jaka szkoda. Strata kolejnego punktu. Żałowałbym za grzechy, gdybym nie był taki padnięty. W tym cały problem: moje siły witalne są na wyczerpaniu.

Cudowne koszmary. Wielka zieleń, wielka czerwień, wielki błękit.

Chwilowo Ashby jest w nie najlepszej formie. Co z tego, że stacja Palladio odzyskała energetyczną samowystarczalność; Ziemia zażądała od niego pełnego raportu w sprawie tego nieszczęsnego luku. Komendant pewnie nie przepada za pisaniem. To, że Meryl uratowała mi życie i że zajęło jej to osiem minut - nie licząc tej półgodziny, na którą moje serce prawie przestało bić (a którą spędziła, zanosząc do mnie łagodne litanie) - chętnie by pominął.

Nie ja.

Od tej pory parametry pokładowe nieco się zmieniły, na przykład nieznacznie wzrosło ciśnienie. Siedemset osiemdziesiąt trzy, to jest milimetr rtęci więcej. Ale afera.

Prowadzę oficjalne badania (krystal. 5) i wygospodarowuję czas na własne: w tym momencie bardzo mnie interesuje mały labirynt w 3D, w którym unosi się kulka rtęci.

Nieznacznymi krótkimi ruchami powoduje się, że kulka wzbija się w górę, rozpryskuje na przezroczystych ściankach i opada nie tam, gdzie powinna się z powrotem uformować. Próbując rozgryźć problem pod wszelkimi możliwymi kątami, któregoś dnia nawet nie spostrzegłem, jak, wędrując za kulką, przemierzyłem cały moduł.

Nie do wiary! Przechwyciłem niebywałą przesyłkę; powołując się na moją postawę rzekomo nerwicową o cechach paranoicznych, przypadłość będącą wynikiem incydentu z lukiem, nasz cudowny dowódca Ashby poprosił Ziemię o jak najszybsze odwołanie mnie do bazy. Idiota. Sam sobie zaszkodził.

Zażądałem osobistej łączności głosowej z Mashburnem. Potrafię podjąć grę, potrafię zachować się dokładnie tak, jak mnie uczyli, jak obdarzone inteligencją zwierzę doświadczalne, które trzyma emocje na wodzy i nigdy, przenigdy nie komentuje swojego bezpośredniego otoczenia. Zwłaszcza ludzkiego. Dureń.

- OK, o co chodzi, Stevens?

- Wszystko w porządku, Mashburn, wiesz, że byłem w opałach podczas wyjścia na orbitę?

- Tak, wiemy o tym. Jak się czujesz?

- Dobrze. Miałem trochę koszmarów, ale już jest dobrze, wyrzuciłem to z siebie. Kontynuuję badania. Mogłem bez problemu podjąć trening. Powiedziałbym, że wszystko jest OK.

- W porządku. Co chciałeś nam powiedzieć?

- No cóż, być może komendant coś sobie roi na mój temat, rozumiesz. Od czasu tego WNO wygląda, jakby go coś gnębiło. Dziwnie reaguje, widać po nim zmęczenie. Sprawia wrażenie dość wyczerpanego.

- OK. Myślisz, że za dużo pracuje?

- Tak, może o to chodzi. Tyle że wiesz, ma taki sam program jak inni; Sokstas, ja i Meryl robimy dokładnie tyle samo.

- A więc?

- Jest coś nie w porządku u niego z lekami. Po tej historii z lukiem chciałem zażyć jakiś lekki psychotrop, a tu nic nie było. Zapytałem Ala, czy może zostało coś jeszcze w naszych apteczkach, ale się wkurzył.

- Chcesz powiedzieć, że na pokładzie nie ma już żadnych uspokajaczy?

- Nie wiem, Mashburn, ja w każdym razie nic nie znalazłem.

- Masz jakiś pomysł, gdzie mogły się podziać?

- Żadnego. To już wy musicie sprawdzić.

- OK, Stevens. Przyjąłem.

I wtedy właśnie nasz poczciwy, niezrównany dowódca, Al Ashby, popełnił błąd swojego życia; Mashburn nie zdążył jeszcze skończyć rozmowy, kiedy Ashby się włączył. W com.perso!!! Wrzeszcząc jak wariat, że wszystko to brednie i bezczelne wymysły, że po WNO niczego od niego nie chciałem i że walizeczki i apteczki pierwszej pomocy są należycie przechowywane i zaopatrzone. Że w razie potrzeby je sfilmuje, a wszystko to najlepszy dowód, że z moją równowagą psychiczną jest gorzej niż źle, itd.

Biedny człowiek, biedny człowiek.

To, że na widok mojego uśmiechu chciał mi dać w mordę, aż za dobrze rozumiem. Ale dobry Ashby to Ashby odpowiedzialny. Mój ty zwierzchniku, wspomnisz moje słowa, na Ziemi znajdziesz się wcześniej ode mnie.

Od czasu tego naszego drobnego nieporozumienia Meryl zbliżyła się z komendantem. Próbuje załagodzić sprawę, tak grać, żeby nikt, broń Boże, nie poczuł się ani wykluczony, ani uprzywilejowany.

Za to Sokstas dla równowagi pomaga mi, kiedy tylko może.

Wśród załogi zapanowała pełna posttraumatyczna harmonia.

Jednak ceremoniał pojednawczy między Alem i mną dotąd się nie odbył; lekka skaza na obrazie, nie ukrywa, że ma do mnie żal. A nie powinien, odpląciłem mu tylko pięknym za nadobne.

Tak czy inaczej tylko patrzeć, jak zostanie odwołany, a kiedy ktoś spędził, jak on, dwieście sześćdziesiąt osiem dni w kosmosie, to normalne, że trochę wymięka, zwłaszcza po incydencie, który mógł się bardzo źle skończyć.

Utrata człowieka do zasług nie należy.

Nawet jeśli trudno uznać tego człowieka za wymarzony nabytek.

Od czasu naszej „prywatnej” rozmowy nie miałem żadnych wieści od Mashburna, a inne połączenia głosowe między Ziemią i Ashbym odbywają się w module bazy w godzinach, kiedy nas tam nie ma. Co oni knują? Pakiety informatyczne są coraz szczelniej zaszyfrowane. Nic mi to specjalnie nie mówi.

Wieczorem M., S. i ja nakręciliśmy reklamę dezodorantu Barta. Teraz, kiedy przestało obowiązywać zaciemnienie o osiemnastej, możemy po wspólnym posiłku trochę się

rozerwać. I fakt, że było dość śmiesznie. Ten produkt tak koszmarnie śmierdzi, że wcześniej opróżniliśmy jego zawartość do torby na „odchody do analizy”, żeby móc udawać, że pocieramy nim rękawy. Wyśpiewując głośno w przestworza w rytm niezrównanych wygibasów stanu nieważkości „Barta, sama świeżość, najwierniejszy druh kosmonauty”!

Al relaksował się na osobności. Słowem nie zareagował.

Za dwadzieścia dni przybywa statek z jego zmiennikiem.

Czy będzie żałował?

Na Ziemi dzieją się jakieś straszne rzeczy. Gigantyczny pożar pustoszy lasy pomiędzy Amazonką i Rio Negro. Widać, jak ruchomy pas dokonuje niewyobrażalnych wyłomów pośród zieleni, wszystko okrywa dym gęsty jak całun, który potem podnosi się, płąsa, cofa się, posuwa naprzód, rozpościera we wszystkie strony. Kolumbia i Wenezuela znajdują się w sferze gwałtownych wiatrów. Czy Rio Negro okaże się wystarczająco szeroka, wystarczająco silna i zimna, czy wystarczy w niej wody, by powstrzymać natarcie tego czerwonego wyjącego szaleństwa?

Wątpię, żeby moi współcześni mogli wiele zdziałać w walce z plagami, które sami rozpętują. Człowiek nieustannie wywołuje katastrofy ekologiczne. Wszyscy w nich zdechniemy; to tylko kwestia czasu.

Ale tych osiemnaście ton paliwa raketowego potrzebne do wysłania mnie w przestworza i cała umożliwiająca to zbrodnicza technologia - naziści, Rosjanie, a potem Amerykanie, Europejczycy i ich pierwszorzędne głowice nuklearne - nie rusza mnie bardziej niż fakt, że jestem na orbicie! To jedyne, o czym marzyłem. A to, że palmy od pięćdziesięciu lat nie rosną już w okolicach Kourou - cóż, trudno. Zostały jeszcze na Riwierze. I to, że mongolski wyrostek, który na wyliniałym koniu, tonąc w portkach swojego dziadka, z naręczem ostu w dłoni siedzi wyprostowany, osłupiały ze zdumienia, z rozdziawionymi ustami, wpatrując się w zwęgloną kapsułę kosmonautów z Księżycy, cóż, też trudno. Ja jestem na orbicie. Ludzie są muchami.

Smugi odgazowywania wyglądają estetycznie na pełnym morzu, pochodnie naftowe rozświetlają pustynie cywilizacyjnym światłem, postępuje elektryfikacja, ustępuje ignorancja, głupota staje się coraz bardziej widoczna, ale co mi tam: jestem na orbicie. Na samym szczycie piramidy. Długo na to pracowałem, ale nic nie poradzę na zaślepienie tych, którzy nigdy nie wyjdą - choćby myślą - poza obręb atmosfery ziemskiej. Zresztą nikt niczego ode mnie nie żąda, niczego oprócz tworzenia nowych stopów metali, zajęcia dla ciężkiej metalurgii, dróg do krótkoterminowych zysków, akcji giełdowych rosnących w sposób

szybki, stały i korzystny. Oto kim jestem: obietnicą dla inwestorów. Cała przygoda sprowadza się już tylko do jednego - do cyfr. Gdyby w czarnej otchłani jakiejś nieznannej galaktyki „Voyager” odkrył kosmitów, pierwszym pytaniem byłoby: Jesteście wypłacalni? Jeśli tak, biada wam!

Tak czy inaczej, skoro nawet w czwórkę, ściśnięci w klitce i nie potrzebując żadnej złotej karty Visa z kredytem do trzystu tysięcy dolarów, skaczemy sobie do oczu, więc...

Orbita eremita.

Poszedłem zobaczyć się z Alem w jego kajucie, oglądał akurat zdjęcia swojej żony i dzieciaków, nie chciałem mu przeszkadzać, tylko z nim pogadać.

- Słuchaj, Al, uważam, że jesteś dobrym dowódcą i... porządnym facetem. Były między nami nieporozumienia, ale bardzo cię lubię, eee... szanuję.

- No nie, Stevens, dobrze się czujesz? Piłeś?

- Nie. To znaczy tak. Czy to ważne?

- Hm. Chcesz, żebyśmy się rozstali w przyjaźni, tak? Wolałbyś zostawić po sobie dobre wspomnienie. Żeby wszystkie twoje drobne niedociągnięcia i wszystkie twoje wygłupy wymazało jedno piękne, końcowe wzruszenie. Rozumiem. *The happy end. Exit* stary, tępy Ashby, przywiązany do swojej nędznej hierarchii, won z nim, ale po dobroci, nic to w końcu nie kosztuje. No więc dziękuję ci, Stevens, ale nie potrzebuję twojego szacunku ani twojej pozytywnej oceny ogólnej. Wbrew temu, co myślisz, jestem stosunkowo niezależny od opinii innych, włącznie z opinią moich przełożonych. Rozumiesz? Te słowa napisał cesarz i jeśli miałem kiedykolwiek jakąś biblię, to właśnie tę. Zresztą zostawiam ci ją, masz, nie ugryzie cię. Dobrej nocy, stary.

Nie podziękowałem, bo szczerze mówiąc, opowieści cesarza... lecz mimo wszystko wziąłem od niego książkę.

Sokstas jest zgnębiony, nie daje rady zamknąć swojego programu, a za dziesięć dni wraca. Chciałby jednocześnie zostawić wszędzie porządek, przyjąć nowego dowódcę i nowego eksperta misji, tak jak on i Al zostali przyjęci dwieście siedemdziesiąt dni wcześniej; małe torebki w dużych, moduły idealnie wyczyszczone i dla każdego kącik wypoczynkowy. Ale prysznic przestał działać (do mydlenia i do mycia używamy chusteczek), dwadzieścia minut trwa, zanim się opróżnią rury w pisuarach, a stacja Palladio wciąż nie została gruntownie uprzątnięta, nadal pałęta się po niej glikol. To o wiele za dużo jak na jednego człowieka, pod oczami ma sińce wielkości talerzy, nie znajduje już czasu na ćwiczenia,

odmawia przepisowych pięciu godzin snu, w równym stopniu co na doświadczeniach z krystalizacją zależy mu na u-po-rząd-ko-wa-niu sta-cji.

- To tylko przywrócenie ładu, Jaume, chodzi wyłącznie o przywrócenie ładu. Jadłem tu, spałem, mieszkałem, korzystałem ze wszystkich urządzeń, czerpałem z zapasów, zużywałem energię, produkowałem odpady i tak dalej, i miałbym cały ten bajzel po moich eksperymentach i moje torby ODA zostawić następcom? Powiedz, czy tak byłeś wychowywany? Na kupie gnoju?

Otóż tak, Sokstasie, z kurami. I kury w tym gnoju znajdowały pożywienie i mnie żywiły. Pieprzę to twoje przywracanie ładu. Oddychamy tu również dlatego, że się pocimy i sikamy do właściwej rury, jasne? Wyrzucaj więc te swoje śmieci i upychaj pod dywan skórki od bananów, to bardzo ważne, ale nie narzekaj, że nie dajesz rady zrobić wszystkiego w pojedynkę. Zajmuję się prysznicem, bo to moja praca, ale z dekoracją wewnątrz sam sobie radź; to nie moja działka.

A tu pędzi Meryl, mamrocząc jak wiedźma:

- Gaśnice, szybko, w Spreku się pali!

- Co?

- A alarm?

- Masz alarm; mało nie popękają bębenki w uszach.

- Coś poważnego?

- Ruszcie tyłki, do cholery!

Ale pierwszej gaśnicy nie mogę odzepić, druga sama wpada mi w ręce, Sokstas ruszył po inne do Palladio, pędem lecę tam, gdzie się pali. W Spreku Al jest już przy ogniu, zapalił się nabój z nadchloranem litu, czymś, co ma poprawiać mieszankę powietrza, którą oddychamy w stacji. Z powodzeniem; płomień wzbił się na dwadzieścia centymetrów i dymi jak sto diabłów. Wielkie kawały suchego lodu zajęły się ogniem i fruną w stronę przepierzeń modułu, płonący nabój pod wpływem strumienia wody nie przestaje się kołysać. Jedna gaśnica, dwie, trzy i nic już, cholera, nie widać.

- Wyłączcie alarm!

- Maski, szybko! Maski tlenowe!

Wdech i wydech, wdech i wydech, już lepiej, ale ciągle nic nie widać. Al tonie w kłębach dymu, nie jestem pewny, czy zdoła zlokalizować płomień. Meryl jest po drugiej stronie ognia, który chciała zaatakować od tyłu, pośród tego chaosu Sokstas próbuje jej podać czwartą gaśnicę, ale nic nie widać! Polewam kawałki topiącego się metalu, które oderwały się od osłony naboju i atakują kadłub. Jeśli go przebiją... Mamy przed sobą pięć minut życia, jeśli

go przebijają.

- Sokstas, przygotuj statek!

Nie, Al, to niemożliwe! Al, co ty robisz, nie będziemy się przecież teraz ewakuowali! Dopadam do niego w chmurze dymu czarnego jak w piecu, okropnie gorąco, dwadzieścia centymetrów przed sobą widzę jego oczy wytrzeszczone z wysiłku, nie jest już w stanie zlokalizować ognia, wiedziałem, nie ma pojęcia, gdzie jest ten przeklęty nabój.

- Wycofuj się! - woła do mnie. - Do statku, wszyscy na statek. To rozkaz!

Ale biedna Meryl jest zablokowana po drugiej stronie ognia, nie zdoła się dostać na statek ratowniczy, nie da rady.

- Wykonaj rozkaz, Stevens!

Sokstas odłącza jeden po drugim kable, żeby uwolnić sojuz Spreka, ząbkowanym nożem przecina powłoki i z całych sił ciągnie. Po twarzy spływają mu wielkie krople potu, piekielnie chce mi się pić, Meryl nic nie mówi, tylko słyhać, jak uruchamia rączkę swojej gaśnicy. Wentylatory zostały wyłączone, żeby dym nie przeniknął do innych modułów. Nagle spowija nas przeraźliwa cisza, w której słyhać tylko złowrogi trzask ognia przypominający skwierczenie jajek na patelni. To niemożliwe! Cholera, wszyscy tu zdechniemy z powodu jakiegoś pieprzonego omletu z nadchloranu litu! I raptem widzę to świństwo przede mną, podryguje, sypiąc iskrami, obraca się wściekle wokół własnej osi i podskakuje, podskakuje jak petarda, ale ledwie zdążyło dopaść mojego kombinezonu, znowu je straciłem z oczu. Odnajduję je po omacku w chmurze dymu, moja maska zaczyna wariować, dostarcza mi tylko co drugi haust tlenu, serce łomocze mi w piersi, ale mam to, ściskam, ściskam w rękach, zduszę to pieprzone kurewstwo, nic już nie czuję, myślę tylko o jednym, ono albo ja, ono albo ja, i ukęcę mu łeb.

Gratulacje.

Na udach, brzuchu i przedramionach mam poparzenia drugiego stopnia. Mój kombinezon kosmiczny do niczego się już nie nadaje i zniszczyłem aparat tlenowy, który przestał działać. Al, przeklinając, wywłókł mnie z toksycznych oparów, założył mi na twarz własny aparat i wstrzymując oddech, poleciał do apteczki pierwszej pomocy. Brawo, Stevens, no toś się urządził, a potem odetchnęliśmy.

Wentylator znowu usuwa CO₂, nie wolno mi sprzątać, jestem od stóp do głów nasmarowany i obandażowany, unoszę się spokojnie w czystym powietrzu Palladio, istne wakacje.

Moje pierwsze wakacje na orbicie!

I tylko Sokstas ciągle pucuje i pucuje. Przykro mi, stary, ale jestem na chorobowym. Uśmiecha się.

Stosunki między członkami załogi układają się jak najlepiej.

I wtedy otrzymujemy ten cholerny pieprzony komunikat oficjalny:

Stany Zjednoczone i państwa członkowskie, personel NASA, personel Gwiezdnego Miasteczka oraz najwięksi specjaliści i inżynierowie astronautyki po wnikliwym zbadaniu warunków na stacji Funskey oświadczają, że jej program powinien zostać wstrzymany.

W świetle pogłębionych analiz z ostatnich pięciu lat, jak również z uwagi na silne poruszenie, jakie wzbudziły ostatnie incydenty na stacji Funskey, Stany Zjednoczone i państwa członkowskie uznały za słuszne, rozsądne i właściwe zorganizowanie w jak najszybszym terminie powrotu kosmonautów na Ziemię. W naszym kraju i na naszej ziemi nie ma nic ważniejszego od bezpieczeństwa mężczyzn i kobiet, których wyszkoliliśmy.

Od pięćdziesięciu lat przewyciężamy nieoczekiwane, odkrywamy nieznaną i oceniamy skalę ryzyka. W przeszłości zostały popełnione błędy, doszło do pomyłek, których konsekwencje bywały nieraz dramatyczne. Zbrodnią byłoby dopuścić, by historia się powtórzyła.

Swego czasu nic nie pozwalało nam przewidzieć ani zapobiec katastrofom, dziś dysponujemy bezpieczniejszym sprzętem, większym doświadczeniem, udoskonalonymi procedurami postępowania w sytuacjach kryzysowych i dzięki temu wiemy, że stacja Funskey nie jest już i nigdy nie będzie bezpieczna. Wiemy dlatego, że mówią o tym analizy, wiemy również dlatego, że mówi nam to opinia publiczna; zagrożone życie kosmonautów ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi racjami.

Stany Zjednoczone, podobnie jak wszystkie kraje demokratyczne, nie mogą w żadnym wypadku zlekceważyć swego obowiązku; powstrzymamy Funskey, zanim zacznie zabijać. Mamy po temu środki, mamy po temu wolę, uczynimy to.

Co im strzeliło do głowy? Co to niby ma znaczyć? Jakiś nowy wirus? Czy tam na Ziemi wszystkim im odbiło? Biegają, wznosząc w górę ręce i krzycząc: Olaboga! Olaboga! Stacja zleci nam na głowy, sprowadźcie ją z powrotem, zapanujcie nad nią, zagraża nam, wgapia się w nas żółtymi ślepiami ufoludka, zaraz w nas uderzy, ratunku, ratunku!

Supermanie, zrób coś!

Co znaczy ten obłąd?

Niby od kiedy aż tak się przejmują bezpieczeństwem kosmonautów, żeby wstrzymać program? Od KIEDY? I co tutaj, do cholery, aż tak szwankuje, nic z tego nie rozumiem. Pożar został ugaszony, kadłub jest nietknięty, nie ma żadnego wycieku, rozpiera nas energia, wentylacja działa jak trzeba, poziomy $p\text{CO}_2^3$ są prawidłowe, cholera, wszystkie parametry pokładowe są w normie!!! O co w tym wszystkim chodzi?!

Przekręt. To przekręt, nic innego, jak przekręt. Otóż to, stacja jest nierentowna, koniec końców niewarta zachodu, nie opłaca się, wydatki przerastają zyski, niedobrze, wskaźnik zaufania spada, pudło. Do diabła ze stopami metali w stanie nieważkości, nikt nie będzie budował fabryki na Księżycu. Dobrze o tym wiedzą. Zamiast więc powiedzieć: panowie inwestorzy, przykro nam, rypnęliśmy się, przepraszamy, zamiast wypaść tym samym na ucziwych idiotów, odstawiają ostatni huczny numer reklamowy: wielkie Stany, szlachetne, USA wybawiciel, nie bacząc na własne interesy, spieszy ratować swoich chłopców.

Do kurwy nędzy, niech się wynoszą ci, co chcą, ale nie ja.

JA ZOSTAJĘ.

Orbita satelita.

- To rozkaz, Stevens.

- I co z tego?

- Nie ma żadnych „i co z tego”, to jest rozkaz.

- Chwileczkę, Al, chcesz powiedzieć, że nic z tego nie rozumiejąc, nie mając ani jednego sensownego powodu, żeby się ewakuować, ty...

- Ja wykonuję rozkaz, Stevens. Nie muszę rozumieć, nie potrzebuję jednego czy stu sensownych powodów. Wykonuję rozkaz.

- Kompletnie ci odbiło, Al. Jeśliby ci kazali się powiesić, tobyś się powiesił?

- Myślę, że tak. Są sprawy, które nas przerastają, trzeba się z tym pogodzić.

- Bzdury! O czym ty mówisz? Wiesz przynajmniej, o czym mówisz? Stary, ci goście, którzy każą ci migiem wracać i nie pytać dlaczego, ci goście to zwykli ludzie, tacy jak ty, jak my, jak wszyscy i nawet gdyby proch wymyślili, to co by to zmieniło? Nic! Któryś przecież

³ $p\text{CO}_2$ - ang: *Patrial pressure of carbon dioxide*. Ciśnienie parcjalne dwutlenku węgla.

ten proch wymyślił, prawda?

I co z tego? Nie był żadnym bogiem, o ile mi wiadomo. Ludzie są ludźmi, AI!

Sokstas:

- Znają pewne parametry, do których my nie mamy dostępu.

- No właśnie! A niby jakie, możesz mi powiedzieć? Tylko patrzeć, jak Księżyc na nas spadnie? Wenus eksplodowała i oberwiemy jej wulkanami po naszych uczonych głowach?

Wtedy Meryl puściła farbę:

- Mają dokładny wzór chemiczny składników, które przenikają do ładunku nadchloranu litu.

- Słucham?

- Dobrze słyszałeś. To tajemnica wojskowa.

Ewakuacja przewidziana za trzy dni.

To wszystko nie ma sensu. Jeśli ten sławetny nabój jest aż tak toksyczny, jeśli płonąc, uwolnił coś tak trwale niebezpiecznego, by uczynić stację na długie lata niezdatną do życia, co to zmieni, czy ją opuścimy, czy nie? Przecież już po nas, nie? A więc?

To nielogiczne.

Zostaję.

Ja, Jaime Roig Stevens, odtąd sam sobie panem i żeglarzem, rozpoczynam mój trzeci samotny tydzień na stacji Funskey.

Ciśnienie wynosi 780, ani śladu dwutlenku węgla, SEP⁴ wynosi 25,8, tlen 162, ale teraz raporty już niczemu nie służą. Dziennik pokładowy zostanie tutaj; Ziemia wstrzymała wszelką łączność. Dopuszciliem się zdrady stanu. Koniec mojej historii w FBI!

Meryl i Sokstas zachowali się ładnie podczas ewakuacji, on ze zwykłego wyrachowania, ona... ona, śmiem przypuszczać, ponieważ mnie rozumiała i choć trochę podzielała moje... uczucia. Natomiast Al, zresztą tak jak się spodziewałem, postąpił wrednie, musiałem uciec się do przemocy. Częściowo z tego właśnie powodu zostałem wyjęty spod prawa.

Ziemia, najpierw postraszywszy mnie wszystkim najgorszym, włącznie z posłaniem mi pocisku nuklearnego, w końcu postanowiła zamilknąć. Definitywnie. A zatem wojna oblężnicza. W końcu i tak przegram, bo zależę od nich żywnościowo. Ale na razie bronię się: dzięki panelom słonecznym stacja jest samowystarczalna energetycznie, tlen jest wytwarzany na miejscu z moich wydzielin płynnych (uryna i pot), a wahadłowiec Progress, który niedawno rozładowaliśmy, dostarczył dwie tony wody i wszelkiej żywności. Mam na czym przeżyć około roku, nie oszczędzając na niczym, w każdym razie nie na jedzeniu.

Innym dla mnie rozwiązaniem byłoby niezwykle dyskretnie wylądować na Ziemi. W sercu Mongolii czy Syberii Wschodniej i zwiąć, zanim mnie namierzą. Jest to możliwe. Niezbyt praktyczne, lecz możliwe.

Może być też i tak, że wyląduję na środku Atlantyku i na tratwie ratunkowej, z żadnym zemsty helikopterem nad głową, wyzionę ducha z pragnienia.

Mimo tych perspektyw mam przeczucie, że podjąłem jedyną możliwą, czyli najlepszą decyzję.

Zrobiłbym to jeszcze raz.

8. tydzień.

Kontynuuję moje doświadczenia. Posiadanie zajęcia jest absolutną koniecznością. Podwoiłem ilość czasu przeznaczoną na ćwiczenia. Dbam, jak potrafię, o sprzęt, w tym dwa kombinezony do WNO w moim rozmiarze, nigdy nie wiadomo, i w końcu usunąłem szkody spowodowane pożarem, Sprek wygląda jak nowy, *idem* Palladio; ani jednej kałuży

⁴ SEP - ang. *somatosensory evoked potential*. Somatosensoryczny (korowy) potencjał wywołany.

glikolu. Mam wrażenie, że stacja jeszcze nigdy nie była tak piękna.

Wieczorem funduję sobie chwilę wytchnieniu; koledzy, nie wiedząc o tym, zostawili mi spory zapas alkoholu w skrzynce z napisem:



Musiała tu być od początku, sprawka któregoś z rosyjskich monterów, jak przypuszczam, bo to wódka, znakomita Zworkaja.

Pozwalam sobie też na dłuższy sen.

Oficjalnie Ziemia nie dopuszcza żadnych wiadomości na stację, ale poprzez satelitę Spirit odbieram stacje radiowe i telewizyjne, a przez moje amatorskie radio mogę pisemnie dialogować. Nad Dryden, nad Wallops, nad Przylądkiem Kennedyego, oczywiście i nad Lenińskiem, mam znakomite punkty nadawcze. Trochę mi brak rozmówców, jako że ucinanie pogawędki z wrogiem numer jeden jest oficjalnie zakazane, ale mimo wszystko znajduję. Na przykład Meryl. Pilnują jej, ale przemycą mi krótkie wiadomości. Nigdy nie mówi o mojej decyzji, przypuszczam, że z uwagi na jej nieodwracalność uważa to za stratę czasu. Również mnie nie dołuje, wie, że jestem tu na górze sam i ogólnie rozumie, co to oznacza. Przesyła mi sprawozdania z badań i drobne wiadomości z życia rodzinnego. To tak jak prawdziwa korespondencja, coś miłego, coś wzruszającego. Dla mnie to ogromnie cenne. Aż za bardzo? Prawdą jest, że brakuje mi Meryl. Cudownie by nam było we dwoje i w samotności. Na naszej wyspie.

Niesamowite, ile potrafią zdziałać dystans i osamotnienie. Czuję się innym człowiekiem. Mężczyzną praktycznie udomowionym, z głupimi marzeniami o ziemskiej kuchni i szampanie przy świecach.

Tęsknię za nią.

Przypuszczam, że częściowym powodem tych tęsknot jest niedostatek kontaktów towarzyskich. Powinienem wziąć się w garść. Jak mówili odkrywcy bieguna: „naciągnąć nauszniki i zdążyć dalej na północ”. Odwagi, Stevens, wytrwałości, jesteś tu, gdzie zawsze chciałeś być. Korzystaj.

A jednak stacja od wyjazdu załogi powiększyła się, i to aż trzykrotnie. Z kolei bulaje zmalały. Zmienia mi się percepcja. Czas, którego rytm staram się zachować, ni stąd, ni zowąd przyspiesza lub zwalnia. Ewidentnie przeżywam coś, czego nikt dotąd nie przeżył. Może jeden Gagarin, ale tylko w tym krótkim przedziale stu ośmiu minut. Jestem tu sam już od osiemnastu tygodni. Nie ma końca odkryciom. Przeobrażam się. Poświęcam ile trzeba, a nawet więcej czasu na trening fizyczny, przeobrażam się, ale nie chcę się przeobrażać. Za każdym razem, przypasując się do biegania, wracam do pozycji stojącej z uczuciem osobliwego oczarowania i zaskoczenia; ach tak, więc tak to wygląda, na nowo odkryta oczywistość. Nadal, na pamiątkę mojego ziemskiego sposobu przemieszczania się, bardzo dbam o nogi. Jestem człowiekiem. Ale wciąż ta sama przyjemność z latania, unoszenia się w powietrzu, teraz niebiorąca się już z odkrycia lub kontrastu, ale z harmonii. Stacja jest gwiazdą, kosmicznym ptakiem, ale ja wewnątrz niej raczej rybą. Wyobrażam sobie, że moje akwarium uciekło w przestworza, ja zaś poruszam się w bąbelkach wody krótkimi uderzeniami ogona i płetwy grzbietowej, identycznie jak w moim środowisku naturalnym, ale co rusz nakłuwając drgającymi skrzelaми pęcherzyki tlenu. Moje środowisko pływa, ale ja pływam nie tyle w nim, ile razem z nim.

Bulaje wyglądają jak lasy pośród materii i pustki na zewnątrz. Stacja obraca się, nieprzerwanie torując sobie drogę przez słupy światła, gwiazd i czerni. Jestem tym, który wygląda przez otwory.

Powinienem wyjść i sprawdzić.

Sprawdziłem, to znaczy wykonałem Wolne Wyjście na Orbitę bez konkretnego zadania, żadnych napraw, zero interwencji, po prostu założyłem stukilogramowy kombinezon z orlanu, moje stopy pływały w butach, głowa objęła się o hełm i nie słyszałem żadnego dźwięku z zewnątrz, tylko odgłosy własnego ciała, pompę serca, miech płuc, pulsowanie żył i ten lekki, lecz bardzo wyraźny szmer, jaki wydają pocierające o siebie mięśnie. Wolne wyjście; czułem się, jakbym leżał na trawie i patrzył w chmury, i nie robiłem nic, tylko patrzyłem na Ziemię pod moim brzuchem, która obracała się wokół własnej osi niczym wielkie zwierzę uwięzione w masie swego korpusu, nieprawdopodobnie ciężką, zwartą, wpisaną w swój jedyny ruch. Z prędkością absolutną, czyli zerową, ujrzałem prawdziwą tektonikę.

21. tydzień

Coś dziwnego dzieje się z pleurodelami. To salamandry, które zostawiła mi Meryl

(niby zapomniano je zabrać podczas ewakuacji), żebym kontynuował jej doświadczenia. Pierwsze cykle składania jaj odbyły się normalnie, podziały komórek przebiegały tak samo jak na Ziemi i nic w ich rozwoju nie wyglądało na godne szczególnej uwagi. Od kilku tygodni w tym procesie zaczynają zachodzić zmiany. Trzecia generacja „naturalna” wyprawia ekscesy; podziały komórkowe w czwartej fazie całkowicie ustały. Pojęcia nie mam, co to może znaczyć. A przecież utrzymuję w pojemnikach należytą temperaturę i poziom wilgotności. Trochę im teraz ciasno, ale wypuszczam je codziennie na godzinę uwiązane za łąpkę, żeby nie zapodziały się za którąś tarczą. Nigdy nie wiadomo.

Nad Wallops przekazałem Meryl moje spostrzeżenia. Mam nadzieję, że niezwłocznie do niej trafią. Chciałbym jak najszybciej dowiedzieć się, co o tym myśli.

22. tydzień

Wciąż brak odpowiedzi. Byłem cierpliwy i zmusiłem się, żeby nie wypatrywać codziennie sygnału od Meryl z Ziemi i odpowiedzi na moje genetyczne wątpliwości. Co się dzieje? Nakryli ją i zakazali kontaktu?

Nie wiem, co myśleć o tym milczeniu.

23. tydzień

To straszne. Na południe od Nowego Jorku pojawiła się ogromna chmura. Widziałem, jak powoli wzbija się znad obszarów stanu niczym kropla mleka w ciemnej herbacie i jak ogromnieje. Wojna atomowa? Gdzie w takim razie nastąpi riposta? W Iraku? W Korei, w Chinach? Nie mogę wszystkiego jednocześnie zrozumieć, do cholery, potrzebuję informacji! Za długo bujałem samotnie w przestworzach, kompletnie nie wiem, co tam na dole kombinują, to moja Ziemia, na Boga, muszę jakoś zareagować, wciąż jeszcze do niej należę.

BBC i CNN są zgodne: to nie zamach, tylko wypadek. W elektrowni jądrowej w Indian Point doszło do wybuchu. W promieniu dziesięciu mil tysiące zabitych, cała rzeka Hudson skażona radioaktywnie, w Nowym Jorku panika, w drugim reaktorze pojawiły się pęknięcia. Jeśli nie nastąpi jak najszybciej interwencja - tylko jaka? - będzie drugi wybuch. Amerykański Czarnobyl. Katastrofa. Zaniedbanie. Niedopuszczalne. Mówi do nas prezydent.

Nie widzę mrówek uwijających się wokół otworu w mrowisku, ale je słyszę. Ich strach jest chaotyczny i totalny. Ludzie wrzeszczą, płaczą i rwą sobie włosy z głów. Już teraz garściami.

Wszystkie niemowlęta urodzą się, jeśli w ogóle, w postaci karaluchów. Scenariusz znamy.

Stąd wygląda to śmiesznie i niesmacznie. Dobrze zrobiłem, zostając, nawet jeśli przyjdzie mi w tej mojej cukiernicy skonać z głodu albo się udusić. Ludzie na Ziemi budzą we mnie odrazę. To, co się tam wyprawia, budzi we mnie odrazę. Wszystkie te idiotyczne śmierci, te bezużyteczne i idiotyczne życia, te niedorzeczne elektrownie, ta energia za bezcen, głupota, gry wideo, jazda do Montany, żeby się spotkać z twoją matką, która i tak uważa mnie za zbrodnicę i nie znosi mojej wody toaletowej. Miliardy lat pracy i dojrzewania na jeden nieudany weekend nad Zatoką Hudsona i nikogo, kto potrafiłby jeszcze przemieszczać się na własnych nogach. Ta część świata, Zachód, budzi we mnie niesmak. A z nim cała reszta, która tylko marzy, żeby się do niego upodobnić.

Nie uważam się za Bóg wie kogo, ani lepszego, ani mądrzejszego, ani ładniejszego, jestem po prostu bardzo, ale to bardzo daleko. Poza zasięgiem atmosfery ziemskiej, nie oddycham tym samym powietrzem, nie nachodzą mnie więc te same myśli ani strachy. Czuję się obwarowany jak obóz warowny, ale też równie odcięty od świata.

Przy całej nienaturalności mojego tutejszego życia, tego syntetycznego powietrza, tego odtworzonego ciśnienia, cienkiej, technicznej skorupy, od której zależy mój metabolizm, tego odosobnienia, całego towarzyszącego mu ryzyka, ogromnych ograniczeń, całej jego sztuczności - czuję się o wiele bardziej wolny niż na Ziemi.

Jeśli otworzę iluminator, mam dwadzieścia pięć minut, żeby zaczerpnąć ostatni haust powietrza i starannie je wypuścić.

Grzyb posuwający się w stronę Kanady, rzeka, która wyrzuca rące trujących oparów, tysiące kamer filmujących masową śmierć to spektakl. Jeden z gwoździ spektaklu, jeden z niezliczonych gwoździ, które w końcu pokryją afiszami całą scenę. To także jedna z tych dziur, przez które świat wycieknie jak strumień brudnej wody przez nagle otworzoną śluzę odpływu. Chlup i po wszystkim.

26. tydzień

Boję się, że jestem aż do tego stopnia wyobcowany. Próbuję reagować, interesować się. Widzę, jak dzieją się różne rzeczy, to nie bezpośrednia transmisja ani czas rzeczywisty, widzę, jak wypadki te zachodzą tu, pod moim nosem, muszę odkryć sens, ich rzeczywistą wagę, inaczej po mnie. Jestem stracony. Dla ludzkości. To za daleko, dla mojego umysłu za daleko. Informacje docierają złagodzone, nie rozumiem, ale przypominam sobie, wiem, że powinienem zareagować inaczej. Gdybym był na Ziemi. Powinienem się włączyć. Serce drugiego reaktora eksplodowało.

Może pora, żeby wrócił. Może to dokładnie ten moment, żeby wrócić.

27. tydzień

Spaliłem pół tony paliwa raketowego w sojusie, żeby ustawić stację z powrotem w poziomie. Jej pozycja się zmieniła, zaczynała się bezładnie obracać dookoła, tarcze, przez osiemdziesiąt procent czasu pozostające w cieniu, stały się bezużyteczne. Ja, który rozważałem zejście na ziemię, z powrotem się wspiałem na górę. Muszę to jeszcze przemyśleć.

Wciąż żadnego znaku od Meryl.

Zostałem zapomniany. Jestem uciekinierem.

28. tydzień

To mój ostatni papieros skazańca. Kolejny urwany kontakt. Ale został mi jeszcze aloxe corton z dziewięćdziesiątego drugiego (T. i G. Pinte, 11, rue du Jarron, 21420 Savigny-les-Beaume).

Odpuściłem. Chmura się rozproszyła, zapanował spokój.

Wszyscy gadają jak najęci. Wkrótce pierwsza rocznica katastrofy, słycać pytania, co wybudować na miejscu Indian Point i czy w ogóle. Wytypowano winnych, zostaną osądzeni, ale jeszcze nie teraz; niechaj wyrok będzie sprawiedliwy. Liczne śledztwa wobec tego zamknięto, teraz należy zebrać ludzi z grupy ryzyka i ich wysłuchać. Rzekę Hudson otaczają zwarte formacje lekarzy, onkologów i psychiatrów; należy ich wysłuchać! Słowa. Słowa, słowa.

Kiedy wyłączam dźwięk, zapada głucha cisza. Ściany wewnętrzne są pokryte pelą, wygodnie mi tu. Jak w innym wymiarze. Czego by trzeba, żeby mnie stąd ruszyć?

30. tydzień

Sytuacja wygląda coraz gorzej. Nad Ameryką nie unosi się już dym ani grzyb, za to w Azji Wschodniej wybucha od groma pożarów. Maźnięcia barwy bieli i ochry przebijają spod chmur w okolicach Bangkoku, Kuala Lumpur i Dżakarty. Na morzu też poruszenie. Przez szesnaście obrotów tkwię przy iluminatorze, przez który widać Ziemię; Hongkong i Tokio są usiane plamkami, Honolulu zniknęło za zasłoną dymu, północny Pacyfik i północny Atlantyk są pokreślone czarnymi, spienionymi smugami.

Podczas trzynastego obrotu widać już, że zaatakowana została Brazylia, Kuba dymi w trzech położonych niedaleko siebie punktach, Kolumbia, Ekwador, Peru, cały kontynent jest pocętkowany. Nie odbieram już kompletnie niczego. Moje amatorskie radio milczy jak grób. Normalnie nadaję, ale odpowiadają mi jedynie trzaski. Wysyłam różne SOS, *Mayday*, trzy

krótkie, trzy długie sygnały we wszystkich możliwych kierunkach, na wszystkich częstotliwościach, posługując się dziesiątkami znanych mi kodów. Nie ma radia, nie ma telewizji, nie dociera już do mnie żaden ludzki głos, żadna wiadomość przez Internet, żaden choćby pomruk, choćby krzyk. Nie wiem, co robić. Nie mogą mnie przecież tak zostawić.

Muszę się uspokoić. Na pewno mają mnóstwo roboty. To raczej ja wariuję. Po co wysyłać sygnały SOS i wołania o pomoc, skoro wszystko gra, skoro wydarzenia na Ziemi są...

Są czym?

Zaprogramowałem komputer pokładowy na wysyłanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w odstępach pięciominutowych pakietów do sześciu najpewniejszych punktów odbiorczych. Napisałem osobiście do Meryl, błagając, żeby mi odpowiedziała nawet byle co, niech mnie dobije, jeśli chce, niech mnie zmiesza z błotem, ale niech mi odpowie.

Nic. Nic. Nic.

31. tydzień

Nic.

Ale wszystko wygląda spokojniej. Nie wiem czemu, ale odnoszę wrażenie, jakby na Ziemi zapanował wielki spokój, jakby tam na dole zrobiło się mniej hałaśliwie. W nocy miasta są nadal oświetlone, ale pogodnie. Nie widać już żadnego zamętu. Czy w ogóle był jakiś zamęt? Nie dam głowy.

Myślę, że zaczyna mi już kompletnie odbijać.

Musiałem się pomylić przy programowaniu pakietów internetowych.

To jedyne wyjaśnienie.

Podjęmuję trening, koniecznie potrzebuję swojej zwykłej dawki, powinienem unikać, na ile się tylko da, zachowań patogennych.

Wyrzucić wszystko z głowy, odprężyć się, zwrócić ku gwiazdom, nie tykać więcej alkoholu.

Zanurzyć się w mgławicach.

Ciągle chce mi się pić, po dwóch godzinach snu budzę się z krzykiem. Jeszcze nigdy nie czułem się do tego stopnia osamotniony, nie rozumiem dlaczego. To przecucie podstępne, lecz uporczywe. Za dużo samotności. Gdybym tylko wiedział. Żeby się to już skończyło.

32. tydzień

Trzy dni bez koszmarów. Chyba wracam do równowagi. Znakomicie jem i trawię. Gardło przestał mi już ścisnąć strach. Ponownie robię testy z IBMP⁵. Moje władze umysłowe są nienaruszone, uzyskuję dobre wyniki. Wiedza, pamięć, logika działają prawidłowo. Niestety, nie mogłem odpowiedzieć na pytania o stosunki w załodze, bo to ja jestem załogą, i chyba w tym cały problem.

Myślę, że powodem jest moja reakcja - gniew i poczucie nierzeczywistości - na awarię w Indian Point. Czuję się odcięty od świata i trzymany na uboczu, bez żadnej możliwości uczestnictwa. Prawie się chełpiłem, że oglądam to z tak daleka, lecz z pewnością była to forma ucieczki.

Musiało mnie dopaść poczucie winy.

Oto wyjaśnienie.

33. tydzień

Ziemia wygląda coraz piękniej. Na dole poczynili wyraźne postępy. Musiało zostać zawarte jakieś rewolucyjne porozumienie; wielkie aglomeracje miejskie nie toną już w takich chmurach spalin. Przy dobrej pogodzie prawie wyraźnie widzę Moskwę, Sztambuł, Dżakartę, powoli wyłaniają się Paryż i Tianjin. Nawet Tokio, nawet Bombaj zredukowały swój kłosz ciepła i dwutlenku węgla. Tak trzymać. Zrobiło mi się lżej. Jakby zdjęto ze mnie wielki ciężar; ten widok, oglądanie tych nieoczekiwanych ewolucji sprawia mi niesamowitą przyjemność. Odnoszę nawet wrażenie, że moja własna mieszanka gazowa stała się czystsza, że oddycham łatwiej, swobodniej, jakbym wdychał zapach sosen lub jasnego poranka na górskim pastwisku. Wiem, że to irracjonalne, ale mówię sobie, że skoro zrozumieli konieczność pilnego działania, to może też zrozumieją moją decyzję. Jedno z drugim nie ma żadnego związku. A jednak to właśnie przychodzi mi do głowy.

33.1

Powracają wątpliwości. Uznałem, że na świecie zapanował spokój, i popełniłem ten błąd, że znów spróbowałem nawiązać łączność. Żadnej odpowiedzi.

33.2

Nie chcę dłużej trwać w tej niepewności i ciszy. Chcę odpowiedzi, obojętnie jakiej

⁵ IBMP - (ros.) *Institut Mediko-Biologiczeskich Problem RAN*- Instytut Problemów Biomedycznych Rosyjskiej Akademii Nauk w Moskwie.

odpowiedzi. Jeśli będzie trzeba, sam jej poszukam.

33.3

Fatalna noc, ale podjąłem decyzję.

34. tydzień

Wielka huśtawka.

... Pleurodele przywiązane za łapki chodzą za mną krok w krok. Nie mogę się ich doliczyć, jedna musiała się gdzieś wymknąć. Trudno, nie mam czasu ani ochoty, żeby jej szukać. Jak wyschnie, to się pokaże.

Potrzebuję całego światła, całych zapasów światła.

35. tydzień

Widziałem Eta Carinae⁶, umierała, nadymając policzki.

Wybuchy, przepastny marmur Drogi Mlecznej.

Kochanek białych w mgle zachwyceń

Zgrajo topielców niekochana

Ciągnij za nią ku mgławicom⁷.

Przygotowuję się do WNO.

Ostatniego?

35.2

Ostry trening, tak jak za dawnych dobrych czasów. Powiedzmy, cztery lata świetlne temu. W taki sposób odmierzam przebytą drogę.

Moje ciało ma się dobrze, trzyma się. Wiele się spodziewam i wiem, że nie będę rozczarowany, wiele się spodziewam po tym wyjściu.

35.3

Pot i powtórka. Czuję się jak na początku żałoby, skoncentrowany, trzeźwy.

⁶ Eta Carinae - zmienna gwiazda w gwiazdozbiornie Kila; okresowo jedna z najjaśniejszych gwiazd na niebie; odległa od Układu Słonecznego o ok. 6500 lat świetlnych.

⁷ Fragment wiersza Guillaume'a Apollinaire'a pt. *La chanson du mal-aimé* ze zbioru *Alcools*. Wydanie polskie: Poezje, przekł. Adam Ważyk, Kraków: Eventus, 2000.

Całkowicie *under control*. Wszystko idzie dobrze, wszystko idzie dramatycznie dobrze. Wiem, że to już ostatnie.

35.6

Kombinezon sprawdzony (po trzykroć siedem razy, na pamiątkę Meryl).

Za cztery dni moje pożegnalne WNO. Trzymam się tego.

37. tydzień

Uf! Wróciłem. Jestem żywy, wykończony i już teraz bezbrzeżnie smutny.

Wódka, kawior i wszystko, co dobrego zostało, to dla mnie żadne rozwiązanie. Jutro zacznę sprzątać.

Spodoba ci się to, Sokstasie. Jeśli się kiedykolwiek dowiesz.

37.7

Odłączyłem już wszystko, co mogłem odłączyć. Jeszcze tylko blok podstawowy dniem i nocą działa na ful. Karmię się również wysiłkiem fizycznym i mrzonkami. Wchłaniam sól. Przygotowuję się. To tak jak trening na opak. Równie wytężony.

37.8

Jeszcze tylko jeden kabel trzyma sojuz Spreka, luk działa, sprawdzałem. Poziom paliwa właściwy, muszę zmienić kilka obliczeń mojej trasy; stacja wyraźnie zeszła niżej.

38. tydzień

Serce, nerki, wątroba, mózg; wszystkie parametry pokładowe w normie. Zaczęło się odliczanie.

38.2

Ostatnie próby. Żadnej odpowiedzi. Nie mogę, nie wolno mi sobie nic wyobrażać.

38.3

Czy mam zabrać pleurodele? Tak, będzie to prezent dla Meryl.

Jaką część duszy, jaką część własnej duszy zamierzam tu zostawić? Czy będzie potrafiła zza plazmy z powrotem do mnie dołączyć, czy jest ogniotrwała?

Tyle pytań. Pytań ile gwiazd na niebie.

38.5

Kabel odłączony, luk zamknięty, kombinezon kosmiczny OK, pasy, hełm, rękawice.

Teraz.

Czerwony przycisk.

Widziałem Eta Carinae pęczniejącą... W kierunku... mgławicy. Inni...

Szukam ich.

Widzę morze. Migocze za wielką wnęką okienną Bloku Recepcji i Readaptacji na Cocoa Beach, światło omiata odkryte przez odpływ wałeczki pasku, na których piętrzą się ciemne nieruchome sterty wodorostów. Mewy ścigają się z krzykiem, jest ładnie i plażę jak zwykle przeczesują w regularnych odstępach walce piany. Z jedną tylko różnicą; nie ma surferów i nikt nie uzupełnił zapasów kawy. Nikt się nie zjawił, żeby mnie wyciągnąć z kapsuły po ostrym wstrząsie lądowania. Które dobrze wymierzyłem: na mokradłach St. Johns, jakieś dziesięć mil od przylądka Canaveral i BRR, w którym niańczą kosmonautów po powrocie. Pudło osiadło z głośnym trzaskiem, zamortyzowanym przez bagniste podłoże, przez luk ujrzałem płataninę połamanych drzew i trzciny, snopy błota, które obryzgały grubą pień, aż po gałęzie na szczycie, cienką czarną strużkę biegnącą po jego korze między kępami pozółkłej rdestnicy, wyżłobioną niczym krater pod moim ciężarem; niemal pustą, bo jej czarna czasza szybko wyparowała, gęstwinę traw, zniszczoną od uderzenia, pogniecione, szerniałe łodygi. Byłem na miejscu. Z wielkim trudem uniosłem właz. W moje nozdrza uderzyła z całą mocą roślinna woń mokradeł. Lekkość wdychanego powietrza, połączenie świeżości z nutą rozkładu, to wrażenie znalezienia się w sferze żywego, pełnego maleńkich żyjątek powietrza momentalnie wymiotło z wnętrza kabiny cały zaduch.

Odpoczywam.

Zachowuję się jak karaluch na ścianie. Albo bańka, cienkie chwytno odnóża w dwutlenku węgla, kręcąc się wokół własnej osi, najłżejsze tchnienie wprawia mnie w ruch. Jestem giętki i krzepki, duża biała ryba z otwartym pyszczkiem. Sięgam pamięcią dziesięć sekund wstecz i zaczynam od nowa.

Jeszcze nigdy nie przeżyłem miodowego miesiąca z przestrzenią.

Ze stacją tak, ale nie z przestrzenią.

Z ludźmi tak. Pocałowałbym Meryl, ma ładne usta, jej piersi bez usztywnień swobodnie falują, nieco za wysoko, odgaduje się ich jasne sutki, ich specyficzne ciepło, oceniam rozmiar miseczek. Tak, tak, tak, tak. Uśmiecha się: OK, nie słuchasz, złośliwy błysk w jej oczach i odlatuje. *Bye-bye*, dwa palce, całusa? Nie, potem, być może. Nie psujemy zabawy osobistymi układami. Nie ma nic bardziej intymnego niż komora dekompresyjna na chwilę przed skokiem w szerokie przestworza. Jesteśmy sami, w kapsule zaczyna tworzyć się próżnia, spokojni jak dwie bestie w swych zimowych futrach. Wiem, że na zewnątrz będzie między -126 i +328 stopni, totalnie martwy sezon, kciuk w górę i jazda.

Wypełzłem ze środka jak sflaczała rękawica wyciągnięta za firmowe metki, z

mięśniami zdrewniałymi od zwykłego wysiłku podźwignięcia się. Padłem jak bezładna masa obok spopielonego sojuza, bez słowa, bez specjalnego siedziska, tylko goła i zwarta ziemia w zaciśniętej pięści grawitacji. I w tym momencie straciłem wątek. Obudziła mnie w środku nocy wilgoć, ogłuszające rechotanie gigantycznych żab i ryki, trzaski łamanych gałązek, stąpanie jakichś zwierząt (są tu też aligatory) i szelest skrzydeł sów, po którym następował atak na ziemi i klekot dziobów. Próbowałem zrobić namiot ze spadochronu, ale w końcu udało mi się tylko w niego zawinąć i dzięki temu lepiej spałem. Ciemny poranek, uczucie, jakbym był opadłym sufletem, dwukolorowy dzięcioł obrabiający kawałek drewna, nogi jak z waty i bez czucia, w głowie rozedrgana galareta, czołgałem się i czołgałem bez końca. Chciało mi się jeść i pić, a tu żadnych widoków na aperitif, niezdolny żuć i przeliżyć, rację rezerwową gdzieś zapodziałem, miałem w głowie tylko jedno: mój dziennik pokładowy, czerwony; posuwać się do przodu i to bolesne zdziwienie; dlaczego pozwalają mi zdechnąć. Na mokradłach St. Johns, cholerne świństwo.

South Patrick Shores, długie kilometry sfałdowanej plaży, tysiące rojących się wszędzie białych krabów, pomyślałem, że piękny zostanie ze mnie szkielet, do kości oczyszczony szczypcami pustyni pomiędzy zatoką i oceanem, na maleńkim przylądku Florydy. Przez długie godziny zabójczego słońca, ledwie zipiąc, na kolanach i na rękach wlokłem swój wrak wyrzutka kosmosu, odganiałem fruujące mi nad głową na wpeł przezroczyste żyjątko, kłamię i złorzeczyłem kolegom, zwierchnikom, wszystkim nieobecny, pieprzonym popaprańcom z kosmodromów na całej ziemi. Na łokciach, ze skórą spaloną odbitymi promieniami słońca, z ustami wypełnionymi watą, z szumem w uszach i tak bez końca, ale wreszcie któregoś dnia ze zwykłym odgłosem miechu otworzyła się przede mną brama Bloku Recepcji i Readaptacji i rozpoznałem wykładzinę. Cewnik w żyłę lewego ramienia, na którym była tylko jedna, coś słodkiego i...

W ciągu następnych dni nadal słabo rozróżniałem szczegóły otoczenia. Wiem, że wcześniej czy później będę zmuszony wrócić do rzeczywistości, jeśli nie chcę sfiksować. Nie wiadomo na co liczę, poza tym, żeby nie umierać tutaj. Okresami odzyskiwałem wszystkie zmysły, udawało mi się je zgrać, dźwięk bardziej się kojarzył z pewnymi ruchami, ręce nie poruszały się już samorzutnie i wyobrażałem sobie, że nabieram nieco konsystencji, nieco masy, że mimo stałego ciśnienia przez jakiś mały, ukryty zawór zostaje we mnie wpompowane nieco powietrza.

Kiedy potrafiłem już rozpoznać przyciski pilota obok łóżka, na którym udało mi się wylądować, uniosłem plecy. I poczyniłem pierwsze plany.

Wszyscy kosmonauci z przylądka Canaveral znali Blok Recepcji i Readaptacji; jego

funkcja, jego położenie, jego układ architektoniczny są podczas przygotowań do lotu przedmiotem licznych zajęć teoretycznych. Odwiedza się go i ćwiczy w nim szybką symulację średnio jakieś trzy, cztery razy do roku. „Jako że dla kosmonauty ważne jest, aby wiedzieć, jak będzie wyglądało miejsce i przebiegał proces aklimatyzacji po skończonej misji, lekarze z rosyjskiego IBMP we współpracy z kanadyjskim Ośrodkiem Badań nad Okresem Readaptacji po Powrocie z Orbity zorganizowali krótkie szkolenia w celu...” nie wiem co dalej. Ale wiem teraz i wiedziałem już wtedy, kiedy piasek ranił mi ręce, że znajdę sposób na przeżycie.

Sporządziłem mapę schowków.

Mój trening przed lotem był o wiele za szybki. Skuteczny, to fakt, i zdołałem się po nim pozbierać, ale jak okropnie szybki! Przyspieszony. Przedpołudnia na basenie, żeby się nauczyć obsługi skafandra, potem szybki sandwich z rostbefem i paczką Fritos, a potem wykłady lub niekończące się seanse w barokamerze⁸. Wiezorami powtórka. W ostatnim tygodniu pięć godzin „hydrolabu” rano, a następnego dnia pięć godzin „hypobaru”. I codziennie godzina w komorze tlenowej, żeby uniknąć choroby dekompresyjnej. Akurat, tak jakby nie dostała mi się do mózgu mała bańka O₂, skutkiem czego wieczorem 11 listopada, w rocznicę zakończenia pierwszej wojny światowej, zataczałem się jak pijany i przez trzy godziny wygadywałem różne idiotyzmy. Nawet Mashburnowi było głupio, ciągle powtarzałem, ależ droga pani, nie zostaliśmy sobie przedstawieni i różne inne brednie, na przykład: pieprzony diabelski pomioście, czego się za mną wszędzie włączysz, nie ruszaj moich butów, moje buty są jedyne i niepowtarzalne, itp. W końcu jak jakiś poczciwy chirurg lotów kosmicznych, którym też i był, zdołał mnie spokojnie i bez nerwów rozebrać i położyć do łóżka. I nic z tego „drobnego neurologicznego incydentu” nie przedostało się na zewnątrz. Oficjalnie było to: lekkie przemęczenie, etap nieco zbyt gwałtownej dekompresji. Parametry prawie normalne, że tak powiem. Z błogosławieństwem głównego szefa oraz moim własnym, bo zależało mi na tej misji, bo pragnąłem jej nade wszystko.

Mapa pokoi. Nie ma już kawy w...

Uchodziłem za najbardziej odjechanego spośród rezerwowych astronautów, tęgo piłem, byłem pyskaty i tańczyłem źle, za to na całego. Na całego.

⁸ Komora niskich ciśnień, barokamera - hermetyczne urządzenie z układem pomp umożliwiających znaczne zmniejszenie w nim ciśnienia atmosferycznego. W astronautyce i medycynie kosmicznej służy do badania wpływu niskiego ciśnienia atmosferycznego i zmian ciśnienia na organizm ludzki oraz do badania właściwości umieszczonej w warunkach niskich ciśnień aparatury kosmicznej.

To niełatwe. Mam przebłąski pamięci. Ziemia jest zamknięta w atmosferze jak w powoli rozkładającym się kokonie. Ziemia chce wydobyć się z jajka, uderza w skorupę, w której tkwi, i skorupa pęka, rzeczywiście pokrywa się rysami, jej ozonowa okrywa pęka i przepuszcza coraz więcej próżni i ciężkich metali, jeszcze do tego dojdziemy.

W kuchni znajduje się długi aluminiowy zlew z dwoma komorami, blat roboczy z białego fajansu, drewniana wyspa z taboretami. Szafy ściennie i dystrybutor, dwie zamrażarki z przegrodami pełnymi żywności. Często przesiaduję w kuchni. I na basenie, bo woda łagodzi moje bóle pleców i odnajduję w niej dogodne ciśnienie.

Tak, dokonuje się metamorfoza, poczwarka osiągnęła pełnię formy, rozrywa, rozsadza to, co ją osłaniało i karmiło, żyjątko chce rosnać, uderza, pragnie się uwolnić, wyprostować łapy, nastawić czułki, rozwinąć błony, pragnienia, rozwinąć swoje dawne błony płodowe, zaistnieć, ewoluować i urodzić się, i nareszcie się urodzić: stawić czoło pustce.

Wtedy powie, niech mikrobom i pasożytom, które wspomagały ją w tym dziele, będą dzięki.

Jak również: niech zdechną; takie już jest życie.

Często budzę się wczepiony w ramę łóżka. Właśnie kontakt z tą niepasującą materią, z drewnem, mnie budzi! Na stacji nie ma drewna.

Będę musiał wyjść i sprawdzić.

Znalazłem w basenie spodenki kąpielowe. Niebieskie kąpielówki z białą stębnówką wzdłuż szwów. Utonęły, leżały na dnie i w wodzie zmaconej moim pływaniem łagodnie falowały obok okularów do nurkowania marki Speedo.

Na podłodze w holu znalazłem również szorty i T-shirt oraz białą bluzę lekko znoszoną przy kołnierzu i mankietach, z ciemną plamą poniżej kieszonki na piersi. Od kawy. Kiedy podniosłem ją z ziemi, żeby gdzieś odłożyć, spostrzegłem, że są też inne ciuchy: koszula, bermudy w kolorze khaki, męskie slipy. Zebrałem to wszystko i zrzuciłem na stos w kącie salonu.

Tylko spać. Doprowadzić się do stanu używalności jak stary materac. Jeść i spać. Żadnych planów: tylko kuchnia, basen, zatoka. Żadnych list, tylko jadłospisy. O niczym się nas nie informuje, Ziemia nie uważa, żeby aktywność polityczna planety, nad którą się unosimy, bezpośrednio nas dotyczyła. Dla kosmonauty najważniejsze to mieć jedzenie, picie i zajęcie. Naukowe zajęcie. Godzina po godzinie. Żadna pozycja, ani wzbicie się w górę, ani zanurkowanie w głębiny nie pozwalają w pełni zrozumieć ludzkich poczynań, ale tam, na orbicie, doniosłe a zatajane skutki tych poczynań natychmiast się dostrzega, z łatwością

można się obyć bez telewizji. Widzi się wojny, spory terytorialne, intensywną eksploatację zasobów naturalnych, zużycie paliw kopalnych w metropoliach, przegrzanie miast, pustynnienie ziem, wszystko to widoczne jest gołym okiem. Wielki Mur Chiński jest miniaturową, lecz wyraźnie dostrzegalną blizną. Geopolityka ropy naftowej jest wyryta na powierzchni globu; dla kogoś, kto potrafi czytać i antycypować tekst, przyszłość ludzkości jest wyraźnie wypisana na powierzchni ziemi; grozi nam uduszenie.

Położyłem materac w holu, teraz budzi mnie słońce i słońce mnie usypia. Obecnie wszystko - jem i śpię - robię tutaj. Wstaję, żeby pójść na basen. Pozwalam, żeby wokół materaca gromadziły się rozmaite rzeczy; kartonowe opakowania, sztucce, brudne talerze, ubrania, które od czasu do czasu noszę, nic specjalnego, obszerna biała bluza sportowa, którą znalazłem w szafie w sypialni, moje niebieskie szorty, skarpetki kosmiczne, niebieskie spodenki kąpielowe z białymi stębnówkami. Jest gorąco. Przedmioty w holu oblewa żółte, łagodne światło, które powoli się zmienia. Godzina po godzinie cienie przemieszczają się, kurczą, rozciągają o zmierzchu, wszystko w zwolnionym tempie. Osiemnastopiętrowy budynek kąpielowy, rysujący się na tle nieba w lewej szybie wnęki okiennej, potrzebuje dwóch godzin, by rozciągnąć na piasku w pełnej okazałości swój cień, i całego dnia na obrócenie się wokół własnej osi. Zmęczony sumoka.

Czasami moje pole widzenia przecina żółt morski, niewzruszony, ociężałe powłóczyący łapa za łapą, a potem zatrzymuje się i unosi łeb, wachając wiatr. Kamień, który porusza się z szybkością kamienia. Pozostawiający za sobą kamienną bruzdę. Morze jest równie opieszale.

Przebłyski: Lesbos, Chios, Samos, Kos i Rodos opuszczają pokrywę gorącego karmelu i przemieszczają się w kierunku Egiptu, którego maleńka szara jaszczurka przeprawia się przez Zaporę Asuańską, z tylnymi odnóżami w wodach Zatoki Sueskiej, z ogonem na górze Synaj, z drgającymi już nozdrzami na wysokości ogarniętego trwogą Kairu.

Przez wielkie okno dźwięki dobiegają stłumione, jakby o oktawę niższe, i męczy mnie, że świat dociera do mnie tak przefiltrowany. Piasek znajduje się tu od tyłu milionów lat, ocean od tyłu milionów lat, laguna wcina się w ląd każdego dnia tak nieznacznie, że równie dobrze mogą trwać w obliczu tego wszystkiego nieruchomy i milczący, poruszyć się o milimetr, jak mi się spodoba, unosić szklankę do ust przez czas równy trzem cyklom księżycowym. Wszystko jedno. Fala przyboju zastygła. Przebłysk: dokąd pełźnie i wije się krótki dwugłowy robak zatoki, który marzy o Kijowie, i długie liliowe palce, którymi Wołga obmacuje Morze Kaspjskie. Ostry tatuaż, plemienny skalpel o czystych nacięciach. Długi

tytanowy krokodyl sunie w stronę Hawajów, które kurczą się wokół jego postrzępionego odbytu.

Od nowa uczę się pozycji ciała w przestrzeni ziemskiej. To znaczy od nowa uczę się ograniczać ich ilość do pozycji możliwych na ziemi.

Stojąc, mam uczucie, jakby mój kręgosłup był napiętą liną. Jednym końcem zaczepioną w górze, drugim końcem poprzez stopy wessaną przez ziemię. Wewnątrz tego przeciwstawnego ruchu mieści się oś wertykalna, właściwie tylko miednica, mój środek ciężkości, jest zawieszona w połowie tej napiętej do ostateczności liny. Wiem, że moje ciało się kurczy, już straciłem dwa centymetry wzrostu.

Korytarze są długie i miękkie, poniewierają się długie włosy, kości mam ze szklanej waty 0,5, mięśnie prawie w zaniku.

Chodzenie nie jest rzeczą prostą.

Powolne chodzenie nie ma sensu; brakuje mi szybkości.

Zadziwia mnie moja waga.

Dziś w salonie znalazłem gazetę. To „New York Times”. Pożółkły, z wystrzępionymi brzegami, pierwsza strona wyblakła od słońca, bez trudu można rozpoznać układ tytułów i typografię gazety. Możliwe, że naprawdę starej.

Otwierając drzwi schowka lub pokoju, czuję zaskoczenie, satysfakcję, a zarazem frustrację, że tak łatwo ustępują. Nie lewituję wokół uchwyty czy klamki, utrzymuję pion, ruch mnie nie odrzuca, ale i nie przemieszcza.

Jestem ciężki jak czołg. Ta atmosfera, tak silnie kontrastująca z ostatnimi miesiącami mojego życia, w którym masę o wadze stu osiemdziesięciu ton mógł wystrzelić na orbitę zwykły dwusuw, czyli tak jakby obciążony po burty transportowiec przemierzał Atlantyk z silnikiem motorynki, ta atmosfera, która wszystko przytłacza i w której najdrobniejsze przemieszczenie się wymaga stałego wysiłku, w której bycie mobilnym wymaga ciągłej pracy, ta przytłaczająca atmosfera jest mi bardzo obca, a zarazem swojska. Wychodzi z tego niezły miszmasz.

Niesamowite, żeby być do tego stopnia ograniczonym, a zarazem zatopionym w tak wielkiej przestrzeni.

Nic się nie dzieje. Dni są tak okropnie, okropnie długie... aż dziw, że się w ogóle kończą.

Wieczorem próbuję wychodzić. O zmierzchu, kiedy słabnie upał, próbuję wyszukać sobie, wykonać jakąś normalną fizyczną czynność.

Zbieram siły.

Wrażenie, jakbym spał na stojąco. Jakbym tkwił we śnie, w którym nic się nie dzieje, na *no man's land*, w pustej bańce. Od czasu naszej prywatnej pogawędki nie rozmawiałem z Mashburnem, a inne połączenia głosowe zostały w module bazy.

Wspomnienie ubrań, które upchnąłem pod poduszkami kanapy w salonie, nie pozwala mi na niej usiąść. Powinienem jeszcze raz im się przyjrzeć. Możliwe, że je wymyśliłem.

Tak czy inaczej potwierdzenie na tak czy na nie nie byłoby przyjemne. Czekam. Będę musiał wyjść i sprawdzić.

Smażę steki, posypuję je grubym pieprzem i zjadam, stojąc w oknie i przyglądając się śladom na piasku, śladom opon biegnącym w kierunku Mosquito Lagoon. Stek mnie posila, pieprz wykręca mi usta, krew martwego zwierzęcia, wcześniej poćwiartowanego i wyciągniętego z lodówki, spływa mi do gardła, przełykam.

Potem znowu zasypiam. Odsuwam od siebie myśl, że powinienem, że powinienem nie wiem co. Często ziewam. Chyba się nudzę. Na co czekam? Nie mam pojęcia. Co robić? *Idem*.

Ciągle sen. Stacja bardzo się powiększyła od wyjazdu załogi. Aż za bardzo.

Ach.

Tej nocy nad zatoką i morzem rozpełtała się burza. Widziałem wszystko z holu, w którym śpię, nie zmrużyłem oka. Nareszcie coś. Wasz umysł został do tego stworzony.

Na zewnątrz haczyk włazu, w nozdrzach ciepły podmuch tlenu, określenie „unosić się w powietrzu” tego nie oddaje. Określenie „zdumiewające” tego nie oddaje. To nie widowisko, nie piękne, dramatyczne, ale niezwykle widowisko. Od niepamiętnych czasów byliście do tego stworzeni.

Zastawiłem pułapkę na kraby - zapas żywności maleje. Przed chwilą się jeszcze poruszały; upiekłem je wprost na ognisku ze szczap pływających w morzu, które rozpałem „New York Timesem” z salonu. Nagie kraby, moje pierwsze świeże pożywienie - od jak dawna? Ostatnim razem jadłem je nad zatoką Chesapeake, smakowały zupełnie inaczej. Ale byliśmy tak okropnie zalani...

Dobra: odzyskuję siły.

Dziś rano, przesuając dłonią po twarzy, poczułem brodę. Brodę!

Stałem zdezorientowany, mrużyłem oczy w świetle nowego dnia i patrzyłem na bezładne i cuchnące stopy odpadów mojego codziennego życia piętrzące się wokół łóżka. Dobry Boże! To ja tu spałem, w tym syfie?

Ogarnięty swoistym gniewem ruszyłem rąco przez budynek w poszukiwaniu jakiejś łazienki z lustrem i z maszynką do golenia, w poszukiwaniu jakiejś szuflady z torbami na śmieci. Teraz już mogę sporządzić kompletny plan Bloku Recepcji i Readaptacji, w pełni zgodny z planem architektonicznym.

Przyciąłem brodę, ogoliłem się, skróciłem włosy, paznokcie u rąk i stóp, wrzuciłem to wszystko do czarnej stulitrowej torby i pozbierałem śmieci wokół materaca. Potem, nie wiedząc, co począć z torbą, postawiłem ją pod drzwiami. I wyglądałem jak idiota.

Facet, który stoi z opuszczonymi rękami na środku holu wyłożonego żółtą wykładziną, wygląda jak idiota.

Zwłaszcza zbity z tropu z powodu torby na śmieci, której nie ma gdzie odłożyć. Żalodne. Zupełnie sam gdzieś na Canaveral; z twarzą czystą i ogoloną, z głową jasną i pełną dobrych chęci, nagle przystopowany przez pierwsze pytanie: co zrobić z tą torbą?

Idź z powrotem spać, Jaime. Wróć do swojego leniwego życia. Rób, co umiesz zrobić, i odpuść resztę. Nie zwracaj sobie głowy śmieciami, będą inne.

Jesteśmy żaladni. Dezodorant taki czy owaki, Fritos, pontiaki, przekleństwa, przemowy, narody są żalodne. Tradycje są żalodne. Analizy. Sytuacje są żalodne.

Nie mogę wciąż leżeć na leżaku pod oknem, popijając koktajle mleczne, dłużej nie wytrzymam. Nie ma na co patrzeć. Śladów opon w stronę Mosquito Lagoon nie przybyło, nie pogłębiły się, nie zmieniły któregoś pięknego dnia kierunku. Są tu, od kiedy je zobaczyłem, i tak zostały, trochę zasypane przez wiatr, trochę mniej wyraźne niż wczoraj, są, jak były, i nie mogę już dłużej śledzić ciągle wzrokiem ich linii. Oprócz tych cholernych skrzeczących mew i krabów nie ma nic do oglądania. Tylko falowanie piasku i wody, fascynujące jak ogień w ogromnym kominku; uległem tej fascynacji, ale już wystarczy. Muszę wyjść i sprawdzić.

Wędrowałem śladem opon, dopóki dwa kilometry od przylądka Canaveral nie urwały się pod kołami terenowego chevroleta, błękitnego i pustego. Kierowca musiał mocno pociągnąć za hamulec ręczny, bo wozem zarzuciło, i zatrzymał się przodem do oceanu. Żeby zafundować sobie zachód słońca z dziewczyną i parę piw przed panoramicznym widokiem? Możliwe. W napoczętej zgrzewce na tylnym siedzeniu jeszcze sześć zostało. Przeszukałem schowek, ale nie było żadnych dokumentów. Tak więc nie wiedziałem, od jakiego pana

Smitha czy Burnsa pożyczam samochód, ale trudno, pożyczyłem. Skierowałem się na południe. Chevrolet ruszył z kopyta i hałas silnika nagle mi uzmysłowił, jak niesamowita cisza panuje na plaży. Żadnego dźwiękowego tła, to znaczy żadnego sztucznego, nic, tylko ocean, mewy, szum piasku przesypywanego przez wiatr, wiatr, woda, mewy, komary i nic więcej. Tego, co zwykle tworzy stały szum, którego człowiek nie zauważa, bo do niego przywykł, nie słyszałem. Ach.

Wyłączyłem silnik i wysiadłem. Nastawiłem ucho. I nagle jak ołowiana pokrywa zwała się na mnie cisza, trach i miazga. Koktajl mleczny sam się zwymiotował na tylne koło i wsiadłem z powrotem. Kierunek południe. Czemu nie? Automatyczna skrzynia biegów, otwierany dach, kremowa skóra i mijane plaże: Indialatic, Palm Bay, Sebastian, Yero Beach, Port Pierce, mały objazd i znowu: Hobe Sound, Jupiter i West Palm Beach, Palm Beach, Lake Worth itd. Niby nic: zejście do piekieł. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów martwych plaż. Bajeczne plaże, bajeczne wody, bajeczne laguny, martwe. Wszystko identyczne, wszystko nietknięte. Setki samochodów stojących jedno za drugim na piasku, nietkniętych, błyszczących lub zardzewiałych, z tablicami rejestracyjnymi z Niemiec, Wielkiej Brytanii, Jamajki, Nowego Jorku i Środkowego Zachodu, milczących, zaparkowanych porządnie albo jak leci, nietkniętych. Ale pustych. Przez sto kilometrów jechałem na włączonym klaksonie, kluczyłem między gablotami, wpadałem w poślizg, wzbijając piaskowy pył aż po zderzaki różnych pontiaców, cadillaców i fordów. Przyspieszałem jak wariat, żeby usłyszeć rżenie silnika i żeby kogoś w nich obudzić, coraz szybciej między samochodami, odbijając raptownie w kierunku oceanu i na nowo przypuszczając atak na tę otwartą na oścież armię. Z wściekłości, ponieważ tumany piasku przez przednią szybę oślepiały mnie i przez otwarty dach oblepiały mi piekące powieki, rąbnąłem w żółtego bentleya z drzwiami stojącymi otworem na nicość. Zderzaki terenówki zarobiły potężny cios, a bentley wykonał tyłem ćwierć obrotu jak pojedynczy człowiek. Silnik zgasł. Cholera. To bez sensu. Zapalaj z powrotem, staruszku, i spieprzaj do Miami.

W Miami pogałem plażą, wprawiając w drżenie parasole i rowery wodne. Na mojej drodze stringi i spodenki kąpielowe fruwały w górę, pareo wzdymały się wiatrem i opadały za chevroletem jak brudne chusteczki do nosa.

Wszyscy się porozbierali, zanim się wynieśli. Wielka migracja nudystów. Z dziwnym, organicznym i głuchym dźwiękiem zabił dzwon i rzucili się do wyjścia, zdzierając z siebie ubrania i „pędem spadamy”. Billie porzuciła swojego chryslera kupionego na kredyt, Ron nie dokończył piwa, Donovan, lat siedem i pół, upuścił loda, Brian nie zabrał z sobą nawet deski. Spadamy, dzieci, spadamy. No szybciej. Szybciej, szybciej. Domy, hotele, domy, baseny,

hotele, szybciej, Stevens, szybciej! W dzielnicy Art Déco wjeżdżam na pełnym gazie na wewnętrzny dziedziniec największego budynku w kształcie półkola, rozwalam kolumnę dobudówki recepcji. - *Hello!* - Biorę łukiem zakręt. - Co słysząc? - Wpadam chevroletem do basenu - za późno, nikt nie widział, zatopiony.

Nie ma się co oszukiwać - na pasie plaży wartości miliona dolarów jestem sam, inaczej zostałbym zatrzymany. Ktoś, jakiś powietrzny oddział GI⁹, wozy z uzbrojonymi glinami, grupa zmotoryzowanych policjantów - już dawno powinni mnie zatrzymać. Usłyszałem wycie syreny, przez megafon wyszczekano by rozkazy, zobaczyłem pomarańczowe koguty kręcące się jak bąki na cocotte-minute¹⁰ bliskie eksplozji, przeraziłem się, że mnie ustrzelą, nim zdążę zahamować, ujrzałem ich czarne okulary i czarne hełmy, poczułem zapach ich gumy do żucia i ich łapy na moich biodrach i nogach, ich kopa kolanem w plecy, żeby rzucić mnie na ziemię i skuć mi nadgarstki, poczułem zimny metal z cichym suchym trzaskiem wrzynający mi się w ciało powyżej przegubów. Jakiś stary gliniarz odruchowo by mnie podniósł, myśląc o swojej najmłodszej latorośli - Buzzie juniorze - którego nie dalej jak przed tygodniem odebrał z własnego posterunku z włosami sklejonymi zakrzepłą krwią, z raną nad łukiem brwiowym, zarobioną podczas porachunków między gangami, i z oddechem cuchnącym kloaką i postem po dwunastu godzinach aresztu. Powlekliby mnie do policyjnego radiowozu, rzucili na tylne siedzenie i kopniakiem zatrasnęliby drzwi - kolejny świr, dobry Boże, mam już po uszy zbierania tych florydzkich świrów. Nie odczytano by mi moich praw i pognano by migiem na komisariat, w ten sposób wszystko zostałoby załatwione NORMALNIE i jak trzeba. Należycie. Na tym najlepszym z możliwych świecie.

Zamiast tego jak ociekający wodą terrorysta wróciłem do gigantycznego holu Teatru Jackiego Gleasona, zostawiając na posadzce z różowego marmuru kałuże wody i błota, i równie dobrze mógłbym się wytrzeć o kurtynę, bo nikt by mi nic nie powiedział, stan łaski, bo zwyczajnie nie było nikogo, żeby mi cokolwiek powiedzieć.

W recepcji przed ekranami komputerów czarne fotele, na ich siedziskach zwiewne letnie sukienki, pod tekowymi biurkami równo stojące sandałki. Pasuję. Co grają? Komedie muzyczną. Wracam, wielka panoramiczna sala, olbrzymia scena, wewnątrz high-tech całe w chromach i skórze. Idę dalej, ciemno, fantastyczna akustyka, echo mojego oddechu wypełnia przestrzeń, wchodzę na scenę, znajduję dźwignię, opuszczam ją: światło.

Przede mną w półkolistej przestrzeni matematycznie dokładnych stu osiemdziesięciu

⁹ GI - (ang.) - *general infantry* - żołnierz; oddział GI - tu: oddział żandarmerii.

¹⁰ Cocotte-minute - francuska nazwa firmowa szybkowara.

stopni, pięć tysięcy pluszowych siedzeń przymocowanych do podłogi - gapi się na mnie.

Sala jest pełna. Pełna garniturów szarych, garniturów białych, garniturów beżowych, panam. Pełna sukienek, kapeluszy, cekinów, piór zielonych i niebieskich, pereł. Pełna obuwia. Pięć tysięcy par butów porządnie ustawionych dwójkami na podłodze przy pięciu tysiącach foteli obitych czerwonym pluszem, porządnie przymocowanych do podłogi Teatru Jackiego Gleasona wybudowanego w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim i od tej pory co trzy lata odnawianego.

Pewnego pięknego letniego wieczoru na Florydzie pięć tysięcy osób zapłaciło po dziewięćdziesiąt osiem dolarów, żeby obejrzeć komedię muzyczną, której tematu nigdy nie poznam.

W powietrzu unosi się delikatny zapach śliwki i pudru. Jest gorąco.

Wychodzę. Panienko, proszę mnie połączyć z Nowym Jorkiem. Proszę mnie połączyć z Houston, Chicago, proszę mnie połączyć z czymkolwiek. Proszę. Ale panienki nie ma. Panna Jenny, recepcjonistka, rozplynęła się we własnej sukience.

Przyszedł mi do głowy nowy sposób zbioru malin. Najpierw należałoby posadzić krzewy na terenie zalewowym, za pomocą systemu śluz regulując dopływ i poziom wody, a potem, kiedy owoce dojrzeją i będą gotowe bez oporu oderwać się od białej szypułki, na której się trzymają, podniosłoby się poziom wody tak, żeby zatopiła krzewy. Woda łagodnie unosiłaby i zrywała maliny, a potem wystarczyłoby tylko zgromadzić je przy pływającej minitamie. Tym sposobem uzyskano by cały zbiór, nie tracąc ani jednego owocu. Tysiące małych, czerwonych i różowych pestkowców na obrusie zielonej wody. Śliwka.

Wschodnie wybrzeże Florydy rozplynęło się we własnej sukience.

Wybaczcie, sam się obsłużę. Wykręcam numer Houston. Telefon dzwoni, dzwoni, dzwoni, dwie minuty dzwoni, sygnał ciągły. Wykręcam numer CUP-u. To samo: sygnał ciągły. Nienienienienie. Niemożliwe. Floryda - to jeszcze, ale CUP znajduje się w Rosji, w Rosji, stary. W ROS-JI. Daleko. Stąd twój telefon nie działa. Nie działa. Omówiliśmy sprawę z Byronem, to pewne; telefon, który dzwoni i dzwoni, by na koniec wydać dziwny ciągły sygnał, taki telefon nie działa. Byron to specjalista od telekomunikacji, to pewne, może zachowuje się trochę jak idiota przy kobietach i przesadza z chili, zgoda, jest gruby, zgoda, jest grubym idiotą, ale zna się na swojej robocie. Możesz mieć do niego zaufanie, to pewne. Telefon nie działa. Nie będziemy się denerwować z powodu takiego głupstwa, Floryda rozplynęła się, to nie telefon nas zdenerwuje.

Wychodzę.

Miami nigdy nie znało umiaru. Czteryście tysięcy osób, które rozplywają się w jednej

chwili, to już przesada. Żadnej ochoty na zwiedzanie. Wszyscy ci emeryci, wszystkie te laski, wszystkie te wyliftowane mumie, ci szefowie pięciogwiazdkowych hoteli, te dziwki po osiem tysięcy, ci spełnieni dyrektorzy, ci potentaci samochodowi i naftowi, ci amatorzy starych trójmasztowców, langust, ostryg, wszyscy ci turyści, wszyscy ci rybacy, wszyscy ci hazardziści, skończone. Mniejsza o to.

Wychodzę.

Skurczyłem się.

Słyszę jakieś głosy, to ja, ja sam do siebie mówię. Ejże. Nie ma tu więc hałasu i nie ma nikogo, więc cóż, spadaj. Właśnie. Spadaj. Umiesz prowadzić, to w drogę. Więc spadam stąd. Nie będę wyciągał chevroleta z basenu, za dużo zachodu, wybiorę co innego. Dodge, otóż to, dodge pick-up, uwielbiam ten samochód, solidny, można na nim polegać, nie rozplynie się w słońcu ani w świetle księżyca, wiarygodny stary poczciwy pick-up, samochód, który podnosi na duchu.

Ostatecznie za kierownicą dodge'a okazało się, że znowu tak bardzo się nie skurczyłem, stopami sięgałem pedałów, rękami kierownicy, przez przednią szybę wszystko dobrze widziałem. Nie, naprawdę, ostatecznie okazało się, że jestem normalny.

Spadam. Spadam do Naples i Saint Petersburga, mam po uszy Wschodniego Wybrzeża, spróbuję na drugim.

Po drodze wróciło do mnie pewne wspomnienie. Stare wspomnienie o króliku. Musiałem mieć jakieś trzy lub cztery lata, kiedy przyjaciel mojego ojca, myśliwy, przyniósł królika, którego ustrzelił na równinie. Królik był nietknięty, futerko miał nietknięte, wyczuwałem jego mięśnie pod skórą, głaskałem jego uszy, próbowałem rozchylić mu powieki, gładziłem jego tylne łapki, wiedziałem, czułem, że potrafił daleko skoczyć. Tuląc go do siebie, zabrałem na podwórko, masowałem, szeptałem różne rzeczy do jego długich uszu, próbowałem i próbowałem z niestrudzonym uporem, wolą, wytrwałością, kołysałem go. Ale on nadal leżał w moich ramionach bezwładny jak kamień, głuchszy niż pień, ciało zamknięte w moich ramionach, niedosięgle, nieustępliwe.

To wspomnienie na drodze biegnącej przez mokradła Everglades, na których najrzadsze gatunki morskich ptaków budują gniazda z dala od hałasów i siedzib ludzkich, to wspomnienie śmierci, któremu pozwoliłem odżyć, napełniło mnie uczuciem na nowo żywego zawodu, czystej rozpacz, identycznej i niezmienionej przez te trzydzieści kilka lat, jakie upływały od tamtej pory.

Widziałem Florydę wyludnioną, miałem jak najgorsze przeczucia co do losu setek

tysięcy ludzi, którzy zniknęli na jej wybrzeżach, a ja opłakiwałem martwego królika zastrzelonego przed trzydziestu laty w innym kraju. Ale w gruncie rzeczy to było dokładnie to samo.

W Naples, North Naples, East Naples: nikogo. Na stacji Exxonu napełniam bak i zabieram butelkę wody oraz paczkę Fritos.

To nie atak nuklearny, to nie ewakuacja po ataku nuklearnym, wszystko jest zbyt uporządkowane, zbyt czyste. Samochody na drogach po prostu stanęły, niekiedy z rozpędu zakończyły jazdę na poboczu lub przebiły barierę dzielącą szosę albo wjechały w te, które były przed nimi. Poważne karambole widać tylko przy wjazdach do miast i na rondach. Tak jakby kierowcy raptem zasnęli nad kierownicą.

Na Skyway Bridge leci przede mną sznur pelikanów. W momencie kiedy je doganiam, zawracają i znikają.

Wjazd do Tamy jest prawie zablokowany, samochody pozbijały się w grupy na skrzyżowaniach, niektóre się zapaliły i ogień przeniósł się dalej, spopielając dziesiątki pustych wraków. Miasto sprawia wrażenie skupionego wokół tych czarnych punktów, ruch zredukował się, skoagulował w skrzepy blachy i poczerńiałej tapicerki. Witrynę kubańskiej kawiarni wypatroszyła jakaś limuzyna, w pięciogwiazdkowym hotelu znalazło schronienie czoło kolumny harleyów kończącej się trzysta metrów dalej na Brook Street, gdzie samochody przezornie zjechały na bok, ustępując miejsca Czarnym Aniołom, by następnie same wylądować na słupie z sygnalizacją, w sklepie jubilerskim, w którym zamilkł alarm, w fast foodzie. Przez pięcioro szklanych drzwi banku centralnego wdarł się do środka patrol policyjny. Nikt nie protestuje. Wszędzie panuje zamieszanie, lecz zastygłe, nie w trakcie powstawania, nie w akcji, były może trzy minuty zamieszania w ruchu, efektu ginącego ładunku, trzy lub cztery minuty przelotnego szaleństwa, gwałtownej dezorganizacji, wozy toczyły się jeszcze siłą rozpędu jak kaczkę bez głowy wypuszczone na łąkę i potem się przewracające, trzy lub cztery minuty agonii, bezładne podrygi, a potem już żadnego ruchu, definitywny koniec. Być może ostatnia eksplozja w ostatnim karburatorze przez długie dni pustoszyła w tropikalnym zmierzchu Dzielnicę Północną, zamieniając w popioły wartość trzysta milionów dolarów biurowce finansowe, ale teraz już koniec.

Coś chrobocze. Coś chrobocze za fragmentem nagiego muru, coś chrobocze i unosi się nad asfaltem, prześlizguje nad asfaltem. Puste miejsce owiewa podmuch powietrza, kaloryfer czy wentylator chrobocze w przeciągu jednostajnie, mechanicznie, wprawiany w ruch palcem ciepłego wiatru. Porusza się powoli jak ramię wentylatora. To, co spadło,

spoczywa zwarte, przywalone własnym ciężarem. Mury to góry gruzu. Witryny. Drzwi to dziury. Rumowisko.

Okrażam skupiska domów, wjeżdżam na chodniki, kluczę między wrakami, ale im bliżej centrum, tym bardziej zwalniam. Odsuwam od siebie chwilę, kiedy się zatrzymam i wysiądę z dodge'a, kiedy znów będę musiał zmierzyć się, stawić czoło milczącemu ciężarowi martwego miasta. Tampa. To jest Tampa, tam było Miami, czyli na całej Florydzie jest tak samo. Chce mi się pić, a za chwilę zapadnie noc.

Wybieram hotel Ritz Holliday, którego wejście blokuje czarno-złoty kaszkiet jego świętej pamięci portiera.

Świętej pamięci portier i świętej pamięci *groomowie* nie witają mnie ani powściągliwie, ani wylewnie, świętej pamięci klienci nie odwracają się, choćby dyskretnie, kiedy wchodzę do salonu. Zrzucam ze stołka biały mundur jakiegoś definitywnie upadłego admirała, przepraszam, poproszę podwójną szkocką. Mam w nosie pańskie opowieści wilka morskiego, staruszku, chciałbym zjeść spokojnie kolację.

Kuchnia jest czysta i oświetlona, biorę słoiczek kawioru, dwie zamrożone langusty z dwoma porcjami zielonej pietruszki z masłem anyżowym i do pieca. Dwanaście minut. Popijając szkocką, szukam piwnicy z winami. Zapadł zmrok. W sercu gorącego serca miasta wzdłuż alei Kennedy'ego zapalają się jeden po drugim neony. Zaprogramowane. Działanie elektryczności jest zaprogramowane. Tampa to automat. Z głodu ścisną mnie w żołądku, trudno, obędzie się bez toastów, pochłaniam kawior. Szukam kontaktów pod tapetami w salonie, kiedy raptem powstrzymuje mnie jakiś nikły szmer. Słyszę coś, tak, słyszę. Jakieś szu, szu jak szelest drobnego deszczu na fajansowych kaflach lub na gładkiej powierzchni jeziora na początku burzy, kilka kropli, jasnych i dźwięcznych, potem kilka następnych, które rozpryskują się i crescendo, szu, szu. Dokładnie tak, prawie dokładnie, bo dźwięk dobiega nie z zewnątrz, tylko stąd, ze środka, spod moich stóp, poniżej, piętro niżej, i wznosi się, wspina się po schodach, dobiega z piwnicy, nadciąga i rośnie, zwielokrotniony, coraz więcej szu, teraz to już ciągła fala, *sweetie tweetie* plus piski. Piski? Dobry Boże, piski! Wyskakuję zza baru, kawior leci na podłogę, i pędzę do drzwi tej cholerniej piwnicy, ale kiedy dobiegam, jest już za późno, w błękitnym świetle neonów centrum Tampy widzę tylko pokrywę oleistej sierści na poziomie podłogi, która rozprzestrzeniła się na wszystkie strony holu, rozszczepia na szerokie umykające pasma, otacza fotele i wspina na kotary, by na koniec zlać się w jeden strumień. Akurat, raczej w rwący potok, którego fale rozbijają się o przeszklone wejście hotelu, pochłaniają mundur portiera, pochłaniają pod dwudziestoma centymetrami odnóży, uszu i ogonów wykładzinę Ritza Hollidaya i asfalt na Jefferson Street.

Nie poczułem nic. Trzęsę się jak osika, buty mam poharatane, przejechał po mnie pociąg, ale nic nie poczułem.

Odruchowo wracam za bar, ale sięgając ręką po mcallana, jednocześnie potrącam stopą słoiczek z kawiozem, co powoduje szybkie poruszenie na podłodze. Natychmiast odskakuję w tył, mam nerwy w strzępach, ale szczur już jest, pod barem, wpatruje się we mnie, gniewnie popiskując, przeszkadzam mu, wali ogonem w posadzkę, sierść na grzbiecie ma zjeżoną, aż się gotuje ze złości. Miarkując ruchy, sunie w moją stronę, nie spuszcza ze mnie ślepi, sunie naprzód centymetr po centymetrze, jak jakiś przedpotopowy gad, jak pantera, jak boa hipnotyzujący ofiarę, to mój krewny, mój stary, mój bardzo stary drapieznik. Zafascynowany człekokształtny przypomina sobie, ja sobie przypominam, rozpoznaję jego bezdźwięczny pomruk, jego metodę, podchodzi jeszcze bliżej i już tylko czekam, aż nagle rozlega się brzęczyk piecyka i kiedy szczur skacze, jednym ruchem łapię z baru do połowy opróżnioną butelkę Southern Comfort, na której lewy górny brzeg biało-złoto-czarnej nalepki trochę się odkleił, i roztrzaskuję ją na grzbiecie bestii, a ona pod wpływem tego ciosu piszczy i pluje i nagle zaczyna cuchnąć, ale uderzam jeszcze raz i rozwalam jej łeb, który pęka jednocześnie z butelką, i na wszystkie strony rozpryskuje się alkohol pomieszany ze szkłem i krwią szczura. Zdycha z rozplataną tętnicą szyjną, w trzech drgawkach wyprężonego w łuk ciała, wydalając na pstry marmur podłogi pianę, żółc i brunatny płyn, z oderwaną połową szczęki, leżącą dalej pod niskim secesyjnym stolikiem z pracowni Josefa Hoffmana, z wytrzeszczonym jednym okiem, bo drugiego już nie ma, i milknie.

Czuję się, jakbym ważył dziewięćdziesięciokrotność własnej wagi, mój mózg zajmuje tysiąc czterysta centymetrów kwadratowych przestrzeni świata, czyli dwa tysiące razy więcej niż jego, a mój gatunek rządzi. Zdychaj. Rządź. Ohydnie tutaj, śmierdzi. Mam nogi całe we krwi, jest noc, odechciało mi się jeść.

Wchodzę na górę.

Chromowana klamka drzwi kabiny prysznic idealnie mieści mi się w prawej dłoni. Spokojny, w zamknięciu, ale nie ciasnocie, ścian z granilitu, muskam przycisk programu całosciowego masażu i włączam funkcję biczy wodnych na plecy. Krew szybko zniknęła w otworze odpływu, została tylko piana z żelu pod prysznic o egzotycznym zapachu i bębniący na kafelkach strumień mojego moczu. Para wzbija się, otula mnie, obmywa, sam się myję, to był tylko szczur, zwykły szczur, zresztą i tak nie lubisz Southern comfort. Za słodki.

Apartament jest przepastny. Okna sypialni wychodzą na szeroki dziedziniec

obsadzony palmami, łóżko jest ogromne, przyjemne w dotyku jak ciało. Owinięty w ręcznik Ritz Holliday, wędruję po pomieszczeniu, starając się zrozumieć. Wrzuciłem do młynka ściennego dwie elektryczne szczoteczki do zębów. W garderobie stoi pięć walizek Vuittona, na kanapie w salonie podręczny bagaż. Na stoliku pudełko cygar Montevideo nr 3, obok mały pęk kluczy. Na stoliku nocnym w popielniczce Daum&Naney zgnieciony niedopałek. Na podłodze ani na łóżku, ani pod drzwiami, ani w ubikacji, ani nigdzie nie ma żadnych ubrań, tym lepiej. Wyszli. Popijali drinki we Freak Colisea. Pływali po zatoce łódką, wynajęli ją na godzinę lub dwie, mały stylowy *jet-boat* z półokrągłą przednią szybą, dachem Bimini i z silnikiem Evinrude z elektronicznym wtryskiem, zalecanym przy nartach wodnych. Chcieli zrobić tylko rundkę po zatoce, popatrzeć na manaty i delfiny, podpłynąć z daleka do Mullet Key, żeby popatrzeć, tylko popatrzeć i ewentualnie zrobić kilka zdjęć. Zanurkować i wrócić. Pani zatelefonowała do matki, *ooh mummy darling ao wao you dear*, lub do swojej najlepszej przyjaciółki, pogoda okropna, można wychodzić tylko wieczorami, pan natomiast zasięgnął w barze informacji o jakimś wieczornym spektaklu lub miłej restauracji. To mogła być ona, to bikini w różowe groszki pod lnianą sukienką leżące pod wiklinowymi fotelami na patio. Moja współlokatorka. Możliwe, że gdybym pogrzebał w walizkach, znalazłbym wsunięty w poradnik plażowicza jakiś wizytownik lub portfel, a w nim dwie lub trzy fotografie, z którymi człowiek się nie rozstaje, choć ich nie pokazuje, a tym bardziej nie ogląda, ale wie, że je ma, pozostałości i świadków ukochanego okresu życia. Obok wibratora do użytku nie tyle pani, ile pana mającego swoje drobne słabostki. Bardzo porządni ludzie. W barze doradziłbym mu Ristorante del Mar na Beck Street, gdzie kucharz Wenezuelczyk, subtelny i tłusty jak prosię, przyrządza ośmiorniczki w czosnku i wermucie. Siedząc przy barze, on i ja wypilibyśmy drinka. Dyskutując o kuchni, ludzie interesu jedzą, lecz nie dyskutują o kuchni, ale on tak. Jak na nowojorskiego tradera zna się nawet całkiem dobrze na winie. Kuchnia i krykiet, ale widzi pan, moją prawdziwą pasją jest Faulkner. W moim zawodzie nie ma się na nic czasu. Mam nadzieję wykorzystać tych piętnaście dni na pogłębienie projektu, nad którym pracuję już od sześciu lat, kiedy trafi mi się trzy dni spokoju, tydzień, zaraz do niego wracam. Rękopis *Absalomie, Absalomie*. Zawsze go z sobą zabieram. Chodzi mi o glicynie, zawsze o glicynie panny Coldfield, glicynie ponownie kwitnące we wrześniu, zawsze, wróble w tych jej pachnących glicyniach, pnących się po siatce zewnętrznej ściany, wyczerpane słońcem, bujne, ociążałe od słodczy i słońca, za każdym razem mnie to bierze. Mam własną teorię na temat glicynii, nad tym właśnie pracuję. Uważam, że struktura *Absalomie, Absalomie...* jest jak struktura glicynii, wie pan, pnie się w górę, wystawia setki białych i liliowych główek przez najmniejszy otwór ku słońcu, bujnie się rozrasta, glicynia to pasożyt, pasożyt

wyjątkowo żywotny, mała, krucha i powyginana łodyga, która czepia się wszystkiego, czego tylko się da, i rozszczepia pędy, żeby jej było łatwiej piąć się w górę, aż w końcu staje się ogromna. Chmura, walec, rzeka, świat wprowadzane w poruszenie przez wróble, do których przywiązują się takie panny Coldfield, Sutpen i inne wspaniałe postaci różnych brutalnych i łajdaków mimo woli. Uwielbiam glicynie. A pan? A jego żona, pani Bikini w Różowe Groszki pod lnianą sukienką, weszłaby do baru, szukając go wzrokiem, och, tu jesteś kochanie, bardzo miła młoda czterdziestolatka z muskulaturą wypracowaną na siłowni, acz harmonijną. Z pewnością równomiernie opalona na całym ciele. Założę się, że mąż opowiadał panu o swoich, sza, sza, sza, Milicent, masz ochotę na drinka?

Ritz Holliday liczy sto sześćdziesiąt siedem pokoi. Jestem na siódmym piętrze, przez okna salonu widzę Jefferson Street, z tyłu palmowy dziedziniec. Ulicę omiatają neony, kolejno niebieskie, czerwone i białe, a także żółte latarnie uliczne, wokół których krążą debilne ćmy. Nie sposób zasnąć. Czuję się jak po zażyciu MDMA-2¹¹, lekki, trzeźwy i twardy jak trójspłotowy stop. Powinienem z kimś pogadać. Powietrze jest ciężkie. Przydałaby się burza; niech wybuchnie, a potem przejdziemy do czego innego. *A new world* i wy wszyscy tam, ruszać się! Co się z wami dzieje? Dalej, ogolcie mnie i zaczynamy od nowa. Po pierwsze, jestem kosmonautą i widzę was, witacie mnie przy kapsule, zjawiliście się, żeby mnie wydobyć z kapsuły, gratulacje, puściliście już w niepamięć mój drobny wybryk, cieszycie się, że mnie znów widzicie, jesteście tu z uśmiechem na ustach i wręczacie mi kwiaty. Czemu nie. Kwiaty czerwone, stokrotki i nakrapiane orchidee. Po drugie, jestem oficerem i pilotem doświadczalnym, postrzegam sprawę globalnie, połączcie mnie z Houston, mam prawo do pewnych względów i przywilejów, połączcie mnie z „Canard Déchaîné”¹² i niech nareszcie usłyszę głos Nastasji Iladownej. Po trzecie, ja też się cieszę, że was znowu widzę. Mam wam mnóstwo do opowiedzenia i wy do mnie mówcie, zwłaszcza wy do mnie mówcie, znam wszystkie języki, no mówcie. Teraz wasza kolej, mówcie.

Na dole, poniżej stu sześćdziesięciu siedmiu pokoi hotelu Ritz Holliday migoczą neony, automatyczne latarnie i ćmy. Podchodzę do okna zaczerpnąć powietrza. Za grosz spokoju. W powietrzu coś wisi, oczywiście, noc bez przerwy wszystko zmienia. Królestwo szczurów. Jedyne zwierzę w Tampie. Jedyna ludzka istota na rozdrożu, pusty księżyc. Coś wisi w powietrzu, psy odpowiadają sobie szczekaniem. Ujadanie psów, można by pomyśleć,

¹¹ MDMA - 3-metoksy-4,5-metylenodioksyamfetamina, środek psychodeliczny.

¹² „Le Canard Enchaîné” - (fr. „spętany kaczor”), polityczno-satyryczny tygodnik francuski, znany z ujawniania afer politycznych, ukazujący się co środę. Wychodzi od 10 września 1915 roku. Tytuł „Le Canard Déchaîné” jest parafrazą nazwy tygodnika (fr. déchaîner - wyzwalać - czyli „kaczor wyzwolony”)

że to szakale. W samym środku miasta! Toczą dialog na odległość, ich odpowiedzi przeskakują budynki i niosą się echem rozplywającym się na szklanych fasadach biurowców. Nietoperz, nawet ślepiec, mógłby nakreślić nową konfigurację Tamy, kierując się ujadaniem i galopadami psów; słyszę ich pazury sunące po asfalcie i ślizgające się na białych pasach przejść dla pieszych. Są coraz bliżej. To cała horda, psy są zwierzętami stadnymi, od północy nadciąga na Jefferson Street pod moje okna cała horda. Niegdysiejsze psy domowe, które od wieków nie widziały szamponu. Koniec z dietetycznymi chrupkami, koniec z panami: głód, wolność, dobór naturalny. Dlaczego psy, pelikany, szczury przeżyły? Zbliżają się z wyciem, wyruszyły na polowanie, nadciągają. Pod moimi oknami, u podnóża stu sześćdziesięciu dwóch pokoi i pięciu wielkich apartamentów, przemkną tam, gdzie wcześniej przemknęły szczury, jak gdyby nigdy nic. Widzę je: dwadzieścia rozszalałych, zwierzęcych łbów wystrzelonych do serca cywilizacji. Dwudziestu rozczochranych, muskularnych i toczących ślinę zwiadowców, elita agresywnego psiego gatunku; pitbulle i rottweilery z przodu, doberman na flankach, gros stada zbitą gromadą za nimi; minuta pokazu skudlonych, galopujących psów. Psy pędzące przez minutę całą szerokością ulicy to, no cóż, to już za wiele. Dostrzegły mnie. Nie wiem, jak zdołały mnie wyczuć, nagle zatrzymały się, może zrobiłem jakiś hałas, stanęły, węsząc z pyskami zadartymi w stronę siódmego piętra, potrząsają strużkami śliny zwisającymi im z fafli, tłoczą się w miejscu, warcząc i pokazując kły. Niedobrze. Nigdy nie przepadałem za psami, ale czegoś takiego się nie spodziewałem. Co zrobić? Najsprytniejsze już drapią w drzwi wejściowe, nie, to przecież niemożliwe, trudno uwierzyć w taką serenadę, na co liczą, że mnie na tym siódmym piętrze pożą, że wskoczą do windy i pojawią się ot tak, dalej stary, na ziemię, nie ma czasu do stracenia. Ani mi się śni. Zaraz tym kundlom zgotuję powitanie. Granaty, przynieście mi granaty! Hej, recepcja, dostarczcie mi skrzynkę fen dz 22, w dziewięćdziesiątce jest jakaś napalona banda, to pilne, otwórzcie sejfy, wytoczcie stamtąd artylerię i dostarczcie mi ją. Bredzę? Nie bredzę! Pospieszcie się. Ale to ja pędem wypadam z pokoju. Ręcznik opadł, na golasa szukam amunicji, potrzebuję broni, koniecznie potrzebuję broni, świat do reszty ześwirował, prawdziwy koszmar, muszę znaleźć jakąś broń, tego mi potrzeba, żeby rozpirzyć połowę ulicy z tymi przekłętymi brytanami, zlikwidować za jednym zamachem wszystkie szczury, wybić cały ten pieprzony zwierzyniec. Znajdę, w hotelu, zwłaszcza na Florydzie zawsze jest jakaś broń, gdzie są sejfy? W którymś ze stu sześćdziesięciu dwóch pokoi i pięciu luksusowych apartamentów tego burdelu musi być jakiś uzbrojony facet. Sprawdzam biegiem. Ósme piętro, dziewiąte piętro, wciąż je słyszę, otwieram w locie walizki, przeszukuję kufry, grzebię we wszystkim, w czym mógłby się zmieścić karabinek M4 z

czterema pudełkami amunicji, musi być przynajmniej jeden myśliwy, i proszę - w pokoju 963 wepchnięty pod łóżko wspaniały futerał z czerwonej skóry, podniszczony na kantach. Świetnie. Co w nim mamy? Świetnie: fantastyczny weatherby 300 magnum, wciąż je słyszę, coraz bliżej. Sprawdzam, ale szybko, sprawdzam błyskawicznie zamek i celownik, wkładam do magazynka sześć jedenastogramowych naboji Nosler Partition. Ale zabawa, teraz je już mogę usłyszeć, otóż to... Wchodźcie, proszę. Jakiś hałas za drzwiami, ujadanie na piętrze, strzelam. Wychodzę, korytarz, wyszczerzone zęby doga o czerwonych ślepiach, strzelam, schodzę, korytarz, nikogo, schodzę, schodzę, nikogo, parter, drzwi, strzelam, kula rozbija szybę, przesywa dwa ciała i rozwała wystawę delikatesów mięsnych naprzeciwko. Na ziemi dwa psy podrygują w kałuży własnej krwi, woń mięsa zelektryzowała stado, zostały mi trzy naboje, dzika masa wdarła się do delikatesów przez rozbitą witrynę, kaleczą łapy, rzucają się na zgniłe mięso znajdujące się tu od nie wiadomo jak dawna, którego ohydny smród natychmiast wypełnił ulicę, padliny do wyboru, ileż wołowiny i cielęciny pędzonej na hormonach, karmionej mlekiem matki, wijącej się od robactwa. Zostało sześć potworów, które woła świeże mięso, otaczają mnie kołem, trzeba by więcej niż trzy kule, ale zaraz, co ja tu robię, pośrodku tej cuchnącej padliną alei?! Jest mi niedobrze. Mam mdłości. To ten smród. Trzeba, wpatrując im się w ślepia, wycofywać się i zniknąć, trzymać je na odległość, wpatrywać się w nie i wycofywać, jak z jaguarami. To są jaguary. Tchórze. Patrząc im prosto w oczy, stawiać czoło, więc stawiam czoło, udało się. I udało się! Nareszcie, nareszcie słyszę głos Nastasji Iladownej, tak, o tak! Widzę ją, wyszła właśnie z „Canard Déchaîné”, T-shirt nadal jeszcze oblepia jej piersi, szampan spływa z włosów po szyi i piersiach, przesuwa kamerą po swoim ciele, biodra, pośladki, brzuch, kolczyk w pępku, wzgórek łonowy, rozpoznaję ją, tak, to ona, Nastasja Ila, Nana, moja ulubienica. Mówi do mnie, obiecuje mi miód, powietrze, siano i pieszczoty, uciechy zastrzeżone dla wytrawnych znawców, odstawia przede mną swój giętki taniec na rurze, przemawia do mnie językiem seksu, to rosyjski, coś śpiewnego, pysznego jak pełnomorska ostryga, Saint-Vaast, Cancalle, najlepsza wódka świata, najczystsza, i jej zielone oczy w zbliżeniu, dwa rozgwieżdżone syberyjskie jeziora, źrenice jak małeńkie czarne kiełbce, swobodne pławienie się w wodzie czystej, lecz cieplej, och cieplej...

Jednak nie. Kaseta się skończyła, to sex-shop, musiałem nacisnąć guzik grającej szafy. Mój oddech wypełnia całe pomieszczenie, ociekam potem, całym ciężarem ciała opieram się o drzwi. Na zewnątrz psy na jakiś niezrozumiały sygnał pędem odbiegły. Znow jestem sam. Obok Ritza. Goły. W ultranowoczesnym sex-shopie, gdzie można posłuchać kawałków porno we wszystkich językach po trzy minuty z każdego filmu. A potem się podejmuje decyzję. To

straszne znaleźć się tu, w ciemnościach, z weatherby 300 w ręku i ulec halucynacjom, to więcej, niżby się chciało. Teraz wrócę. Teraz, kiedy nie ma psów, kiedy szczury uwijają się gdzie indziej, zanim pojawi się stado jaszczurek z rozdziawionymi paszczami, dopóki zachowałem jeszcze odrobinę rozumu (To szybko mija!) i sprawne nogi, wrócę. Zabarykaduję się w apartamencie, przystawię dwa - trzy meble do drzwi i prześpię się, w każdym razie spróbuję.

(Sny o zębach. Idealnie białych zębach wampira i pożółkłych pewnej szeroko uśmiechniętej Angielki, przerażających. I dwa zdania: to szczury mną wstrząsnęły. Mną wstrząsnęli złoczyńcy. Noc przynosi radę, Milicent. Śpisz?).

Powędrowałem przez miasto w stronę Old Tampa Bay na lotnisko. Nie znam miasta, nigdy tu nie byłem, ale umiem czytać mapy i drogowskazy, na lotnisko tędy: na zachód. Wolę dojść na piechotę. Za dużo samochodów tarasuje szosę, no i muszę nabyć kilka rzeczy. Plecak, konserwy, płatki, broń. Okulary słoneczne. Jeśli się da, zmienić ubranie. Dziś jest dzień drugi. Trzeba się poważnie zorganizować.

W Langham Creek Shopping Center podwójne drzwi wejściowe są umazane brązowymi smugami, ruchome schody kursują na jałowym biegu, unosząc falę ciuchów, poszarpanych od ciągłego podrzucania na ostatnim stopniu. Niektóre zbiły się w belę materiału i wydają dziwny, głuchy i przeciągły świst. Uważam na hałasy; z ogólnego planu wynika, że na trzecim piętrze znajduje się dział świeżej żywności, a ja nie mam najmniejszej ochoty na powtórkę doświadczenia z bydlęcą zgrają.

Najpierw broń: 1) Pistolet Beretta 92SB teksańskich rangersów. Dokładnie go sprawdzam. Aluminiowy szkielet, lufa i zamek ze stali chromowo-niklowo-molibdenowej. Skrzydełko bezpiecznika znajduje się pod komorą. Testuję go na miejscu razem z magazynkiem firmy Mec-Gar i piętnastoma dziewięciomilimetroowymi nabojami typu Parabellum. Muszka zgrywa się idealnie ze szczerbinką, można strzelać szybko i celnie. Z dwudziestu pięciu metrów (za cel wybrałem głowę piechura na plakacie reklamowym) punkt trafienia pokrywa się z punktem celowania. Jest ciężki, ale ma dobry uchwyt, biorę. Dołączam drugi magazynek beretty i solidny zapas standardowych naboji 9 x 19.

2) Pistolet maszynowy MP5/10 Heckler & Koch z wysuwaną kolbą, przystosowany do amunicji kalibru 10 mm, do tego dorzucam pięć prostych, przezroczystych magazynków trzydziestokulowych. Szybko wypróbuję jego trzy pozycje strzeleckie. Trzystrzałowa seria na pewno bardzo mi się przyda; szkoda marnować amunicję.

3) Sześć granatów wybuchowych.

I to wszystko.

Kładę całość na głównej ladzie i tylko z pistoletem wchodzę na czwarte piętro. W stoisku sportowym wkładam szorty z dwiema głębokimi kieszeniami, zabieram ciemnobezwowe spodnie tracker cargo z tego samego materiału, koszulę i kamizelkę na suwak z mnóstwem kieszeni. Kurtka z polaru Aleutian; całość ładuję do plecaka górskiego o pojemności siedemdziesięciu litrów, którego stelaż reguluję na wysokości poduszki lędźwiowej. Doczepię do niego na pasach kompresyjnych pistolet maszynowy.

Trzecie piętro jest kompletnie zdewastowane. Gdzie indziej nie było śladu jakiegokolwiek wandalizmu, za to w dziale świeżej żywności wszystko jest wywrócone do góry nogami. Półki brutalnie przeszukane i splądrowane, na podłodze kałuże oliwy i wina, na

których znać ślady branych pędem wiraży. W przejściach pełno gówna, na witrynach szaf chłodniczych zaschnięte rzygi, a za zdewastowanym stoiskiem z owocami trup mewy o pustych oczodołach. Nie szukam dalej; wszystko, co zostało, jest obrzydliwe.

W podziemiu zaopatruję się w płatki, torebki sproszkowanej żywności i kilka konserw. Trzy litry wody mineralnej, chociaż w samolocie też powinna być.

Wchodząc z powrotem na górę, wkładam amunicję do ruchomej przegródki plecaka, robię małą kaburę i, by zakończyć całość pięknym akcentem, ruszam na siódme piętro. Męskie *prêt-à-porter*, wersja luksusowa. Ale wybieram proste rzeczy: watowana kamizelka z laminowanego drelichu; grafitowy garnitur z surowej wełny o prostym kroju i - jak szaleć, to szaleć - bluzę z grubego jedwabiu. Nigdy nie wiadomo, kiedy się może przydać. I pozostawiam Langham Creek Shopping Center na pastwę losu. Psów, szczurów, moli. Jednak zanim wyjdę, coś mnie skłania, żeby zajrzeć do klitki ochroniarzy.

To ponure pomieszczenie, bez okien, z całą ścianą piętnastocalowych monitorów, gdzie spokojnie spoczywają tysiące godzin taśmy wideo z jednym i tym samym filmem: filmem z Langham Creek Shopping Center. Przeciętna, trochę monotematyczna produkcja, ale pomyślałem, że na tej zupełnie ostatniej może być coś interesującego.

Stukam w klawisze konsoli centralnej, sadowię się na mundurze szefa w jedynym ergonomicznym fotelu z miękkimi podłokietnikami i do roboty, reverse, play.

Na ekranie zwykły dzień. Pięć minut i sześć sekund po czternastej, godzina zaznaczona jest na dole z prawej strony; pospołu z taśmą defilują sekundy. Bez dźwięku. Na nagraniach ochrony nigdy nie ma dźwięku. Poziom trzeci, dział świeżej żywności; ludzie spokojnie wędrują między półkami. Dobry, panoramiczny widok obejmujący połowę piętra. Więcej kobiet niż mężczyzn, z mniej lub bardziej wypełnionymi wózkami. Snują się między stoiskami, przystają, tu i ówdzie pomagają jakiś ogórek lub owoc, oglądają grzyby na tackach, obracają je, a potem odkładają. Wózki przejeżdżają dwa, trzy, cztery metry i zatrzymują się przed promocjami, powoli ruszają dalej, mijają się w przejściach, pan i pani szybko usuwają się sobie z drogi, bardzo przepraszam, ależ proszę, pani na prawo? Ja też. Sługa uniżony. Oglądając całość, ma się wrażenie maksymalnie uproszczonego labiryntu, gdzie gracze spotykają się pod kątem prostym, poruszając się biegnącymi po prostej korytarzami, które przemierzają powolnym krokiem i rzadko kiedy komplikują sprawę cofaniem się. Nie ma ani jednej linii ukośnej. I tylko dwójka maluchów z miniwózkami z czerwonymi proporczykami slalomuje między wysepkami pośrodku głównej alei. Brzoskwinie, pomarańcze, śliwki, pomarańcze, brzoskwinie. Większy, za którym biegnie siostra, obrywa w końcu po buzi i przestaje. Tupie nogami, pewnie wrzeszczy, ludzie, przechodząc obok, kiwają głowami, rzut

oka z dezaprobatą na matkę, która nie potrafi go upilnować, lub czytelny sygnał: kolejne bite dziecko.

W dziale warzyw jakiś starszek wywołuje korek, najechał wózkiem na stelaż z porami, które runęły na ziemię. Stoi pośrodku tej katastrofy i macha rękami jak opętany. Ludzie gromadzą się, patrzą i odchodzą, wzruszając ramionami. Jakaś para próbuje go uspokoić i wkrótce do akcji wkracza służba porządkowa, czerwone czapki i różowo-białe bluzy, czerwone spódnice lub spodnie. Zbierają, usuwają, zamiatają i dezynfekują, rzeczywisty czas trwania akcji: dwie i pół minuty. Jest 14:28:07, kiedy zrzucone pory znikają za drzwiami służbowymi, tylko dla personelu, w butelkowitzelonym pojemniku na śmieci. Zwyczajny dzień. Musi być ładna pogoda, klienci są lekko ubrani, wyglądają na odprężonych.

Forward, 15:39:07: skupisko ludzkie tłoczy się przy żółtych drzwiach wyjścia awaryjnego, setka osób zbitych w jedno stado, wstrząsanych ponawianymi natarciami wolnych elektronów, masowo przyciąganych przez rdzeń, który tworzą, już zwarty, zbity, najeżony wszelkiej długości ramionami i dziesiątkami oszalałych głów, zdających się mieć jeden tylko cel: gwałtownym łomotaniem sforsować żółte drzwi, dopaść progu, wydostać się. Zamęt pochłonął już niektóre skręcające się w konwulsjach ciała, ale sznury kobiet i mężczyzn bez wózków wciąż na oślep dołączają do masy, a kiedy docierają do jej jądra, fala szczęścia porywa ich, a potem dławi. Już zniknęli pod napływem następnych, wtopili się w twarde jądro, wraz z nim napierając na żółte drzwi, których już nie widać, ale które wciąż nie ustępują. Na posadzce powoli rozlewa się coraz większa kałuża krwi. Jakaś kobieta próbuje wyciągnąć z tej kotłowniny białą dziewczęcą sukienkę, ale tylko udaje jej się ją podrzeć, po czym i ją wchłania zjawisko elektryczne, którego energia narasta w miarę dołączania nowych elementów, które same napływają już grupami, już wezbranymi, silnymi i zelektryzowanymi, które, stapiając się w masę plastyczną, wywołują fale przemocy jeszcze intensywniejszej i przenikają ją, i wstrząsają nią, ale nawet na milimetr nie odwodzą od celu, od żółtych drzwi wyjścia awaryjnego. Stojący na uboczu galaretowatego monolitu mężczyzna w szarym garniturze wodzi wzrokiem od masy przed sobą do czegoś z tyłu za nim. Rozdziawił usta, nie może się zdecydować. Sam nie wie, czy to, co widzi przed sobą, czy to, co widzi z tyłu, łatwiej mu zaakceptować. Jest 15:42:08, kiedy raptem, skutkiem jakiegoś niewytłumaczalnego impulsu, od żółtych drzwi odrywają się wielkie fragmenty ludzkiego muru całymi gromadami, które dosłownie zaczynają się toczyć po białych płytach posadzki, toczą się na nowo, wzbierając liczebnie na skrzyżowaniach alejek, toczą się w stronę innych żółtych drzwi awaryjnych, ale teraz coś za nimi podąża. Uciekają, to już czynna ucieczka, bieg jednolity, gorączkowy, którego energia samoistnie rośnie i występuje poza granice

przeźreni, przebijają się przez nią, szukając już nie drzwi, ale jakiejś szyby, która pękłaby pod jej potężnym chaotycznym naporem. Ale szyba nie pęka. Nie ustępuje. Podwójne, otwierane automatycznie drzwi są zablokowane, szczelne, z nietłukącego się pleksiglasu, tłum uderza w nie, rozbija się i nagle jednym ruchem odwraca się i znika. 15:43:06.

Chwileczkę. 15:43:06: jednym ruchem znika.

Jedenaście minut wcześniej, 15:32:02: grupa około piętnastu osób biegnie alejką z warzywami. Wszyscy, których po drodze mijają, przez moment patrzą, po czym do nich dołączają. W alejce z cytrusami jakaś kobieta obraca głowę we wszystkie strony, nie rozumie, spogląda na parę w pobliżu; mężczyzna nagle odpycha wózek i rzuca się w stronę głównej alejki, przez którą dopiero co przebiegła grupa spanikowanych ludzi. Mężczyzna coś krzyczy, łapie żonę za ramię i ciągnie za sobą. W alejce z cytrusami kobieta zostaje sama i patrzy na jakiegoś staruszka, który w oddali spokojnie kończy wybierać pół funta zielonych cytryn i wkłada je do swojej torby. Rusza w jego stronę, ale kiedy dociera do skrzyżowania z główną alejką, potrąca ją kawalkada wymachujących rękami ludzi. Podnosząc głos, coś do nich mówi. Staruszek na nią patrzy, potrząsa głową, po czym rusza dalej alejką między cytrusami. W tej części piętra dochodzi też do innych chaotycznych ruchów. Kobieta dogania staruszka, dotyka jego ramienia, coś do niego mówi. Staruszek znowu potrząsa głową i odchodzi. Nagle kobieta wygląda na okropnie smutną i zagubioną. Ma rude włosy i letnią sukienkę w kwiaty. Sprawia wrażenie osoby rozsądnej. Rusza alejką z pomidorami i przyprawami, równoległą do alei głównej, idzie pewnym krokiem, mimo że wciąż musi coś wymijać. Dochodzi do miejsca, skąd widać główne drzwi wejściowe, spod których paniczne zamieszanie prawdopodobnie się przeniosło, patrzy. Jest blisko górnego skraju piętnastocalowego ekranu, kiedy nagle się cofa. Cofa się, przykładając dłonie do policzków, widoczna od tyłu, cofa się, po drodze potyka się o coś na podłodze i przewraca. Kiedy wstaje i widzę ją z przodu, ma twarz zupełnie bez wyrazu, rzuca się do ucieczki.

15:43:05: odwraca się i znika.

W zwolnionym tempie, 15:43:04: Tłum kłębiący się przy hermetycznej szybie podwójnych drzwi z nietłukącego się pleksiglasu grubości piętnastu milimetrów powoli odwraca się w stronę tego, przed czym uciekał. Ruch ten odrywa go nieco od szyby i przesuwa kilka centymetrów naprzód. Tłum zdaje się opieszale cofać, zbijając się w masę jeszcze bardziej zwartą niż przy szybie. I wtedy, wtedy wciąż coraz silniej napierając na syntetyczne szkło, do którego przywarła, masa ludzka zaczyna znikać. Ulatnia się, wyparowuje, jej zewnętrzne błony zacierają się, powoli się wymazuje, strzępki skóry opadają płatami na posadzkę, a jednocześnie z coraz większą siłą napiera na przezroczystą ścianę

podwójnych automatycznych drzwi wejściowych, roztapia się, rozpuszcza jak cukier w roztworze octu, po prostu znika.

Dwie sekundy, 15:43:06: znika. Podłogę zaścielają letnie ubrania.

Ekran kamery przemysłowej marki Samsung o wysokiej rozdzielczości... wychwyił szelest ostatniej partii tkanin ocierających się o podwójne automatyczne drzwi, potem obraz znieruchomiał - trzydzieści sekund - i zegar stanął. Po 15:43:07 wykrywacz ruchu nie wykrywa już nic.

Niemożliwe.

Przechodzę na czteroekranowy podgląd.

Cztery ogniskowe 2,9 - 8 mm, cztery soczewki asferyczne o sterowaniu nadążnym umieszczone w czterech kamerach przekazują cztery obrazy strategiczne na piętnastocalowym ekranie szefa ochrony, na czterech jednoczesnych poziomach. Czyli:

- 1) parking,
- 2) hol na parterze,
- 3) kasy w podziemiu,
- 4) trzecie piętro.

O 15:43:07 cztery podekrany jeden po drugim nieruchomieją, ukazując bezładnie stłoczone wózki ze znieruchomiałymi kółkami i kamery przechodzą w stan czuwania.

Czekam.

Widziałem Wschodnie Wybrzeże, widziałem Zachodnie Wybrzeże, widziałem tłum, który zniknął na trzecim piętrze, nie mogę uwierzyć w zamach na Langham Creek Shopping Center. Czekam.

Wiem, że kamera wyposażona w detektor ruchu aktywuje się, kiedy wykryje jakiś ruch. Nie ma przyciemnienia obrazu, nie ma pejzaży, nie ma przerywników, nie ma ciągłości obrazów, nie czekam długo.

Przez ekran pierwszy, parkingu, przebiega lekkie drżenie i na dole z prawej strony z powrotem pojawia się godzina: 05:02:23, światło jest żółte.

Na dach czarnego bentleya wskoczył ryś. Kosmate kępki uszu sterczą mu prosto jak antenki, wciąga w nozdrza powietrze, potem siada i tylną łapą zaczyna się drapać po boku. Przerywa, unosi łeb w górę, odprowadza spojrzeniem przelatujące ptaki, których nie widać, i na nowo podejmuje toaletę. Liże się, wrywa kępki sierści spomiędzy pazurów przednich łap, rozsiada się wygodniej, wygina grzbiet, wyciąga tylną łapę wysoko nad łbem i starannie myje ją od wewnątrz, z dołu do góry, od czasu do czasu przerywając, by nastawić uszu czy wychwycić ruch jakiegoś insekta na masce bentleya. Musi być dużo ptaków, bo ryś często

przerywa i spogląda w górę. Ale to go nie interesuje, wstaje, powoli się przeciąga i...

Z kolei aktywuje się kamera numer 2, 05:26:04, ekran przecina w poprzek biały pas, niemal całkowicie zasłaniając hol na parterze.

Kamery z podziemia i z trzeciego piętra nadal wlepiają swoje ślepe oko w pustkę.

Rysia nie ma już na parking, przeszedł do pola drugiego, do holu na parterze, i zbliża się teraz do wielkiego białego ptaka, który roztrzaskał się o szybę głównych drzwi wejściowych. Ryś podchodzi do zdobyczy zważym krokiem, nastawia uszu, obwąchuje i obmacuje powietrze swoimi wibrysami. Jego krok jest zarazem szybki i ostrożny, na pewno cichy, ale w momencie kiedy ma już dopaść ptaka, który jeszcze się porusza, podwójne drzwi głównego wejścia otwierają się, ryś momentalnie znika z ekranu numer 2 holu wejściowego, śmiga przez parking między samochodami i w trzy sekundy jest już gdzie indziej, poza zasięgiem wizji. Roztrzaskany ptak przestał się ruszać. Drzwi się zamykają. Jest 05:26:59, za trzydzieści sekund obrazy znieruchomieją.

Czwórka na nowo aktywuje się o 02:08:09 - ale kiedy, którego dnia? - ze stelażu osuwa się piramida jabłek, niektóre, spadając, rozbijają się, inne toczą się daleko po alejce, którą sunie mała kolonia czarnych szczurów, do tej pory nie dość liczna, by uruchomić detektor ruchu.

Na trójce nadal nic. Dwójka znieruchomiła na martwym ptaku aktywuje się - 15:37:08 - ukazując szybki przemarsz krokodyli - czyżby mi się przywidziało? - i o 15:37:37 z powrotem zastyga, ale martwy ptak nie jest już biały, teraz okrywa go rój much.

Potem jedynka, dwójka i czwórka więcej się nie aktywują; zastygłe każda na własnej godzinie, emitują na piętnastocalowym ekranie szefa ochrony swoje aberracyjne obrazy. Obrazy wielkich inwazji. Ptaków, psów, kugarów, rysi. Szczury okupują trzecie piętro do momentu, kiedy jakiś bardziej wygłodniały od innych rudy ryś odkrywa drogę i urządza im okrutną jatkę, dopóki z kolei jego nie przepędzi horda wychudzonych psów, które następnie uciekną przed rojami plujek, zwabionych padliną wojen terytorialnych i wyklutych z jajeczek od pokoleń tu składanych, milionami wnikających do przewodów klimatyzacyjnych i milionami z nich wyrzucanych. Inwazja bakterii, inwazja karaluchów, pojawienie się czerwonych krabów na parking, aligator kilkoma kłapnięciami szczęk pożera zabłąkanego w holu dobermana, pelikan uwija się bez wytchnienia wśród much na trzecim piętrze, na trójce, która się wreszcie uaktywniła, parzą się dwa psy, trzeci zaś tarza się we krwi jakiegoś bliżej niezidentyfikowanego zwierzęcia na posadzce. Niegładzony tynk ścian holu obsiadły tysiące szarańczy, dziesiątki krwawych smug kreślą drzwi głównego wejścia, przez które nadal usiłują przebić się ptaki, niekiedy z powodzeniem, krople białej mazi spływają z...

Stop.

Reverse play, 14:28:07; służba porządkowa usuwa ostatnie ślady wypadku z porami. Na trzecim piętrze staruszek przestał machać rękami, z powrotem zapanował porządek, ludzie są odprężeni, podjęli wędrówki między półkami ze świeżą żywnością. Na jedyńce jakaś indiańska rodzina wysiada z pick-upu, zielony pontiac parkuje na miejscu dla niepełnosprawnych, chłopak i dziewczyna popychają przed sobą wypełniony wózek, mężczyzna w szortach zamyka bagażnik samochodu. Na dwójce ludzie, którzy wychodzą, mijają tych, którzy wchodzą. Na trójce dwadzieścia osób cierpliwie stoi w kolejce do czterech kas, żeby zapłacić za zakupy. Jakaś para z uśmiechem obserwuje dziecko przymierzające nowe ubranie.

Niecałą godzinę później wszędzie panuje panika, trwająca od trzech do czterech minut.

I potem już nic: do chwili kiedy o godzinie piątej rano pojawia się ryś rudy, żeby na dachu czarnego bentleya wylizać sobie łapę. A w ślad za nim setki rabusiów, i szef ochrony przykuty do swojego ergonomicznego fotela wcale tego nie widzi, bo już nie ma czaszki ani nawet oczodołów, przez które wiatr...

Stop.

Nie trać głowy, Stevens, nie przeocz zachodu, chodziło ci o lotnisko, pamiętaj, że zamierzałeś coś zrobić, zapomnij, co przed chwilą widziałeś, zepchnij to do ciemnego zakamarka, zamknij drzwi i naprzód.

Zamykam drzwi.

Rudy John Chupco to sympatyczny gość. Pożyczył mi swojego odjazdowego pick-upu, poradził, żebym się nawodnił, a potem wziął kąpiel parową, która uwolni moje ciało od złych duchów, a gdybym mógł jeszcze umyć włosy, to byłoby już całkiem super. Detalami folklorystycznymi zajmie się on. OK, powiedziałem, OK, kiedy, popijając małymi łyżkami trzecie piwo z sześciopaku Budweisera, pokazywał mi drogę na lotnisko w Tampa Bay. Twoim celem jest Houston, NASA, pierwszy ośrodek kontroli lotów kosmicznych, tam muszą wiedzieć. To bardzo proste. OK. Fajne są te nowe prawa jazdy, nie? Naprawdę jesteś adwokatem, Rudy? Dobrze wiem, że odpowiedź słyszę tylko w swojej głowie:

- A co, myślałeś może, że jestem lekarzem? Jestem adwokatem, tak, adwokatem posiłkowym, powiedział, śmiejąc się. Dziwi cię, że umiem czytać?

Nie odpowiadam. Dobrze wiem, że mówię do niego tylko w mojej głowie.

- Przyjechałeś kupić żonie sukienkę?

- Ojjoj, wyobraźni ci nie brakuje, stary. Nie jestem żonaty, nie. Towarzyszyłem

jednej z moich przyjaciółek, Janet, mieliśmy kupić dla trójki jej dzieciaków parę rzeczy na kiermasz szkolny.

- Ach, tak. I nic nie znaleźliście?

- Po prawdzie nie bardzo mieliśmy czas. Ale może pogadamy o czym innym, co? Na przykład o Janet, oto dobry temat, to mnie prawdziwie rajcuje. Otóż Janet jest z plemienia Oglala, to już dwanaście lat, jak wyjechała z Pine Ridge za jednym Seminolem¹³. Poznali się na jakimś indiańskim festiwalu *pow-wow* w Oklahomie i ten debil Haney od razu wpadł jej w oko. Trzeba powiedzieć, że wtedy jeszcze nie pił, a Janet tylko takich знаła, facetów, którzy piją, kobiety, które piją, dzieci, które rodzą się z syndromem alkoholowym, no więc Haney w tym swoim nieskazitelnym białym garniturze, metr osiemdziesiąt i wypielęgowane warkocze, nie wspominając już o jego dyplomach i obnoszeniu się z szacunkiem dla tradycji i tak dalej, zwyczajnie ideał, spodobał jej się. I ona mu się spodobała, nic dziwnego, piękna z niej kobieta, i potem pojechali do niego na Florydę, bo wrócić do Pine Ridge też jej się nie uśmiechało. Urodziła im się trójka dzieci, pięknych dzieciaków, ale ich małżeństwo zaczęło się sypać po tym, jak Haney'owi nie uznano tutaj ważności jego doktoratu z antropologii fizycznej, z jakich konkretnie powodów, już dokładnie nie wiem, ale faktem jest, że od tego czasu zaczął pić, pił, jakby miał do nadrobienia lata abstynencji, jakby dotąd migał się od jakiegoś obowiązku wobec rodziny, a znów ona zaczęła głośno żałować, że za nim pojechała i że nigdy nie mogła sobie pozwolić na podróż do Pine Ridge, gdzie mogłaby zobaczyć znów swojego *oyate* - uwaga, dziura! Za szybko jedziesz - i odnowić kontakt z własną rodziną itd. Oskarżała, że ją rozdzielił z jej plemieniem, że od początku żył na jej garnuszku i że wszystkiego się bał. Aj, prawdziwe tu pobojuwisko! W każdym razie znasz tę gadkę. Właściwie klasyka. Tyle że kobiety Oglala nie są ułomkami, w dniu, kiedy Haney podniósł na Janet rękę, wylądował na piętnaście dni w szpitalu. Wtedy uśmiełem się z tego jak nie wiem, przyznam ci się, że już wtedy byłem Janet... zainteresowany. A za Haneyem nigdy nie przepadałem, to jego odstawianie wielkiego mędrca, i ciągle: a to tradycja, a to przodkowie, gdy tak naprawdę temu kretynowi chodziło tylko o białych, żeby być uznanym przez białych, żeby jeść przy stołach białych, żeby wyklądać na ich uniwersytetach, trzeba było widzieć, jaki nosił garnitur, jak rdzenny Anglik, i krawat z windsorskim węzłem, wypisz, wymaluj książkę Walii, i to z warkoczami! Skręć na prawo, ale pieprznik tam dalej, widziałeś?

- Mhmm.

- No więc na posiedzeniach Seminoli utrzymywał, że nawet będąc czystej krwi,

¹³ Seminole - Indianie Ameryki Północnej, jedno z Pięciu Cywilizowanych Plemion; grupa językowa muskogi.

jesteśmy mieszańcami, jesteśmy niecywilizowani, i nie należy z tym walczyć, tylko z tego korzystać, jesteśmy dwoiści i w tym nasza siła itp. Tyle że przy pierwszej przeciwności losu od razu wyklada się jak długi i jęczy, i wije się jak wielki pędrak, przeklina świat i życie, a za to, co zarobi żona, wlewa w siebie codziennie kilka sześciopaków piwa i tak dalej. Mięczak. Kręcił się przy monopolowych z miną faceta, którego obrabowano i któremu się od życia wiele należy. Chętnie bym mu dał w mordę, ale nigdy nie przyszedł lamentować pod moimi oknami, więc trudno, ostatecznie nie miałem okazji. I żałuję. Bo widzisz, Janet została moją przyjaciółką. Po prostu przyjaciółką. Jej dzieci nazywają mnie wujkiem, ale ona zawsze Rudym Chupco, swoim starszym bratem. Tymczasem ja, kiedy ją widzę, od razu myślę o jej brzuchu, o jej futerku, o jej jędrnych pośladkach, o tym, jak musi dosiadać mężczyznę, kiedy się z nim kocha i... No dobrze, tak czy inaczej bójka z Haneyem nic by nie zmieniła, to pewne, ale... Hej, czy ty mnie słuchasz, Roiq? Rozmawiasz z duchami?

- Mhmm. Dojeżdżamy. Przydasz się do czegoś w samolocie?

- Pewnie! Do rzygania w plastikową torebkę. Mam trochę nadwrażliwe ucho wewnętrzne. Za to mogę ci pomóc uprzątnąć teren, w siedemdziesiątym drugim byłem w piechocie morskiej.

- Co ty powiesz. Nie widzę związku. I masz może *Navy Cross*?

- A mam, czemu pytasz?

Lotnisko było kompletnie zdewastowane. Budkę wieży kontrolnej skosiło skrzydło boeinga 747, który rozbił się dalej z ogonem zadartym do góry i dziobem wbitym w bruzdę głębokości ośmiu stóp, którą wyłobił w trawie. Samoloty, które startowały, i samoloty, które lądowały, pospadały bezwładnie, hangary obok pasów startowych poszły wszystkie z dymem, a szerokie smugi paliwa ciągnęły się aż po wypatroszone budynki. W trzech głównych strefach podchodzenia do lądowania ziały wyrwy wielkości domu, jakiś dc-10 zaklinował się głęboko w budynku lotniczego dworca towarowego, płyta manewrowania była zawałona maszynami a320 i caravelle, które ledwie zdążywszy opuścić miejsca postojowe, od razu powjeżdżały jedno w drugie, a limuzyny kursujące między miastem a lotniskiem rozrzuciło aż po boczne pasy startowe. Rozpalone powietrze drgało nad pasami lotniczymi, drgało nad spopielałymi szczątkami budynków i zniszczonych samolotów. Słońce przytłaczało żarem zatokę Tampa, z głębi której między szkieletami zatopionych airbusów niosły się przenikliwe krzyki manatów. Słońce mnie dobijało.

- Więc jak, Rudy, co robimy?

- To proste, stary, znajdujesz jakiegoś apache'a ah-64D, czy coś w tym guście,

startujesz, wybierasz tor, który chcesz oczyścić, i lotem koszącym zrucasz na niego pociski Hellfire. Dwa razy zanurkujesz i po sprawie.

- Apache'a, powiadasz?

- A jakże, ty też to zauważyłeś, w gruncie rzeczy wszyscy Amerykanie są *wannabee*. Są *want to be*. Jak kupują wóz terenowy, to będzie cherokee, jak wyruszają na wojnę, to będzie apache i spółka, u jednego boku tomahawk, u drugiego skyhawk i do dzieła. Po mojemu nigdy się nie podnieśli po bitwie nad Little Bighorn z dwudziestego piątego czerwca tysiąc osiemset siedemdziesiątego szóstego, kiedy to Boy George Custer pozwolił się pokonać Lakotom, to był początek końca białych ludzi. Myśl sobie i mów, co chcesz, ale potem w głowie było im już tylko jedno: stać się właśnie nami, Czejenami, istotami ludzkimi¹⁴.

- Skończyłeś już, Rudy?

- Ach, rozumiem, pan Roiq nie lubi dygresji, pan Roiq Stevens ma co innego na głowie. Na przykład jak się stąd wynieść i pogrzać prosto do Houston, gdzie ma nadzieję odnaleźć swoich szefów i zastępców szefów, swoje drobne nawyki człowieka cywilizowanego i wszelkie wygody. Panu Roiqowi Stevensowi się spieszy, Rudy John Chupco ze swoim starym pick-upem, swoim *Navy Cross* i swoimi nudnymi opowieściami o Janet zaczyna mu działać na nerwy, ale jeśli chcesz mojej rady, stary, za bardzo się nie spiesz, coś mi się widzi, że w Houston tak znów na ciebie nie czekają. Intuicja rdzennego Indianina, że tak powiem. Nie patrz tak na mnie, ja mówię tylko to, czego ty nie chcesz pomyśleć. A zresztą przecież widzisz, że pasów też nie da się oczyścić, więc mój pomysł z apache'em jest świetny. Znajdź jakiegoś, zatankuj do pełna, staruj i pomyślnych wiatrów. Na lotnisku cywilnym nie ma apache'ów? I co z tego? Na ziemi są sami Apacze.

Słusznie. Na polu postojowym ocalał hangar spalony tylko do połowy i był to hangar śmigłowców. Pod jego ostatnimi, osmalonymi stalowymi dźwigarami tłoczyły się jak przerażone kurczaki stary bell 47, g3 bez wirnika, sikorsky i lama na pozór w dobrym stanie. Podjechałem pick-upem mojego przyjaciela Chupco pod maszyny i po pobieżnym przeglądzie wsiadłem do sikorsky'ego s-76 z dwoma silnikami turbinowymi typu Ariel. W sam raz do Houston. Tam mi wszystko wytłumaczą. Będzie dobrze. Tring mi wytłumaczy. Na Bay Area Boulevard 711 w Houston urzęduje facet, który wszystko rozumie, będzie dobrze.

¹⁴ Czejenowie - Indianie Ameryki Północnej. Pochodzą z Minnesoty, gdzie przez Indian Dakota byli nazywani *cheyenne* - „ludzie mówiący obcym językiem”. Czejenowie sami nazywali swoje plemię *Tsis tsis'tas*, czyli „Ludzie”.

Nazywa się Tring, jest moim kumplem. OK. Znaleźć paliwo, określić położenie, zrobić rundkę po torze i wynosić się.

Chupco miał rację, to lotnisko przegranej wojny mnie przygnębiało.

Tym, co powinienem był rzecz jasna zrobić, to było sprawdzenie śrub. Albo przynajmniej odmówienie jakiegoś BTFCPURPUR sprzed wojny: *Brake, trim, flaps* itd., ale nie. Zatankowałem tylko do pełna i, żeby nie oglądać gęby i pustego spojrzenia Rudy'ego Johna Chupca, wystartowałem bez modlitwy, z drażkiem skoku przyciśniętym do brzucha. Wirniki były w porządku, pedały sterowania reagowały jak trzeba, ariele bez klekotania spokojnie mruczały, uznałem, że na razie to wystarczy.

Brak mapy oznaczał trzymanie się wybrzeża, a ja na szczęście nie miałem mapy. Jaime Roiq Stevens nie miał mapy i przypuszczalnie to go uratowało. Gdyż, zamiast wziąć kurs na przełaj przez Zatokę Meksykańską, starannie ją okrążył, od niechcenia obserwując różne Wacassa Beach, Appalachee Beach, Port St. Joe i Fort Walton Beach defilujące płasko pod jego płozami. Obserwując i niczego nie widząc. Wpatrzony w ziemię, szukał jakiegoś znaku, ognia, śladu, szukał na polach i na białym pasie wybrzeża, nie zwracając uwagi na kontrolkę lotu, wysokościomierz, przyrządy pomiarowe, wpatrzony w ziemię, szukał, ale nic nie widział.

I w ostatnim momencie, gdy pierwszy wstrząs już nastąpił, helikopter znalazł się w samym środku chmary białych ptaków, a łopaty śmigła zdążyły się dwa - trzy razy obrócić w skrzydlatym stadzie nastroszonymi piórami i bryzgającym krwią, pierwsze czerwone smugi zdążyły się już wszędzie rozsnuć na podobieństwo woalu, to w tym właśnie momencie, tak, pod wpływem łagodnego jeszcze zderzenia z gęstą chmarą stworzeń lepiej odżywionych, cięższych, bardziej opierzonych i o bielszych piórach, to wtedy przypomniałem sobie, że nie mam spadochronu. Nie wziąłem spadochronu. Do helikoptera nigdy się nie zabiera spadochronu. Mój wirnik i ja sumiennie mieliśmy małe śnieżne gęsi, a ja nie mam spadochronu.

Prawie natychmiast zaczął się taniec. W prawo i w lewo, w szybkim tempie wytracając wysokość, ciąłem szerokimi zamachami drażka sterowego w brudnym, śmiertelnie osłupiałym lodowcu, dziko wrzeszczącym za zasłoną mojej zakrwawionej woalki i za moimi nabiegłymi krwią oczami, moim mózgiem. Durne, spanikowane stworzenia zdawały się podążać za każdym wymijającym manewrem jak wessane, jak zafascynowane lub wciągnięte podmuchem głównego wirnika, który jednakowoż z trudem się obracał, jak śruba roweru wodnego w gąszczu długich podwodnych łodyg nenufarów. Szlam, biały arktyczny szlam

podążał przede mną, podążał za mną, uprzedzał moje ruchy i próbował wszystkiego, żeby mnie uśmiercić. Żadnego odskoku w bok, tylko wciąż niżej, bydlęta jak pierze zbutwiałej pierzyny oblepiały mi łopaty śmigła kleistym ryżem. Jeden z zadyszanych arieli zakrztusił się i umilkł z gwałtownym podrygiem konającego, a wtedy helikopter zdołał wykonać wreszcie odpowiedni zwrot. Ale już drugi silnik odblokował się i w tym samym momencie zobaczyłem, jak chmara dzikiego ptactwa wzbija się ponad śmigła, odrywa się, odkleja ode mnie, a ich krew, skutkiem nieustannego ściekania, ledwie spowolnionego szybkością odruchowej autorotacji, również wzbija się w górę kabiny, zasychając, pokrywając się spękaniem i płatom odpryskując. Wykonałem serię gwałtownych zwrotów pod wiatr z zamiarem strząśnięcia ciał ptaków blokujących śmigło, jednocześnie maksymalnie napierając na dźwignię mocy. Tym razem nie nadążałem za wysokościomierzem. Już tylko jego wskaźnik widziałem na tle mętnych jedwabistych wód coraz bliższej delty. Powietrze świszczalo, ślizgało się, bębniło po blasze, naciskałem, kaszlałem, żeby im pokazać, wiedziałem, że jeszcze chwila, a silnik załapie, kiedy kapitan Lawson obiema rękami wyrwał mi drążek - A TO KTO? - kwicząc jak orka, której podrzynają gardło. TO MÓJ STRACH! Cholerny biały żółtodziobie, oddawaj ster, bo nas pozabijasz. Był szalony, już był szalony, już mu kiedyś przed laty dałem w mordę, już odzyskałem panowanie, a skok maszyny był tak silny, że owszem, łopaty teraz mieliśmy oswobodzone, ale silnik pod fotelem wciąż nie działał, pieprzony skurwielu, nic się nie zmieniło.

Trzy lub cztery sekundy. Raczej trzy. Trzy sekundy w zupełności wystarczyły, żeby w kabine znalazło się również dziesięcioletnie dziecko uczone dźwigni zmiany prędkości obrotowej, ze zbiegającymi, zaciśniętymi szczękami, z krwawymi wybroczynami na stawach, spoglądające na mnie z wyzwaniem czy z wściekłością w czarnych oczach, oraz stateczna, pełna rezerwy młoda kobieta w białej sukience z emanacji - nie robiła nic ani nie mówiła, ale jej obecność działała jak fala, dopóki Lawson siłą nie odebrał z powrotem drążka sterowego.

W ciągu tych trzech sekund odbyliśmy we czwórkę świetną rozmowę, a Lawson trochę się uspokoił, stwierdzając, że już o wiele za późno, żeby po raz kolejny odbierać mi ster i dalej się szarpać. Ziemia, a w tym konkretnym przypadku delta, bagna, których wody nie były już jedwabiste, tylko drobno sfalowane i błotniste, nie zbliżała się, jej powierzchnia nie przyspieszała już z szaloną prędkością; ona się zapadała. Chupco mi wyjaśnił, że to zjawisko powszechne i normalne, zwłaszcza przy uszkodzonym spadochronie. On sam przeżył to w Wietnamie, zanim plecak jego spadochronu zdecydował się z głośnym trzepnięciem *in extremis* otworzyć jak kwiat, prawie mu rozrywając klatkę piersiową. Nic jeszcze nie jest stracone, odkrywałem swoje dawne doznania pilota, owszem, równie dobrze

można wylądować też na płozach jak hydroplan i bez silnika, to kwestia fizyki, więc dalej, Holly Beach. Holly Beach. i wyskoczyłem z rozdygotanej, trzeszczącej, płonącej maszyny w chwili, kiedy ziemia podskakiwała po raz trzeci, miażdżąc płozy pod brzuchem bestii, zapewne wyrzucony z kabiny nawrotem siły ciężkości, ale wciąż żywy. Sikorsky dalej zarywał się w błoto, widziałem, jak wśród połamanych trzcin miksuje grunt ze zbutwiałą wodą, widziałem jeszcze zakrzepłą biel, krew między łopatom, aż w końcu zatknięty w ziemię jak pochodnia, wbity jak pal eksplodował.

Holly Beach. I nadal nikogo. Helikopter przez całą noc płonął nad brzegiem morza.

Nazywam się - *mienia zawut* - Jaime Roiq Stevens.

To moje imię i nazwisko od jakichś trzydziestu sześciu lat. Dobrze wiem, co się stało. W krytycznym momencie lotu odbyłem kilka rozmów, to było wczoraj. Rozmawiałem też z martwym człowiekiem w Tampie, to było przedwczoraj. Nazywał się - *on przyzwan* - Rudy John Chupco. Na własne potrzeby (potrzeba towarzystwa) wskrzesiłem go na podstawie jego prawa jazdy.

Potem znalazłem się w spadającym helikopterze wraz z sobą jako dziesięcioletnim chłopcem, rozpoznałem siebie i rozmawiałem ze swoją emanacją. To było wczoraj.

Normalnie coś takiego, dobrze wiem, jest niezbyt zdrowe. To znaczy normalnie coś takiego byłoby niezbyt zdrowe. W normalnych okolicznościach ja pierwszy uznałbym to za podejrzane. Ale obecnie, w sytuacji, w jakiej się znalazłem - oba wybrzeża Florydy rozplynęły się, ani żywej duszy na Holly Beach, ani żywej duszy od samej Tampy - święcie wierzę, że mogę ucinąć sobie pogawędki bez obaw o własne zdrowie psychiczne.

Tak jakbym eksplodował razem z sikorskim. Nieważne.

Nieuniknione było, że mój strach będzie się nazywał Lawson. Coś mi podszeptało, że na imię mu Lincoln. Lincoln Lawson. Ale to nieważne.

Potrzebne mi towarzystwo.

Dla mnie zdrowe - to mieć z kim porozmawiać.

Po prostu nabiorę nieco dystansu, będę zapisywał wszystko, co robi Jaime Roiq Stevens, będę to zapisywał. Zrobił to, zrobił tamto. Tak jakbym oglądał siebie z oddali. Zanurzył ręce w zbutwiałej wodzie, żeby obmyć z siebie pot po nocy, którą spędził, wpatrując się w Zatokę Meksykańską przez zasłonę czarnego dymu znad płonącego sikorsky'ego. Pomyślał to, tamto, na nowo urosła mu broda, przestał o sobie dbać, rozmawiał z tamtym, z tym i z owamtym. Jeśli z Lawsonem, zanotuję. Jeśli pojawią się jakieś inne emanacje, zanotuję. Skrupulatnie. Zanotuję wszystko, co mogę. Obojętnie jak się będą nazywały. Tym sposobem, kiedy najdą mnie wątpliwości co do własnego zdrowia psychicznego, wystarczy, że otworzę dziennik i od razu zobaczę, czy w tym a tym względzie Jaime jest zdrowy na umyśle. Przy pewnym dystansie od razu się widzi takie rzeczy. To, czy przeżyję, zależy od mojej szybkości reakcji i od mojej wewnętrznej elastyczności i spójności. Jeśli moja wewnętrzna spójność musi przejść przez zewnętrzne emanacje, to przez nie przejdzie. Chcę powiedzieć, że jeśli nie może się bez nich obejść, to przez nie przejdzie. Skoro już, to lepiej się uzewnętrznić niż zamykać w sobie.

Czuję, że przychodzi mi stawić czoło sytuacji wyjątkowej. Wytrenowano mnie tak,

żebym umiał sobie radzić w sytuacjach skrajnych - szybko. Wytrenowano mnie tak, żebym odpowiadał na pytania, naprawiał wszelkiego rodzaju wycieki, reagował z zimną krwią, kalkulował szybko. Znam na pamięć właściwe rozwiązania mnóstwa znanych problemów, wszystkiego się wyuczyłem, niczego nie zapomniałem, ale pamiętam też, że czasami rozwiązania trzeba samemu wymyślać. Stosować posunięcia doraźne, załatwiać wpierw to, co najpilniejsze.

Prywatny dziennik pokładowy Jaumego Roiq Stevensa, spisywany przeze mnie, Jaumego Roiq Stevensa, jest jednym z takich właśnie posunięć doraźnych. Muszę się rozdzielić. Jeśli będę się musiał rozdzielić, rozdzielię się.

Niechronnie trzeba mi będzie wymyślać innych.

Jaume Roiq Stevens.

Od samego początku chce się dostać do Houston. Od kiedy wrócił na ziemię, a tu ani żywej duszy, żadnego wyściełanego fotela, zero kwiatów, nikt nie pofatygował się, żeby go przywitać, od kiedy w dodatku zobaczył Florydę roztopioną, wyludnioną, nietkniętą - chce się dostać do Houston. Porządnie ich opieprzyć. Powiedzieć, że nie warto było się tak wysilać, w ogóle. Naprawdę, gotów byłby spędzić długie miesiące w więzieniu tylko po to, żeby móc powiedzieć, witaj, dzień dobry, dotknąć czyjejś ręki. Nieważne czyjej, w jego sytuacji nieważne nawet czyjej, z pieśnią na ustach odsiedziałyby trzy lata za jeden uścisk dłoni.

Odchodzi. Helikopter już prawie przestał dymić, zamienił się w kupę popiołu, a Jaume wyciągnął z leja w piasku swój plecak, poczerniały, poszarpany, ale z wciąż przytroczonym pasami kompresyjnymi pistoletem maszynowym. Pozbierał, co się dało, a potem w szortach, w gorącym już świetle wczesnego poranka, powoli, krok za krokiem, z kaburą objającą się u boku, ruszył do miasta. Holly Beach.

Pierwszym napotkanym samochodem był mercedes 350sl, teksański, z trofeum w postaci długiego rogu na przednim zderzaku *my gun, my car, my bugle*. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, Jaume przywłaszczył sobie stetsona poprzedniego właściciela, być może multimilionera i dentysty, nieważne, machinalnym gestem wyrzucił wszystkie ubrania. Won. Od Holly Beach do Houston autostradą międzystanową nr 10 - Bayton East Katy Freeway - było jakieś dwieście, dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Z mapy należącej do dentysty wyraźnie wynikało, że najkrótsza droga prowadzi przez Westlake i Beaumont, ale Jaume Roiq Stevens zaczynał się już orientować w nowych realiach i wybrał wybrzeże; im mniej uczęszczana droga, tym lepiej.

Mijał długie kilometry bagien i znów te cholerne rzadkie ptaszyska, małe śnieżne gęsi oraz wszelkie inne formy skrzydlatego życia w chmarach tak zwartych, że miejscami, kiedy udało mu się poderwać całe stado w górę, ciemniało niebo. Na ziemi wciąż musiał hamować. Jak wielkiego, opornego byka prowadził mercedesa między wrakami na drodze, wytężonym slalomem, z piskiem opon, a rozpędzonym samochodem kołysało przy tej szybkości zmian kierunku jak wielkim, znękanym statkiem, jak potężnym, nadspodziewanie gibkim babskiem, jak dziesięcotonową, rączą i giętką dziewczynką, jak słoniem.

Kiedy pojawiała się przed nim dwieście metrów bez przeszkód, Jaume Roiq patrzył na mijane trzciny, całe pola zielonych, doskonale poziomych trzciny, tylko gdzieś tam przecinanych błotnistymi polankami, ledwie sfalowanych wiatrem. Ileż to aligatorów, zastanawiał się, ile kaczych jaj, ile mokasynów, ile sumów z wielkimi gardzielami, ile żółtych protonotariuszy, ile pospolitych kanarków roi się w tym niepozornym trzęsawisku. Wyczuwał to ohydne życie mimo woli, mimo klimatyzacji w wozie milionera, pomimo lekko

przyciemnionych szyb, przez jego luksusowy kapelusz i poprzez swoje doznania kierowcy kołysanego zawieszeniem; wyczuwał całą ostrą szorstkość tego kobierca trzcini. Jego zieloną, zbyt masywną obecność, jego nieokreślone, mdlące falowanie. Jazda przez Sabine National Wildlife Refuge była chyba najgorsza z wszystkiego. Nad łąkami zieleni górowały wielkie pierzaste czaple egretty, histeryczne, okropnie białe i strzeliste, paradne sztylety szybujące swobodnym lotem i hałaśliwe. Od czasu do czasu drogę przecinały zwarte eskadry fioletowych kolibrów bzyczących jak osy, jak przepływ elektryczności, co sto metrów trzymały wartę trójkolorowe czaple, na jednej nodze i zawsze profilem, ostrym jak kordelas, hieratyczne, doskonale debilne. Jaime Roiq rozjechał ich, ile tylko zdołał, ze trzydzieści. Ale kiedy zobaczył tę koszmarną masę różowości, warzéch z dziobami jak wielkie i płaskie łyżki wazowe, powiedział sobie: nie. Ostatecznie tędy nie jadę. Lincoln Lawson, który od pierwszej dostawy wielkich piór rozsiadł się na tylnym siedzeniu, przyznał mu rację.

- Okrążysz przesmyk Sabine, pojedziesz wzdłuż jeziora i potem na Port Arthur. Mapa dentysty...

- A ty co tu robisz?

- Jaime Roiq Stevens, robię, co mi się podoba i cię wkurzam, jasne?

- Jak zwykle elegancki. Toś nie utknął na dobre w tym helikopterze?

- Chciałbyś. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Skręć tu. Tutaj!

Jaime Roiq więcej się nie odezwał, poprzestając na wykonywaniu poleceń swojego pasażera i zerkając od czasu do czasu drugim okiem w lusterko wsteczne. Zresztą jazda autostradą międzystanową nr 10 nie była wcale łatwa i za Winnie musiał się mocno skupić, żeby utrzymać szybkość. Houston rumowisko, Houston już blisko.

Teksański Bank Interfirst powitał J. R. Stevensa i jego przygodnego pasażera swą słynną dewizą: *We believe in Houston*. Jaime już widział, że odgłosy, że brak odgłosów miasta, że nieobecność miejskiego szumu wyraźnie wskazuje, iż teksański Bank Interfirst raczej już nie wierzy ani w nafcjarzy, ani w cokolwiek. Ale myśl ta wzbudziła w nim wewnętrzny sprzeciw. On sam chciał się dostać do Clear Lake, Bay Area Boulevard 711, trzecie piętro. Kiedy na poziomie zjazdu 610 przednią szybę mercedesa dentysty przecięła linia horyzontu miasta, Jaime Roiq odebrał to jak policzek. Wszystko stało na swoim miejscu, Penzoil, Republic Bank o trzech szczytach, wielki okrągły wieżowiec Hinesa i cała reszta. Zatrzymał mercedesa na chybił trafił, co za różnica, chciał tylko na dwie sekundy przystanąć, wysunąć głowę przez okno i popatrzeć. Na wielką fasadę bankowego centrum Houston, sztywną na tle nieba, pionową. Ledwie jednak wyłączył silnik, na samochód zwała się cisza znana z Tamy, trafiając Roiq Stevensa prosto w splot słoneczny. Spięty, spięty jak

struna, zaczął cicho rzeźnić, żeby choć trochę zagłuszyć tę bladą, głuchą furję, która ogarnęła go w samym sercu unicestwionej przestrzeni jego bliźnich. Zaalarmowany dziwnym odgłosem, jak szczęk zamykanej na kłódkę piwnicy, Lawson wyrwał mu z kabury spluwę, trzykrotnie wypalił i na tle rozbrzmiewającego wciąż echa kanonady włączył silnik.

- Oddychaj, chłopcze. I jedź do Gallena Park, musimy znaleźć Gallena Park 45.

Nie chciał słyszeć niczego oprócz odgłosu silnika, niczego z zewnątrz, niczego innego. Poczuł wręcz ulgę, zostawiając za sobą panoramę miasta, sztywną w rozedrganym powietrzu. Clear Lake, Clear Lake, myśl tylko o Clear Lake, tak jak cię uczyli: jedna rzecz po drugiej, jedno po drugim. Nic nie wiesz, nic w Houston nie zobaczyłeś, nic osobliwego, budynki stoją, jak stały, wszystko zostało na swoim miejscu, trwa w gotowości, nic w Houston nie usłyszałeś, nic szczególnego. Powoli jego serce znów zaczynało bić normalnie, wiesz, serce sportowca. Oczywiście, Mashburn, oczywiście, znasz przecież facetów, którzy ćwiczą po pięć, sześć godzin dziennie, a po pierwszym kilometrze ledwie mogą złapać oddech? Nie, takich nie znasz. Już blisko. 1350 NASA Road One.

- Przetnij El Camino Road, skręć w piątą w lewo.

Jaume prowadził mercedesa okrakiem po linii między poboczem i pasem awaryjnym. Chociaż starał się nie patrzeć, widział makabryczny bulwar zapchany samochodami, zasłany śmieciami. Jechał, ocierając się o bandy i ściany, jak mu pasowało. Straciłem już mnóstwo czasu, myślał.

- Bay Area Boulevard 711, nie wychodź bez broni.

- Wolne żarty. - Pomyślał Jaume z ręką na kluczyku stacyjki.

Numer 711, który był zawsze dziwaczną budowlą, wydał mu się nagle nieopisanie swojski. Jak własny dom, poczuł się, jakby wracał na własne śmiecie, rozpoznawał bryłę ze szkła i ze stali, ciemne belki, śruby wielkości dłoni, szachownicę marmurowych płyt fasady. Posadzki ułożone w romby i prostokąty, dokładnie takie, jak je zapamiętał.

- Zaczekam tutaj. Nie wyłączaj silnika.

- OK, Lincoln. Nie denerwuj się.

Swojskie były windy widoczne przez obrotowe drzwi, swojski pulpit recepcji, tekowe fotele na parterze, popielniczki na aluminiowych nóżkach. Jakby wracał do własnego domu po miesiącach, po latach nieobecności, i tak dokładnie było, z tym że Bay Area Boulevard 711 nie było jego domem, nie bardziej niż co innego, niż inne miejsca, w których pomieszkiwał w okresach wciąż krótszych, wciąż bardziej ograniczonych, bardziej skoncentrowanych; nie bardziej niż jego dacha w Lenińsku, może mniej, ale tak jakby wracał do siebie, a w środku ktoś na niego czekał, ktoś, kogo uprzedzono, że się zjawi, i komu czas

upływałby na czekaniu na niego, konkretnie na niego, kto znalazłby go, a może nawet kochał, obojętnie w jaki sposób; posuwał się naprzód jak przez blok ciepłej waty. W zwolnionym tempie, w całym ciele czuł pulsowanie, usta miał kompletnie wysuszone. Skradał się do potrójnych szklanych drzwi jak kot, rozglądając się na wszystkie strony, szedł, uprzedzając wahadłowy ruch ciężkiej przezroczystej struktury, przygotowując się na kontakt z nią. Ale drzwi nie obróciły się wokół własnej osi. Drzwi nie otworzyły się, nie ustąpiły przed nim, zmuszony był powoli pozbyć się złudzeń. Powoli opuścił wzrok na coś, co nie pozwalało drzwicom obrócić się z poszumem sunącej po podłodze szczotki. Silnik mercedesa pracował, słyszał go, tymczasem on utknął przed szybą obrotowych drzwi, czując na plecach taksujący wzrok mercedesa lincolna. Ten rasowy okaz, wytwór ośmiu pokoleń hodowców bawełny, obserwował go z tyłu jak czteromiesięcznego cielaka stojącego przed swoją pierwszą przeszkodą. Jaume Roiq pod wpływem spojrzenia mercedesa lincolna, który mruczał na niskich obrotach i nawet przez moment nie spuszczał z niego wzroku, chcąc poznać jego wartość i tajniki jego duszy, poczuł, że sprawa jest honorowa i praktycznie wyceniona przez giełdy. Bezlitosny handlarz bydlę stawiał mu czoło i zaglądał w zęby, obmacywał boki, jaja, i cierpliwie, bez pośpiechu czekał, aż się zdecyduje, aż się ujawni, aż pokaże, do jakiego rodzaju zwierząt należy.

Walach czy ogier. Lew. Hiena. Szkapa.

Jaume Roiq w trzy sekundy wyszarpnął z kabury p. 38 i wymierzył go w mercedesa lincolna 350 sl byłego dentysty:

- Wylaź!

Nie poruszał się już w wacie ani w ciepłej lawie wzruszenia wywołanego powrotem do domu, poruszał się szybko. Nawet się nie pofatygował, żeby zamknąć drzwi samochodu, tylko z trzydziestometrowego rozbiegu rzucił się na szklane drzwi budynku na 711 BAB, jawiącego mu się teraz jako jedno z tych wielu miejsc, po których powinien nosić żalobę. Swojskich, a zarazem dziwnie obcych. Opuszczonych.

Prawie nastąpił na zwłoki kojota, które zablokowały mechanizm obrotowy wejścia do budynku na 711 BAB i które teraz, wysuszone i zredukowane do chudego dywanika cuchnącej skóry, spoczywały przywalone stoma kilogramami odłamków szkła, pozostałości po jego, Roiqa wtargnięciu. Szyba mercedesa bezgłośnie pękła, kiedy stopą odsunął truchło zwierzęcia z drogi i ruszył na trzecie piętro, 711 Bay Area Boulevard, na swoją pierwszą pustynię.

Tempesta, masywny boudrelle i trzy wyściełane fotele, podrabiany empire, nadal zawały korytarz trzeciego piętra szeroki jak hol w banku i parny. Szklana architektura bez

klimatyzacji sprawiała wrażenie martwej tropikalnej oranżerii. Kojot, który utknął w drzwiach wejściowych, zatarasował dostęp do budynku i zabezpieczył go. W zastygłym powietrzu wciąż jeszcze unosił się ów słaby zapach śliwki, który Jaime Roiq wyczuł już w Teatrze Jackiego Gleasona w Miami. Ohyda. W biurze Tringa panował zwykły bałagan. Jednym spojrzeniem Roiq ogarnął sto osiemdziesiąt metrów kwadratowych pomieszczenia; skamieniały dąb niskiego stolika, stara zbroja, ołtarzyk z pulchnym buddą, podłoga zasłana papierami, garnitur Tringa w kolorze pruskiego błękitu, nadmuchany, zwinięty prawie jak ślimak przed trzema rytualnymi kadzidełkami, których szary dym delikatnie osiadł w szczelinach tatami. Jak gliniarzowi w miejscu świeżo popełnionej zbrodni przemknęła mu przez głowę myśl, że rozkładający się kojot stał się czymś w rodzaju pieczęci. Zastygły w miejscu, odtworzył swoje pierwsze ruchy w pomieszczeniu i, wstrzymując oddech, starając się wychwycić, zarejestrować wszystkie szczegóły, podszedł do komputera. To, czego żaden gliniarz nie zdołałby znaleźć, on bez wahania wyłuskał.

Tring był również amatorem poezji. Nieprzeciętny umysł, któremu zawdzięczał swoje powodzenie i niebywałą popularność w hermetycznym światku kosmonautów i prawników, posiadał, jak zwykł mawiać, wielką liczbę szufladek. Jaime Roiq dobrze pamiętał tydzień, który w całości spędzili na piciu i śpiewaniu *Tear Drops in my Heart* i znowu piciu, kiedy to Tring deklamował tasiemcowo długie fragmenty epepei, a Roiq słuchał ich z rozdziawionymi ustami i wytrzeszczonymi oczami. Fascynujące opowieści, jeszcze je pamiętał, o śmierci i o zemście, i o bajecznych stworach. Na zakończenie, rozgrzani ciemnym, mocnym winem ryżowym, wyrecytowali rytmicznym wierszem ostatnie równania z teorii strun młodego Frazera, uzupełniając je od siebie urywkami gardłowej poezji, ryszotokowych przekleństw i magicznych zdań w języku sasak. Tej sławetnej nocy umysłowe szufladki Tringa otworzyły się wszystkie jednocześnie, a on sam jeszcze długo potem był bardzo zajęty odkładaniem różnych spraw na ich dawne miejsce. Jego zeszyt wciąż tu był. Ukryty pod szylkretową intarsją przeładowanego biurka. Jaime wiedział, że jeśli ma się dowiedzieć czegoś o zjawisku, którego skutki poznawał właśnie na własnej skórze i które wymazało z powierzchni ziemi nie miasta, a ludzi, prawdopodobnie całe miliony, dowie się tego od Tringa potrafiącego myśleć o wszystkim. Zeszyt w jego dłoni ważył tyle co piórko, był w nim cały ciężar ciała, które wyparowało. Jaime Roiq trzymał przed sobą zeszyt, nie mogąc się zdobyć, żeby go otworzyć. Musiał usiąść, odczekać, zdecydować, czy ma zostać tutaj, wśród tych mebli, tych papierów, tych śladów codziennego życia zmarłego przyjaciela, czy odejść.

Niezdolny do czegokolwiek, z zeszytem w rękę, kołysał się lekko w zabójczym upale tego termosu, w jaki zamienił się budynek na 711 BAB. Sanktuarium. Sanktuarium jedno z

wielu. Nagle ujrzał ogromny maszyn budynków w Houston, pusty, wydrążony od wewnątrz, podziurawiony do szpiku kości, wyludniony. Mury, bezużyteczne ściany, drzwi zamykające się w próżni, warstwy pięter, stal, szkło, drewno niczego nieodgraniczające, przestrzeń pozbawiona sensu, pusta, wyludniona, wyludniona. Nie zwracając uwagi na resztę rzeczy w pokoju, Roiq podniósł z podłogi marynarkę od niebieskiego garnituru, włożył ją i wsunął zeszyt Tringa do lewej wewnętrznej kieszeni pod kaburą, z którą przelotny kontakt ożywił nieco krew w jego żyłach. Potrzebował obu rąk, obu nóg, wszystkich swoich władz fizycznych, musiał uciekać. Pilna konieczność, *safety*, czerwone światelko w jego głowie. Reklama. Pampasy w ogniu. *El llano en llamas*¹⁵. Stado galopujących krów. Wzbity w górę pył, pył sięgający im po kolana.

- Wylaż, Stevens.

Głos Lincolna Lawsona wrywa Roiq'a z jego milczącego, zastygłego szaleństwa.

- Wylaż z tego gówna, Stevens, jest coś nowego.

Roiq zbiegł ze schodów po osiem stopni, od czasu do czasu skokiem na złączone stopy pokonując całe półpiętro, gdyby dało się otworzyć okna, wybrałby jeden wielki, najszybszy skok, ale się nie dało. Na dole Lawson paluchem czarnym i zakrzywionym jak sępi pazur pokazywał chmurę pyłu, chmurę pyłu, której nie wzbiloby nawet dziesięć tysięcy krów, chmurę olbrzymią.

- Co to jest?

- Nie wiem.

- Spadamy, mam po uszy tego miasta, spadamy.

- Spadamy, no dalej, dalej, spadamy.

Lawson ryczał jak osioł pośrodku autostrady międzystanowej nr 45, darł się, podskakując i machając rękami, twarzą zwrócony ku czemuś, co zbliżało się z oddali i czego nie zdołałoby wzbic nawet stado dziesięciu tysięcy długich rogów, huragan. Pluł, wygrażał pięścią, wypinał tyłek w stronę niesamowitego zjawiska atmosferycznego w sercu pustyni, potwora, którego nawet stado dziesięciu tysięcy krów nie zdołałoby zmusić do zbiegnięcia bodaj o milimetr z drogi.

- Zamknij się, Lawson, i wsiadaj.

- Pieprzę cię, Stevens, pieprzę cię.

- Wsiadaj, głupku. Nie teraz.

Roiq uniósł starego świra za fraki, przez opuszczoną szybę wrzucił go do środka i

¹⁵ *El llano en llamas* - tytuł książki autorstwa Juana Rulfa. Polski przekład pt. *Równina w płomieniach*.

upchnął głęboko w schowku przed siedzeniem pasażera.

- Odbiło ci? Nie mam miejsca, nie mogę oddychać! Otwieraj, łajdaku, bo zaraz zdechnę!

- Zamknij się.

- Otwórz, ciemno tu, ciasno mi, otwieraj!

- Zamknij się, Lawson, od samego początku zawracasz mi dupę, mam już dość twojego biadolenia i twoich kretyńskich poleceń! Pieprzony dyktatorku, co ty sobie, kretynie, wyobrażasz, za kogo się masz, dowodzić ci się zachciało, o co ci chodzi, żeś się tak do mnie przykleił! Co? Siedz teraz w tym schowku, ja ciebie też pieprzę. Jak będę chciał, uratuję się, i to bez niczyjej pomocy.

- Stevens, biedny cholerny idioto, jesteś jeszcze mniej rozgarnięty, niż myślałem. Cały świat się już wokół ciebie nie kręci, najwyższy czas sobie to uświadomić. Skręć w lewo, to jest po lewej.

- Co, co jest po lewej?! Gdzie niby mam jechać? Co jest po lewej?

- Spoko. Skręć w lewo, to najbliższe lotnisko.

- Lotnisko, kurwa, nie dość ci jeszcze lotnisk?!

- Aha, czyli chcesz zostać tutaj, kochasz swoje małe Houston, podrzędny kosmonauto? Te piękne czyściutki budyneczki, wystrzyżone trawniczki, te banki, bankiety i bankierów, tak? Ale tyle ci powiem, że kiedy spocznie na nim oko potwora, stada krów, tysiąca atmosferycznego szajsu, twoje małe słodkie Houston zostanie dokumentnie przerobione i przemalowane, skręcaj w lewo, kretynie. Jak myślisz, na żywą żółć? Na żywy błękit? Zostanie z niego kupa błota, ot co!

- Zamkniesz się, jak cię wypuszczę?

- Skręcaj w lewo, zamykam się. Nic tu po mnie w tym schowku. Jak sam widzisz.

William P. Hobby Airport (HOU). Roiq nie patrzy na nic, wyłącznie droga, żadnych przeszkód, żadnego oka potwora, tylko to, co najważniejsze. Olbrzymia różowa plansza: *Recovery Predicted.*

- Dalej, dalej. Od kiedy to przejmujesz się jakimiś meteorologicznymi bzdurami? Ruszaj się, do kurwy nędzy, jedź dalej!

jBox!

- Co?

- Nic.

- Patrz, tam!

Lawson wskazywał palcem długi pas startowy, jedyne wolne, na końcu którego stał

prosto na kołach boeing 777.

- Piękna robota. Podany na srebrnej tacy, co ty na to, Stevens? Niesamowite, co?

- Mmmm.

Samolot był jedynym ocalałym z fali szaleństwa, która przetoczyła się tędy z siłą kilku potężnych armii. Wszystko było wywrócone do góry nogami, wszystko z wyjątkiem dwóch lub trzech dużych obiektów, jak ten boeing 777 na końcu pasa. Był zatankowany i teraz tylko czekał, aż jakiś żywy człowiek poderwie go w górę. Tym razem Roiq nagiął się do wszystkich rytuałów sumiennego pilota, zaprzysiężonego i odpowiedzialnego za powierzone mu dusze. Lawson nie spuszczał oczu z cyklonu, który zaczynał już pustoszyć północną dzielnicę miasta, od czasu do czasu śląc im proste przesłanie. Arkusz blachy, palmę, lodówkę.

- Na co czekasz, na ogień?

Roiq czekał na podmuch gorącego powietrza, poprzedzający potężne burze i huragany, ponieważ lepiej było wystartować z tą falą, która popchnie maszynę, niż forsować pierwsze, kompletnie nieprzewidywalne turbulencje.

- Tak, na ogień.

jBox! Ogień. El minuscuro vs el Vortex.

- Dokąd lecimy? - spytał Lawson, wydmuchując nos aż po zatoki.

- Bajkonur.

- Nie ma mowy - zaprotestował tamten, sadowiac się na fotelu drugiego pilota - najpierw mnie wysadzisz.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo żeby najpierw ciebie wysadzić, musiałbym przelecieć przez cyklon. Dlatego będzie tak, jak mówię: Bajkonur.

Lawson uśmiechnął się lekko, spoglądając spod oka na faceta w szortach i marynarce od niebieskiego garnituru, który spoglądał prosto przed siebie.

- Sam widzisz, nie możesz się beze mnie obejść.

Roiq wzruszył ramionami i na nowo został sam w kokpicie boeinga 777 w momencie, kiedy z tyłu za nim gorący podmuch cyklonu wyrwał hektar traw i dotarł do jego skrzydeł, wyrzucając ważący dwadzieścia dwie tony samolot liniowy prosto na koniec pasa. We śnie poczuł, jak jego masa odrywa się od asfaltu i chwyta w skrzydła wznoszący prąd powietrza stu tysięcy krów niczym sokół wlatujący w górę pośrodku rzyska.

Pierwszy postój Hermosillo. Drugi - Szanghaj, zmiana samolotu. Trzeci - Kyzył Orda,

Żosały.

Wszyscy nie żyją.

Nad północnym Pacyfikiem, za nim Midway, daleko przed nim wyspy Bonin, zawieszony w próżni pomiędzy dwoma światami, jak okiem sięgnąć, żadnego lądu na horyzoncie, nad otwartym oceanem, w automatycznie pilotowanym samolocie lecącym wzdłuż trzydziestego równoleżnika, Jaime Róiq otworzył zeszyt Tringa.

Coś musiało w nim zostać.

2018.63.314.12

3,1438241000

Równanie trzeciego stopnia.

Równanie. Rachunek maksymalnego zwinięcia szyków, rzeczywista sytuacja marazmu.

Wczoraj w inżynierii panika. Poza zasięgiem radaru, wokół Ziemi, przemieszcza się pokrywa meteorytów. Wyśledzona na podstawie śladów i odcisków; tam, gdzie przeszła, same trupy.

Grenlandia. Pentagon zaalarmowany. Niepotrzebnie: i tak nie zdołamy przeżyć pozbawieni powietrza.

„Dla człowieka pijanego sprawy tego świata są jak chwasty na rzece”.

Antena paraboliczna RT32 (Litwa) przekierowana na obserwację. Wychwyciła masowe poruszenie wędrowniej szarańczy. Szwecja. Brak analizy chemicznej. Za szybko. *Matur tampiasih*¹⁶.

Tym razem już się nie odrodzimy.

Dla pijanego człowieka, Li Lina, targane wiatrem tłumy są jak trawy na rzece.

Wracam do siódmego gaju, pokrywa meteorytów jest naszym niewidzialnym całunem. O odbłaski ilościowo niezmierzone.

Jaime Róiq widział, jak Tring wstaje, wypija duszkiem sake swego ostatniego księżycy, zgina się w origami przed ołtarzykiem Tłusciocha, zapala i wciąga w nozdrza dym trzech kadzidełek i znika. Nie zachwiał się nawet, nie mrugnął okiem. O ostatni odbłasku zgaszony, zdmuchnięty, unicestwiony. Ponieważ Róiq miał mnóstwo wizji nad

¹⁶ *Matur tampiasih* - dziękuję (w języku sasak, z grupy jęz. indonezyjskich).

północnym Pacyfikiem, czuł, że wyprężony korpus samolotu na krzywej trzydziestego równoleżnika to jedyne właściwe dla niego miejsce. Opłakiwał przestrzeń. Wielką, małą chmurę Magellana i śmierć dławiącą, lecz racjonalną, która by go tam w górze czekała.

Szanghaj, czerwone miasto, tętniące życiem, dniem i nocą oświetlone: cuchnące. Wywrócone do góry nogami, puste. Trzeci postój Kyzyl Orda, zmiana samolotu. Żosały.

Chciał się dostać do CUP-u.

Tak samo jak na początku chciał się dostać do Houston, NASA, zobaczyć się z Tringiem i uzyskać od niego wyjaśnienie. Zobaczyć się z Mashburnem i zostać przez niego zdegradowanym. Zobaczyć Inbrucha, Dana, Eda Mishiona, Dosta, Jo Booker, Sokstasa, który powinien tam być, a później Mildred, zobaczyć także innych, wszystkich innych, których nie znał i którzy pilnowali wejścia, albo przynajmniej facetów z firmy sprzątajacej. Wszystkie inne twarze między jednym a drugim odcinkiem ulicy, między jego miejscem na parkingu i pierwszą windą, która zjechała, między przednim i tylnym pomostem wagonu metra.

Na wysokości wyspy Wake przeszedł do kadłuba maszyny. Żeby widzieć, zajął wolne miejsce przed centralnym ekranem kinowym, pośrodku rzędu foteli. Foteli. Zasnął.

Afisz z marionetkami zupełnie pożółkł. Wielka stacja kosmiczna zaczepiona na pięciu sznurkach pociąganych przez Centrum Kontroli Lotów na ziemi wyglądała jak wielka zakurzona zabawka. W dawnej budce strażniczej CUP przy wjeździe do Lenińska¹⁷ już tylko on obijał się o ścianę, poruszany wiatrem. Żadnego wartownika. Liblejew zostawił swoje wielkie spodnie na progu drzwi, jego czapka z daszkiem potoczyła się pod stół. Dobrze chociaż, że Jaume wiedział, gdzie znaleźć butelki. Wziął dwie i trzymając po jednej w każdej ręce, sztywno wyprostowany, o niczym specjalnym nie myśląc, powędrował przez Gwiazdne Miasteczko. Znaleźć swoją dachę i napić się. A jednak panująca w Bajkonurze cisza wydała mu się mniej dojmująca. Samo miasteczko znał już takie jak teraz, smętne, przysypane śniegiem, omiatane lodowatym wiatrem, zaludnione przez cienie. Tak naprawdę tylko sale robocze, pomost izolacyjny, izolotka, keson, hydrolab ożywały w okresach szkolenia. Sale pełne ech i Starlite Kamizlibasz. Przez resztę czasu, kiedy światło zaczynało gasnąć, Lenińsk wycofywał się za swoje zapory, ruch słabł, sylwetki zacierały się, odgłosy tłumilo powietrze, najczęściej ociążałe śniegiem.

Wypił.

Pił szybko, a potem powoli. Nie zmienił pościeli, nie zapalił w piecu, nie zjadł. Pił. Widział księżyc, drżący ponad linią ciemnych sosen. Stojący Gagarin, rosły i prosty jak świerk, a przecież to sosna. Gagarin.

Wiatr wył, kiedy Roiq skończył pierwszą butelkę, drugą ledwie napoczął, specjalna rezerwa Liblejewa. Niczym odległe echa dobiegały go hałasy, pijackie głosy, urywane rozmowy z ich libacji w Starlite. W swojej przegrzanej dachy, trzykrotnie owinięty w kapę z łóżka, wyobrażał sobie, że powróciły błogosławione czasy ich nocnych eskapad. Cztery godziny samolotem do Moskwy, cztery godziny picia i nigdy żadnego problemu. Wszędzie dookoła życie. Zasnął. Obudził się, znowu wypił. Chciałby zatańczyć, ale nie miał siły. Padł, zagubiony, odurzony i rozgrzany, nareszcie znieczulony.

Roiq Stevens, mam wrażenie, przespał wtedy dobre dwadzieścia niespokojnych godzin.

Przeplatając tysiące pieprzonych diabelskich pomiotów Liblejewa z wiązkami zakazanych bluzgów rosyjskich, których uczono początkujących. Wciąż napelniając niezliczone szklanki wódki, które tłukł jedną po drugiej, odrzucając za siebie przez ramię na lśniący parkiet pasa startowego. Napływały do niego obrazy z przeszłości. Stuknięty Liblejew ślizgał się po odłamkach szkła, Książę wdrapywał się na parapet, przysięgając - kto idzie o

¹⁷ Lenińsk - miasto w Kazachstanie (pod tą nazwą w latach 1958-1995). Obecnie Bajkonur. Miasto wydzielone, zbudowane dla pracowników kosmodromu Bajkonur, w pobliżu Tiuratom.

zakład? - że przestoi na jednej nodze w śnieżnej zawiei całą noc. Schodź, głupku, zrób coś, Marianno, zaczyna mu odbijać. Kiedy przysięgam wam, sztywne spodnie, nieskazitelny kant, mówi ci się, złaź! Wiesz, co teraz zrobisz, Stevens, jankeski chwacie? Potrzymasz mi butelkę. A niech to. Mów, co chcesz, ale potrzymasz. Marianna, butelka!

I tak dalej aż pod parapet trzeszczący od mrozu podchodzą dwa wilki i przysiadają z uśmiechem. I jak, książę? Chcemy się przewietrzyć? Dołączają dwa następne, nadal uśmiech. Wypatrujemy Napoleona? Rozdziawiona paszcza, w niej zęby z kości słoniowej, biel tytanowa, bielsza od śniegu, czerwone języki.

Pozwól mi zapłakać, Wasiliju, wszystko straciłem.

Trzy dni później odkrył wokół daczy ślady niedźwiedzi i klepnął się po udach. Niesamowite! Wasiliju Kaustowski, nigdy mnie nie okłamałeś. Czas jechać do Wozroźdzenia!

Gdyż po tych trzech dniach powracania do formy Jaume Roiq Stevens przypomniał sobie wyraźnie tego oficera FSB¹⁸, wysokiego i barczystego, którego bywalcy Starlite nazywali Księciem, choć nic o jego przodkach nie wiedzieli. Który od złego nasienia białej Rosji rad nierad przeszedł na stronę nieprzyjaciela, zachowując nadal nad którymś z dopływów Dniepru rodową siedzibę, każdego lata przemałowowaną na białło. Oslawiony wytwór długiej linii Kozaków z Zaporozża służących carowi i wychowujących kolejne pokolenia na swej ojczystej wyspie Ros do dnia, kiedy historia i polityka wyprodukowała jego, odstępcę bez sumienia, którego jedyną składną myślą pod koniec nocy było powiosłować z powrotem na tę nową wyspę, której nie powinien był nigdy opuścić: Wozroźdzenie. Supertajna baza FAPSI¹⁹, centrum wywiadu komunikacyjnego. Osiemnaście anten satelitarnych, osiem modułów w kształcie białych baniek, komputery wielkie jak szafy i możliwość przechwycenia osiemdziesięciu procent światowych przekazów. W tym transmisji typu Advanced Vortex, o których Amerykanie z Fort Meade myśleli, że tylko oni potrafią złamać ich szyfr. Stevens nigdy w to nie wierzył. Wyspa na Jeziorze Aralskim znana była z badań bakteriologicznych, hodowano na niej dżumę dymieniczą, niektóre złośliwe odmiany syfilisu i z pewnością też inne, szybko rozsiewające się zarazki, ale to wszystko. Dywagacje Księcia na temat ogromnej maszyny szpiegowskiej, za której udzielnego pana i władcę się uważał, wszyscy składali na karb wódki Turkmenbaszy; nie potrafił wypić pół butelki, żeby

¹⁸ FSB - Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. Od 1995 roku następczyni KGB.

¹⁹ FAPSI - (z ros.) *Federalnoje Agentstwo Prawitelstwiennoj Swiazi i Informacyi* - Federalna Agencja Łączności i Informacji Rządowej, agencja państwowa zajmująca się wywiadem elektronicznym i ochroną państwowej komunikacji.

nie zacząć od razu z płaczem wspominać zbiorów dorodnej białej porzeczki na swej rodzinnej Białorusi w czasach, kiedy miał sześć lat. Ale teraz Stevens był przekonany, że jest wręcz odwrotnie. Wasilij nie był sentymentalny, Wasilij był z całą pewnością zdolny przestać całą noc na oblodzonym parapecie, wpatrując się w toczące pianę z pysków wilki. Był też zdolny powiedzieć prawdę, spalić definitywnie za sobą mosty, spalić statki, bo już od dawna żaden statek nie poniósł go w przestworza.

- Przestań płakać, Waterfull!

A TO KTO? TO MÓJ SMUTEK, MOJA PAMIĘĆ.

- Tak, przestań. Lawson ma rację, trzeba pomyśleć o innych sprawach. Trzeba znaleźć traktor.

- Traktor? Odbiło ci, Stevens? Nie wybierzemy się tam chyba na traktorze?!

- Nie, kapitanie, ale wyciągniemy tego hawka, którego zamelinowałeś trzy kilometry za budką strażniczą, a potem go odkurzymy i odmrozimy jego silnik.

- Po co?

- Po to, żeby mu podciągnąć paliwo, bo ty, taki bystry, nie zauważyłeś jeszcze, że poważnie go brakuje. Już od trzech dni tu i tam je zdobywam, żeby uzbierać pełny bak!

- Fakt, od trzech dni kręcisz się jak fryga, pomiaukując jak skunks.

- Sssssss.

- Daj spokój, Waterfull, to głupek. Połknął już na śniadanie własnego ojca i matkę i teraz nie wie, co by tu jeszcze wziąć na ząb.

- Dobrze powiedziane, Jankesie.

- Nie jestem żadnym Jankesem, Lawson. Spadaj.

Step rozciągał się wokół Azharu jak skóra zdechłego borsuka. Jezioro Aralskie wysychało w oczach, gęstniejąc pod kopułą rdzawej mgły, której nie rozwiewał moriane, południowy wiatr. Roiq był zziębnięty, wystartowali zbyt wcześnie i płozy grzęzły w miękkim piasku pozostałych tu na pamiątkę bagien, pełnych soli i pestycydów mdlących, lecz całkowicie jałowych.

Z tyłu za helikopterem Azhar wyglądał jak po przejściu bomby wodorowej, puste ulice, blokowiska-sypialnie milczące jak groby, połowa okien powypadała, wszędzie przeciągi, ale tylko przeciągi, tak samo kombinat chemiczny rozciągający się właśnie przed Roikiem, kombinat, który wyglądał jak szkielet na piasku.

- Najlepsze jest - powiedział Lawson, podchodząc do wielkiego wraku Khuran Gazy (trzydziestu czterech ludzi kozackiej załogi wyszkolonych przez partię, trzydziestu czterech

nomadów czasowo osiadłych nad morzem w celu połowu tołpygi i transportu bawełny) - że te tutejsze zadupia są od zawsze jałowe.

- Nie od zawsze, Lawson, przypomnij sobie listonosza. Pamiętał pustynie w kwiatkach i miasta okryte białym filcem, które wykluwały się spod ziemi przy pierwszych podmuchach ciepłego wiatru.

- A tak, ta piosenka:

Więdlas, Chorezm²⁰, ale teraz

Na nowo okrywa cię kwiecie!

Akurat! Bajdurzył i tyle.

- Byłeś tu, widziałeś?

- Dobrze, już dobrze. Zamierzamy tu spędzić noc, Stevens, czy się decydujemy?

- Dalej, stary, naprzód. Osłaniam cię.

Lawson błaznował, pokazując palcem dwa małe czarne punkty nad swoją głową.

- Ty, Stevens, zawsze taki waleczny, myślisz, że trafisz je z takiej odległości?

- A ty myślisz, że cię zjedzą?

Nad helikopterem kołowały dwa orły królewskie, za każdym nawrotem coraz większe, wydając odgłosy, których wymowa była dla Lawsonska całkiem oczywista.

- *Exactly*. W każdym razie spróbują.

Roiq nie zrobił jeszcze dziesięciu metrów, kiedy głowę omiół mu pęd powietrza pierwszej bestii, pikującej jak kamień zrzucony z wyżyn morowego nieba. Moriane niósł je szybko, a one w pełni i sprawnie wykorzystywały siarczane prądy. Druga bestia naderwała mu kawałek ucha, więc posłał na oślep za ponownie wzlatującym kształtem trzystrażalową serię ze swojego pistoletu maszynowego z lufą teleskopową. Heckler & Koch, cześć wam i chwała. Wielkie ptaszysko jakby się zawahało, wykonało w powietrzu na lewym skrzydle woltę i odleciało w kierunku Wozroźdienia.

- Znów pudło, Stevens! Nie trafiłbyś nawet krowy w...

- Zamknij się, Lawson, i patrz.

Orzeł bez wysiłku leciał nad Jeziorem Aralskim, rozpościerając na całą szerokość skrzydła, sunął ślizgiem przez materię pełną ciężkich metali, powoli miesił gęstą masę atmosfery przesyconej solą i siarką i majestatycznie opadł w miejscu, w którym znajdowała

²⁰ Chorezm - kraina historyczna nad dolną Amu-darią, w Uzbekistanie i Turkmenistanie. Jeden z najstarszych ośrodków cywilizacji Azji Środkowej.

się baza FAPSI.

Roiq przesunął trzema palcami po głowie i podetkał zakrwawioną dłoń Lawsonowi pod nos.

- I co? Spudłowałem?

Tamten powąchał delikatnie, acz z niedowierzaniem, kiedy raptem ogłuszył ich huk eksplozji. Waterfull zamiast paść na ziemię, zerwał się jak oparzony i popędził w kierunku wyspy, wykrzykując, śmiejąc się, gestykulując: „Ktoś tam jest, ahoj, tu jesteśmy, żyjemy, ahoj, pokażcie się, tu jesteśmy!”, a w ślad za nim Roiq, w którym wezbrała dusza, pełen nadziei i wdzięczności rzucił się biegiem przez bagna, w których mulistym gruncie już nie grzęzły mu stopy. Dopóki krzyk Lawsona (stój, idioto, to mina!) nie przystopował go w miejscu, a bagno natychmiast zaczęło go z powrotem powoli wsysać. Waterfull nadal brnął naprzód w wodzie sięgającej mu po kolana, wymachując rękami w stronę wartowni FAPSI, a za nim drugi orzeł, który jeszcze nie dostał za swoje i którego Stevens ze złością zlikwidował.

- Idiota.

Ale wystrzał, którego huk wchłonęła gąbka powietrza, wywołał w oddali przeciągły odgłos przesypywania i chrzęstu piasku. Roiq zaczął się rozglądać za jego przyczyną i ujrzał ją na wschodzie w postaci chmury ziemia-ziemia, która w szybkim tempie rosła, zbliżała się i dzieliła na tysiące tętniących kopyt.

Wielbłądy.

- *Exactly*, chłopcze, baktriany. Wytrzymałe bydłeta, niesamowicie wytrzymałe.

- Wałą prosto na nas! Ale gratka!

- Spadamy, Waterfull, wracaj!

Roiq wskoczył do helikoptera i puścił w ruch łopaty śmigła, żeby się oderwać od ziemi. Zwierzęta zbliżały się bezładną, lecz zwartą gromadą, gwałtownie kołysząc łbami na długich szyjach. Ich grube, fioletowe kolana stukały o siebie z hałasem. Słysząc było, jak dyszą z wysiłku i ze strachu. Roiq, utrzymując maszynę w pozycji stacjonarnej tuż nad stadem, pozwolił zwierzętom przejść w tumanie wzbijanego przez nie kurzu, po czym rozpoczął akcję Wielkie Natarcie. Hałas wirników tonął w lawinie ich galopu, ale kiedy zaczął pikować na tyły stada, żeby je zdopingować, wielbłądy, przyspieszając, jęły wyczyniać różne niesamowite skoki i zapanowała totalna kakofonia. Technika w połączeniu z tym, co najbardziej żywotne, spotęgowała harmider, dzikie ryki i łamanie kości. Samice puściły w ruch szczęki, unicestwiając wszystko, co napotkały po drodze, samce rozpaczliwie ryczały jak wilki schwyte w sidła, ale gwałtownie wałąc łbami, parły naprzód, niczego nie oszczędzając, niewiarygodna liczba młodych pośród niesłyszalnych modlitw i głuchego

chrzęstu została dosłownie wprasowana w ziemię. Jakaś grupa z boku próbowała się oderwać od reszty, ale Roiq zagonił ją z powrotem w grozę między pobratymców, którzy tańczyli wspólnie jedyny prawdziwy *danse macabre* strachu, wszystkie futra były posklejane śliną i krwią, wszystkie pyski rozdziawione na debilną pustynię, a Roiq, złorzeczając ludziom, którzy zniknęli, nie posiadając się z radości, popędził je do Jeziora Aralskiego, żeby się potopiły w jego trującym błocie, żeby dalej gnały po trupach własnej rasy, żeby wreszcie przeszły to kurewskie morze soli i śmieci, które dla niego było tylko fosą okalającą wysniony zamek: Wozroźdzenie. I tak strzeżone przez miny Wozroźdzenie zostało szturmem i pośród grozy zdobyte przez setki zbrojnych wielbłądów, które ginęły jedne po drugich, wylatując w powietrze, niekiedy całymi grupami i gorącymi gejzerami, na ładunkach wybuchowych, umieszczonych w saperskim tunelu ręką przewidującego człowieka. Na koniec Roiq, starając się dokładnie przeczesać wszystkie kwadraty terenu, zagonił w dziewicze jeszcze przejścia ostatnie zagubione jednostki, do reszty już oszalałe, sądząc z widoku ich wielkich wytrzeszczonych czarnych ślepi, ich osmalonych rzęs, ich obmechranych łbów. Setka zdeorientowanych wielbłądów znalazła się w pułapce. Oszupiałe, ogłupiałe kręciły się w kółko i szukały, szukały nie wiadomo czego pośród czarnego dymu wznoszącego się nad ciał swych krewnych.

W kabinie helikoptera zrozpaczony Waterfull załamywał ręce, ale Lawson zachowywał czujność, rozszerzonymi nozdrzami chłonąc odór, unoszący się nad pobojo-wiskiem niczym woń konfitur nad gotującym się kociołkiem. Droga stała otworem.

Z pistoletem maszynowym w garści Roiq wysiadł pośrodku anten satelitarnych, których jasne talerze rozkwitały jak kwiaty na zdegenerowanym niebie Aralu. Poczuł, jak płuca wzbierają mu powietrzem, widok ludzkiej techniki, tak białej, tak doskonale hieratycznej i spokojnej, napełniał go otuchą. Ukryta za zaroślami piołunu instalacja była tak piękna, a zarazem tak czysta, że siłą rzeczy musiała być niezniszczalna. Jaime Roiq wiedział, że każda informacja, którą tu uzyska, będzie informacją z pierwszej ręki, wagi tajemnicy państwowej, najwyższej jakości.

Tak, tylko trzeba się jeszcze dostać do środka, rozmyślał, posuwając się ostrożnie naprzód między kraterami.

To nie problem, zapewnił go Lawson. Podnosisz pierwszy lepszy mundur, sprawdzasz stopień, a jeśli to dowódca, wyjmujesz z kieszeni jego kartę i wchodzisz.

Czuwające komputery z zaprogramowanym uszanowaniem zapaliły się i powitały Roiqą Stevensa jego nazwiskiem z karty: witamy, major Echampion. Znajduje się pani w serwisie FAPSI, od piętnastu lat pierwszego satelity telekomunikacyjnego KGB, projekt DON

życzy pani miłego dnia. Stevens zanurzył się w cyfrowym świecie jak w ciepłej kąpieli. Znowu odnajdywał pod palcami uległe klawiatury, posłuszne przyciski. Ożywały mu w pamięci fragmenty kombinacji, wewnątrz supertajnego modułu zachowywał się jak mile widziany gość, odnajdujący swoich starych przyjaciół. Włączył w centralnym komputerze emisję głosową, żeby usłyszeć jego piękny syntetyczny głos, bliski, och, jakże bliski, i żeby z nim porozmawiać. Porozmawiać. W tym czasie Waterfull odbywał misję rozpoznawczą i gromadził łup w postaci żywności i napojów, ponieważ Stevens chciał odbyć podróż dookoła świata, totalny *checkup* w czasie rzeczywistym i sądził, że będzie na to potrzebował kilku dni. Mylił się. Ustawienie anten na odbiór, znalezienie częstotliwości i wychwycenie przekazu zajęło mu kilka godzin; nie było nic do wychwycenia. Żadnego przekazu. Ani satelitarnego, ani żadnego innego. Włókna światłowodów, kanały zakopane pod ziemią, przewody powietrzne, tory transmisyjne były puste. Jałowe. Nikt nie przysyłał żadnego maila kumpłowi na drugim końcu świata, nikt nie dzwonił do matki, nikt, ale to nikt nie komunikował czegokolwiek komukolwiek. Nic. Nawet wypowiedzenia wojny. *Nada. Nul.* Nie ma już żadnego „razem”. „Razem” się skończyło.

- Teraz wszystko jest w pojedynkę. Zrozumiałeś, Stevens? W pojedynkę.

Stevens nie rozumiał. Przeszedł na odbiór wizualny przy Advanced Vortex, szpiegowskim satelicie terenowym. Te ich metody komunikacyjne są idiotyczne, com. to bzdura, zwykła strata czasu. Miał kompletnie zablokowane gruczoły potowe i wrażenie, że oto dojrzał w nim do reszty jakiś wewnętrzny minikataklizm, że zaraz eksploduje, że tylko patrzeć, jak któryś z obwodów w jego mózgu pęknie i zatopi mu czaszkę. Wylew krwi do mózgu, pęknięcie tętniaka, zawał serca. Śmierć rzecznej ryby. Nagła śmierć rzecznej ryby. Nie robiąc nic, rozwinął w sobie zawrotny lęk, który wypełnił wnętrze szpiegowskiego modułu tak szczelnie, że jeszcze chwila, a pęknie jak jarmarczny balon. Objął obiema rękami głowę, położył się na podłodze z nogami do góry, szukał czegoś słodkiego, łyku powietrza, szczypał się, żeby poczuć mrowienie w mięśniach, a Lawson go dopingował. Tak, tak właśnie, idź na całość, nie jesteś w kawiarni, pozwól to w sobie rozwinąć, stać cię na to! Wiesz, że są tacy, co potrafią przejść gołą stopą przez płonący ogień i nic nie czują, więc dalej, naprzód, jesteś w tym dobry. Słuchaj mnie, zaufaj, jestem twoim trenerem, zaraz zdechniesz. Zdechniesz tu jak sznur, już nigdy nie zobaczysz światła, twoje ciało rozproszy się w powietrzu, twoja świadomość rozplynie się, fiu i już po niej. Zwał się na ziemię, Stevens, poddaj się, skończ z sobą, jesteś nikim, mniej niż zero, twoje życie wisi na włosku, który za chwilę pęknie, to nić, napnij ją, napinaj, ile możesz, Stevens, zaraz się zerwie, ciągnijże tę kurewską nić, ciągnij, mocno, już niewiele brakuje, ale ciągnij, na Boga! A kiedy

Stevens ją ciągnął, Waterfull walił go po brzuchu i po goleniach, miażdżył mu klatkę piersiową, masakrował mu kopniakami twarz, panna Halloween zaś powtarzała: trzymaj się, lepszy strach niż groza, lepszy strach niż osłupienie, mów, Stevens, trzymaj się. Syntetyczny głos zapowiedział zamknięcie programu, trzeba będzie restartować sesję, ale Stevens widział tylko płatki śniegu. Gdzie spojrział, tam przezroczyste płatki, fantomy. Otaczały go fantomy, czuł presję umarłych, wszystkich umarłych zgromadzonych pod zewnętrzną ścianą, szepczących i wściekłych. Chodź, Stevens, nie przeżyjesz nas, dołącz do nas, nie rość sobie do niczego prawa, Stevens, twoja głowa jest nic niewarta, twoje ciało jest nic niewarte, nie masz prawa dalej egzystować. Nie zdołasz wyjść poza swój gatunek, dołącz do nas teraz, bo i tak w końcu dołączysz, dołącz teraz, nie oszczędzaj się, Stevens, skacz!

Ale Stevens nie skoczył, bo na nic się nie wdrapał, bo stał tylko na skraju swojego wewnętrznego klifu i ponieważ major Echampson nagle postanowiła osobistym i pewnym ruchem wprowadzić swój identyfikator do maszyny. Ponieważ major zawładnęła Stevensem, Stevens nie skoczył. Ponieważ major Echampson była kobietą, która osobistym i pewnym ruchem zawładnęła Stevensem, Stevens oprzytomniał. Pospołu z Waterfullem, który udawał, że bada mu puls, ale Stevens się wyrwał. Pospołu z Lawsonem, który napluł mu w twarz, ale Stevens nawet jej nie wytarł, tylko przyłożył mu w zęby.

- Jak za dawnych dobrych czasów, łajdaku. Obrzydliwa z ciebie kanalia.

A obrzydliwa kanalia tym razem nic nie odpowiedziała.

Major przejęła dowodzenie, Jaume odczuł to tak, jakby zyskał jakiś organ, lepsze życie, nadcyfrowe. Zauważył, że major Echampson się zadomawia.

Przez dwa dni towarzyszyli szpiegowskiemu satelicie FAPSI dookoła kuli ziemskiej. Tysiące, miliony obrazów w zbliżeniu, stuprocentowa wiarygodność, dokładność do osiemdziesięciu centymetrów. Dla Stevensa było to jak nadprogramowy spacer kosmiczny, tyle że na opak. Życie faktycznie było wszędzie, ale nie ludzkie. Nakierowywał oko satelity na co tylko chciał. Miasta, wielkie metropolie, stare niesprzedane książki, ustronia. Ermitaże. Lasy tropikalne pełne ludzi pierwotnych z suspensoriami na genitalia i z cięciami łuków w poprzek piersi. Pustynie. Wszystkie puste. Wszędzie widać było aktywność, niekiedy gorączkową, ale nie ludzką. Wielkie centra, wybrzeża amerykańskie, wybrzeża australijskie, Europa, Japonia, ośrodki gospodarczo rozwinięte roily się od infekcji, ale nie ludzkiej. Przetrzasał najgłębsze wąwozy, ukryte groty, najwyższe góry, najmniejsze lepianki i zmuszony był pogodzić się z tym, co oczywiste. Konkluzją raportu badawczego, który zlecił centralnemu komputerowi, jedyną konkluzją było to, że major Echampson jest ostatnim znanym żyjącym okazem gatunku *Homo sapiens sapiens*. Tyle że brakowało jego obrazu i

gwoli ścisłości, nawet go nie zaobserwowano.

Usiadła w jego głowie i wyszeptała: skończone. Jesteśmy skończeni. Mogłeś być kobietą, Stevens, mógłbyś wprowadzić zamrożoną spermę do swojej macicy. Potem biłbyś swoich synów i wnuków, jak to zwykle bywa, i wiódłbyś cudowne życie, zaczął wszystko od nowa. Tymczasem nie. To ty pozostałeś przy życiu, współczuję ci.

Twoje działania pozostaną

bez oceny.

Nie pozostał ci żaden bliźni.

Nie

należysz już

do żadnego gatunku.

Nie masz

z kim

dzielić swojego języka.

Jesteś wolny...

OK.

Patrzę na swoją dłoń. Ma długie blade palce, paznokcie są... gładkie i owalne z czarną obwódką, to paznokcie w żałobie.

Palce porasta kilka ciemnych włosków... to kostka, lekko się uwydatnia, sterczy pod skórą nadgarstka.

Skóra jest miękka, na krańcach zaróżowiona. Wokół paznokcia palca wskazującego i środkowego łuszczy się małymi płatkami, to brodawki. Wąsy. Półksiężycyce naskórka obu kciuków są... jasne i czyste. Otaczają nasadę paznokcia. Nie są pazurami. Mój kciuk jest przeciwny, oba kciuki i... nie mam pazurów. Mam przed oczami swoją dłoń, spoczywa na lewej stronie dziennika, to moja dłoń. Uśpione zwierzę. Nigdy nie widziałem jej śpiącej. Trochę skurczona, czasem przebiega ją lekkie... drżenie. Coś jej się chyba śni. Nie wiem, jak działa, czy posługuje się swoimi pięcioma odnóżami, czy pełza, po raz pierwszy ją widzę. Wokół kciuka i palca wskazującego leżą okruchy, musiała jeść, a potem syta zasnęła. Nie boję się. Ręka śpi. Jest najedzona. Nie ma obaw, żeby po przebudzeniu nagle skoczyła mi do gardła i mnie udusiła. Na razie śpi.

OK. Widziałem Ziemię z Księżyca. Widziałem Ziemię z ziemi. Widziałem Ziemię z Wozrozdienija. Nabrałem wyobrażenia, nabrałem pewnego wyobrażenia.

Świnie tarzające się po ulicach Ułan Bator, świnie tarzające się w bajorach, świnie rzucające się na wszystko, co da się i nie da pożreć; świnie wyliniałe, pokaleczone, gniewnie chrumkające, potężne świnie z Ułan Bator otworzyły mi oczy. Mówię ci, Sokstasie: zrozumiałem. Tak, żyłem na kupie gnoju, w którym dziobią kury i którym ja się żywiłem. Dotąd jak wszyscy utrzymywałem się na wierzchołku kupy gnoju, deptałem po zagrzebanych w nim jajeczkach i różowych robakach, wyławiając z góry, czego potrzebowałem. Tak, tak jak wszyscy tkwiłem obiema nogami w organicznym błocie; gnojówka sięgała mi po pas, ale nie czułem smrodu lawendowego sracza, cytrynowego sracza, smrodu używanego przez ludzi do dezynfekcji kupy gnoju, woni rozsiewanego kadzidła, mechanicznej wentylacji, importowanego powietrza z puszki. Stałem na szczycie z widokiem na kupę gnoju poniżej, ale nie konkretnie ja, ja tak jak wszyscy inni, to było moje środowisko naturalne. Twoje też, drogi Sokstasie. Teraz...

Sam sobie jestem programem politycznym, jestem tym, który może. Mam gigantycznego kaca, mam kaca za wszystkie czasy od paleolitu i od masakry koni na Kos poczynając, kanalizacje, wszystkie kanalizacje, głównie kanalizacje powinny zostać zniszczone. Posprzątam stację. Uporządkuję stację. Pamiętam galaretkę z pigwy, którą od ciebie dostałem. Jej smak, konsystencję, jej słodycz, strukturę jej atomów, ciepły pęcherzyk, jaki tworzyła wyciskana z tubki, do dziś mam to przed oczami. To był twój przydział. Pamiętam, jak mi ją podałeś nad luźnymi kablami oprzyrządowania. Cóż innego mógłbym zrobić, jeśli nie uporządkować stację. Przed galaretką z pigwy nie wiedziałem, jak piękna jest twoja twarz. Teraz...

Ja jeden mówię.

Lawson i Waterfull pojechali do Ułan Bator. Lawson wyruszył jak tropiciel, nosem węsząc wiatr, nastawiając uszu, z sierścią zjeżoną na całym ciele, ciągnąc za sobą Waterfulla w garniturze, w sztywnych oficerkach, odstawionego jak biały myśliwy obwieszony aparatami fotograficznymi i pełen ogólnych uczuć. Świnie natychmiast ich zaatakowały. Na dachu zrujnowanej gminnej chlewni Lawson obwinał o to piźmową wodę po goleniu tego drugiego głupka. Cuchniesz swoją rasą, bezwstydną gadzino. Było ich dwieście. Czarnych i wysportowanych. Wszystko już pożarły i teraz zorganizowały się w falangę do walki z bandami jaków i długowłosych kóz, rozsiewających swoje parchy na obrzeżach miasta. Dwieście czy dwieście dwadzieścia zdziczałych świń, które Stevens obserwował całymi

dniami jak wspólnotę, okiem antropologa.

To znaczy dopiero od chwili, kiedy się obudził, kiedy ocknął się na łonie natury, wyciągnięty na płask na brzuchu twarzą do ziemi, z otwartymi ustami, jakby przed chwilą rzucił odbezpieczony granat. Dopiero kiedy otrząsnął się z szoku powybuchowego i zorientował się, że wylądował w mieście zwanym Ułan Bator w spustoszonej Azji, i dopiero kiedy wszystko sobie przypomniał z wyjątkiem tego, jak się tu znalazł i dlaczego, i czy rzucił, czy nie rzucił tym granatem - zaczął je obserwować. Najpierw ostrożnie podniósł się z ziemi, otrzepał, głośno policzył do dziesięciu - zaczął je obserwować. Ale nie od razu. Dopiero kiedy poobserwował własne kończyny i ogólny wygląd własnej skóry, zauważył na lewej stopie siniaka, odnotował, że kabura pod jego lewą pachą jest nadal pełna, ukryta czy zagłębiona pod bogato zdobioną tuniką z niebieskiego jedwabiu, którą nosił rozpiętą do grubych drelichowych spodni. Zbyt obszernych i podtrzymywanych szerokim pasem z czerwonej wełny, trzykrotnie owiniętym w tali, który, kręcąc się wokół własnej osi, powoli rozwinął, by odkryć pod jego pierwszym zwojem przylegający do ciała swój czerwony dziennik pokładowy, suchy. Którego otworzył, żeby wszystko, mimo wszystko, przypomnieć sobie z tego drugiego minionego świata.

Wczoraj sfilmowałem fragmenty eksperymentu Bertin-Mergeola.

Wieczorem M. S. i ja nakręciliśmy reklamę dezodorantu Barta.

Poszedłem zobaczyć się z Alem, siedział w swojej kajucie i oglądał zdjęcia żony i dzieciaków.

Powróciło do niego wspomnienie chóru z Wellesley śpiewającego o godzinie czwartej rano czterysta kilometrów od orbity i zanurzył się w kąpielu ciepłych głosów, słów, sprężystego gorącego oddechu ludzkości. Jak w wieku sześciu lat w ciepłej szorstkiej pościeli górskiego domku w środku zimy, kiedy pocierał o nią stopy, by poczuć ciężar okrywających go koców, czuł je fizycznie. Zanurzony w nich po brodę, rozluźniony, zdjęty szczęściem, że znowu znalazł się w tej sieci jedwabnych nici, drutu kolczastego, bawełny, cudownie powiązany, i nucąc pieśń chóru z Wellesley, powiedział sobie, że od tysięcy lat ludzie nie zaprzestawali *Oh Thou Tupelo*, szerzyć, upowszechniać swoich języków, swoich historii, swoich pieśni, mieszać się jedni z drugimi, zanurzać się w sobie, czasem aż po całkowite zamknięcie się albo uduszenie, ale głównie po to, żeby żyć.

Och, żeby chór Wellesley mógł śpiewać trzy razy w tygodniu o czwartej nad ranem *Oh Thou Tupelo*, och, żeby mógł...

Żeby w obozie jenieckim mężczyzna mógł podać kobiecie zapalonego papierosa.

Żeby w górach podczas zawiei człowiek mógł wślizgnąć się do śpiwora drugiego człowieka o zsiniałych z zimna stopach.

Żeby na piaszczystej pustyni ktoś mógł przynieść innemu wielbłądzi nawóz do rozpalenia ognia.

Żeby na zabłąkanym statku jeden człowiek mógł drugiemu deklamować Homera.

Och, żeby mogła...

Niechby znów wybrzydździ, zdradzali własnych braci, pożerali swoich kochanków, gwałcili swoje żony, naciągali kominiarki; niechby znów wymyślili tortury, wojnę, horror, głupotę, władzę, niechby na nowo wszystko zniszczyli, och, niechby tak było, ale wcześniej niech ja zdechnę.

Wcześniej niech mnie powieszą.

Niech mnie powieszą na ostatniej nici, ale niech mnie powieszą. Niech zginę, ale ze stryczkiem na szyi, niech mnie powieszą.

Niech to będzie niesprawiedliwość, ale ludzka, niech kogoś mam, niech mi zostanie ktoś, do kogo będę mógł się odezwać, niech mnie powieszą.

Stevens zamknął zeszyt i wstał. Podniósł czerwony podarty plecak z pistoletem maszynowym Heckler & Koch, który rozpoznał jako swój, z granatami i bombami łzawiącymi. Otrzeptał się i wepchnął za pas czerwony dziennik pokładowy, a w nim ostatnie czerwone zdanie, czerwony przycisk, czerwony pas. Dużo czerwieni.

Ruszył ulicami Ułan Bator, trzymając się z dala od grup, starannie je omijając, robiąc dosłownie wszystko, żeby nie napotkać po drodze ani świń, ani jaków, ani nic czworonożnego z rozdziawioną paszczą. A już zwłaszcza psów, których wycie dobiegało z czterech głównych punktów miasta i które ewidentnie objęły w posiadanie, zarówno tu, jak i w Tampie, cały świat.

Przed koniem Dżyngis-chana, przed którym ocknął się, leżąc jak długi na brzuchu z rozdziawionymi ustami, po tym, jak wcześniej być może rzucił granat, czy raczej pod kamiennym rozpędzonym koniem Dżyngis-chana zwycięzcy z ramieniem wzniesionym w kierunku Wschodu, zagubionym na tym szarym placu, Stevens podsumował sytuację.

Świnie opanowały Executive Building, z czego bardzo szybko zdał sobie sprawę, wsuwając zeszyt za pas, ale Giełda była pusta.

Zewsząd dobiegało wycie psów.

Na trawnikach przed bankiem i na skwerze pozostało mnóstwo świeżych śladów

jaków, które ewidentnie urządziły sobie na ich błotnistej części poranne legowisko.

Kozy wyjadły całą trawę aż do gołej ziemi. W wielu miejscach asfalt się wybrzuszył. Gołębie tak obsrały drzewa, że pnie były gładko pokryte ptasimi odchodami.

Za pocztą powędrował Khudaldaany do samego końca, przeciął ulicę Ikh Toyruu, przeprawił się na drugi brzeg cementowego koryta rzeki i ruszył biegnącym w górę zadrzewionym stokiem do klasztoru Gandam. Ślepa uliczka. Okolona małymi szarymi jurtami i rachitycznymi drzewami, której strzegły przysadziste lwy nadal ściskające w bezzębnych paszczach czarne łańcuchy cywilizacji. Budda w Gandam, doskonale spokojny w żółtym świetle, powitał go uniesionymi w górę palcami. Wtedy Stevens zrozumiał, że tu będzie jego kwatery zimowa. W braku pałacu.

Rozstawił swoich ludzi. Za nim Lawson i Waterfull, ten ostatni przez cały czas w oficerkach. Zrobili porządki wszędzie, nie wyłączając dachów z rogu gazeli - wszyscy won - ustawili piecyk i obok niego jurtę pośród złożonych kolumn i czerwonych dywanów, poprzesuwali posążki obwieszane wisiorami, młynkami, kadzidłami. Wymietli popiół, zapalili świece i wtedy zawarliśmy bliższą znajomość, pani major i różne moje ja. Lubi mnie pani? Stevens utrzymywał, że żaden człowiek nie może żyć całkiem sam. Mówił: dopóki przetrwa choć jedno słowo w mojej głowie, póki przetrwa choć jedno słowo w moim człowieczym mózgu, dopóty przetrwa cała ludzkość. Podniósł z ziemi krawat i założył go, dla pani, pani major. Krawat turysty, który przechodził tędy w dwuczęściowym garniturze i ciemnych okularach u schyłku minionej epoki. Tej minionej epoki, kiedy pływała pani jachtem po Karaibach, często wzdłuż wybrzeża zatoki Chesapeake z ramienia DIA²¹, łącząc obowiązek czy też, sam nie wiem, przywiązanie do pieniędzy z przyjemnościami samotnej żeglugi. Leżąc nago na zalanym słońcem pokładzie, niewidoczna dla innych i posmarowana kremem do opalania z filtrem 30, czytała pani *Burzę* Szekspira. Zostawiwszy swój mundur na wieszaku w kokpicie obok wypaszonego nadajnika radiowego zdolnego porozumiewać się z satelitą szpiegowskim Big Bird i kilkoma innymi wyrafinowanymi systemami satelitarnymi. Była pani wtedy ekspertką od łączności szyfrowanej, zwerbowaną do współpracy osobiście przez Księcia z Wozroźdzenia w tej minionej epoce, kiedy Rosjanie i Amerykanie łączyli siły, by mieć z bliska oko na ambitnych Chińczyków.

- I Hindusów!

I Hindusów. Stevens tylko panią miał w głowie. Nosił pani kartę wetkniętą między strony swojego dziennika pokładowego jak trofeum, jak amulet, którego magnetyczny kevlar

²¹ DIA - (z ang.) *Defence Intelligence Agency* - Agencja Wywiadu Obronnego USA.

miał mu przynajmniej raz uratować życie. Przynosił pani wspaniałe tkaniny, puszeki skondensowanego mleka, butelki oliwy. Wszystko, co pozostało zdatne do picia na kafelkach Mercury Market, przynosił to pani w wielkich kanistrach z białego plastiku walających się pod ładami straganów na świeżym powietrzu. Posunął się nawet do tego, że wydoił kozę. Razem jedliście, spaliście, rozmawialiście. Rzeźniczki w Mercury Market nosiły żółte fartuchy na białych bluzach i ochronne nakrycia głowy z białego papieru. Kości, które zostały przeoczone przez psy i świnie, były kośćmi ogromnych krów, całymi szkieletami lub półszkieletami. To były rzeźniczki na schwał, opowiadał pani Stevens. Jak on to ujął, wielkie księżniczki. A pani, pani major, nauczyła go rozpalać ogień, który nie dymi. Znajdować jajka. Zabijać, opalać, czyścić i patroszyć świnie. Lawson z irytacją potrząsa głową widząc Stevensa z rozdziawioną gębą wgapionego w piec, kiedy pani do niego mówiła. Tak jakby ćwiartowało się świnie! On sam trzymał się zasady, żeby nigdy przenigdy nic nie ćwiartować i piec zwierzyne w całości. *A fortiori*, jeśli była kangurem. Zasady żołdaka, mówił Waterfull.

- Chcesz powiedzieć dzikusa, patałachu! Boli cię, że jestem w stanie przeżyć w zwierzęcym piekle, co? Ale ja, pułkowniku, jestem *totally wild* i zaraz ci udowodnię, że jesteś nikim innym jak obrzydliwym mięczakiem, wyrzutkiem wyższej ludzkiej rasy. W tych swoich skrzypiących butach jeździeckich nie wiedziałbyś nawet, z której strony dosięść wielbłąda, bo nie odróżnisz łba od zadu. Nigdy nie widziałeś świeżego gówna, potrzebny ci rysunek, żebyś mógł powiedzieć, czy ten koń to napalony ogier czy żrebna klacz. Angielski grubas. Spójrz tylko na niego, Stevens, och, budzisz we mnie strach, Waterfull, ale towarzystwo! Nie do wiary, żeby się tak upaść! I trzeba to wszędzie za sobą wlec, wydobywać z bagien, ściągać z dachu obory, wyciągać z piasku, ze śniegu, z ognia, ratować przed huraganem. Aż trudno uwierzyć. Jest szklanka wody, topi się w szklance wody. Zobaczy świątynię, załamuje się. Zobaczy obo²² na wrzosowisku, załamuje się. Zobaczy chorągiew, cokolwiek, napis na kamieniu, malowidło ściennie, załamuje się. Ja pieprzę, co za mazgaj. Zaginione cywilizacje to nic nowego, do kurwy nędzy, tylko takie istnieją, ale człowiek siedzi w nich od zawsze, ten gostek jest niemożliwy, chyba nie będzie tak na każdym kroku lamentował nad Inkami, nad Abo, z Papuasami przynajmniej jest spokój, bo już wcześniej zostali załatwieni. Ale zaraz, weźmy Greków, mógłbyś popłakać nad Grekami, przynajmniej tymi, których było pięciu, oni przecież żyli, to będzie dla ciebie jakaś odmiana.

- Przestań, Lawson.

- Co, no co, przestań Lawson! Przecież wszystko jest w porządku, nie? Spójrzcie tylko

²² Obo - (owoo), kamienne kopce usypywane na wzgórzu, przy których składano ofiarę bóstwom.

na tego idiotę, Nnnnnostalgia, Pppppamięć, nawet armię maszerującą do boju przyprawiłby o chandrę. Nie dalej jak dziś rano wraca do jurty, gdzie wszystko jest jak było, skotłowane ubrania na ziemi, nietknięte palenisko, dywany na ścianach, staje, dotyka, wciąga nosem powietrze i nagle bach, załamuje się. Ach, jakże oplakuję tę cudowną kulturę, dziś już nieistniejącą, i ach, gdybym wiedział, jak to wszystko ocalić, to takie wspaniałe, przecież nie może przepaść, no ale co z tego! Tak, twój turkmeński kobierzec jest czerwony, bo był moczony w czerwonej melasie *Rubia tinctorum* fermentowanej w wielbłądzich szczynach, tak, jest mały, tak, ma wąskie lamówki i ośmiokątny gol i tak, to wszystko jest pełne sensu, trzeba to było wymyślić i wymyślić całą łączącą się z tym kosmogonię. To jest bajeczne, to jest nadzwyczajne, to całe wieki historii, pewna wizja świata, pewna forma ducha, ale gdzieś ty, kurwa, był, Waterfull, kiedy to wszystko było żywe? Gdzie byłeś? Gdzie obnosiłeś te swoje kreacje i cuchnące cygara? W klubie? A zresztą, co z tego? Twój dywan istniał wczoraj i dzisiaj nadal istnieje, nie? Więc bierz go, ten swój cudowny dywan, zroluj, zawiń się w niego, usiądź na nim, przyjmij pozycję lotosu i czekaj, aż uniesie się w górę, jeśli chcesz, gruntownie go przestuduj, opraw w ramki albo użyj jako poduszki, ale, na Boga, coś z nim zrób! To nie jest ścierka i to nie jest muzeum. Brejo z karaluchów, przecież trzeba też żyć, nie? Nawet do zjedzenia brei z karaluchów potrzebowalbyś piętnastu dni postzczenia, nawet do zjedzenia szarańczy też byś potrzebował piętnastu dni. Nie do wiary, co za facet. Nie do wiary.

- Świat istnieje tam, gdzie tego chcesz, Lawson. Ja glansuję swoje oficerki, a ty, proszę bardzo, tarzaj się w kurzu, żeby wybić swoje pasożyty. Skoro uważasz, że to może pomóc. Nawet jeśli znajdujesz w tym przyjemność, mnie to nijak nie dotyczy. Zjadaj, jak zamierzasz, te swoje kangury, nie dbam o to, nie krytykuję cię. To nie twoje urodzenie, nie twoje wykształcenie, tylko ty, Lawson, twoja zasada, żeby piec zwierzynę w całości, jest żołdacka. Ponieważ ta kultura, na którą się powołujesz, której reguł w swoim mniemaniu przestrzegasz, wykonując pewne rytuały albo ich nie wykonując, tej kultury nie znasz. Nie żyłeś w niej, powielając puste gesty, nuciłeś pieśni będące tylko ciągiem onomatopei. Jesteś przesądny, ty też chciałbyś, żeby coś przetrwało, a tymczasem nawet własnego języka nigdy się nie nauczyłeś. Twój język to otchłań. Mury twojego miasteczka ociekały krwią. Kiedy się urodziłeś, kolejnami twojego miasteczka płynęły potoki krwi. Wszystkie ściany obryzgał ludzki mózg, domy poczerwieniały, woda stała się niezdatna do picia. Waszych ojców podstępnie masakrowano i z miejsca wrywano im trzewia. Jesteś Toltekiem, Lawson, Wongajem, jesteś Choctawem. Twoim dziedzictwem jest otchłań.

- Jak ta nasza teraz?

- Nie wiem. Daj mi zeszyt, Stevens, muszę coś przepisać na piętrze.

- Tak, tak, kompiluj, idioto, to twoi potomkowie są otchłania, ale to nieważne, co? Mniejsza o to.

- Zobaczymy.

- Powiadają, że daleko stąd, na południowym wschodzie Tadżykistanu, na polu zwęglonych kamieni, ścierają się z sobą cztery góry. Ich biali i lodowaci wojownicy suną naprzód jak wąż po piasku, a kiedy jakiejś przeszkody nie mogą pokonać, okrążają ją, a potem połykają. Ich tarczy nikt nie przebije, brody mają śnieżnobiałe, dłonie spękane od zimna. Rzucają się z wyżyn w bój, a ich pancerze żywią się wiatrem w dolinach.

Powiadają też, jakoby schodzą nie po to, żeby walczyć, tylko żeby całować. Że jasny i zimny lodowiec i matowa rzeka marzą jedynie o pocałunkach. Rzeka zmienia swój bieg i rozlewa koryto na przyjęcie swego ukochanego, który zbliża się, po drodze, jeśli trzeba, miażdżąc pasterzy. Albo zatapiając drzewa morelowe, niszcząc kanalizacje. Mądrość ludowa mówi, że można ostudzić ich zapędy, umieszczając w pełznącym lodowcu fragment upragnionej rzeki.

- To prawda Mr Waterfull. Ale są też inne sposoby. Spotkałam w Gilgit sprzedawcę masła, który twierdził, że Pakistańskie Siły Powietrzne skutecznie zastępują hunzakuckie²³ rytuały. Cztery loty nurkujące połączone ze zrzuceniem FAB-500 generalnie powinny wystarczyć do ostudzenia zapędów - jak pan mówi - nawet najbardziej rzutkich lodowców.

- Tak, pani major. W pani uśmiechu jest czasami coś zjadliwego, wie pani o tym? A co pani proponuje przeciwko stu dwudziestu tysiącom bezpańskich psów?

- Sto tysięcy wygłodniałych świń.

- Znakomicie! - wykrzyknął Lawson. - Pani major jest wybornym strategiem! Mongolskie psy trzymają z czarnymi szczurami, dzielą między siebie terytorium i nawzajem się nie atakują. Ich wspólnym wrogiem jest wychudzony kot, którego rozemocjonowany, acz okrojony bastion ostał się na północnym wschodzie miasta, na wysokości chińskiego lotniska. Z kolei świni okupują Executive Building i dzielnicę Sukbaatar w charakterze pokojowej mniejszości i zachowują się poprawnie. Jednak sytuacja jest niepewna z powodu kurczenia się zapasów żywności.

- No no, mówisz dziwnie do rzeczy jak na dzikusa!

- W porządku, Stevens. Siedzimy w samym środku beczki prochu. Najwyższa pora

²³ Hunzakut (Hunza) plemię z tzw. Terytoriów Północnych (część stanów Dżammu i Kaszmir) administrowanych od 1947 roku przez Pakistan.

zając się czym innym niż pożeraniem jajek i obserwowaniem lampionów przez lornetkę.

- Rozumiem. Budzi się wojownik.

- Najwyższy czas, powtarzam. Między twoimi nieobecnościami duchowymi z powodu pani major - wybaczy pani - i załamaniem tego drugiego kopisty bujamy w obłokach, tymczasem pętla się zaciska. Nie ma już nic do jedzenia, kapujesz? Jeśli pozwolisz, żeby psy pożarły świnię i niedobitki kotów, następny w kolejności będziesz ty!

Rotko spodobał się Stevensowi. Od początku swoich nocnych obserwacji zwrócił uwagę na tego pięknego, rosłego samca pełnego rozwagi, który zawsze opuszczał Executive Building na czele swojej grupy i niezmiennie prowadził ją do najlepszych punktów aprowizacji. Z ryjem przy ziemi, niepomijającym najmniejszych zakamarków terenu, analizował dolne warstwy powietrza i powoli posuwał się do przodu, dopóki nie natknął się na trop jakiegoś niedawnego mordy, pozostałościami po którym mógłby nakarmić swoje samice i ich hałaśliwe potomstwo. Kiedy go zwęszył, ruszał żwawym truchtem i nie zbaczając z drogi, wiódł swoją gromadkę na miejsce kaźni. Rotko był piękny. W największych ciemnościach Rotko Czarnego można było rozpoznać po różowym pasie biegnącym mu przez korpus i opinającym przednie nogi niczym dwie jasne, jedwabne pończochy na Afrykance. Stevens uważał, że jest królewski, imponujący. Jadał zawsze w pierwszej kolejności, gwałtownymi ciosami ryja brutalnie odpędzając młode. Gniewnie chrząkał nad najlepszymi kaskami, ślinił się z rozkoszy nad skruszonym mięsiwem i dbał zawsze o to, by opuścić ucztę z ryjem unurzany w trzewiach i w piasku, który następnie długo oblizywał na uboczu wygłodniałej grupy, rzucającej się wtedy na pozostawione przez niego resztki. Był wspaniały, wyniosły i przewidujący. Kiedy padlina była zbyt okazała, by ją pożreć w jedną noc, nakazywał przeniesienie resztek do Executive Building, w razie potrzeby rywalizując o nie z różnymi zuchwalcami (najczęściej psami, które głód popychał do różnych niestosownych zachowań). Stevens widział, jak stawiając czoło grupie piętnastu rozczochranych brytanów, samotny, wojowniczy i w pełni świadomy swoich praw, utorował sobie przejście. Za nim drżące, lecz pełne godności, przeszły jego samice i potomstwo z pyskami pełnymi cuchnących frykasów. Psy, wściekle ujadając, dygocąc z furii i pożądlivosti, ruszyły w ślad za nimi, ale żaden z piętnastu napastników nie odważył się zaatakować. Przy każdej odosobnionej próbie Rotko wlepił swoje małe, czarne, gorejące ślepia w szaleńca i przygwaździł go w miejscu swoją pogardą. Żaden zwycięski generał, żaden wielmoża nie zdołałby wkroczyć tej nocy do Executive Building równie godnie jak on. Inne bandy powitały go niczym bohatera. Słyszając kwiczenie stu osiemdziesięciu świń, które

wybrały właśnie dowódcę, tym samym zrzeszając się w największe wolne stado wszech czasów, Stevens uśmiechnął się. Na piersi zwisała mu lornetka na podczerveniu, ziąb szczypał go w palce, miał kurcze żołądka, ale mityng świń w Executive Building rozgrzewał jego ciało zwierzęcia politycznego. Sam sobie jestem programem, powtarzał. Uprzątam stację. Mógłbym wyjechać i pozwolić, żeby w Ułan Bator wybuchła wojna psów, ale mam własne plany.

O świcie postanowił utworzyć armię. Armię rangersów. Świń czyścicieli. Milion świń sprzątaczy, które jak cykliniarka oczyszczą całą Mongolię aż po Pekin, oto co wymyślił. W tym celu należało wyżywić garnizon i przeprowadzić wokół Ułan Bator szeroko zakrojony pobór rekruta. Lawson podszeptał, że kozie mięso zaspokoi wszystkie żołądki, a przy tym załatwi konkurencję. Widział jedną sympatyczną trzódkę w dzielnicach na południu. Major zwróciła mu uwagę na gigantyczne chlewnie w Irkucku, w Czycie i w Ułan Ude.

Stevens odłożył mapę lotniczą na dywan i przekalkulował swój projekt w ciepłe piecyka pełnego szczap z lakierowanego drewna. Trafiły do niego wszystkie czerwone meble z klasztoru.

Zapach gryzł w gardło, dym szczypał w oczy, ale Stevens nie tracił czasu.

Kiedy miał już w pełni klarowny plan, wyruszył do miasta, żeby zgromadzić zapasy na drogę. Na rogu alei Enkh Tayvan i ulicy Partyzantów zarekwirował hondę 500, która przy czwartym kopie zaskoczyła. Przejechał na pełnym gazie ulicę Seulską, wyjechał przednim kołem na zryty skwer Sukbaatar, zatrzymał się przed posągiem rozpędzonego konia i pod nosem zamyślonych jaków, które urządziły sobie tu poranne legowisko, oddał mocz na cokół. Pozdrowił Dżyngis-chana, z powrotem dosiadł swojej maszyny, objechał szpital na kontrolowanym poślizgu i pognął przez tereny uniwersytetu w stronę centrum Sky we wschodnim Khuree²⁴. Zastanawiał się właśnie, czy znajdzie w nim ubrania, kiedy w Zaluuchuud przystopowała go tablica. Hamując, aż z opon poszedł dym, uśmiechnął się na myśl o swoim farcie: Uniwersytet Techniczny w Ułan Bator miał umowę o współpracy z uniwersytetem w Toronto. To tutaj znajdzie swoje gniazdo. Swoje gniazdo? Swoje przenośne gniazdo. Któż mógłby być lepiej wyekwipowany od przybyłego z wykładami gościnnymi Kanadyjczyka? Oprócz Czukeczów i Inuitów z Igloolik? Nikt. Zawrócił na motorze do ponurego dziedzińca uniwersytetu i pomknął korytarzem ciemnym jak krecia jama, szukając drzwi z napisem „Inżynieria”. Z tych są zawsze największe zmarzluchy. Pod kołami pękały

²⁴ Ikh Khuree - Ułan Bator, Khuree - tu w znaczeniu: dzielnica.

papierowe kubki, niebieskie spaliny zostawiały w tyle smugę metanu unoszącą się w powietrzu jak ogon latawca. Kiedy przejeżdżał, drżały ścianki działowe, uchylone drzwi zatrząskiwaly się. Czuł się, jakby znów był jednym ze swych dumnych przodków dosiadającym pięknego rumaka, w dopasowanych nagolennikach i ostrogach przy butach jeździeckich. Był zidiociałym paniskiem wysokiego rodu wjeżdżającym konno do kościołów. Mierzającym wzrokiem ołtarz i krwią obmywającym zniewagę, wskakującym w butach do niewieścich łózek.

Nie zsiadając z motoru, pchnął drzwi. Trzy pokryte kurzem komputery dzieliły między siebie biurko z cynowanej blachy, przed wypatroszoną szafą tronował bezbarwnie fotel pokryty skajem. Gaz z rury wydechowej poruszył paroma kartkami, ale nic z tego słabego poruszenia nie wynikło. Ubóstwo wyposażenia wytrąciło go z równowagi. Musiał przytrzymać się ściany, żeby nie upaść, motor zachybotał się. To ta sama pustynia co przedtem, dokładnie ta sama pustynia.

W kantine zrozumiał, że to pustynia masowego zarządzania, pustynia kolektywu powodowała ten koszmarny szklisty efekt. Wszystko takie samo, krzesła takie same, stoły, materiały niezniszczalne, funkcjonalne i gołe, nic, co miałyby ochotę wyróżnić się od reszty, wszystkie miejsca równe sobie, wszyscy ludzie w tym samym nastroju, na tym polegała pustynia. Znormalizowany mebel, seryjny bidet, nic wartego wzmianki. Rządy równych sobie mrówek w wielkim mrowisku.

Na osiemdziesiątym krześle obok kaloryfera znalazł wreszcie to, czego szukał: kurtkę Snow Mantra Canada Goose. Najwyższe światowe parametry. Prawdziwy luksus z Toronto wypełniony najprzedniejszym gęsim pierzem, wyposażony we wszelkie możliwe bajery i z tunelowym kapturem podbitym futrem z kojota. Coś, w czym można spędzić zimę w dowolnym miejscu na ziemi.

Między jurtami we wschodnim Khuree musiał gazem łzawiącym rozpędzić horde kotów usadowionych na poduszkach małego bella, który tu wylądował. W kabinie helikoptera można było dostać zawrotu głowy od smrodu kocich siuszków, ale Stevens go zarekwirował, żeby z nosem zasłoniętym połą wiatrówki wykonać rundkę zwiadowczą na małej wysokości.

Na hałas startującej maszyny koty rozpierzchły się po lotnisku niczym bile snookera, pchnięte białą kulą zagrywającą. Popędziły jak strzała każdy w inną stronę, po prostej, wijąc się i skręcając, i szorując po ziemi brzuchami w poszukiwaniu jakiejś dziury, w której mogłyby się zaszyć. Albo wiadra, skrawka muru, prześwitu w jurcie, czegokolwiek, za czym dałoby się ukryć. Oglądane z góry sprawiały na Stevensie wrażenie zastępu chudych szczurów, od których ściany potniały na opak. Ściany, które je wyprodukowały, pochłaniały

je niczym wilgoć. Przypominało to wyciekanie wody w odwrotną stronę, wody, która z wielką szybkością dogania samą siebie, połyka i wchłania. Zwierzęta już odwykły od hałasu silników, hałasu ludzkiej obecności. Przez ponad dwieście lat koty, psy, czerwone ryby, komensale²⁵ żyły wśród odgłosów i woni człowieka, który pachniał gazem z silników spalinowych, a niekiedy uranem, i zapomniały. Już zapomniały. W czasie krótszym niż ile? Stevens dokładnie nie wiedział, ale wystarczyło mniej niż rok, by wymazać z ich minimózgów ponaddwustuletnią zażyłość. Co za niewdzięczność.

Zawrócił nad Pałac Ałtajski i poleciał wzdłuż Selbe płynącej między wybetonowanymi brzegami. Ponure sowieckie budynki ciągnęły się prostopadłymi szeregami, linie ulic nadal były wyraźne, kwadraty zieleni trzymały się wytyczonych granic, ale dobrze widział, że ten spokój niweczy entropia. Zwierzęta poczyniły postępy w organizacji i wstrząsały miastem z nowych punktów strategicznych, pojawiały się pierwsze trasy niemające już nic wspólnego ze szlakami wytyczonymi przez człowieka. Stawkami w grze i regulatorami terytorium były teraz woda i błoto.

Okrażając Dund od południa, znalazł stado kóz i pogonił je w stronę cyrku, gdzie wałęsały się smętne barany, które zaatakowały brezent głównego namiotu cyrkowego. Cała dzielnica była zasłana strzępami płótna i podziurawionymi wiklinowymi koszami. Przewróciły autobus. Wszędzie włóczyły się chichoczące kozy, zadzierając łby ku wielkiemu owadowi, który im się naprzykrzał i nawracał w podskokach jakby dla zabawy. Kozy z niego szydziły. Wchodziły do budynków, przemierzały je na przestrzal. Czarne łby ukazywały się w oknach i zaraz znikwały, by na nowo pojawić się dwa piętra wyżej. Wielka biała wieża mongolskiego banku, po której hulał wiatr, rozbrzmiewała zwariowanym koncertem ich beczenia i stukotu kopyt. Dostawały się na górę metalowymi schodami służbowymi, wprawiając w drżenie poręcze, i przerażone hałasem, jaki robiły, rzucały się do ucieczki i wypadały pędem na dwór jak pociski. Stevens okrążył bank wznoszącym, spiralnym lotem, towarzysząc ich wspinaczce. Miał oddziały, które musiał wyżywić. Wiedział, że kiedy szydercze kozy znajdą się na otwartym tarasie, nie będą umiały zejść z powrotem. Kiedy zgromadził ich już z pięćdziesiąt i na górze zapanowała jedna gwałtowna furia, bezładna i czarna przepychanka cuchnąca kożą, spiął maszynę jak konia ostrogą i zapikował na taras, pragnąc je roznieść na strzepy, rozpirzyć na cztery wiatry. Jak muchy, jak gnijące erynie z węzami na głowach i z zielonymi wnętrzościami, prządki, prześmiewczynie, impertynentki. Padały jak czarne muchy w oślepiającym świetle i z ostatnim niepozabawionym gracji

²⁵ Komensale - organizmy żyjące w symbiozie z innym organizmem.

podrygiem zwały się na ziemię. Pogruchotane. Powalone. Starte w proch.

Stevens odsłonił nos, zaczerpnął pełną piersią haust cuchnącego kocimi siuškami powietrza i zwymiotował na wysokościomierz. Amoniak. Ze łzami w oczach wziął kurs na klasztor.

Tydzień. Masz tydzień, tyle czasu wytrzymają na twoim świeżym mięsie. Na razie tyle i czekamy, co dalej.

Dał sobie tydzień.

Przez dwie godziny lotu do Irkucka Stevens pilotował chmurę. Za pulpitem sterowniczym i między siedzeniami śmigłowca powtykał całe kadzidło, jakie zostało w klasztorze. Dym wnikał w niego wszystkimi otworami ciała i zasłaniał widok ziemi, ale kaszłąc, uśmiechał się, bo nie czuł już kotów ani kóz i wyobrażał sobie, że jego maszyna pozostawia za sobą więcej woni drewna sandałowego niż spalin.

W dole widział przepływający bezkresny step, przepływający nieznużenie, potem defilujący płynnie, potem przepływający nieruchomo, potem góry.

Widział Irkuck i jasny pałasz Bajkału, widział Angarsk i jego zakłady petrochemiczne, rozciągające się na przestrzeni piętnastu kilometrów, ogromne zbiorniki uzdatniania wody, deltę zanieczyszczenia, ciągnącą się w stronę jeziora. Omiotane wiatrami rury rafinerii owinięte były w gigantyczne srebrne folie, które rozluźniały się i zwisały jak brudne prześcieradła na powykręcanych sznurkach. Piętnaście kilometrów rur, centrali przerobu uranu, bloków mieszkalnych, piętnaście kilometrów szarych obozowisk z zielonymi okiennicami, czarnych kwadratów, czarnych wartowni z modrzewiowego drewna.

Zawrócił od północnego wschodu do Irkucka.

Jezioro Bajkał przecinało po kozacku zielone lasy, rozlewało się na pylistych gruntach, odsyłało światło majestatycznej światłości i zamarzało. Tnące dywany traw sunęły ku łagodnym brzegom, brzegom barwy ochry i żółci, które strzegły spoczywających na piasku łodzi i chat przemytników... Listwianka, jak szwajcarska wieś, zielona i usiana chatami ze świerkowego drewna, wyciągała nos w stronę przybrzeżnego prądu.

Zawrócił od południowego wschodu do Irkucka.

Na falach Angary unosiły się tony płynącego drewna, które zablokowały jedną z jej odnóg powyżej dopływu. Irkut, pniąc się, przedostawał się górą przez przystań, jednym podmuchem unosił trzydziestometrowe pnie i opadał na wyspę jak otrząsająca się z wody tłusta foka. Miasto niedostrzegalnie niemal się zapadało; pozbawiane fundamentów, wsysane przez rzekę, zagłębiało się w grunty nasiąknięte wodą, przygniecione własnymi podwalinami, erodowane, podmywane, zapadało się w mokradła. Topiło się. Stevens widział drewniane domy, w których woda sięgała aż po drzwi, okna zabarykadowane ziemią, całe dzielnice stojące w błotnej mazi. Rozglądał się za różowymi szczurami, czarnymi szczurami, któredy szczury opuszczają statek? Po linie cumowniczej. Rozglądał się za liną cumowniczą.

Major była zasadnicza: nie sposób przeoczyć trzech tysięcy świń na przedmieściach. Trzeba polecieć do dawnego kołchozu Aleksieja Peskowa i wypłoszyć zwierzęta.

- Wianuszek wsi, tysiąc hektarów lasu na północy, dwieście tysięcy rubli łapówek i pomoc mafii, to musi być z daleka widoczne, przewietrz się trochę, Stevens.

Kiedy zszedł maszyną nad procesję hangarów z blachy falistej, trzy fabryki kiełbasy dosłownie eksplodowały pod naporem *large whites*. To nie były trzy tysiące świń, to była jasna lawina, która rozlała się po dziedzińcach. Stevens z powrotem wzbił się w górę. Nawet z wysokości dwustu metrów nie ogarniał wzrokiem całości. Na wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów nadal wypływały całe ich flotylle, na wysokości trzystu dostrzegł falę czołową. Nieprzerwanie zataczał coraz szersze koła. Teraz świny ruszyły, wychodziły z jeziora i z lasu, były ich pełne chaty, były ich pełne ферmy, setkami rozkwitłe wokół Irkucka. W Reszce, w Kułtuku, w Tanchnoj wychodziły ich tysiące. W Babuszkynie rzuciły się do Bajkału, który aż się cofnął w obliczu takiego afrontu. W Szelekowie napływały dalsze. To nie była armia, to już była wojna. Pora była zagrać na flecie, te z północy pchnąć w stronę brzegów, powstrzymać te z południa i przebić korytarz, żeby osiągnąć oś Ułan-Ude - Ułan Bator. Stevens zataczał tak szerokie kręgi nad północnym krańcem Bajkału, że musiał na chwilę wylądować i z zapasowych kanistrów napełnić bak. Na brzegu Selengi był przez trzy minuty bezpieczny, chociaż liczył, że będzie przez pięć. Świny z Tarbagataj ruszyły na niego galopem trzystumetrową ławą. Jednym skokiem znalazł się z powrotem w kabinie, gorączkowo uruchomił zapłon, pociągnął drążek i przez sekundę, zanim oderwał się od rozedrganej ziemi, widział setki łbów, setki ślepi okolonych białymi rzęsami, setki żywych guzików, które wpatrywały się w niego, nie widząc, które wpatrywały się w niego tym samym pustym, w nieskończoność zwielokrotnionym okiem. W ciągu tej sekundy poczuł na sobie dzikie oko ziemi; brutalna siła, brutalność, naga siła, woła świata, absolutna głuchota patrzyły mu prosto w twarz. Przyblokował brzuchem drążek steru. Chciałby powiedzieć, byłem kiedyś dzieckiem łagodnym jak baranek, istnieją inne sposoby niż to zimne światło, ta ślepa gałka, istnieją tysiące metod istnienia. Sekunda. Świny nie były spłoszone, one tylko wystartowały. Nie ruszyły do ataku, były naporem, forpocztą, oddziałem i hordą, nie miały przeszłości.

Stevens odzyskał panowanie nad maszyną. Pocił się w swojej kanadyjskiej kurtce, wysuszająca mu usta adrenalina wyostrzała jego reakcje. Zszedł z flanki te z północy i bocznymi manewrami pognał je aż do wartowni w Wydrino, za jednym zamachem zagarniając te z południa. Wygonił z jeziora babuszkiniowców, którzy dołączyli do fali z Tarbagataj. Na południe od jeziora Gusinoje oba dopływy połączyły się i przyjęły wymiary drogi, potoku w dolinie. Jezioro maszerujących świń zalało wszystkie pojazdy. Asphalt powyżej i poniżej zniknął na długości wielu kilometrów. Z wysokości czterystu metrów wyglądało to jak rozciągnięta guma do zucia, jak opuchła dżdżownica, pełnym gazem połykająca swój podziemny przekop. Dopóki, jak prawdziwa rzeka, podążały wąwozem,

wszystko szło łatwo. Stevens musiał tylko lecieć nad całością i utrzymywać stałą presję na tyłach. Prowadzący byli popychani, popychający szli zwartą masą, różowa plastelina posłusznie podążała z boku. Za Dzhidą tempo spowolniło się, wyrównało. Zaczęli wyodrębniać się indywidualności, masa dzieliła się, dochodziło do przegrupowań, w ogólnym nurcie tworzyły się podnury, podgrupy. Wiele stad wyraźnie odróżniało się od reszty wyglądem lub wysokością stawu skokowego. Powstawały strefy wpływów. Large whites Aleksieja Peskowa, które aż do wartowni Wydrino miały wysoką pozycję wśród tych z północy, utraciły ją na rzecz rasy lżejszej i krótszej. Środkiem pochodzenia sunęła kolumna świń czarnych i pofałdowanych. Zdarzali się szpiedzy. Czoło było milczące, ale tyły rozrabiały. Dwadzieścia jednostek na metr kwadratowy maszerowało z prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Stevens oceniał ich liczebność na jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy sztuk. Wisząc w swojej bańce sto metrów nad ogonem pochodzenia, pomyślał o liberalnym Peskowie i jego zezowatych oczach. O jego przeniesionej kamień po kamieniu hollywoodzkiej willi, wystawionej pośrodku kombinatu chlewniczego, jako o największym gównie, jakie w życiu widział. Przez długie godziny leciał nad zadem złotych interesów grubego wytatuowanego Peskowa, utuczonego na kawiorze i śmietanie. Wyczuwał rękę prawdziwego pioniera Dzikiego Wschodu ciężącą nad ogromnym stadem debilnego mięsa, podobnie jak swego czasu ciążyła nad zahartowanymi wódką recydywistami.

Za Dzhidą samice przywołały swoje małe i było to jak wetknięcie drąga w koło drewnianego wozu, cała struktura zaczęła zgrzytać i sypać się. Nastąpiły zerwania i zderzenia. Małe grupki odrywały się od drogi i wdrapywały na wzniesienia, inne hamowały nagle z ryjem przy ziemi jak osły, robiąc bokami i kładąc po sobie uszy. Large whites nadrobiły spóźnienie, po czym zwały się na ziemię, wzbijając tumany kurzu. Potem już tylko prosiaki biegały wokół nieruchomych samic, a wreszcie i samice zległy.

Stevens uznał miejsce za dobrze wybrane. Posadził bella za osłonę skały, chuchnął w dłonie i wyłączył silnik. Cichnący z poszeptem hałas wirnika przypominał mu pewien pokój w Ameryce Łacińskiej, pewną sjęstę pod wentylatorem z lakierowanego drewna. I siedemnasty października, zapach gorących kiełbasek chorizo na Plaza de Mayo.

O *cuatrero*²⁶, pomyślał, przebiegając wzrokiem łąkę usłaną świniami, piękne zebrałeś stado!

Zapadała noc. Rozpalił ognisko, wyciągnął plecak spod siedzenia bella i położył przed sobą pistolet maszynowy i dwa granaty. Pokroił słoninę, którą jadł tak jak gauczo, odkrawając

²⁶ *Cuatrero* (hiszp.) - złodziej bydła, koniokrad, oszust.

po kawałku. Wypluła do ognia świńską skórę, zaskwierczała w płomieniach. Była to spokojna i pusta noc na pampie o prostych liniach, rozświetlona kwiatami świń, idealna noc na podjęcie opowieści o Tebach.

Opowiedział sobie o Tebach.

Że był kiedyś mężczyzna spragniony wojen i noszący wieniec laurowy, mężczyzna, który maszerował na Teby z powodu pewnej przepięknej kobiety o złotych włosach, w rozchylonym peplosie. Że podążał za nią, od kiedy usłyszał o różanych płatkach jej piersi. A kiedy to usłyszał, zgromadził armię, żeby zabrać ją z pałacu ojca i uprowadzić za siedem mórz.

Pewnego letniego poranka armia najemników i potężnych oszczepników, woły z Lukanii niosące na grzbietach wieże, a także krwiożercze lwy dotarły do Teb. Postępując za swym przywódcą, odzianym w skóry i w żelazny hełm, sforsowali fortyfikacje, siali śmierć i wprawiali w drżenie kamienne mury. Zaślepieni krwią bracia wzajem się mordowali, szacowne niewiasty plądrowały ołtarze, dziewice dusiły dojrzałych mężczyzn. Ale on w obłoku mgły - o Teby, o Wenus, nieznająca skrupułów, te jatki na twój pójdą rachunek - jak we śnie wkraczał do sypialni Heleny...

Trzeszczał ogień...

Do sypialni Heleny, której strzegł Agamemnon.

Przeznaczenie z chmur mnie sprowadza, odstąp, starcze, niech twoja siwa głowa nie potoczy się po kamiennych płytach Teb, czerwonych od krwi twych synów. Po piasku galopowały konie, ich kopyta ubijały fale, złoto, biała piana, Stevens, brzuch i uda przypiekane przez płonące Teby, zlodowaciałe plecy mruczały nie, nie, nie. Odstąp, królu mój i ojczy, ta krew, która spływa po rękojeści twego miecza, ach, odstąp, panie, to mnie znieważa. Byłem dzieckiem słodkim jak łany zbóż, ręce gazele omijały moje pola. Och, majorze, weź mnie w swoje ręce, a ty, mój Alcybiadesie, pilnuj mojego stada, ukradłem je.

Rankiem okryty mgłą step był nagi jak dłoń.

Major w złym humorze:

- Nie powierza się dwunastoletniemu dziecku, łagodnemu jak baranek, sześćdziesięciotysięcznego stada.

- A właśnie że się powierza.

- Nie.

- Powierza się. Niech pani spojrzy na ślad, jest jednolity. Alcybiades już od pięciu zimnych sezonów prosi Eser-Haja o stado liczące tysiąc sztuk. Z sześćdziesięcioma tysiącami

świń też by sobie poradził. Urodził się w siodle, step jest jego ogrodem. Ruszajmy za nimi.

Bella uwięziła pokrywa szronu, trzeba było poczekać, aż na zboczach podniesie się mgła, aż dzień wyrówna światłem ziemię i jasny masyw puny²⁷.

Rozdzwonionej i czystej.

- Czy słyszy pani tę ciszę życia, tę lekką ciszę, ten woal? Ach, pani major, czyż nie jest jak gładka powierzchnia morza, czy pani, która żeglowała, niczego nie rozpoznaje, czy ta samotność nie ciąży pani mniej?

- Na Bajkale, Jaume Stevens, nowo narodzone foki suną jak bambosze po lśniącem parkiecie. Któż na widok ich puszystości nie zapragnąłby wsunąć stóp w te małe ciepłe kulki? Myślę, że przestrzenie nabierają z czasem pewnych nawyków. Ludzie na ziemi byli jak gaz w różnym stopniu sprężenia. W najbardziej ciasnych szklanych gąsiorach jego ulotnienie się pozostawia odpowiednio proporcjonalną pustkę, wytwarza się naglący apel o powietrze. Natomiast step i z pewnością kra lodowa, a także niektóre nieprzyjazne morza, które nie rozwinęły podobnych właściwości, rozbrzmiewają inaczej. Ponieważ ich zdolności wchłaniania nigdy nie osiągnęły nasycenia, samotny człowiek, choćby i ostatni, porusza się po nich w sposób, którego nie zakłamała okupacja ziem. Bardziej przytłoczony będzie pan na pełnych chat wyspach Mikronezji niż w nagim sercu Patagonii.

- Ach tak? Zaplątany w liany, stłamszony przez dżunglę, poganiany przez rzeki, pośród czyhających małp?

- I orchidei. Tak.

Szron na bellu pękał w jesiennym słońcu, pora była rozgrzać diesle.

Podążał z łatwością za stadem aż do Dulaanhaan, ale trzy kilometry dalej na południe błotnisty szlak rozdzielał się na osobne odnogi, które dwieście metrów dalej schodziły się, potem znów rozłączały, schodziły i znowu gubiły w sieci tysięcznych nitek, aż zgubiły się zupełnie. Morze świń zostało wchłonięte przez równinę jak wiosenna burza. Stevens tupał nogą, splotał na ziemię, przeklinał kurewstwo i bajzel. Cholera. I rzucał wszystkie bluzgi, jakie znał po rosyjsku.

- Więc co z tym dzieciakiem?

- Dobrze, dobrze, zobaczymy.

Znalazł Alcybiadesa niedaleko Nar, w jurcie ozdobionej fryzem, wyposażonej w dwie płyty fotoelektryczne. Manipulował przyciskami telewizora.

²⁷ Puna - wyżyna.

- Koniec animowanych filmów, staruszkule! Wyłaż, ty i Cho Tala Khan jesteście mi potrzebni, zgubiłem moje świnie.

To było bez sensu.

Na progu jurty Karaburan przepłukał mu uszy i Stevens zrozumiał, że nie, świnie nie zgubiły się, że to bzdura.

Wsiadł z powrotem do bella i lecąc na niewielkiej wysokości, wrócił na miejsce zniknięcia. O *cuatrero*, jeśli nie jesteś tropicielem, jesteś nikim. Te tutaj ślady to nie ślady świń, tylko jeleni Thorolda, które przeszły tędy i rozdeptały trop. Poranna rosa pokryła miejsce spotkania. Leć dalej na południe, pierwszymi, które znajdziesz, będą *large whites*. Są stadne, w najgorszym razie odłączyły się hajnany.

Na różowe zadki landraców ryjących w ziemi Stevens zapikował jak orzeł, chcąc je raptownie poderwać. Kiepski pomysł: ze stu jedna trzecia kretynów zamarała jak rażona gromem. O nieudolny *gauczo*, *hijo de puta*, *maricon*! Świnia ma słabe serce! Aj! I nie każ im pędzić aż do Mandal, nie mają regulacji cieplnej, jak zaczną wyciągać języki, będzie po wszystkim. OK, dobra. Dobra.

Przez cały dzień Stevens kołował w powietrzu nad rozproszonym peletonem. Podganiał je kawałek, po czym nalatywał na inną grupę. Kiedy trzeba było zataczać kręgi, zataczał je szeroko, kiedy trzeba było posuwać się naprzód, choćby i stępa, a kierunek był właściwy, robił to. Ale musiał mieć przez cały czas oko na każdą z hord, które zbaczały z drogi, gdy spotkały choćby żrebaka.

Późnym popołudniem, kiedy słońce zaczęło zachodzić, pod Baruunharaa stada zgodziły się pojednać. Stevens był wykończony. Żarówka parzyły mu dłonie i mimo zimna miał spoczone stopy. Jak nic, skończy się odmrożeniami. O tak, to intratny zawód, gringo. Kontynuował drogę, dopóki nie zaczęło mu brakować światła, a nawet potem, w czarnych ciemnościach szerokiego stepu, objął prowadzenie i powiódł chór do finału. Zafascynowane świnie szły za nim bez żadnych wybryków, ale ten niemal stacjonarny lot nisko nad ziemią był niezwykle wyczerpujący. Stevens wytrzymał dwie godziny. Stado poczuło się zdezorientowane, kiedy możliwie najdyskretniej wylądował na jego lewym skrzydle, ale się nie rozproszyło. Jutro znów zaczniesz, a teraz módl się tylko, żeby w nocy nie zawróciły po własnych śladach. Masz zdrętwiałe plecy, poobijany tyłek, *si claro*, to intratny zawód, gringo.

A Troja...

Troja mogła sobie płonąć.

Tydzień, tyle potrzebował, żeby dotrzeć ze swoimi pięćdziesięcioma dziewięcioma tysiącami sztuk trzody chlewnej do Ułan Bator, ponieważ tyle czasu, tydzień, zajęło mu zrozumienie zasad świńskiej lokomocji w kontekście wielkich przestrzeni. Zrobili oczywiście dwa razy tyle kilometrów co trzeba. Noc w noc landraces²⁸ i large whites pędziły na złamanie karku na zachód i równie metodycznie nocne postępy czyniły hajnany, niestety po skośnej, w kierunku Pekinu. Był taki dzień, kiedy całe stado, nareszcie połączone, po porannych wybrykach i kwikach odmówiło ruszenia się o krok. Stevens daremnie powtarzał powietrzne akrobacje i zdierał gardło, nic nie skutkowało. Dopiero kiedy zrezygnowany wylądował między large whitesami i zrobił kilka kroków w stronę jednego z knurów, który spał na stojąco, padł tajemniczy sygnał i poderwał całą masę tak żywo, że Stevens musiał pędem wracać do bella, żeby nie dopuścić do zaprzepaszczenia tak pięknej energii.

Poranny rytuał, polegający na oblatywaniu strategicznych punktów i naganianiu różnych grup, jednych ku drugim, pod kątem najefektywniej skalkulowanej trasy w czasie realnym z uwzględnieniem ewentualnych zmiennych, wykańczał go.

Był teraz lepszym tropicielem, niż kiedy opuszczał Irkuck, i łatwiej mu było odczytywać krajobraz. Nauczył się spać, nasłuchując jednym uchem, rejestrować zmiany klimatyczne, zwłaszcza kierunek wiatru, lepiej rozróżniał poszczególne świńskie odgłosy, ale po upływie tygodnia miał już serdecznie dosyć tego wielogodzinnego krążenia bladym światem. Nie mówiąc już o wyprawach po paliwo, zaprowadzających go nieraz znacznie dalej, niżby chciał, czy o diecie w postaci prosięcia na rożnie, przy której coraz trudniej było mu wytrwać pod bokiem macior. I stąd tego wieczoru, kiedy ujrzał rysującą się na płaskiej równinie panoramę Ułan Bator, postanowił zrezygnować z chwały lądowania w blasku dnia i przez cztery godziny kontynuował swoją awangardową technikę na pełnych światłach, aż do samych peryferii miasta. A kiedy tam dotarł, zdał się na naturalny instynkt stadny i tylko pchnął całe stado w kierunku Executive Building. Ale wtedy, w ciemnościach, rozegrał się istny sabat szaleńców.

Zamiast krzyczeć z radości świnię Rotki wpadły w straszliwy gniew i rzuciły się na swych pobratymców z gwałtownością skały, stawiającej czynny opór zalewowi i niezamierzającej ustąpić. Ze swej strony pięćdziesiąt dziewięć tysięcy, nie bawiąc się w ceregiele, odrzuciło z wściekłością wszelkie niuanse dyplomacji. A wtedy miasto, zawsze ożywione podczas nocnych łowów, przeżyło swoje najmroczniejsze i najdonioślejsze chwile.

Jaki pouciekały, kozy zniknęły, koty wcale się nie pokazały, ale szczury i psy, które aż

²⁸ Rasy świń: landraces - szwedzka krajowa, large white (yorkshire) - wielka biała angielska, hajnan - chińska, z prowincji Hajnan.

dygotały z niecierpliwości, rzuciły się do walki jak jeden mąż. Żadna ze stron nic nie rozumiała, bo też nie było co rozumieć; to była wojna. Każdemu chodziło tylko o to, by na własną rękę gryźć i kasać, i mordować. Wbijając na pal, pogrążać, rozrywać, gruchotać, siekać, kłuć, łamać, wykańczać. Plac Sukbaatar jak powódź zalewała coraz wyższa fala krwi. Czworonożne grzęzły pośród trzewi swych braci i nieprzyjaciół i gryzły, nie przestawały gryźć wszystkiego jak leci, kłapiąc pyskami i głośno mlaszcząc. W powietrzu fruwały wypatroszone jelita. Niektóre świnie miały szyje obwieszane skalpami i trzewiami zabitych, psy atakowały szczury, szczury podjudzały świnie, mrowie szczuro-świnio-psów przewalało się przez plac niczym jakieś jedno i wielorakie zwierzę nowego gatunku. Zewsząd sterczały różowe bukłaki, pierdziały, wypróżniały się kiszki na ziemię stębnowaną agoniami i podrygami robactwa. Czarne punkty uwijały się i podskakiwały, szczerząc zęby, pomykały po uwijających się ciałach, same ginęły z chrzęstem łamanych kurzych kości w obślinionych szczękach głodomorów, rozwścieczonych ciosami ryjów nieprzebranych zastępów świń, rozwścieczonych nienasyconym głodem, rozwścieczonych samą wściekłością, ziejących strachem niekwestionowanych drapieżników, które ze zgrozą odkrywają, że jeden borsuk potrafi roznieść w drobny mak dwa owczarki niemieckie, że waga się nie liczy, że imperium się wali.

Kły, rzędy kłów, pazury, rozdziawione paszcze zwierające się na ciałach napęczniałych nienawiścią, wszystko, co żywe, przedzierało się przez otchłanie i pędziło, pędziło na śmierć. Zwierzęce dusze, których rozgrzane, opite krwią mięśnie wyteżały siły, obrzmiałe dusze pokaleczonych, mięśnie pożartych, ryki radości, inne, ryki wszelkiego rodzaju i syki pochłaniały przestrzeń, którą wypełniała już nie bitwa, tylko orgia. Której nie wypełniało już nic, która zwijała się do wewnątrz w wirze nicości.

Więc to były te siły natury?

Stevens spędził noc na gzymsie klasztoru, broniąc, on również, swej niezdobytej fortecy i przeciwstawiając magicznie fruwającym zwierzętom obronne fortyfikacje swojego własnego miasta.

Więc to było uprzątnięcie stacji?

Waterfull: *Zapewne sprawy mogły tak wyglądać; lecz trudno mi uwierzyć, żeby ludzie nie potrafili przewidzieć tylu nieszczęść wcześniej, nim sami padli ich ofiarą. I uważam, że słuszniej jest przypisywać takie zwyczaje całemu wszechświatu, różnym światom w różny sposób stworzonym przez naturę, aniżeli oskarżać o nie jeden poszczególny świat, jakim by on*

był²⁹.

Powiedzmy.

W ciągu następnych dni temperatura coraz bardziej spadała. Psy przegrały. Świnie przystąpiły do oczyszczenia placu i pomału miasto przejaśniało niczym królestwo pod spokojnymi rządami. Rotko z powrotem objął dowodzenie na czele swojej uderzeniowej falangi, zawarto rozejm, w wyniku którego wrzenie opadło i ostatecznie, w miarę jak czyściciele pochłaniali wnętrzności i skóry, realizując tym samym swą pierwotną misję, wszystko poszło w zapomnienie. Początkowo Stevens siedział przybity w klasztorze, przybity i słaby, dopóki dobiegało go echo zwierząt, nadal pełnych złości. Potem złość opadła i wtedy ujrzał nową równowagę, piękną, zwartą formę tych mocarnych zwierząt, które wygrały wojnę, i step na nowo się do niego uśmiechnął. Major również: powiedziała Stevensowi, że stację najlepiej porządkować tam, gdzie jest nieporządna.

- Do Pekinu radzę panu pojechać pociągiem.

- Tak?

Kolej transmongolska niedawno wymieniła wagony. Trochę drewna na opał pod każdy zestaw kół, trochę szczęścia i drąg do kruszenia lodu mogłyby wystarczyć do ostatecznego przywrócenia jej zdatności do jazdy. Potem pozostałoby już tylko napełnienie samowarów i zdemontowanie drzwi między wagonami, tak żeby powstał jeden długi korytarz dla świń.

- Najlepsze bydłące wagony świata, obwieścił Lawson, wszędzie markieterie i kinkiety na ścianach, wolno wam wchodzić na siedzenia, tylko patrzeć, jak będzie to wręcz zalecane. A ty oczywiście potrafisz prowadzić pociąg?

- Oczywiście. Jednak musisz jeszcze razem z twoim kumplem zmontować korral, więc rozumiesz, że to mi pozostawia pewien margines swobody.

- Korral?

- A jakże! Korytarz z desek i palików w kształcie lejka zwężonego na końcu pociągu. Żeby je upchnąć w środku, kapujesz?

Stevens zarezerwował dla siebie salonik empirowy, łazienkę z zielonego jaworu oraz podwójną sypialnię za lokomotywą i harował w dzień i w noc jak zesłaniec polityczny. Przy lampie gazowej studiował podręcznik kolejarza i naprawiał zegary, za dnia nadzorował prace i pilnował swojego stada zwycięzców.

- Ile ich zostało?

²⁹ Lukrecjusz, *O naturze rzeczy* (łac. *De rerum natura*). Ks. V, wersy 1339-1340.

- Pięćdziesiąt osiem tysięcy jak w pysk strzelił.

- Ile w pociągu?

- Pięć tysięcy. Reszta na piechotę.

Step był pełen małych krępych koników i tym razem Alcybiades wykazał się wielką mądrością, wskazując Jaumemu Stevensowi osobnika o jasnej maści, który pozwolił do siebie podejść i bez zmruczenia oka zaakceptował pętlę filcowego lassa. Ledwie go jednak dosiadł, koń wystartował salwą podskoków jak koza na wszystkich czterech kopytach, spuszczaając nisko łeb i maksymalnie wyprężając w łuk grzbiet. Stevens musiał bezwstydnie złapać się za gęstą grzywę, i to obiema rękami; ściskając nogami boki zwierzęcia i jak najgłębiej wbijając w nie buty, znosił piruety małego furiata, który próbował gryźć go po stopach. Kiedy zwierzę przestało wierzgać, Stevens z krzykiem spiął je pod brzuchem i puścił galopem, dopóki w pędzie wiatru nie okryło się pianą i nie zostawiło za sobą na równinie grubych nitek śliny. Potem ściągnął wodze i wrócił klusem na ujarzmionym koniu.

Alcybiades tego nie pochwalał.

- Jaume, panikarzu, nie powierzyłbym ci mojego wielbłąda, który rozumie tylko wiołę o trzech strunach. Jaume, czy znasz opowieść o Marutim, synu wiatru, szybszym od ogierów? Na wiosennych zebraniach jego orli taniec był tak żwawy, że najdzielniejsi spośród przodków chowali się w trawach i czekali, aż przeleci z rozpostartymi rękami na oczach swego wuja słońca. Starzy powiadali, że pożera przestrzeń i wiosłuje w chmurach, że w jeden dzień potrafi dotrzeć z obozowiska letniego do zimowego. Nawet kobiety uważały, że jest zbyt piękny i zbyt gładki jak na mężczyznę bez domieszki obcej krwi. Jaume, Maruti nigdy nie opierał się na sierści zwierzęcia, tylko na dywanie siodła unosił się jak duch i przepływał jak pieśń.

Koń, na którym galopował Stevens, przyzywał Alcybiadesa, który przyzywał Jaumego, i było tak, jakby w bezkresie stepu góry opowiadały mu o złocie, jakby do niego mówiły, jak znów odnaleziona rasa ludzka.

Major powiedziała mu, że te godziny klusem, te godziny w galopie - mongolskie konie nie znają innego kroku, mongolskie konie są niestrudzone - te godziny w zawieszeniu, w kontakcie nazywa się łaską lub pogodzeniem, i że ona sama oddałaby po raz drugi życie, byle podczas sztormu móc znów znaleźć się w bocianim gnieździe tylnego masztu.

- I na podwójnej koi jolu³⁰?

- Niech pan nie będzie taki ciekawski, Stevens, coś mi podpowiada, że byłby pan

³⁰ Jol - 1. żaglowiec; 2. lina poprowadzona z pokładu, przez blok, na maszt.

rozczarowany.

Kiedy korral był gotowy, Jaume spędził najbardziej krzepkie świnie, po trzydzieści sztuk, na tył pociągu. Oddzielił pierwszą grupę od kwiczącej masy za pomocą luźnej liny, migiem ją mocując i wrzeszcząc, żeby zwierzęta przestraszyć i popędzić naprzód w sposób niepozostawiający im drogi odwrotu. Na koniu, uzbrojony w batog, który zmajsztrował z kawałka metalowej rury i rzemienia, wjechał do korralu otwartego na przestrzał całej amfilady wagonów i, wykrzykując uświęcone zawołania *troperos* przy pracy, jął okładać podrygujące z przodu zadki ciosami trzaskającego lontu. *¡Adelante carajos! ¡Vaya, vaya, vaya muevete, hijo de tu madre de porqueria!* A trzydzieści czy czterdzieści oburzonych samców, nie czekając, rzuciło się truchtem do ucieczki, która zawiodła je, a w ślad za nimi Jaumego, w czeluści pociągu transmongolskiego, sztywnego i oniemiałego w obliczu tej brutalnej inwazji. Spanikowane zwierzęta zostawiały po drodze płynne odchody, na których Alcybiades ślizgał się podkowami, przez cały czas wszelako utrzymując niewzruszony kurs i napierając piersią na wszystko, co znajdowało się przed nim. Kiedy Stevens usłyszał tupot świń w czołowym wagonie, zatrzymał konia i napiął pierwszą linę nad nerwowymi, rozedrganymi zadkami. Zawrócił i pogalopował z powrotem przez pociąg, zanim świnie mogłyby się zorientować, że jedna lina nie powstrzyma stanowczej woli. Wyskakując z korralu niczym sprzedawczyk, z uniesionym batogiem, i gwizdząc nad grzywą swojego wierzchowca, w ciągu kwadransa upchnął w środku drugą partię i znowu powtórzył operację przy wylocie lejka. *¡Ay carajos!* W głębi luksusowego pociągu o czerwonych ścianach pierwsza dostawa zaczynała już walić kopytami w ściany, kiedy następna zwała się na nią galopem tak gwałtownie, że przez ich rozszerzone źrenice niczym kościste widmo przemknęła wizja zmiżdżenia, zamykając im ryje. Stevens tym samym gestem umocował następną linę i po raz drugi pustymi wagonami zatrzęsła jego galopada, zwarta i potoczysta jak wiosenny grzmot.

Zaliczyli dwadzieścia dwa razy długość pociągu, który w takt kolejnych przekleństw zapelniał się, pod ciężarem załadowanych świń osiadając coraz niżej na szynach. Wagony chwiały się, pod ich boczne ściany ściekały kałuże płynnych odchodów, spowitych mgiełką gorącej organicznej pary. Pociąg transmongolski dygotał w chłodzie zmierzchu dnia, otulony cienkim płaszczem zwierzęcego oddechu i Jaume, odurzony zmęczeniem, dopatrywał się w nim podobieństwa do młodej kobiety w futrze, która z wahaniem staje w progu wygaszonej sali teatru.

W świetle księżycy dostarczył przez otwarte okna od czoła do końca pociągu tony kielkujących ziemniaków, zebranych w jakiejś piwnicy, oraz wody.

Ale nie spał.

Ostatni wagon załadowany najbardziej krzepkimi prosiętami wibrował od ich miłosnych, wygłodniałych kwików i przyciągał maciory, w ślad za którymi w mroku, jak plotka, podążały samce. O świcie siedemdziesiąt tysięcy drobilo w miejscu za pięcioma tysiącami zamkniętych. Bezczyenne, niezdecydowane, przestępowały z nogi na nogę i buchając parą, czekały, aż pojawi się dzień czy cokolwiek, jakiś minister, jakiś hałas, który zadecyduje o dalszej akcji. A wtedy Stevens wdrapał się na dach wagonu z malcami i wyprostowany, prężąc ostrogi, na rozstawionych nogach, z lewą ręką na piersi popatrzył ze wzruszeniem na ogrom swojej armii, i wygłosił oświadczenie.

- Drodzy rodacy!

Jeśli zebraliśmy się tego ranka w dotkliwym chłodzie Mongolii Wewnętrznej, jeśli zgromadziłem was na tej wietrznej równinie, po której nieustannie przesuwają się wędrownie szarłaty, to stało się tak, uwierzcie, ze słusznego powodu. I nie mówię „przyczyny”, gdyż o tej porannej godzinie, kiedy słońce dopiero wstaje i nie spieszy się z ogrzaniem waszej szczeciny, słuszną sprawą by was tylko jeszcze bardziej przeraziła.

Jeśli zgromadziłem was tutaj, po nocy i za cenę wielu starań, z których nie wszyscy wyszliście bez szwanku, to po to, by przedstawić wam moje plany.

Jak wam już, moje drogie maleństwa, wiadomo, przez oblicze kuli ziemskiej przetoczyła się wielka rewolucja, wionąwszy w nosy moich maleństw, innych, zapachem śliwki, pod wpływem którego ulotnili się, a co gorsza, wywietrzeli i wyparowali.

Będąc ostatnim maleństwem, wiem, jak wiele dobra zdążyło wam to już przysporzyć. Ale dzisiejszego ranka, drodzy współcześni, pragnę wam powiedzieć jedno: bez organizacji nic wielkiego się nie działo.

Nastał dziś nowy dzień, w którym mogłem zgromadzić was w liczbie wystarczającej do pomyślnego oraz, ręka w rękę z wami zrealizowanego, największego przedsięwzięcia, jakie kiedykolwiek zaplanowano.

Znajdujemy się, wierzcie mi, na najważniejszym rozdrożu azjatyckiej przestrzeni. We wszystkich zakątkach, w których was szukałem, poczyniliście, chętnie to przyznaję, bardzo piękne starania. Zważcie jednak rozległość obszaru, który oczekuje naszego nadejścia, ogrom zadania samego w sobie, bezhołowie konkurencji i dodajcie do tego niezawodność zlepków moich obserwacji, moją porażającą umiejętność wspólnego planowania i zastanówcie się. Zgodzicie się ze mną: świat potrzebuje ruchu na wielką skalę, świat potrzebuje nas. Stacja „Ziemia” domaga się uporządkowania. Połączmy siły!

Moje drogie maleństwa, zgromadziłem was, gdy było was niewielu, wybrałem i

wyciągnąłem z waszych ciasnych chlewów, hołubiłem was i poganiałem całymi dniami z wyżyn nieba, was, rdzenne *Sus vittatus*, i was, fałdziste hajnany, was, landrace, wychodźców, a także was, zawadiackie large whites. Wydobyłem was z blaszanych hangarów, w których powoli i bezmyślnie gnuśnieliście, uprowadziłem waszym drapieżnikom przetrzebione, przerażone rozpasaniem światowej konkurencji, wybrałem was, moje maleństwa, z powodu waszych właściwości.

Jesteście najbliższymi mi maleństwami. Jesteście moimi braćmi mniejszymi. Rzucacie się na pożywienie.

Wspólnie pokonamy przestrzenie. Wspólnie przerobimy, odmienimy oblicze ziemi.

Tego ranka, kiedy słońce wschodzi nad mglistym stepem, nie bez wzruszenia oraz dla wspólnego dobra uroczyście uznaję was za moich sojuszników. Pasuję was na rycerzy.

Postępujcie przede mną bez lęku, nie wątpcie w słuszność moich decyzji, nie rozpraszać się, a żyć będziecie w dostatku, ja wam to mówię.

W czasie tej przemowy prosięta, które czuły nad swoimi głowami czyjąś obecność, nieprzerwanie kwiczały, i maciory, niespokojne, odpowiadały im przenikliwym crescendo. Z kolei potężne knury jęły kłapać szczękami na wzmiankę o pożywieniu i czasach przyszłego dostatku. Kiedy Stevens usłyszał w oddali od strony ariergardy narastający pomruk, wzbierający jak fala lub wiatr w różowym żaglu jego światowego zamachu stanu, Waterfull, pełnomocnik, dał mu znak, że już czas. A wtedy Roiq Stevens pośród ryków siedemdziesięciu pięciu tysięcy świń popędził na czoło trzydziestu dwóch wagonów nowego światowego porządku.

Lokomotywa drgnęła, zaskrzypiała i ruszyła po szynach, plując, sikając na wszystkie strony, dygocząc, rycząca i groźna w pustynnym stepie Nowego Dnia. Był to wielki krok naprzód. Z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, by poderwać masę, pięćdziesięciu, by nabrać należytego rozpędu, czterdziestu, by zachować szybkość, trzydziestu, żeby nie stracić głowy w tumanach kurzu i coraz mniejszą, dopóki nie została osiągnięta szybkość idealna dalekosieżnych podróży szybkim marszem bez bagażu, to jest od sześciu do siedmiu kilometrów na godzinę.

Stevens nie posiadał się z radości, gratulował pełnomocnikowi, okładał przyjacielskimi kuksańcami zebra motorniczego w kaszkiecie, wychylał się przez okno, żeby popatrzeć, jak jego majestatycznie wielka naczepa rozciąga się, zwija na grzędce ogromu przyrody i pociąga za sobą swą podwójną długość, potrójną i więcej.

Tego ranka wdrapywał się ponad osiemnaście razy na dach pierwszego wagonu, by

stwierdzić, że nawet przez lornetkę i mimo iż szeregi były zwarte i dwu-, trzykrotnie szersze od nasypu torów, nie może dojrzeć krańca zastępów swoich świń. Rozemocjonowany, nie czuł ani gorąca, ani zimna, ani głodu. Nie widział rozwalonego w empirowym saloniku Lawsona, który za każdym jego przejściem palcem wskazującym pukał się w czoło, nie słyszał major Echampson, przechodził przez Waterfulla bez słowa powitania, zapomniał o zegarach w kotłowni, było mu dobrze. Zdaniem wszystkich był wykończony, u kresu sił, i być może miał napady albo uderzenia krwi do głowy lub za dużo w sobie kofeiny, ale on czuł się dobrze w tym otoczeniu.

- Czy naprawdę te wszystkie świny są mu potrzebne? Dla zachowania równowagi?

- Prawdopodobnie tak. W końcu jest człowiekiem, prawda? Celem, programem, projektem, władzą. Tak już jest.

Na piętnastym kilometrze, licząc od Ułan Bator, którego panorama już dawno zniknęła im z oczu, minęli *check-point* - Policja - dwie kawiarnie i stacja paliw, po których step nabrał nowej horyzontalności, jeszcze bardziej płaskiej, jeszcze bardziej nieskończonej. Major, która znała oleiste³¹ morza, uprzedzała go o tym. Przestrzeń licząca ponad dziesięć tysięcy wiorst nie rozbrzmiewa żadnym zwycięstwem. Dźwięk bębnow w niej ginie, wielkość imperiów maleje, maleje, by w końcu skurczyć się do szagrynowej skórki na końcu wyschłego patyka. Nie sady się na niej trzech milionów czarnych topoli i tyłuż brzoź, sadzonki nie przyjmują się ani tu, ani między Czerkasami i Stawropolem, ani na stepach woroneskich. To Chiny za dynastii Han i Ming. W czasie, jaki posłańcowi zajmuje przebycie ogromnych prowincji, tysiący pustynnych krain, tysiący żyznych krain, atrament jego pisma zdąży zblaknąć, cesarz umrze, tron obejmie inny i reforma albo rozkaz, albo podatek czy wyrok ulegają przedawnieniu. To dlatego wieśniacy pozdrawiają go, uśmiechają się do niego, okazują należne lub domniemane honory jego pozycji. To dlatego zwołuje się orkiestry, uwijają się oficjele, odkurza się lub wznosi podia, rozwija dywany i serwuje odpowiednie dania, miseczki do obmywania palców, słodkości, małe nadziewane bułeczki i chałwę, ale słów cesarza, jeśli przypadkiem można je jeszcze odszyfrować, słucha się wyłącznie niczym poematu.

- Niech pan posłucha, Stevens, nie ma pan już elektryczności, nie ma telefonu. Tylko patrzeć, jak nie będzie pan miał już nawet drogi. Żyje pan w czasach dynastii Han albo Qin, lub też car Mikołaj Zwany Pałkinem, car Żelazny, zlecił panu jakiś podbój, o którym on sam

³¹ *Les mers d'huile* (fr.) spokojne akweny, strefy ciszy morskiej.

już nie pamięta.

- Mieszka pani czas z przestrzenią, miss Echampson.

- Tak pan sądzi, Waterfull? To znaczy, pana zdaniem, aż tak się od siebie różnią?

I faktycznie step wchłaniał hałas pociągu, hałas świń, hałas jego pięknej armii. Raptem Stevens poczuł zmęczenie i przygotował sobie kąpiel pośród lśniącej emalii swojej doskonałej łazienki z drewna zielonego jaworu, w której, nastawiwszy uprzednio automatyczne pilotowanie, z siedemdziesięcioma tysiącami świń podążających za pociągiem, zasnął.

Tymczasem w empirowym saloniku miss Echampson i pełnomocnik Waterfull kontynuowali rozmowę.

- Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, mój drogi, że miarą władzy była przede wszystkim ilość antyszambrów i dworzan, różnych mistrzów ceremonii, marszałków dworu i marszałków głównych, *Hof Führerów* i innych starców w szamerowanych srebrem szatach, których zadaniem było powieść podług ustalonego, niewzruszonego porządku gościa lub zaproszonego urzędnika aż do nagiego centrum, gdzie, z ciałem obleczonego w jadalną skórę, tkwił król, cesarz lub prezydent? Nie taki a taki król czy cesarz, ale władca jako taki, niezmienny i оголоcony, wydrażony, wypatroszony z przyziemności ogółu śmiertelników szeregiem wysokich komnat, długich komnat i długich korytarzy prowadzących do tego przybytku powinności i władzy.

- Liczba sług, w rzeczy samej, sług jako pośredników i sztafety, była miarą, zgadzam się z panią, wartości, jak również wielkości pałacu.

- Nie mówię o powierzchni mieszkalnej, panie Waterfull, ani o królewskiej architekturze, lecz o grubości warstw pustki, którymi otaczano serce ośrodka państwa (lub imperium) nie po to, by je chronić, lecz by je ukazać jako takie. To przestrzeń, i to przestrzeń uregulowana, przestrzeń, którą należało przebyć zgodnie z ustalonymi regułami choreograficznymi, które anonsowały, czyli stwarzały wrażenie siły i skuteczności władzy. Znacznie ważniejsze było to, żeby w takim a takim konkretnie momencie odkleił się od ściany taki to a taki mistrz ceremonii i na tym a nie innym odcinku parkuru dołączył do pierwszej powitalnej grupy składającej się z takich to a takich bywalców dworu, niż to, żeby w progu pierwszej sali zaprezentowała broń dziesięcioletnia armia. Popis siły czy magii nie dokonywał się przez ukazanie ogromu pałacu ani jego mebli, jego obrazów ani bogactw. Przeciwnie, chodziło o to, by kazać gościowi przebyć pustkę, mnóstwo kolejnych pustek, mnóstwo warstw powietrza, kolejne służby, po to jedynie, by ta powtarzalność niczego, оголоconej przestrzeni, przygotowała go na nic doskonałe w przybytku władzy, i to władzy

samej w sobie. I wtedy nieważne, czy przedstawiciel wszechmocy stał na lekko ugiętych nogach, odziany od stóp do głów w jasną giemzę czy w czterdziestofuntowy pancerz drogich kamieni, czy nosił faworyty czy czarne strusie pióra, nie, gościowi wystarczyło znaleźć się w samym centrum pustki absolutnej.

- I jak najmniej się poruszać, wiem, o co pani chodzi. Ale mam wrażenie, że mówi pani raczej o symbolicznych rytuałach niż o prawdziwej władzy. Dajmy na to ekonomicznej czy wojskowej.

- Zbyt wiele rzeczy pan rozdziela, panie Waterfull, lubi pan niezależność.

- Och, czy lubię niezależność, sam nie wiem. Przecież układy sił, geopolityka, finansowe potęgi sprawowały faktyczne rządy nad światem, czyż nie? Nie sądzi pani, że wielomilionowa fortuna była zawsze skuteczniejsza od tych wszystkich amfilad pustych warstw, o których pani mówi? W sposób konkretny skuteczniejsza. Chętnie pani przyznam, że fortuny, raz powstawszy, otaczały się następnie tajemnicami i pewnymi inscenizacjami, mającymi im przydać realności bardziej... duchowej, ale żeby przyodziewać kostium, szaty władzy dla samej władzy, wybaczy pani.

- Pieniądz nigdy nie był kwintesencją, panie Waterfull.

- Otóż to. Ani kwintesencją, ani esencją, lecz potęgą, potęgą przepływu, tak bym to określił. Którego kierunku, na przekór dyspozycjom językowym, był wybitnie jednoznaczny. Zapiski typu „meksykańska cementownia Senex przejmuje za 5,8 miliarda dolarów brytyjski LCM” czy „indyjska grupa Mittal Steel staje się światowym liderem przemysłu stalowego po przejściu amerykańskiego International Steel Group za 3,3 miliarda dolarów” mówią więcej o ewolucji światowej gospodarki niż sposób przyjęcia brytyjskich gości w Ambasadzie Amerykańskiej w Kalkucie. Tym samym więcej mówią o stosunkach równowagi między państwami niż przemowy, które podczas przyjęć ozdabiają, czyli „obsługują” tego rodzaju wydarzenie.

- A jednak Troja, panie Waterfull, spłonęła nie z powodu skarbu ni bogactwa, ni honoru, tylko trzepotu rzęs.

- Pretekst! Poezja, pretekst, rozumie pani? Czysta mitologia. To znaczy: przetrwanie przez język prostego i brutalnego faktu, pewnego faktu.

Na dwudziestym ósmym kilometrze linia kolejowa przecięła linię drogi z miękkim, doskonale wymierzonym odgłosem. Na wybrzuszeniu w poprzek drogi wózki wagonowe przechylały się w tył, szubu-du, łubu-du.

Lawson zredukował ciśnienie.

- Wszelkiego rodzaju opowieści spisuje się, panie pełnomocniku, spisuje się,

przekazuje, opowiada lub śpiewa. Nie ma czegoś takiego jak nagi fakt. Nagi fakt jest konstrukcją językową, nagi fakt istnieje tylko w obrębie języka, który o nim mówi.

- Tak, jeśli uczyni pani z języka pewną formę ducha, tego samego rodzaju co przestrzeń i czas. Ale to błąd. Dla zwierząt nagi fakt istnieje.

- Zwierzęta nie istnieją poza obrębem języka. I świat też nie. Mam na myśli świat człowieka. Jedyne, o którym moglibyśmy rozmawiać. Składają się nań różnego rodzaju elementy, ruchy, struktury, stawki, motywy, które są zarazem podmiotami języka i wszystkie sobą mówią. Opór przed rzeczywistością też sobą mówi, i choroba, i śmierć. I sam pan widzi, jeśli Stevens jeszcze żyje, to dlatego, że trwa, nieważne jak długo jeszcze, że wciąż trwa w ludzkim świecie: pisze. Jeśliby zarzucił prowadzenie swojego dziennika, zniknąłby jako człowiek. Zniknąłby i wraz z nim zniknęłoby to wszystko, co może zachować człowieczego, co nie jest całym człowieczeństwem, a tylko maleńkim odpryskiem, pełnym luk, niekompletnym, wrywkowym i nieskładnym jak każdy tego rodzaju odprysk. Wszystko, co robi, jest w rzeczywistości pretekstem, pretekstem, ponieważ, jak chyba nikt przed nim, nie dysponuje żadnym innym sposobem bycia człowiekiem. Żaden z jego związków ze śladami ludzkiego świata nie istniałby, gdyby o nich nie pisał. Rozumie pan, czym jest prozopopeja³²? Nikt nie może żyć w zupełnej samotności. My jesteśmy jego warunkami przetrwania. Jesteśmy nakładającymi się warstwami pustego powietrza, otaczającymi serce jego władzy, jesteśmy salami i korytarzami, jesteśmy dworzanami i marszałkami jego imperium, podtrzymujemy go, nieustannie go tworzymy jako Czejena, jako Awę, Prawdziwego Człowieka, jako istotę ludzką.

Lawson zredukował ciśnienie. Widział przed sobą wstążkę strumienia, który na trzydziestym czwartym kilometrze wystawił swój łeb zimnego węża i mógł posłużyć jako baza pod dobre obozowisko. Stevens skalkulował szybkość pociągu i dwa kilometry za transformatorem w Konkhorze wyłączył maszyny. Przez długi czas słychać było tylko ślizganie się kół i racic, i ziajanie wyczerpanych świń.

Kiedy otworzył tylne drzwi, transmongolski pociąg jął kasłać i wypluwać skrzepy, które w zetknięciu z ziemią odzyskiwały cztery łapy i pędziły wytarzać się w błocie, w innych świniach i w brudnej wodzie, w trawie, w zimnym powietrzu, na swobodzie. Płaski strumień zamieniły w bajoro, w esplanadę pianistego błota, w grząskie, głęboko przeorane pole, w którym nurzały swoje robactwo i swoje wzdęte brzuchy. Połowa prosiąt zległa, stratowana w ostatnim wagonie, skutkiem czego stado samic wyło aż do świtu jak przed ziejącymi

³² Prozopopeja - figura retoryczna polegająca na wprowadzeniu do wypowiedzi pozornego cytatu, na użyczeniu głosu personifikowanym alegoriom, osobom zmarłym itp.

trzewiami jakiegoś wielkiego czarnego robaka. Po czym nagle zapomniały i dołączyły do tłumu, do koła, zniknęły.

Stevens liczył na pustynię. Na pustynię i na instynkt zachowawczy masy. Gauczo był tego samego zdania. I faktycznie nazajutrz nie było żadnego problemu z odzyskaniem bydła, które, jak na peronie, zdawały się czekać, aż kiszka pociągu wchłonie je do środka. Trzy długie gwizdki stały się nowym sygnałem zbiórki i w ciągu następnych dni i tygodni, mimo rosnącego głodu i nocnego przymrozku, który często w zimnym słońcu coraz krótszych dni już nawet nie topniał, jego skuteczność ciągle się potwierdzała. Świnie zdawały się nakierowane na jeden wspólny cel, każdego ranka były gotowe, każdego ranka na nowo podejmowały bagaż i niekończący się marsz. Bez zrzędzenia, zadowolając się najczęściej jakąś kałużą i kępami suchych saksauli³³, nędznymi zdobyczami istot padających ze zmęczenia. Długo, długo, całymi dniami, długimi jak miesiące, niezmiennymi dniami rozciągniętymi do garstki dziennych godzin, osady ustępowały miejsca pustyni, potem następnym osadom. Samotnym oazom. Opuszczonym rosyjskim bazom, osadom. Bezimiennym. Prawie bez zabudowań, bez skrzyżowań ulic. Wygładzonym przez piasek, czystym i pozbawionym sensu. Czasami jakiś plac ożywiała plastikowa torba, czasami niebieska. Wychudzony pies mógł bez końca biec przed pociągiem wzdłuż drogi, która bez przekonania wiała się wzdłuż torów kolejowych. Potem, wyczuwając ogólną siłę ciągnącą się za pociągiem jak ślad na powierzchni wody, pies w końcu zniknął. I zwracał osadę pustyni, plac torbie plastikowej. Opuszczoną bazę rosyjską opuszczeniu. Korozji, deflacji.

W Czojr Stevens zatrzymał swoją armię, która rozlała się jak powódź po najpiękniejszym pasie startowym Mongolii, potem opanowała dworzec i przewaliła się jak walec po budynkach mieszkalnych, już i tak zniszczonych, i po eleganckim hotelu, oferującym nocleg za cztery dolary oraz menu, w którym proponowano ragout z irlandzkiej baraniny. Przy okazji zostały splądrowane również dwa banki obok wieży ciśnień oraz kilka sklepów. Tam, gdzie było mięso, ryż, marchew, kartony mleka UHT, wędzone ryby wiszące na sznurkach w załomie brudnych okien, kiełbasy, cebula, ziemniaki, piwo, nie zostało nic. Stevens ledwie znalazł w butelce kasjera odrobinę wódki.

Na głównym placu betonowy kosmonauta wypuszczał cudaczną raketę długości ramienia, raketę wruszającą. Jego cokol łuszczył się, jego atletyczne ciało łuszczyło się, opadła farba i gips pokryły stopnie jego utraconej chwały. Koniec końców śmiechu wartej chwały. Bloki rosyjskich robotników, zniszczone przez Mongołów i przez psy, patrzyły na

³³ Saksaul - (łac. *haloxylon bunge*) - nazwa sucholubnych roślin krzaczastych z rodziny komosowatych. Gatunki należące do tego rodzaju zasiedlają pustynie i półpustynie Azji.

niego przez wybite okna, patrzyły, nie widząc. Z daleka. Z bardziej bliska postać ludzka nabierała rozmiarów budynku. Zbliżającego się Stevensa zmyliła perspektywa, skala stepu przemieściła się, rozszerzyła wokół pomnika, aż nagle z jego monumentalnej formy wychynął indywidualny korpus inżynierów i metalurgów, robotników wykwalifikowanych, niewykwalifikowanych, galerników, którzy dwa kilometry dalej zbudowali najpiękniejszy pas startowy Mongolii i którzy z niego właśnie uciekli. Ta globalna, akademicka forma, ten kanon radzieckiego piękna, to działo posłało do nieba swoją śmiechu wartą rakieta setki indywidualnych istnień tych, którzy ją uformowali. Razem z guzikami ich rozporków, ich chorobami, ich nieco odmiennymi upodobaniami, ich utykaniem. Układ każdego płuca w ciele każdego z nich, macicy, dokładne usytuowanie serca. Wychynęli z niego niewolnicy suescy i rzymscy, mamelukowie Malika al-Sahliego, mężczyźni pojmani i zapędzeni do prac ponad ludzką miarę, przy grobowcach, pałacach, przy wszystkim, co było potęgą posadowioną na tłuczonych kamieniach i glinie, wybijaną w metalu. I wychynęło z niego również błyszczące spojrzenie ośmioletniego dziecka siedzącego na koniu i trzymającego naręcze ostów. Wspomnienie to przeszło Stevensa jak płonąca błyskawica. Miał ochotę wejść na piedestał, dotknąć nagiego torsu białego, skamieniałego korpusu. Zapewne w nadziei przywrócenia go do życia.

- Bajki, Jaume. Żyje pan bajkami i żałami. Gdzie pana program?

- Jeśli pozwolisz świniom się wyprzedzić, Stevens, stracisz je. Trzeba dotrzeć do Sajnszand przed zimą.

- Żale, pani major! Już jak pani coś powie! W sytuacji, gdy każdego ranka zadaję sobie pytanie, jak mogę jeszcze oddychać tym powietrzem. Żale! Ależ to nie są żale, to dziura, ziejąca bezimienna otchłań w moim ciele, machina skazana na zagładę. Żale! Pani jest szalona, pani jest potworna.

Major zamarkowała szermierczy wypad.

- Potworna? Być może tak, Jaume. Nie znam czasu. Metafizyczna czy seksualna, po co te subtelnosci. Rozwlekła, sama nie wiem. Ale tak, po prostu potworna.

Stevens zadrżał na widok tego uśmiechu, rozciągającego jej twarz niczym bezbłędne chirurgiczne cięcie, doskonale czyste i pewne, doskonale zdystansowane, gdy tymczasem oczy jej jarzyły się drapieżnym światłem. Poczuł, jak wnętrzości w jego brzuchu zbijają się w kieszonkę twardą i zlodowaciałą jak pięść.

Waterfull podrapał się po szyi.

- Myślę, że miss Echampion chciała, jak by to powiedzieć, wskazać panu właściwe proporcje problemu. Z łatwością pojmuję, że wyrażenie tego w ten sposób jest całkowicie nie

do przyjęcia, lecz w sumie można powiedzieć, że nie jest w błędzie. Rozumie pan. Już to wyjaśniam. Jeśli uważa pan, że za własne przetrwanie odpowiada pan w nie większym stopniu niż za własne urodzenie, wtedy przeszłość w rzeczy samej, przeszłość może być tylko obiektem lamentów. Lub, jak pan woli, rojeń. Przyjmijmy, proszę się nie denerwować, że być może powinien pan powrócić do odwiecznych mądrości na własny użytek. Czy przynajmniej niektórych ich praktycznych przykazań.

Stevens czekał.

Waterfull wyjął z kieszeni małą książeczkę i jął wertować jej kruche strony.

- Gdzie to zwędziłeś?

- Nie zwędziłem tego, panie Lawson. Pożyczyłem sobie z drugiego piętra klasztoru w Gandam, którego biblioteka posiadała kilka dzieł z zakresu filozofii zachodniej.

- Pożyczyłem! Akurat.

- Posłuchaj no, dzikusie, w okolicznościach, w jakich się znaleźliśmy, nie bardzo widzę, co innego można by zrobić niż pożyczyć. Komu, pana zdaniem, miałbym ukraść tę książkę? Buddzie? Czy nigdy panu nie przyszło do głowy, że własność zakłada podział i wspólnotę? Jeśli nie ma pan sąsiada, to sąsiad nie będzie pana ciągał po sądach. Nie będzie oskarżał, że wypija pan jego wino czy mieszka w jego domu.

- To prawda. Ani że posuwa jego żonę, bo żona nie istnieje. Punkt dla ciebie, rabusiu. Pożyczka jest gratis. Teraz wszystko jest gratis.

- Otóż to i na pewno w większym stopniu, niż się panu zdaje. Ach, znalazłem! *Z wszystkich spraw świata jedne od nas zależą, inne nie.* Epiktet.

- I co z tego?

- I to z tego, że znalazł się pan na świecie sam w sytuacji niezależnej od siebie. Nic pan na to nie poradzi. Nie pan do tego doprowadził i nawet gdyby pan chciał, nie zdołałby pan tego spowodować, więc nie ma sensu tego roztrząsać. Sytuacja pana dotyczy, przyznaję, ale od pana nie zależy. Zależy natomiast od pana obecny stan pańskiej duszy. Niech się pan zajmie swoją duszą.

- *Yeah!* Zajmij się swoją duszą, Stevens, bo: *ten, kto zajmuje się przede wszystkim własną duszą, nie tragizuje, nie podnosi próżnych lamentów. Jakie ma dla niego znaczenie to, czy jest zupełnie sam, czy otoczony licznym towarzystwem?* Marek Aureliusz, *Myśli*.

- No proszę, to pan umie czytać?

- Nie do wiary, prawda? Umiem czytać. I coś ci powiem, biedny jankesie, swego czasu nawet głosowałem!

Banialuki, myślał Stevens, nic nie rozumieją. Samotność to nie położenie, tylko stan.

Jak rodzaj męski, żeński i trzy stany skupienia materii, to stan ciała. Marsz weselny, przy wtórze którego do ołtarza kroczy tylko jeden z oblubieńców, to pogrzeb. Podkreślony wspaniałą chóralną muzyką, która załamuje się na kościelnych aksamitach i wkrótce ucichnie. Nagi, bardziej odległy, bardziej oschły od cystersa zawodzącego pośród murów swoje oooo, samooootności, jestem. Sam jak kastrat, otóż to, bez haremu, bez bogactw, bez słuchaczy. Gorzej niż kastrat. Wszelkie obcowanie, dary, kontakty, stosunki, bliskości zniknęły. Utraciłem całą konstelację.

- Ależ nie, tym konkretnie, czego pan żałuje, jest to, że nie będzie pan już mógł ukryć twarzy w ciepłych spódnicach i z ufnością się w nich wypłakać, jak ukojone dziecko. Co zresztą, mimo całej mojej potworności, rozumiem. Mnie też by brakowało wilgotnego powietrza zatłoczonych klubów nocnych o trzeciej nad ranem. Oddechów i śliny, gorącego potu. Przyznaję, że przepadałam za tym lekkim szokiem fizycznego kontaktu. Skórą piersi i warg.

- Słucham?

- Ich strukturą, ich sprężystością, jeśli pan woli. Coś nie tak? Tak czy inaczej nie róbmy z igły wideł, nie brak nam przecież wyobraźni, prawda? Co do pańskich poczynań i tak dalej, no cóż. Niech pan przyjmie, że ma w sobie mały motorek, i ruszy do działania, najwyższa pora.

Co robią dzieci, kiedy zostaną same? Bawią się, zbierają kamyki i piasek i budują z tego małe zamki, które potem niszczą. Tym sposobem nigdy im nie brakuje rozrywki. Czy tego, co dzieci robią z płocności, nie potrafiłbyś zrobić z mądrości i rozsądku? Wszędzie dookoła jest pod dostatkiem kamyków i piasku. Zresztą w nas samych jest tyle do zbudowania, tyle do zburzenia. Nie narzekajmy, że jesteśmy sami! Epiktet, *Diatryby* - zacytował Waterfull.

Za Czojr nie brakowało piasku i kamieni.

Na zimnych wydmach w nieskończoność wydłużały się cienie. Wszelkie rozrywki sprowadzały się do pojawiania się od czasu do czasu słupa elektrycznego i znikania z oczu gazeli z Gobi z białym ogonkiem, które zrywały się do biegu z chyżością przywodzącą na myśl spadające gwiazdy. Moje mgławice, szeptał Stevens, któremu wydawało się niekiedy, że ciągnie za sobą całą Drogę Mleczną. Z przodu on, czarna dziura pochłaniająca w drodze do Pekinu siedemdziesiąt tysięcy swoich myśli jasnych jak mleko. Ale świny dziesiątkami zdychały, zwłaszcza nocą, kiedy temperatury coraz bardziej spadały. Trzeba było zwiększyć tempo podróży. Żeby nie dopuścić do zasypiania świń, Stevens postanowił podczas najzimniejszych godzin być w drodze. Wielki skok naprzód przeobraził się w kampanię mongolską, gorączkową ucieczkę przed nieubłaganym wrogiem o zgrabiałych szponach,

który galopował ich śladem. Było to możliwe. Wiedział, że kiedy miną Dzamin Uud, temperatury odczuwalnie wzrosną, a na tej pustyni, smaganej paraliżującymi wiatrami, nie zawsze przedkładano konia nad wielbłąda, kiedy w grę wchodziło zwycięstwo w wyścigu. W dziewięćdziesiątym roku Długobrody Szmaragd pokonał o trzy długości najlepszego ojrockiego ogiera sprowadzonego z wielką pompą przez Tok Baatuma, którego sława hodowcy niosła się szybciej niż letni afganiec³⁴ po równinie. Było to możliwe. Pochód świetlików *vitattus* powinien rozplatać noc jak pałający miecz. Cios zadany przez sześćdziesiąt tysięcy żarliwych wojowników nie może pozostać bez efektu. Góry piasku przed nim, wszechwładną czarną dziurą, usunie z drogi niczym czerwone fale małego słonego morza, które rozstąpiły się pod krokami jednego zdecydowanego człowieka.

Zwycięzimy. Sajnszand i Dzamin Uud oczekują nas jak wyzwolicieli, metropolie południa czekają z uchem przytkniętym do szyn, czeka na nas Pekin, na dworcach wzniesiono łuki triumfalne. Noc w noc, stojąc na dachu pierwszego wagonu, wyśpiewywał w przestrzeń swoją pieśń zdobywcy, spłacając w ten sposób trybut świniom, które za nim poszły. I świniom odpowiadały. Monotonnie powtarzały. *Roiq, Roiq, Roiq.*

Dwieście trzydzieści kilometrów przed ajmakiem wschodniogobijskim³⁵ piasku i kamieni mamy pod dostatkiem. Byłbym więc skazany, a nie wybrany przez opatrność, czy co jeszcze? Pasowany na infanta? Na imperatora?

Nisko nad smolistym horyzontem gromadzą się chmury.

Trzeba by więcej niż jednej burzy śnieżnej.

- Żeby co?

- Żeby wskrzesić zimę z czterdziestego czwartego. Tyle rzeczy musimy zniszczyć. Świat jest spustoszony. Leningrad otrząsa się z trwającego dziewięćset dni oblężenia, oddziały fińskie i niemieckie rozsypują się pod jego murami, Amerykanie kąpią się na Filipinach, i to w pakułach straszliwej burzy, Dambadaarja przeprawia się przez granicę mongolską na czele siedemdziesięciu tysięcy ukradzonych koni. Na własną rękę.

¡Oi, cuatrero perfumado, que bonito tropo el suyo! ¡Oi, Oi! Z impetem armatniej kuli, w ciasnym uścisku rozszalałych meteorytów wtargnęli do zasklepionego w sobie Sajnszandu *¡Adelante hijos de puta de porqueria!* W kabinie motorniczego Stevens przeciągał maszyny, nie zostawiając swoim diabłom czasu na ogarnięcie się. Miasto zdobyte! Miasto zdobyte!

³⁴ Afganiec - wiatr pustynny.

³⁵ Ajmak wschodniogobijski - (mong. *Dornogow' aimag*) jeden z 21 ajmaków (jednostek podziału teryt.) w Mongolii, jego stolicą jest Sajnszand.

Naprzód! Lawson, umieścisz mój jatagan w Muzeum Śmiałków Pustyni Gobi *¡Adelante!* na łożu czerwonych kamieni *¡Adelante car aj os!*

I rozedrgana noc - przepastna i spokojna na obrzeżach - trwała bez wytchnienia. Dopiero w świetle wstającego dnia słońce ukazało jej zniszczenia - biegnąca równolegle do torów i pokryta gołoledzią szosa schwytała w pułapkę ciężarówki, rozwlękając ich ładunek; bawełnę, czapki i sukienki. Żalosne. Stevens zaszył się w salonie, z którego wyszedł dopiero na postoju.

Ułaan-Uul.

Na obszarze Suihentu³⁶ wszystko jest skamieniałe. Dinozaury, gigantyczne drzewa, wydmy i mnisi. Legenda mówi, że mistrz bonzów za dużo medytował. Że zatonął w czasie jak w marmurowych prześcieradłach, a potęga jego była tak wielka, że w ślad za nim poszły drzewa i ludzie. Uczepieni jego rozwiązanej szarfy. Jeszcze dziś można ich zobaczyć, jak trwają w swym jałowym transie na wydmach, których nigdy nie opuścili, w sercu niecki o powierzchni trzech kilometrów kwadratowych pochodzenia sejsmicznego. Tak mówią.

Podejrzewam, że Waterfull zmyśla.

Przejechali przez Ułaan-Uul, przejechali przez wzgórza Qagan Obo, przejechali przez trzęsawisko paskudne jak łupież, przejechali jak miecz po wnętrzu pochwy. Później przez cały dzień Stevens obserwował przez lornetkę pole cienkich pali stojących rzędami równo jak pod sznur. W południe usłyszał nerwowe pohukiwania. Jadł swój mdły makaron, opowiadając sobie o czym innym, próbując nie kulić się wewnątrz na to kakofoniczne krakanie. Ale hałas nieustannie się zbliżał. Czyżby Sajnszand był obłączony? Podczas postoju zrobił zwykły obchód po dachach wagonów; świnię zlegały jak zziębnięte pakunki i hałaśliwie chrapały. Panował spokój. Nie dygotały nerwowo, nie wierciły się jak przed nadejściem burzy, nie nastawiały ucha na złowieszczy wiatr. Chrapały, lojalnie trawiąc swój podróży wikt. Gauczo obiecał im jutro prawdziwą wyżerkę, były ufne. Stevens zagwizdał na zbiórkę dwie godziny przed zmierzchem, zamierzając późnym rankiem dotrzeć do miasta. Razem ze świniami zerwał się moriane, wciskając się w ich szczeciny z piskami podekscytowanej mewy. Stevens miał niemiłe przecucie. Ostatnie widne godziny spędził na dachu z lornetką przytkniętą do brwi i z palcami zaciśniętymi na pokrętle ostrości, nie pojawiała się jednak nic oprócz tego zagonu gołych drzew posadzonych szeregami. Lawson zasugerował, żeby umieścić na

³⁶ Suihent - obszar skamielin, m.in. skamieniały las jurajski, na obszarze pustyni Gobi.

stanowisku pistolet maszynowy, a w kabinie pod ręką granaty, ponieważ Waterfull wysunął sugestię, że może to być dawny rzymski garnizon na zimowych manewrach. Major była raczej za oddziałem uzbrojonych po zęby miejscowych olbrzymów. No cóż, zobaczymy. Horyzont rozplomieniał zachód słońca, kiedy Stevens postanowił zejść i łyknąć herbaty z arakiem. Krzyki stawały się coraz głośniejsze, przesywając przyczajony step tysiącem świrdrów, przenikliwych i twardych jak wiertła do betonu. W niebiosa wzbijał się koncert osłów w rui.

Ostatnie jasne promienie zniknęły za linią horyzontu i księżyc, mleczny i błękitny, uniósł znad ziemi cienie nocy. Pociąg transmongolski schwytny we własne sidła niepomierne napęczał nad torami. Stevens obserwował z niepewnością swoje maszerujące zakosami stado skąpane w przejrzystych dłoniach Selene, które ów zgiełk zmusił do milczenia. Im bardziej zbliżali się do jego źródła, tym wyraźniejsze stawało się makabryczne zawrodozenie.

- Bramy piekła!

Lawson, najeżony jak jeżozwierz, co chwilę mamrotał zaklęcia.

- Kurde, posłuchaj tylko! Czarooownice!

Głosy na przemian nabrzmiewały i wzbijały się z głębi rezonujących trzewi, krzyczały, przenikliwe, gwałtowne i udręczone, nawracały, by zgłębiać zapomniane podziemne groty żywych, kończąc kadencje, wznosiły skargi wędrowców zanurzonych w czarnych wodach Styksu. Nagle bezwzględne, pozwalały demonom osuwać się w spiralę niekończącego się upadku, a potem powracały, by tańczyć na ziemi sabat dziobatych syren. Śmiech obłąkanych pogrzebanych żywcem, poddanych torturze koła, obłąkanych spętanych i wyłowionych za kości z mórzu kwasu oprawców z zaświatów, o włosach ociekających witriolem, o białych czaszkach wyklętych miłośnic szerzących zęby w bezwargim uśmiechu, o wydrążonych gardłach, przez które ze świstem wpadał oddech diabła; potępieni, poootępieni śpiewali gdzieś w oddali. A przez przednią szybę Stevens widział teraz, jak wyłaniają się z zimnego światła i rzucają na zdjęte grozę szyny swoje wspaniałe, długie i hieratyczne cienie. Wbił się w siedzenie, oczekując nieuchronnego ataku, przekonany, że przy pierwszym zetknięciu szkło rozprysnie się w drobny mak, a on zostanie schwytny za włosy i ciśnięty w czarną bezdenną otchłań. One jednak omiotły pociąg z lekkością pieszczoty, a potem długo muskały świnię, które wciąż za nim kroczyły, które kroczyły, nie oddając strzału. Kiedy Stevens poczuł, że oddech na nowo unosi mu żebra, odjął dłonie od oczu. Przyssał się do butelki araku i, odliczywszy do dziesięciu, zerknął na równinę. Spokojna. Sięgnął po pistolet maszynowy i zajął stanowisko na dachu. Księżyc znajdował się za nimi i

wisiał na ciemnym niebie spowity w swe zmysłowe woale. Major podała mu lornetkę, wskazując palcem wyraźnie widoczną sylwetkę sławetnych harpii.

- Doprawdy, wielki z pana romantyk.

Było to pole wiatraków.

Reguła dziewiąta: *Niechaj żaden rycerz nie skarży się na żadną z odniesionych ran.*
Marquez, *Tresoro militar de caballeria.*

I komentarz: Jeśli udrapowane wiatraki napędzają wam strachu, wskakujcie z powrotem na szkapę.

W Dzamin Uud Lawson nawtranżował się pospołu z najbrutalniejszymi świniami, rywalizując z nimi o najmniej spleśniałe kawałki suszonego mięsa. Zarobił parę ukąszeń, ale z pełnymi ustami i młóćąc ramionami, z pomocą retoryki stosowanej, jakoś sobie poradził.

- Spadaj, łajdaku, dość już znosiłem ciebie i twoją śmierdzącą rodzinę.... spieprzaj, Rotko...

W świeżych ruinach czegoś, co wydało im się gigantyczną butlą soku owocowego, urządzili huczną ucztę. Po czterystu pięćdziesięciu dwóch kilometrach przez suchy i kamienisty ajmak wschodniogobijski nawet najmniejsze wietrzne miasteczko, w którym handlują warzywami, jawi się jako kraina mlekiem i miodem płynąca.

Bank Togrog spoglądał brudnym okiem na tysiące różowych żołdaków, którzy w szlamie odchodów taplali się u jego stóp, ale niczego nie próbował. Wszyscy sunęli ślizgiem pośród bezmiernej radości i przypominało to prawdziwy taniec na parkiecie. Stevens pozwolił, by pociąg transmongolski rozjarzył światłem dworzec oraz okolice, by gestem rozrzutnym, jak to na kursach bywa, dać znak rozpoczęcia zabawy. Dzwonnice hoteli odsyłały żółte światło wagonów i melodie brzucha, westchnienia satysfakcji wlatywały aż po chmury, odbijając się echem od murów miejskich na nowo wzniesionych ku radości wszystkich. Pionowość budowli i rozmaitych kolumn i filarów, zajezdnie autobusów, cylindryczne słupy ogłoszeniowe, wieża ciśnień na równi z soczystym jedzeniem przyczyniały się do poczucia ogólnego zadowolenia. Przed świtem Stevens zauważył na poboczu parkietu szereg aktów spontanicznej kopulacji. Niektóre świnię upiły się i zataczały na ulicach, objając się o zgaszone latarnie i sikając w bramach. Jedna puściła pawia czerwonych odpadków, które druga, podążająca tuż za nią, pożarła bez apetytu. Zniewolone maciory kwiczały pod ciężarem spitych i uszczęśliwionych wieprzy, a pod ich brzuchami przetaczały się na krótkich nóżkach prosięta, obwąchując wszystkie napotkane po drodze

wilgotne otwory. Było kilka utarczek oraz dwóch czy trzech zabitych, ci nie usłyszeli mów pogrzebowych, w trakcie których Stevens pobrał z nich szynki i trochę żeberek.

Woń smażonego mięsa wypełniła bufet dworcowy wybrany na miejsce kolacji, gdzie, otoczony swoimi świniami uwijającymi się niczym swojskie kury, Stevens przygotował stół godny cesarza, którym przyszło mu zostać, z obrusem i z nakryciami. Wystrzeliły korki musującego wina, otworzył puszki i najadł się żeberek i skwierczącego tłuszczu. Kiedy przez szyby przeniknęło do wnętrza światło dnia i wydobyło wiszący w powietrzu jasny kurz, wyszedł, żeby wyłączyć światła pociągu, i wybrał się na spacer aż do tablicy na rogatkach Dzamin Uud.

Była to piękna tablica; na niebieskim tle z białą obwódką litery biegły po blasze cyrylicą jak lekka piosenka. Nucąc, maszerował z głową pełną zielonych źdźbeł trawy niesionych przez wiatr, lekki i spokojnie wstawiony. Potem szosa urwała się. Przeszedł kilka kroków po piaszczystej drodze, ugrzązł, mruknął pod nosem i zawrócił. Przed nim asfalt szosy położonej na piasku wyglądał jak pasmanteryjna wstążka równo ucięta u stóp pustyni. Biały pas, który rozdzielał ją na dwie równe części, jednakowo nadające się do ruchu kołowego, jednakowo płaskie i czyste, ciągnął się geometrycznie jak zygzakowy ścieg na jedwabistej obwódce. Zastanowiło go, jak ta dziwna lamówka utrzymuje się na piasku i nie wybrzusza, nie ześlizguje na bok. Potem uznał, że przypomina mu język. Chropowaty, twardy język jakiegoś zemdlonego smoka, gigantycznego czau-czau. Dopatrzył się w pustyni filtra żółtego psa, gdzieniegdzie z kępkami puchu, w wydmach rozpoznał uszy. Z których wystawały czarne włoski trzepoczące na wietrze. Drogę przecięło stadko gazeli. Jesteśmy pchłami. Jesteśmy jak pchły na włochatym zwierzęciu. Jaki z niego cesarz. Cesarz pcheł. Nie, to jednak język. Ta droga jest językiem. Językiem i lamówką, która mogłaby być też i granicą. Z ludzkiej działalności został ci tylko język. Nie narzekaj, dzięki niemu nadal możesz podążać naprzód. Drogą biegnącą po języku wrócił na dworzec, próbując wyobrazić sobie sieć języków nakładających się na siebie na całej powierzchni włochatego zwierzęcia. Zwierzęcia prawdziwie językowego. Zwierzęcia z milionem języków, zwierzęcia składającego się prawie wyłącznie z języków, trochę odrażającego. Nagle przypomniał sobie słowa pani major: niedługo w ogóle nie będzie pan miał drogi, i w ułamku sekundy znów ujrzał nowy układ urbanistyczny Ułan Bator i sposób, w jaki, w rzeczy samej, asfalt położony przez człowieka popadał we władanie zielska i błota. Dobry Boże, czyżby go czekała afazja?

Major wzruszyła ramionami.

- Zawsze pozostaną wydeptane ścieżki. I strumienie, rzeki, morza i archipelagi. Myśli pan tak bardzo jak Ziemianin. Aż trudno uwierzyć, że oglądał pan to wszystko z góry.

- Poza tym zawsze może pan się postarać o kasetę Assimilu³⁷ - dodał Waterfull.

Dobry pomysł. Oczywiście, *I beg you pardon, madam, do you know the way to the station?*

- Przez cały czas prosto, Herr Mister. Podróżuje pan samotnie?

Niestety nie; w pełnej wannie chrapał jak Świnia Lawson. Od czasu do czasu pod wpływem jakiegoś, chyba rozkosznego, snu podskakiwał i kwiczał ze śmiechu. Za każdym jego poruszeniem z wanny przelewało się trochę wody. Stevens bezceremonialnie go obudził.

- Co z tobą Lincoln, czyżbyś poczuł smród własnego ciała?

- Ech, zamknij się - odrzekł Lawson, prostując nogi i nie przejmując się wykładziną, która wchłaniała ściekającą z niego wodę. - Wyobraź sobie, że śniła mi się twoja grdyka. Ale było śmiechu, kiedy się rozpląsałeś na siedzeniu z powodu zawodzących wniebogłosy hurys. Och, och, och, nawet trzyletni dzieciak nie miałby takiej miny, do licha, co z ciebie za facet!

Stevens zarumienił się jak panienka.

- To ty, hipokryto, trząśłeś się jak osika! Oglupiłeś mnie tymi swoimi magicznymi formułkami. Co ty mi tu wmawiasz? Fakt, wcisnąłem się w najdalszy kąt ławki w wagonie, ale żadnych innych objawów nie miałem!

- Tak, tak, tłumacz to sobie, jak chcesz, skoro ci to sprawia przyjemność. Wiem, co widziałem, tylko się zgrywasz na śmiałka, to jasne. Znajdź sobie hełm i zaciągnij się do wojska, czeka cię piękna przyszłość!

Stevens wyszedł, trzaskając drzwiami. Major przeszła z tyłu za fotelem, na który opadł, i szepnęła mu do ucha:

- Niech się pan nie denerwuje, są przecież lepsze rzeczy niż widok Lawsons wychodzącego z kąpieli.

Na ten szept Stevens drgnął i poszukał jej spojrzenia, ale ona odwróciła się już i jak duch zniknęła w głębi pociągu.

- Pójdę po pled.

Akurat.

³⁷ Assimill - metoda nauki języków obcych na podstawie francuskiego.

Podróż przez Mongolię Wewnętrzną była jak przejazd po bezwłosej brodzie Hanów. Ledwie kępka czegoś dla nadania rytmu przestrzeni. Ogromny pociąg skurczył się do rozmiarów ostrza z nikłym chrzęstem skrobiącego o szyny. Świnie zdawały się tracić nadzieję. Po wielkiej uczcie w Dzamin Uud przez trzy noce wlokły się ospałe i zniechęcone. Każdego wieczoru Stevens opowiadał im o wielkim chanie i jego synu Ogotaju, jednak jego przemowy nie bardzo skutkowały. Już nie skandowały modlitewnie jego imienia, kiedy przebiegał po dachach kolei transmongolskiej. W chwili odjazdu tylko hajnany z werwą unosiły ryje. Pozostałe pewnie czuły się jak najemnicy, których oszukano przy wypłacie. Zwłaszcza landracee opłakiwały swą utraconą ojczyznę, zielone doliny, okrągłe pagórki, chrupkie ziemniaki. Co rusz wybuchały konflikty, ponieważ stado rozbiło się na grupy. Rotko zrobił się popędliwy i bez przerwy prowokował jednego z dowódców chińskich, któremu przekroczenie granicy przewróciło w głowie. Stevens zmuszony był ich rozdzielić i siłą zapakować hajnana do jednego z pustych wagonów. Ten po upływie tygodnia zdechł z ryjem w poduszkach pierwszej klasy do niczego już niepodobnych, ze wzrokiem wlepionym w swą spustoszoną krainę. Jego truchło Stevens rzucił do stóp wroga, ale Rotko nim wzgardził i pokazał zęby człowiekowi przynoszącemu mu ciało śmiałka, którego sam nie pokonał. Postawa ta wzburzyła Stevensa; batóg, bez którego nigdzie się nie ruszał, momentalnie znalazł praktyczne zastosowanie i na krnąbrnego wieprzka łypiącego spode łba spadł grad ciosów. Człowiek i zwierzę zaciekle walczyli pośrodku kręgu trochę zbyt zainteresowanego, aby nie być stronniczym. Stevens poczuł, że powinien przeciwnika nie pokonać, a zniszczyć. Nie zabić, a ukrócić. Na otaczające ich pełne oczekiwania kwiczenie zawrzał w nim gniew. Te opasłe łajdaki wzbudziły w nim nagłą odrazę, utożsamił je z wonią sfermentowanej śliwki i walił, walił wkoło bez opamiętania, żeby zrobić miejsce. Ołowiany uchwyt bata miażdżył najbliższe ryje, krąg pośród krzyków bólu rozstał się, a naprzeciwko niego Rotko w czystej furii osaczonego zwierzęcia toczył pianę i kłapał szczękami, tupał racicą, zamieniał się w maczugę i gryzł, i kwiczał z wściekłości. Rozjuszony Stevens zapomniał o niebezpieczeństwie, pozwalając, by ożyły w nim tysiąclecia bezwzględnej dominacji. Przez jego głowę przemykały obrazy, które były obrazami człowieka. Bite kijem barany, ciągnięte za postronek osły ze skrwawionymi szczękami, konie okładane pięścią i kopniakami, zakatowane na śmierć psy, niedźwiedzie atakowane nożem i maczetą. Rzeź koni na Kos, rzeź debilnych bizonów, pułapki na mamuty, walki wręcz z cuchnącymi wilkami, rozdziawione paszcze, śmiertelne walki wszystkich ludzi od czasów prehistorycznych z ich wielkimi i jedynymi rywalami, zwierzętami, wszystko to napełniło go nieopanowaną nienawiścią. Nienawiścią gruntowną, która nie była lękiem przywódcy ani poczuciem siły drapieżnika, bo

nie było żeru, bo żerem był on sam, tylko nienawiścią do podobnego sobie. Jedyna Świnia, której nadał imię, zwróciła się przeciwko niemu.

Walczyli jak równy z równym, nie dla stada, nie dla honoru; w tym momencie, podobnie jak u zarania dziejów w walce z tytanami, stawką dla nich było życie lub śmierć - on lub ja.

I rzeczywiście zostawił go na polu boju na pewną śmierć. Wstrząsanego mimowolnymi drgawkami, ze szczecina sklejoną czarną krwią. Pokonanego.

Widzowie niczym fale małego, słonego morza rozstąpili się, robiąc mu przejście, ale Stevens nie czuł się przepelniony siłą, tylko nieugięty i hardy. Tym razem bardzo samotny. Jakkolwiek z niejasnym wrażeniem, że postawił na swoim. A także, że zetknął się z drugą żywą istotą.

Ucięta za Dzamin Uud droga pojawiła się na nowo w Gurban Obo. Była różowa, z żółtym obrzeżem. Nakładające się warstwami kamienie i piasek, nieliczne wodopoje, za to od czasu do czasu jezioro wydrążone w białej skale z rudawym odcieniem. Tym, czy świnie jadły, czy piły, Stevens już się nie przejmował. Ruszał dalej, kiedy się przespał, kiedy miał ochotę, i tak samo się zatrzymywał. Rotkę wrzucił do celi padłego hajnana, niech w niej zdechnie sromotną śmiercią lub znajdzie sposób na przeżycie.

Niedaleko Derstu natknął się na hotel i postanowił w nim zanocować. Znajdowali się w Chinach.

I rzeczywiście, na każdym kroku natykał się na czajniczki do herbaty, stelaże z woskowanego drewna okrywały chude materace, porozrzucane wszędzie ubrania były wystrzępione. Oprócz burej sukni z przewagą czerwieni Stevens nie spotkał żadnej kobiety czy też nie umiał dopatrzeć się różnicy. W hotelowej pralni znalazł jedynie metalowe wiadra i trochę szarej pościeli, jak również dwie kijanki, których toporne uchwyty zachowały ślady palców. O, praczki! Przez całą noc przewracał się z boku na bok pośród karaluchów na swoim posłaniu.

W pociągu, który odjechał przed chwilą, wieki temu, kazał mi zanotować, mnie, Waterfullowi, swojemu kanceliście, różne przygnębiające myśli oraz listę rzeczy, za którymi tęskni. Nostalgia, nienawidzę tego słowa. Wydarłem te strony.

Dni były jednak cieplejsze, linia horyzontu gmatwała się, ziemia również nabierała rozległości, różnych spiralnych krzywizn, jakkolwiek nie całkiem rzeźby. Nasyp torów biegł po obsadzonej skarpie, saksauli ustąpiły miejsca wątlwym krzewom o czarnych pokręconych palcach. Stevensa hipnotyzowała linia szyn. Wpatrywał się w nie jak w tunel, u wylotu

którego, miał nadzieję, pojawi się nareszcie coś dobrego i pewnego. Doświadczał reakcji na pustynię, gdzie wszystko, co nie jest niezbędne, gubi się. Wątpił. W swój tytaniczny program, w swoją armię czyścicieli, we własne siły. Złapał przeziębienie, z którego Lawson wykurował go wywarem z ziół i słodkiego alkoholu. Z którego Waterfull wykurował go bardzo zieloną herbatą zabraną z hotelu.

Na północ od Jiningu dwie potężne rzeki porwały kilka nieostrożnych prosiąt. W Anatolii zwierzęta przeprowia się na drugi brzeg tratwami z żerdzi przywiązanych do nadmuchanych pęcherzy; tym sposobem setki owiec i kóz podróżują ekspresami na trzewiach swoich zmarłych. Ale te świnie nie miały o niczym pojęcia. I znów tylko hajnany zwąchały ryż i powitały chrumkaniem nowy pejzaż, który znienacka pojawił się między dwoma rzekami. Na tym maleńkim skrawku ziemi pomiędzy ciemnymi odnogami wód grunt wybrzuszył się i okrył zielenią i pagórkami. Na wschodzie wychynęła jakaś osada obrzeżona jasną drogą, widoczną na tle znów odnalezionego stepu, płaską, zamarzniętą, ale wolną od białego szronu. Zaczęły pojawiać się i piąć po niepewnych wypukłościach terenu fragmenty murów. Kolory, oczom Stevensa znów objawiły się kolory. Wyglądał na zewnątrz z zachłannością człowieka zgubionego w buszu, który odkrywa przed sobą drogę do krynic miodu. Po drugim moście wszystko poszło bardzo szybko, miasto jak owoc otworzyło się przed pociągiem, wspaniały dworzec, ogromny, wzniesiony na antycznych marmurowych kolumnach, przyjął podróżników w zagłębieniu swojej ciepłej dłoni, w której zamknął ich i przez chwilę przytrzymał, po czym wypuścił w światła szerokich ulic. Świnie, przepychając się, wypadły z pociągu, wyważyły obrotowe drzwi i rozsypały się po placu zatłoczonym samochodami i taksówkami, niebieskimi i żółtymi parasolami, skręconymi ubraniami. Za swoim szalonym stadem podążył Stevens i wtedy ujrzał centrum miasta, pełne ożywienia za sprawą jego zwierząt oraz pozostałości po ruchliwych Chińczykach. Zalała go nowa fala czułości dla tych energicznych stworzeń, które z podziwu godną systematycznością zaglądały pod pokrywki i kartony. Sunęły przez wielki plac równym frontem, z przodu generałowie, piechota depcząca im po piętach. Pomnik ze szkła rozdzielił ich na dwie flotylle, po czym przegrupowani w brygady wtargnęli w aleje i ulice, przetrząsając wszystko, po najmniejszy kosz wiklinowy i opuszczony rynsztok w najdalszym ciemnym zaułku.

Jining był bardzo duży. Przez bramę w kształcie pagody dochodziło się do dawnego centrum fortecy, wtłoczonego w kościstą klatkę centrum biznesowego. Ale Jining nie był za duży. Sześćdziesiąt tysięcy świń w nim nie zginęło. Wystarczyło im nie więcej niż sześć dni, by oczyścić całość, włącznie ze starym centrum, włącznie z lśniącymi brukami, ze wszystkimi bramami i przyległymi wnętrzami, ze wszystkimi piwnicami z pojemnikami na śmieci oraz

wszystkimi innymi. Stevens był oczarowany. Dieta, której zostały poddane, z wielokrotnością ich potencjał wchłaniania lub też przyzwyczaił się do tego, że żerują w stepie i to im wystarcza, powoli zapominając, że świnia jest zwierzęciem wszystkożernym, obdarzonym apetytem potocznie określanym jako wilczy.

Kiedy zobaczył swoje kochane wieprzki sunące przez miasto jak odkurzacze z ruchomą głowicą i pozostawiające za sobą jedno pasmo ciemnego błota tam, gdzie wcześniej zlegały miriady odpadków, pogratulował sobie. Był to nie tylko piękny widok (ta dyscyplina, ta pełna skupienia staranność), przede wszystkim efekt przerósł jego oczekiwania. W sześć dni taki Jining, przepuszczony przez sito jego oddziałów, odzyskał z powrotem ludzką twarz. By tak rzec. To było cudowne. Wymazane obelgi i reszta, wymazane zbędne detale; z miasta pozostał tylko czysty duch, ścisła topografia, niemal abstrakcja. Jego całościowej struktury ani kompozycji kamieni z asfaltem, szkłem i drewnem nie zakłócały już żaden ruch ani spaliny. Gdzieś tam dyskretnymi pociągnięciami jaśniał plastik. Świnie wypolerowały ulice jak giemzowa skórka metalik karoserii. W deszczu lśniły nagie aleje, których kanałami płynęła już tylko woda. Stevens mógł się poczuć jak w Luksemburgu. Kraju wielkości tego chińskiego miasta, kraju, w którym każdego ranka dziesiąta część zielonej armii na czarnych kołach odkurzała słomianki. W smudze odchodów, jakie za sobą zostawiały, jednolitej tak w zapachu, jak w dotyku, nie było nic krępującego. Była to po prostu ich sygnatura. Zważywszy rzecz całą - elegancka, niewychodząca z mody. Klasyczna. Banki nie miałyby jej nic do zarzucenia.

Miasto w swym całokształcie było blokiem betonu, poślubionym ulicami. Kąty były wyraźne, światło przesuwano się wzdłuż linii zwartej zabudowy, podporządkowując się skalkulowanym na papierze decyzjom architektonicznym, które teraz na nowo odzyskały pełnię ekspresji, nareszcie uwolnioną od żywego nieładu tysięcy ruchliwych Chińczyków. Ach, nowe miasta! Tkwiąc wewnątrz tego schludnego monstrum, Stevens doświadczał przystępów duchowości. Rozumu i ortogonalności. Świetlisty trójkąt na szpalerze budynków nappełnił go wzruszeniem estetycznym, wybornie ubogim i anachronicznym. Ten oczyszczony Jining to istna kaplica, istny blokhauz. Autokratyczny wymysł jakiegoś technika zafascynowanego Mexphalte C.

Siódmego dnia trzykrotnie zagwizdał, dając sygnał do wymarszu.

Zanim jego czyściciele zamienią się w destruktorów i wichrzycieli, wszystko bowiem, co powinno, zostało zjedzone, miasto bowiem było miastem, miastem uprzątniętym, obecnie kompletnie martwym i bez życia, należało ruszyć dalej. W przeciwnym razie obawiał się, że może najść go chęćka wysadzenia tego wszystkiego w powietrze jednym podmuchem

konwencjonalnej bomby (dwieście czternaście kilogramów ładunku wybuchowego typu Torpex) niesterowanej.

- Sam pan sobie przeczy.

- Bo zastanawiam się, czy sam ten zespół urbanistyczny nie jest jednym wielkim śmieciem.

- No cóż, być może ma pan rację!

Lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku: zbudowane na wysypisku śmieci.

Idem lotnisko Haneda w Tokio, wydarte morzu.

W Lipsku jeżdżono na nartach po górze odpadków zwanej Shedelberg.

Idem w Toronto. Sporty ślizgowe.

Ameryka Łacińska, Afryka, całe miasta w kopalniach odpadów. W Kairze, w Manili, w Meksyku, w Tananariwie.

Na Madagaskarze korytarze podziemne dochodzące do trzydziestu metrów głębokości.

W Rio, w Indonezji, na Borneo, całe złoża. W Europie: Entressen i Malagrotta³⁸ w pełni zasługująca na swą nazwę.

I znowu Nowy Jork, Fresh Kills, całkiem świeże, tysiąc dwieście hektarów śmieci, sto trzydzieści metrów w najwyższym punkcie, jeziora, jeziora odpadów po perkolacji³⁹.

- A Pekin?

- Pekin? Ależ tam pan nie dotrze. Jeśli dobrze pamiętam kartografię skażenia odpadami domowymi, to w Pekinie, z jego dziewięcioprocentowym wzrostem przed nastaniem śliwki, nie przedrze się pan przez jego peryferie. W każdym razie nie z pańskimi świniami.

³⁸ Malagrotta - miejscowość pod Rzymem. Nazwa pochodzi od łac. *mola rupta* - zrujnowany młyn (ew. koło młyńskie).

³⁹ Perkolacja - przesączanie czegoś przez substancję porowatą; proces wydobywania z surowca określonych substancji przez stałe obmywanie go określonym roztworem rozpuszczalnika.

Miała rację.

Świnie mnie opuściły. Znalazły sobie złób w Changping i Daxing. Mówią, że to Disneyland. Że bajka.

Widziałem je. Na sześciuset hektarach ich bajki - ziemia obiecana, ta ziemia, o której im mówiłem.

Są szczęśliwe.

Z góry przesądziłem sprawę, potem już żadna za mną nie poszła. Wystarczy im tego na całe pokolenia. To już nie czyszczenie, to osadnictwo.

Widziałem, jak kąpały się w jeziorach, spacerowały po lasach, ryły w ziemi, drążyły, tarzały się i radowały w tych swoich górach, pożerały je. Jak małe dzieci w domku z piernika. Hans i Greta w raju słodczy, gałki u drzwi z kompostu, ściany ze zgniłej sałatki warzywnej, podłoga z włókna do zucia, zasłony - lawiny fermentacji. Gorące gejzery tryskające im pod racicami, apetyczne opary metanu, ciemne, organiczne lepy, potoki dymiącej czekolady, stężenie smaków, kuchnia nad kuchniami. Codziennie rano sok z odpadków, wszystko w zasięgu ryja, wszechświat w całości jadalny. Było się w czym tarzać choćby przez sto lat, pośród najrozkoszniejszych woni.

Cuchnących. Cóż atrakcyjniejszego mogłem im obiecać? Czy jest coś po szczęściu?

Bo istnieją tylko uciechy brzucha, czyż nie?

I podbrzusza.

Są usatysfakcjonowane. Swoją sztukę korzystania z życia posunęły do tego, że odkryły kąpiele w oleju. W złocistych zbiornikach małe oddają się zabawom w świńskie ślizgawki, a inne - erotycznym, zaskakująco wyrafinowanym masażom. Kiedy zanurzają się w tłustej mazi, w ślepią pękają im wielkie bańki, mile łaskocząc ich szczecinę, widziałem, jak się śmiały. Wychodzą rozweselone, ślizgając się, widziałem, i pocierają się o siebie.

Odrażające orgie. Dla porównania, w Dzamin Uud była przynajmniej policja. Mongolia, mimo Sajnszandu, mimo tego wszystkiego oraz wybornych niekiedy odkryć, nie wspominając o świętuszeniu na torach, była naprawdę ich przejściem przez pustynię.

Dziś pobłogosławiła im, unurzana w gnoju, ręka ludzkich wysypisk śmieci.

I oto ja, który żelazną ręką doprowadziłem je do szczęścia, jestem z nimi kwita.

I oto biedny Stevens został opuszczony.

Przez cały okres pierwszej kwadry facet siedział w sześćdziesięciotysięcznym squacie odebranych wronom i agresywnym kormoranom. Oszołomiony, nieobecny duchem, cierpliwie czekał, aż hałdy zmaleją, żeby wyruszyć w dalszą drogę, ale czas płynął, nie przynosząc żadnej istotnej zmiany. Wierzchnie warstwy zostały ledwie napoczęte, kiedy

rzucił hasło do odwrotu. Napominał świnie. Niczym prorok na przewróconym zbiorniku z odbitym dnem, wyprężony na całą wysokość, wygłaszał niekończące się kazania. O świcie i o zmierzchu, które to godziny uważał za najbardziej sprzyjające elokwencji, oraz w świetle księżyca, nieznużenie przywracał Pekinowi blask tysiącem błysków. Piętnował wywózkę śmieci, przepowiadał dżumę i cholere, na dowód wskazując ziemię usłaną truchłami czarnych szczurów. Zapamiętacie moje słowa, świnie: najkrwawsze wojny, ludobójstwa zaczynają się od podarunków! Montezuma składa Cortésowi dary: osłeta, owoce jarzębiny, żółte owoce sączyńca, czarne owoce sączyńca, słodkie pataty, pataty drzewne, rdzawe słodkie pataty itp. I złoto. Cortés ofiarowuje koce z zarazkami tyfusu i ospy. I wkrótce jest po wszystkim.

Wytoczył całą baterię argumentów higienicznych i medycznych, rozprawiał z emfazą o wyziewach biogazów szkodliwych, że bardziej być nie może, o wrodzonych deformacjach, na jakie naraziłyby przyszłe pokolenia brak reakcji nieświadomych rodziców. Metan nie jest lekarstwem, skandował. Wierście mi, nie zostawajcie na tych skażonych i przeklętych ziemiach. Które naturalnymi drogami stoczą wasze organy, zniszczą wam śledziony, rozmiękczą płuca, a waszymi żyłami popłynię gęsta żółć. Nie dziurawcie szczelnych skór okrywających zgniliznę narodów, do diaska! Trzymajcie się z dala od zakopanych blaszanek! Już po was, moje świnie, ale jeszcze tego nie wiecie, już po was, bo wdrapałyście się na złoża Pekinu bez zabezpieczenia, bo stąpacie po nieczystych złożach polichromu winylu i polietylenu tereftalowego. Oczyszćcie się, moje świnie, oczyszćcie swoje szczeciny i żołądki, nie kopcie w radioaktywnej górze, oszczędźcie waszych synów i wasze samice, podążcie za mną! Pójdźcie do mnie, powiadam wam!

I zwinnym ruchem zeskakiwał ze zbiornika, gotów na pierwszy znak zbiórki wsiadać do pociągu. Ale oczywiście sześćdziesiąt tysięcy ryjów było zbyt zajętych sprasowanymi w odrażające przysmaki obierkami oraz innymi rozkoszami. Dwa a może trzy tuziny najedzonych zwierzaków uprzejmie słuchało, doceniając jego sugestywność i chrumkaniem okazując zainteresowanie w najlepszych momentach, lecz kiedy tylko schodził ze swojego tronu, natychmiast zmykały. Jego słowo już nie działało. Tak samo jak gwizdek, który stracił władzę tuż przed sześciuset hektarami wysypiska.

W noc przybycia świnie oskrzydliły pociąg ze wszystkich stron, wyprzedziły go i wysforowały się dobre dziesięć kilometrów naprzód. Zelektryzowane cuchnącymi woniami, które na srebrnej tacy przywiewała lekka bryza, ruszyły najtęższym galopem wszech czasów. Stevens dałby głowę, że jak daleko świńska pamięć sięga, czegoś podobnego świat jeszcze nie widział. Gwizdał, bez wytchnienia po trzy razy gwizdał, żeby armia trzymała szyk i nie odsłaniała bez jego rozkazu tyłów pociągu, ale w tym momencie nieopisaną żądzy dla

oszołomionych świń nie istniał już żaden pociąg ani poganiacz, ani gwizdek.

Przez cały okres pierwszej kwadry księżyca Stevens przypuszczał więc szturm przemówieniami, przeszedł przez gniew, oburzenie, altruizm, odrazę, a potem się poddał.

Wtedy wsiadł samotnie i bez świty do swojej kolei transmongolskiej z flagą opuszczoną na znak żałoby. Wagony drgnęły na podkładach i lżejsze o sześćdziesiąt tysięcy jednogłownie ruszyły, szepecząc między sobą, co takiego się zdarzyło, i roztrząsając zwykłe plotki dalekich podróży. Stevens nie rozwinął z powrotem zwykłej szybkości rejsowej, tylko szybkość człowieka w maszynie, która przy dziewięćdziesięciu kilometrach na godzinę wydała mu się naddźwiękowa. Z tyłu dobiegało go kwiczenie, jakby dwieście świń nadal mu towarzyszyło, złożył to jednak na karb omamów słuchowych, skutku przygnębienia, i zwiększył szybkość, by znowu poczuć emocje kontaktu z silnikiem. Mimo to odgłosy nie ucichły. Powracające echem trzaski obudziły w nim skojarzenie z bliżej nieokreśloną krzywdą, czuł, jak z głębi pociągu przenikają ściany wagonów, jak wibrują tuż za salonką gwałtownymi zrywami. Pomyślał, że coś zaczepiło się o tył pociągu i obija o tory. Może lodówka albo wózek, cokolwiek, czego nie brakowało w tym morowym regionie złomowisk. Wyhamował maszyny, nie wyłączając ich, i poszedł zobaczyć, co się dzieje. Nic. Pochylony pod wagonami uważnie przeczesywał wzrokiem podwozie pociągu transmongolskiego, ale nic nie zobaczył. A hałasy ucichły. Doszedł do ostatniego wagonu i już miał ze wzruszeniem ramion obrócić się na pięcie, kiedy nagle drgnął, usłyszawszy ciche kwiczenie. Dobry Boże! Przesunął ciężkie tylne drzwi i uderzyła go fala takiego odoru, że aż się cofnął. Spędził całą pierwszą kwadrę księżyca pośród gnijących odpadków chińskiej cywilizacji, ale smród, który skoczył mu do gardła, zwałiłby z nóg nawet śmieciarza w schronie atomowym. Wagon do połowy okien wypełniała gnojówka; od tygodni zamknięta, rzygnęła mu w twarz swoimi wyziewami. W głębi, pośród pozostałości tego, co było ogromną stertą zielonych patatów, majaczyła ciemna masywna sylwetka, którą by wszędzie rozpoznał.

Rotko!

Tak, Rotko; stał w półmroku na swoich krótkich świńskich nóżkach i w milczeniu wdychał napływające do jego chlewa powietrze z dworu zmieszane z wonią człowieka.

Stevens był olśniony. Wrzucił to zwierzę do celi przekonany, że okaże się jego grobem. A potem o nim zapomniał. Wyparł się go tak samo, jak to zwierzę wyparło się jego. Był zdumiony, że zdołało przeżyć.

Łagodnie go przywołał, chcąc zobaczyć, jak porusza się w mroku wagonu.

- Rrrrotko?

A Rotko podszedł do otworu, którego paląca jasność waliła go po oczach. Stevens

odsunął się, gotów uskoczyć przed natarciem. Ale Rotko wyszedł niczym księżę, spokojny, majestatyczny, obleczony w powłokę jasnej gnojówki jak w obcisłą brokatową szatę haftowaną diamentami. Płynnym ruchem, w którym wyczuwało się pewność siebie i grację niekwestionowanego szlacheństwa, obwąchał powietrze i ziemię czterech stron świata. I przeszedł obok butów człowieka, które nosił Stevens, nawet ich nie omiółwszy ryjem. Powędrował pewnym krokiem wzdłuż trzydziestu sześciu wagonów kolei transmongolskiej, jakby dokonywał ich przeglądu, a poddane tej inspekcji wagony, Stevens czuł to, aż przysiadły. Generał, którego powrotowi on sam asystował w pozycji na baczność pod oknami więzienia, oddalił się.

Stevens wziął się jednakowoż w garść, zamachał rękami i ruszył za wieprzkiem. Niezręczny, zakłopotany, czuł, że ma nogi jak z waty i język więznący mu w ustach.

- Tamci odeszli. Zostali za nami, tam gdzie wschodzi słońce, poczujesz je, na ziemi obfitej i wonnej, poczujesz ją. Próbowałem ich zatrzymać, bo ziemia w gruncie rzeczy nie jest dobra, lecz mnie nie słuchały. To góry śmieci, hałdy zgnilizny, które im obiecałem, i obietnicy dotrzymałem. Niczego innego nie pragną. Dobrze im tam, bardzo dobrze, możesz tam pójść. Nie będziesz rozczarowany.

Rotko nie zastrzygł nawet uchem, tylko dalej godnie kroczył. Jego milczenie jak wyrzut ciążyło Stevensowi, który biegł drobnymi, chwiejnymi kroczkami, żeby dogonić niewzruszonego niemego wieprzka, żeby go przekonać.

- Nie bez powodu cię pobiliśmy, Rotko. Groziłeś mi. Zażądałeś ode mnie głowy hajnana i przyniosłem ci ją, a ty mnie zaatakowałeś. Zbiłem cię, ale cię nie zabiłem. Z łatwością mogłem cię zabić, wystarczyła jedna kula, pojmujesz? Walczyliśmy jak równy z równym, równą bronią, przeważała moja siła, czy też gniew, choć nie potraktowałem cię jak zdrajcy, a to ty mi się postawiłeś. Przypomnij sobie. To ty na mnie natarłeś, kiedy rzucałem do twych rąk ciało rywala, a wszystkie świny wokół nas czekały tylko na jedno: że mnie załatwisz. Nie mogłem nie podjąć walki, stawką była moja głowa i skóra, nie zostawiłeś mi wyboru, Rotko. Nie pogoniłeś swoich, którzy śliniąc się, tylko czekali, żeby mnie dopaść, mierzyłeś mnie spojrzeniem odwiecznego wroga. Uznałem cię i nadałem ci imię, ale ty w cichości ducha myślałeś tylko o tym, żeby mnie zabić.

Wieprz nagle zatrzymał się przed drzwiami przedniego wagonu i stał jak wmurowany.

- Jesteśmy kwita, Rotko. Przeżyłeś, jesteśmy kwita. Możesz odejść. Jesteś wolny.

Rotko odwrócił do człowieka łeb, od stóp do głów mierząc go spojrzeniem, jakby ten powiedział jakąś nieprzyzwoitość. Po czym otworzył ryj.

- Jestem wolny, Nadobna Małpo, nie musiałem na ciebie czekać, żeby o tym wiedzieć.

Otwieraj te drzwi.

Stevens oparł się o wagon.

- Uszczypnij mnie, Lawson.

Oparł się o wagon całym ciężarem, jego ciało uderzyło o zimny metal wagonu jak stalowy pręt.

- Uszczypnij mnie Lawson, tracę zmysły.

- Też mi odkrycie - odparł tamten.

Świnia czekała przed trzema stopniami z szarej blachy wiodącymi do salonki.

- Drzwi - szczeknęła.

Stevens otworzył drzwi i potwór zatupał racicami na trzech szarych stopniach empirowego wagonu, który objął w posiadanie jak odzyskane dobro.

- Uzurpator.

Potoczył się po dywanie, długo drapał przednimi racicami, po czym z westchnieniem zwałił się z wilgotnym ryjem przy wygiętej nóżce sofy w stylu regencji.

- Ostrożnie.

- Pogadamy później, Nadobna Małpo, jestem skonany.

Jego małe świńskie oczka zajarzyły się ostatnim błyskiem ironii, potem różowe, ociężałe powieki, pociągnięte w dół przez długie białe rzęsy, opadły. Pół minuty później chrapał jak Świnia.

Nocna pieśń świni

(Spisana przez kancelistę Waterfulla
z polecenia rozemocjonowanej miss Echampson -
„Niech pan wysłucha tego hardego blagiera”)

Nie jestem żadnym blagierem, tylko synem bogini i chińskiego Zhu o krwiożerczym apetycie.

Czarny i krótki ryj odziedziczyłem po moim okrutnym ojcu, różowe jedwabne pończochy po mojej matce bogini, niepokieszonej dobrą wróżbą, pięknej Aretuzie, która urodziła mnie przez stopę, żeby nie zbrukać swego łona.

Jestem jak Eros odradzającą się nieokreślonością. Moi przodkowie są nieśmiertelni i wskazują mi drogę, podążam za nimi swoim zadem i tak idę przez ten świat, dwiema racicami na Olimpie, dwiema w bagnie.

A ty, Nadobna Małpo, zwykły śmiertelniku bez krzty domieszki, powiadasz, że stoczyliśmy uczciwą walkę w sytuacji, kiedy ja byłem bez broni. Wymachiwałeś mi nad głową swoją żelazną pałką, wspominając człowieczą przeszłość na ziemi, a ja chrząkałem i powstrzymywałem się, by nie zademonstrować ci siły moich stawów skokowych. Poprzestałem na twoim stanie kapryśnego bydlęcia, by potem nie mówiono, że przy najmniejszym zagrożeniu syn Zhu współzawodniczy z przeznaczeniem. A przecież twój żelazny kij potężniał i rozszczeniał się na tysiące drzazg, żeby przebijać moje ciało. A przecież żelazna pałka, którą ściskałeś, twardniała w twojej pięści, żeby zniszczyć moje ciało. Ja zaś, rezygnując z wszystkich moich przywilejów, postanowiłem pozostać zwierzęciem i przeciwstawiłem twojej niestosownej magii wytrwałość mędrca i racice dzikusa. Dwadzieścia razy podejmowaliśmy walkę. Twoje wypady chybiały celu. Uchylałem się zręcznie przed ciosami, które otwarcie ci oddawałem, w taki sposób wpatrując ci się w oczy, żebyś widział mą siłę. Ale ty nie widziałeś nic, waliłeś w ziemię, twoim kijem powodowała furia i wzbijała kurz. O, Nadobna Małpo, razy, jakimi mnie okładałeś, nie były twoje. Młynki i prawe proste, które mnie dosięgały, zadawała twoja włócznia, ją zaś dzierżyło stu martwych wojowników żądnych zemsty. Mógłbym nazwać po imieniu każde z tych bladych widm, które twoja uraza przywróciła do życia. Bez powodzenia walczyli z niedźwiedziami i wilkami. Jednego z nich pożarła kuna, inny zginął od klów hipopotama, jeszcze innemu rozszarpał gardło tygrys. Każdy z nich walczył na otwartym polu i zgodnie z zasadami, ale wszyscy zginęli na Kerguehennes z wyczerpania lub braku doświadczenia. I żaden nie pogodził się z losem, wracali z otchłani minionych wieków, żeby natchnąć twoje ramię nienawiścią do mnie.

W mgnieniu oka mogłem ci posłać pięć tysięcy strzał. Mój łuk jest niezawodny, jego strzały są z ognia, jego niewidzialne i dalekonośne strzały ze świstem fruną z szybkością pantery. W walce na włócznie mógłbym cię pokonać, na kolczaste kule - zrobiłbym z ciebie marmoladę, na sztylety - podziurawiłbym cię jak sito. Ale stu wojowników wypełniało twoje ramię urazą, i ja, syn Zhu i pięknej Aretuzy, ślubowałem sobie, że odstąpię.

Więc Pozwolę ci mnie zabić.

W zamkniętej celi z woli bogini powróciłem do życia.

A teraz, Nadobna Małpo, przejrzałeś na oczy. Akceptuję imię, które mi

nadałeś, jako moje imię na twój użytek, ale wiesz, kim jestem, i powiedziałeś mi, że jestem wolny. Masz otwarte oczy.

- Wygadany ten wieprzek, nie powiem.

- Proszę cię, Lawson, nigdy nie wiadomo.

- W porządku. Hmm. Rozumiem. Ale... cóż, ale ten Chińczyk, znaczy się, hajnan, ten w randze dowódcy - przecież chciałeś dostać jego głowę?

Świnia splunęła na sofę.

- Psia jego mać!

- Psia?

- Taki zwrot. Ten wieprz rościł sobie prawo do opuszczonego królestwa. Podzegał. U zbiegu dwóch rzek zaplanował, że utopi część opozycji. Skądinąd tak też się i stało. Właśnie się odradzałem i mimo mojej akcji podczas kampanii niektóre świnie wpadły w pułapkę. Jak sam widziałeś. O nic cię nie prosiłem, to była sprawa między nami.

- Podzegał, ale o jakie właściwie chodziło mu królestwo?

- Królestwo Hanów, po prostu. Wiesz, świnie są bardzo odporne. Poza tym od tak dawna był odsunięty od władzy, że nie miał zielonego pojęcia o zmianach w Pekinie.

- W Pekinie? Od czasu Hanów? A miał jakiś powód, żeby się domagać królestwa?

- O la, la, jeśli by mu wierzyć, wszelkie powody: Lihu Shi uważał się za następcę.

- Tronu?

- Tronu, a jakże. I nie ma co roztrząsać sprawy, był zdrajcą. Już wyjaśniam. Między rokiem sto dziewięćdziesiątym piątym a sto osiemdziesiątym ósmym przed Chrystusem cesarzowa Lu rządzi królestwem w zastępstwie cesarza Huidi, syna jej i Liu Banga, bo ten jest jeszcze w powijakach. A tak się składa, że konkubina jej świętej pamięci małżonka mogła zaproponować radzie własnego potomka, dorosłego i pod każdym względem odpowiedniego. To znaczy ani głupszego, ani brzydszego od tej drugiej Małpy i plus minus zdolnego do służby wojskowej, zważywszy na waszą cherlawą konstrukcję. Ale Lu była kobietą kierującą się zdrowym rozsądkiem i rozkoszowała się pozycją regentki. Kazała więc zabić syna rywalki i uwięzić matkę. Konkubinie ucinają stopy i dłonie, wylupiają oczy i, by dopełnić dzieła, zostaje nazwana maciorą i wrzucona do chlewu godnego jej nowej pozycji. Wylądowawszy w nim, „maciora” nie przestaje jęczeć i pluć jadem i choć jej możliwości są co najmniej mocno okrojone, perwersyjny Zhu zapalał miłością do jej okaleczonego ciała. Ze związku tego przychodzi na świat miot sześciu białych potworków o delikatnej szczecinie, pół małp, pół Zhu. A mocny w gębie hajnan, którego zaliczałeś do naszych szeregów, uważał się za

potomka w linii prostej tej pałacowej intrygi.

- Waterfull? Co pan o tym myśli?

- Hmm, nie potrafię z całkowitą pewnością rozstrzygnąć tej kwestii. Niemniej, jeśli sięgnąć do *Pamiętników historycznych*, prawdą jest, że cesarzowa łagodna nie była.

- Sięgnąć do czego?

- To ostatni konik tego oszołoma. Nie widziałeś jego ksiąg, które się wszędzie poniewierają? Spójrz na niego, gdyby miał dość włosów na skroniach, zaplótłby sobie warkoczyki. Nawet nie pytam, od kogo to podłapał, ale kiedy twoje plemię, staruszkę, wtargnęło do szkoły w Changping pod tym pretekstem, że w stołówce ni stąd, ni zowąd zapachniało maślanymi bułeczkami, pan podsekretarz był pierwszy. Sąd pozostawiam..

- Za pozwoleniem, panie Lawson, czy mogę mówić dalej? Dobrze. Dopelnivszy swej potwornej zbrodni, cesarzowa wzywa syna i pokazuje mu nową maciorę. Huidi rozpoznaje piękną konkubinę Qi, przerażony okrutną duszą matki zapada na zdrowiu i obwieszcza, że zrzeka się rządów nad krajem. Tyle tylko, że Sy-ma Cien nie wspomina o żadnej ciąży. Ani ludzkiej, ani...

- Oczywiście! - Zakrzyknął Rotko. - Cesarzowa na tyle potężna, żeby udusić pretendenta do tronu i okaleczyć jego matkę, nie zamierzała przecież szóstce mieszańców stwarzać okazji do przejęcia władzy! Żyli w cieniu. Tylko my, erudyci, wiemy o tych zatajanych sprawkach.

Major zabrała głos:

- Dlaczego roszczenia hajnana Lihu Shi były zdaniem pana niesłuszne? Nie mógł dowieść swego pochodzenia?

- Nie w tym rzecz. Wszystko wskazywało na to, że był faktycznie prawowitym potomkiem. To znaczy prawowitym bękartem.

- Bękartem?! Czyż pan sam nie jest bękartem?

- Co takiego?!

Wieprz zatrząsł się z gniewu, gwałtownie poderwał swą potężną masę, odepchnął sofę i z pierdnięciem z powrotem usiadł.

Rodowód świni rankiem

(Spisany przez kancelistę W. w następstwie
otwartej prowokacji miss Echampion - „Bękartem?!”)

Mój bezwzględny ojciec wywodził się z Mingów i nosił sztandar. W

pałacu odkrywał głowę przed cesarzem i całował szaty wysokich dostojników, ale jego ranga pozwalała mu zachować zakryte ramiona przed obliczem wielkiego księcia astrologa i świętą kronikarzy. Był Zhu pysznym i trawionym żądzami.

Podczas święta rybołówstwa ujrzał w środku lasu swoją matkę obmywającą ciało w srebrnej rzece. Zmywała plamy krwi ze swoich nóg i nachylała nad wodą tak piękny tyłeczek, że ojciec, nie bacząc na dziką zwierzynę, której pełno było na stoku i która dowodziła potęgi Aretuzy, wypadł z zarośli. Zaślepiiony odwagą żądz, rzucił się ku niej, lecz tętent ciężkiego wieprza spłoszył ją i uciekła. Bezbronna biegła przez lasy. Naga i zawstydzona, że dała się zaskoczyć, szybkością swego biegu ogołacała drzewa z liści. Ale Zhu gonił ją po terenie, który dobrze znał. Niski wzrost pozwalał mu przedzierać się przez zagajniki, które bogini musiała okrążać, zbroja szczeciny chroniła go przed skaleczeniami, przedzierał się przez tnące zarośla, przez które ona przeskakiwała, nie dostawał zadyszki.

Kiedy dysząc z namiętności, rzucił się na drżące ciało Aretuzy, ta wyrecytowała rzeczną sutrę i Ganges przybył jej z pomocą. Lodowata fontanna spłynęła w ramiona Zhu, który zrzucił swe nasienie.

Zostałem połknięty w moim archaicznym kształcie przez złotą rybkę, która urosła i nosiła mnie przez sześć miesięcy w soczewkach wodnych biegu Aretuzy. Po czym przybrałem formę nagniotka na stopie bogini, która przybrała ludzką postać i w ciągu kwadransa wydała mnie na świat przez lewą stopę.

- Tylko nasienie Małpy utrwała i deprawuje królestwa.

Stevens wędrował za Cudnoramiennym Wieprzkiem przez ciemne uliczki Pekinu zawalone węglem i mrowiem szczurów - dwa szczury na jednego Chińczyka - pomiędzy piętzącymi się na skrzyżowaniach skrzyniami zrogowaciałej kapusty, jak eunuch podążający za swoim władcą. Strojny w złoto, obładowany jak muł, w najwyższym stopniu uhonorowany.

- Niechże się pan weźmie w garść - mówiła major. - Ten „cudnoramienny świniak” maści panu w głowie.

- Wezmę się, w co zechcę.

Zaraz, zaraz!

I notuję też, co chcę, prawda? Tak.

Więc:

Tak, były pandy.

Wszędzie. Pandy były wszędzie.

Masz pojęcie?

Na placach, na skwerach, na ulicach, w sali gimnastycznej.

W parku nad jeziorem Yuyanhan bujały się na koniu na biegunach.

Popychały dziecięce wózki.

Straszne.

Nie, nie były ich miliardy ani tysiące, ani setki.

Co nie zmienia faktu...

Jedna siedziała pośród bambusów na wewnętrznym dziedzińcu uliczki Ośmiu Smoków - w Dzielnicy Północnej - i ssała trzcinę.

Druga pod zewnętrznym murem świątyni Intelktualizacji - w Dzielnicy Wschodniej - opierała się o jakieś uczniackie graffiti: „Wang Sisi jest słońcą”. I rozmyślała nad zmiennym tao świata.

Straszne.

Niedźwiedź we fraku.

Oparty o ścianę, ze spojrzeniem skupionym na tao swoich miękkich bamboszy, z których wystawało pięć pazurów grubości kciuka.

Oczywiście, zatrząsienie szczurów i różne inne, porzucone zwierzęta, zdeformowane gołębie, kształtne gołębie, inne, małpy, całe gromady. Mnóstwo. Więc i sporo ptaków.

Ale to, ten tuzin pand, lśniących, rozproszonych. Straszne.

Niech pieką barana, niech ćwiartują wołu, radujmy się razem,

*Wypijmy duszkiem trzysta pucharów,
Będę dla was śpiewał, nastawcie ucha, słuchajcie
Dzwony, bębny, wyszukane dania, to nieważne.
Dążmy tylko do wiecznego upojenia, nie ma potrzeby się budzić.
Tylko pijacy pozostawili po sobie imię.
Wino po dziesięć tysięcy talarów miarka,*

*Niech przyniosą wino!
Mój koń o maści dropiatej, moje futro za tysiąc talarów
Za dobre wino.
Utopmy wspólnie smutek dziesięciu tysięcy pokoleń.*

Li Taj-po⁴⁰

A znasz piosenkę tego faceta - był poetą, uważasz, dworskim - który wymyślił podeszwy do chodzenia po górach? Wersja do wspinaczki, wersja do schodzenia. Znasz ją? Tak? Hsieh Ling Yun (książę, zarządca, przyczynił się do wzniesienia świątyni Tuong Lin, kazał wykopać staw z białymi lotosami. Plus te podeszwy) - Hsieh Ling Yun, tak - nie przeżył.

Stevens postanowił pojeździć na sankach na zamarzniętym jeziorze Qianhai. Już wczoraj spędził cały dzień na czymś, co przypominało szkolne krzeselko na płozach, odpychając się od lodu kijkami, w prawo i w lewo wokół wózków z owocami głogu. Pośród hałaśliwych jaskółek, zabawek, zabawek z ciemnej glinki, którymi niegdyś potrzęsali starcy w watowanych fufajkach, pośród butów na futerku, pośród przewróconych straganów, płosząc białe brodzie, niestrudzenie ślizgał się od brzegu do brzegu. Do haków sanek, które obciążył balastem, doczepił maleńkie saneczki sprzedawców kandyzowanych jabłek, w trzech kolorach po dwa juany, związał je sznurkiem, a potem ciągnął i popychał po lodzie. Kreśląc posuwistymi ruchami parabolę, bez wytchnienia, wiosłując kijkami i wydychając wielkie obłoki skroplonej pary. Pan zabawia się w balet, mówił.

Wrócił tam dzisiaj, bo jezioro to miejsce przychylnie i nie wypróbował jeszcze (nie miał czasu) połyskliwych *diavolo* i innych diabelskich pałeczek poniewierających się przy wejściu do świątyni.

⁴⁰ Li Taj-po (701-762) - poeta chiński, jeden z najwybitniejszych liryków w literaturze chińskiej. Legenda głosi, że utopił się, próbując po pijanemu przepić do odbicia księżyca w Jangcy.

Mityczny wieprz został zamknięty w parku za Zakazanym Miastem, ryje w hałdzie węgla i broni wstępu do swych podziemnych korytarzy niczym sławetna maciora.

Stevens wróci nieprzytomny ze zmęczenia, a wtedy Waterfull zakręci mu swym młynkiem zapomnianych poematów.

Pijemy. Znalazłem sklep monopolowy obok Oriental Plaza. I ekstra sex shop na piętnastym piętrze wieżowca Hundersona! Ciekawe chińskie kawałki, nawet jeśli to, czego szukam, jest supertajne, mają też niezłe sztuczne kutasy.

Dobrze nam tutaj, w tych cesarskich włościach. Są tu ładne parawany. W powietrzu wyczuwa się jeszcze zapach pudru, w skrzyniach spoczywają cenne jedwabne materie, działają łazienki. Mieszkania konkubin, harem, Zachodni Pałac, Wschodni Pałac, Cesarska Komnata Ślubna, wszystko jest rozległe i puste (miałem rację). Drzwi są nakierowane ku najwyższemu centrum: nieubłaganemu jądru tronu. Można poruszać się, ot tak, ze stopami obutymi w filcowe pantofle, w takt podniosłych tonów instrumentów dętych w słuchawkach. Ściany strojne w tapety rozstępują się przed kamerą, otwarte drzwi zamazują się, złoto ożywa, posadzki odsyłają światło, zdobiąc syna niebios boską aureolą. Trzysta reflektorów kinowych, czterdziestu pięciu maszynistów, mali bonzowie, milionowy budżet i ciągle muzyka, która wznosi się kolistnie i omiata przestrzeń, i objaśnia królestwo. Gdy tymczasem rzeczywistość jest, rzecz jasna, znacznie gorsza i uboższa w tym kraju, w którym umiera się młodo i bez ceregieli, ponieważ są nas miliardy i ponieważ życie trwonione pełnymi garściami się nie liczy. Bezceremonialnie rozgniata się wieśniaka jak komara, ponieważ jest się silnym i dosiada się okrytego czaprakiem bawołu, wbija mu się szablę w plecy, wieśniak charczy i bezgłośnie zwala się na ziemię, wzbijając trzy gramy kurzu, ale samemu jest się już daleko. *À Dieu vat*, takie jest życie. Na murze czekają już na mnie Hunowie.

- Niech pani nie wyłopie całej whisky, pani major. A co to za strój?

Oho, drugi Stevens wraca.

- Mnisi habit i bryczesy. Dobrze się panu jeździło na łyżwach? Żadnych kontuzji kolan? Szklaneczka dla pana, Waterfull, cały pan zsiniał z zimna.

Z kuchni wyszedł Lawson ze skrzynką burbona, pasztecikami domowej roboty i z kromką świeżego chleba na talerzu.

- Taki zwyczaj, stary. Jest pełnia księżyca, trzeba pić samotnie jak w górach nad strumykiem. Ściągnij beret, niech wiatr owieje twoją czaszkę i opróżni twój kielich. Przy winie opada i zmęczenie, i polityczne namiętności.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. Bob Yu Sha pamięta o wszystkim i poda ci spluwaczkę, jeśli sobie

zażyczysz. Spotkałem go w kuchni, wie to i owo.

- Chwileczkę, ta tutaj, Echampson, to ja! - Zawołała rozczochna major Echampson.

- Ależ pani jest pijana.

- I owszem. Jeden powód więcej. Napełnić panu czarę *miyeu*? I przywołam tancerzy.

- Zawsze można spróbować.

- Ciii, podsekretarz *dixit*, że się nie zgadza: W świetle księżycy, samotnie pijąc. *Wooh*, panie, panowie, samotnie, pijąc samotnie.

*Powiadają, że przy księżycu wino staje się podobne do świętego, który
mąci, ech...*

Li Taj-po

Stevens, nie przerywając, jadł, *idem* pił, obsługując się sam.

A major śpiewała wniebogłoso, aczkolwiek z dystansem i czysto, *Burzę*, z nienaganną dykcją, choć marynarskim krokiem, rękawami bonzy kręcąc młynki, punktowała swe porażające wypadki w najbardziej nieokiełznane sfery poezji perskiej.

Odwiażcie wielbłądy, ruszajcie w drogę, na mnie nie czekając. Ja dołączę do zwierząt, które żyją na skałach i w grotach. Wszystko jest gotowe do waszego wyjazdu.

O, Agape!

Kaliban: Muszę się wpięrow posilić. Ta wyspa, którą mi zabrałaś, była moja, dostałem ją od Sykoraks, mojej matki.

Ach, ach, ach, szpetny potwór, niewolnik jałowy i niemy, osobnik pozbawiony języka...⁴¹

Potem, w alkoholowym upojeniu:

Ule mi par esse deo videtur

Ille, si fas est, superare divos:

Qui sedens adversus

Identidem te

Spectat et audit...⁴²

⁴¹ Fragment *Burzy* Szekspira.

⁴² Fragment *Ad Lesbiam. Pieśń, 51*, Katullus, tłum. Jacek Wójcicki.

*Ten jest równy bogom -
a jeśli wolno tak powiedzieć,
rzekłbym - przewyższa bogów ten,*

- Co jej jest? Gada w obcych językach?

- Tak. Pańska... przepraszam, pańska przyjaciółka myśli, że na morzu w świetle księżycy jest sama i pozwala się ponieść swoim wewnętrznym odmętom. Sądzę, że cytując Katullusa, to wrzuszające, ale mam wrażenie, że jej obyczaje pozostawiały wiele do...

- Wiele do czego?

Mam wiele zmartwień...

- Sam pan widzi.

*Z radością moją mieszają się troski
Dobro trwa wiecznie i zaraz przemija
Wiosną buszuje we mnie sroga zima
Przyjemność każdą ostrzy bodzie oścień.*

- Co ona mówi?

*Konno przemierzasz doliny i wzgórza
Widzę pod szatą lekką piersi twoje
Twoja smukłość wspaniale zapowiada boje
Uległa pogromczyni oto się wynurza*

*Przybądź, ach przybądź, z ulgą nieuchwytną
Niechaj opatrność ku mnie cię sprowadzi
Na siodle sztywno, ale mocno tkwiącą*

*Pieszczotą złą zatamuj mą ranę krwawiącą
Batem i berłem muśnij, niechaj brzytwa
Na moje rany palące zaradzi⁴³.*

- Niedobrze się czuje?

*kto może, siedząc naprzeciw ciebie,
patrzeć i słyszeć...*

⁴³ Wiersze Louise Labe (1522-1566), francuskiej poetki renesansowej, przedstawicielki lyońskiej szkoły poezji. Poetka była prawdopodobnie luksusową kurtyzaną (zwano ją Piękną Powróźniczką), kochanką i muzą Oliviera de Magny'ego (poety dworskiego). Tłumaczenie fragmentów: Hanna Igalson-Tygielska.

- Ależ skąd, ależ skąd. Bardzo dobrze. To drobiazg, rozgrzewa głos. Ja sam w tym czarnym fraku czuję się trochę drętwo. Co pani myśli o syrenach? Czuje pani, że alkohol lekko ją pobudza? Jak wtedy, gdy samochód podskakuje na garbie w poprzek drogi? Czy nie zachwycają pani syreny?

- Ależ tak, ależ zachwycają. Ale wiesz, czego ja bym chciała, sekretarzu? Poodbijać kapsle. Wszystkie kapsle, korki wszystkich banków wodnych, poodbijamy je. Sieci wodne, stacje wodne, baseny wodne, wszystko wysadzę w powietrze. Koniec ze skostniałymi rządami hydrauliki. Koniec, i ja osobiście się tym zajmę. Ja przeciwko dynastiom, przeciwko tysiącleciom.

Przeciwko Da-Yu

Przeciwko Huang Di

Przeciwko Sun Yat-senowi

Przeciwko Mao

Przeciwko Li Pengowi

Przeciwko Zhou Enlaiowi

A następnie przeciwko Hindusom z Madhja Pradeś i Gudżeratu

Przeciwko Ameryce Południowej

Przeciwko Ameryce Północnej

Przeciwko Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu, Międzynarodowemu Bankowi Odbudowy i Rozwoju

Przeciwko zatarasowanemu światu

Dla miecznika chińskiego składającego złociste jaja

Dla hilsy w szczególności i ogólnie dla wędrownych ryb

Dla wodorostów

Żeby namuły wodne mogły wartkim nurtem swobodnie płynąć, wijącymi się korytami rzek, zakolami, wyłożonymi kostką lub kamiennymi płytami, jak im się spodoba, jak w piosence

Żeby przywrócić zjawiska kapilarne⁴⁴

Żeby rzeki mogły według własnego widzimisień zmieniać kierunek na całych kilometrach kwadratowych i powodować gigantyczne powodzie, i niech Paryż też zatonie, i żeby wezbrały wody w stajniach Augiasza, które są wszędzie tam, którędy przeszli budowniczy. Niech zawalają się pałace, niech kruszeją piramidy, niech mury pękają i

⁴⁴ Zjawiska kapilarne (w hydrogeologii) - pory gruntu tworzą naczynia kapilarne, w których woda podnosi się ponad zwierciadło wody podziemnej. Wysokość podnoszenia zależy bezpośrednio od frakcji gruntu.

rozpadają się w kipieli wyswobodzonych rzek. Niech ziemia z powrotem odzyska swoje tempo sedimentacji i rzutem niekontrolowanym i dobrowolnym wypuści swe płyny nasienne.

Ach! Przeciwno Da-Yu

Major tańczyła w świetle księżycy, potrząsając szerokimi rękawami nad rycerskim czaprakiem.

Przeciwno Da-Yu, który rozdzielił wody i poprowadził je do Morza Chińskiego przez bezkres cesarskich ziem, przeciwno temu mitycznemu bogu, który drążył łożyska strumieni i rzek, aż natknął się na głęboki basen Syczuanu Przeciwno bogini noszącej postać żółtego bawołu, Tu-Xing, która uderzeniami zada otworzyła przed nim głęboki basen Syczuanu Przeciwno Huang Di, który ma na swym koncie wykopanie tysiąca sześciuset kilometrów agresywnych kanałów - oraz normalizację pisma - w głębokim basenie Syczuanu

Przeciwno Wen Di, który zbudował wielki kanał i pierwsze fragmenty obwarowań głębokiego basenu Syczuanu

Major postawiła lekkie stopy na połyskujących kamiennych płytach, przytrzymała na biodrach swój habit.

Przeciwno Shenzongowi, który żeglował po pięćdziesięciu tysiącach kanałów śródlądowych w głębokim basenie Syczuanu

Przeciwno Mao Zedongowi, który lawiną rzek podniósł poziom Jangcy i marzył, żeby ją uwięzić w głębokim basenie Syczuanu

Major rozchyłała i spinała poły swojego mnisiego habitu na bryczesach, dłońmi wsuniętymi w rękawy gładziła ramiona, pochylała głowę, odsłaniając rozczulający kark.

Major szukała pod szatą bonzy paska swoich spodni, jej ciało myślało o Wei, pięknej Chince o jedwabistej skórze.

O Wei, o jej ustach przypominających powieki.

Major przesunęła dłonią po rozporoku spodni, a jej ciało zareagowało.

Pamiętała spojrzenie Wei w pokoju hotelu Wang-Tsu w Szanghaju. Rozchyliła koszulę i stanęła z obnażonymi piersiami przed młodą kobietą. Nachylając się, żeby rozwiązać zawój długiego sarongu młodej Chinki, musnęła ją koniuszkami sutków. Jej dłonie wraz z tkaniną przesunęły się po kostkach nóg Wei.

Pieszcząc palcem jednej dłoni jaskrawy materiał jej stringów, drugą położyła płasko na łądźwiach zakazanej dla niej Chinki, czując, jak stojące naprzeciwko ciało przenika dreszcz i jak cudownie natychmiast się ożywia.

Żeby wody rozlały się w dolinach

Żeby ciała Chen i Wei porwała fala rozkoszy

Żeby obudzić wulkany, żeby zalać oceany śliskimi meduzami, ach, major Echampson, weź mnie!

Uzbrój moje ramię, napręż mój łuk, ujmij drążek turbohawka, tak żebym, ach, ujrzał pod płozami bikini Trzech Przełomów⁴⁵ sunące po jedwabistej miednicy Syczuanu; krągłe pośladki gór Baidi, dwanaście penisów góry Wushan dygoczących pod brutalnym natarciem Jangcy uwolnionej przez mój prężny helikopter. Który przelatuje pod koronami sosen, zbierając poranną rosę, muska w locie nawiedzane przez duchy fałdy Fengdu, twarde runo, bambusowe lasy, który przelatuje nad drżącymi nagimi wodami.

Miss Echampson pieściła subtelne podbicie stopy i czuła na swych włosach narastający złocisty napór seksu. Powoli wstała, objęła dłońmi jej pośladki i rozchyliła je, przyciskając piersi do delikatnych piersi Wei. Ta westchnęła, napotykając nieoczekiwane wybrzuszenie pod paskiem pani major, która wiodła wilgotnym palcem po delikatnej i nabrzmiałej materii jej warg. Miss Echampson odkryła klejnot, którego się domyślała, u nasady drobnych warg Chinki, potarła go, zatopiła język w ustach Wei, której palce obmacywały jej rozporek, chcąc go otworzyć. Mała kulka piercingu, zda się niezależna, przesuwała się z języka na język i obracała w otchłani pocałunku jak wypolerowany kamyk.

Zapora w Gezhou Ba⁴⁶ jest jak książkę Albert na kutasie Chin, przeciska się przez cewkę moczową i u wyjścia napotyka tamę, kiedy wody wzbierają, łożysko wzbiera, piercing się zagina.

Major jedną ręką zerwała zapięcie stanika Wei i zsunęła jego ramiączka pod rozpiętą tuniką. Chinka rozpięła spodnie major Echampson, pocałunek nadal przetaczał swój kamyczek w odmętach fal. Echampson w zapamiętaniu wciągała go w usta, język Wei uchylał się i pieścił wewnątrz jej ust, a potem wewnątrz jej pochwy. Kutas wezbrał w dłoni Wei, która, zaskoczona, odruchowo się cofnęła, lecz major wetknęła go między jej uda i Wei jęła się o niego ocierać, muskając poniżej paska nabrzmiałą łechtaczkę Europejki o niebieskozielonych oczach.

Tunika poszybowała w powietrze, stringi i spodnie poszły jej śladem, na nowo podjęty pocałunek wystąpił z brzegów.

Uzbrój mojego hawka, mówił Stevens, uzbrój, wyposaż go jak swojego, nałóż mu pierścień... żebym mógł wysadzić w powietrze tyłek ziemi! Żebym mógł wystrzelić w Gezhou Ba rozedrganej Jangcy, żebym obmacał jej dwanaście czarodziejskich penisów

⁴⁵ Trzy Przełomy rzeki Jangcy - Qutangxia, Wuxia i Xilingxia. Ich długość wynosi ponad 200 km. Trzy Przełomy stały się słynną atrakcją turystyczną z powodu pięknych krajobrazów po obu brzegach rzeki.

⁴⁶ Gezhou Ba - tama na rzece Jangcy, wybudowana w okolicach Yichang w Chinach.

koniuszkami śmigieł, żebym muskał jej żyłę ogonową aż po Xilingxia i umieścił mój potężny wibrator na jej koronie.

Major szczytowała pierwsza pod niecierpliwymi palcami młodej Chinki, która sumiennie rznąła ją od tyłu, nie przestając ocierać swojej pięknej cipki o sztywny, giętki pręt jej osprzętu. Pierwsze pchnięcia jej fikcyjnego ogona były silne, zadawane z rozmachem i długotrwałą energią ostatnich spazmów orgazmu lechtaczkowego. Kutas wchodził z cichym odgłosem wilgotnego pierdnięcia, wyslizgiwał się cały lśniący w ciepłym świetle chińskiego lata i major dla zabawy wsuwała w rozwarty srom pięknej Chinki tylko mały koniuszek tego, co zaczynało stawać się, jak za każdym razem, jej prawdziwym kobiecym przyrodzeniem. Kontynuowała tę grę, dopóki Wei nie zaczęła cicho pokwikiwać jak prosię i zanosić niezrozumiałe, pełne żaru modły, prosząc i błagając, niech ją pieprzy, teraz, zaraz, niech go jej wpycha aż po gardło, niech ją zręcznie nadziewa, byle szybko, byle głęboko.

Odzieram ją z wózków wyciągu statków, wszystkich podpór i umocnień, pod naporem prężnych fal groty pękają, ziemia jęczy, posyłam rakiety jedna za drugą, tama stęka, w miejscach trafienia zaczynają się perlic wydzielin, kotłująca się Jangcy uderza w skorupę, która ją wstrzymuje, chce wytrysnąć, jej Gezhou Ba kłębi się.

Major obróciła Wei, tak jak ta prosiła, uniosła jej biodra i jąła wprowadzać pulsujące prącie w bursztynowe ciało tysiącletniej Azji, której srom za każdym pchnięciem moczył jej coraz bardziej podbrzusze, której srom wzbierał, której usta wzbierały, której zachłanne ciało, porwane kapryśnym rytmem rozkoszy szamotało się jak koń w ciasnym boksie. Wei przywarła cipką do brzucha major Echampion, pewnie nadziana na jej kutasa, ujęła jej lechtaczkę w dwa precyzyjne palce i pod swym giętkim, perłowym kołpakiem jąła wahadłowym ruchem pocierać ją, jakby kołysała małym zwierzątkiem, nie przestając jednocześnie nikłymi, niedostrzegalnymi bodnięciami szturmować głębin basenu Syczuanu.

Posyłam poziomą serię w betonową ścianę, żeby ją podkręcić, jej jądra jeżą się pod bambusami, ziemia grzmi, widzę, jak jej postrzępione odbyty się rozstępują, reagują Hawaje, szerokie prądy, pulsując, suną ku ujściom rzek. Morze Chińskie unosi lędźwie, wybrzeże na wysokości wschodniego Szanghaju wygina się w łuk, klify w Chongqing się kurczą. I kiedy strzelam z księcia Alberta w zaporę na Jangcy, natężenie przepływu w kanałach śródlądowych rośnie, lodowce topnieją i zasilają strumienie, strumienie biegną i wpadają do rzek, serce pompuje, posyła swoje namuły do zapomnianych naczyń włoskowatych, pompuje i napełnia baseny retencyjne, tylko patrzeć, jak eksplodują. Muskam krzywiznę kipiącego zbiornika i podążam za wybrzuszeniem aż do pierwszego spływu rzek, który występuje z brzegów, miotając się pod moimi płozami, w odmętach grzechocą kamyki, przez zaciśnięte

zęby ziemia grzmi, do jej ust napływa ślina i nawadnia wyschłe kratery, pod spódnicami lasów ziemia dygoce, zaraz się rozkrzyczy. Wiatr przyspiesza lot, mój helikopter gna dostępnymi szlakami, przenika do Trzech Przełomów Jangcy, a wtedy, poniżej poziomu spiętrzenia wód, naprzeciw membrany największej na świecie wytwórni soku, dobywam boczne działo i wypuszczam pocisk z ładunkiem nuklearnym.

Plecy Wei zamieniły się w regularny przypływ, ruchy skoncentrowały się, zacieśniły wokół jej waginy, którą major wypełniała i masowała, którą major odczuwała niczym mocarny uścisk wokół swego widmowego członka, niczym zawór, niczym potężnego skorupiaka, którego jedwabiste ciało nabrzmiewało i kurczyło się w takt podmorskiej cyrkulacji.

Serce zapory z hukiem tornada eksploduje, Jangcy rzuca się w powstały wyłom i uderzeniami ssawek szturmuje przegrodę, która ustępuje, która pęka w kaskadzie kamienistych osadów i wydzielin libido. Rzeka szczytuje w dolinie, wali przez góry, które spazmatycznie stawiają opór, a potem rozstępują się, zostają zatopione, ziemia stęka, tysiące jej sromów otwiera się i łączy, oddycha.

Kiedy ruchy Wei nabrały szybkości, major musiała obiema rękami przytrzymać jej biodra, żeby nie dać się wysadzić i móc kontynuować natarcie pchnięciami coraz bardziej zamaszystymi i mocnymi, dopóki nie poczuła, jak na szczytowej fali orgazmu drugiej kobiety, która zlorzeczyła w jej ramionach, narasta jej własna rozkosz. Seksualny szal targnął nią jak trzęsienie ziemi, ale zaraz jasną dłonią rozpięła pasek i wycelowała kutasa jak obietnicę w rozwarty srom major Echampson. Włożyła go jej raz bardzo szybko, a potem dwoma palcami, łagodnie i przysysając usta do obrzmiałej łechtaczki kobiety o niebieskozielonych oczach, tocząc metalowy koralik wokół soczystego jądra, weszła w nią *eon cuore* i tak bajecznie powoli, że major straciła głowę. Z rosyjskiego przeszła na angielski, piejąc hymny na jej cześć. Wei utrzymywała ją na napiętej nici rozkosznego podniecenia, nieznajdującego ujścia. Major musiała błagać ją, żeby skończyła, żeby zebrała rozpierające ją uczucia w swoje sploty ciepłego boa dusiciela. Połknęła, połknęła usta i palce, Chinka brała ją w oba otwory jednocześnie, lizała, pokazując jej swój srom i swój złocisty odbył i delikatne koraliki piercingu, stębnujące jej sklezione wydzielinami krocze. Major z krzykiem poszybowała w powietrze, Wei wypuściła serię wonnych wiatrów, przywarła soczystą cipką do jej ust i uwolniła gwałtowny strumień moczu w chwili, gdy oszalała Echampson, tracąc grunt pod nogami, runęła jak petarda i cyklon w spiralę gigantycznego orgazmu.

Teren się osuwa, jeziora występują z brzegów, rurociągi eksplodują, u ujścia wstrząsają nią spazmy, delty rozczapierzają się jak dłonie próbujące wczepić się w

prześcieradła, tworzą się i zavalają jaskinie. Jangcy draży obszar jak ostatnia łajdaczka, dociera aż do Yangzhou, gdzie fala skacząca wsysa ją w wiry swoich ust, Jangcy cofa się pod wpływem tego elektryzującego kontaktu, potem fala przybyła z otchłani jej kosmatych dolin przebiega ją, unosi, chwytą i nią wstrząsa, a wtedy pienistymi bryzgami eksploduje i rozplywa się w otwartym Morzu Filipińskim.

Plemniki są wielkie jak mewy i fruną ku wyspom. Masa wód jeszcze nie skończyła się toczyć, fala przyboju jest olbrzymia, podnosi się, liże bańkę mojego helikoptera, jej podstępne języki przenikają do kabiny, przyklękają na moim rozporku i okrakiem mnie dosiadają. Helikopter podskakuje jak smok w rui, cała zatoka mnie obciąga. Jak Jangcy pod naporem, gimnastykuję się na moim siedzeniu, orczyk wrzyna mi się w palce, zaraz pęknie szyba, już blisko, aaach, fala rozbryzguje się, jestem wielorybem, mam ogromne jaja. Oceaniczny grzbiet górski kurczy się pod moim ciężarem. Wyspiarski łuk napina murawy morskich głębin. Wargi rowu oceanicznego wsysają moje jaja. Obciągają je. Zaraz się spuszcę, oooch, szczytuje!

Plac Tian'anmen zgromadził swoje owieczki pod Wielkim Panteonem Narodu. Na mury szarego monumentu napierały zasy waciaków. Czapki przecinały lodowatą przestrzeń jak lapońskie czary, ale zapowiadany tłum zwierząt sprowadzał się do kilku gołębi i dwóch martwych kanarków. Zamarzniętych.

Na końcu opustoszałego placu samotnie stał grobowiec Mao. Sześcian smętnego betonu na podłożu smętnego betonu. Stevens przytupywał nogami na dziedzińcu. Było mu zimno, jedzenie ciążyło mu na żołądku i nie mógł oderwać oczu od czerwonych ostróg, które major przypięła do swych marszowych santiagów.

- To forma społecznej zemsty - twierdziła.

- W rzeczy samej, można to i tak postrzegać. Ale najbardziej zadziwia mnie wiedza, którą to sugeruje. Myśli pani, że mógł zajrzeć do dzieł Sy-ma Ciena?

- Od razu widać, że nie widział pan jego lądowania! Panie i panowie wabili pięknymi słówkami, tralala i tralali, wszystkiego się nie zrobi. Jeśli to jest społeczna zemsta, to czym jest rewolucja? Przypominam pani, że mimo wszystko znajdujemy się w trakcie dość pośpiesznego odwrotu i że mało brakowało, drogi sekretarzu, a strumień moczu w ciebie by trafił.

- Och, wie pan, strumień moczu...

- Tak, tak, pani major, widzieliśmy, widzieliśmy. A na razie przydałby nam się apache.

Zdaniem Lawsona Rotko, który od tygodni przekopywał Górę Węglową, w czasie kiedy spali, wrócił „z czymś w pysku”, czego skład chemiczny miał wypisany na ryju.

- Brawo, Stevens, twój „cudnoramienny wieprzek” jest na haju; naćpał się, świnia, kokainy.

Rotko stał przed Pałacem Środka, z ryjem przy drzwiach, i darł się, i wydzierał:

- Otwórzcie! - wrzeszczał - otwórzcie mi, pieprzone odludki! Prymitywne plemię, folwarczne wypierdki! Otwierajcie, w porannej mgle zdążam w chwale do świątyni Harmonii, która do mnie należy! Przygotujcie mi kąpiel i biesiadę, ja jestem Zhu, który wraca z wykopalisk! Moja gęba jest pełna mocy, przygotujcie mój boski tron, stada schodzą z gór na koronację, której godzina jest już blisko!

Pytam grzecznie, o jakiej koronacji mówi, na co odpowiada z miną, ach, gdybyś widział tę minę:

- Moją, nędzny robaku. Masz szczęście: obiecuję sobie być cesarzem wielkodusznym. Zejdź mi z drogi, Nadobna Małpo, i zrób coś ze swoim ubraniem, bo się przeziębisz.

Schodzę mu z drogi i oto przechodzi przed panią major, która drzemie w swoich jedwabiach i nic jej nie przeszkadza, i rzuca na poduszkę cesarskiego tronu płaski, obśliniony krążek.

- Co to takiego?

Nie odpowiada, tylko zaczyna lizać ów obiekt z matczyną czułością, poklepuje go, obraca, znowu lize, dokładnie ogląda i w końcu przystawia w majestacie do liczącego stulecia oparcia tronu Państwa Środka. I nagle:

- Jadeitowy krążek - mówi - krążek z czystego jadeitu, wyrwany z zakopanego w ziemi tronu pobitych Yuanów. Insygnium. Nadzwyczajne, wybitne, sławne, niezmiennie i niezbite. TERAZ mogę panować.

I ciągnie dalej:

- Czarne bawoły maszerują na Tianjin, żurawie gromadzą się na bagnach Tanghekou, mur północny drży pod kopytami gniadych szerokopierśnych koni, przygotujcie się! Wymuskane daniele harcują na równinie Ganzhou, jawańskie nosorożce okrywają Wielki Kanał swoimi lśniącymi pancerzami, słonie opuszczają ciasne rezerwaty i plądrują Hebei, żeby mi przynieść dary. Gibony wyrrywają sobie nośne liany i rywalizują z sobą, który szybszy. Przyzywa je jadeitowy kamień, dobyty z podziemnych głębin Góry Węglowej. Przygotujcie mi kąpiel. Obwieście brokatami Pałac Środka, zwołajcie żarłoczne pająki i wynieście z obór żłoby pełne ziarna! Przybywają! Moja koronacja to koronacja Cierpliwego Zhu o Mocarnych Ramionach. Złoto i laka mają w słońcu lśnić. Na trzech hektarach Zakazanego Miasta purpura ma jarzyć się tysiącem niegasnących ogni, mój tron ma razić blaskiem! Zrozumiano? A ja, z wypucowaną szczecina, stanę w sercu imperium, dzierżąc w mych boskich zębach jadeitowy krążek!

Zapytałem, czy jego dawni towarzysze, świnię, też przybędą, na co odpowiada, że *sus vittatus* kroczą na czele procesji, która obwoła go cesarzem, ale niech ja, kreatura, nie zapominam, że jego wyjątkowe pochodzenie stawia go ponad zgrają tych mętów.

Ponieważ wypuścił sławetny krążek, przyjrzałem mu się bliżej i dostrzegłem coś tak jakby ślad po ugryzieniu. Ryknął śmiechem.

- Kto zdoła ugryźć jadeit, potrójny gołowąsie? Ten kamień pochodzi z Kothan, wydobyto go u podnóża Pamiru omiatanego przez gwałtowne wiatry, trzy tysiące dwieście lat przed twoją erą. Nic go nie naruszy. Jego powierzchnię może zadrasnąć tylko tchnienie bogów. Ale zgodzę się z tobą, drętwy sekretarzu (wyróżnie mnie z nim mylił), chuchnąłem na jego nietykalną masę moim wonnym oddechem i zebrałem owoc mojej sztuki: w mej gardzieli płynie balsam nieśmiertelności.

I od tego momentu zupełnie mu odbiło. Nie ma nic gorszego niż osobnik, który ma się za nieśmiertelnego. Pluł na wszystkie strony, krążył wokół tronu jak wielbłąd w ataku kolki, zrywał wiszące na drzwiach kotary, tratował z tupotem parawany: ohyda! Ohyda! Zabierać mi stąd te koszmary, nie cierpię liliowego, ohyda!

- Ja, Zhu o Mocarnych Ramionach - wrzeszczał - jestem teraz równy bogom! Moim jest życie wieczne, za nic mam potęgę, tron świętej pamięci imperium otwiera przede mną swe cenne ramiona! JESTEM NIEŚMIERTELNYM CESARZEM O CUDOWNYCH OCZACH!

I wykrzykiwał tym podobne brednie, aż zacząłem się zastanawiać, gdzie schowałem granaty ręczne. W czasie gdy przeszukiwałem torby, on z niesłabnącą werwą ciągnął:

- Spadajcie, pieprzone sługusy! Zjeżdżajcie, zanim obudzi się gniew ludu i jego suwerena, wynoście się z mojej ziemi i z ziemi moich niepokonanych przodków! Pobudowaliście swoje miasta na śmieciach, budzę śmieci, żyjecie pod stertami śmieci, wydobywam z rynsztoka nasze pogrzebane panowanie, drżycie, fałszywe małpy, ratujcie się, póki czas!

Zapewniam cię, że długo by nie skończył, gdybym nie cisnął mu pod nogi twego sławetnego pucharu *miyeu*. Uznał, że to jego kąpiel, zaczął się w tym tarzać jak prawdziwa świnia, a nie żaden półbóg, i opary zrobiły swoje. To musiała być piekielna mieszanka, ten pani trunek, w pięć minut zważyło go z nóg.

Waterfull w zamyśleniu kiwał głową.

- Jadeit był bardzo ceniony. Ale co mnie prawdziwie dziwi, jak przed chwilą mówiłem, to to, że wiedział, gdzie szukać kamienia Yuanów. Mingowie zasypali swój tron górami śmieci. To właśnie była ta Góra Węglowa, śmieci Mingów na mongolskim tronie. Tylko pomyślcie: ta historia liczy ponad osiem stuleci.

- Możliwe, że świnie mają wyostrzony węch, jeśli idzie o cenne śmieci. Lub jakąś niezrównaną technikę przekazu rodowego dziedzictwa. Co praktycznie na jedno wychodzi, czyż nie? Co pan o tym myśli, Lawson?

- Hmm, no cóż, nie chciałbym wam przeszkadzać, ale mam wrażenie, że na murze coś się dzieje. Popatrzcie.

Cały mur był zatłoczony czarnymi baranami. Od wschodu i od zachodu, po ruchomych i skanalizowanych skarpach, przez ogromne otwory strzelnicze w przyporach sunęła do Pekinu ławica baranów.

- Baranów? Powiedz raczej bawołów!

- Słuchajcie, a może wybierzemy się na szklaneczkę do Qianmen? Albo do Pałacu

Letniego? Albo nad brzeg Huang Hai. Przegonimy pandy, usiądziemy sobie i popatrzymy zza impregnowanych parawanów na spokojne fale. Co wy na to? Albo jeśli wolicie, na herbatę. Czuję się trochę padnięty. Już od pięciu minut obserwuję tę dużą czarną kulę, o tam, i wciąż nie wiem, czy się porusza, czy nie.

Major przyłożyła lunetę do lewego oka. W tych ostrogach i w wełnianej kurtce z kapturem przypominała pirata ziem lessowych. Maleńka w rogu pustego placu, nastawiła lunetę na obiekt przypominający wózek na węgiel, który wskazywał jej Stevens, i bez wahania stwierdziła:

- To żółw.

Pekin. Dziesiąta rano czasu słonecznego, po Wielkim Murze Chińskim maszerują wielokilometrowym frontem zastępy bawołów, żurawie gromadzą się na bagnach Tanghekou, słonie płądrują Hebei na konto pijanego wieprza, a żółw z miękką skorupą wędruje przez plac Tian'anmen.

To zwiastun powodzi.

- Zgadza się! Lawson, pędź do rezerw i sprowadź mi wierzchowca, w uprzęży i uzbrojonego po zęby. Waterfull, masz dwie godziny na splądrowanie biblioteki, major i ja przygotowujemy się nad brzegiem Nan Hai i robimy plany. Za godzinę żółw przetnie cały plac i zaatakuje płaskim łbem pierwsze stopnie Cesarskiego Miasta. Ruszajcie się!

Po pierwsze, Yichang⁴⁷, z powodu zapory Gezhou Ba i Trzech Przełomów, tak major Echampion, to naprawdę zrobimy.

Po drugie, Sardar Sarovar i Narmada Sagar⁴⁸

Po trzecie, Itaipú⁴⁹

Po czwarte, Wielka Tama Asuańska A Grande Dixence w Szwajcarii⁵⁰ i Ghulam Mohammed⁵¹ w Pakistanie, oraz Maheshwar⁵², Valle Grande⁵³ i Daniel-Johnson⁵⁴?

Ale to potem. Najpierw zapory chińskie. Potem indyjskie. To najświeższe i

⁴⁷ Yichang - miasto przemysłowe w prowincji Hubei, w środkowych Chinach.

⁴⁸ Sardar Sarovar - największa z 30 wielkich tam wznoszonych na rzece Narmada w zachodnich Indiach. Jest częścią projektu rozwojowego - Narmada Dam Project - finansowanego przez Bank Światowy; Narmada Sagar - inna tama, budowana w ramach tego projektu.

⁴⁹ Itaipú - zapora na rzece Parana w Ameryce Północnej, największa elektrownia wodna na świecie.

⁵⁰ Grande Dixence - zapora wodna w Alpach szwajcarskich na rzece Dixence, najwyższa na świecie (286 m).

⁵¹ Zapora im. Ghulama Mohammeda - na rzece Gilgit, w Pakistanie.

⁵² Maheshwar - tama na rzece Narmada, w indyjskim stanie Madhya Pradesh

⁵³ Valle Grande - zapora wodna na rzece Atuel w Argentynie, w wyniku spiętrzenia jej wód powstało sztuczne jezioro (Valle Grande).

⁵⁴ Tama im. Daniela Johnsona - w Kanadzie, na rzece Manicouagan

najbardziej rozpasane konstrukcje Rządów Hydrauliki. Zawsze należy zaczynać od punktów newralgicznych.

Materiały: Żelatyna wybuchowa typu A

Żelatyna wybuchowa typu B

Żelatyna wybuchowa typu BAM

Metanodynamit na podkładkę, metanodynamit do skał i monobel: do wybuchów przemysłowych.

Jeden helikopter szturmowy.

Racje maksymalne dla oddziału, nie ma potrzeby się ograniczać. Potrzebne też będą lonty i trzy tony materiałów uszczelniających.

Nie zapomnijcie o jedwabiach do spania i porządnej skrzynce burbona, gdzie ją znaleźć, wiecie. Zabieram plany lotu, ruszamy?

Na dachu mauzoleum Mao Zedonga czekał na nich za sterami apache'a AH-64D Lawson, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- I wyposażony po zęby, jak mówiłem! Uzbrojony do wielozadaniowego wsparcia. Tylko spójrz. Majstersztyk niszczycielskiej technologii.

Stevens jednym rzutem oka ocenił maszynę.

- Ujdzie.

- Ujdzie! Dobry Boże, gdyby mieli chociaż ćwierć tego ustrojstwa, kiedy Cook wylądował w Sydney, nie byłoby tu nas. Zajrzyj pod kikuty skrzydeł: w magazynkach sześćset pocisków artyleryjskich, dwa kosze pocisków raketowych i dwa razy po cztery rakiety przeciwczołgowe Hellfire. Robota dla jastrzębia. Skaner do wizji nocnej, skaner do wizji dziennej, antena grzbietowa IFF, antena VHF, pancerne siedzenia, pancerne zbiorniki, osłona przeciwpożarowa i co tam jeszcze. A widziałeś to działo pod kabiną? Nie, z czymś takim, ja ci to mówię, nie byłoby tej twojej kolonii skazańców, Nowa Południowa Walia skasowana, zero zakładów karnych w Australii, żadnego galernika, żadnego Anglika, ani jeden angielski galernik nie przepłynąłby tej choleralnej zatoki.

- OK. Sprowadź go tutaj, wsiadamy.

- A Waterfull?

- Zabierzemy go z Biblioteki Narodowej. Na co pani patrzy, major Echampson?

- Na bawoły. Mur zapada się za nimi jak zwodzony most.

Stevens wskoczył do helikoptera i podkręcił głowicę anteny radiolokacyjnej radaru na

fale milimetryczne. Zamienione w piksele bawoły drgały na płaskiej linii, zamazującej się pod ich ciężarem. Długo się nie zastanawiając, ujął boczne stery i nakierował szynę wyrzutni pocisków na czoło celu.

- Jakiego celu? To nie jest gra planszowa.

- Testowanie sprzętu - uciął Lawson.

Pocisk wystartował z cichym syknięciem automatycznej lodówki. Krótkim lotem śmignął ku celowi, który niczym Hydra poderwał rogate łby i na ułamek sekundy przed trafieniem zastygł, rozdziawiając szeroko paszcze trawożemych na widok bezskrzydłej ważki przynoszącej im pokój. Mur wyleciał w powietrze jak purchawka. Znad górzystych skarp powoli wzbił się dym, drzewa zawałały się, kamienie poszybowały w powietrze jak chmary postrzelonych muszek. Na ekranie celownika obrazy zlały się w jeden, wybuch huknął w uszy wstrząśniętej równiny, połowa czaszki byka rozbiła się na osłonie antypodmuchowej.

- Brawo. Teraz trzeba będzie wymienić szyby.

Stevens wzruszył ramionami.

- No to co? Forma rewanżu społecznego taka sama jak inne.

- Tak. I o jeden pocisk strategiczny mniej. Startujemy czy czekamy na słońce?

Zabrali Waterfulla z dachu wielkiej biblioteki i wzięli kurs prosto na południe do Yichang.

Shandong przesunął się w dole jak cenny dywan wydrążony w linii prostej. Wielki Kanał rozciągał wełnianą tkaninę w kierunku Jiningu. Skręcili na południowy zachód, przecięli Henan i Hubei, zahaczyli o Wuhan, żeby rzucić okiem, i wylądowali w Yichang między jeziorami i tundrą.

Otok parków opadał stromo ku błotnistym nabrzeżom, trzymając miasto w fałdzie obcisłego munduru. Na spienionych falach rzeki unosiły się bez celu szalupy warowni i uderzały dziobem w płyty hulków. Horyzont tarasowała Gezhou Ba.

Wylądowali na krańcu cypla w kształcie ostrza włóczni naprzeciwko zaryglowanego celu. W basenie śluzu cztery promy z wieżyczkami burta w burtę stały w ogonku, czekając na wpłynięcie do środka. Po tej stronie woda była spokojna i ciężka jak zupa, ale po drugiej woda górna wzbierała w zbiornikach upustowych.

- Zasuwa jazu musi być opuszczona, napór na łuk jest bardzo silny. Tylko patrzeć, jak trzaśnie.

Lawson wskoczył na szczyt zapory i zaczął kręcić młynki w powietrzu, pokazując na niebo, na rzekę, na beton i na tor wodny do splawiania kłód drewna, wypływający długi biały

strumień.

- Mimo wszystko fajny jest ten las transformatorów, co, Waterfull? Ani trochę cię nie wzrusza taki pokaz rodem z Ponts & Chaussées⁵⁵? Ta wspaniała inżynieria? Co? To się nazywa dziedzictwo, co? Przejaw bajecznej kultury.

- Technologicznej.

- Tak, nie musisz mi mówić.

- Dla pana, Lawson, wszystko jest zawsze czarne albo białe. Nowoczesność jest źródłem wszelkich bolączek, zgadzam się, ale prekolumbijski Meksyk czy imperium Maurjów⁵⁶ też były społeczeństwami o wysoko rozwiniętej inżynierii wodnej. Superintendenci tam i grobli istnieją nie od wczoraj. Megastenes⁵⁷ i Nezahualcoyotl⁵⁸ co nieco o tym wiedzieli.

- Czy jest coś bardziej ruchliwego od wody, Lawson? Chmury? To to samo. I któż mógłby dorównać potęgą człowiekowi władnemu wstrzymać bieg wody i chmur?

- Człowiek władny powstrzymać mnie.

- Oczywiście, Lincolnie Lawson, wcielony wietrze. Szybszy i potoczystszy od ducha mknącego po równinie. Czy pan jednak wie, ilu przetrwało nomadów przed nastaniem śliwki? Nomadów, ludzi, których nie wchłonęła inżynieria wodna? Trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy na sześć miliardów. Niech pan sobie wyobrazi ludzi na stepie, bądź na półpustyni, na prerii, w tundrze. Noszą suspensoria, przepaski na biodrach. Uważają sny za kopalnię wiedzy. Podążają śladem pastwisk, podążają śladem zwierzyny, przemieszczają się wraz z rzekami, które przemieszczają się wraz z porami roku. Dzieci są nagie, niemowlęta przywiązują się do drzew, żeby poznały kosa i wiatr. Mężczyźni i kobiety mają zmierzwione włosy, piją sfermentowany sok z agawy i leczą słabość ciała, trzymając nogi w dymie ognia z kreozotu. Umierają wskutek wypadków podczas polowania i na żółtą febrę. I nagle jeden spośród nich wstaje, jeden spragniony czegoś innego niż chleb, i mówi: bracia, nie jesteśmy zwierzętami. Czy jesteśmy zwierzętami, żeby tak podążać z biegiem rzeki? Czy bieg wody ma decydować o naszych ruchach? Czy tej wodzie, której mimo naszych ofiar tak często brakowało, będziemy oddawali wieczną cześć?

⁵⁵ École nationale des ponts et chaussées - założona w 1747 roku francuska wyższa uczelnia techniczna, zaliczana do *grandes écoles*, znajduje się w Paryżu.

⁵⁶ Maurjowie - indyjska dyn. panująca ok. 320-185 p.n.e. w państwie Magadha.

⁵⁷ Megastenes (ok. 350-ok. 290 p.n.e.) - historyk grecki w Azji Mniejszej. Autor dzieła *Indika*, w którym zamieścił także informacje geograficzne o Indiach.

⁵⁸ Nezahualcoyotl (1402-1472) - w czasach prekolumbijskich król mędrzec Texcoco. Przypisuje mu się zaprojektowanie tamy Nezahualcoyotl, która rozdzielała świeże i słonawe wody jeziora Texcoco; system ten był używany jeszcze 100 lat po jego śmierci.

I przy misce mesquito opowiada o przyjemnym życiu pozbawionym cierpienia i zagrożeń, wolnym od przypadkowości. Mówi, śpiewa. Wymyśla Sun City. Miasteczko ze spokojnymi ulicami, z basenami, domami z trwałych materiałów zbudowanymi przez pomysłowych architektów, miasteczko pełne ogrodów, cienistych ulic, świat, w którym pod każde drzwi podpływają jeziora jasnej wody. Sun City, mówi, jedenaście pól golfowych, dwadzieścia sześć kościołów, czterdzieści placów do gry w kule pod palmami, wszędzie klimatyzacja, po horyzont pola. Co wy na to? Oprócz Lawsona, który wstaje i nie czekając, rusza w dalszą drogę, o gauczo, co oni na to? Oni na to: zgoda. Zarzucają uprawy zależne od deszczu. Przystępują do dzieła, budują zaporę. A piętnaście dni później zostaje ogłoszony edykt prewencyjny: „Jest siedem rodzajów biczowania, dwa rodzaje wieszania za nogi, dziewięć rodzajów chłosty. Osiemnaście rodzajów tortur”.

- To wszystko?

- Nie, to nie wszystko. Trzy dni później werbownicy rozpoczynają nabór ogromnych oddziałów, powstaje armia wodna. W rezydencjach na przedmieściach rozsiada się biurokracja. Na placach budowy zjawiają się podmajstrzy w białych koszulach i nieprzebrane zastępy siły roboczej. Centralizacja, koordynacja, intendentura i strategia zostają oddane na usługi zapory; wznoszona zapora powołuje je do życia. Powstają służby wywiadowcze, monopole, wielka dystrybucja. Podporządkowanie mas. I kiedy zapory zatykają wreszcie nieujarzmione rzeki, bezczynni ludzie patrzą na ziemię i wzruszają się. Wtedy powstają pałace, grobowce, miasta-pałace, pałace-fortece, grobowce-pałace, grobowce-pałace-fortece. Autostrady. Zainspirowany Sher Shahem⁵⁹ Akbar⁶⁰ każe zbudować Nową Drogę Królewską długości sześciuset pięćdziesięciu kilometrów, po obu stronach obsadzoną drzewami. Zainspirowany Maurjami Sher Shah buduje Drogę Królewską, która łączy Bengal z Agrą, Delhi i Lahore. Z niczyjej inspiracji Maurjowie wnoszą wzdłuż Drogi Królewskiej dziesięć tysięcy stadionów, od stolicy aż po granicę. Lepiej już nie można. Czteryście świątyń w mieście-palacu Nezahualcoyotla. Sto trzydzieści tysięcy regularnego wojska Haruna ar-Raszida; osiemdziesiąt tysięcy jazdy, dwieście tysięcy piechoty króla Mahapadmy Nandy; nie licząc świątyń sług, sześćset dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi w oddziałach Candragupty. Milion pod rządami Songa. To nowa masa, powiększona o wzniesione zapory, nowa ślepa masa, która tłoczy się w sforsowanych ciągach wodnych, która napiera, która dławi się w pancernych stawidłach jazu, która sama się trąci w kanałach odpływowych i której nawet

⁵⁹ Szer Shah Suri (zwany Władcą Tygrysem), 1486-1545, walcząc z Mogolami, stworzył imperium rozciągające się od Bengalu po Indus.

⁶⁰ Akbar (1542-1605) z dyn. Wielkich Mogolów, władca, zjednoczył Indie (z wyj. pd. Dekanu).

przez moment nie powstanie w głowie myśl, jaką jest potęgą. Oto czym są wielkie roboty publiczne. Ujarmij rzekę, a ujarmisz ludzi, daj ludziom zajęcie, a ujarmisz ich dusze. Miłość jest niczym, Megastenesie.

Chcesz wypędzić miłość z piersi młodziana? Każ mu cztery razy dziennie pokonywać wpływ żółty Tybr. Potem niech przez dwie godziny w kurzu Pól Marsowych ujeżdża dzikiego punickiego konia. Potem niech wraz z przyjaciółmi dwa razy obiegnie cały hipodrom. Niech go strudzonego przyjmie twarde posłanie z niedźwiedziej skóry; nim złote promienie słońca rozświetlą doliny, wyrwij go z objęć snu, niech wraca do wczorajszych zadań.

Nie wystarcza?

Podwajamy pracę: każ mu płynąć każdą załadowaną barką pod prąd. Albo zżąć morgę złocistych kłosów. Albo niech rąbie drwa, które Lukullus spala każdego dnia w swojej kuchni; miłość uchodzi ze strudzonych ramion; opuszcza pierś zlaną strumieniami potu.

Nie wystarcza?

Wyślij go do budowy zapory.

I nie Roosevelt to wymyślił. Babilończycy, Asyryjczycy, Maurjowie, Persowie, Inkowie, Aztekowie, wszyscy, wszyscy stworzyli imperia hydrauliczne spragnione ciała i osocza, zlaknione ludzkiego życia. *New Deal* to oni, wielkie wchłaniające maszyny i turbiny napędzane krwią, i stróże energii, i zatopione transformatory wodne. W ich podcieniach zwisają ludzkie zwłoki, na ich wyłącznikach wirują głowy, ciała są miksowane w maszynowniach, ciała są wbijane na pal rezerwowych piorunochronów, suwnice pomostowe miażdżą stawy stóp, sporządzając zaprawę murarską, wtapiając całe ciała w korpus zapory. Brzydę się monumentami, Lawson, brzydę się systemami, w centrum których jakiś wolarz przepełniony spermą skinieniem palca przywołuje swoją świtę samic i rzyga w potrawy na srebrnych talerzach, brzydę się ulami, z ich plastrami miodu ułożonymi w ukośną szachownicę i z komorą godową, w której panoszy się kaleka królowa opchana pszczelim mleczkiem i posiadająca widoki na przeżycie czterysta razy większe niż jej debilne robotnice. Wypędzam instytucje z mojej klatki piersiowej.

Lawson gwizdnął z podziwem.

- Ho ho, stary, dziwnie daleko plujesz, kiedy ci to pasuje.

Wiatr przywiał krę. Eskortowana przez swoje czerwone smoki, rywalizujące z rzeką o kłęby zimnego śniegu, nadciągała noc. Stevens postanowił, że w oczekiwaniu na nastanie dnia zanocują na Yangtse Prince. Posadzili helikopter między leżakami, które w panice pospadały z pokładu spacerowego.

- Dziś wieczorem wolne. Tylko nie urznicie się w jakiej melinie, o świcie zaczynamy zatapianie.

Zresztą smród ryb wypełniał wszystkie poziomy promy aż po kajutę kapitańską. Nie było obaw, że rozsiądą się w barze.

Tylko major wystarczyło hartu, żeby zrobić pełny obchód, włącznie z maszynownią.

- Pański nos niepotrzebnie się zżyma, Jaime Stevens, ale przywyknie pan. Znałam szypra, w którym wszystko wzbudzało obrzydzenie, woń ołowianej minii, zawszona koja, kołysanie statku, kucharz obcinający sobie paznokcie kuchennym nożem. I co? Jak tylko schodził na ląd, chwycił się za głowę i zawracał po drabince trapu, przeklinając swój los. Ciśnienie na stałym lądzie miażdżyło mu kręgi. Mówił, że ziemia jest bryłą bezruchu, która ścina mu krew w żyłach.

- Był Grekiem, prawda?

- Tak.

- I po trzydziestu latach tego podnoszenia i zarzucania kotwicy wyzionął ducha w brzuchu statku towarowego z ładowniami pełnymi kokainy w porcie Ho Chi Minh, w czasie kiedy sampany z owocami i tanimi kobietami dobijały do burty.

- Właśnie. Buenos Aires może sobie spłonąć i Cardiff zniknąć z powierzchni ziemi, ale nieszczęsnego szypra Straada niech Bóg ma w swojej opiece.

Cisza nieznacznie zgęstniała, otulając trzy gwiazdkowy prom Yangtse Prince skajową materią mroczną jak zapomnienie. Znad rzeki podnosiła się mgła, szturmując poręczę nadburcia, Stevens zadrzał. Czuł, jak samotność ścieka mu po krzyżu niczym paskudny deszcz. Na stole w jadalni leżały płasko rozpostarte mapy morskie. Przytrzymywane dwoma popielniczkami z białego szkła, nie poruszyły się o centymetr od zarania wieczności. Tak jak nie poruszył się statek, który utknął w korytarzu śluzy, stos parasoli złożonych na przednim pomoście, obrusy w sali balowej. Na nieruchomej wykładzinie poniewierał się niedopałek z bibułkowym ustnikiem. Na nieruchomym promie, na którym nie rozbrzmiewało już wołanie na wachtę ani sztuczny entuzjazm konferansjerów. Na nieruchomych falach.

- Fale nigdy nie są nieruchome.

Major pochylała się nad mapami i za pomocą trójkąta nawigacyjnego wykreślała ich aktualną pozycję. Kompas jak szalony podskakiwał jej w dłoni, kreśliła linie i nanosiła własne obliczenia na marszrutę dawnego kapitana. Łysego.

- Wie pan co, powinniśmy zmienić plany. Gezhou Ba to pikuś, wystarczy w odpowiednim momencie posłać jej salwę pocisków rakietowych. Natomiast przy Trzech Przełomach trzeba będzie zdobyć ciężkiej artylerii. Ma pan tyle plastiku, ile trzeba?

Włączył się Lawson i wyliczył posiadane materiały. W ładowni znajdowały się trzy żelatyny wybuchowe typu A oraz metanodynamit, wszystko zapakowane w dwudziestokilogramowych skrzyniach.

- Czyli trzy razy po cztery skrzynie, które załadowałem na plecy w czasie, gdy niektórzy lenili się w kurzu szpargałów.

- Znakomicie.

- Od jakiego to pekińskiego przechodnia „pożyczył” pan te specjały, co? Może od wędrownego mnicha?

- A, to już tajemnica wojskowa, staruszk. Tylko dlatego że trochę dalej plujesz, nie ujawnię ci wszystkich moich sekretów. Co to za plan, pani major?

To było proste. Tamę Trzech Przełomów należało zaatakować bezpośrednio pasywnym materiałem wybuchowym - Lawson zgłosił się na ochotnika, że go podłoży - i pociskami wybuchowymi. Według szacunków miss Echampion do akcji wsparcia potrzebny był cały koszt pocisków raketowych. Następnie, kiedy tama już pęknie i fala zatapiająca runie w strefę bezpośredniego zalewu, pilot nabierze szybkości i otworzy ogień na Gezhou Ba w tym samym momencie, kiedy fala czołowa, wyczuwając opór przeszkody, rozbije się. Tym sposobem połączy się moc zapalną pocisków raketowych z szybkością rzeki, która w tym momencie osiągnie impet trzydziestu dziewięciu miliardów metrów sześciennych wody dawnych więźniów.

- A więc?

Lawson podrygiwał z ekscytacji.

- Kto stanie przy celowniku?

- Ja.

Stevens zapalił podniesiony niedopałek i pozdrowił morskie mapy, czując, jak dym z wietnamskiej trawy rozszerza mu płuca.

- Niezłe. Dzięki ci, kapitanie, rozplyń się w pokoju. Nad zalanymi ryżowiskami wznosi się góra Ba-The i uśmiecha się do mnie zza kurtyny monsunów. Wypalę na twą cześć całe pole twojego kwietnego towaru, pole, tak jak twoi przodkowie zapalali kadzidełko, stary łysielcu.

Stevens zasnął, ukołysany powolnym tangiem kadłuba statku z nabrzeżem, ukołysany spokojnymi marzeniami, ach, major Echampion, te pani jedwabne zawoje.

Dwie godziny później Lawson obudził się z krzykiem; zapomniał o przybitce.

- O kobitce?

- O przybitce, miss. Poproszę o latarkę, musimy mieć przed świtem dwa kwintale, już

pędzę. Gdzie kluczyki?

- Dokąd idziesz? - Wymamrotał Stevens z przekrwionymi oczami.

- Po przybitkę.

- Po kobitkę? To już dzień?

- Po przybitkę, do cholery jasnej! W otworze strzałowym wysokość wsadu wybuchowego nie może przekroczyć jednej trzeciej i otwór musi być uszczelniony. Kupujesz? Uszczelniony, zatkany, zaślepiony, co tylko chcesz, ale musi być. Idę i czegoś poszukam.

- Odbiło mu, na miejscu zrobi się to piaskiem albo wodą, nie ma potrzeby...

- Kwestia doświadczenia, Stevens, wołę barylkę smaru od garści obietnic. Idziesz?

Duch zapory do mnie przemówił.

- Super.

Czy był to wpływ góry Ba-The, czy bladego światła reflektorów apache'a omiatających bezgwiezdną noc? Stevensowi wydało się, że w stanie nieważkości unosi się helikopterem nad Yichangiem jak rybka w plastikowej torebce z wodą, kołysana dłonią beztroskiego dzieciaka.

- Nie możesz ominąć tych turbulencji? Serce podchodzi mi do gardła.

- Bardzo ładnie. Złap się mocno, patrz na ziemię i uważaj: potrzebuję jakiejś fabryki samochodów, opon, zbiornika oleju smarowego czy czegoś w tym rodzaju.

Kwadrans później wylądowali na dziedzińcu kompleksu budynków z blachy falistej.

Spiesz ci się? Makshor!

Czujesz nagłą potrzebę? Makshor!

Miałbyś ochotę coś zmajstrować? Makshor!

Makshor! Makshor! Makshor!

Makshor spełni wszystkie twe życzenia!

- A to co? Fabryka sraczy?

Wśliznęli się między ciężarówki podłączone do cylindrycznych kontenerów, połyskujących szronem w ciemnościach nocy. Po ziemi biegły czerwone przewody i ssały brzuchy naczep stojących rzędem jak w oborze. Największe, zwinięte w pierścienie aspiratory odczepiły się od pustych cystern; niektóre, z rozdziawioną paszczą, z korpusem ustawionym w pozycji do ataku, zmagaly się z niczym. W dwie minuty, kiedy ożywiający je silnik siadł z braku paliwa lub automatycznie się wyłączył, przeobraziły się w rozdrażnione grzechotniki.

Sądząc po śladach smagnień na osłonach chłodnic i po pokrytych odpryskami szkła maskach silnika, walka była krótka i gwałtowna.

Lawson wszedł do sali wtryskarek, za nim Stevens, omiatając słabą wiązką światła latarki skamieniałe maszyny. Natrafili na metalowe koryto wypełnione granulcami. Lawson zerknął na nie, po czym idąc wzdłuż taśmy produkcyjnej, natknął się na otwarte zbiorniki pod wytłaczarkami.

- Ciepło.

- Co to za fabryka?

- Zabawek. Playmobili czy legobili, tego typu rzeczy, plastikowego badziewia produkowanego za półdarmo. Wiesz, cztemastogodzinny dzień pracy, stawka od sztuki, osiemnastogodzinny przed Gwiazdką, no wiesz, Chiny, inwestorzy i tego typu rzeczy. Nie stój jak zamurowany. Podejdz, spójrz.

Stevens wetknął latarkę w kanał prowadnicy prasy Arburg i nachylił się nad chromowaną kadzią do połowy wypełnioną żółtą, jednolitą substancją.

- Ma jakiś zapach?

- Żadnego. Zupełnie jak dzieża do zagniatania ciasta u piekarza, taka papierowa papka.

Lawson podał mu długi aluminiowy pręt.

- Zaczepnij trochę, żeby sprawdzić.

Substancja była zwarta i sprężysta, musiał wyteńczyć ramiona, żeby wetknąć pręt, który powoli zanurzył się w papce z donośnym odgłosem puszcanych wiatrów.

I tego właśnie szukał Lawson. Mało nie pękł ze śmiechu na widok ruchomego ramienia wielkiej maszyny Virginio importowanej z Włoch, wieki przed demokracją, która z chińską zaciętością pozwoliła jeszcze szybciej odlewać jej klocki. A ten głupek uczepił się tego jak satyr starej dziwki. I trzeba było iść za nim krok w krok aż do taśmy pakowniczej, rozgałęziającej się na pięć głównych odnóg, a potem znaleźć właściwą, i podążać dalej tym tropem aż do punktu składowania towaru, na koniec przetaskać dziesięć skrzyń towaru w kilogramowych pojemnikach z garażu na dziedziniec.

- W buszu pierdzi się tak, że padają krzaki. Na pierd się poluje, wystawia kangury i strusie, płoszy zające!

Oczywiście gadał bzdury. Pięcioletnie dziecko, bardzo niebezpieczne jak na pięciolatka, oto, kim był Lawson. Bawi się ze świniami, żywi przy ich stole, sika do plastikowych kubków, a potem ci to przynosi jako zimne piwo, i jeśli pech sprawi, że tego spróbujesz, nie zamknie się potem do pojutra, całymi dniami będzie o tym opowiadał, będzie

na tym jechał przez długie tygodnie. Uruchamiając wirnik, jeszcze się śmiał. Wschodziło słońce.

Zanim odlecieli, major zapragnęła otworzyć bramy słuzy, żeby przepuścić Yangtse Prince'a oraz promy Taisheng, Jiangyu i Zhaojun, które im dotrzymywały towarzystwa. Będą na fali zalewowej jak surfingowe deski, będą naszymi posłańcami, to kawalerowie rzeki, nasza awangarda, na grzbiecie fal dotrą do samego Szanghaju i poniosą nowinę.

- Komu?

- Morzu.

Wystartowali prosto na zachód, zostawiając za sobą świt w okowach krwawych klinów.

Między Yichang i Sandouping wody stopniowo wzbierały, u podnóża gór zaplatały się w gietką wstęgę. Mgła omiatała brzegi, unosila się zakosami, a potem zahaczała o szczyty i rozplywała się jak duchy nad lasami. Xilingxia słała im wonie pereł i skorupiaków słodkich wód, a Echampion wyciągała szyję, próbując wypatrzeć wyspę Zhongbaodao odłączoną od naszyjnika bogini.

- Wyspa Zhongbaodao, perła Wschodu, zanurzona w słonych wodach, żeby podnieść mgłę, Zhongbaodao, boski klejnocie, przez bliskie sąsiedztwo boski i niosący pociechę, gdzie się ukrywasz? Czy to szyja bogini majaczy za twoimi perłowymi wzgórzami, pierś, nadgarstek, złocista skóra, opalizująca woda? Czyżby w klamrę twojego rozpiętego naszyjnika zaplątał się jakiś włos, rzęsa?

Rzeka była rzeką i płynęła w górę od Gezhou Ba, płynęła. Szeroka i sprężona, już gniewna i niecierpliwa, ale żywa, płynęła. Unosząc na swych falach splawiane drewno, uderzając o brzegi, oblizując wszystko na swej drodze, połykała łodzie, przepływała przez wzburzone zakola, żywe lasy, martwe lasy, wzgórze, dopływ, spływ, dolinę. U podnóża Sandouping panoramiczny widok raptem się urwał. Góry były spustoszone. Helikopter rozplaszczyl się na szczycie zapory Trzech Przełomów i ucichł. Po nitce z żelbetu, między dwoma portykami nad gigantycznym zbiornikiem przelewowym, posadowionym na tej wytrzymałej i żalosnej konstrukcji, zeszli gęsiego jak zabójcy. Waterfull, Echampion, Lawson i Stevens. Apache skrzyział na wietrze, jego pociski rakietowe miauczały pod słupami podpór, istny bąk. Byli maleńcy, ale potężni.

- Zhongbaodao w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku zostało zrównane z ziemią po tym, jak Zhou Enlai postanowił postawić tu stopę. Niech pani nie szuka, major Echampion, z martwych nie powstanie.

Woda podeszła bardzo wysoko, wzdłuż zaimprovizowanego brzegu biegł pas

ciemnych zacadzonych sosen, wytyczając poziom wody. Pas zetlących, martwych sosen szerokości dziesięciu metrów wieńczył koroną dewastacji stłoczoną rzekę, i budowniczych oszołomów. Gładka i okielznana tafla kipiała w uspieniu. Jangcy, ogromna i ołowiana, tafla okrywająca pejzaż, Jangcy zmieniła swą naturę. Zamieniona w błotnistą kałużę, nieruchome morze bez fali przyboju, uwięzione w mulistych kanałach, czekała. Formowała własne podwodne siły, swoje zasoby. Jangcy, otyła i rozlana, bezsilna, skupiona jak Budda, przyzywała w milczeniu swe oddziały. Ponieważ wewnętrzny ruch wody jest jak ulatnianie się bezwonnego gazu, uznano ją za martwą i ujarzmioną, lecz jej konie mechaniczne pomrukiwały w głębinach. Chmura piany obmywała platformę, bryzgi załamujących się fal płały między transformatorami. Lawson umocował linę na szczycie jednego z portyków między dwoma przęsłami. Żółty pendent opinał mu brzuch i pośladki, opadającą część umocował, zaciągając węzeł marynarski. Plastik, lont i przybitka zwisały mu u pasa jak narzędzia dekarza.

- Chwileczkę, własnymi rękami wszystkiego nie zrobię. Major Echampson, byłaby pani uprzejma zrobić kilka otworów w filarach? Powiedzmy, w dwóch na krańcach i kilka pośrodku łuku.

Echampson natychmiast wzbiła się na wysokość wymaganą przy natarciu. Słońce odarte ze swych różowych woali raziło frontalnie ogromną, bezkształtną dolinę. Oślepiąca, nałożyła osłonę przeciwodblaskową na tablicę rozdzielczą, opuściła daszek i podłączyła czujniki do systemu wykrywania i nadążania za celem. Jej ostrogi stukały o pancerny fotel. Stevens zaciskał zęby, jego oddech rozdymał kabinę.

Na wysokości pięćdziesięciu metrów nad jeziorem retencyjnym, naprzeciwko filarów prężących się przed napęczniałą Jangcy, nacelowała działą na trzydzieści stopni w dół. Rozpoczęła ładowanie.

- Cios za ciosem. Równiutko jak pod sznurek. Do dzieła, dzieci. Za Zhongbaodao zrównane z ziemią i zatopione, ognia!

Zhou Enlai przewrócił się w grobie, dmuchnięcie bogini na wyspę Zhongbaodao zatrzęsło jego pokrytą kurzem mogiłą, mauzoleum Mao Zedonga zadrżało w posadach. Żółw wciąż maszerował przez plac Tian'anmen po sześciuset tysiącach gum do zucia, wśród waciaków i czapek. Niestrudzenie sunął naprzód, stukając twardymi pazurami o asfalt w rytm uderzeń gongu, z każdym wystrzałem major Echampson z chain guna coraz bliższy celu.

Dwadzieścia minut później Lawson miał wgłębien aż nadto. Oddawane w równej linii na wysokości dziesięciu metrów nad poziomem wody strzały major Echampson dziurawiły mur kropkowaną, doskonale poziomą linią. Wskakując z apache'a, popatrzyła na słońce. Jej

uwolnione spod hełmu włosy były potargane, na brodzie miała ślad po opasce, ścisnęła i zacisnęła pas jak prawdziwy macho. Stevens był zaskoczony. Nigdy by nie pomyślał, że pilotem myśliwca może być kobieta, jej odruchy i precyzja powróciły do niego jak druga, jasna strona natury. Bez cienia wahania. Płynne ruchy, klarowny umysł, jak tego pierwszego dnia w Wozroźdzeniu poczuł, że sadowi się w jego ciele jak w dobrze znanym miejscu. Uwielbiał jej obecność.

- Ma pani trzy godziny na umieszczenie swoich gadżetów i rozwinięcie lontu. Będziemy potrzebowali mnóstwo światła do akcji wsparcia. Rumaki Jangcy pomkną jak błyskawica.

Lawson rozmieszczał materiały zgodnie z regułami sztuki saperskiej. Trzy długie do plastiku, dwie do przybitki i jeden do lontu. Pracował szybko. Zawieszony na linie, wsparty stopami o mur, w czarnych jedwabnych rękawiczkach, poruszał się jak pajak linoskoczek, przemieszczał się od kolumny do kolumny siłą własnych nóg. Po dzieciństwie w wypalonych słońcem górach, w arizońskiej dziurze na pustyni pośród kruków, Stevens wiedział, że wszędzie będzie umiał sobie poradzić. Atak grizzly go nie przerażał, bo na swoich mocnych nogach wspinał się po stokach jeszcze szybciej, niż z nich schodził.

W dwie godziny zatkał siedem otworów z ładunkiem i zlany potem wrócił na górę. Dygocąc z wysiłku, pokazał kiść lontów i detonator major Echampion, tak jakby ona była heroiną dworskiej miłości, a on truverem. Przykłęknąwszy na jedno kolano, zdyszany, połączył je. Pociągnęli przewód przez dziesięć kilometrów na sam szczyt platformy widokowej. Słońce stało w zenicie. Wyryci i uwięzieni w czarnej płaskorzeźbie monumentu Jangcy ludzie czuli, że zbliża się wyzwolenie. Ich muskularne ciała występowały z marmuru, twarze odwrócone ku zatopionym Wushan i Baidi wyciągały się chciwie.

- Wzdłuż całego łuku zebrało się od groma tych cholernych czarnych jesiotrów. Mało mnie nie pożarły, czują już otwarte morze.

Usiadł na chybił trafił na kobiercu ubrań pozostałych po turystach. Oficjalna platforma, zbudowana w kształcie koła i ustawiona na postumencie za rządów Hu, skąd można było zobaczyć cały zasięg i potęgę chińską, które zdołały sprowadzić do powierzchniowego bezruchu jedną z największych rzek świata, owa paradna platforma, która gościła samochody i statki Chińczyków, Hanów i Hui, a także Europejczyków, Amerykanów, rzesze ludzi, na której ostało się jeszcze kilka par czapek, kilka butów, ta przeklęta platforma miała wkrótce runąć. Widziała prace, setki niebieskich dźwigów, płyty. Widziała exodus milionów wieśniaków, rybaków i nędzarzy, widziała podnoszenie się wód, ale nie zobaczy ich opadania. Jeśli nie oderwie się jak pumeks i nie zacznie surfować w załomie fal, nie

zobaczy nic. I tym lepiej, jeden monument mniej.

- Jemy? Gdzie Waterfull?

Przepisywał rejestry w sali sterowni.

Guo Shoujing

Guo Xinhua

Lim Chuan

Lin Dung-Chi

Lin I-Chung

Liu Min

Liu Yu

Shi Shen

Shin Ch-Chih

Shing Jae-Chang

Wang Henry Hsie Chang

Wu Hanjie

Wu Meng

Xiao Wu

Xie Jung

Xie Yonping

Xu Xueliang

Xuo Bing

Jarowoj Aleksiej

Zhang Changfeng

Zhan Wei-Wei

Zheng Jinhhai

Zhang Heng

Zu Chongzhi

- Co ty wyprawiasz?

- Szufłuję.

- Co? Szuf-co?

- Szufłuję. Od czasownika szufłować. Kopię i przesiewam, przegarniam łopatą ziarno, szufłuję. Odrzucam. Przynajmniej będzie można powiedzieć, ale nikt nie będzie mógł, że Waterfull, tępy jurysta specjalizujący się w austriackiej kazuistyce, pogrzebał mimo wszystko swoją szufłą w ziarnie wiedzy, ale nikt nie będzie mógł, w ziarnie odebranych ludzkich

istnień, po których żyje już tylko nazwisko, tylko ono ocalało z rozszalałych wodnych pływów.

Guo Haifei

Guan Min

Guan Xiuli

Han Hua

Han Hi-Sung

Huang Jie

Huang Shaotong

Shao Xiaoyan

Shen Guao-Xian

Sinaduran Mahendiran

Wang Qixong

Yan Xilong

- Nie, nie, zaczekaj. Ten wykaz to nie cmentarz, nie mamy czasu ani miejsca, na cholere nam te twoje groby, zostaw to, weź książkę telefoniczną, skoro ci tak rzewnie.

- Sy-ma Cien uważa, że praca historyka polega często na przytaczaniu starych tekstów i archiwów, podawaniu wykazów osób i tytułów. Do przesuflowania.

- Musisz zmienić lektury, staruszku, nawet z hydrauliczną szuflą nic tu nie zdziałasz. Odłóż to i spływaj. Za sto tysięcy lat Ziemia natrze na Słońce i jej statki spłoną i nie wszyscy zachowają jej imię na twardym dysku dla Wenus. To nic nie zmieni. Zabieraj się. Stanowisz część świata, jak długo jesteś jego częścią, jak długo o nim myślisz. Robi się jasno, wylaź!

- Niech pan nie stawia kreski na archiwach, Lawson, archiwa to pamięć zbiorowa, pozwalająca panu dalej żyć. Dopóki pan żyje, nie przestanę wierzyć w książkę, niepotrzebnie się pan denerwuje. Na swój sposób jestem jednym z pana płuc, organem zasadniczym, i nie przepelnia mnie kurz, tylko skoncentrowane życie, bez którego nie miałyby sensu ani pańskie istnienie, ani pańskie fantazmaty, ani pański hart ducha. Proszę mnie nie dotykać! Nie jestem prowincjonalnym bibliotekarzem, sam chodzę i sam wstaję!

- Och, jakież godny jest ten oszust, który wszystko i wszystkim podkrada i odsyła życie dzikich do dzieł etnologów, och, jakież piękny. Co za piękny produkt kultury słowa pisanego, och, ach, mój Boże, jakże wspaniały. Biedny frajerze, nie umiesz nawet trzech wierszy na pamięć.

- A ty nie umiesz już nic!

- A czyja to wina, przeklęta ciemna maso?

- Waszych ojców, którzy uznali białego człowieka za boga, kiedy był tylko żalonym wyskrobkiem, waszych ojców, którzy paktowali i padli przed nim plackiem w pyłe swoich ziem. Waszych czarowników, którzy nurzali się w alkoholu, waszych wojowników, waszych kobiet, waszych dzieci, całego waszego rodu, bo wierzyli, że uda im się przetrwać bez wywoływania wojny totalnej. Waszych zamierzchłych przodków, niezdolnych się rozwijać. Pana, który wierzy w czystość, który z uporem trwa na pozycjach ośmieszanej ofiary. Niewolnika, który żarliwie wierzył w panów i chciał żyć. Z powodu pana, Lawson!

- Łajdaku! Odszczekasz te słowa! Ziemia była wystarczająco wielka, a wyście ją pożarli. Jak świnie rzuciliście się na złoto i ropę naftową, zanieczyściliście rzeki i morza, skaziliście wyobraźnię, narzuciliście wszędzie własne struktury. Uczyniliście ze zwierząt swoich wrogów. Wypolerowaliście dokładnie ten swój ciasny świat. Zgładziliście opornych, innych oślepiście, pożarliście. Zniszczyliście każdą formę życia odmienną od waszej. Drzewa, góry, ptaki nie zareagowały, lwy nie rzuciły się do ataku, plemiona nie wystąpiły przeciwko wam. A ty nadal myślisz, że to był jakiś błąd taktyczny, tymczasem spójrz na siebie! *¡Ahijuna!* Rozejrzyj się wkoło, patrz! Jesteś martwy. Ty jesteś martwy, a ja się odrodzę. Krokodyle są moimi braćmi, mam kuzynów wśród pytonów. Znam kamienie, które przechowują gorące serca moich przodków, tak, moich cholernych przodków, tych pieprzonych nieruchomych cywilizacji, ich serce jest gorące i pulsuje w kamieniu. Mam totemy, zawarłem porozumienia z innymi zwierzęcymi bytami, jestem związany z innymi zwierzęcymi bytami, ludzka forma może zniknąć, ja mam wybór, mój nurt nie wygaśnie wraz z moim głosem, natomiast ty jesteś martwy. Twoje życie to pogrzeb, czas, który ci pozostał, grzebiesz. Konstruujesz własną trumnę, krocysz za nią, a nawet ją wyprzedzasz. Trupa można zjeść albo porzucić, ale tobie, kompletnemu zeru, rozkład nie będzie dany, słyszysz? Szufla widmo, szufla. Wykopuj swój grób i oplakuj swoją pamięć, tylko to potrafisz. Ale możesz być pewny jednego: niczego nie ocalisz. - Lawson gwałtownie otworzył drzwi. - I drugiego - powiedział, odwracając się: - nie rozprawię się z tobą, bo jesteś martwy, ale następnym razem tylko spróbuj znieważać mojego ducha, a poderżnę ci gardło.

Stevens odwrócił się na stopniu helikoptera.

- Więc co z Waterfullem?

- Już idzie.

Drzwi kabiny zatrzasnęły się, major z powrotem usiadła za sterem.

Łopaty helikoptera miksowały zimne powietrze platformy. Dwadzieścia centymetrów poniżej płóz blok detonatora przeżył w niebo swój uchwyt zapłonu. Monstrualna dolina, jakby w przeczuciu nadchodzącej burzy, ucichła. Stevens ogarnął wzrokiem zbiornik

sześciusettrzydziestokilometrowej długości rozplaszczony o zaporę, górny odcinek rzeki i skazany za zagładę Yichang. Wyobraził sobie Wuhan i Szanghaj po zakończeniu zapowiedzianej akcji, dyndające na końcu zerwanego łańcucha Jangcy, oklapłe i zdewastowane. Uprzątnięte raz na zawsze.

- Żółw dotarł do bram Cesarskiego Miasta, Jangcy wzbiera, będzie go szukała. Gotowy? Niechaj wzbierze woda w stajniach Augiasza, Stevens! Niechaj Chen i Wei wystąpią z brzegów! Ognia, Waterfull, ma pan dziesięć sekund na pociągnięcie dźwigni, ognia!

Wystartowali w linii doskonale pionowej. Maksymalna szybkość wznoszenia: 990 metrów na minutę. W piętnaście sekund ich naturalne pole widzenia objęło dwieście kilometrów przed i za zaporą. Poprzez wycie turbin działających na pełnych obrotach usłyszeli szereg nikłych eksplozji, ledwie serię wilgotnych trzasków, poruszenie podmorskiej armii przy brzegu jeziora, a potem nic. Major zablokowała apache'a w pozycji stacjonarnej czterysta metrów nad platformą. Radar. Oznaczenie pozycji. Stabilizacja obrazu.

Nic.

- Do kurwy nędzy, co to za księżę pierdy, Lawson? Uzbroidł je pan? Tak czy nie?

- Spokojnie.

Dolina tonęła w iście niedzielnym świetle. Zawieszony nad milczącym wulkanem apache warkotał i wibrował w ogólnej ciszy. Poniżej błotniste morze było gładkie i szare jak olów, Jangcy wylegiwała się między posepnymi brzegami, sosny trwały nieruchomo, zbocza były ciche i spokojne; ani śladu wiatru. A potem przy północnej krawędzi obudził się wieloryb. Masyw ciężkiej wody trysnął pionowo po betonie, szturmując szczyty, wypłuty z tajemnych głębin wielkiego, srebrzystego węża Jangcy z Loch Ness. Jego masywne cielsko budziło się powoli, w miarę jak się unosił, niczym falę w ścieśnionym nurcie przekazując sygnał na linię działań. Mijając sześć punktów zaklinowanych na amen i unosząc łeb na południowym krańcu zapory podstępными sposobami ognistych smoków nieśmiertelnych Chin, bestia potrafiła całość struktury i zawróciła szerokim obrotowym ruchem, który tym razem zdetonował ładunki umieszczone przez Lawsona wewnątrz jego stu słupów wody, wypłutych przez kuźnię Herkulesa prosto w twarz imperium wodnego. Z szelestem wachlarza krzywa łuku otworzyła się, sypiąc deszczem grzechoczących kropeł, które pomknęły jak plotka po otoczonym aureolą mgły kręgosłupie Trzech Przełomów. Brzęczące jednobarwne snopy ze świstem pocisków wzbily się w górę, atakując transformatory. Rozety ładunków wybuchowych wytrysnęły z kolumn jak sieć deszczowych bomb, ściganych przez miriady pohukujących komet. Dolinę wypełniła dźwięczna kipiela, załamująca się na tytanowe grona, i

pomruki eksplozji, szczyt nadwreżonej zapory rozżarzył bengalski ogień, świetlisty krąg magnezu.

- Teraz!

Dwa pociski przeciwpancerne synchronicznie zanurkowały w masy wód u stóp zbiorników i ugodziły we flanki smoka. Major posłała w korpus rozwścieczonego zwierzęcia, w łeb i w ogon dwa pociski rozpryskowe, które utkwily w żebrach. Wystrzelona w ramach wsparcia seria pocisków rakietowych przeszła niezauważona w kipiącej masie. Smok z rozdziawioną paszczą, wypływając trąby spienionej wody, obrócił się wokół własnej osi i rąbnął na odlew łbem w sam środek zapory. Jego furia skapywała na pomieszczenia maszynowni, zawory retencyjne dygotały pod ciosami jego płetwy, pazury rozszarpały betonową ścianę jak brzuch łani. Major kontynuowała stały ostrzał, palce zaciśnięte na sterach zbiegały, szyny wyrzutni rakietowej rozgrzewały spód kikutów skrzydeł, poprzez fotel czuła, jak plują i wibrują, i utrzymywała apache'a na wodzy, by neutralizować efekty odrzutu. Jangcy wyla w swoim skotłowanym łożysku. Jej smok potężniał w oczach, zbierał swoje pierścienie w promieniu trzystu kilometrów, pancerne kolce na jego grzbiecie faliście wyłaniały się i wbijały w nadbrzeżne lasy. Niesione w fałdach rannego potwora hektary drzew i spokojnej wody spieszyły z pomocą. Jego furię słychać było w najdalszych zakątkach strefy niezalanej, Chongqing słało mu belki i szczęki mięsożernych. Wanxian, Fengjie - konie, świńskie ryje i zboże.

- Dalej! *Manso*, cherlawka raso, pokaż się, niech zobaczą twój twarz i otchłań twojego gardła. Dalej! Chcę zobaczyć kolor twoich flaków, zawartość twojego brzucha, pokaż mi zęby, zademonstruj rogi! Co zdołasz zdziałać w ogniu mojej włóczni miotającej płomienie?

- Atakuj, Echampson, atakuj, zaraz będzie kąsać!

- Salonowy *toro*, *manso*, zawróć! Zwróć swą masę ku rozpostartej kapie zapory, naprzód! Anda! Widzisz te banderille pod moimi skrzydłami, chciałbyś je? *¡Anda!* *¡Anda!*

Smok spuścił łeb, walił w ziemię i zionął swą brawurą ku dymiącej osłonie Trzech Przełomów. Apache wykonał lekki skok i pomknął jak strzała, by wpakować od przodu drugą parę rakiet, *sesgo por dentro a la espla*, w wypukłość muskułu rozwścieczonego bydlęcia. Wierzgając z bólu, Jangcy zagrzmiała na naigrawającą się z niej muletę, a jej głos wstrząsnął azalią hen w głębi ładu. Major krótkim zwrotem nad ogonem potwora wzbila się w górę i wykonała *veronica*⁶¹ i klasyczną *revolvera*⁶², a tymczasem Lawson przyzywał na pomoc

⁶¹ *Veronica* (hiszp.) - ewolucja muletą podczas korridy. Matador trzyma kapę obiema rękami przed sobą, rozwiniętą, staje z nią na wprost byka.

⁶² *Revolvera* (hiszp.) - ewolucje polegające na kręceniu muletą wokół ciała matadora.

dusze Mendeza i Cyda. Oszalały smok łomotał kopytami o dno Jangcy. Ział ogniem na brzegi, które osuwały się, potęgując moc i furię kłębiącą się w jego łuskach. Wyrzucał białe języki nad barierą zbiorników, oceniał pojemność przestrzeni. A potem cofnął się i zanurzył. Zda się, zadem wsparty o *burladero* areny, w pełnym słońcu, zebrał się w sobie i rzucił naprzód. Major podskoczyła, minęła potwora i rozpostarła mulecę. Pod impetem szarzy cała korona zapory eksplodowała. Na fali uniesienia spieniony Behemot popędził prosto w gigantyczne szczątki największego obróconego w perzynę dzieła ludzkości. Unosząc niczym żdźbła słomy wielokilometrowe ściany betonu, przewracając w Sandouping gmachy, pochłaniając i zatapiając ziemię, zapychając kamieniami wąskie przesmyki tratowane trzydziestoma dziewięcioma tysiącami jego czarnych kopyt. Dzikus Lawson wrzeszczał z radości, natomiast major Echampsom zaczynała wyścig i w te pędy pchnęła apache'a nad rozdygotanymi górami. Białogrzywe konie Jangcy z chrapami okrytymi pianą pędziły na łeb na szyję. Gnały, a w ślad za nimi wezbrane namułami Zigui, Xingshan, Badong. Gnały pośród piany na skrzydłach Pegaza, Tchal-Kouyrouk⁶³ wiodł je niczym chrestna matka i przewodniczka ku maleńkiej Gezhou Ba. Tysiące ptaków wyfruwało z szumiących lasów tętniących radosną ucieczką gazeli i jeleni. Lisów, wilków, cywet. Wokół zdążającej ku morzu Jangcy ruchy oddziałów wzbierały i zasilaly jej srebrzyste flanki wyłożone kobiercem ochry i falującej wełny. Helikopter unosił się tuż za parującymi szyjami szturmowych koni, nad ich grzywami rozplecionymi przez wiatr, prostopadle do ich rącznych kopyt. W kwadrans po rozpoczęciu potopu pojawiła się Gezhou Ba w okowach swoich brzegów, czekająca na śmiertelny cios niezłomnego serca. Major wystrzeliła prosto w cel i smok na chwilę ściągnął wodze swoich wód, po których przemknął cień wahania. Przez chwilę niepewnych. A potem wyłamał barierę. Statki porwane falą zalewową pokoziołkowały naprzód, zostawiając w tyle Yichang, zgnieciony i wyrzygany w odmęty gliny i betonu. Miasto wyleciało w powietrze, a potem zostało schwyte przez stały prąd sześciuset trzydziestu kilometrów oswobodzonej śluzy, spieszący z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę do Wuhan i Szanghaju przyrzeczonych smokowi.

Tysiąc osiemset kilometrów dalej ujścia Jangcy zaczynały się otwierać na Dong Hai, Morze Wschodniochińskie, żadne pożywienia i śmieci.

Rzeka płynęła przez Hubei. Wyrzucała bawoły rzeczne z ich siedlisk i pustoszyła pola ryżowe. Jeziora wysychały, porwane przez swobodnie płynące wody, hodowle ryb wypuszczały na wolność tuczone granulkami złote karpie. Brane na zakładników bawełna,

⁶³ Tchal-Kouyrouk - dzielny wierzchowiec bohatera stepów, Toshtuka, pomógł swojemu panu odzyskać jego duszę, która została skradziona, a później bezpiecznie odwiózł Toshtuka do jego żony, Kenjeke.

zboża i drób składane były w ofierze na brzegach. Wszystko, co było wodą, dołączało do nowego nurtu żarłocznego smoka, po drodze pochłaniając ład. We wnętrzu wybebeszonych domów kotłowały się obrzmiące zwłoki, ogromne statki zrywały tabulaturę mostów i szły na dno.

W całej prowincji słychać było lamenty zwierząt schwytanych w pułapkę. Bawoły i świnie zawodziły zza kurtyny zatapiającej je wody. Sampany, ciężarówki, żurawie, niewody mieszały się w żołądku rzeczno-smoka z życiem, z trawą i z drzewami, i ze szczurami. Jak dzin wypuszczony z butelki, jak opasły konkwistador, jak żądny zemsty i rozjuszony bóg wojny, Jangcy ściągała ku sobie okoliczne ziemie niczym obrus razem z zastawą. Jak nienasycony ogr pożerający talerze, serwetę i stół, przy którym go ugoszczono.

Przez długie godziny wszędzie panowała porażająca destrukcja. Ślepa. Do samego Wuhan, gdzie major zmieniała kurs, trwało spustoszenie, wspaniała dewastacja.

Wolę sobie...

Wolę sobie nie wyobrażać tych miliardów białych kokonów jedwabników rozsianych po Morzu Wschodniochińskim.

Wracały do Yichang i Sandouping, a na lądzie wszystko było morzem i rwącym potokiem. Płynęły w górę rzeki, cofały się w czasie. Z Gezhou Ba przetrwała tylko amputowana odnoga biegnąca przez w połowie zatopione wzgórze. Z Trzech Przełomów został fragment muru, który niebawem się rozsypie.

Za dawnymi zaporami woda zaczynała opadać.

Major wylądowała na szczycie góry Wu, między Zigui i Fengjie powoli wynurzającymi się z wód, zabarwionymi na czerwono w głębokim basenie Syczuanu. Rozpaliła ognisko.

Waterfull usiadł na swoich książkach telefonicznych i sumiennie, pustym spojrzeniem, wpatrywał się w przepływające fale.

Waterfull woli sobie nie wyobrażać wrzodu Szanghaju ani zatoki Hangzhou wypełnionej grząskim błotem. Stajnie Augiasza, te przeklęte stajnie są znacznie rozleglejsze, niż myślał.

Na wpół zdechła ryba płacze, Uniesiona przez rzekę.

W każdej chwili chciałaby się cofnąć.

Pisze list do leszczy:

Ostrzegam was: baczcie, dokąd się przemieszczacie.

Tao Qian⁶⁴

Woli sobie tego nie wyobrażać, wraca do annałów spisanych na bambusie.

Li Taj-po z Ou

Tajkong z T'si - człowiek z wybrzeża Morza Wschodniochińskiego

diuk Cheou, książę Lou

diuk Chao, książę Yen

Koan i T'sai

młodszy książę Wei, książę K'ang

wicehrabia Wei, książę Song

Xin

Chu Keou-cien, król Yue

Cheng

- W tych górach jest pełno osad jaskiniowców. Stele są bardzo stare. Zamieszkajmy tu.

- Przydałaby mu się kuracja snem.

⁶⁴ Tao Qian (365-427) - wybitny poeta chiński z czasów dynastii Jin.

Kiedy wody opadły i w splątanych fałdach ich sukien pojawiły się przełomy Xilingxia i Qutangxia, kiedy odzyskały pierwotną głębokość, na usianej drobnymi białymi punktami, poszarzałej od szlamu skale wyłoniły się dawne miasta.

Fuling, miasto z czasów dynastii Shang i Zhou, w muszli swoich czternastu dzwonów z brązu inkrustowanego złotem przywołał wiatr. I obnażył aż po fundamenty dwadzieścia tysięcy kraterów podwodnego lasu steli. I położył kojącą dłoń na grobowcach dygnitarzy królestwa Ba. Białe żurawie powróciły na swą podwodną skałę, upamiętniając nieśmiertelnych Erzhu i Baishi, którzy dosiadali ich, by dostać się w przestworza i na szczyty na północy, w pustkowia Kunlun, do krainy szczęśliwości.

Wushan u podnóża dwunastu szczytów góry Wushan potrząsnął swoimi dwunastoma uliczkami i usłyszało to dwanaście córek królowej Zachodniego Nieba. Zawstydzonych, że nie potrafiły ustrzec bram przełomu Wuxia.

Xianguan i miasteczko Luojiła obiecały wędrowcom las bambusów, las kukurydzy i magnolii. Oraz zwoje wodorostów o białych łuskach i wielkich głowach.

Badong opłakiwał porwany przez fale Pawilon Jesiennego Wiatru, swoje domy, których ciemne dachówki sprzedawano na sztuki, nim w brukowanych uliczkach, w świątyniach i grotach Ba wezbrała woda i zalała groby liczące dwa tysiące sześćset lat.

Fengjie, stolica królestwa Kuizi, zrównana z ziemią, zamieniona w rumowisko, przyzywała głośnym krzykiem wygnanego Du Fu i nagie dzieci, które łowiły ryby na jej śliskich nabrzeżnych skałach.

Zigui szukało grobowca Qu Yuana i już go nie znalazło. Piątego dnia piątego księżyca złożyło ofiarę z bambusów faszerowanych ryżem, ale czerwony karp poety uciekł. A wraz z nim wiersze Li Sao, opiewające rozpad królestwa Chu.

Dachang przywoływał deszcz na zawalone domy Mingów i Qingów, których progi zachowywały sygnatury architektów i formuły opiekuńcze, odpędzające demony. Ich zwodzone mosty zwisały stromo ze skał. Zrolował je.

W Baidi Stevens, wychylony z okna Pawilonu Dźwięków, przyglądał się kozom zapuszczającym się w góry. Uszkodzony sampan obracał się w kółko w nurcie rzeki. Przechowywał wspomnienie Li Bai wygnanego do Baidi, miasta Białego Cesarza⁶⁵, miasta tętniącego życiem i kuźni poetów za dynastii Tang i Qing. U jego stóp przepływały klawiatury komputerów. Worki z węglem, bele tkanin przysłane z Chongqing razem z resztkami dwunastu miliardów metrów sześciennych zużytej wody i grubymi czarnymi

⁶⁵ Baidi-cheng - miasto Białego Cesarza. Gongsun Shu przyjął tytuł Białego Cesarza i tak też nazwał miasto przy ujściu przełomu Qutangxia, w którym mieszkał.

smugami jej osadów. Wsparty o chyboczący parapet Pawilonu Dźwięków myślał, że ospały zółw z placu Tian'anmen musiał się uśmiechać zza pleców smoka całą swoją małą pomarszczoną mordką.

*A ty, Rotko, ładny wieprzku, który wyruszyłeś z miasta Białego Cesarza
ku obłokom jutrzeńki,
Rozżarzonem,
Do Jialing, przekopujesz tysiąc lilii w jeden dzień.
Gdy krzyki małą rozbrzmiewają jeszcze w uszach brzegów rzeki,
W górę rzeki
Płynie łódź. Minęła już tysiąc mostów.*

Cisza w pustych wąwozach.

Helikopter samotnie leciał w wąskim przesmyku ścian dawnego opustoszałego zbiornika. Ławice martwych ryb rozjaśniały muliste dno jasnymi podbrzusiami. Wymalowane na białych planszach liczby 148, 5, 175, 185 wznosiły się na wzgórzach i tarasach, nadal czepiały się gór, zaznaczając poziom Jangcy, która już nigdy nie podniesie się do ich wysokości. Budynki były oznaczone czerwonym znakiem 拆拆拆 *Chai! Chai! Chai!* Do wyburzenia! Który rozlał się po całych miastach niczym przedsmak powodzi. Ale w pustych wąwozach panowała cisza.

Nutrie pochowały się. W Qutangxia przewodnicy nie śpiewali już i nie wiosłowali obserwowani przez turystów. Nie śpiewały już ptaki. Zatopione lasy wygnały je i teraz drzewa pokrywało błoto, obrzydliwa maź. Płazy pochowały się. Wężę zwinęły się pod zagrzebanymi kamieniami, karpie tkwiły w mule. Szczury wędrowne utonęły. Lisy ukryły się lub utonęły. Potop. A po potopie nic, puste wodoloty na mieliźnie i błoto.

W okolicach Fengdu powoli podnosiła się mgła, dochodząc aż do płóz, aż do wirnika helikoptera. W wilgotnym powietrzu zaczynały rozbrzmiewać pierwsze dźwięki. Znów docierały do niego hałasy. Odgłosy łańcuchów i nietoperzy. Krótkie pacnięcia. Mgła na przemian to zakrywała miasto, to je odsłaniała. Raz lodowomleczna nieprzenikniona ściana, raz woal, który pękał nad ocalałym szczytem pagody, ukazując kilka stopni, zarys bezkresnych schodów, gubiących się wśród jego sztucznych obłoków. Stevens z pomocą radaru wylądował na betonowej płycie przystani. Kiedy wyskoczył z kabiny, wytworzyła się wokół niego próżnia powietrzna. Czuł się w jakiś sposób intruzem. Przestrzeń w jego sferze kinestetycznej wibrowała, mgła trzymała się na odległość.

Wszedł po stu śliskich stopniach na główną ulicę. Małe ciemne domki stojące zwartym szeregiem wzdłuż schodów wychylały się ciekawie, kiedy przechodził. Było zimno. Z prawej strony zawieszono w pustce zardzewiałe krzeselka mechanicznego wyciągu zgrzytały na kablach. Stevens ścisnął gładki sznur poręczy umocowanej w skale. Dochodził do setnego stopnia. Otwierały się przed nim mroczne wrota Fengdu. Na centralnym filarze wyciągał ohydny paszczę jakiś ludzki czy kozi demon, na nadprożu widniała pieczęć lub ostrzeżenie, których nie rozumiał; nie szkodzi. Potwór skoczył mu do twarzy, strojąc koszarne miny, płyty usunęły mu się spod stóp, ulicę wypełniły wrzaski i wycie. Po murach biegały włochate maluchy i wskakiwały na głowy udręczonych posągów. Setki zwinnych i garbatych homunkulusów ściagały się, wydając płaczliwe okrzyki. Wieszaly się u kamiennych draperii płaskorzeźb, kryły w załomach ścian, by zaraz z nich wyskoczyć z rękami pełnymi ekskrementów i wiatru. Otoczyły Stevensa, ciągnęły go za ubranie, słyszał przenikliwe lamenty, widział dziesiątki złączonych rąk, płacz, spojrzenia okropne, nie do zniesienia. Małpy! Wygłaszały trajkoczące przemowy, łączyły się w zbiorowych modlitwach, obrzucały kamieniami dachy, przez chwilę się iskały, wygrażały sobie, pluły, przeklinały, miauczały do księżycy, zanosząc błagania do groźnych posągów, wąsatych, dzierżących ostre włócznie. Ciągnąc go za koszulę i nogawki spodni, wskakując mu na plecy, przysiadając przez kilka sekund na jego głowie, zaprowadziły go na jakąś koszmarną uliczkę obrzeżoną gargulcami. Obrobiły mu kieszenie, wskakując po stu osiemnastu stopniach z zimnego kamienia, skacząc po murach, powiodły go do świątyni Odpląty-za-Dobry-Uczynek i tam zwróciły mu kluczyki do stacyjki helikoptera. Stevens zacisnął je w dłoni. Ciągnąc go, szczypiąc, pogoniły go dalej przez trzy łuki mostów nad Krwawym Jeziolem, którego czerwoną wodę chleptały łapczywie z czkaniem i bulgotem, podrywając płaskie pyski, krzaczaste łuki brwiowe i ociekające wodą zęby przy najłżejszym szmerze powietrza. Wrzeszcząc, wyjąc, śmiejąc się i znów wyjąc, kiedy Stevens próbował przemówić. Znowu go złapały za sznurowadła i za włosy i ciemną cuchnącą uliczką powiodły do bram następnej świątyni, w której znajdował się ołtarz, sanktuarium cesarza, chyba z epoki Ming, a także poety, pijaka - po czym w podskokach popędziły go na szczyt trzydziestu trzech schodów przed pałac. Pałac Boga Niebios, pałac przerażający, Pałac Królestwa Zaświatów, na szczycie wzgórza Mishang, gdzie jeły wyżywać się na bogu piekieł i jego małżonce, królowej piekieł, i na czterech sędziach i dziesięciu budzących grozę marszałkach, okrutnych diabłach zastygłych bez słowa, skazanych na wysłuchiwanie lamentów i skarg, pretensji i procesów. Małpy odgrywały wszystkie sytuacje, małpowaly stany ducha, z wielką szybkością przeskakując od życia do śmierci, do spowiedzi. Płasały wokół zaimprovizowanego ołtarza pokrytego krwią i skorupkami rozbitych jajek.

Gestykulowały jedne do drugich przed oczami, stroszyły grzbiety, wytrzeszczały ślepie.

Waterfull precyzuje: lubieżne, skruszone, lubieżne i gwałtowne, zmieniają maski pod nosem skamieniałych sędziów. Jak lalkarze pokazujący marionetki, pociągają za sznurki widmowych pajaców, które nie mają innego wyjścia, jak za pośrednictwem ich zapchlonych ciał odegrać swą ostatnią komedię. Gdyż Fengdu od zarania państwowości Hanów jest miastem, przez które wędrują dusze zmarłych w godzinie Sądu Ostatecznego.

Złocisty, kosmaty gibbon, rudy z białym łbem i białą brodą, prowadził taneczny krąg, waląc dwoma kijami jeden o drugi, bez ustanku jazgocząc, witając grymasem przybywających, którzy do niego dołączali. Za każdym okrążeniem ołtarza uderzał w kamienną szatę głównego marszałka i pluł w ogień piekielny z fresku wymalowanego na brudnej ścianie. Małpy tańczyły zahipnotyzowane rytmem wybijanym przez ich cztery łapy o posadzkę, zniewolone głosem baletmistrza, urzeczone, w transie. A potem w ataku gwałtownej zapaści jedna po drugiej padały na ziemię jak zdechłe muchy, sztywne, z oczami w ślup. Mistrz zaczynał jeszcze szybciej trajkotać i nadawał imię duchowi, który wstępował w jego stężałych uczniów. Mały biały makak z czarnym ciemieniem wstał jak automat i pobiegł na zeszywniałych łapach owinać sobie łeb chorągwią - wstąpił w niego duch bojowy. Wyciągając przed siebie ramiona z rozcapierzonymi palcami, pozdrawiał gibona, padając przed nim na ziemię - był generałem i tarzał się w kurzu. Dwie małpy o grubych wargach i wąskich nosach, czarne, black-naze, natychmiast stanęły za nim na warcie, każda dzierżąc czarny kij i kłapiąc zębami - prości chorążowie.

Ruda samica podniosła się, z opuszczonym łbem podeszła na czterech łapach do posągu boga piekieł, po fałdach jego płaszcza wspięła mu się na ramię i wskoczyła na głowę, ocierając się brzuchem o jego sztywne wąsy i kręcąc konwulsyjnie miednicą, potem zeszła i znów weszła - wstąpiła w nią Winda.

Stary makak tybetański kursował tam i z powrotem między ołtarzem i kałużą ciemnego błota obok bramy pałacu. Rozpościerał w powietrzu bezmiernie długie ramiona, odganiał kopem z pięty tych, którzy mu zawadzali, i osiągnąwszy cel, wydawał dźwięk syreny okrętowej. Dowódca floty powietrznej. Import-Eksport gałązek, z ołtarza przenosił okruchy skorupki, z kałuży błota maleńkie ilości czarnej wody.

Na głowie królowej stała małpa z grzywą, z piersią owiniętą kawałkiem materiału, kręciła miednicą, odgryzała po kawałku trzymaną w ręku tykwę, pokryty kurzem łeb, sierść odczesana do tyłu - Gwiazda.

Generał zaczął wędrować po pałacu, unosząc wysoko nogi, za nim chorążowie trącali

się palcami stóp i ostrzegawczo szczyrzyli zęby do dowódcy floty powietrznej, kiedy trasa jego lotu przecinała się z ich szlakiem. Wokół ołtarza obradował okrągły stół, wielkie mocarstwa dyskutowały, tocząc ślinę na kamienie. Mistrz gwałtownie potrząsał głową pod adresem czarnego gibona z wolem, który kurzył gałązkę i rozprowadzał wśród obecnych alkohol.

Rozczochrany osobnik ciągnął bezkształtny worek, który z płaczem rzucał do stóp posągów, po czym potrząsał nim i z powrotem zabierał, chciwy i podstępny jak skruszony skąpiec, który na nowo popadł w sidła swej przywary. Winda nadal kursowała między stopami i wąsami boga piekieł, małe makaki czepiały się jej pleców, śmiały się i spadały na ołtarz, wzbijając, ile się dało, kurzu i krwi. Wielkie Mocarstwa, nieprzerwanie negocjujące, marszczyły brwi, krzyczały i obnażały białe kły. Wzywano generała, dwaj chorążowie stawali na baczność, generał padał plackiem na ziemię, jednym susem zrywał się i ruszał swoim angielskim krokiem wojskowym czerwonego gimnastyka w pogoń za makakami, pochowanymi we wnękach i za oknami pałacu. Minąwszy linię dziesięciu marszałków, wrzeszczał, tłukł swoich chorążych, o wszystkim zapominał i na nowo podejmował inspekcję. Gwiazda wydzieriała się, zapowiadając darmowy koncert. Mistrz prowadził negocjatorów do ołtarza, osobnik z wolem podejmował dystrybucję alkoholu, a Winda swoje frenetyczne masturbacje na wąsach piekieł. Import-Eksport widział, że jego kałuża maleje, za każdym kursem stawał się coraz bardziej spięty, kontrola chorążych działała mu na nerwy. Dochodziło do wybuchów, kije często gęsto szły w ruch. Generał wpadł w szal, kiedy ten drugi sforsował jego zapórę. Wielkie Mocarstwa patrzyły z uwagą, osobnikowi z wolem skończył się alkohol, terroryści obywali się bez Windy, w dowolnej chwili wskakując na ołtarz. Gwiazda pożerała tykwę. Wszystkie małpy, trajkocząc, śliniły się, miały brody całe w pianie. Ich ślinianki, jak uodpornione na atropinę, produkowały mnóstwo piany, którą strząsały i pluły dookoła. Całe wąsy boga piekieł były nią pokryte, nie było widać spod niej jego oczu. Jak u golibrody trzymał sztywno kamienną głowę przed otwartym ostrzem brzytwy. Ruda samica, znużona jego nieruchomością, pohukując, pokazywała brzytwę chłodno jaśniejącą w dłoni mistrza. Zbliżał się.

Stevens uciekł. Ściskając w dłoni kluczyki od stacyjki helikoptera, wycofał się pędem, ścigany szyderczymi wrzaskami potępieńców. Ślizgał się po stopniach bliski paniki, trans naczelnych paraliżował mu łydki, skurcze szarpały uda, ruchy sztywniały, w miarę jak jego ducha osaczały wizje chińskiego piekła. Kociołki z wrzątkiem, mściwe trójzęby, złociste szale wagi, na których dygotały bezkształtne zwały ciała. Lawson w jego głowie wołał: to nie duchy, tylko małpy. Z kolei pamięć Waterfulla była naznaczona przez strach i poczucie winy.

To zwykli kuglarze. Śmieszne i prymitywne błazny, które tylko dla fasonu ściągają go po plugawych schodach, po czym sto metrów przed bramą nagle im się odechciewa, tracą rozpęd, obojętnieją.

Helikopter, wzbijając się w górę, rozwiął całą mgłę. Major uśmiechała się.

Na wysokości Wieży-do-Oglądania-Ojczystej-Krainy Stevens nic nie zobaczył. Otulone w błotniste zawoje Fengdu, trzy minuty wcześniej pulsujące szaleństwem, stało sztywne jak w wykrochmalonej todze, sztywne i puste, i godne pożałowania.

- Zniknęły?

- Spadamy, Stevens. Niech małpy same się o siebie zatroszczą. Narmada ma źródło na płaskowyżu Amarkantak, w okręgu Shadol, w prowincji Madhja Pradeś, proszę spojrzeć na mapę, siłą zmuszono ją do przelknięcia sześćdziesięciu tysięcy hektarów dziewiczych lasów, oczekuje nas.

Widziałam Tadź Mahal.

Widziałam Lakhnau. Ja, major.

Zabrałam zegarek Panerai z wystawy sklepu Johnsons & Syn.

Stevens błąka się bez celu jak pijany dyplomata: w stroju nawaba, w brylantach, złota packa na muchy służy mu jako laska, brzuch przecina mu pas pistoletu maszynowego, idzie przed siebie jak automat. Ding⁶⁶.

Godzina piętnasta, Amarkantak.

Ładujemy na płaskowyżu. Wkoło dżungla.

Po kilku godzinach marszu znajdujemy źródło. Płynie u stóp miodły indyjskiej, ma trzy sążnie głębokości i jest czyste. Piaszczyste dno i gładkie kamienie.

Stevens zanurza stopy i moczy ubranie, mruczy niezadowolony.

Gimnazjum-mauzoleum Francuza Martina tchnęło w niego nową energię. Czy dojdzie do siebie? (W. namawia go do nauki urdu).

Uznał, że apache jest niestosowny i nie na miejscu. Musieliśmy zostawić helikopter, trzydziestoma zaporami na Narmadzie już się nie przejmuję; powiada, że jest pewny Urocej, bo jako po dwakroć zrodzonej z płynów Śiwy, pisana jest jej nieśmiertelność w nieziennej postaci. „To rzeka, która płynie progami, wypłukuje własne łożysko, nie może zmienić biegu. W dodatku panują okropne monsuny, jak nic poniszczą tamy budowane przez bobry”. Czy kobry. To pozostaje niejasne.

Lawson zamaskował apache'a w hangarze z bananowca. Wyjdziemy na rekonesans, kiedy odzyska ducha, to znaczy, kiedy niektóre duchy wyeliminuje. Jesteśmy w Indiach. Cierpliwości.

Płaskowyż jest spokojny, tak jakby skalisty masyw Saptury chronił go przed inwazjami. Od czasu do czasu pod obozowisko podchodzą słonie, ale zachowują dystans. Co martwi W., któremu marzy się wyrwanie lewego kła jednemu z tych wielkich zwierząt, żeby mógł Bóg wie co wypisywać na bukszpanowych tabliczkach, które przywiózł z Lakhnau. Stada pełnorogich dostarczają nam mięsa. Na szczęście Stevens akceptuje polowanie jako „dobre zajęcie dla nawaba w leśnym ustroniu”.

⁶⁶ Ding an Sich (niem.) pojęcie z zakresu metafizyki, występujące w filozofii Kanta - „rzecz sama w sobie”, rzeczywisty, ale niepoznawalny przedmiot, istniejący poza świadomością, przejawiający się przez zjawiska i stanowiący źródło wrażeń.

Tego dnia nie powinienem był spuszczać z nich oczu. Już w Tadź Mahal wystąpiły pewne symptomy. Powietrze rozbrzmiewało dźwiękami. Przed kramami sprzedawców pamiątek, wystawiających swój towar w małych zwięzłych stosach, wciąż jeszcze słyhać było echo natarczywych zachęt w hindi, po angielsku, po anglobengasku. *Memsahib*, ej, *memsahib*, odwal się, co ty kupić? Co chcesz? Chcesz to? *Bel* Tadź z marmuru, imitacja sto procent prawdziwa, co chcesz? *You want what? You pay no problem*. Chcesz posąg, chcesz trawę? Cocaine extra no problem, opium, nie? Co ty chcesz? Kino? DVD *special India*, co chcesz? *Mother India*? Pieśni, przeboje, piosenki Bollywood, chcesz płakać, sahib? Chcesz K7 *sexy*, figury *Kamasutra*, karty do grania, co chcesz? Chodź, chodź, ja pokazać, chcesz jeść? Masala *dosa*? Spać? *Guest house*? Słodczyce? Herbata, chcesz herbata? *Coca*, co chcesz? Portret? Patrz, Mumtaz⁶⁷ Mahal, portret Dźahangira⁶⁸, wieczna miłość, czternaście dzieci, ostatnie ją zabiło, chcesz zobaczyć moich braci? Nie? Moje siostry? *Very beautiful woman*, *very, very sexy*, nie? Miss Świata, czego chcesz? Jarzyny? Piękna kultura, sygnaturę urdu? Prezerwatywy Niebieski Kriszna, chcesz? Packę na muchy?

I wtedy wymiękł. Wziął packę na muchy i zapłacił. Cała ze złota, rączka ze złota i drogich kamieni, rzemienie z wytłaczanej strusiej skóry, bransoletka uchwytu z pereł & diamentów. Zapłacił jedną rupię, tyle co nic. I zaczął opędzać się od much wokół turbanu - którego nie miał. Trzy kroki z megaszczęśliwą miną. Waterfull szepnął mu coś do ucha, nazwał go wezyrem, tak, wezyrze, zawrócił z drogi i położył na *dhoti* malca, który nie przeliczył jego rupii, oficjalny, sporządzony na oczekaniu dokument, w którym przed Radą Ministrów cedował na niego Gudźarat swego kuzyna Muhammada. Ale w końcu... czemu nie.

Tadź zmieniał barwę z białej przez różową po fioletową. Tu, gdzie byliśmy, marmur wyglądał jak opalizująca półprzezroczysta skóra. Lepiej się było nie zbliżać. Pałace zawałają się, grobowce popadają w ruinę, gdy zabraknie obecności człowieka. Pamięć, którą urealnijają, wymaga stałego podtrzymywania. Ogrodnicy, szlifierze, malarze, ci, którzy bielą ściany, i ci, którzy oprawiają drogie kamienie, są przypisani do pałacu jak gęsi bernikle do grzbietów wielorybów. Wykonują mikroskopijną pracę, ale kiedy przestają pracować, gmach opanowują wszy i ginie. W skali geologicznej.

Tym razem ich przekonałem i nie licząc kolekcji siedemnastowiecznych kochanek, czyli *bibi*, Stevens nie ukrył przede mną niczego za pazuchą. Szedł tylko, machając packą na muchy, powolniejszym krokiem, ale Indie często wywierały taki marynistyczny efekt na

⁶⁷ Mumtaz Mahal (1593-1631) - żona indyjskiego władcy Szahdżahana, zmarła, wydając na świat jego czternaste dziecko. Tadź Mahal to jej monumentalny grobowiec, wzniesiony w Agrze ok. 1635 roku.

⁶⁸ Dźahangir (1569-1627) - władca indyjski, syn Akbara..

ludziach Zachodu, nie było powodu do obaw. Nie. To raczej w Lakhnau nie należało spuszczać ich z oczu. Ponieważ chodziły im już po głowie tamtejsze delikatne ślicznotki i podzwanianie bransoletek na kostce. Stevens przez sen snuł opowieści o rubinach w ciemnych pępkach i o niektórych ptasich krzykach, które przyjęte jest naśladować w trakcie miłosnej gry wstępnej. Skądinąd zawsze uważałem, że ten jakoby konieczny postój („nie mamy już paliwa”) był tylko pretekstem: Waterfull wpadł na trop Mira⁶⁹ i, poczynając od Yibin, tak manewrował, żeby odnaleźć jego grobowiec zagrzebany w ziemi pod szynami.

Widok rozchwianych ryksz przewracanych na wybojach jezdni i rozbitych na oblażących z tynku murach, zwalonych w koleiny straganów, po których zwyczajowo buszowały psy i szczury, mógł im otworzyć oczy. Ale człowiek goniący za chimerami - Stevens - nie dba o detale. A Waterfull ma w sobie za dużo z archeologa, by dać się zwieść pozorom czasu.

Kiedy krążyliśmy nad Dżami Masdzid⁷⁰, a po potrójnej kopule porośniętej chwastami jak pływający wrak przemknął błysk pawia, nagle trafili do królestwa Ajodhja. Zobaczyłem, jak znikają im z oczu zrujnowane dzielnice nędzy uczeplone ruin dawnych majestatycznych rezydencji. Stożące kałuże rojące się od robactwa zamieniły się w ozdobne baseny, nie widzieli już koślawych krów wokół drutów kolczastych, które wyłuskiwały insekty z błota. Zamiast pokonanego i nękanego monsunami Lakhnau, rozpadającego się, unurzanego w błocie jak niewypał granatu u stóp grenadiera, zagazowanego wyziewami siarczanu, widzieli wonne oranżerie, wypielęgnowane ogrody, czworokątne raje, i pałac. W tych warunkach rzecz jasna zaraz pojawiły się szlachetnie urodzone *begam*. Okryte woalami, klejnotami i pachnące przechadzały się po cuchnącym bazarze, a za nimi papugi.

Zaskoczyłem jedną, która dmuchała na kwiaty i ukryta za kępą tamaryndowców nabijała fajkę długimi palcami o ozdobionych paznokciach.

Niebawem Stevens zapragnął pójść do burdelu.

- W Indiach nie ma burdeli.

- Unikatowa cywilizacja.

- Co pani mówi, major Echampson?

- Sza, nie mówię nic.

- Niech pani nie udaje świętoszki, widziałem te pocztówki w schowku w helikopterze.

Dość skąpo były odziane te pani *bibi*.

⁶⁹ Mir - chodzi zapewne o któregoś z twórców literatury urdu z okresu dekańskiego (XIV-XVII w.) Muhammada Takiego Mira z Agry, Mira Darda lub Mira Ammana.

⁷⁰ Dżami Masdzid - meczet w Delhi, wzniesiony przez cesarza Dżehana (1644-1654)

- Proszę bardzo, Stevens, może pan je wziąć, skoro tak się panu podobają. A zwłaszcza niech się pan nie krępuje szperaniem w moich rzeczach, bo to śmieszne.

- Słucham? No nie, coś takiego!

- I niech pan przestanie machać tą packą.

- Jest pani zazdrosna, zazdrosna jak sroka! Aż się pani pali, żeby z nami pójść, ale nie chce się do tego przyznać.

- Co za pruderia! Te damy bez zmrużenia oka by mnie powitały! Myśli pan, że to tylko dla wybranych? Niech pan nie czeka, proszę iść, nauczą pana dwóch lub trzech rzeczy, które bardzo by się panu przydały. Tylko niech pan nie bierze *tawaif*⁷¹ z Lakhnau za prostytutki zostawione na lodzie. Nie padną na widok pańskiego rozporoka z otwartymi ustami i wilgotnymi palcami. Odkryje pan kulturę, leniwy rytm. Nauczy się pan skręcać i żuć *paan*⁷², palić *hookah*⁷³, rozmawiać, pałac. Ani nie za dużo, ani nie za mało. Wysłucha pan poezji *ghazal*, które będą recytować, spoczywając na grubych kobiercach obleczonej w świeżą bawełnę. Będzie pan patrzył, jak podlewają ziemię, i na patio, z którego widać niebo, poczuje pan woń pierwszych kropli burzy padających na pańską duszę. Zwrócą się do pana w najpiękniejszym urdu Lakhnau i powiodą do łaźni. Z wielkimi względami pana rozbiorą, zanurzą w czaszy chłodnej wody wydzielającej woń róży. Zostanie pan wymasowany olejkami, wytarty, upudrowany. I nauczy się pan wiązać materiał na biodrach. Pokażą panu. Jeśli kobieta, użyczająca panu swej sztuki drapowania siódmej fałdy materii na brzuchu, odgadnie w tym momencie pana poruszenie, ujrzy pan jej uśmiech. Zarys jej policzka wyda się panu brzoskwinią, zacznie pan myśleć jak sad wiosenną porą. Ujrzy pan gazele, jej włosy będą jak stado kóz w górach Vindhja, jej oczy jak gołębice.

Jej usta jak połówka granatu wezbranego sokiem opowiedzą panu o legowiskach panter i lwów ryczących z żądz na pustyni Gudżarat. Będzie ją pan nazywał przyjaciółką, ukochaną, opiewał jej woń piękniejszą nad wszelkie aromaty mirry i szafranu. Marihuana rozprzestrzeni się po waszych ciałach jak kadzidło. Ona powie, że jest pan delikatny i piękny jak cyprys, że ma pan zęby jagnięcia, że jest pan wrażliwy jak łania, jak młody jelonek. Zapragnie pan jej miodu, jej wina i jej mleka. Moja gołąbka jest doskonała, jej sploty okrywa rosa. Jej piersi będą się panu jawić jako dojrzałe owoce, jej postać jak palma, będzie pan myślał tylko o tym, żeby wspiąć się po pnium i ująć je w dłoń. Otworzy bramy do pana

⁷¹ *Tawaif* - dama do towarzystwa, na dworach muzułmańskich w Azji Południowej, zwłaszcza w czasach dynastii Wielkich Mogolów, umiejąca śpiewać, tańczyć, czytana w perskiej poezji *ghazal* - odpowiednik japońskiej gejszy.

⁷² *Paan* - liście betelu z orzeszkami, zwinięte w rulonik.

⁷³ *Hookah* - szysza - fajka wodna

ogrodu. Pana palce ociekać będą oliwą i czerwonym kminkiem, a wtedy pan wkroczy do komnaty gwiazdzistych, niekończących się nocy, a ona, jeśli zechce, wiązać będzie pana żądzę między swoimi piersiami i wargami jak nieokiełznanego żrebaka.

Waterfull zakasłał.

- Pójdzie pani z nami, major Echampson?

- Otóż nie.

Marzyciele. Pozwoliłam, żeby sami zapuścili się w uliczki *chowku*⁷⁴, zavalone zardzewiałą bronią lokalnej mafii, papierami i afiszami z ostatniej kampanii wyborczej.

Na niektórych ubraniach tych, którzy padli od kuli, była także krew. Głosujcie na Ratsu, międzyokręgowego mistrza bokserskiego. Głosujcie na Ratsu, wagę ciężką przyszłości. W błocie walały się wojskowe mundury, pistolety maszynowe, czadory i kilka przygodnych, zakurzonych, niemniej jednak eleganckich sari.

Co my robimy w tej ponurej dziurze? Która jeszcze przed nastaniem śliwki była ruiną. Która za życia była ruiną? Jak Wenecja. Jak wszystkie miasta położone na linii podziału opadającej płyty tektonicznej. Czy też jak wszystkie miasta, w których obce cywilizacje dyskutowały ze sobą i uwodziły się, by na koniec wzajem się pożreć.

Brnąc przez strumienie zastygłego gnoju, nasłuchiwałam wycia hien, które wycofały się na przedmieścia, i miałam nadzieję, że Lawson znalazł swoje „paliwo”. Dwie godziny później zaczęło gwałtownie padać. Worki z henną niszczały na chodnikach, woda hałaśliwie rozbryzgująca się na wyboistych uliczkach zalewała wszystko, mieszając naczynia miedziane i odchody z rozwiniętymi belami materiałów. Moje buty chlupały i zapadały się w gąbczastej skorupie. Pobiegłam przed siebie na chybił trafił i wraz z nocą o ciężką siedemdziesięcioprocentową wilgotnością powietrza dotarłam pod czerwone schody Constantia de Martin⁷⁵.

Umocowałam lampy Petzla, jedną na czole, a dwie pozostałe na nadgarstkach, i trzymając w ręku buty, weszłam do tych koszarów z kolumnami, otoczonych łukami i zwieńczonych zapadniętymi kopułami. Drzwi po obu stronach strzegły piersiaste kariatydy, sale pełne były barwnych stiuków i żyłkowanych marmurów. We wnękach ścian umościły się grecko-rzymskie posągi, z trójkątnych tympanonów nad nimi zwiślały podarte afisze. Śiwa i Parwati spoczęły zrolowane na głowie Wenus z muszlą. Gips odpadał całymi kawałami. Złoto

⁷⁴ Chowk - bazar

⁷⁵ Claude Martin (1735-1836) - francuski generał i dyplomata, doradca nawaba, fundator ośrodków edukacyjnych w Lakhnau, Kalkucie, a także w Lyonie, we Francji - zwanych *martiniere'ami*. Został pochowany w jednej z nich, w Lakhnau.

z gzymsów, spęczniałe od wilgoci, wypaczało sufity. W rogach pomieszczeń widać było ogromne, złociste balony. Wewnątrz Martiniere, College'u rodów Gandhi-Nehru, grobowca kochanki Francuza, żołnierza armii cesarskiej i kupca, moje lampy poruszały się jak świetliki, zawadzając o gigantyczne pajęczyny, a spod moich nagich stóp umykało wszelkiego rodzaju pełzające robactwo. W głębi jakiejś odległej sali pohukiwała sowa.

Mijałam amfiladę kolejnych drzwi, a wraz ze mną podążała chmara rozkrzyczanych jaskółek.

Rada klasowa - głosily - zabiła zdradzieckiego dyrektora. Kiedy ten spał, wyciągnęła go przez okno i unurzała we krwi.

Administracja.

Powieszony za stopy. W znowie z Chief Minister⁷⁶ parlament wymuszał okup od uczniów, tworzył brygady, żeby łupić wieśniaków.

Nieprawda! Przekazywał dziesięć procent policjantom, tym złodziejom! Zgwałcił córkę pandita, od przodu, od tyłu i w usta. Czy w dziesięciu był to akt polityczny?

Ambulatorium.

A czy byłby nim w dwóch? Agresywna działalność handlowa, idź grabić Goa, idź, idź! Wymyślaj przekręty ubezpieczeniowe, zbuduj fabrykę fałszywej aspiryny, idź, idź, idź!

Stołówka.

Sowa urządziła rzeź pośród szwadronów jaskółek. Każda, która wlatywała, wszystko jedno jak szybka, lądowała na posadzce z łebkiem przetrąconym krótkim ciosem dzioba. W jedwabistej ciszy fruwała pośród swoich wirujących ofiar. I spijała krew z żył uśmierconych ptaków. Pohukując, wciąż pohukując.

To tam ich znalazłam. W tym uskoku sejsmicznym powstałym u zbiegu Wschodu i Zachodu, na stosie poduszek wzgardzonych przez mole, palili sziszę i częstowali się szklanką czarnej herbaty.

- Fantastycznie!

- Cudowne objawienie, pani major! Przez moment już myśleliśmy, że pojawiła nam się *bibi* z Gwalior we własnej osobie. W aureoli światła!

- Nie przeszkadza wam ta rzeź?

Jaka rzeź?

⁷⁶ *Chief Minister* - sekretarz generalny, tytuł głowy rządu w brytyjskich koloniach, którym przyznano ograniczoną autonomię.

Od tego pożałowania godnego wieczoru wciąż ją słyszę. Jaka rzeź? O czym pani mówi?

Rzeź waszych oddziałów pod Delhi w 1398.

Rzeź w Harappie.

Rzeź, do której doszło na mitycznym polu Kurukszetra, między armiami dwóch kuzynów.

I ta ostatnia.

Mowa trawa. To tak jakby opędzać się od much.

Amarkantak jest cały w kwiatach.

Codziennie wczesnym rankiem Stevens idzie na spacer dla zaostrenia apetytu. W odległości dwóch godzin marszu od źródła odkrył bungalow, który nazywa samotnią. Jego zdaniem jest to prawdziwe leśne ustronie, w którym mieszkał wnuk i urzędnik jednego z ostatnich nawabów. Człowiek ów przechowywał niczym relikwię wypchanego tygrysa, który służył jego dziadkowi jako cel w czasie pozorowanych polowań, na które spraszał całą śmietankę ówczesnego radżu.

Wyliniały i ze wszystkich stron pocerowany tygrys został na werandzie brutalnie rozerwany na strzępy przez bandę langurów. Stevens je widział. Plując, rzuciły się na fetysz i poszarpały zębami jego grzbiet i boki. Wyrwały mu ogon i wyłuskały z orbit dwie szklane gałki służące mu za oczy. Najmłodsze pożarły uszy. Na zakończenie dzieła dowódca stada nasikał mu na łeb.

Podobno było to straszne.

Kiedy wracał, małpy eskortowały go z wysokości wierzchołków drzew i ścieliły mu drogę czerwonymi kwiatami, które odrywały, przeskakując z jednych drzew ognistych na drugie.

Inny nawab uznał to za znak: „Deszcz kwiecia nikogo nie zwiedzie”.

Od tej pory las jest zaczarowany.

Góry wznoszące się naprzeciwko po obu stronach strumienia są ogromne i okryte krwawymi kwiatami drzewa kimsuka. Tak przybrane, strzelają wysoko w niebo, a wiosną ogarnięte miłosnym szałem zwierzęta mruczą i śpiewają w ich ruchliwym podszyciu. Są jak Kama⁷⁷ i Abhimanju⁷⁸ - zakrwawieni, poprzeszywani strzałami, przepelnieni energią, kipiący ognistą energią tedžas, z wściekłością mierzący się wzrokiem. Ich torsy, porośnięte drzewem sandałowym, aśoką i salmali o czerwonych kwiatach potężnieją jak pierś Kamy, podziurawiona grotami strzał w kształcie krowich zębów, jak pierś Ardżuny⁷⁹ promieniejąca blaskiem na polu bitewnym.

To królewskie góry, a ich wierzchołki i parowy porastają lasy rozkwitające jaśminem. Wysmukłe żurawie, monogamiczne sweet crane, śmigają z wysokości ich ozdobnych frontonów. Ich wołania niosą się echem po grotach, budzą wydry i kurki wodne. Wiosna to pączkujące drożdże, którym składają ofiary purpurowe szarłaty, kimsuka, drzewa kapokowe,

⁷⁷ Kama - nieślubny syn Kunti, przyjaciel Duryodhany, walczył u jego boku pod Kumkszetą.

⁷⁸ Abhimanju - syn Ardżuny, podobnie jak ojciec - doskonały łucznik. Zginął pod Kumkszetą.

⁷⁹ Ardżuna - jeden z bohaterów *Mahabharaty*, niebiański łucznik, przyjaciel Kriszny, jeden z braci Pandawów.

hebanowce i zwierzęta. Stevens obserwuje liany, które okręcają się wokół pni indyjskiej miodły niczym upojone, oszalałe kochanki. Wciąż jeszcze pozostaje pod urokiem urdu *tawaiifs* z Lakhnau, ale zaczyna wychwytywać również inne głosy w wietrze skaczącym z drzewa na drzewo i przenikającym splecione w miłosnym uścisku liany.

Szepce mi na ucho niesamowite porównania.

Spływające łagodnym stokiem źródło Narmady przypomina mu pokryty kwiatami lotosu staw opływający pustelnię Ramy.

Nie wychodź sama, mówi, kiedy kwitną indyjskie miodły...

Rzeczywiście barbarzyńskie świątynie są często ukryte w nieprawdopodobnych miejscach i poświęcone różnym makabrycznym stworom. Któregoś dnia, kiedy wracał z bungalowu, dokąd poszedł, żeby pozszywać tygrysa nawaba (rankiem wybrał dwa czarne, okrągłe kamyki, żeby przywrócić mu oczy) i zgubił po drodze małpy, nagle znalazł się przed rozweselonym rakszasem⁸⁰, który dzierżył pałkę. Nie wiedząc, czy tamten go zauważył (był to, rzecz jasna, posąg), wziął nogi za pas i pędem wrócił do obozu.

Pistolet maszynowy, mówił nam później, na nic by się nie przydał.

W rzeczy samej. Zawsze można mu to zapisać na plus.

Ale stwór ów był wielki jak rakieta! I trzymał drąg wysokości kilku pięter, a zęby ociekały mu zieloną krwią drzew, które przed chwilą zarznął itp.

Zaprowadziłem go do lasu i nie zwlekając, pokazałem posąg uwięziony w pniach ogromnego drzewa pipalowego, ukryty pod jego listowiem. Stevens pomachał maczetą i odsłonił niebieskie czteroramienne bóstwo ozdobne naszyjnikami z ludzkich czaszek, owinięte w pasie wężami. Był wstrząśnięty.

Spokojnie, Stevens, to tylko Śiwa.

Trzyma palec w kręgu ognia, spokojnie, jesteśmy w Indiach, tutejsze posągi są czerwone, niebieskie i oleiste, spływają kroplami, żyją, działają w świętych miejscach i wszystkie wspomniane miejsca są de facto święte. Ganges jest wszędzie, gdzie płynie woda. Ciernisty krzew w Omkareshwar ukrywa Hanumana⁸¹ w chwale, z czerwoną maczugą u prawego boku, w koronie kwiatów, z torsem ozdobionym girlandami, ze stopami namaszczone oliwą i *ghee*, klarowanym masłem, barwnikami.

- Nie jesteś już na ziemi swoich łańskich przodków, nie jesteś już jankesem, przyjechałeś z Lakhnau, Stevens, znajdujesz się w Indiach. Dotknij jego stóp - dodał

⁸⁰ Rakszas - demon zła, pożerający ludzi.

⁸¹ Hanuman - bóstwo hinduskie czczone w postaci małpy, syn boga wiatru. Uważany za boga uwalniającego od trudności.

przechodzący akurat w pobliżu Lawson. - *Everything is possible in India.*

Można znaleźć największy diament świata na czole prymitywnego Bhilla, skutkiem praktyk ascetycznych zamienionego w skamielinę lub w sól kamienną. Mógł najbardziej niejasnymi kanałami na polecenie królowej o białych i zaciśniętych ustach przewędrować w walizce dyplomatycznej od radży Jadava Singha do Aurangzeba⁸², od Aurangzeba do Rady Dyrektorów Kompanii Wschodnioindyjskiej, by na koniec wylądować w Anglii, zredukowany do wielkości skromnego kamienia. Ale może też wrócić i samoistnie zagrzebać się w prywatnych skrzyniach radży Malwy, powiększony o wszystkie przebyte rzeki i tym sposobem odzyskać swe pierwotne imię: *Koh-i-noor*⁸³, Góra Światła.

To znaczy można też spotkać samotnego białego człowieka, wszechstronnie wykształconego i sztywnego jak packa na muchy, przekonanego, że znalazł się w posiadaniu największego diamentu świata i robiącego podejrzaną minę za każdym razem, kiedy wybiera się nad rzekę. Czyli codziennie rano.

Stevens stał się fanem Indii, to oczywiste. *Everything is possible now.*

Wysłał Waterfulla do Dżabalpur z poleceniem przywiezienia mu stamtąd komiksowej wersji *Mahabharaty* - wydanej w sercu Amar Chitra Katha⁸⁴, uściślił. To jest dziewięćdziesięciu czterech tomów po angielsku i w sanskrycie, które porównuje od rana do wieczora i których fragmenty po zapadnięciu zmroku odgrywa przed nami.

Na szczęście zauroczony Orientem kancelista, korzystając z okazji, przywiózł też różne mniej lub bardziej gazowane trunki oraz różaniec czarnych kulek do palenia. Zauważyłem także, że ostatecznie zdecydował się na prezerwatywy Ganeśy. Trzeba powiedzieć, że Stevens zapalał afektem do słoni i teraz wierzy, że w spodniach nosi słoniową trąbę. Wygląda na to, że najbardziej mu się podoba w wydaniu niebieskim.

Cała ta wiosna gra nam na nerwach.

Mnie samego od czasu do czasu przyzywają pszczoły. Prawdę mówiąc, nie ma dnia, żeby nie odkryły przede mną ulą w zakamarku ciemnego drzewa, a miód, jaki z niego czerpię, jest wprost boleśnie słodki.

Teraz całymi nocami grają w kości.

⁸² Aurangzeb (1618-1707), władca indyjski z dynastii Wielkich Mogołów.

⁸³ *Koh-i-noor* - jeden z największych diamentów znanych na świecie, 793,5 karata. Odkryty w 1304 r., był własnością Wielkich Mogołów, szacha perskiego; zdobyty w Indiach przez Brytyjczyków został ofiarowany królowej Wiktorii. Odtąd zdobi koronę królów brytyjskich.

⁸⁴ Amar Chitra Katha - najpopularniejsza seria wydawnicza w Indiach. Wydawana jest w niej literatura z dziedziny historii, mitologii i folkloru Indii.

Teraz Stevens rankiem kąpie się i oczyszcza swoją bieliznę w wodach Narmady. Po czym idzie odwiedzić swojego tygrysa i owija go siatką chroniącą przed małpami.

I kiedy Lawson ugania się po lasach, okryty korą i odpowiednio ucharakteryzowany, on, *sadhu*, przeobraża się w pana świata. Wypatrzył stadko słoni, które kąpią się o stałych porach, i jak tylko zobaczy, że wędrują nad rzekę, zakłada na biodra przepaskę i z brzegu zaczyna się wydzierać.

- Ja, Roiq Stevens, jestem ogromny niczym drzewo sala i podobny górze Vindhja! Mojej sile żadna nie dorówna, opromieniam ziemię moim blaskiem niczym Agni⁸⁵ w niebiosach. Po mych potężnych przodkach odziedziczyłem królestwo, jestem słoniem w rui, buhajem, ubijaczem masła, udzielnym władcą wszystkich krain na ziemi i pod ziemią. Baraszkuje, moje cudne samice, zaraz do was dołączę, bo w moich skroniach pulsuje żądza, mój pal trwa już w gotowości, moje oczy czerwienieją z podniecenia. Przyjmijcie w krąg swoich figli Jedynego i jego *weapon*! Ukójdzie jego ciało ugodzone pięcioma strzałami Kamy⁸⁶, trawione zarem namiętności. Ja jestem Roiq, Roiq Stevens, tygrys pośród ludzi, ostatni buhaj rodu Sapiens! Już w poprzednim życiu maciory wielbiły moją jedwabistą skórę i mocarną pierś, przygotujcie się, boskie słońce, przybywam z czystym sercem, z włosami rozwianymi w biegu, moja krew wrze!

W tym momencie nieodmiennie rzuca się w fale i zaczyna się taplać wokół nieporuszonych bydła.

Wprost trudno uwierzyć, jak łagodne są słonie. Łagodne i wyrozumiałe.

Mimo wrzasków zuchwałego indywiduum, które bez ostrzeżenia je dosiada, ugniatając zwinnymi stopami ich ogromne brzuchy, ledwie raz na jakiś czas puszcza mu trąbę wody. A i to od niechcenia, jakby przez nieuwagę, i tylko dlatego, że się akurat nawinął.

Natręt może się rozbiierać i obnażać swoją *weapon*, obciążoną niebieską gumką, i wydzierać się, że w jego podbrzusze wstąpił Ganeśa⁸⁷ - strzeżcie się, samice, Ganeśa burzy mą krew! - nic nie jest w stanie zakłócić wspaniałej pogody ducha gruboskórych olbrzymów w kąpieli.

Gdyż słoń jest jeszcze bardziej indyjski niż krowa. A zwłaszcza te wywodzące się z linii udomowionej, które nie poznały wojen, w związku z czym nie mają w zwyczaju miażdżyć głów pokonanych na polu walki. Szczęśliwie dla Stevensa. Który później jest

⁸⁵ Agni - wedyjski bóg ognia.

⁸⁶ Kama - indyjski bóg miłości, przedstawiany z łukiem i strzałami z kwiatów.

⁸⁷ Ganeśa - hinduski bóg mądrości, tworzący i usuwający przeszkody, przedstawiany jako mężczyzna z głową słonia.

niezwykle ożywiony, promienieje, może nie tedžas⁸⁸, jak to kreślą, ale bezsprzecznie promienieje.

A potem grają w kości. Z Waterfullem.

Podzielili między siebie świat i tak grają, jeden przeciwko drugiemu, w asyście czterech pawi, pozyskanych słodyczami, które kwitują ich licytacje i rzuty przenikliwymi, budzącymi grozę krzykami. (Po persku?).

Waterfull stawia w grze biblioteki: tokijską, Aleksandryjską, londyńską, paryską, singapurską i z Sao Paulo, biblioteki miejskie i filie, prywatne, uniwersyteckie i działające przy ośrodkach badawczych, we wszystkich dziedzinach. Licytuje archiwa. Wszystkie archiwa.

Stevens podbija stawkę mnóstwem rolls-royce'ów, szybami wiertniczymi, elektrowniami jądrowymi, fabrykami Lego i światowymi koncernami. W grze uczestniczyli już Exxon, Ford Motors, General Motor Company, Mitsui, Volkswagen, IBM, Siemens, Nokia, Nike, Intel, Disney, Danone.

A co gorsza mają teraz widzów. Langury zorientowały się, że po dzwonku rozpoczynającym grę następują libacje i rzucanie owocami, i ofiary z korzonków. Zbijają się w gromady i podchodzą coraz bliżej odurzonych graczy, którzy, bez reszty pochłonięci grą, nie widzą, jak im podkradają ładownice i czapki.

(Prawdziwą amunicję trzymam pod matą).

Trwa to od tygodni i oczywiście, jak mówi Lawson, obaj przegrywają.

- Myślę, że kiedy już wszystko przegrają, symboliczna żałoba czy też uporządkowanie ludzkich spraw dopełni się i będziemy mogli znów podjąć prace melioracyjne.

- Chyba że nigdy nie skończą tej inwentaryzacji. Póki co wracam do lasu.

- Ja z panem!

- Nie, major Echampion. Mam schadzke z narzeczoną.

No, no.

Odczekałam, a potem poszłam za nim pod wiatr i zobaczyłam go. Pod strzelistym jak katedra figowcem spółkował z łanią.

Szczęśliwi Bhillowie, ryby i poganie, którzy potrafią korzystać z życia!

Miała oczy obwiedzione czarną kreską i żółte jak słoneczniki źrenice. Jej sierść drżała pod pieszczotami Lawsona, który szepiony z nią wyglądał jak jakiś wspaniały centaur. Wachlowało ich listowie, a cap żarłocznie zagłębiał się w krągłości tyłeczka swojej lubej.

⁸⁸ Tedžas - energia ognia.

Ach, zwierzęta! Przez chwilę wydawało mi się, że w wypiętym zadku łani rozpoznaję piękne pośladki utraconej przyjaciółki. Nagle powróciło do mnie wspomnienie jej ciemnej szparki.

A na dolnych gałęziach figowca, idąc za przykładem parzących się kochanków, gorączkowo kopulowały makaki.

Dobry Boże, jak ta wiosna nas dręczy.

Kiedy wróciłam do obozowiska, wszystkie umysły trawił ogień. Waterfull skakał z langurami wokół planszy do gry, podrzucając w górę tykwy miodu, które trzymałam w rezerwie. Pawie całkowicie rozpostarły ogony. Pod dachem bananowca na zapleczu kuchni doszło do grabieży. Żaby i świerszcze na wyścigi kumkały i skrzeczały.

- *I've won! I've won!*

Waterfullowi zupełnie odbiło. Gdyby nie jego przepisowy strój, biała koszula i wyglansowane oficerki, pierwsze lepsze zwierzę kopytne mogłoby go wziąć za brata.

- Gdzie Stevens?

Machnięciem ręki wskazał rzekę, nie przestając wrzeszczeć: *I've won!*, i rozdawać kopniaków małpom, które mu się akurat nawinęły.

- *I've won! I've won!*

Stevens siedział w kucki pod drzewem tekowym, trzymał się rękami za głowę i pociągał nosem.

- Co się stało?

- Wygrał.

- Na to mi wygląda. Czy to utrata koncertów wprawiła pana w taki nastrój? Czy klejnotów koronnych?

Kulił się jak pancernik schwyty w pułapkę, dygotał z rozpacz. Żaloszny widok.

- Czyżby nie potrafił pan przegrywać, Stevens?

Nie chciał odpowiedzieć, tylko wpatrywał się w jasne fale, na których unosił się złoty księżyc. Tak jakby wcześniej wbrew sobie porzucił go na liściu lotosu, teraz koniuszkami palców próbował go złapać. Bardzo romantyczne.

- Co panu jest?

- Wszystko przegrałem - szepnął z westchnieniem.

- Zapewne.

- Nie rozumie pani.

- Ależ rozumiem, rozumiem. Nie ma co do tego wracać, nic pan na to nie poradzi. Jest, jak jest. Nagle się to na pana zważyło i proszę, oto efekt.

- Nie w tym rzecz, ja...

- Tak?

- Przegrałem panią.

- Słucham?

- Wcześniej, przysięgam, obstawiałem wszystko inne. Obstawiałem wszystko, co tylko mogłem wymyślić, stawiałem na pałace, środki płatnicze, szwajcarskie konta największych fortun świata, stawiałem na ambasady, czterogwiazdkowe dawne klasztory, najpiękniejsze maserati, narody, państwa, wszystkie państwa po kolei, wszystkie terytoria. Absolutnie wszystkie. Postawiłem nawet na stacje kosmiczne i ich satelity. I prom Challenger. Wszystko przegrałem. Postawiłem na Lawsons, postawiłem na Waterfulla i ich przegrałem. Postawiłem więc na samego siebie. I siebie też przegrałem. Wtedy - postawiłem na panią. I - panią przegrałem.

Zawrzała mi krew w naszych żyłach, złapałam go za kołnierz i szybko postawiłam na brzegu, bo wyglądał, jakby miał zaraz zatonać w swojej hańbie.

Dwa policzki. Prawy prosty w splot słoneczny. Pięcha w twarz.

- Jak mógł pan na mnie postawić, durniu?! To ja teraz do pana należę?!

O Durgo⁸⁹, o Durgo, poskromicielko Madhu⁹⁰, czczona w trzech światach, chwała tobie, zdobnej w czaszki, zdobnej w szkielety, chylę się do twych stóp, pokrytych zakrzepłą krwią demonów, po których depczesz, o Durgo, wywodząca się z rodu pastucha Nandy, pogromczyni demonów, siostrze Vasudevy⁹¹ strojnego w boskie festony, udziel pomocy twojej rozjuszonej czcicielce, o zabójczyni demonicznego bawołu, ty, która masz czworo ramion i czworo twarzy, ty, która nosisz bransolety barwne jak pawie ogony, o Durgo, o Kali, o wojowniczo, potężo Śiwy, okaż mi swą łaskę, powstrzymaj mnie, inaczej ich pozabijam!

- Co z pana programem?! Czyżby pan zapomniał, że jest sam? Że rozmawia z muchami, że bawi się z własnymi awatarami? Mam panu nakreślić pełen obraz? Stracił pan pamięć? Przecież ja z własnej inicjatywy zainstalowałam się w pańskiej głowie, kretynie. Nie stawia się w grze na kogoś, kto zainstalował się w pańskiej głowie. Naprzód!

Bez ceregieli popędziłam go do obozu, gdzie ten drugi nadal się wydzierał pospołu ze swoimi żalonymi pawiami.

- Cicho. Niech pan zostawi to ptactwo i posadzi tyłek na tym pieprzonym dywanie do gry. Musimy porozmawiać.

⁸⁹ Durga - bogini wojownicza, broniąca bogów i ładu kosmicznego.

⁹⁰ Madhu - demon.

⁹¹ Vasudeva - ojciec Kriszny.

- Mój Boże, zachowuje się pani jak Draupadi⁹².

- A ty, odludku, zamknij się!

- Słuszne słowa, pani major!

- Tak samo Lawson. Przez całe to gonienie po lasach, uważanie się za Bóg wie kogo, odstawianie nawabów, panów świata, radzów, satyrów i Ganesów, pada mu na mózg, Stevens. Nie prowadzi już nawet dziennika. Zatraca się w nieokreśloności, żyje jak księżę, śni na jawie. Wstawać!

Nie wolno panu: 1) Umrzeć samotnie pod stołem.

2) Rozpraszać się mentalnie.

3) Zgrać się do suchej nitki.

O wszystkim pan zapomniał, zaraz odświeżę pańską pamięć. A ponieważ do gruntu zdemoralizowała pana *Mahabharata*, pokażę panu coś, co pan zapamięta.

W tym punkcie swojej przemowy major z lampą Petzla na czole wstała i odmierzonego krokiem zeszła na brzeg Narmady, której wody wyraźnie wezbrały. Uroczyście rozwinęła sari (cokolwiek by zresztą twierdziła, ona także uległa osobliwej hinduizacji) i weszła do wody z dłońmi złączonymi na wysokości czoła. *Namaste*.

O Durgo, która dzierzysz koło, ostry półksiężyc, trójząb Śiwy, o Durgo z czołem opasanym czerwienią, o Kali, o Durgo, zabójczynie demonicznego bawołu, Durgo, o Durgo, o cnotliwa bogini, siło, wściekłości wyniosłej kobiety po tysiącokroć zniewolonej, o Phoolan⁹³ ukojona, wypuść swojego lwa na równinę, przywiedź twego tygrysa do bram doliny Narmady, do źródeł rzeki Narmady, nad pohańbione brzegi zdeptane niegdysiejszymi armiami rakszasa ogarniętego niepohamowaną żądzą rozgłosu, o Durgo, objaw się na wzgórzu, dzierżąc w swej mocarnej dłoni kij, swoje lathi, swój księżyc, automatycznego stena, objaw się i na nowo zaatakuj grasującego demona, który pustoszy trzy światy. Który spalił ziemię, który grasuje teraz w trzecim świecie i puka do bram bogów. O Durgo, sprawiedliwości, Pallas Ateno, wszechwiedząca pani wojny, otaczana czcią trzech światów, ześlij na twą ostatnią ludzką czcicielkę wizję, która rozbudzi Stevensa. O potęgo Śiwy, o Kali, poskromicielko Madhu, spraw, żeby przejrzał na oczy!

⁹² Draupadi - w Mahabharacie żona pięciu braci Pandawów, znana ze swej niezłomności, odwagi i niesienia pomocy innym z poświęceniem samej siebie.

⁹³ Phoolan Dewi - (1963-2001) pochodząca z kasty Shudra, znana jako „królowa bandytów”, kierowała własną grupą przestępczą.

Wtedy wody zawrzały i nad wzburzonymi falami podniosły się mgły. A w księżycowej poświacie upalnej nocy duchy przybrały postać dawnych żołnierzy bratobójczych wojen.

Stevens wybałuszył oczy. Znad rzeki i okrywających ją oparów rzeczywiście podnosiły się głosy i cienie wojowników poległych w walkach, zagubionych żołnierzy, zdrajców i niegdysiejszych sojuszników. Wiatr przywiewał ich zagmatwane historie, jak ta pod Kumkszetrą, kiedy furia dnia opadła i okryła trupy, a w powietrzu wciąż wisiały niczym tyfus wrogość i antagonizmy.

Słyszał, jak Kama złorzeczy i rozpoznaje Ardżunę, słyszał, jak Dara⁹⁴ żąda zdania rachunków, słyszał jak Kamilla⁹⁵ złorzeczy Rzymowi, słyszał Elżbietę i Draupadi, słyszał Wilhelma Zdobywcę⁹⁶ oraz innych, których nie znał.

Słyszał Kamę:

Nie chciałeś mnie pokonać, bo byłem *sudra*⁹⁷, nie widziałeś mojego blasku, mojej zbroi, nie zastanowił cię ciężar moich nausznic, widziałeś przed sobą tylko *sudrę*. Nie dostrzegłeś we mnie rysów twojej matki zmieszanych ze słońcem, widziałeś woźnicę. Twoja pogarda to jedyna strzała, która kiedykolwiek przeszła mój pancerz. Wokół tej drzazgi zbudowałem moje ciało wojownika, którego przeznaczeniem było cię zniszczyć, bracie mój, mój przyrodni bracie, opromieniony szlachectwem. Strzelisty jak cis, ulubieniec Kriszny, uważałeś się za szlachetny kamień, któremu pisana jest *dharma*⁹⁸, tymczasem byłeś tylko pionkiem w rozgrywce bogów, a ziemia skarżyła się na twój ciężar tak samo jak na mój. Przebiegłość twojego woźnicy odparowała mój gniew. Tam gdzie moja matka poniosła porażkę, podstęp twojego woźnicy odmienił przeznaczenie. Ale wiedziałeś, i Drona⁹⁹, który nas obu uczył, także wiedział, że moja siła i moja precyzja przewyższają twoje. O, Ardżuno. Twój rydwan zamienił się w popiół, kiedy twój woźnica go opuścił. Twoje konie padły

⁹⁴ Dara Shikoh (1615-1659) - najstarszy syn Szahdżahana, przygotowywany do przejęcia władzy po ojcu. Został zamordowany przez swego brata Aurangzeba.

⁹⁵ Kamilla z rodu Horacjuszów - wg tradycji rzymskiej trzej bracia Horacjusze z rzymskiego rodu patrycjuszowskiego za panowania Tulliusa Hostiliusa (VII w. p.n.e.) w walce z trzema braćmi Kuriacjuszami rozstrzygnęli wojnę między Rzymem a miastem Alba Louga. W pojedynku ponieśli śmierć wszyscy Kuriacjusze i dwaj Horacjusze. Zwycięzca zabił siostrę, rozpaczającą po śmierci swego narzeczonego, jednego z Kuriacjuszów.

⁹⁶ Wilhelm Zdobywca (1028-1087) - książę Normandii i król Anglii od 1066; zwycięzca w bitwie pod Hastings. Stłumił bunt możnych anglosaskich i konfiskował ich dobra, które oddawał w lenno rycerzom normandzkim.

⁹⁷ *Sudra* - najniższa spośród czterech warstw społecznych w Indiach. Przeznaczeniem sudrów było słuzenie trzem wyższym warstwom społecznym.

⁹⁸ Dharma - w hinduizmie - norma postępowania nakazana przez tradycję i wynikająca z ładu kosmicznego, zacność, prawo.

⁹⁹ Drona - mistrz sztuk walki, guru, nauczyciel Kaurawów i Pandawów.

martwe, kiedy dotknął stopą ziemi w obozie zwycięskich Pandawów. O, Ardżuno. Podziurawiłem cię tysiącem strzał o ostrych grotach, poległeś od nich, w deszczu moich strzał twoje ciało wydało ostatnie tchnienie na klęczkach, na ziemi Kurukszetry, gdzie obciąłem twoją głowę, mokrą od łez. Z respektem. Gdyż drzazga twojej pogardy nie urosła w moim sercu.

- Pozwoliłeś, bym gnił w więzieniu.

- Ojciec wołał ciebie. Odzywałeś się do niego zuchwale, a on obdarowywał cię rachatlukum i ze śmiechem znosił twoje impertynencje. Ja byłem prawy i pobożny, ty zmieniłeś wiarę, sufi odwiedli cię od twych obowiązków.

- Zostawiłeś mnie na wygnaniu w Damaszku. Assad obsypywał mnie złotem, ale nie dopuszczał śledczych ONZ. Kiedy ty bawiłeś się w Oksfordzie, ja studiowałem Koran.

- Akurat. W więzieniu w Islamabadzie jadłeś smażoną wieprzowinę niewiernych. Utrzymywałeś cały harem młodych chłopców, a braciom nakazywałeś żyć w czystości, twoi poddani zdychali z głodu w ruinach twoich pałaców, dla rozrywki strzelałeś z pancierzownicy do szczurów.

- Obstawiałaś policją dom naszej matki, nie pozwoliłaś jej pomodlić się na grobie męża, żeby dziennikarze zapamiętali tylko twoją żalobę i wierność. Trzech rannych w pałacu, z twojej winy, siostró, a ty nie dałaś rozkazu, żeby wpuszczono karetki pogotowia, trzech zabitych.

- Siedziałaś na białym słoni, w złotej zbroi, byłaś mistrzem sztuk walki i niektórych tajemnych broni - wszyscy wiedzieli, że Indra¹⁰⁰ podarował ci swą włócznie - jak mogłem myśleć, że przybywasz bez wojowniczych zamiarów? Z tyłu twoja armia grała na rogach, jak mogłem myśleć, że nie przybywasz po to, by ze mną walczyć?

- Oszukiwałaś w krykiecie.

- Manipulowałaś matką, nie mogłem z nią już porozmawiać, żeby nie kiwała głową z

¹⁰⁰ Indra - w mitologii indyjskiej król bogów, ideał wojownika.

domyślną miną, milcząca, powściągliwa, czekając, aż zasięgnie twojej opinii, by się wypowiedzieć, jeśli przypadkiem zadałem pytanie. Gdzie w tym roku spędzimy Gwiazdkę?

- Chciałeś rządzić zamiast ojca, Sidhavia. Uważałeś, że jest tchórzliwy i słaby, zawierałeś sojusze wymierzone przeciwko niemu, pod dachem jego pałacu, przekupywałeś służbę.

Kiedyś na posiedzeniu Rady, pewien swego autorytetu, powiedziałaś, że jest nikim. To słowo utkwiło mi w pamięci. To słowo rozbrzmiewało mi w uszach, kiedy posłałem czołgi do twojej letniej rezydencji.

- Chciałeś władzy dla własnego potomstwa, szczyliłeś się swoim synem, jakby już był następcą tronu, gdy tymczasem to mnie się on należał prawem starszeństwa. Organizowałeś doroczne ceremonie i obsypywałeś swych teściów zaszczytami, które stawały się twoimi. Jak mogłem myśleć, że nie działasz wyłącznie na własną chwałę? Jak mogłeś myśleć, mnożąc prowokacje, że nie dojdzie do wojny? Jak mogłeś opiewać ród, kiedy nim gardziłeś?

Twój sposób gry w ping-ponga, w bilard, w szachy był nieelegancki. Twój umysł był wyrachowany i małostkowy. Swoje wojny, zawsze sojusznicze, przygotowywałeś długo i skrycie. I trzymałeś się w cieniu, dopóki nie byłeś pewny zwycięstwa. Nieudane pucze zwałaś na konto swoich ministrów. Kto był więc tchórzem i manipulatorem? Kto z nas, spośród naszego rodu, postępował wcześniej w taki sposób, z kogo brałeś przykład? Z któregoż to próżnego i bojaźliwego krętacza? Z jakiego rodzaju człowieka gotowego podzegać do najgorszych zdrad, ale niezdolnego stanąć w szranki z odkrytą przyłbicą? Płaszczyłeś się strachliwie przed pierwszym lepszym żandarmem z lancą u pasa albo nożem w turbanie. Nie musiał nawet zażądać, a ty już kłaniałeś się przed nim w pas. Tak, twoje wojny były wojnami dworskimi! Opartymi na szantażu, przygotowywanymi w komnatach kobiecych, pod opieką eunuchów, wojnami skrytobójcy i sprzedawczyka. Jak w tych warunkach mogłeś ogłosić się prawdziwym królem i uważać, że słusznie ci przysługują sakra monarsza i tron, który sobie przywłaszczyłeś? Zdetronizowałem cię nie po to, by odzyskać władzę, lecz by cię zniszczyć. Tak jak z chorego ciała usuwa się zepsuty organ. To królestwo, którego pożądałeś, było ciasne i nie mogło mi wystarczyć. Po twojej klęsce nie sprzedałem go, aleje oddałem. Ziemię, pałace, rezydencje razem z wszystkimi twoimi sojusznikami, z królową, z ojcem, który według ciebie był nikim, i przyległościami, wszystko oddałem. Zostawiłem. I żałowałem celności ciosu mojej włóczni, bo nie było już ciebie, by

usankcjonować ten pogrom.

- Wmieszałaś się w męską wojnę, Elzbieto. Dostarczyłaś tubylcom środki, które pozwoliły im pokonać nas na własnym terenie, znieważyłaś Koronę, sprzeciwiając się moim rozkazom, samowolnie oceniłaś trzystuletnią historię, tak jakby była źle skrojonym ubiorem. Skąd w tobie ta arogancja, to prawo postępowania wbrew interesom własnej krwi?

- A skąd w tobie, Karolu, ta pewność, że wolno ci się mi sprzeciwić? Jak wykuła się idea sprawiedliwości w twoim umyśle? Czy zbyt wiele żądałam, oczekując od ciebie lojalnej walki, na terenie o jasno wytyczonych granicach, równorzędną bronią? Niech ta kula krykieta, która spowodowała twoją zgubę i przemianę, jeszcze raz ci się przyśni i niech ci stanie w gardle, gdyż należałoby ją znowu odbić, drogi bracie.

- Dlaczego nie zadowoliliś się ziemiami Italii i tytułem cesarskim, Lotarze? Dlaczego musiałeś intrygować i podjudzać wnuka, by postąpił wbrew woli swego dziadka? I tym samym zdziesiątkować wielkie rody Akwitanii i doprowadzić do tego, że tak jak ty, brat zabił brata? Kuzyni, krewni, zbrojna szlachta cesarstwa połączona więzami krwi i małżeństwa, znalazła śmierć na polu bitewnym. Pod twoimi rozkazami jak pod lnianym całunem ich ciała usłały rozmokłą ziemię pod Fontenoy¹⁰¹ i żywiły się nimi ptaki. Możesz wziąć na siebie taką odpowiedzialność? Karol Łysy, Ludwik i Pepin też cię pytają: czy byłeś pionkiem w rozgrywce bogów, czyżby nasze panowanie znalazło się nad skrajem przepaści Kali?

- Edward ci ufał, ja ci ufałem, o Haroldzie, mój przybrany bracie. Bękart Wilhelm ci ufał. Do końca nie mógł uwierzyć w twoje wiarołomstwo, dopóki Londyn nie rozbrzmiał echem uczt i turniejów na cześć twojej koronacji. Haroldzie, zdrajco pamięci własnego króla, sam zdradzony przez swojego sobowtóra Haralda, króla Norwegii, nie wziąłeś pod uwagę Normanów. To z twojej winy Bękart stał się Zdobywcą. Ty go wyniosłeś, trwa na wieki pod wzgórzem Hastings¹⁰² i atakuje twoje oddziały konne, jego włócznie przeszywają ciała twoich Anglików, to dowódca wikingów, który działa podstępnie jak Horacjusze w stosunku do Alba Longi.

¹⁰¹ Bitwa pod Fontenoy (25 czerwca 842). Po śmierci cesarza Franków, Ludwika Pobożnego, o władzę ubiegali się jego trzej synowie. Lotar został pokonany przez połączone wojska braci - Ludwika Niemieckiego i Karola Łysego.

¹⁰² Bitwa pod Hastings (14 października 1066) - była decydującym starciem w inwazji Normanów na Anglię, pomiędzy wojskami Normanów pod dowództwem Wilhelma Zdobywcy a pospolitym ruszeniem anglosaskim pod dowództwem króla Harolda II. Zwyciężył Wilhelm.

O Albo! O wściekłości!
Wybacz moje cierpienie i zrozum ból wszelki
Człek każdy by oszalał w nieszczęściu tak wielkim.
Styks jest wszędzie, gdzie tylko jaka woda płynie.
Rzym czarny swoje córę swata swoim wrogom,
Rzym swym bliskim daruje jeno rozpacz srogą¹⁰³.

- Rzym, tępy i wulgarny sukcesor tych *fucking Greek*, wydał na świat syna, który był bratem, który był żołnierzem, który był kanalią. Niechaj na głowy Rzymian spadnie wieczna tułaczka, niechaj go najadą barbarzyńcy zza mórz, satrapowie, Wandale, niechaj nie pozostawią kamienia na kamieniu, bo wzniesienie miecza, unicestwienie to za mało: *I put a spell on you*, Horacjuszu.

Dlaczego chciałeś głowy Dary na srebrnej tacy, jego białej głowy z wypielęgowaną brodą, jego głowy pełnej gwiazd, *ghazal* i wina? Aurangzeb, czy możesz na to odpowiedzieć? Uważałeś swego brata za heretyka, czyżby był aż tak niebezpieczny, że musiałeś dostać jego głowę na srebrnej tacy, że musiałeś spustoszyć świątynie i przywrócić podatek *dżizja*¹⁰⁴, że musiałeś pozbawić ludzi radości wcieleń. Czyżby ci się wydawali zbyt szczęśliwi?

- Czyżby pałac Pandawów¹⁰⁵ na zatrutych ugorach, ich pałac był zbyt piękny, Duryodhano¹⁰⁶? Obrażał cię? Czyżby ich kobieta, *Duhśasano*¹⁰⁷, była zbyt piękna, czyżbyś jej pożądał?

Czy kiedy wlokłeś mnie za włosy w Sabie, wrzeszcząc, że jestem niewolnicą, ładacznicą, kucharką i kocmołuchem, kiedy zdierałeś ze mnie sari, żeby obnażoną wydać na pastwę wzroku obecnych tam monarchów i mędrców uczonych w *dharmie*, czy wtedy szczytowałeś jak cap? Czyżbyś potrzebował mojego poniżenia, by poczuć krew napływającą ci do członka, czyżbyś był żalonym impotentem?

Czy tylko żałowałeś, żeś się urodził z okrągłego dzbana, drugi ze stu ziaren dojrzałych we wstydzie, zaledwie drugim z Kaurawów?

¹⁰³ Fragment *Horacyusza* Pierre'a Corneille'a w przekładzie Hanny Igalson-Tygielskiej.

¹⁰⁴ *Dżizja* - podatek pogłówny, nakładany na innowierców w krajach muzułmańskich.

¹⁰⁵ Pandawowie i Kaurawowie - *Mahabharata* opowiada o współzawodnictwie dwóch rodów, zakończonym osiemnastodniową, wyczerpującą bitwą na polach Kurukszetry.

¹⁰⁶ Duryodhana - najstarszy syn króla Dhritarashtry, z rodu Kaurawów, przywódca Pandawów.

¹⁰⁷ Duhśasana - jeden z braci Kaurawów.

- Dopiero ogień, Ramo, zdołał cię przekonać o mojej wierności. Tysiące lat później mężczyźni gardzili kobietami, które nie rzucały się na stos, kobiety sięgnęły po broń i wystąpiły przeciwko tobie, naznaczone czerwonym stygmatem krzywdy w rodzinie, zabijały swych podejrzliwych kochanków, dusiły swoich nowo narodzonych synów, zajęły stanowiska na wzgórzach i, medytując, uzyskały boski oręż. Miotacz płomieni, stena, granatnik, bombę atomową. A ponieważ mężczyźni, biorąc wzór z ciebie, uważali się na ucieleśnionych bogów, kobiety w czwartym świecie ich zniszczyły.

- Potworne!

- Co?

- To wszystko! Te ich tyrady są obrzydliwe. Żadne z nich nie żyje, a wciąż rzucają sobie w twarz te historie! Czy to się nigdy nie skończy?

- Tak, to smutne.

- A przede wszystkim sprzeczne z *Mahabharatą*. Zwykle kiedy Wjasa przywołuje dusze zmarłych, wszyscy się całują i opowiadają o kraju z miłością i dobroduszością. Nikt nawet na chwilę nie powstanie z królestwa Jamy z ustami nabrzmałymi jadem urazy.

- Otóż to. Tak jak nikt nie przekazuje kłopotliwego tematu zbrodni lub ponurego sekretu rodzinnego z pokolenia na pokolenie w cywilizowanej formie symptomu wahającego się od swędzącej wysypki po suchoty. Stevens, będzie pan musiał zmoczyć włosy i wylać sobie trzy litry oliwy na głowę. Słyszał je pan. Sześćdziesiąt tysięcy dusz pana człowieczych przodków domaga się, by je obmyć z prochów i pogrążyć w zapomnieniu.

Dla major sprawa była jasna. Uwięzione w falach antyczne głosy, które przywołała, zostaną uwolnione od urazy, kiedy Narmada zostanie uwolniona od *thirty big dams*, wytyczających jej bieg.

Number one: najstarsza, Bargi.

- Po drodze odwiedzi pan dzielnice nędzy w Dżabalpurze, zobaczy stan blaszanych baraków wysiedleńców, a tysiące dusz bez ziemi, które pan napotka, odprowadzą pana aż do Morza Arabskiego, ukazując w szerokim uśmiechu obnażone zęby.

2) Tawa

3) Indira Sagar

4) Maheshwar

5) Sardar Sarovar

Woda wyniesie na powierzchnię zagrzebane w mule zwłoki, będzie pan miał u swych stóp tłumy, kości w wirze wodnym grzechotać będą jak cymbały. Przewiduję, że pańskie

wyczyny ukoronuje deszcz kwiatów. Do dzieła! Tragedia już się dokonała, teraz pozostaje ją tylko opisać.

Ale Stevens, podobnie jak praprawnuk Dag-Boga i Sagary, chciał mieć czołg.

Cały pozłacany i zaprzężony w siedemdziesiąt koni mechanicznych pod gąsienicami. Z dziesięciometrową wieżyczką strzelniczą, na szczycie umajoną girlandami jaśminu.

To Indie - *everything is possible* - tak go zbałamuciły. Wykorzystywał ich fragmenty i bohaterów niczym dworzan, dla własnej przyjemności gotowych na wszystko. Obiecywał wkoło łąpówki, jeśli w jak najszybszym terminie zostanie dostarczony jego rydwan słonecznego wojownika. Żadne racjonalne względy nie skutkowały. To, że czołg nie zdoła rozwinąć szybkości większej niż osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, i tym samym jest matematycznie niemożliwe, żeby z zaskoczenia wyprzedził wezbraną rzekę, nie było argumentem zdolnym go powstrzymać. Zanurzwszy stopy w piaszczystym dnie Narmady u jej źródeł, w sercu płaskowyżu Amarkantak, kiedy dziesięć tysięcy głosów ucichło na jedno wezwanie i sam księżyc spoglądał na niego wrednym okiem, ostatni wolny człowiek, w którego mocy było zneutralizowanie niewłaściwych postępów jego braci, obstawał przy swoim kaprysie.

Wolno mu było zabrać z sobą wypchanego tygrysa radży, mogolskie miniatury zrabowane w muzeum Tadź, prezerwatywy Ganeśy, swój królewski inkrustowany *shilom*¹⁰⁸ i cały zestaw moskitier, ale to mu nie wystarczyło. Ponieważ przypadło mu w udziale być infantem lub cesarzem i jego zadaniem było oczyszczenie Odrażającej Stacji, uważał, że czołg nie jest wygórowanym żądaniem. I to czołg nie mały, tylko wielki.

Przez piętnaście dni pertraktował.

Podawano mu wywar z dału i pulchne bułeczki domowej roboty wraz z najsmaczniejszymi korzeniami. Co wieczór małpy, biegając po jego nagich plecach, masowały go. Czerpiąc z kuchennych zapasów oliwy, organizował mecze pawia ślizgacza, które rozgrywane były w drużynach po piętnastu zawodników i kończyły się wrzaskami wysmarowanego ptaka rozciągniętego na ziemi i na koniec schwytanego bądź na lasso, bądź jak w angielskim rugby za nogi. Pokonany uczestnik zostawał niezwłocznie oskubany z piór i usmażony na ognisku. Stevens nazywał to „Wystawną Biesiadą Sportową”.

Z wiosek rozsianych na wzgórzach Saptura przyniósł maty oraz wypłatane łóżko i ustawił je na placu, na którym grał w kości i wszystko przegrał. Tylko czy o tym jeszcze pamiętał? Siedząc po turecku na sznurkowym wyrku, nieustannie spierał się o właściwy

¹⁰⁸ *Shilom* - krótka fajka używana do palenia narkotyków.

odcień złota, którym powinien zostać pokryty jego czołg.

Kiedy zapadała ciemna noc i w głębi dżungli Amarkantak rozlegał się ryk tygrysa, Waterfull korzystał z okazji i opowiadał mu o tych wielkich drapieżnikach, które były dawnymi złymi uczynkami. Mówił mu, żeby zachowywał ostrożność i ustawiał się zawsze frontem do polującego tygrysa. Który w słońcu mruczy na dolnych gałęziach drzewa tipalu, a potem któregoś dnia, sprężysty i milczący, postanawia z niego zejść i skacze ci do gardła. Z tym większym okrucieństwem, że te, które grasują teraz na swoich odzyskanych terenach, zachowały żywe wspomnienie klatek oraz decyzji, które je w nich uwięziły.

Stevens wyciągał spod łóżka pistolet maszynowy i sprawdzał trzydzieści naboń 10 mm Auto w magazynku.

Waterfull opowiadał dalej. Ardżuna był jedynym, który potrafił złożyć broń, którą rzucił do boju. Żeby zneutralizować jakiś dawny zły uczynek, należy zrobić drugie tyle i zastosować, czasem w mgnieniu oka, długotrwałą przemoc, która legła u jego podstaw. *Thirty big dams* mają na swym koncie sześćdziesiąt tysięcy hektarów lasów, które zostały przez nie zniszczone, oraz miliony ludzi, których skazały na wygnanie. W delcie Bharuć wyginęły hilsy i ogólnie ryby wędrownie. Ale mniejsza o to, u źródła nic nie widać.

- Napije się pan jeszcze tej słodkiej herbaty? - Siornęła major.

Waterfull posępnie rozmyślał. Czołg mimo wszystko nie był żądaniem zbyt wygórowanym. Na polu Kurukszetra byle dureń miał własny lśniący rydwan, cztery konie i woźnicę.

- Słuchaj, Stevens, nic pan nie musi. Może pan tak latami sterczeć na jednej nodze w pozycji zamkniętego lotosu, nam to wisi. Ale kiedy usłyszysz pan echo bratobójczych walk, w pana nowym programie znajdzie się cierń.

Zaczęły się morały, i to trafiające do przekonania, ale wszystko, co uzbierało się w nocy, świt rozpraszał jednym ruchem swego złocistego palca. Narmada rankiem była tak piękna, przystrojona tysiącem świateł, była taka, jaką zobaczył Rawana¹⁰⁹ - młoda promienna kobieta pochłonięta wijącym się, zmysłowym tańcem. Brzegi, umajone kwiatami parijaty i bajecznymi krzewami gorejącymi, dostarczały oprawy dla jej przejrzystej nagości. Na cześć poranka wiatr zwiewał z nabrzmiałych kwiatów połyskliwy pyłek i okrywał boki swej ukochanej, o Narmado, obłokami purpury, której zwiewne woale ją obnażały. Na jej biodrach przepływały białe gęsi i z gęganiami dryfowały niczym bransolety przy kostkach. Nucąc, na

¹⁰⁹ Rawana - demon, który uprowadził żonę królewicza Ramy, Sitę (wątek *Ramajany*).

plażach obmywała swoje lingamy¹¹⁰, otwierała kwiaty lotosu wyczulone na pierwsze promienie światła, otrząsała się w pianie z senności i przeciągała się, długa, biała i złocista, aż do pierwszego zakola, które zakrywało ją swym listowiem. Rawana wsuwał się do jej łoża jak do łoża upragnionej małżonki, Stevens zaś zapominał o słoniach i jak nóż w oselkę masła zanurzał się w swą piękną, wciąż odnawiającą się kochankę.

Świt złocistym palcem rozwiewał udręczone demony i przypominał Stevensowi, że nic pożytecznego się nie działo bez bogato ozdobionego czołgu - *India!*

To Lawson znalazł sposób. Łania go porzuciła, tak przynajmniej twierdził, wracając wieczorem do obozu.

- Nie przyszła, podaj mi *shilom*. Życie to nie dywanik modlitewny.

Ale następnego dnia znowu poszedł i wszyscy myśleli, że przetrząsa zarośla. Tymczasem wcale nie. Lawson postanowił ruszyć do działania. I kiedy pertraktacje wzbijały tumany kurzu nad wyplataną pryczą, on przeszukiwał pełne wszelkiego dobra kramiki Atari i na całe dni zamykał się w urządzonym na poczekaniu hangarze apache'a. A potem któregoś ranka, tuż przed świtem, pociągnął Stevensa za przepaskę na biodrach i zaprowadził pod drzwi hangaru.

- Przemówił do mnie Brahma¹¹¹. Podobno nic nie działasz bez odpowiedniej oprawy, więc do dzieła, otwórz drzwi i padnij ze zdumienia.

Razem ze świtem Stevens wkroczył do szałas z bananowca i ujrzał helikopter, który tu postawił w poprzednim wcieleniu, nastroszony jak kura zapędzona do króliczej klatki.

Lawson od a do zet go przemalował. W odcieniu białego złota Pałacu Letniego.

- A co to takiego?

- Twój nowy czołg, dawny apache. Nazywa się Puspaka i teraz jest rydwanem.

- Przecież to helikopter, za kogo ty mnie masz?

- Za idiotę. To niebiański rydwan i przysłał go Brahma, żebyś wreszcie ruszył tyłek i zajął się czymś innym niż tarzanie się w trawie i jęczenie, że cię coś ukłuło.

Puspaka, to mu się spodobało. Dwie godziny później wylądował pośrodku obozu i skosił drzewo, posyłając przez pomyłkę mały pocisk rakietowy.

Przynajmniej płozy nie pokleiły się od farby.

- Na pokład! Czymś takim jednym skokiem znajdziemy się na Sri Lance, w dziesięć

¹¹⁰ Lingam - stylizowany symbol falliczny, reprezentujący męskość, żywotność, siłę twórczą. Jest emblematem boga Śiwy.

¹¹¹ Brahma - hinduski bóg, stwórca świata, pierwszy nieśmiertelny, z niego narodzili się prorocy, demony i inni mieszkańcy świata.

minut trzykrotnie okrążymy świat, przebedziemy siedem mórz, nie zdążywszy nawet sapnąć uff! Ruszać się!

Oliwa, drewno sandałowe, miniatury, et cetera, zostały błyskawicznie załadowane i Lawson, który wpadł na pomysł z Puspaką, zajął fotel głównego kanoniera. W butach, w rękawiczkach, ubrany jedynie w niebieskie slipy, które stawily opór odzieniu z kory. Ach, nie. Na szyi miał także wisiołek: kępkę biało-rudawej sierści z podbrzusza łani w uchwycie trzech srebrnych pazurów.

Bardzo szykowne.

Według planów major Echampson obiektem ataku *number one* była seniorka Bargi.

Rydwan w oka mgnieniu dostarczył ich do celu. Na jego widok tama skuliła się w posadach. W kabinie na dwie sekundy zapadła cisza, powitała zastygłego nieprzyjaciela i równie nagle prysła. *Salam*.

Bargi nie stawiała długiego oporu. Zeszłoroczny monsun dogłębnie ją nadwyrężył, z góry na dół po przekątnej naporu przecinała ją gruba szczelina. Dwa pociski rakietowe, po jednym z każdej strony, wystarczyły, żeby zburzyć resztę. Brum. Buch. Woda z umiarkowanym impetem ruszyła w stronę Hoshangabadu. Ale minawszy zakole pod Dżabalpurem, szybko zaczęła wzbierać i zakotłowała się od wirów odśrodkowych. Z wysokości Puspaki wyglądało to jak gigantyczne sianokosy połączone z ługowaniem i przekopywaniem ziemi. Na programie 8. wrywała i miesiła ociekające mułem brzegi, wygotowywała bawełnę. Wypłoszone z gniazd ohary dały sygnał rozpoczęcia walki i wkrótce dolinę wypełniły ogłuszające mściwe krzyki. Major poderwała apache'a nieco w górę. Zobaczyli, jak Narmada znika pod drugą rzeką miotaną podskokami i gwałtownymi zmianami kierunku; były to gęsi pospołu z oharami, kurkami wodnymi, czajkami, jerzykami, ibisami, rybitwami, żołąkami, mewami, kosami i sójkami, perkozami, kormoranami, czaplami siwymi, łyskami, złotosłonkami bengalskimi, rybołowami, krogulcami, sokołami wędrownymi i czubikami krasnolicymi.

Licniejsze od szpakowatych migrujących na Wielkie Równiny amerykańskie, liczniejsze od strzał Ardżuny wypuszczonych z jego łuku, Gandiwy, bardziej różnorodne, bardziej szalone od wszystkich Hindusów razem wziętych, od zarania dziejów zamieszkujących tę dolinę, zasłaniały widok na rzekę milionem skrzydeł.

Na wysokości Shakkaru i Siterawy w powietrzu zapachniało kurnikiem. Deszcz odchodów opadał na spokojne jezioro, słyhać było uderzenia ciężkich kropli, a poprzez podmuch łopat helikoptera - papierowy szum skrzydeł, po dwakroć milionowych.

Skręt w lewo: Shakkar, skręt w lewo: Siterawa. Skręt w prawo: Barna.

Helikopter podskakiwał nad ptakami, które podążały głównym nurtem, nie bacząc na dywersje. Nie przeszkadzały im wybuchy. Jakie wrażenie może zrobić na dziesięciu milionach ptaków w locie zwanie trzech pięćdziesięciometrowych tam na dopływach rzeki? Żadnego. Wody wzbierały. Porwały Hoshangabad, którego schody potoczyły się w odmętach nastroszonych piór.

Skręt w prawo: Kolar Baraz, Kolar. Pokonane prostym sierpowym.

Major przygotowywała duchowo Lawsona do trzech najbliższych ciosów. Indira Sagar - na odlew w twarz. Maheshwar - w szczękę, Sardar Sarovar - hak i na deski. Omanie, Omanie, oto twoja kochanka! Ale ptaków przybywało. Przyzywały brzegi, przyzywały niebiosa. Na sto osiemdziesiątym kilometrze, za Hoshangabadem, zaczęły im odpowiadać z wysokich brzegów mały. Krzyki langurów, krzyki makaków, krzyki orłów bielików w kipieli. Rzeka ptaków wystąpiła z brzegów i zalała las, las wystąpił z brzegów. Niczym armia Hanumana w lasach miodły indyjskiej ptasia drobnica przeleciała z piskiem nad chmurą wiewiórek na ogromnych figowcach, nad ogromnymi figowcami oblepionymi chmurą rozpusznych wiewiórek. Ziemia pociemniała jak niebo przed burzą. Z wysokości Puspaki major interpretowała to zjawisko meteorologiczne na wspak jako Kali juga¹¹², wiek Kali, godzina zniszczenia.

- Włączam radar. Cel zasłaniają pióra. Blokada widoczności. Dwa kilometry. Strzelamy w ciemno?

Z niezrozumiałych powodów zasłona ptaków rozstąpiła się nad ogromną tamą Indira Sagar.

- *Nobody*, ognia!

Salwa pocisków raketowych z płaską głowicą, salwa pocisków raketowych z okrągłą głowicą udarową. Wyposażony przez Brahmę niebiański rydwan, plując ogniem ze wszystkich otworów, poderwał na nogi sprzedanego rządowi olbrzyma Sagara i powalił go w ryczące fale.

Następny, proszę.

Lepianki z placu budowy zdmuchnęło u jego stóp, a potem prześwit wśród ptaków z powrotem się zamknął nad pierwszą zatopioną blizną. Niżej Omkareshwar wylał do wody swoje barwniki i modlitwy. Erupcja wód wyrzuciła czerwoną maczugę Hanumana powyżej lecących ptaków, które powitały ją gromkim: Rudra¹¹³! I poniosły na swoim trzymilionowym

¹¹² Kali juga - w kosmologii hinduistycznej czwarta część maha jugi (czasu wszechświata), wiek żelazny, „wiek kłótni i hipokryzji”.

¹¹³ Rudra - hinduski bóg czasu i śmierci, uzdrawiania i leków, burzy, a także całej przyrody.

krzyżu aż nad Maheshwar. *Flash-bow* Lawsons był napięty do ostateczności. Zwolnił cięciwę z uczuciem, że oba jego palce na łuku poszybowały wraz ze strzałą. Cztery salwy za jednym zamachem.

Maheshwar był niewidoczny spod piór.

Na żywej równinie Nimad ścięte lasy uniosły głowę jak trzciny w podmuchu rozszalałego wiatru. W dół rzeki, w dół rzeki! Naprzód, niesione w gęstej mgłę chrapliwych krzyków, mewy ruszają do ataku. Obudź się, Maanie, obudź się, Jobacie, ślizgając się brzuchami po falach, ruszamy na Sardar Sarovar, to nie bratobójcza wojna, to koniec Podziału! Powstańcie, umarli, potrząśnijcie kośćmi w wodnych wirach, wesprzyjcie się na swych kościach udowych, przyślijcie swoje wygolone czaszki i szkielety waszych świętych krów, nastał dzień grabieży.

W ostatnim przesmyku wód masa ptactwa, płynnie jak prąd powietrza, rozdzieliła się środkiem i ukazała pasażerom Puspaki groźną postać rozgniewanej Narmady. Major natychmiast skierowała helikopter w powstałą szczelinę i omiatając wzburzone fale, które były już tylko jedną wielką pianą i ślełą furią, posadziła go na podmuchu znieważonej bogini.

- Ognia! Ognia! Ognia!

- Ognia z obu burt!

Sardar Sarovar u ujścia Narmady pękł jak dojrzały owoc.

Żelbeton spłynął na jej rozchylone wargi, na jej zęby, na jej język.

Jej zaciśnięte szczęki miażdżyły pestki transformatorów i rozłożyły koronę w soku trawiennym. Pękając, korona opryskała brzegi, jej zmielony, roztarty na miazgę, stopiony miąższ zniknął w ślinie olbrzymki, która żarłocznie go przełknęła wraz z ostatnim kłapnięciem szczęk i głośnym beknięciem.

A potem były już tylko występy. Cymbały, uroczystości, biesiady, okadzanie słoni, proszek sandałowy na wszystkich czołach, niskie pokłony, korowody, śpiewy & bicie w bębny.

Narmada rzuciła się w Morze Arabskie z całym impetem nowo odzyskanej młodości. O mój nadobny kochanku. W Puspacie zdążyliśmy jeszcze usłyszeć, jak, krzycząc z radości, wrywa Bharuć ze swej delty, ale to wszystko; resztę okrywała zasłona ptaków.

W Bombaju - teraz, Stevens, potrzebny ci jest samolot liniowy - słonie stąpały na molo po grzbietach szczurów.

Z wyżyn swojej wytwornej rezydencji na Malabar Hill Stevens obserwował plażę Chowpatty i trzyhektarową chmurę, która oskrzydlała drapacze chmur i spychała je do zatoki.

Zaraz będzie padać.

W kurtce ściągniętej na brzuchu, z gołym torsem, oparty plecami o stuletni tamaryndowiec największej milionerskiej willi na Malabar Hill, Stevens poci się, nic nie robiąc, czekając na deszcz.

Jeśli dokucza wam klimat, wykąpcie się. To was ochłodzi.

Ale basen był czarny od komarów.

Nie szkodzi, zaraz będzie padać.

Wiatr od lądu przynosił wyziewy z rynsztoków Bombaju aż nad błotnistą Black Bay. Ze swego stanowiska pod tamaryndowcem Stevens widział łuk Marine Drive, wieżowiec Air India i w oddali kulący się w obliczu zagrożenia fragment Colaby¹¹⁴.

Niechże wreszcie lunie! Od jak dawna nie padało?

Przełot nad miastem od strony Vasai przyprawił go o nerwowość. Sześćdziesiąt kilometrów z południa na północ w odorze zarazy, niebieskie plastikowe dachy domów z tektury uczepionych popękanych ścian budynków publicznych, bazy, zawałone *chawls*¹¹⁵, poczerniałe pranie, łopoczące na kilometrach przypadkowych sznurów jak poszarpane latawce, ospowaty beton rezydencji, lepianki, rudery, bulwy zielonego asfaltu, meczety, szafranowe sztandary, samochody, autobusy, spojone z sobą w tym odorze zarazy i wciąż jeszcze unoszącym się w powietrzu smrodzie ludzkiego moczu przyprawiły go o nerwowość. Mógł zająć apartament w Tadz, tym wielkim wiktoriańskim torcie o brudnej podstawie, mógł rozbić obóz u wrót Indii pod gołym niebem, mógł zaanektować Muzeum Księcia Walii lub zafundować sobie cały hotel w dzielnicy garnizonowej, ale Puspaka wypluł go na starannie utrzymany żwir posiadłości rodziny Tata na Malabar Hill. *Welcome to Bombay*.

Stąd zobaczycie zasięg zniszczeń.

Poza tym to tylko jedna noc, prawda?

Zresztą te wszystkie Tadge wychodziły mu już bokiem. Od kiedy zobaczył w Aurangabadzie, jak ten należący do Aurangzeba, cały w sztukateriach i do cna sfatygowany zawala się pod naporem drobnego tornada, wtedy uznał, że mauzolea miłości są rozczarowaniem niewartym odwiedzin.

¹¹⁴ Colaba; Dharavi - dzielnice Bombaju.

¹¹⁵ Chawl - kilkupiętrowy budynek z małymi, najczęściej jednopokojowymi mieszkaniami.

Tutaj przynajmniej słyhać było tylko echo głosów zegarków Lanvina, Diora, białego Mercedesa Oldtimera i władców stołowej oliwy. Genialne. Ledwie szept, który utonął wraz z ostatnią chmarą komarów w basenie o zamazanych kształtach. Litości, żadnych rupii, *sahibie*, życie przecieka mi przez palce, żadnych trędowatych. Żadnych szczątków, żadnego ciała, żadnych ciał okrytych łachmanami, żadnych szalonych prostytutek, wyswobodzonych sierot, żadnych kalek bez nóg, jednorękich, żadnego głodu. Całe misy kokainy.

Kreskę, Stevens?

Czemu nie.

I rozpętała się burza.

Zaanonsowana baletem różowych flamingów i krzykami wielkich czapli wracających do gniazd, ulewa niczym kotara z koralików opadła zniecka na zatokę, ogłuszając palmy butelkowate, *Mascarena lagenicaulis*. Porwane szamańskimi torturami wiatru, miotają się wzdłuż Marine Drive, krzycząc, że ciasne donice ich nie utrzymają, potrząsając swymi długimi ramionami oblepiającymi pnie. Z centrum Bombaju, z Cumballa Hill, z Malahaxmi, z Byculla, Tardeo, Tarvadi dobiegał klekoczący łopot papierów i blaszanych straganów, ugodzonych gorącymi pociskami Wielkiej Sikaczki. Zapędzone w ślepe uliczki bazaru nędzy w Dharavi zwierzęta kęsały ze strachu bele zbutwiałej bawełny i puszczały wiatry natychmiast porwane, wymieszane, poniesione przez kilometry blachy-tkanin-błota-materii ku zatoce i otwartemu morzu. Na ich drodze zgniecione latawce na nowo ożywały, nadymały skrzela. Na budynkach dygotały paraboliczne anteny.

Zwinięty w rulon banknot wartości jednej rupii tkwił w dłoni Stevensa, który pozwalał, by rozpalony tamaryndowiec okładał go gałęziami jak trzepany dywan. *Yaar*¹¹⁶, bracie, umiesz to robić. Deszcz spływał mu po duszy jak oliwa i Stevens odpręzał się na zabój, chlastany-smagany-chłostany przez wielkiego zielonego stwora o migotliwych dłoniach. *Yaar, yaar, cóż za talent, masażysto!*

I kiedy od południa porwane wiatrem od łądu papiery obiegały cały Bombaj z przedmieściami włącznie, tamaryndowiec szeptał mu, to wszystko dla ciebie Ganeśo, to twoje święto. *Ganpati Bappa! Morya!!*¹¹⁷ To dla ciebie, patrz, słuchaj, są tu wszyscy. Kolory. Bezkształtne sterty rozgniecione w szlamie rynsztoku Black Bay, rozplaszczzone i obmyte deszczem, pęczniały jak ciasto w dzieży. Mżawka. Znad ciemnych, zapleśniałych ruin podnosiły się kształty słoni. Nawet bez pomocy lornetki Stevens widział powoli nabrzmiewające pośród nieczystości bożki. Ganeśo. Są tu wszyscy, Ganeśo.

¹¹⁶ *Yaar* - (hindi) przyjaciel.

¹¹⁷ *Ganpati Bappa! Morya!* - Ojcie Ganeśo! Mistrzu!

Gudźaratowie i Maratowie, Biharowie, Malajowie i Bengalczyki, i Tamilowie, którzy całymi miesiącami modlili się - kadzidło-rupie-ofiary-bawole masło - i smagłymi dłońmi wyrabiali figurki naturalnej wielkości, w naturalnym różowym kolorze, w typowych indyjskich ozdobach, w rozmaitych wzorach, wypolerowane, których tysiące opary śliwki okadziły na molo i w mieście, w tym nastroju święta *bungh-lassi*, karnawału, których zdmuchnęły z powierzchni ziemi - wszyscy oni znów tu byli, na plaży w Chowpatty, przybywali tłumnie, we wzdętych wiatrem ubraniach, z zaczerwienionymi oczami. Bardzo wielki Ganeśa, ten ze slumsów Dharavi, pomalowany bielą, która na trąbie przybrała odcień czerwony, czworo ramion zapaśnika, kulfony, klejnot w uchu, dwa kilogramy. Tak mówił tamaryndowiec. *Babu*¹¹⁸ *Bapu*¹¹⁹ zgromadził w swojej dzielnicy dziesięć rupii i wszystkich zbieraczy makulatury. Zebrał do wiader czerwoną od betelu ślinę i ubijakiem wymieszał ze starymi szmatami. Strukturę swego bóstwa, ogrodzenie zwędzone w zakładach Parel, z kubłów na śmieci *Babu Bapu* wymyślił na piasku. I wyjawiał młodemu, wymachującemu rękami bossowi, którego kuzyn pracował w drukarni „Times of India”. To zaszczyt, Babu, to dla mnie zaszczyt. Ulotki rozlepione na autobusach Birla Readymoney objechały całe miasto, rozproszone wśród strażników zawitały pod strzechy. Siedząc na skrzynce gwajaw, Babu Bapu stawiał ludziom wodnistą herbatę podczas pracy. Uwaga na klej, Birju, zaczekaj, debilu, aż wyschnie! Gdzie, u licha, się podziała Nadia Wadia? Niech idzie i przyniesie wodę od Kuptów, są mi winni trzy *paany*, nie odmówią. Przestałem sypiać, mówił, strząsając ze swojego posłania trzy karaluchy, nie mogę zmrzyć oka, od kiedy ktoś zwędził wiadro wapna z podwórka biedaka z kasty Chamar. Patrz, *Ganpati*. Parsowie wnieśli swój wkład, muzulmanie podarowali gips i cement, wielkie magazyny na Flakland Road wywiesiły afisz: TU MOŻNA DOSTAĆ ZUŻYTA TEKSTURĘ. W irańskich restauracjach do listy: „zakazuje się plucia”, „pytajcie o drogę gdzie indziej”, „szczotkujcie włosy na zewnątrz”, dodano: „zostawiajcie swoje trąby przed wejściem”. Patrz. Balwierz skupujący włosy poświęcił cały zbiór długich warkoczy, żeby upleść ci ogon, tragarze herbaty dostarczyli opakowania po krakersach do twojego srebrnego pasa, we wszystkich norach Javeri zapalono kadzidło. Patrz, *Ganpati*. Stevens widział. Między zielonymi palcami stuletniego drzewa, za brudnymi ubraniami zaścielającymi marmurową posadzkę, za basenem i zbutwiałym żwirem tłum sari i pizam toczył się ku morzu. Pięćset tysięcy unicestwionych mieszkańców dzielnic nędzy spieszyło ze śpiewem na skotłowaną piorunem plażę. Pod ubraniami roilo się od czarnych krabów. Zastępy połyskujących stonóg podążały do oceanu, unosząc z sobą resztki litości i

¹¹⁸ *Babu* (z hindi - pan, urzędnik) - określenie używane wobec osoby uczonej.

¹¹⁹ *Bapu* (z hindi - ojciec) - określenie stosowane do starszych mężczyzn, szanowanych za religijność.

nadziei piętnastu milionów ludzi ukrytych w figurkach słoni. Obwieść swoją radość, *Ganpati*, oni cię kochają, tańcz razem z nimi w szlamie, potrząsaj swoimi czterema ramionami, zdejmij swój diadem i doładź trąbkę, powiedz im, Ganeśo, jesteś zaklinaczem szczurów, idą za tobą, biegnij, trąb, dalej, biegnij, biegnij - niech się potopią.

Wyrzucony gwałtownym kopem, Stevens wypadł spod tamaryndowca. Pieprzona kokaina, ależ to mocne. Był ładunkiem sztucznej energii w aureoli zielonych barwników. Przez jego dłonie przepływała siła jak małe dawki radioaktywnej wody. Widział, jak krople jego *tedžas* dosłownie drążą płyty ciepłego marmuru dawnych milionerów z rodu Tata. Widział, jak tłum u jego stóp cofa się w stronę lądu, a potem, porwany w odwrotną stronę, rzuca się w fale. Po raz ostatni. Tańcz na swym skalistym nochal, słoni! Twoja skóra okrywa całokształt żyjących gatunków. Jesteś premierem, nie jesteś olbrzymem, tylko życiem, wiecznością, żółtym promieniem, życiem!

Tak.

Ale kiedy burza przeszła, unosząc z sobą komnatę echa, którą Stevens przygarnął w swojej przeponie, metropolia zniknęła.

Jak to zniknęła?

Uleciała, szuu. Razem z zatopionym bogiem; już tylko fale kłębiły się na powierzchni.

Jakby pozbawiona krótkich fal głosów i wierzeń, których nie zdołała przechować wśród swych murów, szybko utraciła rację bytu.

Przywrócony do tego, czym nigdy nie był, zespołu kulawych budowli, których najsolidniejsze okazy trawiła w szybkim tempie karbonizacja i reakcje zasadowe, skupiska ulic, skupiska betonu, wypatroszony z historii, tchnących w niego życie i dar wiary, zatrzymany, nagle zastopowany - Bombaj był już niczym.

Sępy parsów¹²⁰, które dawno temu strawiły ostatniego prawdziwego trupa, nic już nie pamiętały.

Stevens, zlany zimnym potem powybuchowego upadku ducha, przyciskał do piersi miskę z proszkiem.

Tamaryndowiec, przed którym stał, był drzewem. Miraż miasta rozpląnął się u jego stóp.

Silą wszystkich mięśni zaciskał zęby.

¹²⁰ Parsowie - wyznawcy zaratusztrianizmu, żyją obecnie w Indiach (głównie w Bombaju) oraz w Iranie. Są potomkami perskich emigrantów, którzy uszli przed prześladowaniami muzułmańskimi do Indii. Oddają cześć archaniołom, aniołom i duchom opiekuńczym; wierzą w zmartwychwstanie ciał, zmarłych składają w tzw. wieżach milczenia na pożarcie ptakom, aby nie kalać żywiółów.

Niech pan niuchnie jeszcze jedną kreskę, wszystko jest takie czyste.

Faust: *U kresu tej długiej drogi, którą kroczę, klótnię z własną duszą toczę.*

Otóż to, pochyl głowę nad miską i niuchnij. Oczyszczyć się sam, a niebo cię odwiruje.
Niuchnij.

Montezuma ofiarowuje Cortésowi: oślątka, jarzębinę, czerwone owoce sączyńca, czarne owoce sączyńca

z

moim osłem superogierem,

w 1770 roku, czy coś koło tego, lord Amherst ofiarowuje koce Indianom z Pontiac, klótnię toczę.

Ofiarowany w 1661 roku przez króla Portugalii Jego Wysokości Karolowi II Stuartowi z okazji jego ślubu z Katarzyną Bragança, Bombaj dar-podrzutek rozkwita wraz z boomem bawełnianym. Podstawowa gałąź rolnictwa, uprawa rzeżuchy, pielęgnowanej na nawozie z latryn, gospodarka finansowa. W 2005 giełda w Bombaju obraca większą ilością papierów wartościowych niż giełdy londyńska i paryska razem wzięte.

W Indiach i w Afryce rozkwita rynek telefonii komórkowej.

Stevens! Hej, Stevens?

Dla każdego ciała żywego najważniejsze jest odkrycie, która trucizna mu pasuje, a która go truje.

Odepchnął miskę.

W salonie zawinął się w kaszmirowy dywan rodziny Tata i zasnął na kanapie.

Prawdą jest, że spał bardzo niespokojnie.

Czternaście godzin później obudził się z przekonaniem, że NIE jest takim zwierzęciem jak inne. W żadnym wypadku, nie.

Odrzucił skotłowany dywan i przeciągnął się. Był głodny. Przed pójściem do kuchni wyskoczył na taras i spoglądając na zatokę, nasikał do basenu. Nieruchome palmy butelkowe przypomniały mu Kubę i przez chwilę naszła go ochota, żeby znów usiąść za kierownicą cichej i wygodnej, wielkiej limuzyny. Najchętniej bmw. Gmach Air India wyglądał żałośnie jak zamek z piasku.

W końcu był tylko zamkiem z piasku.

Drapiąc się po głowie, powędrował przez pokoje, żeby znaleźć pomieszczenia gospodarcze. Na widok wanny rozmiarów i rozmachu Las Vegas przypomniał sobie, że od wielu dni się nie mył, więc zaczął przetrząsać flakony z solami kąpielowymi stojącymi na

teku. Niepotrzebnie: kurki nie działały.

Trzasnął drzwiami i szukał dalej. Pieprzona buda. Jeden ciąg różowych buduarów pełnych pluszaków. Pluszaki na podłodze, pluszaki na ścianach, pluszaki na łóżkach. Nawet telefony w kształcie rozmaitych żab, delfinów i pingwinów był pluszowe. Z dłonią na ósmych różowych drzwiach, spodziewając się ósmej sypialni z przewagą bladego różu, zadał sobie pytanie, jakich to przyciszonych rozmów między królami stołowej oliwy nasłuchały się te groteskowe zwierzaki.

Na ósmym łóżku w ósmej sypialni, faktycznie bladoróżowej, leżał strój do tenisa.

Rozmowy tenisistów. Pana prawy jest zabójczy, Akosh, powinien pan nas częściej odwiedzać. W Wellington Club brak nam młodych przebojowych ludzi. Naprawdę? Gdzie ta przeklęta kuchnia? Wrócił po własnych śladach i wreszcie w salonie wypatrzył ukryte drzwiczki kuchennego wyciągu. Wsunąwszy głowę przez kwadratowy otwór, ocenił jego głębokość na trzy piętra, znalazł schody i zszedł. Szare pancerne drzwi. Kiedy je pchnął, spod jego stóp przysnęło kilka karaluchów. Błaty kuchenne z aluminium, tak samo jak zlewy, i wpuszczane w ścianę szafki. Z doskonale szczelnej zamrażarki nic nie wyciekło. Nie licząc żółtawego płynu na dnie kubelka do szampana, bunkier był czysty.

Znalazł szafkę pełną rozmaitych wód mineralnych - smakowych, filtrowanych, gazowanych, niegazowanych, lekko gazowanych. Rozmowy sportowców.

Odstawił jedną na bok i otwierał dalsze szuflady. Noże, nakrycia, spluwaczki i spodki również były z aluminium. Chińskiego. Dwa durszlaki. Rożny. Rondle. Natrafił na zapasy herbaty. Znalazł czajnik i spróbował ze ścierek rozpałić w zlewie ogień. Otworzył okno i poszedł szukać skuteczniejszej podpałki. Pluszowe krzesło. Różowe.

Kiedy herbata się zaparzyła, wypłukał filiżankę, wodą z płukania zalał ogień i wypił gorący płyn, wylewając go małymi porcjami na spodek. Po hindusku, siorbiąc.

Potem usiadł. W resztkach gryzącego dymu, patrząc na czarny popiół i szczątki krzesła, świeże ślady swoich prostych czynności, poczuł się trochę lepiej.

Inna szafka zaoferowała mu płaskie placki w próżniowym opakowaniu z aluminium. Kiedy je zjadł, poczuł się naprawdę lepiej.

Tylko jak tu cicho.

Po trzeciej filiżance herbaty zmuszony był pilnie znaleźć toaletę. Deska muszli klozetowej była pokryta pluszowym pokrowcem. Poczuł mdłości na myśl o zadkach, które na niej siadały, i wołał załatwić się na gładzonym cemencie wanny. Nie spodobał mu się smród własnego kału: był zbyt kwaśny. Pomyślał, czy nie jest aby chory. Chory? Wzruszył ramionami i przykrył swoje odchody stertą miękkiego jak wata papieru toaletowego. Jak

pierwsze lepsze zwierzę.

Z powrotem wszedł trzy piętra wyżej na taras, popatrzył na dalekie nabrzeża Apollo Bunder i zakotwiczone przy nich transportowce na napiętych lonżach. Zapora w Itaipú sama z siebie nie runie.

Najwyższy czas, by wyruszyć w drogę.

A nie było blisko!

Trzeba było przelecieć nad Oceanem Indyjskim, nad Afryką, a potem jeszcze nad Atlantykiem. Całe szczęście, że byłem tam ja, dzikus Lawson, by przywoływać ich do porządku. Sami nie daliby rady.

La Represa Itaipú w Brazylii to był wciąż ten sam pomysł Wielkiego Króla Wielkiego Programu, żeby wszystko oczyścić.

I pod pretekstem, że z racji położenia ta Wielka Zapora jest Zaporą Idealną, a przez to ostatnią, zbieżną trzech narodów i państw z ogromną rzeką i jej zbiornikiem retencyjnym, małym morzem głupoty gospodarczo-politycznej, do którego napływały głównie kapitały; tak jakby to małe morze zawarło w sobie wszystkie przekręty wszech czasów bardziej niż jakiegokolwiek inne, tak jakby było kondensacją - jako granica i wielofunkcyjna elektrownia wodna - wszelkich możliwych form zapór, ciężarów, sklepień, przypór, przeszkód i barier mentalnych, podziałów mentalnych, osłoną, i tak jakby to wszystko było niezwykle ważne, właśnie w Itaipú zapragnął Stevens urządzić ostatni pokaz ogni bengalskich. Ostatni, tak, ostatni, bo przelatując nad Archipelagiem Lakkadiwów, zobaczył platformy wiertnicze, a na zachodzie Udupi pola bawełny powodujące kamienienie ziemi, a w Mangalurze elektrownię jądrową, emitującą promieniowanie na wszystkie strony w obrębie stu sześćdziesięciu kilometrów, i powiedział sobie, że nie powinien zajmować się przez cały czas samymi tylko zaporami, bo stacja jest bardzo, bardzo wielka, a brudy są wszędzie.

Po drodze zatrzymaliśmy się na piętnaście dni, żeby zwalić do wody kompleks czarnych żurawi na Morzu Arabskim. Teraz, kiedy już na dobre zanurzyły się i rozpląszczyły głęboko na dnie, będą dostarczały toboganów i klatek z drobiem rekinom i płaszczykom, i swawolnym, wesołym solom, jak również niezniszczalnych fundamentów pustelnikom bez muszli, utraconym łąkom i kaczenicom pozbawionym skorupy. Co zresztą dało głośny początek Wielkiemu Społecznemu Programowi Przekwaterowywania i Zawłaszczania Terytorium.

Choć najczęściej nie udawało się nam rozwalić platform jak należy i dobry ich tuzin wyciągał czarne poszarpane ramiona w niebo i przerażająco psuł widok, Stevens był z siebie zadowolony. W niekończących się mowach deputowanego do ministra długo sobie gratulował i wieszował niczym dyrektor i zarządca magazynów protein z płetwy grzbietowej, które niechybnie przyczynią się do odrodzenia dziedzictwa zasobów naturalnych, nieco nadszarpniętych przez dawnych rybaków piratów.

Tych łajdaków.

Ale tak naprawdę to chciał trochę ponurkować.

O zmierzchu czwartego dnia walk, kiedy całymi godzinami wysadzaliśmy masy półprzezroczystego morza u stóp pływających platform, naszła go nieodparta ochota, żeby zanurkować w naturalnym zbiorniku zasilanym słodką wodą. Widząc, jakiego bajzlu narobiliśmy na atolu Kawaratti (rusztowania skręcały się gwałtownie jak ośmiornice), postanowił rozbić obóz wypoczynkowy na wyspie Amini. Kiedy tam wylądował, na białej, piaszczystej plaży, obok długiego koślawego baraku z napisem Yemana na bocznych ścianach, uznał, że się szybko uwinął.

Zapomniawszy o kąpieli w cebrzyku, pobiegł zrywać orzechy kokosowe i pijąc i zajadając jednocześnie sok z białym miąższem, przetrząsał kuter rybacki w poszukiwaniu sieci.

- Mam!

- Nie, to hamak, kapitanie. Okonia morskiego łowi się na wędkę, a miecznika na makrelę. Ale bardzo dobrze, że się pan opycha tym kokosem; znakomicie działa na kiszki.

Nie, nie, nie, nie; wzruszając ramionami, popędził do największego blaszanego bungalowu na plaży i wyciągnął się na werandzie, zobaczymy co dalej. Zobaczymy jutro. I co widzimy? Pogruchothane pływające wyspy platform wiertniczych - jak dobrze, że tu wpadłem, koralowce podziękują mi później, proszę - musiały tu przydryfować aż... aż z Zatoki Perskiej! Dobry Boże, co za trasa! W takim razie, jeśli się uzna samolot Caravelle za rybitwę wysokich lotów, wystarczy przysiąc na chwilę na *jet streamie*¹²¹, a wtedy dwa machnięcia skrzydeł i jesteśmy w Peru, cudowne! Już widzę wieloryby, a za nimi małego bezwąsego kaprała na wyspie, wpatrującego się w linię horyzontu. Pogoda piękna. Jak figurynka na weselnym torcie. Co za mariaż. Są chorążowie i bicie w bębny. W wielkim garnku dymi potrawka z fugu, nikt się nie wymknie, na rożnie obracają się jagnięta. Na piknikowych obrusach: kapusta zielona, sałata jabłkowita, mango i likier z genipapo, duszony sztokfisz w winnym sosie. Wygląda to jak oklapły balon, jak meduza. I tak oto, pogrążony w marzeniach, Stevens zasypia.

Rankiem podniósł z ziemi męskie pareo i zażył swojej pierwszej kąpieli w lagunie. I wtedy właśnie pewna czerwona gąbka o niebieskich brzegach opowiedziała mu o Amini. Historię gęstą, jeśli mu wierzyć, historię, której porządkowanie zajęło mu dziesięć dni, podczas których przeplatał swe zmagania z linearnością wywodu kąpielami, ucztowaniem i

¹²¹ *Jet stream* - prąd strumieniowy. Intensywny, prawie poziomy strumień powietrza w atmosferze ziemskiej, występujący w strefach o szerokości kilkuset kilometrów, grubości około dwóch kilometrów i długości kilku tysięcy kilometrów, poza którymi w atmosferze ziemskiej obserwowane są wiatry o znacznie mniejszych prędkościach.

znowu kąpielami dla „ostudzenia głowy”. Problem tkwił w tym, że gąbka mówiła wszystkimi zuwawkami naraz i zupełnie nie dbając o chronologię. W końcu, z pomocą kancelisty, którego naukowy instynkt objawił się i rozwinął, zdołał sporządzić to, co znalazłem wetknięte między dwie deski werandy (uściślenia dat i miejsca pochodzą od kancelisty):

Amini jest wyspą, która w najwcześniejszych początkach świata była skorupą żółwia. Nieznana, uboga w roślinność, niecywilizowana w pięknym znaczeniu tego słowa, późno, bo w XV wieku, została uznana za odkrytą i wtedy do jej brzegów przybiła deska popychana przez Yemanę¹²², na której przyplłynął Chemar Unalpur, wielki król Kerali.

On sam wyrzucony z własnego pałacu przez gwardię w paradnych mundurach z powodu jakiejś historii z nadszarpniętym honorem czy cnotą, osądzony we własnych ogrodach przez samowolny trybunał, został później skazany na stos, chłostę lub utonięcie na desce. Do wyboru, o świecie.

W celi, podczas jego ostatniej, jak się zdawało, nocy, Chemarowi Unalpurowi przyśnił się sen, zagmatwany sen, w którym do jego uszu, niczym podmuch wiatru nadymający żagle, dobiegały głosy. Rankiem był pewny: wybiera deskę.

Ta zaś, popychana oddechem Yemany, przebyła sto czterdzieści mil morskich, po czym wylądowała wraz z cudownie ocalonym Chemarem Unalpurem na północnej plaży żółwiej skorupy. Gąbka widziała, jak koło niej przepływali. Jak dziś pamiętała, że ramiona wielkiego strudzonego króla opadały w wodę, drżąc w niej bruzdy jak dwa kliny płynącej do góry brzuchem płaszczki. Odtąd spożywanie zdechłej płaszczki jest zakazane. Zwłaszcza skrzydeł. Nikt przecież nie będzie jadł króla Kerali. Tym bardziej że on sam z upływem dziesięcioleci, samotny na żółwiu, bardzo się zmienił i choć nie zapomniał rodzimego języka - malajalam - nie pamiętał już, że przybył z Hindustanu. Tu gąbka zaplątała się w różne wzajemnie sprzeczne dygresje. W 1542 roku na wyspie wylądowali Portugalczycy, prawdopodobnie z zamiarem uszczelnienia swoich statków, i wyjechali dopiero wtedy, kiedy zapłodnili jorubskie niewolnice, które przywieźli w swoich ładowniach i które w końcu, jako towar nieco wybrakowany, zostawili na miejscu. Potem Hindusi zorganizowali pucz, rozwinęli rybołówstwo i znaleźli Chemara Unalpura w cieniu drzewa cydratowego. Odmówił on powrotu do swego królestwa, dowodząc, że jest szczęśliwy w stadle z jorubską królową Yemaną, która nauczyła go rozmaitych pozycji, łagodnych i namiętnych. Tu wargi gąbki były nieprzyzwoicie dosadne.

- Czyżbyś był krewnym Unalpura? - zapytała w końcu. Oraz: - Przyłóż palec tutaj, daj

¹²² Yemana - bogini morza i płodności, opiekunka matek i dzieci.

mi swoje pareo albo przynajmniej złap dla mnie krewetkę.

Major przeczytała tę historię, wetknęła ją z powrotem między deski podłogi w bungalowie, a potem nie wiedziała już, co robić, chyba że odszuka ową gąbkę, żeby się więcej dowiedzieć. A że Stevensowi w głowie były tylko karesy świecących ryb w lagunie, wobec tego wraz z odpływem wyruszali ku rafie koralowej. Rekiny? Jeżowce? Bredzisz, Lawson, to spokojne wody, mówił ten głupek, zatopiony w marzeniach o hippisowskim łonie natury, opiekuńczym stręczycielu i gwarancie zdrowia i tradycji.

Ja osobiście wolałem pozostawać w kręgu roślin korzennych, suszonych dawnymi naturalnymi metodami; występujące w tych okolicach *pneumas*¹²³ (πνευμα) miały w sobie coś wyraźnie odwetowego, co nic mi specjalnie nie mówiło. Korzenie pomarszczone słońcem i długości jednej piędzi były bardzo silne, wyrastały nad powierzchnię ziemi i roiło się na nich od czerwonych pajaków, których ukąszenie uśmiercało w dwie godziny. Nocą, kiedy inni chrapali w rybackich sieciach, fosforyzowały w ciemnościach, aż strach! Nawet *caboclo*¹²⁴ by się przeraził. Na wyspie było ich pełno. Szukały przygodnych wierzchowców, żeby się objawić i wygarnąć kilka słów prawdy, ale co do mnie, to dziękuję bardzo, za dużo was, nie mam was czym poczęstować, no dalej, won z moich korzeni! Dobrze wiem, dlaczego Yemanie było tak spieszno, nie muszę tego znowu słuchać, no i nie zdradziłem ani nie kupiłem mojej łani: to ona ode mnie odeszła. Dlaczego? Bo te przekłete langury¹²⁵ plotkują jak stare kumoszki. Nie ma nic gorszego od tych towarzyskich bydląt, które nic, tylko wypatrują jedne drugich i nawzajem się iskają. Obrzydliwe do szczytu, włącznie z tym ich sposobem przeżuwania liści i wypluwania żyłek, niezgodne, nienaturalne, świętoszkowate, odrażające. Jedyne co rozumieją, to *Gestalt*¹²⁶. Są nawet takie, które rysują na kartkach, na kartkach papieru! Sprzedawczyki! Przekupywane kontenerami importowanych bananów, zbrojeńcy. Spotkałem nawet takie, które całymi miesiącami, latami, z pokolenia na pokolenie przekazywały sobie język migowy o podwójnym znaczeniu i wygadywały w nim różne niedorzeczności...

Poza tym, kiedy tylko zasnąłem, podbierały mi zapasy. Nie wiem, czy to była sprawka kancelisty, czy jak, ale za każdym razem, kiedy przytomniałem po wyczerpujących nocnych zmaganiach, w powietrzu unosił się ten specyficzny zapaszek! Ząbek czosnku, słodkie bataty,

¹²³ *Pneuma* - (gr. πνευμα) - duch, tchnienie, wiatr. Tu: roślina, której korzenie zawierają substancje halucynogenne.

¹²⁴ *Caboclo* - przenośnie: Metys, ucywilizowany Indianin, miejscowy biedak, nędzarz.

¹²⁵ Langury - małpy z rodziny makakowatych.

¹²⁶ *Gestalt* - metoda psychoterapii, w której organizm (ciało i psychikę) traktuje się holistycznie, kładąc nacisk na skupieniu się na tu i teraz, rozszerzaniu świadomości.

białe bataty, angolskie przyprawy, mus krabowy, a z oddzielnego talerza filety z białego morszczuka. W końcu został mi już tylko mały, ochronny wieniec. Dłużej tak nie mogło być. Inni nie wiedzieli o tym, ale gdybym nie przejął na siebie ich nocnych duszyczek, Stevensowie nigdy by się nie ocknęli.

Uratował nas tankowiec.

Sto dwadzieścia tysięcy ton, które pojawiło się nagle na pełnym morzu. Z kadłubem doszczętnie rozbebeszonym przez stalowe konstrukcje, które zatopiliśmy, Minerva Limboh podpłynął powoli na Amini, napędzany wyciekami ropy naftowej, spełniającym funkcję biernego silnika, spokojnie, zgodnie ze ścisłymi prawami mechaniki cieczy i dryfowania po archipelagu. Nim cokolwiek jeszcze pojawiło się na horyzoncie, Stevens zauważył, że morską wodę ma „dziś rano dziwnie oleisty posmak”. Dwie godziny później na plażę spadła w czarnym fraku pierwsza zdechła mewa. Kurde! Co to za pieprzony widok taka czterokilometrowa smuga, lepka i kleista, czarna jak noc, lśniąca, sunąca z gracją po wodach laguny. Wizualnie mogłoby to nawet być interesujące, gdyby nie to, że bardzo szybko zamieniło się w lep na muchy. Zafascynowane zapachem ptaki frunęły do niej jak do lampy i ginęły zaczadzone. Trzeba podpalić to świństwo, skrzeczał Stevens, co za kupa złomu ciągnie za sobą taki gnój?! Okropnie wzburzony, tupął ze złości, machał rękami i wrzeszczał, że omal nie zdarł gardła. Gdzie się zaszył ten kurewski tankowiec, skąd on się tu wziął, jaki skurwysyn stawia na takiego zdezelowanego grata, gdzie straż wybrzeża, niech się smażą w piekle aż po dzień zmartwychwstania rybich szkieletów, niech przeszłe pokolenia wyżrą im wątrobę, która wiecznie się będzie odnawiać, niech zdechną, niech zdechną!

Już zdechli.

Wcale nie, nie zdechli, masz ich tu, pod nosem, i to są, kurwa, znowu ci, którzy zostawiają po sobie najwięcej śladów. Wspomnienia, blizny, to błoto, to świństwo jest raną, i ta rana się właśnie otworzyła, nie są wcale martwi, oto ich dokonania, i nie krótkotrwałe, tylko na skalę geologiczną, dla historii to pliocen, coś trwałego, ciekły towar masowy jest sygnaturą nieśmiertelną, wspaniałą, niedrogą, ani trochę, bezpłatną i praktycznie niezatartą.

Minerva Limboh, tankowiec zbudowany przez Hyundai Mipo, użytkowany kolejno przez Omi Corp, Petromarine, Concordia Maritime, Shipping Corp. of India, N&T Argonaut i Ceres Hellenie miał dwadzieścia lat wysługi, hinduską załogę i pływał pod banderą cypryjską.

Makler okrętowy James Dutton pozyskał go w Londynie dla pewnego znużonego greckiego armatora, którego wysoce symboliczna działalność polegała na użyczeniu imienia - i graniu na zwłokę w przypadku komplikacji - neapolitańskiemu cichemu wspólnikowi, Sergiowi Vasaveremu, od wieków zgodnie z tradycją rodzinną specjalizującemu się w handlu

międzynarodowym. Czegóż to człowiek nie zrobi dla pary spinek z herbem, oddanej żony, trójki dzieci nie głępszych niż inne, dla możliwości spółkowania obojętnie kiedy i obojętnie gdzie, jak również i rozkoszowania się luksusem rezydencji, samochodów, jachtów i szybowców. Nawet jeśli Sergia Vaseverego najbardziej rajcowało posmarowanie jeszcze ciepłej francuskiej bagietki grubą warstwą konfitury z papai, za życia nigdy nie zakwestionował głównego kryterium estetycznego swojego pradziadka: o cenie obrazu stanowi rama. Szeroka rama.

Niech zdechną, ta ich rama nigdy nie jest po dwakroć tak szeroka, jak należy.

- Wykończymy go? - zapytała major.

- Nie mam nic przeciwko temu, nic a nic. Podpalimy i zwiewamy.

- Myślę, że jest to jakieś rozwiązanie.

- Znakomicie, a co innego pani chciałaby zrobić? Wessać go przez słomkę?

- Dobrze, już dobrze. Niech się pan uspokoi.

- A na początek wysadzimy ten pieprzony złom w powietrze.

- Przy tym, co za sobą ciągnie, sam się wysadzi...

- Nieważne, spadamy. Lawson, wyłaź z tych korzeni, spadamy!

- Pozwól, jedną minutkę - odparłem - robię wieniec.

Otóż ja sam jestem bardzo wyczulony na rytuały. I słusznie.

Bo posłanie brandera¹²⁷ na pokrywę ropy z wysokości poniżej trzystu metrów doprawdy nie było dobrym pomysłem. Kiedy wystrzelimy pocisk raketowy, to zanim jeszcze dosięgnie celu, podmuch eksplozji gwałtownie nas wessie w stronę Minervy Limboh, na której lont zapalał się z błyskawiczną szybkością i biegł w stronę plaży, jakby bomba znajdowała się na brzegu, a nie dokładnie pod helikopterem, który ślizgał się w kłębach dymu, nie mogąc nijak zmienić kursu. Stevens aż gryzł palce, koszmar. Kiedy język ognia dotarł do piasku, spopielał w mgnieniu oka małe zapałki mew opadłych na plażę, płomień grzmotu zawrócił i gniewne *pneumas*, niesione płomieniami, rzuciły się w te pędy jak na tor norweskiego bobsleja, hajda na żywych łupieżców!

Gdyby nie wieniec, byłoby po nas.

Te korzenie są naprawdę bardzo mocne (ukryłem ich trochę w rękawie major Echampson, ma u siebie taki bajzel, że nawet nie zauważyła).

Wreszcie sam płomień z hukiem kowalskiego ogniska odrzucił nas w stronę pełnego morza. Skończone, won z moich korzeni.

¹²⁷ Brander - okręt naładowany materiałami łatwo palnymi, wybuchowymi, który po odpaleniu kierowano na okręty nieprzyjaciela.

Naszą trasę wytyczyła major na rogu stołu przed wyjazdem z Bombaju, ale w pośpiechu przygotowań do odjazdu nikt nie pomyślał o zabraniu mapy lotniczej, a w kłębach dymu z Minervy Limboh było praktycznie niemożliwe dokładne określenie naszej pozycji startowej. Ze swej strony Stevens miał pełne zaufanie do przyrządów apache'a, a że pilnowałem, żeby zbiorniki były zawsze pełne - tak paliwa, jak i płynów chłodniczych, hamulcowych i oleju - pomknęliśmy nad Oceanem Indyjskim prosto do Afryki. To znaczy lekko na południowy zachód.

W kabinie panowała kiepska atmosfera. Fakt, że była pełna dymu i że jeszcze długo po opuszczeniu centrum konfliktu widzieliśmy czarny powróż zaciśnięty na szyi powieszono archipelagu z wywalonym językiem, z wytrzeszczonymi oczami, z erekcją, kołysanego przez cichnące pasaty.

W kabinie Stevens okropnie kasłał z powodu tego przekłętego swądu, który przedostał się cichcem przez silnik. Wyobrażał sobie węglowodory, jak wnikają drogą infuzji i osadzają się na rafach koralowych, zamieniając wody laguny w morskie Pompeje, które całe pokolenia zmutowanych mięczaków jadalnych za dwa tysiące lat będą zwiedzać z gorliwym, kulturalnym zainteresowaniem. Jakie to smutne. Jeszcze jedna ekosfera mniej. W milczeniu załamywał ręce, a ten drugi typek słał mi ukradkiem coraz bardziej natrętne spojrzenia.

- Jak tam, kancelisto, źle się czujesz?

- Długo pan jeszcze będzie majstrował przy tym benzoinowym różańcu¹²⁸?

Co za atmosfera!

Aż tu major wyskakuje ze swoim:

- Myślę, że tym razem umarła.

- Kto taki?

- Historia o Amini, gąbka.

No cóż.

Poza tym było pogodnie i przelot między pierwszym a drugim równoleżnikiem zapowiadał się spokojnie. Na północnym zachodzie małe mammatusy, to wszystko. Mogła to być przyjemna podróż, bo mieliśmy wszystko co trzeba, jeśli chodzi o zaopatrzenie, a ocean wciąż jeszcze odbijał światło, bo byliśmy żywi i tysiąc metrów nad falami szeroką pierśią oddychaliśmy silnymi podmuchami powietrza znad Oceanu Indyjskiego, więc w czym rzecz?

Rzecz w tym, że było mnóstwo masowców. Transportowców, tenderów, statków przewożących zboża, minerały i drewno, a na ósmym stopniu na północy radar wykrył

¹²⁸ Benzoinowy różaniec - właśc. benzoin; styrax - żywica balsamiczna pozyskiwana z naciętych pni styrakowca. Styraks ma przyjemną woń, używany jest do wyrobu kadzideł w przemyśle perfumeryjnym.

podwodną łódź atomową.

- Te tutaj - mówiła major Echampion, wskazując palcem skupisko czarnych punktów - przewożą ropę naftową i destylaty między Morzem Śródziemnym i Chinami, ten oliwę i sodę, ten tu na dole azjatycki drób, a tamten wiezie z Kalkuty krowie kości i spalone zwłoki ludzkie na mączkę.

- Ależ co pani mówi, już od trzydziestu lat się tym nie handluje. Nie ma pani raczej jakiego trymera z marihuaną?

- Owszem, jak pan sobie życzy, tam... och!

Major wskazywała na zachód, zakreślając palcem coraz szersze kręgi. Pod matową powłoką oceanu, tuż przy powierzchni wody, przemieszczała się w kierunku przeciwnym do fal nieruchoma strefa czystego srebra.

- A to co, wrak?

- Ławica makreli. Och! Ile ich jest!

Podążały jak na jakąś zbiórkę z okazji festynu, spójrzcie, ściągają ze wszystkich stron! Śmigają tak szybko, każde stado było jak kałuża rtęci przyciągana przez inną ku magnetycznemu centrum, och, wieloryby! Och, wieloryby! To łowy!

- Wieloryby, gdzie?

- Na ogonie ławicy makreli, jest ich sześć, od dawna je okrążają, to się nazywa zarzucenie sieci!

Zdecydowanie nie macie o niczym pojęcia. W sezonie humbaki polują grupami. Za pośrednictwem modulowanych ultradźwięków każdy otrzymuje plan trasy, głębokość i kierunek, a także konkretne stanowisko pod kątem finałowej obławy, jak również na starcie pościgu. Następnie zacieśniają koło i silnymi uderzeniami ogona suną naprzód, wypływając przed siebie sieć bąbelków tak drobnych, że nie wymkną się przez nią nawet małe makrele. W stosownym momencie szef orkiestry posyła ostatni sygnał i ruszają jeden tuż obok drugiego z szeroko rozdziawionymi paszczami. Co za wyżerka! A najlepsze jest to, że każdy uczestnik łowów z roku na rok zachowuje swoje miejsce równie niezawodnie jak krzesło przy bankietowym stole. Dudley po prawej, Carmen z lewej, szwagier tutaj, mama naprzeciwko i do dzieła!

Kiedy tak kręciliśmy się wokół jednego z wielkim łbem, drugiego z pikami na grzbiecie, małej, która skręciła na zachód, dokąd ona znów płynie?, paliwa ubywało, a prawie nie posuwaliśmy się naprzód. Po jakichś szesnastu godzinach lotu byliśmy zaledwie w połowie drogi i praktycznie z pustym bakiem na otwartym oceanie. Na otwartym oceanie! Jak okiem sięgnąć najmniejszego skrawka lądu, żadnej platformy ani żółwiej skorupy, tylko

woda, nic, tylko woda, niebieska, mroczna, niekiedy prawie czarna i zawieszista jak ruchome ciało stałe.

Duchu Wielkiego Oceanu, słyszysz mnie? Duchu oceanu nazywanego Indyjskim, czy mnie odbierasz? Znajduję się na powietrznej latającej barce, Duchu, na wentylatorze, który cię wachluje, słyszysz mnie?

Cóż.

Wielkogłowy wielorybie, czy mnie odbierasz? Wielkogłowy wielorybie, jestem na tym bzycającym komarze, słyszysz mnie?

- Skończy pan wreszcie z tym świstaniem przez zęby, Lawson?

- Tam!

Wielkogłowy, o, Wielkogłowy, w mądrości twojej, znajdź nam wyspę albo ląd ze stali, znajdź nam schronienie, a obiecuję, że wysadzę w powietrze stalownię w Caravelas, gdzie stopili się twoi chrzestni po mieczu. Ja jestem L. L., zdradzę ci moje prawdziwe imię, jesteśmy krewnymi, jeden twój gest dobrej woli, Wielkogłowy, i przysięgam, że ją wysadzę.

- Za tamtym, niech pani leci za nim, major Echampson, zaprowadzi nas do bezpiecznej przystani.

- Proszę go nie słuchać, ma oczy wybałuszone ze strachu.

- Niech pani posłucha, zawarłem porozumienie, niech pani za nim leci.

- Ten na dole żarty sobie stroi?

- Tak, ale niech pani za nim leci, to nie żadna pułapka.

Kancelista gderał.

- To bzdury, uważajcie, płynie prosto na wschód, wpuści nas w kanał.

- Zamknij się!

- Wpuści nas w kanał, wiem, kim on jest, to przecież prawnuk Moby Dicka, zgubi nas, tak jak zgubił Ahaba.

- Naprawdę, straszny z pana idiota, Waterfull.

- Wcale nie. Człowiek jest jego uzewnętrznioną w cząsteczce destrukcyjną siłą, jesteśmy projekcją *thanatos* potwora, skondensowaną miniaturową wersją, kondensacją jego lęku, doprowadzi do zguby nas i załogę, ma nas w garści, dlatego sobie żartuje.

- Nie przydałby ci się zimny prysznic, Waterfull? Niech pani za nim leci, major Echampson.

Miałem rację, wieloryb był godny zaufania. Wielkogłowy znał zachód jak własną kieszeń, zaprowadził nas prosto na pierwsze dostępne wzniesienie, lotniskowiec, cały szary, z krzywą gębą, ale piękny, no, naprawdę piękny. Przy poziomie paliwa bliskim zeru, pośrodku

Oceanu Indyjskiego, człowiek doświadcza nieoczekiwanych uniesień estetycznych. Major sprostowała, że to nie krzywa gęba, tylko lotniskowiec z ukośnym pasem startowym. Zbliżając się, ujrzelśmy na pokładzie cały kram małych samolotów nisko przycupniętych, z nosami zadartymi w górę, i kolonię żółtych fenwicków rozproszonych po całym pomoście. Niemniej jednak wystarczyło miejsca, żeby wygodnie wylądować między ciągami postojowymi, ponieważ okręt był ogromny.

- Francuz - powiedziała, wysiadając. - Ciekawa jestem, co tu robił. Zjemy coś? Na przykład makaron?

Nic lepszego nie było. Możliwe, że w koszyczku członków załogi znalazłyby się jakieś spleśniałe parówki, ale Stevens nie zgodził się, żeby tu myszkować, i tak samo jak poprzednio na pokładzie Yangtse Prince oświadczył, że bar jest zamknięty, a restauracja niehigieniczna. Swoją drogą, ciekawe, skąd ta obsesja dotycząca higieny na okrętach.

Wieloryb dyszał.

Dzięki ci, Wielkogłowy, i do miłego, dotrzymam obietnicy. Pozdrów ode mnie ciotkę. (Nigdy nie wiadomo).

W czasie posiłku zapadła decyzja, że zmieniamy wierzchowca. Stevens chciał dosiąść kolibra, żeby był szybszy w powietrzu i by mógł wczuć się w atmosferę tropików. Koliber, oto, czego nam trzeba. Szarego, superodrzutowego kolibra, który na wysokości sześciu tysięcy metrów złapie się w prąd powietrza jak w fałdy spódnicy własnej matki. Kancelisto, notuj. Na jutro koliber, zajrzyj do hangarów, ja idę spać.

Zadekował gdzieś butelkę burgunda, to pewne. Pije teraz samotnie, co za upadek. Pije samotnie i zamyka się ze swoim dziennikiem, my zaś przez większość czasu musimy po kolei trzymać mu ołówek.

Przynajmniej raz kancelista do czegoś się przydał, rozpracowując tablicę układu elektrycznego. Bo kolibra dla tamtego pijaka znajdujemy starannie zaparkowanego, z małymi czerwonymi nausznikami na silnikach odrzutowych, w głębi hangaru, na drugim pokładzie, naprzeciwko podnośni, a to właśnie podnośnie trzeba było uruchomić, żeby podźwignęły piętnastotonowego ptaka, który nas uniesie wysoko. O świcie, po wielu godzinach wyczerpującej pracy, Stevens wychynął na mostek kapitański ze zmiętą twarzą, a na torze osiowym rafale¹²⁹ zażywał świeżego powietrza z podwoziem zablokowanym na katapulcie.

Było nam ciasno w środku.

Major odgarnęła włosy do tyłu, przybrała minę pilota myśliwca, a potem jednym

¹²⁹ Rafael Dassault - mały odrzutowy samolot myśliwski.

ruchem opuściła osłonę kasku na twarz.

Kciuk w górę. Natychmiastowy start. Puszczą w ruch mitchell-brown¹³⁰, ruszamy.

Dwieście sześćdziesiąt metrów, żeby posłać w niebo maszynę kołyszącą się jak zawodowy dżokej, to może wydawać się długo, tymczasem nie. Trwa krótko. Trzy sekundy. Czwarta to już pion geometryczny, jak rakieta, prosta, pewną ręką pociągnięta linia, żołądek idzie dosłownie w piętę. W., cały pozieleniał, na starcie się porzygał. Tymczasem Stevens z zadowoleniem wdychał tlen przez maskę. Powoli z zanurzeniem, kapitanie, wiem, wiem, to było dawno. Uwielbia pan tę mieszankę gazową, ale powoli, to uderza do głowy. Testowała maszynę jak na treningu. Pętla, podejście w górę pod kątem prostym, wyrównanie lotu, salto w tył i podwójny korkociąg, litości. Pasma za pasmem defilowały niebo, woda, niebo, woda, niebo, niebo, woda. Powalony szczęściem Stevens odnajdował na nowo emocje kosmonauty, 2 G, 3 G, ten niesamowity kop, pozwól mi zejść niżej. Zejść? I dalej lotem nurkowym, dziewięćdziesiąt procent momentalnego spadku, serce podchodzi pod gardło, siódma rano, morze jest bardzo, bardzo, bardzo bliiisko, uau, prawie muska fale, o włos. A co to za złom? Z powrotem podchodzimy w górę. Maszyna zwalnia, pięćset, siedemset, siedemset pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza. To jakaś flotylla. Osiemset, osiemset pięćdziesiąt, jakaś armia. Ocean pokrywają żółte i czerwone rdzawe plamy. Panie i panowie, przelatujemy obecnie nad wybrzeżem somalijskim. O, Somalio, Somalio, obmywana wodami Zatoki Adeńskiej, o Arabio Saudyjska, o Erytreo, o hebanowy edenie, powrócę z kończynami z żelaza, z ciemną skórą, z wściekłym spojrzeniem, do gruntu, na wskroś Somalijka. Eks-Włozka, eks-Brytyjka z radzieckich eks-baz wojskowych. Panie i panowie, w tym rajach ręcznych połowów, przed nastaniem śliwki, kwitła w ramach wymiany kulturalnej Północ-Południe sekretna gospodarka w postaci przerobu drogą pobieżnego zakopywania w ziemi odpadów toksycznych. Bajeczne plaże, nad którymi przelatujemy, to otwarta księga światowego przemysłu, pełna rozchodów i przychodów. Obecnie widzimy w dole księgę rachunkową, kolumna rozchodów w odbitych baryłkach: uran, pluton, kadm i rtęć, teraz kolumna przychodów, zakopanych na naszych oczach, pogrzebanych w sprzęcie wojennym. Panie i panowie, za chwilę wzbijemy się kilka metrów wyżej. Rafale odskakuje od pękatego kurhanu - sto siedemdziesiąt kontenerów o średnicy sześciu metrów, bliskich implozji. Oddychajcie przez maskę, kabina jest pancerna, oddychajcie. Dwa tysiące metrów, plamy znikają, trzy tysiące metrów, znika wybrzeże, teraz nareszcie rozumiem, nic pan nie może zobaczyć, Stevens, nic a nic. Cztery tysiące metrów nad poziomem lądu, pięć tysięcy, już

¹³⁰ Mitchell-Brown - katapulta startowa, urządzenie umożliwiające start samolotu z pasa o ograniczonej długości (zwł. na lotniskowcach).

łatwiej panu oddychać, sześć tysięcy, niech pan je łapie, łapie przed sobą, wyciąga do pana kielich, to Lete¹³¹.

Wessany pędem powietrza rafale wibrował jak oderwany liść, szypułką do przodu, kto pod brzuchem komara pomyka? Afryka. Ostrzyżony dywan. Dawaj tabletki nivaquiny, kancelisto, nie trząś się tak: na tej wysokości nie ma komarów. Wieniec korzeni palił mi klatkę piersiową. Gdyż znajdowaliśmy się w piwnicznej żyłce ziemi i w tej atmosferze rozrzedzonego tlenu, do której widliszki roznoszące *falciparum*¹³² nie docierają, gdzie unoszących się w powietrzu duchów *pneumas* jest zatrząsienie.

- Witaj, szamanie.

- Witaj, czarownico, pozdrów swoje stadko.

I kiedy z prędkością ponad tysiąca trzystu kilometrów na godzinę przelatywaliśmy nad młynami, czas dusz trwających w zawieszeniu przenikałabinę swym odwiecznym refrenem.

Wielkolud, który poluje na nieostrożnych podróżników, przybył z Kamerunu w sposób najprostszy z możliwych. Przez luk, przez moje usta. Korzenna głowa.

- Nazywam się Ogoumele - powiedział - Mam czterdzieści cztery córki i trzydziestu trzech synów wojowników i od razu ci powiem: jestem snobem.

Byłem szoferem-pomywaczem, ale kiedy pompuję oponę, to tańczę. Nie jest to muzyka, chociaż też jest, nie jest to pulsowanie krwi, ale coś płynącego z duszy, rytm, harmonia, sztuka życia, rozumiesz? Unosi mnie powietrze, trzymam to coś do napompowania, tę nieprzydatną rzecz białych, tę dętkę. Mam w ręku miech, a tłokiem jestem ja: szofer-pomywacz Ogoumele. Książę. Szofer pompuje po książęcemu, Ogoumele, tchnienie podmuchu idące od nadgarstka po kolano, z góry na dół w miechu, książęcy, rozumiesz? Praca rozplywa się w harmonii ruchu, topnieje. Jak cukier w szklance, nie znikając jednak, praca zmienia postać. Dostrzegłeś kiedyś jaguara w pierwszym lepszym kocie? Właśnie, rozumiesz?

Szepnę ci coś w tę sakwę korzonków, pokaż mi zawór służący ci za małżowinę uszną, pokaż mi swoje ucho, rozdział usta, to ja tak świszczę. Oye.

- Rrrroiiiiix!

Dawno, dawno temu, w krainie dwóch rzek Khala Khalaha, ze swojej chaty-w-serculasu na pierwszy śpiew ptaka Kimbala wyszedł myśliwy. Był to wielki myśliwy. Poprzedniego dnia pościł, a po przebudzeniu obmył się w tykwie z brunatną wodą, wywarem z ziela, które

¹³¹ Lete - (mit. gr.) rzeka zapomnienia w Krainie Umarłych.

¹³² *Plasmodium falciparum* - pierwotniak, zarodziec sierpowy. Wywołuje malarię, jest roznoszony przez ślinę komara widliszka.

kamufluje ludzki zapach. Obie ręce miał zdrowe, kiedy zdjął swój łuk ze stropowej belki, ciało MO miał niezłomne, kiedy przytroczył kołczan na biodrach, umysł miał jasny. Pamięć miał niezawodną, kiedy ruszył tropem na tyłach swojej chaty-w-sercu-lasu, minął ogrody manioku, minął palmy, minął drzewa cedratowe i zagłębił się w wielki las. Czujny na najślabszy ruch powietrza, na ukradkowe szelesty pod liśćmi, recytował w duchu pieśń myśliwego-który-rusza-w-drogę, pieśń, która czyni jego kroki cichszymi niżli woda na zatopionych kamieniach.

Słońce wschodziło nad głowami wysokich drzew i nawet ono musiało wyteńczyć wzrok, żeby go dojrzeć.

Umysł miał pogodny, kiedy spotkał pająka Asini i się z nim przywitał.

- Czy niebo ci sprzyja, Asini? Witam twoją pajęczynę i przędzę z twojego odwłoka, witam twoją szwagierkę i twoją babkę, witam twoje córki śpiące w kokonie, czy twoja rodzina, sławny pająku Asini, ma się dobrze?

- Witam cię, myśliwy, niebo mi sprzyja. Niech sprzyja i tobie. Dokąd prowadzą cię stopy rankiem w wielkim lesie?

- Z twoją pomocą, Asini, tropem Koumba Keleete, rączego zająca o ogromnych uszach.

- Podążaj dalej prosto, myśliwy, dokładnie trzy godziny temu nasrał pod fikusem mugumo.

Pamięć miał niezawodną, kiedy spotkał najważniejszego węża i się z nim przywitał.

- Niech niebo ci sprzyja, Conda, niech ogrzewa twoje łuski, pozdrawiam twoje jajeczka w gnieździe i wyliny twoich przodków. Widziałeś Koumba Keleete?

- Zawróć, myśliwy, Koumba Keleete przemknął hen, przy termitierach za krzewem tamaryndowca. Tak mu było spieszno, że mało mi nie nadepnął na ogon. Niech światło będzie z tobą.

Serce miał niezłomne, kiedy spotkał Starego Sępa i się z nim przywitał.

- Czy niebo ci sprzyja, Długa Pierzasta Szyjo? Pozdrawiam twoje dzieci w ich puchu i ostre szpony twoich przodków. Widziałeś Koumbę Keleete?

- Widziałem jego ogon znikający w trawach na szlaku ciemnych gazeli. Czemu chcesz zobaczyć zająca, myśliwy?

- Żeby się kochać z jego córką, Stary Sępie. Jesteśmy poślubieni od dwóch pełni księżycy, a jeszcze jej nie pokazałem mojego kordelasa.

Nie zamglily mu się oczy, kiedy zobaczył Koumbę Keleete wyskakującego z korzeni swojej jamy, nie zadrżały mu dłonie, kiedy napiął łuk, ale strzała, którą wypuścił, uniosła jego pamięć. Uniosła jego pamięć, bo kiedy trafiony jego szybką strzałą zając padł martwy,

myśliwy podniósł go bez słowa i bez słowa przytroczył do rzemienia kołczanu. Zamiast posłać duszę Koumby Keleete do domu jego przodków, żeby się w nim odrodził, podniósł zdobycz i zabrał ją bez słowa. Nie opowiedział historii Koumby Keleete zrodzonego ze Sprytu i Chyżości, kiedy kamienie w brzuchu Akoumwele były jeszcze zimne, kiedy wody w centrum wygiętego w łuk świata jeszcze się nie rozdzieliły. Nie opowiedział o jego matce-kuzynce, matce nerwowych wiewiórek, ani o tym, jak jego ojciec-błyskawica nauczył się biec zyzakiem w buszu wprawianym w drżenie ciężkimi łapami grubej zwierzyny. Zaniechał wspomnieć o jego dumnej i rozwiązłej młodości, kiedy odbył podróż aż do trzeciego Nieba, gdzie otrzymał od Bowagadama amulet cwaniaka, któremu zawdzięczał swój przydomek Keleete, Spryciarza. Nie wspomniał ani słowem o swoim rozwoju aż po wiek dojrzały ani o wybrykach, które z jednej strony uzależniły go od gorzkich traw, a z drugiej od cętkowanych zwierząt i pazernych orłów. Nawet nie napomknął o meandrach jego ostatniej drogi, o mugumo, pod którym nasrał tego ranka, krzewie tamaryndowca, który okrążył, słodczy jamy, którą pospiesznie opuścił, kiedy kroki myśliwego zadudniły na suficie. Pozbawiając go w ten sposób powrotu do domu przodków, żeby się w nim odrodził, milczący myśliwy sam się pozbawił Koumby Keleete. Koumby Keleete i wszystkiego, co się z nim wiązało. W taki to sposób dziurawi się i zatracą świat.

- Rrrroiiiq!

To ja, Asoumtouwele Kilombo, głowa korzenia tego miejsca. Rrrroiiiq, ja teraz świszczę, to moja kolej świstania. Stańcie w kolejce, diavolos tego miejsca, ach, miejsca...

- Rrrroiiiiiiq!

Kiedy biały przybył do Kombeul, spieszył się, ooch, spieszył, bardzo mu było spieszno. Chciał wszystko wiedzieć. Rozmawiać z wodzem, potem ze starcem, potem ze spokojnym człowiekiem. Potem chciał rozmawiać z myśliwymi i kobietami. Rozdawał tytoń w tekturowych pudełkach, ooch tak, dużo tytoniu. Spiesz mi się, bardzo mi się spieszy, pospieszcie się, please, powtarzał przez okrągły dzień. Czy chciał jeść? Bardzo mu spieszno, niedobre. Czy chciał rozmawiać? Tak, bardzo mu spieszno, bardzo. Zbudować chatę? O, tak, bardzo mu spieszno. Czy chciał usiąść, skosztować piwa? Dobrze, ale szybko, szybko, na moje przyjście czeka góra. Mam dla niej podarki, gdzie jest człowiek, starzec, który jej strzeże i zna sekrety? Mam dla niej kamienie, nowe bardzo skuteczne kamienie, tytoń dla niego, pasterza, żeby go uspić. Ooooo, uspić? Wtedy ja, Asoumtouwele Kilombo, mówię mu: Pospieszny, ja będę twoim asystentem, najpierw mi zapłać. Zaprowadzę cię do góry. Pokażę ci starca. Zaprowadzę cię, żebyś porozmawiał z wodzem. Zaprowadzę cię do kobiet. Zaprowadzę cię na ziemię, gdzie stanie twoja chata. Poprawię twoje błędy językowe. Poprawię twoje błędy

etykiety. Na początek mi zapłać. Żadnym tytoniem ani świecidelkami. Ooo, nie. Powiedział tak. Pierwszego dnia zgubiłem go w buszu. Wróciłem do wioski, żeby odbyć sjętę, tymczasem on w wielkim pośpiechu kręcił się u podnóża góry, ale jej nie widział. Drugiego dnia po nocy spędzonej na kręceniu się spał. Trzeciego dnia krzyczał: Szybko! Szybko! Szachraju, zaprowadź mnie do wodza, dotrzyмай słowa, muszę spotkać się ze starym człowiekiem i ze spokojnym człowiekiem, muszę porozmawiać z kobietami! Ekspresem!

Mnie, Asoumtouwele Kilombo, wodza Kombeul, nazywał Ekspresem przez cały ten czas, kiedy został.

Zaprowadziłem go do kobiet.

Popatrzyły na niego i nie chciały rozmawiać. Śmierdzi, mówiły, śmierdzi trupem. Przy takim smrodzie lepiej nie otwierać ust.

Te słowa przyniosły mu ulgę, nappełniły spokojem. Przestał wychodzić, przestał mówić, skończyło się jego gestykulowanie między chatami. Zamknął się w starej chacie. Na długi, długi czas. Jedyne, co robił, to drapał po stole małym kawałkiem plastiku. A potem któregoś dnia wyszedł: Sprowadź pasterza, Ekspresie. Nie możesz mi pokazać drogi do góry, to niech zejdzie pasterz.

Był to okres nowych deszczów, stary człowiek miał niedługo zejść. Powiedziałem: dobrze, zgoda. Zejdzie. Kiedy, Ekspresie? Zejdzie. Tak, ale kiedy? „Kiedy” było jego drugim przydomkiem w buszu.

Stary człowiek schodził zbyt wolno, więc Pospieszny Kiedy wyszedł mu na spotkanie. Wpadł do rzeki i rozbił sobie głowę o kamień. Zaniesiono go do wioski. Znowu siedział spokojnie przez długi, długi czas w swojej chacie. Potem wyszedł: Idę do miasta. Ledwie mógł ustać prosto, trzęsły się pod nim nogi, ale powiedział: Idę do miasta. Poszedł.

I wrócił.

Dużo pewniej trzymał się na nogach, już się nie trząsał, nie był taki biały.

Wtedy ja, Asoumtouwele Kilombo, zrozumiałem, co się stało „w mieście”. Miał romans. Romans z kobietą Cohumba. Używając przy kobiecie Cohumba swojej procy, nabrał sił. Był silniejszy, ale wciąż bardzo Pospieszny.

Chcą się zobaczyć z wodzem, Ekspresie, muszę z nim pogadać, potrzebna mi chata, nie zapominaj, że ci zapłaciłem. No właśnie, moja trzecia żona potrzebuje wyposażenia do kuchni. Co takiego? Posłuchaj, Pospieszny, wyznajemy kult czaszek, nosimy maski podczas ceremonii, mówimy z akcentem tonicznym¹³³ i jak chcesz, możemy zjeść człowieka, jeśli

¹³³ Akcent toniczny - akcentowana sylaba wymawiana jest specjalnym tonem (np. wyższym), w

chcesz, specjalnie, z tańcami i demonicznymi śpiewami. Jeśli to lubisz. Ale moja trzecia żona potrzebuje wyposażenia kuchni.

Zmęczony wrócił do miasta.

Z miasta wrócił odmłodniały: kuchnia jest w chacie twojej trzeciej żony, Ekspresie. Zaprowadź mnie do wodza, chcę z nim pogadać, muszę zabrać górze kamienie. Ale ja, Asoumtouwele Kilombo, od razu powiedziałem: nie, jest pora nowych deszczów, księżyc nie sprzyja.

Przygnębiony poszedł w deszczu do miasta.

Z miasta wrócił suchą porą roku rozchmurzony, jak zawsze Pospieszny. Nie spodobało mu się, kiedy powiedziałem, że stary człowiek wrócił na swoją górę. Krzyczał, walił w ziemię, walił w chatę, walił w drzewa w buszu i powędrował z powrotem do miasta.

Wrócił w pełnej formie.

Ja, Asoumtouwele Kilombo, zwołałem radę wioski na taką ewentualność. Ten Pospieszny mężczyzna za bardzo ryzykował. Kobiety Cohumba są ogromne i niebezpieczne w pewnych okolicznościach. Rada ostrzegła go: Nie śpij nigdy w cieniu swojej kobiety Cohumba, nie zapładniaj jej zbyt wieloma nienarodzonymi dziećmi. Nie mam kobiety Cohumba ani żadnej innej, nie znam nikogo w mieście, moja proca jest bezczynna, odpowiedział Radzie. A Rada się bardzo uśmieła. Urządziliśmy uroczystość z bębnami wydrążonymi w ceglany drzewie, piliśmy piwo. A ja, Asoumtouwele Kilombo, ponieważ byłem pijany, powiedziałem mu, Pospieszny, jak chcesz rozmawiać z wodzem, to ze mną rozmawiaj. Wytrzeszczył oczy, rozdziawił usta i wyrzygał całe wypite piwo.

Nazajutrz wyruszył do miasta.

I nie wrócił.

Kobieta Cohumba, zapłodniona zbyt wieloma dziećmi jego procy, przygniotła go we śnie. Widziałem ją. Była wielka jak baobab liczący sto i dziesięć wiosen, a na jej ogromnym ciele wielkie garby nienarodzonych dzieci, poczętych przez procę Pospieszego, sterczały ohydny obrzękły bąblami. Zwalila się na niego nagle, kiedy odwracał się, żeby zachrapać w jej cieniu. Splaszczyla go na placek.

I w taki właśnie sposób mężczyzna zbyt Pospieszny lub zbyt Zachłanny zapładnia ziemię Cohumba zbyt licznym potomstwem, które nie ma czasu dojrzeć.

I w taki właśnie sposób ziemia nas w końcu zgniata.

- Rrrroiiiiiiiq!

Obudź się.

- Robimy postój - zarządziła major, stukając w ekran kontrolny.

- Co, jak, gdzie jesteśmy?

- Nie wiem.

Było ciemno. Nie widziałem, kiedy zapadła noc, z powodu korzennych pieśniarzy. Ostatni uczył mnie akurat trzech podstawowych kroków angolskiej *capoeiry*, kiedy Stevens jak zwykle bezceremonialnie mną potrząsnął, żebym się ocknął z zapaści, jak utrzymywał. Oczy i sumienie profanów zakrywa czarna zasłona, kiedy samolot kilkakrotnie gwałtownie przyspiesza.

- Obudź się, Lawson, Rrrroiiiiiq! Wstawaj, pobudka!

- Jak niby mam wstać w tej puszcze sardynek, idioto?

- OK, doszedł do siebie.

- Musimy zrobić postój - upierała się major - zbiorniki są prawie puste.

Trzeba było zejść z jet-streamu, zapalić światła sygnalizacyjne i wytrzasnąć jakiś pas nadający się do posadzenia kolibra. Mieliśmy dziesięć minut zasięgu.

- Nie ma sprawy - major dłonią w rękawiczkę pokazała złączony kciuk i palec wskazujący - wszystko gra, miękko schodzimy.

I przynajmniej raz była to prawda. Zeszliśmy miękko jak w ziemniaczane puree, żeby osiąść, moim zdaniem, nie wiadomo gdzie, niekoniecznie na asfaltowym pasie. Przy tych podskokach i iskrach znaczących trasę pod podwoziem rafale można by pomyśleć, że w warsztacie spawalniczym.

Na zewnątrz naszej mydelniczki powietrze było ciężkie i suche, w ciemnościach nocy panowała cisza jak makiem zasiał. Oprócz kęp krzywych zarośli i sylwetek jakichś sukulentów nic nie było widać. Ani jednego świerszcza. Sieć gwiazd nad głowami, ale żadnego odgłosu zwierzęcia. Miejsce było jak naładowane. Zacisnąłem wieniec o jedną dziurkę.

Major głęboko wciągnęła w płuca haust ciężkiego powietrza. Miała taką minę, jakby wsłuchiwała się w coś pod stopami. Aha, więc to tutaj?

Posłuchaj tego, Roiqu Stevens, to tutaj spoczywa zabalsamowana wprawnymi rękami Giagas¹³⁴ królowa owinięta w kory cieńsze od najcieńszych batystów luzytańskiej arystokracji. W koronie ze złota i srebra tutaj spoczywa, w swoim niewidzialnym grobowcu z wapna, namaszczonej krwią trzystu sług należących do jej osobistego personelu. Królowa

¹³⁴ Giagas - wojownicze plemię afrykańskie z terenów Konga, praktykujące kanibalizm.

Zingha¹³⁵ lub Nzinga, której prawdziwe imię brzmiało Ngola Mbandi Nzinga Bandi Kia Ngola, Królowa-Której-Strzała-Zawsze-Dosięga-Celu. Urodzona pod znakiem okrutnej królewskości, córka ósmego króla Matamby i jego nieśmiertelnie pięknej nałożnicy Changuelli Caucamby.

To stąd właśnie wyruszyła, wysłana przez swojego pokonanego brata, by negocjować warunki rozejmu z João Correia De Souza, wicekrólem portugalskim w Afryce Środkowej.

Kancelista przestał rzygać i zamrugał jak sowa.

- Skąd pani to wytrasnęła?

- Z uda Jowisza, ropucho. Spójrz tutaj.

U podnóża pagórka ubitej ziemi spoczywało trzysta naszyjników z pereł, kolia, diadem, stroik podtrzymujący zakurzone frędzle dredów kobiety Huila.

- Cmentarz królewski wysokiego rodu - powiedziała major, opuszkami palców dotykając rynsztunku - cmentarz Amazonek.

- Co też pani plecie, Echampson? Czyżby majaki Lawsonsa były aż tak zaraźliwe, że zatraciła pani podstawową orientację geograficzną? Znajdujemy się w Afryce, w Afryce nie ma Amazonki.

- Ejże, kancelisto. Amazonki żyły nie tylko na Lemnos i w Czechach, a Grecy, ci złodzieje kóz i osłów, zmiądzzyli je pod swoimi stalowymi ostrogami, to rzecz powszechnie znana.

Wchodziła na kopce z półprzymkniętymi oczami, jakby wędrowała aleją w Tokio, rozjarzoną trzystoma tysiącami migoczących neonów. Tak lepiej widziała.

Służąca. Służąca. Główna służąca. Następna. Zbliżamy się. Sługa mająca pieczę nad balsamami. Nad spiżarnią. Sługa mająca pieczę nad olejami. Królewska prządka.

Grona każdego naszyjnika, którego dotykała, ujawniały przed nią funkcję i pozycję kobiety pochowanej tu wieki temu, jeszcze przed wynalezieniem bomby atomowej.

- Słuchaj uważnie, Roiqu! Kiedy karawele admirała Diega Cão¹³⁶ dobiły do wybrzeży Afryki, ludźmi na pokładzie wstrząsnęła eksplozja radości. Zadrżeli aż po cebulki włosów na brodzie. Dygocząc, zeszli na ląd w muślinowych kryzach utyłanych w ślinie i w morskiej bryzie. Ujrzeni doliny pełne drzew pomarańczowych i cytrynowych, pola uprawne, rozwiniętą

¹³⁵ Zingha (1582-1663) - wojownicza królowa Matamby, walczyła niemal przez cały okres swojego długiego panowania z portugalskimi najeźdźcami, dowodząc armią złożoną z samych kobiet. W końcu jednak zawarła porozumienie pokojowe z de Souza, portugalskim gubernatorem Angoli. Utrzymała się przy władzy, z powodów politycznych ochrzciła się i przyjęła imię Anna.

¹³⁶ Diego Cão (1440-1486) - żeglarz portugalski, poszukiwał drogi morskiej do Indii, w 1482 r. odkrył ujście rzeki Kongo.

cywilizację. Pogratulowali sobie, dobywając ze skrzyń pergamin, na którym wszystko spisali. Niniejszym Admirał i ja, Alvaro Pedro da Costa Carvajal-y-Cabra, za pośrednictwem Jego Wysokości Króla Portugalii, pana rozlicznych szkunerów, nadaję sobie w osobiste władanie okoliczne ziemie wzdłuż wybrzeży, do których dobiliśmy dzisiejszego dnia, 1482 roku.

Trzask prask! Sto lat później przyszła na świat wojownicza dzierlatka, która miała ich utrzymywać w szachu przez osiemdziesiąt trzy lata. Walczyła o odebranie swojej ziemi z rąk zgnuśniałego wroga, używając wszelkich forteli bezpardonowej wojny. Wyrzekła się swojej wiary, przyjęła komunie, ów akt zaprzaństwa potwierdzając we wszystkich gotyckich przybytkach, jakie tylko jej pokazano. I prowadziła przeciwko nim swoje krwiożercze oddziały biegle w najwymyślniejszych działaniach ofensywnych.

Ona sama, dzięki własnej charyzmie, dzięki urodzie odziedziczonej po matce nałożnicy, przeciągnęła na swoją stronę zastęp stu zbrojnych w muszkiety mężczyzn, zwerbowanych z szeregów armii portugalskiej. Zafascynowani, w spodniach i z gołymi głowami, z odcisniętymi na torsach pasami od ładownic, twarzami zwrócenymi w stronę morza ćwiczyli pod jej rozkazami. Każdego ranka z dumnie zadartym podbródkiem przeprowadzała inspekcję swoich ludzi i żaden z tych dezertersów bez przyszłości nie ośmielił się omieść najmniejszym pożądlwym spojrzeniem jej wypiętego zadka.

Otruła swojego brata, który zabił jej syna. Poderżnęła gardło swojemu bratankowi, wcześniej go poślubiwszy, tak by wymarła ta zdeprawowana gałąź rodu poczęta przez jej ojca. A potem panowała niepodzielnie. Niechaj mężczyźni czyszczą broń. Niechaj staną przede mną rzędem najpiękniejsze z dziewic, czuję, że zbliża się mój czas. W buszu zjadała gołymi rękami udźce antylopy. A kiedy ucztowała zgodnie z nową modą, przy stole, służba stołu królewskiego rozstawiała złotą i srebrną zastawę na kolanach. Przed wicekrólem de Souza, rozwalonym pośród obfitości kobierców i haftowanych poduszek, zasiadła na niewolnicy, niewiele mówiła, jeszcze mniej słuchała, a niewolnicę klęczącą na czworakach zostawiła na portugalskim dywanie: królowa nie używa niczego dwa razy.

Niechaj staną przede mną rzędem najpiękniejsze z dziewic.

Grobowiec Zinghi nie był budowlą, tylko gigantycznym bananowcem. Wyrastał w górę tak wysoko, że swymi zielonymi liśćmi zasłaniał czarne, rozgwieżdżone niebo w promieniu jednej mili od głównego pnia. Echampion pogłaskała wielkie liście, zerwała kiść owoców i oparta plecami o giętką łodygę silnego kłacza, zaczęła jeść. Mocno żuła i głęboko wzdychała, dobywając jednocześnie zza pazuchy kilka moich magicznych korzeni, żeby urozmaicić swój posiłek w buszu. W. z uszanowaniem podał jej rum, znów ogarnęła go

ciekawość historyka.

- Jak to było, skąd pani wytrzasnęła tę tak doskonale kafirską historię?

- ...uda Jowisza - odpowiedziała, bekając bąbelkiem wonnego alkoholu.

Nie znosi, żeby zakłócać jej posiłki metodologicznymi rozważaniami.

Niemniej kiedy między pniami grobowca Zhinghi zawisły hamaki, kiedy poczuła w dłoni ciepły kształt butelki pusser'sa¹³⁷ i przypomniała sobie, że nikt z nią nie będzie rywalizował o flaszkę, zgodziła się oświecić zachłannego kancelistę, który zawiesił sznurek tak, żeby się mogła bujać.

To było w Arizonie, Waterfull, w tych błogosławionych czasach, kiedy żyłam pełnią życia. Wracałam z wyprawy importowo-eksportowej między Tumaco w Kolumbii i Stanami Zjednoczonymi pod płaszczykiem DIA¹³⁸, w ładowniach miałam pięć ton kolumbijskiego towaru najlepszej jakości. Nie spiesząc się, żeglowałam wzdłuż meksykańskiego wybrzeża, odwiedzając, jak należy, Isla de Coco i zatokę Tehuantepec i opływając w pewnej odległości Sierra Madre del Sur, żeby uniknąć kieszonkowców z PGR¹³⁹, zawsze okropnie aroganckich. Po dyskretnym postoju w Las Varas, gdzie miałam otrzymać uzupełnienie ładunku - w gotówce - w siedemdziesiątym drugim dniu żeglugi minęłam przylądek Isla Clarion.

Na wysokości Gwadelupy, płynąc w kierunku Kalifornii Dolnej Północnej¹⁴⁰, musiałam załatwić pewien drobny problem w postaci trzech mężczyzn i dwóch psów złaknionych tego i owego. Niektóre ryby na pewno to jeszcze pamiętają. Jednym słowem po dwóch i pół miesiąca pięknej morskiej trasy zacumowałam w Tijuanie, w zakątku portu spacerowego zapewniającym pełne bezpieczeństwo za sprawą mojego przyjaciela Rosaria Fuhana Empalmego (stara historia). Moim celem było dotarcie do klubu Nineteen Ninety Seven w Las Vegas tego samego dnia przed północą, żeby złapać mój kontakt zapowiedziany na falach krótkich czterdzieści osiem godzin wcześniej. W San Diego wsiadłam do samolotu, bez bagażu i zmartwień, trawa była w bezpiecznym miejscu, wszystko proste jak drut.

Wypaliłam więc na pokładzie trzy porządne jointy i ruszyłam lekkim krokiem na spotkanie z moim przeznaczeniem. Czyli, póki co, na calle Porfirio Diaz do Carlocata Manoela, *especialisto todas coches y americanas*.

Ledwie przestąpiłam przesuwane drzwi garażu, zza starego chevroleta wyskoczył

¹³⁷ Pusser's - nazwa firmowa rumu produkowanego na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych.

¹³⁸ DIA - *Defence Intelligence Agency* - Agencja Wywiadu Obronnego, wywiad wojskowy USA.

¹³⁹ PGR - *Procuratoria General de la Republica* - służby śledcze wymiaru sprawiedliwości, podlegające prokuratorowi generalnemu Meksyku.

¹⁴⁰ Kalifornia Dolna Północna, Baja California Norte, stan w Meksyku, w pn. części Półwyspu Kalifornijskiego.

jakiś mechanik i gwałtownym szeptem zabronił mi wchodzić do biura. Przeprasiny *miss madam, boss* wielka konferencja, kwadrans, *paciencia y muchas gracias*, ciii, tędy, tędy *por favor*. Może bym i poszła za jego radami, gdyby nagle przez oszklone drzwi wynajętego biura nie zagrzemiał czyjś dźwięczny sopran. Głos, uau, gorący, przekonujący, giętki i ostry jak brzytwa, głos, który obrzucał klątwami Jivara ród Manoela, przepowiadał mu plajtę w interesach, gliniarzy z obu krajów węszących w jego sprawkach z tablicami rejestracyjnymi, jego koleśków handlarzy obrabianych przez hordy rozjuszonych hien, a tu i teraz zrobienie totalnej rozpierduchy, jeśli itd.

- Nie przeszkadzam?

Manoel pobladł pod opalenizną smaru, a stojąca przede mną strzelista Murzynka odłożyła niedbale kij bejsbolowy na zawałone biurko.

- Zaraz skończymy.

Obcięła mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Może będę mogła coś dla pani zrobić. Nazywam się Echampion - powiedziałam, podając jej dłoń.

Uśmiech. I niesamowity, elektryzujący dotyk. Giętkie wnętrze dłoni, palce długie i delikatne, twarde paznokcie.

- Czemu nie.

Nabyłam za gotówkę vana vauxhalla z 98 roku i zaproponowałam, że może go zatrzymać w zamian za podrzucenie mnie kawałek do San Diego. Pisze się na to, ale nim cokolwiek zrobi, musi najpierw wpaść do Phoenix.

- Nie ma sprawy.

W minutę, jaką jej zajęło zdemolowanie garażu Carlocata, zapomniałam o moich pięciu tonach towaru, i przez tych piętnaście dni, które z nią spędziłam, wspomnienie ich ani razu nie było na tyle naglące, żebym podniosła słuchawkę telefonu.

Ach, Alma Negra, Janaina, istne чудо!

W Phoenix zostawiła mnie na pół godziny przed willą z basenem razem z CD Madonny i dwoma grubymi, dobrze zwiniętymi jointami, pochodzącymi prosto z kieszeni na jej piersi. *There is no resurrection. There are too - too, too, too many questions.*

Wypaliłam je w skupieniu, *feel good*, rozdwojona. *I got you under my skin*. Kiedy znów usiadła za kierownicą, byłam dogłębnie, *you make me shine*, szczęśliwa i gotowa. Miała fantastyczne biodra.

Na autostradzie międzystanowej nr 48 w kierunku na Flagstaff musiałyśmy się co najmniej pięć razy zatrzymać, żeby odwiedzić tył vana.

Całe jej ciało opinała jednolicie jedwabista skóra. Była chętna, czuła, wysportowana, pożądliva, dyskretna i bez zahamowań. W najczulszych momentach rozmyślnie bezwstydna. Jej włosy łonowe były króciuteńkie i zarastały wysoko podbrzusze. Kiedy się kładła, ujmowała w palce swoje wargi sromowe i rozchyłała je, ukazując różowego małża zwiniętego w futerku czarnego lasu, Brazylia, węgiel drzewny; aż mnie skręcało z rozkoszy. Tak, pożądanie jest bolesne, Janaino, jest rozkoszną torturą.

Lubiła, żeby ją brać na kłęczkach, wczepioną obiema dłońmi w sufit vana, zawieszoną, jednym palcem (major) i żeby patrzeć, jak szczytuje.

Lubiła obciągać, skubać wargami i czuć, jak moje futerko ociera się z szelestem o jej czarny krągły zadek.

Lubiła, żeby ją stymulować u nasady pochwy, gorąca dłoń, jak skręcająca się spirala, i na dwa palce rozchylenia. Czasami ją wtedy bolało.

Miałyśmy piętnaście dni na pełne poznanie ciał i pozycji. Na poboczu szos, za budkami telefonicznymi, nad brzegami jezior, w jankeskich dekoracjach Wielkiego Kanionu i w toaletach na stacjach benzynowych, to był jeden niekończący się ciąg szaleństwa. Nieopanowany głód. Brak granic między dniem i nocą. Spałyśmy dwie godziny, jechałyśmy dwie godziny i musiałyśmy się znów zatrzymać.

A przecież wszystko się zaczęło od jednego muśnięcia opuszkami palców, kiedy brała zakręt, żeby podjechać do restauracji *drive-in*. Działanie trawki spotęgowało i pogłębiło doznanie. Napięcie, zmieszanie, uważne spojrzenie. Wykonała ostry zakręt z powrotem.

- Nie jestem już głodna.

- A ja tak, chodź. - Prawie suplika.

Była Afroamerykanką brazylijskiego pochodzenia. Skończyła socjologię na Uniwersytecie Stanforda, a potem zajęła się badaniami historycznymi na wydziale studiów humanistycznych. Temat pracy doktorskiej: Trwałość i integracja kolonialnych schematów antropofagicznych we wschodnioafrykańskich kulturach ustnych. Przyjętej z gratulacjami. Komisja egzaminacyjna nie mogła oderwać oczu. Oczy-piersi-usta i włosy.

Dzieciństwo spędziła w Arizonie i w każde Boże Narodzenie polowała na grzechotniki. W siodle i gołymi rękami. Wszechstronnie wysportowana. Uda lekkoatletki, biegaczka.

Rozstanie z nią było bardzo bolesne.

W Stanford poznała brazylijską badaczkę, która opowiedziała jej o Hetytkach i o wojowniczkach z Dahomeju, zanim dotknęła w kafeterii jej piersi. Odepchnęła ją na automat ze snikersami. W następnym roku dostała nagrodę Nancy Ogden i wyniosła się do Luandy.

Tam Zingha krążyła pod różnymi maskami.

- Życzy pan sobie przypisów bibliograficznych, kancelisto?
- Lepiej mi zrobi łyk rumu.

W słońcu widok był przygnębiający. Z ziemi oprócz królewskiego bananowca nic nie wystawało. Przywilej tyranów: królowa wszystko wokół wchłonęła.

W dodatku rafale miał rozwalone podwozie i nie działał radar.

O dziesiątej rano było trzydzieści pięć stopni.

- I co zrobimy? - zapytałem z miną... możliwe, że lekko wstrząśniętą.

- A co chciałbyś zrobić, rurociąg naftowy? Zabieramy manierkę, pm-a i spadamy.

Stevens stał się agresywny! Ale ciągle gadał. Pięć godzin marszu później był tak rozbity, że razem z ostatnią kroplą wody wyparowała mu z głowy myśl, żeby trzymać kierunek.

Co do mnie, milczałem jak zaklęty. Śmieszą mnie te żółtodzioby. Gadają, nakręcają się, atakują, ale dwieście metrów dalej płaczą krwawymi łzami. Platfusy! Trzeba ci było chodzić na kursy Stalking Wolf¹⁴¹, a nie latać przez całą młodość w przestworza. Z tymi twoimi kapsułami paliwa raketowego i szkoleniami w przestworzach daleko zajdziemy, to pewne.

Po pierwsze, na sawannie nikt nie śpi przez całą noc jak zabity. Śpi się jednym okiem, kontroluje pogodę i uważa na ruchy zwierząt. Po drugie, ślady - ślady prowadzą do wodopoju. A po trzecie, major mówi, że dalej na północ płynie Cuanza. Jeśli wierzyć moim nozdrzom i zmieniającej się roślinności, odkąd wyruszyliśmy, powiedziałbym że o dwa, trzy dni marszu. Marszu, nie lamentów. Ale oczywiście, jak ktoś nie potrafi się obyć bez butów...

Jeśli chce ci się pić, possij kamień.

Jeśli jest za gorąco, maszeruj nocą.

Major, jak zawsze metodyczna, zabrała zestaw pierwszej pomocy oraz *space blankets*, pastylki do uzdatniania wody i szlafmycę. Wystrzeliła też z rafale jeden z samokierujących pocisków raketowych powietrze-powietrze na podczerwień, żeby zaznaczyć szlak. Ale Stevens był tak przerażony tym, że wylądował na sawannie na własnych nogach, praktycznie na golasa, że trudno mu było wypatrzeć poszarpane wilczomlecze.

- To bez swojego Puspaki jesteś już niczym? - mówił. - Daleko jeszcze?

Dwa dni. Kiedy zobaczymy czarne i okrągłe kamyki, jeden dzień.

A kiedy on z chusteczką do nosa na głowie włókł się naprzód, ja przetrząsałem zarośla.

Te strony obfitowały w powszechnie znane kopytne. Kaktusy były wystarczająco

¹⁴¹ Stalking Wolf School - założona przez Toma Browna „szkoła przetrwania”. Nazwa wywodzi się od imienia Indianina, od którego Brown uczył się sposobów adaptacji do życia w dzikiej przyrodzie, tropienia śladów zwierząt, radzenia sobie w trudnych sytuacjach.

grube, żeby z pożytkiem upuszczać z nich sok, i zawierały tyle kreozotu, że na każdym postoju mogły dostarczyć aromatycznej kąpieli odprężającej. Jednym słowem był to piękny płaskowyż. Suchy i odkryty, zgoda, tyle że z pragnienia nie było człowiekowi wcale do śmiechu, kiedy przeklinał to kurewskie, zgniłe, zapadłe pustkowie.

Zresztą ten pieprzony busz mógł roić mu się pod stopami w postaci gryzoni i gniazd os, odchodów zebr i świergotu ptactwa, on sam, jak utrzymywał, był całkowicie „odizolowany we wrogim środowisku”. Czarne antylopy przemykały na odległość strzału z garłacza, ale on nie, nie, nie widział nic żywego, wyłącznie minerały. Co za susza, i żeby tylko. Tym, czego potrzebował Stevens, było wypisane na fantastycznym znalezisku kancelisty (drugiego dnia), na urzędowej tablicy: Parque Nacional de Canganlada. Wtedy natychmiast odzyskał kolory, pęcherze pod stopami zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ciśnienie mu podskoczyło, *idem* poziom glukozy, poczuł, że na nowo jego ciało wypełnia woda, że pulsują komórki. Uśmiechnął się. Ta tablica była prawdziwym zmartwychwstaniem. A wraz z nim pojawił się przebłysk przytomności:

- Ejże, czy to, co słyszymy, to nie jest przypadkiem lew?

- A jednak!

Podążał za nami od pierwszego dnia. Z czystej ciekawości, bo nigdy się nie zbliżał i nie trzymał się przez cały czas pod wiatr, jak to robią polujące drapieżniki. Co więcej, widziałem zwłoki zebry, którą się objadł, zanim za nami ruszył, i wiedziałem, że pod tym względem przez jakieś trzy lub cztery dni, kiedy będzie trawił, mamy spokój. Czyżby nas brał za lodówkę na łapach, z rodzaju tych łatwych w transporcie? Możliwe. Póki co, na moje oko, nie było powodu do paniki. Jednak Stevens podjął natychmiast odwrotne działania.

Mając za plecami tablicę kancelisty, jak i całą cywilizację, zaczął od tego, że zmarnował pełen magazynek. TATATATATA. Otarł czoło. W tak oczyszczonym promieniu pognał, nie bacząc na swoje poranione stópki, szukać wszystkiego, co można by zapalić. Ułożył wokół siebie krąg z naręczy suchej trawy i kawałków gałęzi, z tabliczką pośrodku w charakterze tarczy. Średnicy sześciu metrów. Lew zdążyłby go tymczasem czterdzieści cztery razy pożreć, ale to nieważne. Kępą rdestnicy zamiótł plac i jął z kamieni układać pas przeciwpożarowy wewnątrz swojego nowego gniazdka. Genialne, naprawdę genialny pomysł. I teraz będziesz czekał na wroga, tak? Na barbarzyńców, którzy ci zazdroszczą twoich oszczędności? *Eul'Diaha?*

- No więc, Lawson, co ty na to? Niezrównane, prawda?

- Świetne, Stevens. Bardzo ładne. Wiesz, kogo mi teraz przypominasz? Skorpion w pułapce.

Major pękała ze śmiechu. W Jaunde widziała dzieciaki, które się w to bawiły. Podpalały starą oponę, a uwięziony wewnątrz niej skorpion piszczał, wyginał się, trzął ze strachu jadowitym kolcem i w końcu sam sobie wbijał żądło. Kapitalne.

- Tak to panią śmieszy?

Był wściekły.

- A zresztą nieważne. Dzisiaj śpimy tutaj.

Oczywiście, nic z tego nie wyszło: tablica nie była na tyle szeroka, żeby między jej słupami zawiesić hamak (boi się mrówek). Co do mnie, to, czy śpię na moich korzeniach, czy nie śpię, wszystko mi jedno. Wystarczy wbić cztery paliki w rogach koca ratunkowego, żeby mieć przez całą noc spokój, albo zawinąć się w niego jak dzwonko dorsza w papilocie, ale tamten, no pewnie, potrzebuje hamaka. Sam sobie poszukaj i uważaj na lwa. Te twoje drzewa!

W końcu spędził noc, siedząc po turecku pod tablicą urzędową i przy małym ognisku z pm-em na kolanach. Musiała to być pozycja jogi Czirokezów albo noc rzeczywiście przynosi dobrą radę: o świcie był pewny swego.

- Widziałem jego ślepią, nie robi nam krzywdy. Bardzo żółte. Dwa reflektory. Brrr.

Był to tylko jakiś stary osobnik, który przyszedł zażądać zdania rachunków od pewnej dwunożnej hieny, która przez jakiś czas podawała się za króla zwierząt. Stevens zaklinał się na tablicę urzędową, że o niczym nie wie, nikogo ani niczego po drodze nie widział, a jeśli o niego chodzi, to jest szczególnie ponad wszystkie te historie z panowaniem, jako że od śmierci swoich bliźnich nie ma nad czym, ale to zupełnie nad czym panować, niech mi pan wierzy. Proszę pana.

I zwierzę sobie poszło.

- Nie strzeliłeś mu w plecy?

- Nie miałem broni.

Ten kretyn zostawił magazynki trzy kroki od ogniska z powodu pewnej zasady bezpieczeństwa, w myśl której nie powinno się bez pilnej potrzeby trzymać prochu w pobliżu iglicy.

Dziwne, ale uznałem, że czyni pewne postępy.

Z nastaniem dnia przystąpił do zbierania za pomocą kawałka plastiku i puszki po konserwach pół litra skroplonej wody. Potem, nie wrzuciwszy nawet pastylek, łąpczywie ją wypił i w następnej godzinie wypocił.

Drobne postępy.

Niemniej odtąd posuwaliśmy się nocą. Księżyc był w pełni i dostarczał białego i tak

intensywnego światła, że kancelista znajdował sposób, żeby w czasie postojów czytać, świecidełka czy świetliki, tego typu rzeczy. Lew nas opuścił.

Pewnej pięknej nocy dotarliśmy do celu wytyczonego przez rakiety i busolę pani major, Cuanzy. Jej obliczenia nie były złe (ani moje, a jeśli potrzebowaliśmy na to sześciu dni zamiast trzech, to była to wyłącznie wina płaskostopia Stevensa), znajdowaliśmy się na wschód od Muongongo, jakieś dwieście pięćdziesiąt kamieni granicznych od Malanje, najbliższego dostępnego lotniska.

- Co teraz?

- Cierpliwości.

Pomysł był taki, żeby zbudować tratwę z drewna spławianego rzeką z leśnej plantacji w Tala. Potem wystarczyło na nią wsiąść i pożeglować z prądem, aż do zatoczki trzcin, znajdującej się dziesięć kilometrów od lądowiska w Malanje. Dobrze wszystko obmyśliła. Projekt rodzaju pirogi, który narysowała, wzorował się na szalupach niegdyś pływających w Ceara, surowych i łatwych do zbudowania, bo sprowadzających się do trzech z grubsza ociosanych kawałków drewna, połączonych dwoma belkami poprzecznymi, z otworem na maszt i z jedną ławeczką.

- Niejedną, tylko dwoma ławeczkami, Lawson: *banco de mastro i banco de mestre*, dla sternika. Niech pan myśli co chce, ale te szalupy płyną z wiatrem znacznie lepiej niż łodzie z kilem. Prawidłowo kierowane, ja się tym zajmę, rozwijają, skromnie licząc, dwadzieścia węzłów, i niech pan spojrzy na tę - postukała w papier - napięcie na hals jest identyczne jak to, które uzyskuje się cunninghamem na linę wzmacniającą żagiel podczas regat.

W chwili kiedy składała plan i wsuwała go za pazuchę, na zagonie pietruszki nad rzeką usłyszeliśmy głośny wrzask. Ziemia pod naszymi stopami zadrżała, omiółł nas tuman kurzu, pod hebanowcem, gdzie akurat byliśmy, dobiegł nas głuchy huk jakby buldożera, który następnie ucichł. Kiedy smog opadł, nie widać było nic godnego uwagi, oprócz liści z wierzchołka drzewa, które dygotały nam na głowach jak w ataku paniki. To nie był goryl, tylko kancelista Stevens, jak wariat uczepiony cienkiego pnia. Wszystko niebezpiecznie się ugięło.

- Jak chcesz, zostaw kancelistę, ale zejdz. Każdemu się to zdarza.

- Akurat... akurat srałem na kamień, a to...

- A to było letnie legowisko wielkiego hipopotama, OK. Będziesz musiał bardziej uważać, Stevens.

- Kurwa, ale to jest wojna, to jest wojna - powtarzał, zsuwając się na ziemię - wojna.

Od tej chwili nabrał przekonania, że jest wciąż obserwowany. Przestał się ruszać dokądkolwiek bez swojego pm-u. Z palcem na jego spuście sikał, wtulony w niego spał. Za dnia, skutkiem upału, połowę pleców miał zaognioną od jego pasa, ale było to, mówił, jeszcze najmniejsze zło, lepiej się drapać po bokach, niż dać stratować jednemu z tych debilnych mamutów wszędzie się pałętających, trzeba czy nie trzeba.

Zaprowadził wojskowy reżim. Musieliśmy wypatrywać wielkich kawałków drewna i ściągać je na brzeg z pomocą splecionych potrójnie lian. Musiały wyschnąć. W czasie obchodu nie wolno było gwizdać, czegokolwiek. Jedynie kancelista, wciąż uczepony hebanowca, był zwolniony z obróbki drewna. Korzystając z okazji, recytował całe fragmenty epepei zaczerpnięte z *Luzjad*¹⁴², którymi zaczytywał się na okrągło w poświęcie księżycy. Wkładał w to całe serce, wymachiwał mankietami tak, że tylko czekaliśmy, aż zwali się jak pakunek u stóp swojego obelisku, ale za każdym razem udawało mu się odzyskać równowagę. Mimo wszystko przynudzał. Wszystkie te mowy, o sławni kapitanowie, wściekle hordy i inne dzikie kohorty nie wpływały zbyt dobrze na nastrój Stevensa. Znów popadał w górnołotny styl. Podobnie jak niegdyś swoją świńską armię w Mongolii, katował nas wielce budującymi deklaracjami. Prawe, szlachetne serca niewiele obchodzi małostkowość narodu, mówił na przykład. Dzięki fikcji, zaufaniu maleńkie stateczki zamieniają się w wielkie okręty. Wzorem Vasco da Gamy i wspomnianych już przedtem baronów, w odpowiedzi na ich pamiętne wyczyny oraz poetom, którzy chcieli pograżać Ulissesa i Eneasza, oświadczam prosto z mostu, że wielkie podróże Greków i Luzytańczyków¹⁴³ po morzach nigdy nieuczszczanych okażą się w oczach potomnych niczym, kiedy załatwimy Cuanzę i ujarzmimy Neptuna, Marsa i Boreasza i wszystko inne.

Wybrzeże Malabarskie całe już zaliczyłem, Nizinę Hindustańską znam jak własną kieszeń, Afrykę Środkową mam prawie za sobą, ja jestem Jaume Roiq, wyniesiony do godności kawalera, ze sławnego rodu Kastylojankesów, ostatni ze Śmiałków, najostatniejszy z ludzi. *Olé!*

Jednak mimo tych zachęt bardzo trudno było ociosać trzy grube belki scyzorykiem szwajcarskim. Nawet jeśli był to model siedemnastofunkcyjny, wyposażony w małą piłę. Utrudziliśmy się jak nie wiem.

Kiedy więc major przysła w środku nocy, żeby nam pokazać dętkę ciągnika, którą

¹⁴² Luzjady - epepeja portugalska Luisa Vaz Camõesa, w 10 pieśniach, opis odkrycia drogi morskiej do Indii przez Vasco da Gamę.

¹⁴³ Luzytania - w starożytności prowincja rzymska w pd-zach. części Półwyspu Iberyjskiego. Od średniowiecza nazwa Luzytania używana jest jako poetyckie określenie Portugalii.

wyłowiła z rzeki, nie oglądaliśmy się na nic, nie musieliśmy zwoływać oficerów na naradę sztabową ani niepokoić ministra sprawiedliwości, tylko wskoczyliśmy na nią jak jeden mąż - pani major wybaczy - i będzie, co ma być.

Kolba pm-u służyła za ster. Koszula Stevensa spełniała funkcję żagla, w to przynajmniej pozwoliliśmy jej wierzyć. Przy unoszącym nas prądzie wysiłki na gromadzenie ekwipunku były zbyteczne. No i nareszcie było nam chłodniej. Z tego punktu widzenia nasza mała przeprawa przez Angolę z tyłkiem w wodzie nie była aż tak nieprzyjemna. Tylko co poniektórzy, bez podawania nazwisk, zachowywali się jak obłąkani. Jeden opychał się nivaquiną, żeby odpędzić złe duchy, drugi stał na dziobie dętki (dziób dętki!) jak wojownicza statua, z wyciągniętym nożem, wycelowanym we wszystko, co się rusza. Widząc to, major postanowiła odbyć drogę przodem na krokodylu. Ja też, obok. Dam głowę, że w ogóle tego nie zauważyli.

Krzykliwy głosiciel epopei dał sobie spokój ze sławnymi kapitanami. Kiedy tylko jakaś trawa przypadkowo musnęła mu zadek, wyskakiwał w powietrze z wrzaskiem: Piranie! Piranie! Widziałem! A jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, Stevens powiedział mu, że kiedy się sika do tego rodzaju rzeki, mała rybka, jak łosoś, płynie pod prąd strumienia i szerokimi zamachami płetw próbuje się ulokować w pęcherzu człowieka. Zwykle bez powodzenia z powodu ciasnoty moczowodu, ale jak raz w nim już utknie, ze strachu rozpościera płetwy grzbietowe, ostre jak u żarłocznego okonia. A wtedy, o, wtedy, Waterfull, nie ma zmiłuj, możesz ją do woli wytrząsać!

I z tego powodu trzeba było przybijać do brzegu za każdym razem, kiedy łaskawy pan musiał sobie ulżyć.

Ale kiedy udawało im się zachowywać spokój, było pięknie.

Życie na rzekach jest zawsze powolniejsze, a zarazem i bardziej intensywne. Krępe rekiny eskortowały nas, obwąchując nozdrzami dno. Na płycznach widać było dywany rzęsy wodnej, która pod wpływem lekkiego poruszenia wody, kiedy przepływaliśmy, nabierała odcienia i falistości jedwabiu. Brzegi pulsowały energią, a my, porwani i niesieni nurtem na tym jakże prostym sprzęcie, w żaden sposób nie zakłóciliśmy konszachtów roślin z duchami zwierząt.

O zmierzchu zdarzało nam się przepłynąć w odległości trzech sążni od antylopy, która podeszła do wodopoju. Nie poruszała się. Widać było, jak pije wodę, jak językiem oblizuje pyszczek. Na sierści pod brodą drżało jej kilka kropli, strzygła uszami, unosiła łeb i patrzyła, jak przepływamy, tak jak patrzyłaby na każde inne zwierzę niewoniejące lwem. Czasami na powierzchnię podpływały płaszczki i dryfowały w cieniu dętki niczym wielkie liście.

Moglibyśmy wieść szczęśliwe życie.

O rzut kamieniem łąd obfitujący w wodę, obfitujący w owoce, które rodził na własne potrzeby. Moglibyśmy się częstować. Przy innym wyobrażeniu o podziale dóbr mogliśmy nawet przeżyć.

Zamiast tego teraz, kiedy jest już za późno, musieliśmy dalej sprzątać stację. Bo niektóre cywilizacje zawsze optowały za czynnościami najgłupszymi z możliwych i tak skutecznie dezawuowały inne, że z tego wszystkiego zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście mógłbym w pojedynkę żyć szczęśliwie.

*Aya Hiyo,
moja jangada¹⁴⁴ jest rybką,
nie statkiem ani samolotem.
Jestem pierwszy, jestem drugi.
Aya Hiyo,
prądem, z głębiny, płynmy pośród fal.
Moja jangada jest wysepką.
Aya Hiyo.*

Puls rzeki przyspieszył, kiedy w jej korycie wylądował dopływ Cacucala. Trzeba się było trzymać obiema rękami swojej deski ratunkowej. Jak na filmie przygniataliśmy obcasem krokodyle pyski, żeby się utrzymać w nurcie i korzystać z jego szybkości. Według mapy do zatoczki zostały nam już zaledwie dwie mile. Za chwilę dopłyniemy do bystrzyn. Stevens zaczynał panikować. Były tam ogromne skały, na których najbardziej hebanowe, najtwardsze pnie rozpryskiwały się jak zapalki. Chciał przybić do brzegu. Major się nie zgodził.

- Niech pan to potraktuje jak zabawę w *rafting*! - krzyczała do niego wskroś piany. - Zapłacił pan trzysta dolarów za tydzień, trzeba zaszaleć. Dalej, *go*!

Chyba ze dwadzieścia osiem razy przeokożkował. Kiedy dowlekliśmy go do trzciny, był na wpół nieżywy, ale wciąż kurczowo trzymał kolbę swojego pm-u.

- Facet jest niesamowicie wytrzymały - zauważył Waterfull, wyzymając wodę ze swoich *Luzjad*.

Położyliśmy go na boku, żeby zwrócił całą wodę, której się nalykał, i owinęliśmy go w koc ratunkowy.

¹⁴⁴ Jangada - tratwa z drewna balsa.

- To pomoże. Szklaneczka pusser'sa i rano nie będzie śladu.

Wydaje mi się jednak, że całą noc majaczył. Przemawiał w różnych językach do księżycy, i to nie trochę, raczej głośno. Ale rano czuł się tylko ździebko połamany, nie pamiętał tego, że się topił.

- Całe życie przed tobą przedefilowało, Stevens. Utknąłeś w mule. Kiedy cię wyciągnęliśmy, błagałeś o litość. Mówiłeś, żeby oddać twój hełm i tarczę, przysięgałeś, że nigdy więcej twoja noga nie postanie na polu turniejowym. Pamiętasz to?

- Daj spokój, Lawson, kłamiesz. Kastylojankesi przed nikim nie składają broni. Spadaj. A gdzie moja tarcza herbowa?

Waterfull podał mu podartą koszulę i to całkowicie załatwiło sprawę. Założył ją i nie zwlekając, ruszył w drogę. Na bosaka, z gołą głową, z tym, co w takich przypadkach określa się mianem ferworu bitewnego, oświadczył zwięźle: Idziemy odeprzeć komandosów!

W Malanje dopadł go prawdziwy atak malarii i mam wrażenie, że to wtedy, za pośrednictwem prastarych, trochę portugalskich, trochę holenderskich, trochę jorubijskich zbuntowanych *pneumas*, skryzalizowała się w jego duszy despotyczna wojownicza psychoza, która potem miała się ujawnić nad Itaipú.

Trzeba powiedzieć, że tym razem radar wypożyczonego w Luandzie boeinga odmówił mu posłuszeństwa na otwartym Atlantyku. Nie była to sprawa baterii, tylko satelity. Który spadł. Technologia zaczynała się sypać.

Nad Brazylią trzeba było ustąpić wobec oczywistości: *la Represa Itaipú* przestała istnieć. To, co miało uformować małe morze u zbiegu granic Brazylii, Paragwaju i Argentyny, było już tylko zwykłą rzeką opadającą w wąwozy wodospadu Iguacu. Stevens się zaciął. Krążył samolotem tam i z powrotem nad czymś, co powinno być, a czego nie było, w ślepej furii godnej dyktatora użądłonego przez osę. Tama, na którą się zamierzał i z powodu której przebył dwa oceany oraz Afrykę, nie mogła w jego przekonaniu ulec zniszczeniu w sposób naturalny. Jego bzik, jego gniew, jego lęk przybrały rozmiary nieistniejącej zapory.

Teraz poczuł się jakby trochę lepiej. To znaczy, powiedzmy. Ale teraz przekazuję pałeczkę tobie, kancelisto. Już mnie dosłownie skręca od siedzenia w tym przeklętym bunkrze.

OK, tu Waterfull

from

Fort Yhú: doprowadzony do porządku.

Fosy, w których bulgocze wapno, rankiem są sprzątane.

Obchód na blankach jest obowiązkowy.

Widać stąd świetnie horyzont. Na wschodzie las, rzeka, preria. Góry Aracanguy, grzędy lasów galeriowych Caaguazú. Mamy oko na wszystko.

Kontrolujemy Amerykę Łacińską.

Mury są solidne, a fosy przed murami głębokie.

Wyrzucamy do nich na dno puste butelki po piwie. Z cichym, czystym brzękiem tłuką się i kaleczą w nocy łapy irbisów.

W centrum fortu, zawieszona na łądydze drzewa tygrysięgo, łopocze flaga Republiki Ludzkiej Roiq Stevensa. Kiedy wiatr cichnie, opada. Ale z prerii i lasu wyraźnie ją widać. I to się liczy.

Orły sprawdzają wszystko dwa razy.

Teraz, kiedy została ustanowiona Republika, rzadziej dochodzi do krwawych zbrodni.

Panuje Prawo.

Prawo. *Mens sine affectu*. Praworządność.

Za dużo tego widział.

Trzy miesiące temu, kiedy przez to krążenie nad nieistniejącą tamą paliwo do reszty się wyczerpało, boeing rozbił się w samym sercu dżungli. Dzięki major Echampion - stosunkowo łagodnie. Baldachim lasu był tak zbity, że zdołała utrzymać samolot w jego gęstych, zielonych ramionach i musieliśmy się z nich zsuwać siłą własnych rąk, na komendę. Wyszliśmy z tej batalii kompletnie zdezorientowani. To chyba Lawson, kierując się hałasem, jaki wywoływała, odnalazł rzekę i oświadczył, że dobrze byłoby wzdłuż niej pójść, bo niechybnie dokądś nas zaprowadzi. W rzeczy samej godzinę czy dwie później trafiliśmy na nią i ruszyliśmy w górę. I właśnie wtedy, idąc brzegiem tej ogromnej rzeki, Stevens ujrzał okrutną scenę, która w połączeniu z samorzutnym zniknięciem tamy rozjuszyła go do żywego i odmieniła cały jego charakter.

Na brzegu czaił się jaguar. Czołgał się powolutku, z brzuchem przy ziemi. Poruszał się i nie poruszał, podświadomie, zahipnotyzowany czymś w wodzie. Odległość między nim i rzeką była niewielka. Nie oddychał. Na powierzchni wody widać było lekkie sfalowanie.

Sfalowanie sunęło w stronę brzegu, zbliżało się. Jaguar węszył, obmacywał nozdrzami powietrze. Pysk przebiegały mu drobniutkie skurcze. Wibrysy na jego pysku drżały. Sfalowanie to oddalało się, to przybliżało. Zupełnie jakby igrało z przyczajonym na brzegu zwierzęciem. Tym jaguarem, który się nie poruszał. Który trwał nieruchomo wewnątrz swojego ruchu.

Tylne łapy przykurczył pod brzuchem. Posuwał się naprzód, prawie pełznąć. Coraz bardziej spłaszczony, ciągle prawie nieruchomy. Potem zatrzymał się. Zatrzymał się zupełnie, zastygł, i wreszcie skoczył. Jednym wybiciem pokonał odległość dzielącą go od rzeki. Z zamkniętą paszczą. Prawą łapą pacnął w sfalowanie. Siła ciosu była ogromna. Woda w rzece spiętrzyła się, zgęstniała. Fale go oślepiły. Rozdziawił paszczę i zatopił żółte kły w wierzgającym korpusie rzeki. Zniknął pod wodą. Wygięty w łuk pojawił się na moment na powierzchni z czymś wielkim i szarym w pysku. Ciosy szamoczącego się zwierzęcia zachwiały jego równowagę i pociągnęły go w głąb. Po chwili wynurzył się jednak. Nie rozluźniając uścisku kłów na jego gardle, położył się na boku w wodzie, wczepił głęboko przednie łapy w grzbiet zdobyczy i tylnymi rozpruł jej brzuch. Na mokrej skórze manata¹⁴⁵ pojawiły się ogromne trzewia. Kiedy osłabł, jaguar wypuścił jego gardło i przytrzymując go nadal przednimi łapami, jednym ruchem skrzył mu kark. Przetrącone ciało podskoczyło. Jaguar, zniecierpliwiony, zmiażdżył w szczękach łeb płaczącego manata.

Szczęk naboju wsuwanego do zamka pm-u nie zakłócił mu spokoju.

Jego zdobycz ważyła trzysta kilogramów. Musiał użyć siły wszystkich mięśni, żeby go doholować na brzeg. Pożerał wnętrzności, jednocześnie rozrywając rany zadane pazurami tylnych łap. Jego pysk zniknął aż po barki w korpusie manata. Od czasu do czasu wystawiał go i ciągnął, wyszarpując jelito lub strzęp ciała. Przeżuwał mięso, a przed połknięciem przesuwiał je w głąb gardzieli. Odgłos spadających na leśną murawę wyrwanych wnętrzności był gorszy od zduszonego krzyku.

Stevens posłał mu w czaszki nabój 10 mm Auto. Jego pysk zamienił się w miazgę. Kula wyszła w połowie kręgosłupa.

A był to dopiero początek wyrównywania rachunków.

Po tym wszystkim musieliśmy jeszcze przez wiele dni maszerować, nim w końcu trafiliśmy na opuszczoną forteczkę na wschód od Acaray¹⁴⁶. Od razu się w niej zainstalował jak zbuntowany przywódca, z furią w sercu. Ślepą furią.

¹⁴⁵ Manaty - ssaki wodne z rzędu syren. Przednie kończyny płetwowe, tylnych brak, płetwa ogonowa. Roślinożerne. M. amerykański osiąga długość ponad dwóch metrów. Zagrożone wyginięciem.

¹⁴⁶ Forteca Acaray - miejsce poszukiwań archeologicznych w dolinie rzeki Huaura (Peru).

Jest teraz krwiożerczy *sine affectu*. Jest mścicielem i snajperem samozwańczej republiki.

Wszechwładnym, Tyranem Doskonałym, Bezdyskusyjnym i Wykonawczym. Lawson, gdyby tu był, powiedziałby, że władza nim strach. Ale Lawsona tu nie ma.

Kto nie spędził tyle czasu, ile po kraksie boeinga spędził w dżungli Stevens, szukając jakiegoś schronienia - kto nie został ukąszony i nie myślał, że umrze, nie mając nikogo, kto by pospieszył mu na ratunek, czy bodaj zamknął mu oczy - kogo nie dopadła choć raz klarowna myśl, że nie spotka już nigdy żadnego człowieka chętnego do pomocy - kto nie był do tego stopnia w rozpacz swojej samotny i na kogo nie czyhały wszystkie zwierzęta, powtarzam: wszystkie, od mięsożernych po sępy i po mrówki, kto nie poczuł na sobie oczu bakterii i macek grzybów, ten nie ma żadnego, ale to absolutnie żadnego pojęcia, jaką koniecznością było powołanie do życia republiki.

Stevens się z tego wykaraskał.

Stevens da popalić temu ścierwu.

Za dużo tego w dżungli widział.

W dżungli jastrząb harpia wielka przelatuje i porywa z gałęzi iskającą się małpę - i nic się nie stało. Las zaszumiał, harpia dalej robi swoje.

W dżungli ropucha czatuje na komary, wąż ją połyka.

W każdym kwiecie orchidei siedzi jaszczurka, pająk lub kijanka. Albo wszystkie trzy naraz. Niektóre intensywnie zielone pnąca przez cały dzień trzymają rozdziawione paszcze. Termyty szatkują wszystko, co tylko dotyka ziemi. Suche gałązki są modliszkami. Atakują komary od głowy i pozerają je jak parówki.

W dżungli nie można zrobić kroku, żeby wcześniej czy później nie nastąpić na jakąś jaszczurkę czy żywy kamień. Odrywająca się bezgłośnie gałąź jest ptakiem. A śmierć nie przychodzi cichaczem. Towarzyszą jej wrzaski i ryki. Bicie w bębny, trzeszczenie. Są małpy wyposażone w wole, które służą im jako pudło rezonansowe, specjalnie do wydawania wrzasków. Marmozety wysysają drzewa, zatapiając w nich swoje drobne, wampirze zęby. Odgłos uporczywego cmoktania, jaki przy tym wydają, potrafi prześladować człowieka i przez tydzień. Są nietoperze. Te kaszają w stopy i w uszy. Potrafią w jedną noc wypatroszyć osła. Za dnia widać podobne do nich wiewiórki. Wyglądają normalnie, ale przeskakując z drzewa na drzewo, rozpościerają błony umocowane u łap. Żeglujące gnomy. Ohyda. Nie

powstrzyma się ich.

W dżungli:

Nie wolno kłaść się na ziemi.

Nie wolno spać na gałęzi.

Nie wolno przysnąć. Nigdzie.

Nie wolno dotykać gałęzi, mają pełno zębów.

Nie wolno dotykać liści, są trujące.

Nie wolno siadać.

Kiedy w dżungli wstaje dzień, robi się strasznie. Kiedy zachodzi słońce, robi się jeszcze gorzej. A między jednym i drugim - jatka.

Potrzebna była Republika.

Maczeta południowoamerykańska jest świetna do karczowania. Ma klingę trzydziestocentymetrowej długości. Jej ostrzem można niejedno rozstrzygnąć.

Pistolet maszynowy to instrument tego, który przeżył.

Tak wyglądają narzędzia Republiki.

W Republice ziemia jest ubita, miękka i ciepła. Co wieczór się ją zamiata.

Otaczają ją mury. Białe i na nowo pociągane wapnem, kiedy spękają od słońca.

W forteczce są bramy. Można je zamykać. Są hamaki, pewne i bezpieczne. Jest nawet prawdziwe łóżko.

Nie ma pajaków. Ani pełzających bestii. Pomieszczenia dezynfekuje się benzyną. Jest dobrze.

Obchód po blankach jest obowiązkowy. Głównie o brzasku i o zmierzchu, kiedy dochodzi do większości aktów przemocy.

Niech nikogo nie zwiodą pozory, rdzawa preria rozciągająca się na zachód od forteczki nie jest ani trochę bardziej republikańska od śmiercionośnej sadzawki dżungli. Roi się na niej od koszmarów. Które nabierają życia. Skaczą w trawach. Z dala wyglądają jak zwykle zające. Ale te zające biegają inochodem¹⁴⁷ jak kopytne. Mają brzuchy saren, pyski świnek morskich, prawdziwe zające uszy. A kiedy siedzą, wyglądają jak kangury. Zza łodyg kukurydzy, która wysiała się samoistnie, czai się na nie puma. Czai się i jednym skokiem dosiada im grzbietu.

Pałętają się też pokręcone i sztywne ptaszyska z wolami koloru wątroby na dziobie lub

¹⁴⁷ Inochód - chód lub bieg niektórych zwierząt czworonożnych, polegający na stawianiu jednocześnie raz obu nóg prawych, raz lewych; skroczyć.

na czubku czaszki.

Na szczęście jest sporo baranów. Mają za dużo wełny i trudno im wstać, kiedy się położą, ale to prawdziwe barany. Zęby im nigdy nie wyrosły.

Za dnia jest spokojniej niż nocą. Za dnia, kiedy nie ma wiatru, Stevens może usłyszeć, jak skubią trawę. Wyrrywają twardą trawę z tym cichym szelestem, który Stevens lubi, bo przypomina mu odgłos gotującej się wody. Tam, gdzie barany regularnie się pasą, trawa jest gęstsza i bardziej miękka.

Stevens praktycznie nie opuszcza forteczki. Republika musi się ciągle umacniać. Żywi się owocami, które rosną na pojedynczych drzewach po przeciwnej stronie piekielnej dżungli. Z powodu przeciwników wyjście i zerwanie ich to cała wyprawa. Należy wyruszyć najlepiej w zenicie słońca, kiedy gruba zwierzyna zlega w pyle, zajęta wyłącznie dyszeniem i odganiem much. W celu uprzedzenia ataku przeciwników pełzających oraz drobnicy pomykającej tuż przy ziemi dobrze jest zaopatrzyć się w długi kij i uderzać nim przed i za sobą koliście i półkoliście. Najskuteczniej jest przez dwadzieścia kroków uderzać półkoliście i co dwadzieścia kroków koliście.

Co oznacza *checkpoint* z grubsza co dwadzieścia trzy metry.

Dzięki tej metodzie bez wpadania w popłoch dochodzi się do drzew owocowych.

Następnym problem stanowi to, jak strącić owoce, nie wypuszczając z rąk kija ani maczety, zachowując jednocześnie wyprostowane plecy tak, by utrzymać pm w jak najdogodniejszej pozycji. Z początku jeszcze trudniej było mu je zbierać. Ale teraz Stevens jest bardzo sprytny, strząsa je tak zręcznie, że spadają prosto do koszyka. W drodze powrotnej zbiera czasami kolby kukurydzy, którymi najpierw mocno potrząsa, żeby wypadły z nich pająki. Tak mocno nimi potrząsa, że w komórkach nasiennych zostaje niewiele ziaren. Ale to wystarczy, żeby zrobić popcorn. Zresztą przepisu na *quesadille*¹⁴⁸ tak czy inaczej nie zna.

Oprócz tych wypadów aprowizacyjnych nie pokazuje się nigdzie z wyjątkiem balkonów Republiki. Pod bronią, z tarczą i herbem. W czasie obowiązkowego obchodu nosi również na szyi lornetkę, która obja się trochę bezładnie na jego owłosionym torsie, ale w czasie obchodu jest bardziej Wykonawczy niż Ustawodawczy i może sobie na to pozwolić.

Od kiedy zajął forteczkę w Yhú, czuje się znacznie lepiej. Przeżytych w dżungli horrorów nie wymiół z pamięci, ale je uporządkował. Rozważywszy rzecz całą, ten wąż to

¹⁴⁸ *Quesadilla* - tortilla z żółtym serem i różnymi dodatkami, dobranymi według gustu, zapiekana.

musiał być *Leptophis ahaetulla*¹⁴⁹. Jego ślina jest lekko toksyczna i może wywołać dreszcze i nudności. Wszelako skołowany swoją kondycją wielkiego samotnika, myślał, że umrze. Protokołuj, kancelisto, od tego tu jesteś, mówił. Zapisuj moje ostatnie słowa, jeśli je słyszysz, czuję, że odchodzę. *Adios*. Jeśli nie wrócę, powiedz Lawsonowi, że nic do niego nie mam, powiedz Echampson, że wolałbym być kobietą, powiedz sobie, że mnie uratowałeś. Czołem.

I wtedy wciągnął go wir majaków rzekomej agonii. Trwało to tyle czasu, że od pióra aż mi się naelektryzował palec wskazujący. Ale kiedy wrócił do żywych, powrywał wszystkie kartki, wrzeszcząc, że jestem idiotą i kłamczuchem i że nie będzie ani minuty dłużej zaśmiewał niezbędnego mu do życia dziennika moimi debilnymi wymysłami. I spadaj, fantasto! Bezwstydniku!

Tak to się traktuje skrybów u schyłku cywilizacji. Nic nie powiedziałem, wycofałem się. Samotny w lesie mógł sobie gorzko żałować, płakać ze strachu itp., miałem to w nosie.

Gdyby miał już nie wierzyć w to, co zostało spisane praktycznie pod jego własne dyktando, pozostałoby mu tylko się załamać. Albo się powiesić. I z Bogiem.

Teraz jest już lepiej.

Po przybyciu do forteczki w Yhú przyznał, że go poniosło, że popełnił błędy. Odnalezienie dziennika sprawiło mu prawdziwą frajdę. Ustanowił Republikę, a mnie natychmiast namaścił na Najwyższego Księgowego oraz Sojusznika Propagandowego.

Ostatnio zamówił u mnie przemowę, coś prostego i klarownego, co będzie w stanie zrozumieć banda największych analfabetów świata.

Prawdą jest, że w szybkim tempie ruszyły represje i nadeszła chwila, by oprzeć Republikę na rozsądnych fundamentach. Chcę powiedzieć, racjonalnych. Na rozumie.

Azulejos in fortress.

W dniu przemowy flaga została podniesiona dokładnie w chwili, kiedy wewnętrzny krąg tarczy słonecznej wychynął na powierzchnię prerii. Lawsonowi pozwolono odegrać bicie w bębny na wielkim kanistrze, okazja była jak się patrzy.

Odziany w barwy republiki, strojny swym potrójnym urzędem, dzierżąc łodygę urundeya, Stevens wstąpił na blanki centralnej wieży. Kiedy udawany bęben zamilkł, Stevens zaczął przemawiać z mocą.

- ...chajcie mnie, o wy, którzy macie w swoich ciałach coś na kształt mózgu, obwodu elektrycznego czy rdzenia kręgowego...chajcie mnie uważnie, jam jest Republiką. - Odkaszlnął. - Od tej pory człowiek nie zniesie, żeby zwierzę się do niego zbliżyło i go

¹⁴⁹ *Leptophis ahaetulla* - wąż papuzi.

przeraziło, a tym bardziej, żeby go zabiło. Nie zniesie, żeby zwierzę go nie słuchało lub też udawało, że nie rozumie.

Nie zniesie tych historii ze światem zwierząt i ludzkim wszechświatem, wszyscy żyją na jednej ziemi, tej tutaj. - I dla zilustrowania swoich słów tupnął w ziemię. - I wreszcie człowiek przyniesie zwierzętom zasady życia i higieny, których im brakuje. I ostatnia rzecz: człowiek w żadnym wypadku nie jest zwierzęciem.

Wyglądało to na niewypał. Ale czy kto kiedy widział klaszczącego sępa? Tak prawdziwie. Z całej duszy?

Garstka długoszyich, które na widok Stevensa wdrapującego się na wieżę podeszły bliżej, zamruła tylko powiekami z obojętną miną. I co z tego? Może to moja wina?

Wszechwładny, ledwie zszedł ze swojego blanku, zaczął wymachiwać łodygą urundeya. Natarł na mnie jak huragan. Moja przemowa była idiotyczna, nieskuteczna. Nie dość agresywna, jak chciałem wyrzucić na kimkolwiek wrażenie takimi bredniami, niemającymi za grosz kategoryczności? Kto by je kupił! Skoro potrafię tylko przepisywać - kancelista-bibuła! Pecuchet!¹⁵⁰ Pusta głowa! - to lepiej, żebym się tym tylko zajmował.

(Ten cholerny tyrankes jeszcze się przekona. W oczach najlepszych filozofów w chwili obecnej sam jest prawie jak zwierzę. Osobnik, który w tym stanie, gdyby ludzkość nagle wróciła niezmienną, zostałby niezwłocznie zamknięty w zakładzie psychiatrycznym i dla bezpieczeństwa odseparowany od bliźnich, ten osobnik jest człowiekiem? Co on sobie wyobraża? Widziałem go, sam słyszałem, jak ukąszony przez węża *Leptophisa* twierdził, że jest na wpół jaszczurką, na wpół wiatrem. Że cała natura toczy śmiertelną walkę sama z sobą, że z jednego krańca się pożera, by na drugim się mnożyć, i że on, człowiek, najważniejsza spośród wszystkich istot żywych, czuje to na własnej skórze, pożerając własne liście, te, które pozyskują światło, w swoim małym pysku. To ci obrazek! I on wierzy, że Republika przywróci mu jedność, proszę, niech próbuje! Inni połamali sobie na tym zęby).

Uspokoił się.

Ponieważ postanowił myśleć i działać pozytywnie, gruntownie przeszukał piwniczkę w forcie. Znalazł wielki blok soli, łączywie się do niego przyssał, a potem odłamał kawałek dla swoich „republikańskich baranów”. Wiezorami je przywołuje, wyciągając nad murem przynętę umocowaną na końcu tyczki. Nie jest wcale pewien, że nie wyrosły im zęby, woli zachować odległość. Ale barany nie są takie małoduszne jak niektórzy ludzie, przybiegają. Wtedy Stevens patrzy na nie ze łzami w oczach. Ta ufność, to zapamiętanie, z jakim liżą

¹⁵⁰ Pecuchet - bohater satyrycznej powieści Gustawa Flauberta pt. *Bouvard i Pecuchet*. Ucieleśnienie oderwanego od rzeczywistości intelektualisty.

grudkę soli, rozdzierają mu serce. Całymi rankami strzela do dziwnych królików pod tym pretekstem, że są dziwne, mało tego, zakłada nawet wnyki, żeby zaoszczędzić trochę naboju, ale kiedy barany odpowiadają na jego wezwanie, rozplywa się z czułości. Nie są ani milsze, ani mniej dziwne, nie, jaką więc ocenia je miarą?

Nocą głośno śni o owocach. O soczystych gruszkach ociekających aż po łokcie, kiedy się je obiera, o jasnych bananach, o pomelo¹⁵¹, o figach nabrzmiąłych słodyczą, o winogronach jasnych, o ciemnych, o przezroczystych i pięknych jak perły.

Jest chudy. Zabija króliki, ale ich nie tknie.

Któregoś dnia wyrzucił łupiny kolczocha jadalnego do dołu na śmieci, który wykopał przed fortem. Było dość późno, słońce zaczynało zachodzić. Jedna obierzyna upadła mu u stóp z odgłosem pac! Pomyślał, że to gekon, i opróżnił magazynek.

- A jak myślicie - rzucił w przestrzeń. - Te bydłeta nie są nieszkodliwe. Kiedy taki spadnie wam na usta, zginiecie w nocy uduszeni.

I to jest cena jednostki najważniejszej spośród wszystkich istot żywych na ziemi?

- Trzeba coś ocalić z człowieka, Lawson, trzeba coś podtrzymać, czyż nie?

Przy każdej sposobności się kłóca. Tylko major zachowuje spokój.

- Bez paniki, przejdzie mu.

Jej zdaniem w tej swojej ludzkiej społeczności nie był wcale ani mniej narażony na niebezpieczeństwa, ani mniej samotny. „W końcu to zrozumie. Oddała mu już wszystko, co mogła”.

Póki co, Republika się umacnia. Zwierzęta unikają okolic fortu, nawet najbardziej tępe hybrydowe zające w końcu się zgadały. Tam, w tym kopcu ziemi, zadekował się wariat, obchodźcie go z daleka. Nagle Pierwszy Konsul odkrywa, że nie ma co robić. Nabiera pewności siebie. Rozszerza patrole na odkrytym terenie aż po skraj dżungli. Jego głównym celem są mięsożerne. Gdyż Republika jest wegetariańska. W niektóre dni urządza na prerii prawdziwą jatkę. Nie oszczędza żadnego gryzonia większego od chomika. Nigdy nie wiadomo, komary to też żywe stworzenia.

Obiecał sobie zlikwidować boa dusiciela; kto nie widział ataku boa dusiciela, ten nie ma wyobrażenia, jaki to horror.

Jako wielki polityk, Pierwszy Konsul, obiecał sobie zlikwidować horror.

I ciągle śni o figach. Tych figach tak ciężkich, że przyginają gałęzie wielkich figowców w dżungli, której się boi, do samej ziemi. Tych figach wieczystych figowców,

¹⁵¹ Pomelo - cytrus o smaku pomarańczy/grejpfruta.

którymi żywią się małpy, pekari, wiewiórki i wielkie papugi błękitne. Tych figach, które na swoich giętkich gałęziach i w swym mlecznym cieniu gromadzą kolejno oraz jednocześnie owocożerne, składające jaja i zabójców.

Prześladuje go wspomnienie zielonych papużek, zieleńszych od ultrazielonego listowia storczyków uczepionych skarpy wodospadu Iguacu. Wyglądały tak łagodnie mimo swych masywnych dziobów. I papużek o purpurowych policzkach, z miękkim, jaskrawym upierzeniem. A dzioby miały takie z powodu orzechów. I żółtych wróbli z czarną piuska na łebku, i czerwonych. I rozedrganych kolibrów. Hm. A potem nadlatuje sowa o śmietankowym obliczu i porywa cały miot. Dziękuję bardzo, szukajcie mnie w forcie.

Barany, barany, które liżą sól i które nie mają zębów - oto prawdziwi republikanie!

Trwa na swej pozycji demokratycznego tyrana wierzącego w prawo i w to, że w końcu narzuci jego przestrzeganie do momentu, do dnia, kiedy do ataku przechodzą niedźwiedzie. Tak jak jaguar skłonił go do zajęcia forteczki w charakterze antydrapieżczego Regulatora i obrońcy Uciśnionych, tak niedźwiedzie skłoniły go do podjęcia walki partyzanckiej.

Tego dnia, ogłaszając stan najwyższego pogotowia i zarządzając godzinę policyjną, zrozumiał, że przemoc jest wszędzie i że nic na to nie poradzi.

Tego sławetnego dnia podczas porannego obchodu, kiedy to starał się poruszać jak najciszej, żeby nie obudzić baranów, które spały pod murami, ujrzał niewyraźny kształt wagonu restauracyjnego odrywający się od lasu. Był to niedźwiedź. A konkretnie niedźwiedź okularnik¹⁵². Poruszał się, wyciągając swój wielki pysk do przodu i kołysząc barkami. Stevens przetarł oczy i złapał kolbę pm-u, ale zwierzę zmieniło kurs, nim zdążył złożyć się do strzału. Fałszywy alarm, pomyślał, widząc, że niedźwiedź zawraca do lasu. Musiał zauważyć flagę.

Dziesięć minut później wyszły trzy, z trzech różnych stron, i to różnym krokiem. Stevens bez uprzedzenia wystrzelił do tego, który był najbliżej. Niedźwiedź zatrzymał się. Barany wstały i węsząc, wyciągnęły szyje. Niedźwiedź usiadł z miną, jakby rozważał różne za i przeciw. Stevens znowu strzelił, ale był za daleko. Kula, wzbijając tuman pyłu, zaryła się dziesięć metrów przed zwierzęciem, które nie okazało żadnego szczególnego zainteresowania. Dwa inne wagony nadal zachodziły od tyłu, nie przekraczając bezpiecznej granicy, choć przecież nie mogły jej znać. Przemieszczały się cicho, ale barany zwęszyły ich zapach. Podniosły krzyk. Coraz głośniejszy. Olbrzym, który usiadł, poderwał się jak sprężyna, bardzo gibki, bardzo jaguarzy. Stevens miał złe przeczucia. Barany beczały ze strachu. Nastawił pm-a na serię trzystrzałową. Oddziały boczne nadal nadciągały z lewa i z prawa. Oparł pm-a na biodrze i otworzył ogień w obu kierunkach, bardzo szybko. Barany rzuciły się do ucieczki. Olbrzym wyskoczył na spotkanie spanikowanego republikanina. Kiedy znaleźli się twarzą w twarz, niedźwiedź stanął jak człowiek i jednym ciosem łapy wyrwał mu połowę gardła. Stevens posyłał serię za serią, w nikogo nie trafiając. Kule gwizdały i tratowały ziemię, zupełnie jakby strzelał pirotechnik. Wciąż stojąc, niedźwiedź trzymał barana w łapie i pił, tak, pił krew tryskającą z otwartej tętnicy szyjnej. Długimi haustami, mrużąc z rozkoszy, naciskając boki zwierzęcia, jakby to była tuba majonezu, żeby wszystko wyszło. Baran jeszcze beczał. Stevens wypadł jak szalony rycerz. Trzasnęła brama forteczki. Pognał prosto na zabójcę, śląc trzystrzałowe serie w jego skrzydła. Nie zwalniając

¹⁵² Niedźwiedź okularnik - właśc. niedźwiedź andyjski, zwany też peruwiańskim niedźwiedziem okularowym.

tempa, zmienił magazynek. Olbrzym go obserwował. Baran leżał na ziemi. Jedna z jego tylnych nóg podrygiwała w kurzu.

Sto metrów od kudłatego zabójcy, który stał na tylnych łapach i unosił przednie, otworzył ciągi ogień. Seria z góry na dół, seria z dołu do góry i cała seria w okolice serca. Przy trzeciej był już tak blisko zwierzęcia, że upadając, mało go nie zabiło. Seria w łeb. Cały dygotał. Niedźwiedź nie żył. Baran nie żył. Stevens zrobił w tył zwrot i pognął za dwiema innymi bestiami, które uciekły. Kurewskie, faszystowskie pedały, zabiję was, on był moim synem! Zabiję was *fucking bears*, wykreślę z mapy, wyplenię, wybiję do ostatniego. *Fucking bear, fucking bear beast bitch, fucking*. Kręcił się w kółko jak na bieżni czterystu metrów przez płotki, przeskakiwał zarośla i biegał, krzycząc - *fucking, fuck, fucking!* - i posyłając serie na wszystkie strony. Kiedy opróżnił drugi magazynek, zatrzymał się, wciąż roztrzęsiony, spocony od stóp do głów, z płucami bliskimi eksplozji, trzysta metrów od forteczki. Zabici się nie poruszali. Podeszedł bliżej. Baran leżał sflaczały. Przez rozszarpane gardło widać było połączenia kręgów z łopatkami i kości szczęki. Ranę i oczy obsiadła chmara much.

Niedźwiedź ukrywał swoje rany pod grubym futrem. Jedno oko miał otwarte, ale nie miał już pyska. Leżał na dywanie krwi, którą z chłupotem wchłaniała ziemia. Smród był potworny.

Stevens wrócił do forteczki.

Przed południem rozłożył i naoliwił broń. Przeliczył i wypróbował magazynki. Uporządkował swój żołnierski ekwipunek i sprawdził zawartość obu apteczek pierwszej pomocy. Kiedy się upewnił, że może na nie liczyć, zwinął powrozy, które znalazł w szopie na sprzęt, zdjął z jeeпа składaną łopatę i wyszedł. Było wczesne popołudnie. Temperatura przekraczała trzydzieści pięć stopni. Zakopał barana. Od razu, w miejscu, gdzie poniósł śmierć, której on, Konsul, nie potrafił zapobiec. Sępy, które musiał odganiać od zwłok, śledziły każdy jego ruch. Zastrzelił jednego, żeby inne miały się czym pożywić.

Kanalie. Potem zawiązał pętlę kluczkę i przelożył przez nią łeb niedźwiedzia. Trzymając w ręku drugi koniec sznura, rozejrzał się za drzewem. Daleko. Niedźwiedź musiał ważyć ze trzysta kilo. Poszedł do forteczki i wrócił z palikiem i kanistrem. Palik wbił głęboko w ziemię, przywiązał do niego drugi wolny koniec sznura. Zdjął kluczkę z gardła niedźwiedzia i założył ją na jedną z tylnych łap. Potem odsunął się.

„Niech to będzie przykład. To zwierzę jest kanalią *sine affectu*. Zbrodniarzem, oportunistą. Mógł jeść figi i pić wodę. Mógł jeść jagody i miód jak Kubuś Puchatek, ale on wybrał przemoc. Republika uznała go za winnego. Republika go ścina”.

Ujął w obie ręce maczetę, wziął zamach i rąbnął denata u nasady szyi. Opór ścięgien

go zaskoczył. Musiał aż trzy razy powtarzać cios. Silniej. Łeb oddzielił się od korpusu. Stevens uniósł go za uszy w górę i nadział na palik. Kiedy po kiju zaczęła ściekać krew i jakaś żółta ciecz, poczuł gwałtowne mdłości, ale wytrzymał. Polał ciało przywiązane do palika zawartością kanistra. Była to benzyna. Cofnął się, potarł zapalną i rzucił. Futro stanęło w płomieniach. W chwilę potem powietrze wypełnił fetor palonego ciała. Od tego niesamowitego fetoru, który zdawał się przenikać zarośla i otulać pejzaż, do ust napłynęła mu ślina. Kurwa. Uciekł.

Jeszcze tego samego wieczoru zrozumiał.

Bezpieczeństwo nie istniało. Stuprocentowe bezpieczeństwo to ułuda. Forteczka wcześniej czy później zostanie zdobyta. Nigdy nie zaprowadzi tu prawa.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom i elementarnym zasadom Republiki, obecnie zniszczonej, nocą wyruszył w drogę. W świetle księżyca preria tętniła życiem. Oceloty padały ze zmęczenia. Jaguary badały teren. Wokół latały sowy, a za sowami miejscowe nietoperze, ale Stevens był zdecydowany.

Sarkał.

Na nic było odstawianie w Mongolii gaucza, żeby uprzątnąć stację. Widzieliśmy. Na pierwszej kupie odpadków świnie odpuściły sprawę.

Na nic było zawalanie tam, zatapanie platform. Przekonaliśmy się. Tamy zawalają się same, kiedy tylko umożliwi to lub nakaze pogoda. Tama Iguaçu pierwsza. Stoczona przez siarczany i metale alkaliczne zawarte w cemencie, z którego ją zbudowano, spychana przez osady aluwialne i naturalne ciśnienie fal, zapora za życzenie deszczów sama popełniła samobójstwo. Wystarczyło, że bóg wąż, Caigangués, spokojnie powiedział, przesun no się, *gringo*, by mu padła w ramiona. Bo kiedy bóg wąż jest na tyle potężny, żeby z powodu matrymonialnej utarczki doprowadzić do rozpadliny wielkości Iguaçu, wielofunkcyjna elektrownia wodna nie robi ceregieli. *You're the boss, snake lord, I jump.*

Program Przekwaterowania i Odzyskiwania Ziemi nie ma lidera. Kiedy widzi się tę bezwzględną szybkość, z jaką roślinność odzyskuje skolonizowane tereny, daremnie jest stawanie na rżęsach, żeby je zalesić sosnami. Podział przestrzeni życiowych dokonuje się samorzutnie. Ten las na przykład zaanektował już od osiemnastu do dwudziestu procent wybrzeża atlantyckiego. Stevens widział to z boeinga, mapy przestają być wiarygodne.

Stacja uprząta się sama. Znajduję się w niej razem ze słabymi, teraz kiedy jestem ostatnim i zdecydowanie przeciążonym okazem. Wytworzył się nowy porządek.

Republika Ludzka nie może się utrzymać w odludnej forteczce, rządzona przez jednego człowieka. Nawet tyrana wzorującego się na największych postaciach historycznych, nawet w forteczce pamiętającej wojny o Chaco¹⁵³ i niepodległy Paragwaj.

Kiedy nowy porządek jest masowy, jedyny słuszny i totalitarny, mniejszości pozostaje tylko partyzantka.

Jaume Roig Stevens, dawny gauczo, ekslider, były Pierwszy Konsul, zostaje teraz

¹⁵³ Wojna o Chaco 1932-1935, wojna między Boliwią a Paragwajem o rejon Chaco Boreal, umożliwiający dostęp do Oceanu Atlantyckiego i złóż ropy naftowej. 3/4 spornego terytorium zdobył Paragwaj.

Pierwszym Partyzantem, oświadczam to głośno i dobitnie. Nie mając nigdzie własnego kąta, uczyni świat swoim terytorium i będzie bronił równych sobie, bezzębnych, przed napaściami totalitarnych drapieżców. Bo istnieją zwierzęta szkodniki. *Fucking hell!* Mewa, która uśmierca młodego, różowego flaminga wagi dwóch kilogramów, jest szkodnikiem. Tak samo pingwiny, które zostawiają swoje jaja jastrzębiom na pożarcie. Ważą trzy, cztery razy więcej od wroga, jest ich dziesięć tysięcy przeciwko dwóm i pozwalają na to, podnosząc tylko krzyk dla zachowania pozorów. Tchórze. Gnu są odważniejsze. Tak samo antylopa oryks, potrafiąca nadzieć na każdy ze swych rogów geparda. I bawoły, które walczą do upadłego, nawet z wczepioną w kłęb lwicą, bawoły, które potrzebują godziny, żeby umrzeć, są dzielne. Antylopy skoczki są dzielne, uciekają. Wszystkie one sobie radzą. Ja sobie radzę. Ale muszę pamiętać o moich braciach, którzy nie mają zębów i którzy nie mają mojej wiedzy. Moją powinnością jest im przynieść oświatę. Tyrania Wielkich Mięśniaków dość już trwała! Bezzębni muszą opanować technikę partyzantki. Pancerniki, mrówkolwy, leniwce, tapiry, dość zwlekania!

Maszerując prosto na wschód przez Llano¹⁵⁴, opracował szkolenie bojowe do walki wręcz, mające na celu wzmocnienie refleksu i pogody ducha w obliczu przeciwności.

Obozowiska pod gołym niebem były rozpisane jak muzyczna partytura. Ustalenie położenia i oczyszczenie terenu, budowa ogniska, rozłożenie maty izolacyjnej i śpiwora, rozwieszenie moskitiery starannie zatkniętej po brzegach. Cały sprzęt wojskowy pochodził z forteczki, posiłki z mąki kukurydzianej, zbóż i z owoców, które zebrał w ciągu dnia.

Sypiał po sześć godzin. Jak go pouczył Lawson, baczył, by utrzymywać podświadomy kontakt z otoczeniem. Ani nagła burza, ani gwałtowny upał nie zdołałyby go zaskoczyć. Czujność to najlepsza z tarcz.

Rano, na czczo, rozciąganie i przebieżka na pobudzenie krążenia. Rozgrzanie stawów. Setka pompek, setka brzusków. Ten sam posiłek co wczoraj plus sześć filiżanek herbaty. To jedyny płyn, jaki przyjmie przed końcem dnia. Odnowił zapas pastylek soli. Podczas dziennego marszu w duchu powtarzał swoje *kata*¹⁵⁵. Słuchał szumu traw. Odtwarzał ruchy zwierząt po ich odchodach. Od wczesnego ranka ubranie obsiadały mu roje much.

Czternastego dnia dotarł do Acaray i ruszył jej brzegiem w kierunku wąwozów

¹⁵⁴ Llano - typ sawanny zalewowej, formacja wysokich traw. Występuje w dorzeczu Orinoko i Paragwaju (rzeki).

¹⁵⁵ Kata - w japońskich sztukach walki ćwiczenia przedstawiające w sposób pantomimiczny poszczególne elementy dawnej techniki

Iguaçu. Wokół rozciągał się płaski, najeżony trzcinami pantanal¹⁵⁶. Stojące wody dawnej zapory na Acaray wartko pomknęły ku jej przełomom. Zastąpiły je bahias¹⁵⁷ porośnięte ogromnymi nenufarami o kształtnych, wygiętych ku górze brzegach. Były tak wielkie, że mógłby urządzić na nich sjęstę. Dno największych aluwialnych wgłębień terenu, z których odpłynęła woda, sondowały ptaki wszelkich kolorów i kształtów. Czaple nadobne, krępe bączki, czaple z purpurowym dziobem, kanarki złociste i, pulchne jak prosiaki, derkacze. Łowiły, nurkując, zanurzając zniecka koniec długiego dzioba, kłócąc się. I wszystkie żarłocznie przełykały.

W gardzieli okazów z rodziny ibisowatych z różowym szpatułkowym dziobem widać było, jak schwyтана ryba się szamocze. W dziobie kaczek krzyżówek podskakiwała rozpołowiona. Te bezzębne o lśniących lotkach ociekających słodką wodą dysponowały groźną białą bronią. Teleskopowymi łapami i niesamowitą rozpiętością stawów.

W różnych odmianach i na różny sposób najliczniej reprezentowane i najaktywniejsze były bociany. Swobodne, odprężone, stąpały powoli jak mierniczy w terenie. Przez dziesięć metrów kroczyły rytmicznie jedne za drugimi, po czym się rozchodziły. Z każdym wydłużonym krokiem ich szyja wyciągała się, z każdym postojem nadymała. Wśród nich jaribu z wolem, czarnym łbem, czerwonym kołnierzem, białą piersią i sztywnymi łapami, były najmniej płochliwe. Na postojach podchodziły do Stevensa. Ten zadumany, ciekawski ptak brodzący, wysokości powyżej metra pięćdziesięciu, zbliżał się i uważnie ze wszystkich stron go oglądał. Z racji barczystości i wydętego podgardla w kształcie piłki Stevens nazywał je rugbystami. Kiedy podeszły bliżej niż na trzy metry, odpędzał je. Nikt nie lubi widoku sztyletu długości łokcia tuż pod własnym nosem. Tolerowane odległości pomiędzy gatunkami były krótsze, niż przypuszczał. Nierzadko widywało się grupę kajmanów wylegujących się w słońcu na piaszczystym brzegu pośrodku stada dwubarwnych kur (jedna strona szkarłatna, druga strona czarna). Obu stronom wystarczyłoby jedno kłapięcie pyskiem, żeby natychmiast doszło do totalnej jatki. Ale tego nie robiły. Wyglądało na to, że kajmany szerokopyskie nie miały gwałtownego usposobienia, chociaż najeżone zębami, a nawet ich skóra wydawała się najeżona zębami. Ale były spokojne. Zaczepna świnka morska mogłaby je przepędzić z ich skrawka piasku. Stevens nigdy nie widział, żeby jadły. Za to widział, że nie lubiły, żeby dotykać ich ogona, bo wtedy potrafiły błyskawicznie się odwinąć i pod kątem niewiarygodnie prostym rozdziawić szczęki, *fucking murderers*, przy których jak nie zbladłyby z zazdrości najgorsze rekiny, najbardziej uzbrojone po zęby, najbardziej żądne

¹⁵⁶ Pantanal - aluwialna równina, „miejsce wielkich bagien”.

¹⁵⁷ Bahia - (z hiszp.) zatoka.

krwi. Ale poza tym jak dzieci. Kiedy pióra zaczynają je drażnić, znikają, i po wszystkim, ziemia jest wielka.

W miarę jak szedł naprzód, pantanal zaczynały coraz częściej przesłaniać wysepki lasu. Jego celem było dojście do stu siedemdziesięciu pięciu wodospadów Iguacu, naturalnego środowiska endemicznych leniwców z Alto Parana, którym antropizacja, co dziwne, wyszła na dobre. Dzięki trasom turystycznym składającym się z asfaltowych dróg, punktów obserwacyjnych i czterogwiazdkowych restauracji leniwce zostały zepchnięte do skromnego terytorium, opuszczonego przez wielkie drapieżniki. Przez dziesiątki lat żyły we własnym gronie, niepożerane przez zwykłe bestie, jak również nienachodzone przez współbraci. Rozmnażały się w ograniczonym kręgu i bliskie pokrewieństwo oraz specjacja¹⁵⁸ wydały praktycznie odrębny gatunek. Stevens dobrze pamiętał, że przed nastaniem śliwki sporo się o tym mówiło. Były piękne, w odcieniu oranżu, oranżutany, miały rozczochrane włosy i były bardzo, ale to bardzo *cool*. Istniała obawa, że wraz z nowym, z dnia na dzień coraz szybciej urzeczywistniającym się porządkiem mogą długo nie pociągnąć. Stevensowi się spieszyło.

Ale kiedy zobaczył - pierwszego w życiu pancernika - pierwszego mrówkojada olbrzyma - ten ogon czarny i długi, ogromny, to ciało wygięte w łuk, ten pysk tak cienki, tak subtelny! Tę wielką, nieśmiałą łagodność, postanowił zatrzymać się i rozpocząć szerzenie oświaty.

Bardzo, ale to bardzo dyskretnie rozbił obóz. Żadnego ogniska. Żadnego hałasu. Żeby nie przerazić swoich przyszłych uczniów.

Pancernik jest zwierzęciem spiczastym z przodu i z tyłu, ale pośrodku wypukłym. Jego giętki, rdzawy pancerz pamięta czasy pliocenu. Generalnie ma dobry charakter. Ponieważ jednak w czasie lekcji trudno go było utrzymać w miejscu, a jeszcze trudniej zgromadzić dwa gatunki bydłat, na co dzień wzajemnie się unikających, Stevens postanowił przywiązać go za ogon do pnia belombry, pod którą odbywały się zajęcia. Pancernik drapał łapami o ziemię. Był irytujący. Stevens próbował go wyluzować, pogwizdując lekkie country, ale niewiele to dało. Pancernik nadal drapał łapami o ziemię. Drapał i drapał. Obrzydliwie uparty. Pod tym względem zakasowałby nawet domowego kota.

W końcu, kiedy pojawił się mrówkojad, można było zaczynać. Pamiętając o tym, żeby nie wykonywać gwałtownych gestów, żeby wstawać i mówić bardzo łagodnie. Mogło to potrwać nawet z godzinę. Mrówkojady są dość ciekawskie.

¹⁵⁸ Specjacja - proces powstawania nowych gatunków biologicznych, w konsekwencji nowych linii ewolucyjnych.

Początkowo Stevens zamierzał im zademonstrować chwytów obronnych na podstawie *kalaripayat*¹⁵⁹. Zważywszy na to, że nie znał dokładnego pochodzenia obu gatunków, pomyślał, że sztuka walki z Kerali, hinduskiej z domieszką chińską, nada się idealnie pod kątem asymilacji. W praktyce jednak, ledwie zdążył wykonać pierwsze figury *maipayat*, mrówkojad uciekł. Za dużo akrobacji, OK. Tak czy siak, za dużo urywanych ruchów, za dużo machania bambusowym kijem, fakt, przy tych ich pazurach może to być problem.

Musiał na nowo obłaskawić mrówkojada, przynosząc mu mnóstwo miękkich insektów spod kamieni. Polując na nie, miał czas się zastanowić i pomyślał o karate. Uproszczona odmiana *shotokan*. Przygotował program szkoleniowy.

Kiedy czarno-szary olbrzym odzyskał życzliwe nastawienie, a pancernik, któremu chyba nie w smak były więzy i odmawiał jedzenia, wygodnie wyciągnął się na ziemi, Stevens podjął naukę.

Pierwsze: odparować broń i poczynania przeciwnika.

Przykucnął, stopy płasko, ramiona przyciśnięte do tułowia, twarz skierowana ku napastnikowi, o tak. Przyjmuję typową pozycję „łajdak przyczajony w trzcinach”. Jestem podstępny, giętki, spójrzcie, giętki, superczujny. I mam wrogów, zgoda? Wyobraźmy sobie. Walka już się odbyła, już wygrałem. *Do you understand?* Już ją wygrałem, to czysta formalność, nic wielkiego, udajemy, że nie wiemy, zaskakujemy nieprzyjaciela. Teraz, dobrze, już jest dobrze. Uwaga, wszystko dzieje się bardzo szybko, przednia noga wyprężona, tylna lekko ugięta, zsynchronizować ruchy obrotowe przedramion, nie odstawiać łokci, *shuko tsuki! Oi tsuki! Mae geri!* Bravo! *Is that clear?* To wszystko na dziś.

Jeśli mrówkojad wystarczająco długo pozostawał w okowach, stał potem przez długie minuty w miejscu, kołysząc cybuchowatym nosem w jego kierunku, w zadumie i z lekką dezaprobatą wężąc w powietrzu. W takich przypadkach Stevens - który miał wrażenie, że tamten próbuje postawić diagnozę - czuł się nieswojo. Jeśli nie wyglądało na to, że zwierzę zamierza się ruszyć, powtarzał *Is that clear, tak?* - donośnym głosem, a mrówkojad co sił w nogach rzucał się do ucieczki. Czubki jakieś, czy co?

Zmieniał z dziesięć razy swoje wywody, urozmaicał profil wyimaginowanych wrogów, próbował dostosować własne lęki do lęków uczniów. Krwawego, rozjuszonego barbarzyńcę z szablą w zębach i z oczami nabiegłymi krwią zastąpił dystygowaną pumą, dzikim jaguarem, podstępnym wężem. Skądinąd nie sprawiało mu to żadnych trudności, do tego stopnia czuł się pozbawiony zębów. Ale jego nauki nie zostały przyswojone. Widział to

¹⁵⁹*Kalaripayat* - staroindyjska sztuka samoobrony; obejmuje walkę wręcz lub z użyciem broni. Bazuje na wiedzy o wrażliwych punktach ciała. Techniki przypominają chińskie *wu shu*.

wyraźnie. Ani pancernik, ani mrówkojad nie zarzuciły swojej dziwnej rezerwy. Nigdy nie podchodziły do niego pod belombłą, żeby wspólnie przećwiczyć techniki walki. Nie pozdrowiały go ani przed, ani po zajęciach. Stevens podejrzewał, że nie jest to tylko kwestia cierpliwości. Mimo to nie dawał za wygraną.

Przed zajęciami tłumaczył, że nie chce ich udomowić czy się z nimi zaprzyjaźnić, broń Boże. Tym, co wam proponuję, jest autonomia, skończenie z terrorem mięsożernych, proponuję wam niezawisłość, walkę obronną i zimną krew, żeby wam pomóc. Nic w zamian nie żądam. To bezinteresowne. Moje zajęcia są bezpłatne, korzystajcie z tego. Na koniec rozmowy mrówkojad potrząsał swoim spaghetti i wszystko było jasne.

Stevens naprawdę nie dawał za wygraną. Dopiero kiedy znalazł pod belombłą zdechłego pancernika, otworzyły mu się oczy.

- No jasne, ale ze mnie kretyń! - wykrzyknął. - Pokazuję im krok modliszki z technik *tang lang*¹⁶⁰ z niskimi kopniakami i mnóstwem uników, ale ze mnie kretyń! A one nie są zdolne wyobrazić sobie siebie jako modliszki! No pewnie, oczywiście, tylko ja, człowiek, jestem do tego zdolny, *of course!* Przykro mi - powiedział, odwiązując martwego pancernika - myślałem, że jesteście inteligentne. Dalibóg, zapominam o moich wyjątkowych przymiotach, zapominam, że panowaliśmy, i to nie z powodu urody, rzecz jasna istniały po temu przyczyny obiektywne, jesteśmy jedyni i niepowtarzalni. Wy jesteście tylko odpryskami.

Poszedł spakować rzeczy, przekonany, że odzyskał własną wyższość. W mgnieniu oka zwinął obóz, był mężczyzną, był polimorficzny, był człowiekiem w pełnym znaczeniu tego słowa, codziennie się tego dowiadywał. Cholera! Niezwłocznie wyruszył w drogę.

- Dokąd więc idziesz, biedny bałwanie? - zapytał Lawson pod koniec czwartej godziny marszu.

Szedł zobaczyć leniwce.

- Może będą bardziej otwarte. Muszę to sprawdzić. Od dawna stykają się z turystami, to może przekłamywać dane.

Lawson roześmiał się.

- Rój Stevens aż miło, po staremu głupi.

- Co takiego?!

- Usiądź, Stevens, jak byłeś, tak zostałeś głupi. A tak, tak, jesteś człowiekiem, bez dwóch zdań. Pewnie nigdy nie słyszałeś o transformistycznej ośmiornicy, co? O ośmiornicy,

¹⁶⁰ *Tang lang mei hua* - technika walki, tzw. modliszka kwiatu śliwy.

która udaje doradę, która udaje langustę, która w razie potrzeby uda nawet ścierkę? Transformistyczna ośmiornica pływa sobie spokojnie jak to ośmiornica w postaci ośmiornicy i jeśli spotka drapieżnika polującego na ośmiornice, raz-dwa kamufluje się. Zmienia kolor, zmienia kształt, zmienia wibracje ruchowe, zmienia nawet myślenie. Wyobrażaliście sobie zawsze, że kłamstwo jest waszą domeną, ale nie potrzeba uczyć przebiegłości szczwanego lisa. Nie zapominaj, staruszk, że czwartorzęd się skończył. Co z tego, że jesteś ostatnim potomkiem, jesteś bardzo młody, nie jesteś w ciemni bity. Wybij sobie z głowy, że jesteś taki nadzwyczajny, są też inni. A wyrażam to na twoim poziomie, bo wciąż jesteś niezdolny, by pojąć świat, nie mówiąc o perspektywizmie, bo nadal jesteś pętakiem, który okrążył świat w kapsule dzięki przedpotopowym paliwom, bo nadal twarde wierzysz w silnik spalinowy i w telefon. No, wstawaj, w drogę. Jeśli rzeczywiście każdego dnia będziesz się uczył, to jedno ci powiem: czeka cię wiele pracy.

Stevens zaprotestował.

- Naśladownictwo jest techniką powierzchniową. Udawanie to nie metamorfoza, maska zawsze pozostaje sztywna, nie...

- W drogę, mówię, nic nie pojąłeś. Dopóki nie poczujesz we własnych nogach doznań antylopy, dopóty nic nie zrozumiesz.

Stevens wzruszał ramionami jak urażony bocian. Lawson go wkurzał. Zjawiał się zawsze, kiedy był pewny swego. A co takiego robił? Puszczal tylko kółka dymu z tytoniu ze zmielonej kory. Mówił nawet, że drzewo płacze, kiedy je obdzierają z jego starej skóry, ale płacze radośnie. I mówił, że jest też inne, zwane *ayahuasca*, które wtedy pęka ze śmiechu. Z jego kory robi się strasznie gorzką papkę, *caapi*¹⁶¹, ale to już za mocne dla takiego małego pętaka jak on.

Stevens maszerował, wzruszając ramionami. Teraz dżungla wzdłuż Acaray ciągnęła się nieprzerwanie, bez umiaru gęstniała i zieleniała. Miał wrażenie, że stąpa po obłoku mchu nasyconego wilgocią aż po stratosferę, pulsującego życiem. Okoliczne odgłosy już go nie przerażały. Wiedział, że dwusekundowa cisza bywa groźniejsza aniżeli trwożne trele.

W nurcie rzeki widział wielkie ryby w białe i czerwone cętki, które podpływały na powierzchnię, żeby łyknąć powietrza. Zastanawiał się, czy w taki sposób piją. Tak jak on wodę ze szklanki. Zastanawiał się, czy i w jaki sposób leniwce okażą się do niego podobne. Czy można powiedzieć o papudze, że ma piękny czerwony kapelusz. Czy naprawdę można usłyszeć szept wiatru. I o co chodzi z tym perspektywizmem.

¹⁶¹ *Caapi*, właśc. *banisteriopsis caapi* - środek psychodeliczny w formie wywaru ze zmielonego pnąca tropikalnego.

Powietrze było tak wilgotne, że musiał bardzo pilnować, żeby codziennie zmieniać ubranie, a zwłaszcza skarpetki. Jeśli się tego nie przestrzegano, między palcami stóp robił się liszaj.

Ten sam problem był pod pachami i właściwie wszędzie, gdzie skóra się z sobą stykała, w każdej fałdzie mogła zagnieździć się pleśń. Codziennie należało prać i rozwieszać bieliznę. Było to męczące, ale Stevens nawet to lubił. Kiedy klękał nad rzeką i tarł swój T-shirt i inne ubrania, całkowicie się odprężał. Z uśmiechem spoglądał w oczy krokodylom, prał, jakby to było zajęcie dzielone z innymi zwierzętami, jak przyjscie do wodopoju.

Noce były atramentowoczarne. Kiedy wyciągnął rękę, nie widział własnej dłoni. Już go tak nie przerażały żółte światełka zniecka rozbłyskujące w mroku. Ale do krzyku sów nie mógł się przyzwyczaić. Mroził mu krew w żyłach. Teraz zmuszony był przez całą noc utrzymywać żarzące się ognisko i przez większą część czasu czuwać. Jego cykl snu niepostrzeżenie się zmienił. Potrafił zregenerować się w kilka minut, obojętnie kiedy, obojętnie w jakiej pozycji. Pomyślał nawet, że już niedługo nauczy się spać na stojąco jak koń, na jednej nodze, barkiem wsparty o pień drzewa. Przyzwyczał się do zwartości otoczenia.

Któregoś ranka wkroczył niespodziewanie do opuszczonej indiańskiej wioski i przeżył szok.

Dżungla, która pochłaniała wszystko, to miejsce oszczędziła. Indiańskie *chozo* lub *jacala*, czyli po prostu prymitywne chaty o chwiejnych ścianach trzymających się na rafii, nadal stały. Ubitej ziemi na wioskowym placu nie pochłonął potwór o zielonych zębach. W pobliżu nie wyrosły żadne wyszukane rośliny, palmowe dachy nie wybrzuszyły się ani nie zawaliły. Nie wierzył własnym oczom. Poczł, jak serce W. ścisła się w jego piersi jak gąbka: a jeśli żyli, jeśli się pochowali? Ale nie. To nie było to. Tak jak w miastach, jak na dworcach, jak wszędzie, walające się na ziemi ubrania nie były porzucone, tylko puste. Stevens podniósł przepaskę na biodra wielkości dłoni i okręcił ją w palcach. Bardzo delikatna, jak upleciona przez pszczoły, krucha jak klejnot. Poczł ucisk w gardle, łyż bez powodu, z wszelkich powodów napłynęły mu do oczu. Oszczędźcie mnie. Owinął indiańskie stringi wokół szyi jak kolię.

- Dziękuję - powiedziała major. - Bardzo ładna.

Lawson radził mu zatrzymać się, bo tutejsze *caapi* były fantastyczne, bo wioska była dobrze położona, bo czuł pozytywne *pneumas*. Zrobił obchód po chatach. Zobaczył wyszczerbione naczynia, ozdobione zgrzebnymi szlaczkami, paleniska umieszczone w wydrążonych pniach drzew, prawdziwe łuki i prawdziwe strzały zawieszane na słupach

drzwi, dzidy. W największej chacie kawałek drukowanego materiału służył jako przepierzenie między kuchnią i sypialnią, której jedynym meblowaniem była niezbyt szeroka mata leżąca na gołej ziemi. Odruchowo dotknął materiału. Nylon.

W drewnianej skrzyni odkrył stare radio tranzystorowe, które pospiesznie odłożył z powrotem na miejsce.

- Przestań szperać, nakryją cię.
- Szukaj dalej. Obserwują cię ptaki!

Kontynuował oględziny, dopóki w podwójnym dachu *chozo* z dobudowaną do niego prowizoryczną werandą nie natknął się na skrzynkę z kompletem narzędzi, całą wytłuszczoną ciemnym smarem. No no, dziwne, pomyślał, odkładając ją z powrotem na belkę stropową, jest klucz do śmigła. Kontynuując dochodzenie, stwierdził, że również uprawy były w lepszym stanie, niżby pomyślał. Krzewy manioku miały się dobrze. Wyglądały jak dzikie pataty, zarastały je chwasty, ale wyglądały pięknie, zdrowo. Zebrał ich trochę. Przyniósł też małe kolby kukurydzy, sprawiające wrażenie dojrzałych, i po raz pierwszy od dawna zabrał się do przyrządzania prawdziwego posiłku. Nad prawdziwym paleniskiem, które nie należało do niego, ale które wydało mu się przeznaczone, w prawdziwym glinianym garnku, wyszczerbionym i osmalonym przez setki potrawek z Bóg-wie-czego.

- Gulaszy stepowych, nieboraku. Nigdy nie jadłeś brunszwickiej potrawy z królika w białym winie lub wiewiórki w jarzynach? Do której sos kręci się długimi godzinami, bujając się w fotelu na biegunach?

- Nie jadam już mięsa.
- Hipokryta.

Wyłuskał ugotowaną kukurydzę i zrobił z niej tortille, które posłużyły za talerz. Z dodatkiem ostatniego korzenia z zapasów Lawsona maniokowa papka nie była taka zła. Kiedy wszystko pochłonął i wylizał palce do czysta, postanowił pranie odłożyć na później i zafundować sobie krótką sjęstę. W chacie z drukowaną zasłoną, bo była największa i była w niej najpiękniejsza mata. Wyciągając się, pomyślał, że Indianie zgotowaliby mu podobne przyjęcie. Czuł się jak w gościach, jak na wakacjach. Widzieli już wielu białych, antropologów, awanturników, różnych mniej lub bardziej stukniętych fanów powrotu-nalono-natury, uciekinierów, widzieli wielu takich odszczepieńców. Powiedliby za nim mętnym wzrokiem, kobiety dalej, jak gdyby nigdy nic, paliłyby cygara, może kilkoro dzieci podeszłoby obmacać mu kieszenie, ale może nawet nie. Zostaliby na swoich miejscach, czekali i po jakimś czasie by po niego przyszli. Zaproсили. Jedz. Śpij, *gringo*, moja chata należy do ciebie. Bez ceregieli, nie pomalowaliby go od razu ani nie nadaliby przydomka,

tylko: śpij, *gringo*, wyglądasz na zmęczonego. I faktycznie, padający ze zmęczenia Stevens by zasnął. Śniłyby mu się miniaturowe przepaski na biodra noszone przez kobiety - *uluris* - pióropusze, kościane ozdoby nosa, śniłoby mu się, że na łydce w sposób całkiem naturalny wyrasta mu kauczukowy penis, że nie ma najmniejszego powodu się tym przejmować. I obudziłyby go pekari.

- Co robisz w moim łóżku, Złotowłoso?

Po trzecim podejściu Stevens w końcu drgnął i momentalnie odepchnął język tapira sunący po jego torsie. Natychmiast tego pożałował, bo cały był pokryty czarnymi mrówkami. Zerwał się na równe nogi i nie bacząc na nic, pognał do rzeki, bo gryzły go wszędzie. Zdezorientowany wypadł na główny plac, pędem próbując sobie przypomnieć, gdzie jest rzeka, z której strony? *Caititu*¹⁶² wskazał mu drogę.

Pławiąc się w rzece, odzyskał przytomność ducha oraz poczucie świadomości własnego ciała.

- Co takiego, Lawson? Co mi pokazało drogę?

- *Caititu*, takie zwierzę, którego nigdy nie widziałeś. Był w towarzystwie swojego kumpla *queixady*. Ale możesz ich nazywać, jak chcesz, nie obrażą się. Spokojnie. W zupie nic nie było, jesteś normalny.

- O nie! Nie odstawisz mi tu numeru z inicjacją, nie jestem żadnym Indianinem, kategorycznie odmawiam.

- To nie żadne wygłupy z inicjacją, *gringo*. Po prostu mała imprezka z *caapi*, *caapinada*. Dziś wieczór. Od dawna zaplanowana, nie popsuj zabawy.

Stevens wezwał na pomoc major Echampson.

- Bez obaw, Stevens. W niczym to nie jest gorsze od gadającej świni. W tykwach na środku placu tapiry przygotowywały orlean¹⁶³. Trzy wielkie samice pekari z rozwichrzonymi szczecinami zuły i wypluwały kukurydżę do kufli od piwa. W gałęziach miejscowa kapela kogutów-z-pomarańczowej-skały zawodziła refren: *It isn't going to rain anymore*. Ich nosowe pienie wzbijało się aż po *canopee*¹⁶⁴. Wszyscy czekali na *jaguarondi*¹⁶⁵, który miał dostarczyć mięsiwa. Jego kobieta tkwiła na progu chaty z werandą, wypatrując jego powrotu. Zapewniała boa dusiciela, który szarogęsił się na jej podeście, że tylko patrzeć, jak się zjawi, bo czuła na własnych nogach krew broczącą ze zdobyczy.

¹⁶² *Caititu* - pekari obroźny. Inna nazwa lokalna: *queixada*.

¹⁶³ Orlean - roślina, z której owoców pozyskuje się pomarańczowy barwnik.

¹⁶⁴ *Canopee* - dach z koron drzew.

¹⁶⁵ *Jaguarondi* - dziki kot z lasów amazońskich.

- Litości! - jęknął Stevens - Litości! Litości!

- Cóż znowu, Stevens. Niechże się pan wreszcie uspokoi! Proszę spojrzeć na to od dobrej strony, dawno pan już nie miał pięknej uczty.

- Ratunku!

Stevens był tak roztrzęsiony, że major wyciągnęła swoją ostatnią butelkę *pusser'sa*.

- Niech pan łyknie i weźmie się w garść - powiedziała. - Nie wszystko!

Potem, kiedy zwrócił jej butelkę:

- Waterfull, niech mu pan pokrótce opowie w czym rzecz, proszę. Muszę iść i pomóc przy piwie.

Odkaszlnąłem, ująłem Stevensa za łokieć i odprowadziłem na bok. Kazałem mu usiąść na wygodnym pniu, usiadłem naprzeciwko, ująłem jego głowę w dłoń i powtarzałem mu, wszystko będzie dobrze. Dobrze, dobrze. Przede wszystkim nie musi pan wypić tego *caapi*, jeśli nie wierzy pan wystarczająco silnie w szamana w sobie. Poza tym niech pan posłucha. Siuksowie Oglala, którzy od dawna żyli w Ameryce, mówili płynnie językiem zwierząt, jak ludy takie jak my. To wcale nie jest dziwne. Mogę panu przytoczyć tysiące przykładów. Sziwaro, Czewongowie, Kri z Kanady uważali, że zwierzęta, tak samo jak my, są istotami wybitnie kulturalnymi i towarzyskimi i posiadają umiejętność, powiedzmy, zmieniania od czasu do czasu ciała. Rzecz jasna coś takiego nie dzieje się na kiwnięcie palcem i wiąże się z pewnym ryzykiem. Ale najważniejsze jest wiedzieć, że to możliwe. Nikt nie jest całkiem monolityczny. Nikt nie jest do końca spójny, to znaczy indywidualny i niepodzielny. W Meksyku u Indian z Cancun przypada po siedemnaście dusz na łebka. U Dogonów osiem. U pana tylko cztery, powinien pan sobie z tym poradzić.

Stevens kiwał głową.

Stado podekscytowanych skunksów przemknęło nam między nogami, parskając jak dzieciaki. Major pognąła za nimi, bo zwędziły jej bransoletkę na kostkę, którą ona zwędziła w Lakhnau. Ale skunksy znały teren jak własną kieszeń. Zdyszana usiadła na pniu Stevensa.

- Ufff, ale rozrabiają. I jak, już lepiej? Wiecie, że będzie kaczka *cairina*, och, pyszota! A potem *pacu*, duszone *tucumare*, wielkie ryby rzeczne. I czy wiecie, że będzie *pirarucu*? I jelenie, które wszystkie są z sobą spokrewnione? A także *caitutu* i *queixada*!

- Ci dwaj kumple?

- Tak! Przy ruszcie robi się tłoczno, tyle wam powiem, płomienie sięgają wierzchołków!

- I zjemy ich?

- Oczywiście, jest święto, wszyscy zjadają wszystkich!

Podszedł z kolei Lawson w towarzystwie dwóch dorodnych irbisów (lokalnych panter), które przedstawił jako irbisy *tupi* Suassunę i Pixumę.

- Te też zjemy?

- Naturalnie, rywalizują z sobą, która z nich trafi do *mechoui*¹⁶⁶. Dochodzi do prawdziwych przepychanek, powinieneś przyjść i zobaczyć.

- Wielkie dzięki.

Czarna pantera Suassuna obwącowała zwisające między kolanami dłonie Stevensa, przez chwilę wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Natomiast Pixuma nie okazała najmniejszego zainteresowania jego przypadkiem. Spoglądała w stronę placu i dygotała z niecierpliwości, a mięśnie jej barków przebiegało drżenie. Pomrukiwała gniewnie. Po co tracić czas z tym neurotycznym kolibrem, kiedy tam trwają tak wyborne przygotowania?

Kiedy zrobiły w tył zwrot, Stevens złapał Lawsona za łokieć:

- Zjemy te dwie pantery? To te dwie zjemy?

- No tak. Ale trzeba będzie bardzo uważać, zanim się je upiecze, najpierw je poćwiartujemy i zdejmemy wierzchnią warstwę brzucha, bo to przebrani ludzie.

- O nie! Nieeee, nie, nie, nie, nie! Nie przełknę tego! Wkurzają mnie te wasze wymysły, mam ich dosłownie po dziurki w nosie, jesteście kanibalami czy jak, popaprańcy? Ten klimat rozmiękcza wam mózgi, co za niemożliwe bzdury!

- A dlaczego nie? - odezwała się major. - Dlaczego pana zdaniem las tak szybko odzyskuje wykarczowane tereny, jak gdzie indziej preria? Co stało się z milionami i miliardami dusz i *pneumas*, które wyparowały wraz ze śliwką? Niech pan spojrzy na te rośliny, skąd tu tyle nowych? To nie wie pan, że życie potrzebuje równowagi?

Stevensa zatkało.

Jak będzie odtąd postrzegał pastwiska? Stepy Mongolii, nieskończoną amerykańską prerię? Otaczający go las? Jak? Jako wspólny grób pod otwartym niebem, pulsujące życiem cmentarzysko świata, jako mogiłę, żywą mogiłę? Nieeeee.

- A może byś spróbował postrzegać to jako społeczność - rzucił Lawson, ulatniając się.

Tylko jak wtedy rozpoznać swoich, jak się w tym rozeznąć? W dodatku nie wszystkie zwierzęta były ludźmi.

- Tak, no cóż, widzi pan, nawet w praktyce to na jedno wychodzi - powiedziała major.

¹⁶⁶ *Mechoui* - baran pieczony nad ogniskiem, tradycyjnie podawany na zakończenie ramadanu.

Opadły mu ręce.

- Chyba jednak spróbuję *caapi*. W mojej sytuacji...

- *You're welcome*, Stevens.

W ten sposób dowiedział się, wcześniej napatrzywszy się na fiku-miku samców kajmanów z samicami pancernikami, na małpy flirtujące z papugami ara, papugi ara z rybami *poraque*¹⁶⁷, tapiry *caitutu* z *queixada*, zresztą zgodnie z długą tradycją, napatrzywszy się na najbardziej niewiarygodne akty kopulacji, kosa bzykającego węża, na major we własnej osobie, choć tak wymalowaną orleanem, że zlewała się w jedno z rudą *mazane*¹⁶⁸, gwałtowną i bezwstydną jak dziewczica, którą posiadała końcem ogona, wyrosłego jej jak kwiat u nasady pleców, lepiej nawet nie mówić, Lawson. Widział nawet mnie, jak niespiesznie i od przodu posuwam ogromną samicę orangutana, która nie wiadomo skąd się tu wzięła, gdy tymczasem jakaś małpa z ogromnym nochałem bez pośpiechu chędożyła mnie analnie swoim długim, czarnym i śliskim kutasem. Po tym, jak się na to wszystko napatrzył i jak sam przeszedł przez wszystkie kolejno ramiona i wszystkie krocza, i wszystkie futra, jak otarł się o wszelkiego rodzaju rybie łuski, o jakże świeże i sprężyste, po wypiciu nie tylko obrzędowych *caapi*, ale i tykw ze sfermentowanym piwem, po zjedzeniu i pożarciu niesamowicie soczystych ciał, po zmierzeniu się na siłę i zręczność w strzelaniu z łuku i rzucie oszczepem z najwyższej notowanymi pumami, po śpiewach z czerwonymi kurami sopranem z dzioba i po puszczeniu z perliczkami wiatrów kontraltem z kupra albo może wcześniej, pod osłoną aklamacji, jeszcze przed prawdziwym rozpoczęciem wielkiego *mechoui*, usłyszał z własnych ust pantery Suassuny, dlaczego, z jakich powodów tak jej zależało, żeby ją przy tej okazji pożarto.

Był pijany, a przede wszystkim dokumentnie naćpany, wykończony najwspanialszą fiestą, jaką kiedykolwiek przeżył, orgią stulecia! Ale świadomość miał jasną i płynną, musującą jak najprzedniejszy szampan. Na początek pantera mu powiedziała, i nie trzeba było czekać na Ameriga Vespuciego, żeby to wiedzieć, że to właśnie w tym miejscu znajdował się *Ypimara-iy*, ogród bez grzechu, przepiękny.

- Rozgość się.

Wsparała się o Stevensa ramieniem, ona też była dokumentnie naćpana, jej głos pobrzmiwał wyraźnie chrapliwą nutą, oddech miała naprawdę ciężki, ale mówiła klarownie.

- Co chciałbyś wiedzieć, *amigo*?

- Zjemy cię?

- Oooh, tak!

¹⁶⁷ *Poraque* - *Electrophorus electricus* - węgorz elektryczny, strętwa.

¹⁶⁸ *Mazane* - jeleń amerykański.

- Czyli wkrótce umrzesz?

- Mam szczerą nadzieję!

Kiedy pantera nosiła jeszcze czarny kapelusz *bacoras* z wywiniętym rondem, w jej rodzinnej wiosce na dalekim *Sertão*¹⁶⁹ uważano ją za cichego króla. W połowie negroidalna Hinduska, w połowie Hiszpanka, a niektórzy przypisywali jej również sudańskich przodków czystej krwi bantyjskiej. Wieśniacy, mężczyźni i kobiety, oczekiwali, że będzie ich chroniła od głodu, nie będzie ściągała dziesięciny w porze suszy i będzie utrzymywała dobre stosunki z bestią Bruzaca.

Tymczasem panterze w owych czasach w głowie było tylko jedno: przetłumaczyć Wielką pogoń za złotym runem tak, żeby pierwszy lepszy *caboclo* mógł zrozumieć i jej tekst, i ducha. Trzej paziowie w łachmanach, Tabajara, Feliciano i Euclides, dostarczali jej wywar i starannie przygotowywali tusz. Podbierali też z kasy, niedużo, i raczyli się likierami, ale mniejsza z tym. Pędzili wspólnie szczęśliwe dni, poświęcone studiom, a niekiedy pod koniec tygodnia również konsumpcji zielonego napitku pędzonego z juremy¹⁷⁰.

Pantera nie wychodziła nigdy bez kapelusza, jej paziowie nigdy bez łachmanów, a ludzie, których nikt o nic nie pytał, po bratersku respektowali jej królewskość. I mogłoby to tak trwać i trwać, gdyby któregoś przekłętą dnia, jeśli dobrze pamiętam, w sierpniu, nie wtargnęła do wioski polityka w postaci zbłąkanego oddziału kanonierów wracających z Chaco. Najpierw wzniecili mnóstwo kurzu, a następnie, jako że jedno pociąga drugie - bunt całego narodu.

W czasie kiedy pantera, która zakończyła właśnie przekład i dość z siebie dumna przechadzała się po cienistym deptaku, rozmyślając o swych drogich rycerzach Guarimie z Loreny, Bosinie z Genui, Hoelu z Nantes i ich brazylijskich wyczynach, ktoś chwycił ją za rękaw. Był to Tabajara, i powiedział: Uciekaj, Wasza Wysokość, *komunisi* są u twych bram. Nie chciała zabierać nic z tego, co do niej należało - zostawiam ziemię i zabudowania, zachowajcie piwniczkę i spiżarnię, zostawiam sad i skrzynie pełne haftowanych materii - oprócz ukończonego dzieła, i to ją właśnie zgubiło. Ledwie zdążyła wejść do swego prywatnego gabinetu, kiedy ukryci za kotarami kanonierzy wypadli i ją skrępowali. Chcieli wiedzieć, gdzie znajduje się skarb. Nie wiedziała. Chcieli wiedzieć, czy mimo wszystko nie w tym pokoju. Powiedziała, że nie wydaje jej się. A ta kaseta? To mój przekład książki. Musiała

¹⁶⁹ *Sertão* - suche regiony interioru brazylijskiego, rozległy, nieurodzajny płaskowyż obejmujący stany Bahia, Paraíba, Rio Grande do Norte, Ceara i Piani.

¹⁷⁰ *Acaccia jurema* - drzewo rosnące tylko w Brazylii. Z jej liści sporządza się halucynogeny napój *ayahuasca*.

im opowiedzieć całą historię. Uznali ją za piękną i zgrabnie wymyśloną, lecz od początku do końca nieprawdziwą. Uprzedzono ją, że wobec tego zostanie osądzona na głównym placu pod zarzutem kłamstwa, konfabulacji i dostarczania ludowi opium. Nie otrzyma obrońcy z urzędu. I rzeczywiście, jeszcze tego samego wieczoru zawleczono ją bez kapelusza przed ławę oskarżycieli. To właśnie wtedy pękło w niej ludzkie serce. Gdyż ujrzała swój lud, cały swój umiłowany lud, włącznie z trójką paziów, po stronie kanonierów. Gwizdali pogardliwie, a wielu obrzucało podium pomidorami. Zarzucono jej brak zmysłu praktycznego, utrzymywanie niezrozumiałych sojuszy z językami obcymi, a przede wszystkim wyobraźnię. Lud potrzebuje chleba! Lud potrzebuje prawdziwego su-we-re-na! Nie cichego władcy, *cabra*, ale silnej polityki krajowej i wysokiego produktu krajowego brutto! Precz, precz z Suassuną!

Jeszcze teraz, wspominając tę scenę, pantera się trzęsła.

Wskakując jak jeden rozpasany mąż na estradę, rzucili się zrywać z niej ubrania. Płacząc, w duchu przytrzymywała odzienie, ale lud był gwałtowny. Zmuszona szukać ratunku u bestii Bruzaca, poprosiła ją, *please*, zrób to dla mnie, zrób pasy i taśmy nie do rozplątania, bez końca długie. I tak się stało. Kiedy najbardziej zapalczywi, obracając ją jak bąka, odwinęli ją w końcu z kilometrów tkaniny, kiedy po tym wszystkim poczuli się lekko zmęczeni, postanowili na tym poprzestać i porzucić ją w *Sertão*, niech szejnie. *Compañeros*.

Tej samej nocy została wrzucona z tobołkiem swoich ubrań w zarośla kaktusów *xique-xiques*. Tam wyrzekła się koła, dzieł literackich i wszelkiego opium dla ludu, jeśli miałby mieć jakikolwiek związek z człowiekiem. Przyjęła postać irbisa.

Żyła szczęśliwie, przemierzając suche, kamieniste przestrzenie odwiecznej *caatingi*¹⁷¹, żywiąc się polnymi myszami, pijąc bardzo niewiele, bardzo dobrze. Było jej dobrze. Dość dobrze. Pod cichymi poduszkami jej łap lasy w *Sertão* były rozkoszne, istne dywany *malicias* i płożących się roślin. Jednak łanie o łagodnych oczach przed nią uciekały. Ale przede wszystkim nie przestawały rozbrzmiewać w jej głowie śpiewne wersy utraconego przekładu. Nijak nie mogła o nich zapomnieć. Przez siedem lat i osiem dusz, zapewniających jej pod dostatkiem gibkości i żywotności, satysfakcjonowało ją życie pantery, ale szczątek dziewiętej duszy nadal odzywał się we wspomnieniu jej epopei.

- Oto, czemu chcę być zjedzona na tej *caapinadzie*, *amigo*. Bo ty tu jesteś. Liczę, że dostanie ci się najlepszy kąsek.

Stevens płakał jak dziecko. Chciał, żeby została, żeby nie umierała, żeby nadal

¹⁷¹ *Caatinga* - koleczasta sawanna (nazwa indiańska).

wspierała się o niego swym ciężarem. Szlochał.

- Ciii, ciii - mówiła - kiedy już będę średnio wypieczona, poproś o mózg i połędwicę. Będzie dobrze, *amigo mio*, jesteś *tapereba*, ruiną i mieszkańcem ruiny, ale nigdy więcej już nie będziesz *gauczo*, nie będziesz opuszczony. No, głowa do góry.

Czule skubnęła go zębami w rąbek ucha, potem wstała jak królowa, prawdziwie majestatyczna. Poruszając wszystkimi mięśniami pantery, przeszła przez plac i zbliżyła się do wielkiego paleniska, gdzie już na nią czekał rzeźnicki nóż tapirów. Przed podaniem szyi obsiusiała drzewo, żeby nie zepsuć smaku mięsa.

Uczta trwała trzy dni. A przynajmniej trzy razy widziano, jak wioskę okrywa noc, i trzy razy widziano światło południa na palmowych dachach.

Nim rozpoczął się następny nocno-dzienny cykl, koguty-z-pomarańczowej-skały zaintonowały pieśń zstąpienia. To stara, bardzo piękna pieśń, powtarzająca wciąż te same osiem nut w tonacji opadającej. Pieśń, którą na czczo można by uznać za odurzającą, ale która zdekapitowanym *caapi* dostarczała bardzo im potrzebnego podejścia do lądowania. Końcówka *caapinady* bowiem to moment wielce delikatny. Podczas tego schodzenia poza ziemię na przesywającym wątku rytualnej melopei¹⁷² przebierańcy ruszają na poszukiwanie swojej pierwotnej powłoki. Proces jest długi i niepozbawiony niebezpieczeństw. Jeśli przypadkowo śpiew urwie się, nim mrówkojad zdąży przywdziać swoje zwykłe futro, w chwili gdy zwraca kajmanowi jacare jego łuski, oba zwierzęta aż do następnej uczy pozostaną niekompletne. Pół mrówkojady, pół kajmany. Jednocześnie mrówkojad i kajman, ale ani jeden, ani drugi całkowicie. Co prowadzi niekiedy do powstawania nowych gatunków. Takiego na przykład zająca z Patagonii, efektu wcielenia się na krzyż ponad czterech dusz, które poczuły się dobrze w takim zestawie i postanowiły, by tak zostało. Stevens widział dwa, a może trzy podobne okazy, z nieskrywanym zadowoleniem powracające do swych *penatów*. Wracały z ciała silnego i zdrowego jaguara, ale co z tego, skoro czuły się swojsko jedynie w dwurożnym habitusie¹⁷³, w którym przyszły na świat. Przeważnie. Niemniej do tego typu zdarzeń dochodziło rzadko, bo koguty-ze-skały były prawdziwymi profesjonalistami. Nie zostawiały niczego na łut szczęścia. Ta zwłaszcza kapela, wyznał *quetzal*, zrzucając pióra, jest bardzo sprawna.

Tak więc Stevens uczestniczył w większości metamorfoz i towarzyszących im komentarzy. Czyli przeważnie: jak to dobrze zmienić otoczenie! Ooo, tak.

Na placu zwierzęta przeciągały się jak po porządnej sjeście. Trochę się ogarniały,

¹⁷² Melopea - melorecytacja, rodzaj śpiewanej deklamacji.

¹⁷³ Habitus (biol.) - zespół cech i właściwości osobnika składających się na jego wygląd, zachowanie.

ziewały, rozprostowywały łapy i potrząsały łbami, a potem: „Dzień dobry, ładna pogoda”, i spokojnie się rozchodziły. *Ciao*, kotku, nie zapomnisz oplewić manioku? OK, *bye!* Cześć! *Bye!* Pa, pa, maleńka.

Stevens nie wiedział, dokąd pójść.

Spróbował nas zebrać razem, naszą trójkę jego postaci, przy gorącej herbacie, mocno posłodzonej i z dużą ilością mleka.

- Co słyhać? - zapytała major, jakby go nie widziała od tygodni. - Dobrze się pan bawił?

- Jak tam trawienie? - dorzucił Lawson.

- Czy moglibyście mi dolać do filiżanki trochę więcej mleka? - zapytałem grzecznie.

- W porządku, dziękuję, moje kiszki pracują bez zarzutu, proszę się częstować, kancelisto, niech się pan czuje jak u siebie w domu. I poda mi dziennik, *por favor*.

Wbrew temu, co można by sądzić, bezzębni posiadają zęby. Zęby kostne, nieliczne i pokryte szkliwem. Osobiście, po tym, jak wcieliłem się w ciało dziesięcioletniego leniwca, skłonny jestem twierdzić, że nie potrzebują żadnej pomocy z zewnątrz. Ich umiejętność kamuflażu chroni je skuteczniej niż strój spadochroniarza. Nie ma co przykrawać szablonów na ich miarę. Związały się blisko z dwoma bratnimi algami, które kolejno je maskują: zielone w porze deszczowej, żółte w porze suchej; trudno o lepsze rozwiązanie. Jako chwilowy leniwiec mogę też stwierdzić, że nie jesteśmy w żadnym przypadku opieszali. Z wysokości węzowego drzewa¹⁷⁴ widzimy, jak świat wytrwale się uwija, i zapewniam was, że skok jaguara nie jest wcale bardziej piorunujący od wyrastania w górę drzewa, które obejmujemy. Generalnie można uznać, że gatunek, który przetrwał i utrzymał się na ziemi od czasów prehistorycznych, nie ma czego zazdrościć innym. Skądinąd jesteśmy naprawdę zintegrowani ze środowiskiem i uczynni, gdyż każdy z nas udziela bezinteresownie schronienia średnio setce motyli i tysiącowi skarabeuszy, nie bacząc na gatunek. Podsumowując, nie wydaje się, by nauka karate, ani *shotokan*, ani ostrego i łagodnego *goju ryu*¹⁷⁵, mogła dla nas być prawdziwie przydatna. Jeśli Stevens postanowi doskonalić się w obliczaniu współczynników obciążenia węzowego drzewa lub innej podzielnej jednostki drzewnej, powitamy go przyjaźnie: kontakt z nim, jakkolwiek przelotny, był przyjemny. Dziękuję.

- No więc, co wy na to?

¹⁷⁴ Drzewo węzowe - *snakewood*, cekropia tarczowata. Drzewo z rodziny morwowatych, występuje w wilgotnych lasach Ameryki Środkowej i Południowej.

¹⁷⁵ *Goju ryu* - „twardo-miękki” styl karate. Istotne są w nim ćwiczenia oddechowe i z przyrządami *makiwara*.

- Myślę, że wycofam ofertę - medytował Stevens. - Mam już parę innych pomysłów.

Słowa pantery Suassuny, której mózg i polędwicę rzeczywiście spożył, wciąż natarczywie do niego powracały.

Jesteś *tapereba*, powiedziała mu, jesteś ruiną i mieszkańcem ruin, taki już twój los, mój Jaume.

Z miną wyrażającą zdecydowanie zamieszał herbatę łyżeczką pochodzącą z zestawu szwajcarskiego scyzoryka, i wypił. No dobrze.

- Co powiecie na Londyn, Paryż, Berlin, Moskwę, żebym się zorientował, na czym stoję?

- ?

- !!

- ?!

- Świetnie. Przypuszczam, że skoro w skrzynce z narzędziami w chacie z werandą jest klucz do śmigła, to musi być gdzieś tu również hydroplan, prawda? A więc na pokład! Tylko nie za dużo rzeczy, zabieramy tylko życie, jakie prowadzimy. Lub na odwrót.

W tropikalnej oranżerii połowa jego czerwonego dziennika została zjedzona. Nie ma się za grosz na baczności. Co za pomysł, żeby tam rozkładać wyrko, nie jest przecież wcale tak zimno. To żalosne, żeby nie móc się do tego stopnia obyć bez bananowców. Czego niby brakuje platanom, które okrywają się pączkami na wielkich bulwarach? Poza tym wszyscy wiedzą, jak jest z orangutanami. Są na własnym terenie. Nie zostawia się dziennika nawet na pięć minut, jeśli człowiekowi na nim zależy. Uważa się, zwłaszcza nocą, nie wychodzi się na dwór nawet za najszybszą potrzebą.

To nim kompletnie wstrząsnęło. W pysku Kioska zniknęła cała jego historia. Gorzej, przyglądał się temu z pełną grozy miłością. Człowiecze ramiona małpy go fascynują. Ale jak wszystkim wiadomo, orangutany wolą milczeć. Potrafią mówić, ale wolą milczeć, więc papiery to naprawdę ostatnia rzecz, którą można przy nich zostawić.

Co nam teraz zostaje? Z jego dziennika pokładowego, co zostało z czasów stacji, kiedy w łonie załogi panowała harmonia, z tego złotego wieku, co zostało?

Leśny człowiek prawie wszystko zjadł, strona po stronie, aż do „...szłoby nikomu do głowy”, połowę dziennika.

Waterfull powiedział tylko:

- Bez paniki, mam świetną pamięć, odtworzymy to. Niech pan idzie się przejść.

Idzie.

Towarzyszy mu Kiosk. Idą na nabrzeże, patrzą na platany i na wodę, która kołysze kutrami. Ogromny samiec z tego Kioska, bardzo spokojny. Kroczy powoli, wypróbowując wszystkie swoje punkty oparcia, jest bardzo *cool*. Potrafi podnieść jedną ręką czterdziestokilogramowy kosz na śmieci i odrzucić go na środek rzeki, dla niego to zabawa.

Nabrzeże, odkąd nim idą, jest czyste, Stevens jest na to wyczulony. Złociste światło, które wydaje mu się delikatne, pada na błyszczące oczy budynków. Bardzo lubi tę starą ruinę.

Lwy, które wędrują w górę ulicy Chemin-Vert, już mu nie przeszkadzają, zna ich zwyczaje. A lwy wyczuwają panterę i idą własną drogą. Są prawie krewniakami.

Stevens przemierza Paryż ze swobodą mięśni Suassuny. W kafejkach funduje sobie małe piwa, kładzie kartonową podkładkę na ladzie, stawia na niej szklankę, którą stara się napęlić tak, żeby się trochę ulało.

Opiera się o ladę. Kiosk sadowi tyłek na stole i obaj wyglądają na zewnątrz.

Samochodów jest niewiele.

Paznokciem małego palca, bardzo już długim i brudnym, dłubie w uchu. To intensywna przyjemność, bez reszty absorbująca. Jak ziewanie i wydawanie pomruków, całą pojemnością płuc - to już major.

Bardzo się pozbierał od czasu Brazylii.

Stołuje się w Tour d'Argent lub na Montparnasse. Bardzo lubi miejsca na wzniesieniu, skąd można zobaczyć miasto. Na przykład taki Beaubourg w Szóstce. Sacré Coeur jest żółte. Jaśniej pomiędzy smugami ptasich odchodów oblepiających wałki z pleksiglasu dawnego domu kultury. Kiedy zza jego białej zasłony patrzy na miasto, za plecami wyczuwa obecność maszyn, martwych kamer wideo, oficjalnych reliktyw anulowanego dwudziestego wieku. Nie ma odwagi się do nich zbliżyć. Jeśliby natrafił na wielkie płótno przedstawiające mężczyznę w łodzi, samotnego, z długimi włosami, z brodą, bez wiosła na pełnym morzu w pobliżu wyspy, kiedy woda płacze, kiedy niebo płacze, kiedy niebo-niebo płacze, jak nic rozpoznałby w nim siebie.

Kiosk opuszcza go, nim wypije pierwszą szklankę. My, zwierzęta, żyjemy utartymi nawykami. Ta tutaj mała iska się z drobiazgowym skupieniem, z jakim inni palą szluga, a potem odchodzi. Stevens żegna ją gestem ręki, nie unosząc głowy znad biuletynu wyścigów konnych.

Pearl Queen, Jeodesie, Peti Brazille, Pin-up de la Loge, Joke Wind, My Love Lady, Orée Bourbon, Ninja, Narandja, Nez-percé, Noce Joyeuse. Zawsze te same imiona. Faworyt: My Love Lady.

Ogród Luksemburski sforsował ogrodzenie, rozprzestrzenił się aż po dawną szkołę. Wszędzie, gdzie mogły, a mogą wszędzie, wysiały się rośliny. Most Marie zarósł bluszcz. Gnieździ się w nim kolonia piżmowych szcurów, które, słysząc jego kroki, udają, że panikują. Włóczykije.

Po drodze sprawdza, co u żyrafy, potem idzie do kina.

Ogląda karaluchy biegające po ekranie. Snuje plany wielkiego nowego rozdziału dóbr. Kiedy dopadają go tęsknoty za stabilizacją i czuje w sobie siłę Ardżuny, Połykacza Broni, wtedy mówi sobie, że wróci do USA, że wypuści na fasady drugstore'ów brutalnych wojowników rodem z dawnego miasta rozpuszty Hollywood. Konie będą stawały dęba i wjeżdżały na piętra, tocząc pianę we framugach okien. Między drzwiami śmigać będą strzały i utykać w świetlnych kaktusach. Zdeptane przez tysiące jarmarcznych Indian ustrojonych w pióra przez samego Quetzalcoatla¹⁷⁶, Las Vegas pod naporem tej szarzy się rozplynie. W każdym mieście pozostawi zajadłego wroga, wstrzyknie truciznę, którą po cichu uwielbia, której pożąda. Rozwali Madryt i Toledo, i Grenadę jointami z Veracruz. Hiroszima wybuchnie w Oak Ridge. Zwrot do nadawcy.

¹⁷⁶ Quetzalcoatl - Pierzasty Wąż, bóg i heros kultowy w religiach ludów Mezoameryki (Tolteków, Azteków i Majów).

Na razie jednak zadowala się trzyminutowym filmem, który puszcza na okrągło na fasadzie rue de Rennes 38, naprzeciwko gmachu Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej. Przedstawia on człowieka, który idzie. Idzie, jest niewiele wyższy od niego, posępny, w przepasce na biodrach. Idzie wzdłuż ściany aż do okna, obchodzi narożnik, potem zawraca. Stevens uwielbia ten film. Robi wszystko, żeby na niego przypadkiem natrafić. Potrafi go długo oglądać, w bezruchu. Właściwie nie wierzy już w żadne akcje na szeroką skalę.

Wielki owalny budynek Bastylli okryła tapiseria przywodząca na myśl porę deszczową. Porośnięty zielonym mchem, wygląda jak wiosenny pagórek albo pole golfowe. Kiedyś wszedł do środka: w fotelach gnieźdzą się koty.

Kawę wypija w wielkiej pustej sali La Coupole razem z grupką yorków, która bez reszty zaakceptowała go w dniu, kiedy wskoczył na stolik i odtańczył podkasanego *French pogo*. Przynosi im czekoladki. A małe cuchnące stworzenia na niego wskakują i liżą mu palce.

Siedziba merostwa jest tak zatłoczona wróblami, że nie widać okien. Na szczycie wieży Saint Jacques, po której pną się powoje, czyhają na nie jastrzębie.

- To wielkie, ciemne drzewo - mówi Lawson - pod spodem jest kamienne. To na nie wdrapał się swego czasu jakiś facet, żeby zmierzyć ciężar nieba. W sumie taki był początek pańskiej linii paliw rakietowych.

- Przejdziemy przez most Arts et Metiers?

- Nie, dziękuję. Czy major do nas niebawem dołączy?

- Tak. Pływa łódką pod mostem Mirabeau. Widziałem, jak zaglądała pod filary, jakby spotkała dawną kumpelkę. Bardzo lubi *skyline* prawego brzegu naprzeciwko biblioteki. Coś mi się zdaje, że chodzi jej po głowie zorganizowanie kilku drobnych imprez z bekasami na jakiejś szpanerskiej barce. Wprawia się, powtarzając: „Ma pani fantastyczne nogi, bez obrazy, czy pani jest z tej dzielnicy?” z lekkim akcentem czejeńskim. Podobno robi to na nich niebywale wrażenie. Zwłaszcza w saunach, w których przesiaduje całymi godzinami. Cii. Oto i ona.

Major siedzi opatulona po uszy w swoim pomarańczowym kajaku morskim. Wiosłuje w stronę brzegu zapatrzona w mewy, które ją eskortują. Przybija, wyskakuje na brukowane nabrzeże, potrząsa rękawami. Stevens pochyla się nad zielonymi skrzynkami bukinistów. Po poręczy przemyka jaszczurka.

- Gdzie Waterfull?! - woła do niej.

- W Disneylandzie.

- Słucham?

Major wzrusza ramionami.

- W Luwrze. Tam sobie urządził kwaterę, gdy tymczasem pan co wieczór wraca do ogrodu botanicznego, jakby pan tęsknił za krajem. Małe apartamenty Ludwika XIII pasują mu jak ulał. Hoduje fikusa pod ogromnym żyrandolem. Śpi zwinięty w „s” na czerwonych berzerach i pali w kominku w wielkim salonie. Ale nie zapomniał o panu. Proszę.

Drogi Stevens,

Jestem bardzo zajęty przy roślinach i berzerkach, które wypada odkurzyć. Obrazom też by się to przydało. Macham miotelką bez opamiętania. Bardzo mi się męczyły nogi, przesiadłem się więc na rolki. Nie do wiary, ile pokoi jest w tym pałacu! Mam nadzieję, że niedługo pan do mnie dołączy.

W załączeniu pańskie fiszki żywej pamięci, które odzyskałem.

Serdecznie pozdrawiam zespół, Waterfull-miotelka-kancelista.

Dziennik Jaumego Roiq̄a Stevensa

Inżyniera pokładowego od osiemnastu miesięcy

z misją na stacji Funsky

First day.

Fantastyczny start, ciężki jak ołów, aż trudno uwierzyć, że ta eksplozja wzniosła nas w przestrzeń kosmiczną. W trzy godziny ziemskiego czasu osiągnęliśmy absolutną zewnętrzną sferę. Tak bardzo marzyłem, żeby choć raz to przeżyć! Wspaniale. To także teoretyczne zaryzykowanie wszystkiego i jakby wyjście poza naturalny stan dwunożnego tlenowca. Oddałbym za to wiele swoich istnień, gdybym ich wiele miał. W takich okolicznościach ludzie są nadzwyczajni. Zwierają szeregi. Niebo jest piękne, jesteśmy wewnątrz, Ziemia jest bajeczna, w zasięgu ręki. Usiądź na ławce.

Ludzie są piękni, mają zadziwiające twarze. Wszystkich ich stąd widzę.

Są mali pośród pejzaży, są wielcy. Ich ciała okrywają fałdy odzienia. Są w pokojach, na balach, wśród drzew, siedzą na stołach. Mają rękawiczki, kapelusze, włosy, spinki.

Nikt tutaj nie jest zdolny do podłości. Etatis suae 1532. Jej oczy są aksamitne. Etatis suae 1634. Jej czepiec wieńczy koronka, duszę nosi na szyi, na sznurze pereł. Macica perłowa, skóra, powieki, postawa, ma dwanaście ponadczasowych lat, Etatis suae 1470, she is the life, a human deer, smukła, delikatna, nieznośna, wieczna. Nie odrywam od niej oczu.

Ludzie jedzą śniadanie na trawie wśród drzew. Przynieśli jabłka i butelki soku porzeczkowego. Dwór tańczy. Bitwy są jak balety. Ziemia mlekiem i miodem płynie.

Stevens podskoczył.

- Co to jest? Wszystko pomiesza!

- Tak i nie - odparła major. - Twierdzi, że w Luwrze jest dokładnie tak jak na stacji kosmicznej czterysta kilometrów od Ziemi. Będąc wewnątrz, przez okna można zobaczyć wszystko. Co więcej:

Here is not time.

Odległość jest taka sama jak na orbicie.

Ten starzec w binoklach, zakurzony, kruchy, jakże intensywne jest jego spojrzenie. Look at that: Zmarszczki na jego policzkach są równie namacalne jak na moich. Namalował się za życia, przeskakując własną śmierć.

Dla nas.

W. pije z zastawy Małgorzaty z Angoulême¹⁷⁷. Mówi, że są tam wszyscy ludzie. Włącznie z Inkami i ich pierzastymi wężami, włącznie z hieratycznymi dawnymi Egipcjanami, z wydepilowanymi Sumerami, z Chaldeczykami o kędzierzawych brodach.

W sali w podziemiach znalazł drewniany posąg, który jego zdaniem podtrzymuje mury średniowiecznego Luwru tak samo, jak podtrzymywał dom mężczyzn na swojej ojczystej wyspie Malo. Podobno nazywa się on Trrou Kōrrou i jest pełen mądrości i łagodności. Mieli jakoby odbyć milczącą, wielce głęboką rozmowę. Trrou Kōrrou¹⁷⁸ jest niebieski, rodzaju męskiego. Na bokach ma wytatuowane kły obojnaczych dzików. On sam mówi, że nie czuje się nigdzie wygnańcem, bo wszędzie, dokąd go zabierają, on zabiera własny świat.

- Tak, pod warunkiem, że zabierając go, nie obcinają mu stóp i nie zapominają, że drewno, bardziej niż brąz, związane jest z oddechami żywych. Trrou Kōrrou pewnie się dusi w tym swoim składziku!

- Przyjdzie pan, Lawson?

- Czemu nie? Kancelista pośród wystroju z epoki Napoleona III nie jest na pewno

¹⁷⁷ Marguerite d'Angoulême - Małgorzata z Nawarry (1492-1549), pisarka francuska, królowa Nawarry, siostra Franciszka I de Valois; jej dwór był ośrodkiem kultury renesansowej.

¹⁷⁸ Trrou Kōrrou - dziewiętnastowieczny posąg wysokiego, smukłego mężczyzny z wioski Sokawas, Wanuatu.

bardziej komiczny niż sam Napoleon III. Ale na razie obejrzę Didjoo, skarży się na cierń w przedniej łapie.

Didjoo jest jednym z ostatnich przedstawicieli przymusowej imigracji. Dał się schwytać na Terytorium Północnym na krótko przed epoką inwazji czerwonych motyli.

Był w owym czasie młody i pełen energii. Wiedział już, czemu służą malunki na ciele, co go uratowało podczas transportu. Pewnego wieczoru, wyczuwszy w Stevensie gotowość do słuchania, opowiedział mu o swoim życiu.

Zaliczyłem aż sześć więzień na tej półkuli! Jedno podlejsze od drugiego. Nijakie żarcie, deszcz, ciągle zimno, żadnej wartościowej wymiany duchowej, uwierz mi, trzeba było być naprawdę marzycielem, żeby to przetrwać. Tutejsi żywi byli kompletnie wyobcowani, padnięci, zezwierzęceni. Kiedy widzisz wielbłąda, który je cukier, możesz być, synu, pewny, że już po nim, nawet jeśli się uśmiecha.

Opowiadając, wielki kangur żuł tabakę. Jego uszy ukrywały światło księżyca. W wielkiej oranżerii zaciekawione palmy kokosowe przyciskały gałęzie do szyb. Stevens czuł się jak mały chłopiec.

- I co, dziadku, zrobiłeś?

- Śpiewałem. Na tych czterech metrach kwadratowych, jakie mi przydzielono, dzień w dzień burzyłem i od nowa budowałem oczko wodne, skałę, serpentynę życia. Rozwijałem śpiew, spiralnie wychodząc od mojego niewidzialnego ośrodka, skały w Arnhem, którą odziedziczyłem po kuzynach walabiach¹⁷⁹. Strażnicy myśleli, że się aklimatyzuję, tymczasem ja aklimatyzowałem Paryż. Dostarczyli mi samicę. Urodziła się w niewoli, była niecywilizowana. Nie chciałem jej. Trwało to miesiącami. Tamci nie mogli zrozumieć. Słyszałem, jak opowiadają sobie chamskie dowcipy. Obrażali moją męskość i poddawali moją towarzyszkę niewoli rozlicznym testom na płodność. Mogło to jeszcze długo trwać; nie widziałem żadnego pożytku z reprodukcji w takich warunkach. Lepiej już umrzeć, niż oglądać ich dzieciaki przez całe pokolenia śliniące się przed kratami. Nigdy nawet nie tknąłem cukrowej waty, synu, nigdy!

- Co więc wpłynęło na twoją decyzję, dziadku?

- Stepowy królik, którego zapuszczowali w sąsiedniej celi. Był politykiem. Przekonał mnie do długoterminowego oporu. Uważał, że nic tak nie przeraża naszych strażników jak życie, które kipi i rozmnaża się. To oczywiste, wystarczyło spojrzeć, jak reagowali na szczury i myszy. Skolonizujmy kolonistów! Mówił po przebudzeniu. I dosiadał swojej królicy. On sam

¹⁷⁹ Walabie - ssaki z rodziny kangurowatych, osiągają 60-90 cm długości, umaszczone jaśniej niż duże gatunki kangurowatych. Zamieszkują stepy Australii i Tasmanii.

zdążył już zaliczyć dwadzieścia trzy paki. Kiedy moja towarzyszka niewoli się o tym dowiedziała, aż podskoczyła z radości: marzyła, żeby zmienić zakład. Żeby zobaczyć ludzi między klatkami, przejechać się choćby niedaleko, choćby ciężarówką, obojętnie, żeby tylko dokądś wyjechać. Zrobiłaby wszystko, byle zwać z więzienia, w którym się urodziła. Zaczęła ze mną rozmawiać, wypytywać. Poprosiła, żebym ją zapoznał z pieśniami Terytorium Północnego, żebym ją nauczył języka i figur, jednym słowem, żebym ją wtajemniczył. Normalnie nie powinienem, terytorium nie przekazuje się ot, tak, ale zważywszy na okoliczności, w końcu uległem. Opowiedziałem jej o kraju, o historiach, które go ukształtowały, o źródłach duchów przodków, którzy nas stworzyli, oraz dlaczego i w jaki sposób taki a taki kamień przypomina nasz ogon, zanim nas wyrzuci za siedem mórz. Wszystko zapamiętywała, a resztę sobie dopowiadała. Nasza cela przeobraziła się w prawdziwą piękną pustynię. Odmieniła cały mój duchowy pejzaż. Wiązki liści zaczęły mi smakować. Każdy jej ruch był pełen gracji i znaczenia. W końcu, cóż, zakochałem się. Hm.

Wychowywała nasze małe w mieszanej, doskonale spójnej tradycji. Cementowa skała koziorożców była górą światła, którą trzeba było każdego ranka wymyślać od nowa. Surowo przestrzegałem rytuałów. Żyliśmy w pełnej harmonii. A potem... nas rozdzielono.

Wielki kangur wypuł prymkę daleko przed siebie.

Byliśmy zbyt płodni. Dwójka małych na miot, dwa mioty co trzy lata, to było czymś ponad normę. Królik miał rację, przerazili się. Zawieźli ją na badania i koniec. Więcej jej nie widziałem.

Robiłem, co mogłem, żeby pocieszyć małe. Przeżyły. Mają się nieźle. Są piękne. Skaczą z lekkością swojej matki, mają ucho do śpiewu, okazują szacunek. Naprawdę udało nam się skolonizować kolonistów, synu, to wielka batalia, którą wygraliśmy. Ale jeśli o mnie chodzi, niechby nawet wrócili, własne uszy i ogon bym oddał, byle ją znów zobaczyć.

Stevens wysiąkał nos, a potem rzekł do wielkiego kangura:

- To okropne, ale myślę, że mieliście sporo szczęścia.

- Tak.

Second day.

Energia, która tu panuje, nie jest energią ziemską. Ziemia wymaga, ale to nie ona wprawia w ruch. Jesteśmy zawieszani na granicy czy raczej w korytarzu eliptycznej równowagi. Razem z ciałami zawieszane są nasze namiętności i nasze odruchowe reakcje. Trajektorja gwiazd, ich bliskość zmienia nas na lepsze. Rzeki wyglądają zachwycająco.

Stevens usiadł przed piramidą na obmurowaniu pustego basenu. Patrzy na jaguara, który utkwiał w kolumnie. Wokół ronda samochody rozdzieliły się na linie proste, jak otwarty wachlarz. I zardzewiały. Przez całą noc padało. Tuileries są elektryzująco zielone. Drzewa z drżeniem otrząsają się z wody. Jest teraz pięknie. Patrzy na Luwr.

Co za pomysł, żeby się w nim zamknąć.

- Z kim chciałby pan porozmawiać? - łagodnie pyta go major. - To miejsce ludzi trwających w zawieszeniu. Są jak zwierzęta, które pan mija, wchłonięci i zgodni ze swoim kształtem, bezustanni w przestrzeni. Jak jeleń pojawiający się między drzewami lasu, który go stworzył.

- Zobaczymy - odpowiada Stevens, schodząc po stopniach.

Całą drogę do Giocondy znaczą strzałki.

Można by ją znaleźć, idąc tropem japońskich kamer cyfrowych.

Lawson dusi się, dusi się. Wewnętrzne proporcje budowli zakłócają jego percepcję przestrzeni. Lekko ślania się na nogach. Kiedy spotyka Waterfulla, który śpi na stojąco ze wzrokiem wlepionym w ścianę, podbiega i pyta go:

- I jak, widziałeś Królową Śnieżkę? Rozmawiałeś z Siedmioma Krasnoludkami? Spotkałeś Myszkę Miki? Śpisz? Ale tu śmierdzi.

- Ciii, niech pan spojrzy na te góry w oddali, mają odcień błękitny. Ta przestrzeń tonie w jasności. Aż trudno uwierzyć, co przeżyłem. Kobieta pochyła się nad kobietą która pochyła się nad dzieckiem, które trzyma baranka. I w tych trzech opuszczonych spojrzeniach widać istotę serdeczności, do której zdolni są ludzie. To miejsce to tajemnica.

- Raczej cmentarz! Malarstwo francuskie, malarstwo włoskie, malarstwo flamandzkie, starożytny Rzym, Grecja, Egipt, taki wiek, taki a taki wiek, taki wiek. Z Sumeru, z Ziniatu, z Chaldei, panie i panowie: świeże groby, kokilki do zupy, grzebienie, sierpy! Jest piękna, piękna jest moja Rzymianka, nie sprzedaję jej, zabieram ją z sobą! Wasza kultura jest komiczna.

- Wasza pamięć jest dziurawa.

- Wasze arcydzieła są zamknięte w murach, trzymają się murów, są zamurowane. Archiwizujecie je, mumifikujecie je w pomnikach, izolujecie. Zabiorę Trrou Körrou z tej dziury. Czy wie pan, Waterfull, którądy weszliśmy? Przez Disneyland, pana kultura to pusta bańka. Weszliśmy przez Restauramę, *the world is the flunch*. Marrakesz ekspres zestaw Agadir, 11,50.

O słodka Francjo. UB, Universal Burger. La Parilla, *¡que rico!* Chili za 8,90, zestaw Inków, 14,50. Kurczak *Charlie the Chicken*. Muffin Cafe. *Tapas del sol*. Matsuri-sushi-

sashimi. *Asian Delice*, zestaw Szanghaj. Libańczyk, zestaw Byblos, niedrogo, zestaw Baalbek, 14,50. Włoch, Rzym, zestaw Wenecja. Udław się tą twoją wieżą w Pizie!

Major nie słucha.

Napawa oczy pięknem, po prostu. Fragonard, Boucher, zwłaszcza Boucher. Diana w kąpieli, odkłada strzałę, okrywa piersi. Odaliska spoczywająca wśród poduszek, jakże, och, jakże aksamitna jest skóra jej pośladków!

Stevens wałęsa się. Obchodzi angielską wieś, Włochy. Przechodzi przez światła stężone, światła delikatne. Przez mroczne lasy, wzgórza w aureoli blasku. Ogląda, jak jest namalowana trawa, grubość kory dębowych pni, zwiewność obłoków. Napotykając ludzką postać, przeżywa wstrząs. Robi na nim wrażenie kolażu. Czegoś doklejonego, obcego, z istoty swej nieproporcjonalnego.

Z jednym wyjątkiem. Tam, na skraju lasu. To mały olej, który zmieściłby się w kieszeni. Jest zielony. Ciemnozielony, zielenią trawy i lasu, powietrze jest zielone, wkrótce się ściemni. Jest chłodno. Mężczyzna pochyla się nad kobietą, która zaraz wstanie. To wszystko. Stevens ich nie zna, nie rozpoznaje, nie umiejscawia. Nie wpasowuje ich w żaden kontekst. Patrzy na nich. Widzi niesamowitą żywotność, która ich wypełnia i wyraża się w ich geście; widzi ulotność ich życia. Drzewa są niewyraźne, postaci są niewyraźne, ich strój jest ledwie rzucony na płótno, nie mają twarzy, ale są tu, indywidualni, bliscy sobie, wyraziści, że bardziej nie można. I rozmawiają. Zwracają się do siebie - jedno do drugiego.

Nie wie, skąd pojawia się w jego pamięci zdanie, które powtarza cichym głosem. Nie płacz, panie, Gauvain nie przegrał, ty też będziesz miał prawo umrzeć i do niego dołączyć.

- Nikt do nikogo nie dołączy, dopóki nie wyciągnę Trrou Körrou z tej dziury!

- To Lawson!

- Gdzie się podziewał?

- Spijał arak Libańczyków.

- Nigdy go nie widziałem w takim stanie.

- A co zrobisz, jak już „wyciągniesz Trrou Körrou z tej dziury”?

- Pierwszym lotem wracam do Australii! Zabieram z sobą Didjoo i Trrou Körrou. Zostawiam was. Ziemia na antypodach czeka na moje życie. Nie cierpię środków przeciwmolowych. Wynoszę się. A co to za kałuże? Pan płacze?

Stevens pokazuje mu płótno. Lawson przygląda mu się dziesięć sekund, aha, Watteau, i wyciąga ze spodni flaszkę.

- No dobrze. Zostawiam pana. Nie twierdzą, że nic kompletnie pan nie zrozumiał. Chociaż tak. Na przykład ten tu facet był malarzem i jestem pewny, że można było coś z tym

zrobić. Ale pan nie potrafił żyć. Do miłego.

- Zatrzymajcie go, zleci ze schodów i się potłucze.

- Zostawcie mnie. Nie jestem wcale pijany, jestem trzeźwy, trzeźwy, trzeźwy. Za to tobie by się przydało, gdybyś więcej pił, to moja prywatna rada.

- Nie rozumiem.

- To proste: żyjesz pod kloszem. A ja chcę żyć za zewnątrz, na-ze-wnątrz! Na swobodzie, na powietrzu! Nie jestem serem, nie boję się mikrobów, na otwartej przestrzeni! Bakterie to życie! Australia, to jest przestrzeń, nie znam drugiego równie otwartego kontynentu. *Here is not time* - ale - *but* - w zupełnie innym sensie.

Zapisz to, kancelisto: Kiedy robi się z kwiatka monument zdolny przetrwać wieki, to znaczy, że niczego się nie zrozumiało.

I odnosi się to do ciebie i twojego beznadziejnego Donkiszota!

Prawdą jest, że miasto, mimo zniknięcia powłoki spalin, nie zmieniło kształtu. Budynki zostały wyczyszczone, szosy pokryła nowa nawierzchnia, ale korona obwodnicy została na miejscu i nadal pełni funkcję zapory przeciwpożarowej.

- Dam głowę, że w Tokio wszystko zostało już osiemnaście razy przebudowane.

Waterfull nic nie mówi, drapie się po głowie w ogromnej, wyłożonej parkietem sali malarstwa włoskiego. Stojąc wśród sportowych kurtek i spodni zwiedzających, słyszy trzaskające aparaty fotograficzne. Zastanawia się, czy Toskania za Giocondą przetrwałaby, gdyby ją powiesić na czerwonym piasku buszu.

- Przekonamy się.

Na zewnątrz powietrze pulsuje tysiącem małych gardeł. Nad nabrzeżem, jak chmara podchmielonych pasikoników, unosi się coś wiosennego. Odrobina soli, morskiej bryzy. Major nadstawia ucha. Czeką, próbuje usłyszeć komary nadlatujące nad szarymi dachami. Uśmiecha się.

- Tylko patrzeć, jak się zjawia. Jeśli mogłoby mi coś sprawić przyjemność, to nowe zagospodarowanie Wyspy Świętego Ludwika. Kiedy słońce pokaże godzinę osiemnastą i będzie pan wracał przez most Austerlitz do swojej oranżerii, proszę się na pięć minut zatrzymać i dać mi znak, czy widzi pan czarne, wysmukłe ptaki wyglądające jak sztuczne.

Włóczy się po ulicach, urzeczony mroczną, stonowaną materią Leonarda da Vinci - tym mężczyzną z palcem uniesionym w stronę ciemnego tła płótna. Wędrując, gdzie go oczy

poniosą, czasem podążając za gołębiami, gubi się w Marais. Za rogiem jakiejś kawiarenki wychodzi z powrotem na rue Rivoli, rusza do Bastylli, gdzie pole golfowe otrząsa się jak glicynia i wypłasza chmary wróbli. Skręca w szeroką aleję biegnącą nad rzeką. Statek spacerowy stuka łagodnie o kamień. Maszty dyskutują. Po prawej zostawia gare de Lyon, przez chwilę myśląc o fruujących puttach restauracji Train Bleu i jej osiemnastowiecznym barokowym wystroju, pośród którego poniewierają się laptopy i komórki z wyladowanymi bateriami. Wchodzi na most.

Oparty o balustradę wychyla się, żeby popatrzeć na wodę. Jest żółta i wzburzona. Płynie z szumem rzeki, w głębinach na pewno ukrywa syreny, żmije, a jeszcze pewniej dziesiątki zatopionych wózków na zakupy. Jest żywa. Być może z powodu tych wszystkich historii, które pochłonęła. Mogłaby pochłonąć również jego historię i nie wzburzyłoby to ani trochę jej toni. O tym myśli, kiedy pierwszy sznur ze świdrującym wizgiem przelatuje pod brzuchem mostu i ogłusza go. Podrywa się. Drugi w górze nad przewodami. Trzeci jak bomba skręca pod kątem prostym na dwie mikrosekundy przed uderzeniem w okap mostu. Ten ostatni zobaczył. Wrażenie tornada, superzrywny, węgiel, dwa ukośnie osadzone skrzydła, rozmach sportowego bumerangu, są! Przyleciały! One, nie jaskółki, *Apus apus*, czarne jerzyki wróciły z wiosną. Echampson aż gwizdże z radości.

- Jutro, Stevens, punkt szósta, rue des Deux-Ponts!

Tej nocy śpi w Vincennes. Nie ma księżycy. Mały staw w rezerwacie ornitologicznym wibruje energią, rechotaniem żab. Wyciąga się na polance naprzeciwko pałacu. Na gołej trawie. Z rozpostartymi rękami i nogami. Ćwiczy przechodzenie w bezruchu ze stanu do stanu. Pantera, leniwiec, człowiek, pantera, portret.

W ciemnościach nocy, kiedy napawa się dotykiem łąki pod palcami, nadchodzi stado saren i zaczyna skubać trawę. Nie widzą go, nie wyczuwają. A przecież są tak blisko, że słyszy, jak przeżuwiają. Bardzo chciałby dotknąć ich jasnych brzuszków, ale jeśli się poruszy, uciekną. Nie rusza się.

Nazajutrz rano, kiedy dociera na rue des Deux Ponts, słońce pokazuje godzinę piątą.

Echampson siedzi w białej gondoli maszyny do mycia ulicznych latami. Zdaje się, że jest w dobrej formie.

Ma na sobie zwiewną sukienkę, której klosz opina jej biodra. Ogromne kolczyki. Nad głową rozpięła pasterski parasol, wystarczająco wielki, by zmieścić pod nim całe stado. Lewą ręką manipuluje przy sterze hydraulicznego wysięgnika. Gondola w ciszy unosi się w górę. Echampson siedzi wyprostowana, oddycha przeponą. Przy pięciu stopniach geometrycznego

pionu puszcza drążek. Uruchamia blokadę. Wypróbowuje wytrzymałość kosza, przechylając ciężar ciała na boki. Potem przestaje. Bierze głęboki wdech przez nos. Jest szósta. Słońce wprawia drzewa w osłupienie. Na rue des Deux-Ponts wokół maszyny migocą szyby. A potem, w momencie kiedy Echampson zaczyna śpiewać, zewsząd naraz wypadają eskadry jerzyków. Szwadrony, sznury, pociski. Wirują wokół czarnego klosza jej sukni jak wokół bocianiego gniazda. Ścigają się. Ona śpiewa, one świergocą. Jej śpiew nakłada się na ich trele, zdaje się szukać właściwej częstotliwości. Zagłusza ich świergot. Śpiewa, wpatrując się w zdumione okna kamienic. Szuka, przechodzi na wyższy rejestr. Znalazła. Jerzyki rzucają się na fasady, omiatają futryny okien. Omijają ją, podtrzymują nawracającymi falami. Okna wibrują. Śpiewaczka wytrzyma, utrzymuje rejestr, śpiew wpada w rezonans. Jej suknia nadyma się. Okna tracą sztywność, jerzyki szarżują. Wyciąga nutę, odpowiada jej echo, śpiewa. Okna mięknią, coraz bardziej mięknią, kołyszają się. Echampson się kołysze, gondola się chwieje, ptaki ogarnia szal. Potem opuszcza parasol i okna eksplodują. W ułamku sekundy ptaki nieruchomieją w powietrzu. Wtedy major łapie oddech. Zamyka swój parasol i uśmiecha się. Jerzyki, jakby tylko na to czekały, wpadają z głośną wrzawą do otwartych na oścież mieszkań.

- Waouh, wandale, cudowne!

Lawson jest zachwycony.

- Widzisz, zrozumiałeś? Trzeba przekłuwać małe bańki pustki. Nic nie powinno pozostawać szczelnie zamknięte. Marzenie to rzeczywistość.

Ogromny struś bawi się w upadanie na ziemię, bum, jak worek. Ogromny struś z łapami jak z wysuszonego drewna. Biegnie zygzakiem przez piasek i nagle znów się przewraca, bum, łbem do przodu. Jest stuknięty. Bum. Co robisz, pyta go oszołomiony gepard. Tańczę - bum - tańczę, strojny w pióra, jestem gwiazdą baletu.

Na wielu kilometrach kwadratowych wokoło wszystko, co żywe, robi to samo na różne niewidoczne sposoby. Tak że struś zdaje się tańczyć na pustyni, gdzie jeden tylko oszołomiony gepard przygląda mu się tańczącemu.

Ale co robi struś? Chroni swoje jaja. Ten taniec to zaklęcie: „Duchu śmierci - idź precz”.

- Dziwny jest!

- Jest dziwny, dlatego to robi.

- Jest straszny.

- Również i dlatego.

Stevens osiadł w mieście opon, na północny wchód od Alice Spring. Rozmawia ze wszystkimi. Wylądowali na piasku pośrodku pustyni, korzystając ze wskazówek Didjoo, który chciał jeszcze raz zobaczyć kraj. „Należę do niego, zawieźcie mnie tam Lawson, Echampson, Waterfull. Zawieź mnie, Stevens, należę do niego, tak jak oni należą do ciebie”, brzmiały jego ostatnie słowa.

Osiedli pod Alice Springs.

Pod osłoną opon W. nie rozstaje się ze swoją ostatnią opalizującą filiżanką z Angoulême, w której przez cały boży dzień popija czarną herbatę. Trrou Kōrrou wpatruje się w busz, w którym na drewnianym paliku zawiesili toskański pejzaż. Iguany, które przemykają w pobliżu, z respektem go pozdrawiają: wprowadza mikroklimat. W promieniu trzystu metrów kaktusy są nadzwyczaj grube. Stevens dla osłony przed słońcem okrywa się dziurawymi kocami. Pod łachmanami jest goły, najczęściej zasypia na stojąco, ogłuszony łomotaniem dzięcioła. Z trudem chwytą jaszczurki, którymi się żywi. Major przynosi ryby; nazywa je *pirarucu*, ale łowienie zajmuje jej tyle czasu, że lepiej na nią nie liczyć. Lawson jest zachwycony. Na początku przybrał odcień ceglasty, teraz jest dosłownie czarny. Muskularny. Gruby, jakby się żywił powietrzem. Jest w swoim żywiole; kiedy tylko się ruszy, podśpiewuje pod nosem.

- Przywykniesz - mówi. - Wolności trzeba się nauczyć. A zresztą major, skryba i ja żegnamy cię. Przemyśleliśmy to i uważamy, że to właściwy moment. Ucałuj nas, jesteś żywy.

Ciało Didjoo pochował w najczerniejszym piasku, pod juką; co wieczór nawadnia ją

zraszaczem, którego używał Waterfull do fikusa Napoleona.

Tutaj żyrandolem jest niezmierzone niebo. Mimo to chciałby je odkurzyć. O tym rozmyśla, popijając niezliczone filiżanki herbaty: żeby znaleźć motylek nadającą się do zamiecenia gwiazd i przywrócenia im blasku.

Busz oddycha. Stevens słyszy, jak oddycha. Od kiedy zaszył się pośród opon, spędza wiele czasu z uchem przytkniętym do dziur w dętkach. Wymieniają z wielką szybkością drogi, które przemierzyły. Słucha, zasypia, znów słucha. Przybycie galerników na *Terra Nullius*, polowania na ludzi, barbarzyństwa, męki rozstania. Kraksy samochodowe, betonowe osady otoczone drutem kolczastym, domy na palach, pod którymi gniją lodówki i dziurawe kanapy. Dętki świszczą bardzo głośno i przenikliwie. Kiedy dłużej już nie może słuchać, wchodzi na kurhan wielkiego kangura, który umarł, uśmiechając się, i patrzy na obozowisko z opon w dole jak na wzór krążków po butelkach odcisniętych na krwawym batiku.

Widzi krąg mikroklimatu wokół Trrou Kōrou, który przeplata marzenia o feerycznej Toskanii ze wspomnieniami swych młodzieńczych zabaw w wodzie. Na wyspach Vanuatu leżących naprzeciwko, na dalekim morzu, jego wspomnienie jest tak świeże, że użyźnia krzewy. Patrzy na sunące rządkiem mrówki, które migrują do swoich korytarzy - Songlines¹⁸⁰ czarnych mrówek. Które zostawiają po sobie ślad nikły, lecz równie wyraźny jak mur cesarza Qin Shi Huangdi na grzbiecie wiecznych Chin. Widzi taneczne zygzaki emu. Geparda biegnącego w linii prostej, tory kolejowe. Piasek, który wiatr fałduje i wygładza jak morze. Potrójny pas boeinga. Widzi batik i zauważa, że wszystko, krzyżując się, ułożyło się w jeden splot.

Kiedy chce przejść się nocą, przybiera postać pantery. Porusza się jak ślizgacz. Jego kroki są tak lekkie, że może usłyszeć wszystkie rozmowy.

Słyszy opowieści dingo, mrówek, węży, wszystkiego, co żyje. A wszystko żyje.

Próbuje wyłowić opowieść warana, który schodzi ze skały, ale nie jest to łatwe. Kiedy staje na czatach, ma skłonność do zasypiania.

Teraz przykuca pod wiatr za zaroślami ostrego spinifeksu¹⁸¹, sam nie wiedząc, czemu dygocze jak puma, którą jest w brazylijskiej *caatindze*, jak jaguar na brzegu rzeki. Tym razem wielki waran, który ukrywa się w pobliżu opon, nie wyczuwa go. Stevens widzi, jak w świetle

¹⁸⁰ Songlines - zwane też *dreaming tracks* - niewidzialne ścieżki przecinające całą Australię, łączące dawne wspólnoty i wyznaczające granice. O tych ścieżkach Aborygeni śpiewają piosenki, które traktuje się jako mapy orientacyjne dla podróżników po interiorze.

¹⁸¹ Spinifeks - powszechna nazwa wszystkich kłujących, twardolistnych traw. Pochodzi od *spinifex paradoxus*, trawy tworzącej kępy utrwalające piaski.

księżycyca sunie naprzód błyskawicznymi, niezbornymi ruchami. Widzi, jak wkracza w krąg Trrou Körrou, słyszy, jak go pozdrawia.

- Co tu robisz, potęgo ozdobnego drzewa, jakie są twoje ozdoby?

- To ozdoby inicjacyjne, Ngintaka. Noszę kły obojnackiej świni; prowadzę dom ludzi.

- Powiedz mi, jak powstał twój świat, Körrou Bezstopy, bo nigdzie nie widzę twoich śladów.

- Powstał na wyspach, które leżą naprzeciwko. Posłuchaj.

Nie było nic. Ziemia była płaska. Pojawili się tytani, obsiali ją, ale nie podlali, i ziemia nie weszła. Pozostała płaska. Wiatr, który przez nią przelatywał, nie szumiał. Gwiazdy nad jej głową nie zatrzymywały się w miejscu. Tak więc rośliny, ptaki i zwierzęta nie pojawiały się. Pozostawały ziarnami w łupinie płaskiej ziemi.

Wśród nich głośno lamentowała Moc Trzciny, bo bardziej niż innym chciało jej się pić. Ale jej lamentsy nie wzbijały się w górę. Tytani rozrzucony po niebiosach nie mogli ich usłyszeć, bo wiatr, który nie szumiał, nie przynosił dźwięku. Sytuacja była nieciekawa.

Na szczęście mieszkał na Olimpie jeden mały tytanek, który miał ogromny apetyt. Na ucztach rzucał się na pieczone mięsiwa, a ci, którzy nie zdążyli obsłużyć się przed nim, nic nie jedli. Jeśli go nie zapraszano, łupił kuchnie. Nadskakiwał wszystkim największym tytankom, włącznie z młodszą córką szefa Olimpu - tą, która nosiła już tiarę królowej. I choć z wielkim niesmakiem i werwą odrzucała jego zaloty, tytanek nie chciał jej dać spokoju. A że w dodatku wyjadał brzoskwinie zarezerwowane dla władcy, Rada nie wytrzymała i zebrała się. Postanowiono, że zostanie zamieniony w obojnaką świnię i wypędzony na ziemię, na której nic nie żyło ani nie rosło. I tak się stało.

Ledwie zdążyła zjawić się na ziemi, Świnia tytanek zaczęła zachłannie obwąchiwać ziemię w poszukiwaniu jedzenia. Mimo wszelkich starań nic nie znalazła. Wyczerpana, postanowiła usiąść i się zastanowić, ledwie jednak zadkiem dotknęła ziemi, oba jej przyrodzenia zaczęły ją tak świerzbić, że nie mogła wytrzymać. Moc Trzciny, która to widziała - gdyż Świnia zatrzymała się praktycznie na jej ziarnie - podniosła jeszcze większy lament. Ach, mówiła, gdyby tak mogła tutaj oddać mocz, ugasiłoby to moje pragnienie, o jakże dojmujące. Tak podlane, moje ziarno by weszło, wyrosłabym w górę i niezwłocznie rozkwitła. Jeśli tak uczynisz, tytanek, z wdzięczności użyję ci kawałka własnego ciała, by zaspokoić oba twoje przyrodzenia. Uwierz mi, kiedy rozkwitam, moja bazia tak z wierzchu, jak od środka jest miękka i sprężysta.

Tytanek nie był głuchy, ale przed transformacją poddano go diecie, skutkiem czego brzuch i pęcherz miał puste. Niemniej ujrzał sytuację w nowym świetle. Skoro było tu ziarno

Mocy Trzciny, to mogły być też inne. Tak więc płaska ziemia, na którą go zesłano, by nauczyć go wstrzeźliwości, może okazać się ziemią, która zaspokoi wszystkie jego pragnienia.

A że nie mógł ani usiąść, ani się położyć, tak żeby oba przyrodzenia nie mąciły mu w głowie, przemierzył pustynię, przywołując wszystkie ziarna. Było ich wiele. Prawdę mówiąc, było z czego stworzyć bardzo interesujący świat. Maszerując, świnia tytanek główkowała, jak by je tu podlać. Pomyślała, żeby upuścić sobie trochę krwi, ale to pomogłoby wejść tylko niewielu mocom, które na dłuższy okres by mu nie wystarczyły. Roztrząsał problem wte i wewte. Jako świnia niewiele mógł zdziałać. Jako tytanek miał jeden sposób, ale trudno mu się było na niego zdecydować. W końcu podjął decyzję i wciąż maszerując, proponował każdemu ziarnu, że je podleje i pozwoli się rozwinąć, jeśli potem zrezygnuje ono z potęgi słowa-zawartego-w-jego-wodzie. Wszystkie bez wyjątku to obiecały. Wtedy Świnia tytanek zaczęła nawadniać ziemię magicznym słowem tytanów, tym, które nadaje kształt mocom, tym, które zawiera-jego-woda i którego się nie zapomina, jeśli zostało się nim zroszonym w kołysce.

Ziarna nagle wyrosły, a całą ziemię pokryły góry, rzeki, bujne lasy oraz wszelkiego rodzaju zwierzyna. Na ten widok wiatr zaczął szumieć. Gwiazdy, które tamtędy przemykały, zastygły w miejscu. Rozbłysło słońce. Wtedy tytanek, przekrzykując zgielk, przypomniał żywym, że mają mu zwrócić słowo-zawarte-w-jego-wodzie.

Przez długie miesiące przed jego pałacem panował ogromny tłok, wszystkie gatunki zwracały mu słowo wraz z darami żywności i podziękowaniami. Nie rozstawał się z Mocą Trzciny.

Mógł teraz siadać i kłaść się bez udręki, tak bardzo prawdziwe okazało się to, co powiedziała o swojej giętkości i usłużności. Przyjmował bez przerwy. Żył szczęśliwie. Ale w końcu upłynęło dużo czasu i zauważył, że ziarno mocy człowieka nie odniosło mu słowa. Wezwał do siebie ptaki i polecił im sprawdzić co i jak. Ptaki wróciły ze smutną nowiną: ludzie żyli w lesie, byli szczęśliwi ze słowem i nie zgadzali się go oddać. Świnię tytanek głęboko dotknęła taka postawa. Zsunęła się z poduszek i ruszyła w drogę, żeby odszukać ludzi. Czyż nie obiecaliście tego co wszyscy? Zapytała. Owszem, odrzekli ludzie. Ale teraz się już nie zgadzamy. Słowo-zawarte-w-ich-wodzie jest za dobre, żeby należeć tylko do świń. A więc to tak, powiedział tytanek, no to dam wam coś jeszcze, podle kłamczuchy, ofiaruję wam śmiertelność i reprodukcję, ale uprzedzam, że tego słowa-które-zawiera-moja-woda żaden z waszych potomków, rodząc się, nie będzie znał, będą się go musieli uczyć i trwać to będzie latami. Wtedy ludzie, przerażeni klątwą, która na nich spadła i już zaczynała się urzeczywistniać, schwytali świnię, zakneblowali ją i zarżnęli. Urządzili wielką biesiadę, na którą zaprosili wszystkich żywych, ale żadne z nieśmiertelnych ziaren nie chciało tknąć

potraw i tylko ludzie skosztowali mięsa obojnakiej świni, która użyczyła im słowa.

- Ja, Trrou Körrou, jestem mocą drzewa uformowanego przez pieśni, na swoich żebrach i udach noszę kły obojnakiej świni, i wiem, co mówię, Ngintaka, ludzie są jak ten tytanek: zachłanni, lubieżni i mają wiele twarzy - a ich słowo stwarza świat.

Wielki waran kiwa głową, wykonując trzy gwałtowne ruchy.

- Stwarza świat, który ciebie stworzył. To pewna różnica.

Tej nocy padało. Stevens nie wyszedł pod żadną postacią, zagrzebał się pod kocami, przez dziury wpatrywał się w bezgwiazdne niebo. Chmury przemykały po nim jak konie berberyjskie. Może tym razem tytani wrócą w towarzystwie czarownic? Chciałby.

Rankiem pustynia jest usiana kolorami. Wiedziałś, ale teraz

Znów kwitniesz Chorezm!

Kwiaty żyją przez trzy dni i wszystkie trawożerne o tym wiedzą czysta rozkosz. Batik nie przestaje rozwijać się, zwijać, przeobrażać. Stevens patrzy, jak się zmienia, chodzi po nim, ale nie tyle go przemierza, ile raczej busz kieruje jego krokami. Pokonując pochyłości, których nie zna, klucząc w sposób, którego sam nie rozumie, podążając takim, a nie innym tropem w pogoni za jaszczurką na kolację, w końcu zawsze robi mniej więcej tę samą trasę. Wchodząc na górę Didjoo, widzi ją. Zaczają się co noc na wielkiego warana pod skałą, z której ten schodzi, i to też widać: na batik miejscu, gdzie leży, tworzy małe półkole barwy jaśniejszej ochry. I nie jest to tylko wyobrażenie.

Poświęci tyle czasu, ile trzeba.

- Czas! Tak jakbyś wiedział, co to jest!

To on, to waran.

Stevens wraca z nocnego obchodu, na którym jak zwykle czekał pod skałą na brzuchatego jaszczura. Wraca z niczym i widzi, że zwierzę, którego szuka w buszu, czyta właśnie jego dziennik ukryty między oponami.

Tak mu się wydawało, że po drodze Trrou Körrou się do niego uśmiechnął...

- Nie krępuj się.

- Ależ nie zamierzam - powiedział waran, gwałtownie zatrzasnąwszy dziennik. - Zresztą widzę, że ty też się nie krępujesz. Szpiegujesz mnie.

Wpatruje się w Stevensa swoimi małymi, gadzimi oczkami. Jego „szpiegujesz mnie” jest stwierdzeniem. Stevens nie odpowiada. Zwierzę obserwuje go, nie poruszając się, w całkowitym bezruchu, zdaje się wręcz nie oddychać. Stevens nie może pokazać, że jest pod wrażeniem:

- Ach, więc umiesz czytać?

Stary wyga, raptem zniecierpliwiony, unosi łapę, która zamiera w powietrzu. Mimochodem miażdży komara.

- Jestem waranem, czytam wszystkie znaki.

- Ach.

- Hm. Niezła jest ta twoja krótka opowiadka.

- Krótka! Wcale nie taka krótka. Poza tym wiedz, że leśny człowiek połowę jej zjadł.

- To niewiele zmienia. Na moim szczęblu.

- To znaczy?

- Ty byś go chyba nazwał „geologicznym”. Czy jakoś tak. Być może wiesz, że jestem bardzo, ale to bardzo starym odłamkiem góry.

- Nie, poważnie? Opowiesz mi? Czy mogę cię zapytać, jak ty zapytałeś Kōrrou: jaki jest twój świat, Wielki Waranie, jakie są twoje ozdoby?

- Pytać możesz zawsze. Nie odpowiadam kłamczuchom.

Pudło.

- Ale chętnie ci powiem dwie lub trzy rzeczy.

- OK.

- Przede wszystkim jestem bardzo stary. Bardzo, ale to bardzo stary. Właściwie jestem świadkiem świata od samego początku. Moją naturą jest skała, mój czas jest czasem skały, krew w moich żyłach jest gęsta jak ziemia w stanie płynnym w jej warstwie miękkiego kamienia.

Odlączyłem się od tarczy australijskiej w epoce, kiedy zaczynała się dyslokacja królestwa Pangei¹⁸². Od tarczy każdego z obecnych wojowników oderwał się odłamek, który obdarzono mocą absolutnego przyspieszenia i poruczono zadanie obserwacji wszystkiego. Te odłamki, a jest ich na świecie dziesięć, nazywają się Waranami lub Wielkimi Waranami, zależnie od zasług, i ja jestem jednym z nich. Poruszam się jak gromowładny kamień, widzę wszystko. Widziałem rozpad Laurazji i Gondwany, widziałem Tetydę i jej knowania. Widziałem zderzenia, płytę Nazca, płytę Pacyfiku i podstępne posunięcia oceanów przeciwko kontynentom. Widziałem batalie wielkich łańcuchów górskich i Himalajów. Na moim szczęblu jesteście garstką much. Ale nie to chciałem powiedzieć. Chciałem powiedzieć, że bezruch jest oznaką ruchu.

I jeszcze to, że ziemia narodziła się na wszystkich krańcach jednocześnie. Opowieści i

¹⁸² Pangea - istniejący w paleozoiku pierwotny, wielki kontynent, który w mezozoiku rozpadł się na mniejsze, oddalające się od siebie bloki kontynentalne (teoria A.L. Wegenera).

mity są marzeniami lub wspomnieniami tej przemieszczającej się formacji.

Ty, będąc ostatnim z ludzi, pod tym względem, jak i pod innymi, jesteś rozdrożem. Ruiną, jak powiedziała pantera. Ruina, rozumiesz, co to takiego? Punkt przecięcia, skrzyżowanie wielu epok. Ludzkich, one cię ukształtowały. Nikomu nie przydarza się nic, czego nie byłby w stanie wytrzymać. Język - prozopopeja - uratował cię. Sam się rozpadłeś, żeby się nie zatracić. Ale czy znasz własny mit? Swoją najwcześniejszą historię, tę, która pozwoliła ci przetrwać, historię, podwaliny świata podpodgatunku, którym się stałeś, znasz ją?

Tak.

Świat powstał, ponieważ istniał królik i istniał człowiek. Królik zdechł. Człowiek trzymał go w ramionach. Kołysał go, śpiewał mu wyliczanki, głaskał go po uszach, ale nic nie skutkowało, królik nie ożył. Kiedy człowiek już wyczerpał wszystkie możliwości, kiedy zaśpiewał mu wszystko, co umiał, i wszystko, czego nie umiał, co wymyślał na poczekaniu, kiedy powiedział i odegrał wszystko, co tylko mógł sobie wyobrazić i na wszystkie sposoby - błagania, szantażu, epepei, magii, obietnicy - a królik wciąż nie żył, rozplakał się. Wylewał potoki łez, jakby oplakiwał wszystkie króliki i wszystkich zmarłych. Nie mógł przestać, płakał i płakał, jego łzy kapaly na ziemię, a ziemia je wchłaniała. Płakał, nie mogąc przestać, i ziemia wkrótce była pełna jego łez. U jego stóp powstała kałuża i potem popłynęła. Powstał strumień i popłynął. Powstała rzeka, ogromna rzeka, hucząca, która popłynęła daleko, hen daleko. Która stworzyła świat. Opływając góry, wypełniając rozpadliny, drążąc swoimi wirami koryta, rozbryzgując się na skalach, nadała kształt światu. Stworzyła go, a potem na jego skraju rzuciła się w pustkę i ją wypełniła, i nazywa się to oceanami. Jeszcze dziś ciągle płacze i dlatego świat wciąż istnieje. Płacze w twojej duszy.

I am the River.

Z mojego źródła obok królika spłynęłam w doliny, przemierzyłam równiny, wydrążyłam góry i spiętrzyłam piasek. Objęłam lodowce, popłynęłam przez pustynie, napotkane przeszkody zepchnęłam ze swojej drogi. Połączyłam się z ziemią, nasyciłam ją aromatem. Wchłonełam wszystkie historie, które po niej krążyły, i wezbrały nimi moje fale.

Jestem urojeniem - bez którego nic nie przeżyje.

W Mongolii popłynęłam po stepie, a pustynia pokryła się rosą. Wzięłam swój początek na mokradłach St. John's, spłynęłam z plecionego szczytu kapsuły przybyłej z kosmosu... Popłynęłam przez miasta, obmyłam ich dusze, a wszystko, co płakało, wyplakiwało się w moje spódnice. Wezbrałam. Zerwałam mosty, utopiłam smutki. Na grzbiecie moich fal unosiłam żółwia, popychałam deskę, na której siedziała bogini. Opilałam się ropy naftowej. Wyparowali ze mnie herosi i na białych koniach pogalopowali do nieba. Zerwałam w pałacach bezcenne obrazy, na ogromnej fali wysłałam je do czerwonej pylistej ziemi i wyrzuciłam na brzeg u stóp wzgórza-bańki napęczniałej miodem. Duchy przodków otworzyły przede mną to mrowisko i przeniknęłam do jego wnętrza.

Rozsypałam Toskanię w ich fosach i popłynęłam dalej. Ja tylko płynę.

Tu, na *Terra Nullius*, jestem mapą, śpiewem, biegiem zdarzeń i życiem.

Ruchomą wiecznością.

Trwam. *Here is not time.*

Rysuję na piasku. Kreślę.

W tym miejscu Kumanjaji - nie wymawia się imienia zmarłych - rozłożyła obóz, ażeby odpocząć. Jej bumerang jest wielki jak łańcuch górski. Frunie na spotkanie wielkiego kangura.

Tu dingo przyszedł się napić. Chłopcząc, powiedział mi, że właśnie widział człowieka, że był to ostatni człowiek.

Tu jaszczurka zanurza swój ogon dla ochłody. Na jej żądanie kowal wykuł ją tak, żeby jej pancerz był jednolicie zahartowany, a tym samym niezniszczalny. Tu moja woda jest zawsze ciepła.

Tu spadł człowiek-ptak. Miał z sobą tyle papierów. Miał je w kieszeniach, w przepasce na biodrach, w swoich ogromnych walizach. Pod jego krokami zapadała się ziemia. Spadł i jego papiery spadły razem z nim, spadając, tworząc długi, biały, spieniony tren, który nie będzie miał końca. Tu, upadek: Waterfull. Nie zatrzymuję się, płynę.

Jestem uludą.

Tu Kumanjaji - łowczyni - nie wymawia się imienia zmarłych - wbiła strzałę, którą wystrzeliła z gór Vindjya na światowych zawodach łuczniczych. Tu moja flaga.

Tu kotlinka. Kobieta kąpie się, już się wykąpała. Jej pośladki wydrążyły piasek w głębokim basenie Syczuanu. Na jego mokradłach rosną giętkie trzciny z Vanuatu. Napelniam jego krater *miyeu* i piję z niego. Przepłynę przez jego tank, przepłynę przez zbiornik, płynę bez przerwy.

Jestem nią.

Tu zbiornik *caapinada*, w którym znajdują się fluidy na ucztę. Tu moja woda jest zawsze wartka.

Tu spoczął Toltek, Wongaj, Czoktaw. Przepłynęłam przez jego ciało i płynę dalej. Rozpływa się. To moc kamienia, pytony są jej kuzynami, ma przyjaciół na gałęziach. Tu mój podziemny zapomniany śpiew.

Tu bród. Minęłam i zostawiam za sobą ostatniego z ludzi, o którym mi mówił dingo. Tu odkłada swój dziennik. Opowiada mi o swoich projektach. Stać się znakiem, mapą i pieśnią, biegiem. Kreślić na piasku, który wygładzam. I przepłynąć. Ryba mówi mu: To... to dużo, że przeżyłeś.

Tu patrzy na rybę w moim brzuchu. Rybę z wytrzeszczonymi oczami, którą jego opowieść przeraża.

A człowiek odpowiada jej:

Ale - ja tego nie przeżyję.

Jestem złudzeniem.